

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.



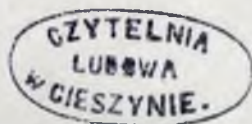
BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1870.

Tom pierwszy.



WARSZAWA.

Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

1870.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po
wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 30 grudnia (11 stycznia) 1869 r.

Cenzor, J. Błeszczyński.

FATALIZM.

POWIASTKA Z ŻYCIA GÓRALI TATRZAŃSKICH (*).

PRZEZ

Michała Bałuckiego.

W dolinie Raby o kilka mil od bitego gościńca, prowadzącego ku Nowemu - Targowi, leży wśród nagich i jałowych pagórków nędzna, góralska wioska. Nie bielone chaty bezładnie i zdaleka od siebie porozrzucane, jak ptasze gniazda, czepiły się pagórków, chroniąc się przed gwałtownymi wylewami rzeki, która teraz wysuszona gorącym słońcem, sączyła się i ciekła powoli po kamieniach. Po pagórkach zieleniły się rzadkie owsy, gdzieniegdzie lasu trochę, a zresztą pola odłogiem leżące macierzanką i rozchodnikiem porośłe. I mieszkańcy równie jak okolica biędni, od ciężkiej pracy i niedostatku karłowatego wzrostu, włosów płowych; oczy jasne przy ciemnej, spalonej słońcem i wynędzniałej cerze, czyniły twarze mdłe i bez wyrazu: coś zwierzęcej głupowatości przebijało w tych twarzach. Nie rzadko także można było spotkać górali z wydętymi gardłami. Zresztą po co szeroko opisywać? Nędza co rok setkami wygania tych ludzi w doliny za zarobkiem, spotkać ich można po miastach żywiących się ostrużynami, wyrzucanemi na podwórze, po dworach łakomo dopominających się przy robocie o dobre jedzenie, jakby chcieli się najeść na całą zimę i wynagrodzić sobie głodny przednówek. Skąpstwo i łakomstwo ich wstrętne jest mieszkańcom dolin, którzy uszczypliwiemi piosnkami lub złośliwym żartem chłostają ich za to. W takiej

(*) Osnuta na prawdziwem zdarzeniu.

wiosce, wśród takiego ludu przyszło mi raz zabawić kilka tygodni w powrocie z Tatrów. Przykrą mi była ta nagła zmiana osób i dekoracyj. Przywykłem do śmiałych linii tatrańskich szczytów, do gwarnych a przejrzystych potoków, do ludu wysmukłego o pięknych profilach, nudno było wśród tej prozy nędzy bez śmiałych polotów, czołgającej się po ziemi z pochyloném czołem. Ale powoli przywyknąłem. Wśród największej monotoności i nędzy, człowiek musi i może znaleźć sobie zajęcie i piękno. W braku olbrzymich widoków, szuka sobie małych obrazków: nie wielki staw lub ciche jezioro, musi mu zastąpić niezmierzone przestrzenie oceanu; brzozowy gaik kołyszący się na wzgórkach, cmentarz kościelny z miękką murawą ocieniony lipami, równie staną mu się miłe, jak rozległe lasy lub wspaniałe widoki. Człowiek pragnie wiele, ale konieczność zmusza go przestać na małości, zgoda z jego strony nazywa się szczęściem. Tak było i ze mną. Rozpatrzywszy się dobrze w tym zakątku, nie znalazłem go tak strasznym, oswoiłem się i co więcej przylgnąłem doń. Wśród tej przygody nędznej i skąpej umiałem sobie wyszukać kilka miejsc piękniejszych, gdzie z przyjemnością długie przesiadywałem godziny. Szczególniej upodobałem sobie jedno wzgórze, przez które szła droga do wioski. Na wzgórzu stała obdarta kapliczka, obwiedziona niskim murem, ułożonym z rzecznych kamieni. Kilka wisien ocieniało ją, ptastwo trzepotało się wciąż między gałęziami. Kapliczkę zamykała krata, nad którą był napis niezgrabny, czerwony, na czarnej tablicy:

Ta kaplica stanęła
z fundacyjej

Jana Palika, któren prosi

o westchnienie pobożne za swoją dusą.

W kapliczce stał na ołtarzyku Chrystus niezgrabnie wyciosany z drzewa przez wiejskiego rzeźbiarza, niżej obrazek Matki Boskiej malowany na blasze, ubrany w uschłe wianki, przed ołtarzem trzy lampki nalane łojem. Kaplica stała zdala od wioski, w ustronném, trochę ponurém miejscu, z obu bowiem stron drogi był las świerkowy, ciemny i gęsty, trochę z brzegu wycięty, a w tém miejscu sterczały pnie obrane z kory wśród zielonej borowiny. Polubiłem

to miejsce tak dla ciszy i samotności, jak i dlatego, że z tego wzgórza przestronny był widok na okolicę. W ramach świerkowego lasu, pokazywały się w dali równoległe podnóża karpackie, coraz wyższe, niby stopnie do nieba, coraz bardziej sine i blade, aż ostatecznie ich kończyny zlewały się z błękitem nieba tak, iż trudno było nieraz rozeznąć na krańcach widnokregu czy to Tatrzańskie ubielone śniegiem grzbiety, czy białe obłoki tak się rumieniają od wschodzącego słońca. Na boku widać było kawałek poważnej Babięj-Góry za przezroczystą zasłoną mgły niebieskawej.

Drugiego dnia po przybyciu mojem w ową okolicę, odszukałem to miejsce i odtąd stało się ono celem moich wieczornych spacerów.

Czwartego dnia (jeżeli sobie dobrze przypominam), kiedy idąc pod górę zbliżał się ku kapliczce, ujrzałem około muru kilka krów skubiących trawę; zbliżywszy się bardziej dostrzegłem, że drzwi kapliczki były otwarte i jakaś góralka zapalała lampki i ustawiała je na ołtarzu. Chód mój po kamienistej drodze zwrócił ję uwagę: obejrzała się, nie zdziwiła się, ani przestraszyła; przypatrzyła mi się spokojnie, uważnie, potem odwróciła się do ołtarzyka.

Przywitałem ją słowem bożem, jak zwyczaj każe. Odpowiedziała mi nie przerywając sobie zatrudnienia.

Zdziwiła mnie twarz a bardziej jeszcze obejście dziewczyny. W mowie ję nie było nieśmiałości dziewcząt wiejskich ani zakłopotania, mówiła pewnie, spokojnie, nawet obojętnie, jak człowiek co z łaski rzuca słowa lub nie dba o ludzi. I twarz ję była inuą od tych, jakie widziałem we wsi. Słońce i praca nie spaliły i nie zeszpeciły ję: była biała a raczej blada bladością róż miesięcznych stojących w cieniu, boleść czy choroba przebyta, dawały tęj twarzy wyraz smutnego unuzenia, zgnękania. Oczy miała czarne, przepaściste a tak zamyślone, że choć je czasem obróciła na mnie, zdawała się nie widzieć mnie: wzrok ję szedł gdzieś naprzód w przestrzenie. Wieczór, oświecona skośnemi jaskrawemi promieniami zachodzącego słońca, wydała mi się dziwnem zjawiskiem, bałem się by nie znikła, nie odeszła, chciałem ją przytrzymać rozmową.

— A dlaczego ty się zajmujesz tą kapliczką, wszak to do kościelnych bab należy?—zagadałem ją.

— To wy chyba nie nasz, kiedy o to pytacie?

— Ja z Krakowa, jestem tu nie dawno.

— We dworze?

— Nie, na plebanii.

— U dobrodzieja?—tak—dodała przeciągle zapadając w zamyslenie.

— I czemuż ty sama ubierasz tę kaplicę?—powtórzyłem.

— Bo się ludzie boją téj kaplicy. Mówią że tu dusza pokutuje.

— A ty się nie boisz?

— Nie—odpowiedziała krótko.

W kościółku za lasem odezwał się dzwonek na Anioł-Pański, dziewczyna klęknęła przed kapliczką, przeżegnała się nabożnie i poczęła półgłosem mówić Zdrowaśki. W okół panowała uroczysta cisza usypiającej przyrody, słuchałem szmeru modlitew dziewczyny i zadumałem się poważnie. Słońko skryło się za Babią-Górę, na polu pociemniało już dobrze, w ciemności między drzewami przelatowały świętojańskie robaczki, za murem kapliczki jałówka kołatała blaszanym dzwonkiem u szyi.

Po chwili dziewczyna wstała i nie zważając wcale na mnie, podniosła pręt z ziemi, poszła w krzaki i wyгнаła krowy na drogę.

Nie wiem dlaczego, ale nie miałem ochoty zostać dłużej przy kapliczce, tajemnicza ję legendy zrobiła na mnie dziwne wrażenie, poszedłem więc ku wsi wraz z dziewczyną w nadziei że się czegoś od nię dowiem.

— Któż tu pokutuje?—zapytałem.

— Dusza—odrzekła naiwnie.

— Ale czyja?

— Nie wiem. Pytałem o to tatusia, ale machnęli tylko ręką a nic nie powiedzieli. Więc to może bajka, co ludzie mówią we wsi.

Schodziliśmy ze wzgórza, las się skończył, po jednej stronie lasu były moczary i bagniska gęsto zarosłe sitowiem i zielskami. Pełnia księżycowa oświecała jasno okolicę. Gdyśmy tamtędy przechodzili, coś zaszeleściło w sitowiach, obejrzałem się i przestraszyłem. Wśród rozchylnych zielsk zobaczyłem kobietę starą i wychudłą, z oczami błędnymi

mocno na wierzch wysadzonemi; przez potarganą koszulę widać było ciemną skórę. Wyskoczyła z moczarów zabłocona, ustrojona w zielska i trawę; pokręciła się na środku drogi, zaśmiała dziwnym głosem i poleciała ku wsi, śpiewając wrzaskliwie jakąś piosnkę bez związku i bez harmonii.

— Któż to jest?—spytałem dziewczyny, która smutnym ale spokojnym wzrokiem patrzyła za lewą.

— To moja babka, matka tatusiowa; nie ma pełna rozumu: wiecie.

— I czemuż jęj nie zamykacie?

— A po co? Nikomu nic złego nie robi, najczęściej siedzi tu na moczarach i śpiewa Bóg wie co.

— Gdzież ty idziesz?—spytałem widząc że dziewczyna skręca z drogi.

— Do siebie: o, tam nasza chata. Ostańcie z Bogiem.

Chata stała trochę na boku od wsi, w progu siedział jakiś góral ze zwieszoną głową.

— Hanka, gdzie ty tak długo siedzisz?—spytał ponurym głosem nadchodzącej dziewczyny.

— U kaplicy, tatusiu.

Dalszej rozmowy nie słyszałem, bo stanąć nie wypadało, a oni cichszym głosem zaczęli mówić! Nie zatrzymując się więc, wróciłem do domu.

Księdza, u którego mieszkałem nie zastałem: wyjechał do chorego; w pokoiku siedział tylko ojciec jego, stary góral i rozczytywał się w kalendarzu. Chodziłem jakiś czas koło stołu, myśląc o tajemniczej kapliczce, o dziwnym spotkaniu dzisiejszego wieczora; wszystko to kołowało w mojej głowie jak ciemne zagadki, do których rozwiązania napróżno szukałem klucza we własnej głowie. Wreszcie ciekawość przemogła i czepiłem się starego górala.

— Czy to prawda—spytałem—że około kaplicy na wzgórzu złe jakieś chodzi?

— Pan tam byłś?

— Wracam ztamtąd.

— Sam?

— Jakaś młoda dziewczyna była tam także.

— A, to Hanka, nikt inny być tam nie mógł. Dawniej pamiętam, matka jęj stroiła ołtarz każdej soboty, a teraz odkąd tamtą na mogiłki wynieśli, Hanka zbiera na

ołtarz kwiaty po łąkach i lampy nalewa, bo ona także Pa-likówna; fundator tój kaplicy pradziadem jój wypada.

— I cóż on takiego zrobił, że taką pamięć po sobie zostawił?

— Długa to historia.

— Pewnie i ciekawa?

— Tak, straszna.

Prosiłem starego by mi opowiedział, nie dał się długo prosić i tak mówił:

— Było dwóch braci, obadwaj byli biędni, ale żyli zgodnie. Starszy z nich (a był nim właśnie ów fundator kaplicy), miał już żonę i syna; Kuba siedział przy nich komornem i pomagał im w pracy. Ale nastał ciężki przednówek, ludzie we wsi marli od głodu, albo zapadali na różne choroby jedząc niezdrowe zielska. Wtedy młodszy brat żeby nie być ciężarem rodzinie, poszedł w świat za zarobkiem na Węgry. Znał ciesiołkę i nie źle mu się wiodło w dolinach. Tak wędrując od wsi do wsi, znalazł raz przy gościńcu zdaleka od mieszkań ludzkich, starego dziada, którego tłukła wielka choroba. Kuba wziął się do ratunku, wbił mu gwóźdź za paznokcie serdecznego palca i dziad przyszedł do siebie. Poczęli gwarzyć i pokazało się, że dziadowi nie obce były te strony, z których był Kuba, choć pono nie tu się rodził. Co go Kuba zagadnie o rodzinę, o dawne życie, to dziad się zasepi i milczy, jak święta ziemia, co grób zakrywa. Po chwili znowu go porwała choroba i szamotała nim tak, że mu szkaplerze i medalik trzęsły się i dzwoniły po piersiach. Gdy oprzytemniał, był osłabły mocno i stękał.

— A może wam po księdza?—spytał Kuba.

— Byłem, spowiadałem się w tamtój wsi—rzekł dziad ponuro—ale mi strach iść do grobu, gdy nie wykonam co ksiądz kazał.

Kuba odsunął się z przestrachem od dziada i ostrożnie zapytał:

— A czemu wy tak srodze Boga obrazili?

Dziad długo milczał i patrzył w ziemię, potem rzekł:

— Słyszałeś ty o tatrzańskich zbójnikach?

— Byłem małym chłopcem, kiedy starosty hajduki robili na nich wielką obławę.

— Tak, to było wtedy— mówił dziad tonąc myślą w wspomnieniach. W Porębskich lasach otoczono nas, było nas dwunastu, bronić się było niepodobna. Zeszliśmy się więc wkoło jednego modrzewia, zakopaliśmy pieniądze i broń, a potem rozbiegliśmy się po lesie, usiłując pojedynczo przeslizgnąć się przez obławę. Nie wiem, jak się tamtym udało: ja umknąłem. Ale prawda, przed rozejściem przysięgliśmy nie tknąć zakopanych skarbów, aż do roku. Wtedy mieliśmy o tój samej porze stawić się do podziału. Na oznaczony dzień stanąłem pod modrzewiem, przeczekałem trzy dni i trzy nocy, ale żaden się nie zjawił. Musieli poginać. Zacząłem więc kopać, ale wśród roboty wysunął mi się z za koszuli krzyżyk, na którym przysięgaliśmy i nie miałem odwagi kopać dalej. Odszedłem, aby za rok wrócić znowu. Ale choroba opętała mnie, zdaleka od tamtych stron i potem nie było sił wracać. Z roku na rok odkładałem i tak minęło lat dwanaście na żebrackiej włóczędze.

— I mówiliście księdzu o tych pieniądzach, przy świętej spowiedzi?— spytał Kuba.

— Mówiłem, ale żeby je znaleźć, trzeba człeka dobrze świadomego tamtych lasów, a ksiądz powiedział, że dotąd grzech ciężyc będzie na mnie, dopóki te pieniądze nie pójdą na dobry uczynek. A kto to zrobi? Pieniądz, łakoma rzecz; powiem komu, znajdzie i zabierze dla siebie, a mojej duszy nic nie ulży.

— Ja biędny góral— rzekł Kuba— ale jeżeli mi zawierzycie, to zrobię jak każecie.

Dziad spojrział mu bystro w oczy i długo się wahał i namysłał; potem go spytał:

— Przysięgniesz?

— Przysięgnę.

— Ha, niech będzie. Zrobisz źle, to zgubisz i swoją duszę. Słuchaj!

Tu począł mu tłumaczyć jak i którędy dojść do modrzewia, w której stronie kopać i jak głęboko.

— Przy tych pieniądzach— mówił dalej— leży mały woreczek obwinięty w brudne szmaty. To dla ciebie, jest tam trochę grosza, na którym nie ciąży ludzka krzywda: to pieniądze zapracowane przezemnie za młodu. Te weź a resztę oddaj klasztorom na dobre uczynki.

Kuba wtedy wydobył szkaplerz z zanadrza i przysiągł. Potém dziad kazał mu iść do bliżkiej wsi do księdza i wszystko to powiedzieć, bo się bał skonać bez rozgrzeszenia. Kuba poszedł, ale gdy wrócił z księdzem, dziad już nie żył. Ksiądz przeżegnał trupa, pokropił i pogrzebał uczciwie, a Kuba wrócił do wsi.

A że bratu ufał jak sobie, więc zwierzył mu się ze wszystkiego i prosił go, by razem poszli szukać w lasy. I stało się tak.

Jednego dnia o świcie wyszli z chaty niby na polany. Kuba wziął motykę, Jan nie wiedzieć dlaczego, zamiast motyki wziął siekiere.

— A tobie siekiera na co?— spytał Kuba—gdy na chwilę spoczęli w lesie. Jan się zmieszał i nie patrząc w oczy brata mówił, że się omylił, że wreszcie siekiera przydać się może, bo wypadnie pewnie ciąć w ziemi konary drzewa. Na tém urwała się rozmowa i poszli dalej. Nad wieczorem byli już na tropie do modrzewia: wszystko zgadzało się z tém, co dziad gadał. Znaleźli skałę białą wśród lasu, na której kołysały się brzozy. Za skałą potok, za potokiem gęsty las pełen powikłanych gałęzi, jałowcowych krzaków; za tym lasem miała być rozpadlina, którą idąc, dochodziło się do małego źródła, a dziewięć kroków od źródła miał być ów modrzew.

Im bliżej byli celu, tém Jan więcej był roztargnionym; na zapytania brata odpowiadał nieprzytomnie, a oczami niepewnie rzucał po stronach.

— Siądźmy na chwilę — rzekł Kuba — taki mnie dziwny lęk wziął w tym samotnym lesie i smutno mi czegoś.

— Chodźmy, chodźmy— nalegał Jan— już ciemno.

— To nic; wziąłem krzesiwo; będziem pracować w nocy. Ale czego ty tak drżysz Janku?

— Zimno mi.

— A spotniałe masz czoło. Odpocznij.

— E, to nic; chodźmy—mówił tak patrząc w ziemię. Kuba podniósł się i poszedł naprzód.

— Kuba—odezwał się po chwili Jan, głosem suchym, ochrzypłym — co ty zrobisz z temi pieniędzmi?

— Ano zaniosę do klasztoru, tożem przysiągł na to.

— Wszystkie?

— A wszystkie: chyba te w szmatce...

— To musi być nie wiele tego.

— Ano, cóż robić!

Rozmowa znowu się urwała. Kuba to o to, to o owo zagadywał brata, ale ten krótko mu odpowiadał; był zamyślonym, czasem tylko podnosił oczy i okropnie dziwnie idąc za nim, przypatrywał się bratu.

— Kuba!—odezwał się znowu Jan.

Kuba stanął, Jan przeknął slinę, co mu tamowała głos.

— Kuba, my moglibyśmy być bardzo bogaci!

Kuba spojrzął na brata trochę litośnie, trochę pogardliwie.

— Janku, ciebie złe jakieś kusi?

Janek się rozśmiał nie szczerze, jałowo!

— Ot tak mi przyszło do głowy—rzekł i przygryzł wargi i skrzywił twarz dziwnie okropnie. Kuba tego wszystkiego nie widział, bo szedł przodem.

Gęsty las się przerzedzał, zaczynały się liściaste krzaki; dwaj bracia zsunęli się w rozpadlinę. Wtedy Janek zniecka uderzył z tyłu siekierą brata. Kuba po uderzeniu krwią już oblany obrócił się jeszcze, spojrzął przerażonemi oczami na brata.

— Bracie! bodaj cię... nie dokończył przekleństwa, padł i stoczył się na dno rozpadliny.

Janek wyrwał konającemu z zastygłych rąk motykę i uciekł z tego miejsca pod modrzew. Tam z pośpiechem i niepokojem, zwyczajnie jak człowiek, który ma złe sumienie, począł kopać ziemię i szukać pieniędzy. Wykopał kilka głębokich dołów i... nic nie znalazł. Ręce mu już opadły z umęczenia, kroplisty pot wystąpił na rozpalone czoło; ale nadzieja znalezienia skarbu, nie pozwalała mu ustawać. Kopał jeszcze dzień cały, i nic nie znalazł. Głód, umęczenie i jakiś lęk dziwny, nie pozwoliły mu zostać drugą noc w lesie, wrócił więc do domu. Żonie, która się pytała o Kubę, powiedział, że Kuba poszedł w doliny. Cały wieczór nie mówił nic, był niespokojny i roztargniony; wcześniej położył się w łóżko, ale nie spał: całą noc rzucał się i przewracał się niespokojny. Rano zerwał się i poszedł znowu do lasu. Wieczorem wrócił, był zmęczony i osłabiony,

wzrok miał dziki i błędny, a na zapytanie żony odpowiadał nieprzytomnie. To przstraszyło kobietę. Kiedy więc i trzeciego dnia wyszedł nie mówiąc dokąd idzie, poszła za nim śledząc go pilnie zdaleka. Jan szedł prędko nie oglądając się, znając już drogę prędko doszedł do rozpadliny i zsunął się na dół. Żona straciwszy go z oczów, szła za szelestem gałęzi, zobaczyła, jak Jan wziął motykę i kopał i czegoś szukał w ziemi. Koło modrzewia czerniły się świeżo wykopane doły. Jan pracował już z rozpaczą, myślał, że zabił brata i napróżno, przerażała go. Kobięcina chciała się zbliżyć, by lepiej wyrozumić o co idzie mężowi, gdy wtém odchylając gałęzie, co jęj drogę tamowały, utknęła o coś miękkiego na ziemi, spojrzała pod siebie i zobaczyła trupa Kuby z rozplataną głową. Wrzasnęła okropnie, przeraźliwie i chciała uciekać, ale przerażenie pomięszało jęj zmysły: zaplątała się jak ptak między gałęziami i wrzeszczała. Nadbiegł Jan przestraszony.

— Zbójca! zbójca! ratujcie! — wołała kobieta dygotając i poczęła uciekać do wsi.

Jan stał chwilę osłupiały, nieprzytomny, jakiś straszny zamiar przyszedł mu do głowy; bał się, by szalona baba nie roztrąbiła po wsi jego zbrodni i poleciał za nią. Nie długo dał się słyszeć w rozpadlinie krzyk, a raczj jęk bolesny, potem ucichło i Jan wrócił do domu wieczorem, bez brata, bez żony i bez pieniędzy. Czy który ze zbójników pierwji już wykopał pieniądze, czy też taki już był dopust Boży na ukaranie takowego człowieka, trudno zgadnąć; dość, że skarbu nie było. Ten zawód okropny i z drugieji strony podwójna zbrodnia, przygniotły go i zgnębiły, chodził jak człowiek bez duszy, ponury i milczący. Ludzie we wsi wytłumaczyli sobie to smutkiem po zniknięciu żony, o którém różnie gadano. Byli i tacy, którzy mówili, że Janowa sprzyjała Kubie i że oboje gdzieś razem powędrowali i litowano się nad Janem.

Od tego czasu Jan nie pokazywał się wiele między ludźmi, siedział w domu, lub pracował w polu, a z każdą wiosną schodził w doliny za zarobkiem i zawsze nie mało grosza przynosił. We wsi już naprzód obliczano, wiele syn Jana będzie miał dostatku i niejedna dziewczyna mizdrzyła się do młodego. Tymczasem ku wielkiemu zdziwieniu

wszystkich, Jan za uzbierane pieniądze postawił ową kaplicę przy drodze, siadł przy niej jako proszalny dziad, żyjąc z jałmużny, a synowi zostawił tylko chatę i trochę jałowego gruntu. To go jeszcze bardziej podniosło w oczach wszystkich, ludzie nie mogli się nagadać o jego pobożności, tylko ksiądz proboszcz, który znał dobrze grzeszną duszę Jana, surowe i poważne zachowywał milczenie wśród tej chwalby ludzkiej. Dopiero, kiedy zaniemógł ciężko, zrobił przed gromadą wyznanie tego, com panu opowiedział. Przedtém bał się to uczynić z obawy kary. Doczekał się, jak dom jego syna nocą zgorzał i syn nie mogąc się wyratować z płomieni, spalił się, a był to właśnie ojciec starego Marcina, którego widzieliście dziś przed chatą. Jego samego matka z trudem wyniosła z płomieni, ale rozum tam zostawiła. Oszałała z przerażenia. Widziałeś ją pan zapewne na moczarach. Odtąd złe czepiło się tej rodziny i trapiło ją. Mówią ludzie we wsi, że każde z niej musi być albo waryatem, albo zbójcą. Otóż macie przekleństwo brata.

W sam czas stary skończył opowiadanie, bo w półgodziny potem zaterkotał wózek na drodze i ksiądz wrócił od chorego.

Na drugi dzień (a była to niedziela) zobaczyłem Hankę w kościele. Nie trudno było ją poznać, tak się odróżniała od innych, nie tyle ubiorem, ile tą powagą smutku i bladocią twarzy. Nieszczęście rodziny stało wypisane na tej twarzy. Z zajęciem przyglądałem się modlącej. Uważałem że gdy wychodziła z kościoła, dziewczęta stroniły od niej, nawet żaden z parobków nie przysunął się, choć była dorodna i bogata.

— Dziwny ten wasz lud — rzekłem do księdza przyszedłszy do domu — za winy pradziada, które mi się i tak legendowe i nieprawdopodobne wydają, tak srodze karze prawniki.

— O kimże mówisz? — spytał mnie.

— O Hance Palikównie.

— A! Nieszczęśliwa to cała rodzina, nieszczęście jak chwast rozpleniło się w ich domu, poplątali się i zgubili wśród złego; tam zbrodnia rodzi zbrodnię, nieszczęście jest matką różnych nieszczęść. To też ludzie stronią od nich, nawet cnotliwe życie Hanki nie przyciągnęło do niej nikogo,

nie starło straszego piętna z jęj czoła. Litują się, ale stronią od nięj. Lud mówi, że i ją czeka nieszczęście, to jest przekleństwo.

— Za winy pradziada?— spytałem z gorzką ironią.

— Nie, za winę ojca. Ty nie słyszałeś o tém? Posłuchaj!

Było to w pierwszych miesiącach mojego tutaj przybycia. Przywędrowała wtedy z Węgier cygańska banda. Nadsięgnęła do wsi, wśród szczekania psów i zbiegowiska ludzi. Ale, że u nas nie bogato, nie zabawili długo i powędrowali ku Krakowowi. Zostawili tylko chorego cygana, który nie mógł już wlec się za bandą. Została przy nim stara cyganka, podobno matka jego, żółta, pomarszczona i mały kędzierzawy chłopak, może syn jego. Stara dymiąc ustawicznie z krótkiej fajeczki doglądała chorego i pomagała mu po swojemu, t. j. donosząc mu co chwila wódkę z karczmy. Małe cyganiątko latało koło moczarów bawiąc się różnie, lub żebrząc po wsi.

Zdarzyło się nieszczęśliwym przypadkiem, że łąka na której zaniemógł cygan, należała do Marcina Palika i była opodal jego chaty. Marcin nie cierpiał ludzi; odraza, jaką ludzie mieli do jego rodziny, zrobiła go złym i ponurym; nieszczęście matki, która była pośmiewiskiem całej wsi gryzło go i martwiło. Stronił od ludzi tak, jak i oni od niego stronili i nigdy żaden z sąsiadów nie zbliżał się do chaty jego. Kiedy teraz dowiedział się, że jakiś cygan pełen szkaradnych wrzodów leży na jego łące, zawrzał gniewem, zdawało mu się to strasznem urągowaniem, że jego pole omijane przez ludzi, tylko zdychającym cyganom za gościnę służyć może, wybiegł więc z chaty, chwycił cygana i rzucił z łąki do rowu i kopnął pono nogą. Trzeba było słyszeć wtedy, jaki wrzask zrobiła stara cyganicha, jak za ten uieludzki uczynek wyrzucała przekleństwo po przekleństwie z oślinionych ust; jak chude, żyłaste jęj ręce ściśnięte w kulkę trzęsły się i odgrażały Marciniowi. Zatkanął uszy i uciekał do chaty, chroniąc się przed złorzeczeniem cyganki. W progę usłyszał jeszcze jęj słowa:

— Bodaj ty jak pies skonał.

Lud nasz jest przesądny, wierzy w czarowną potęgę cyganów, szczególnieji w ich groźby i przekleństwa; to tęż

i Marcin wróciwszy, uczuł niepokój i wyrzuty sumienia. Widział, że źle zrobił i myślał, jakby to naprawić, jakby cofnąć z nad swojej głowy przekleństwa cyganki, które go straszły. Wyszedł więc przed wieczorem do cyganki i kryjąc wstyd pod opryskliwość, odezwał się:

— No, i długo wy tu tak leżać będziecie?

— I cóż, może ci i tu zawadzamy psi synu; bodaj i ciebie....

— Cicho babo, nie kluj, tém nie nie wskórasz; chcesz, to zaprzęgnę do wózka i zawiozę ci twego syna do szpitala; tam mu będzie lepij, bo będzie miał jakie takie opatrzenie i wygodę.

Cyganicha rozśmiała się złośliwie i wyszczerzyła żółty ząb jedyny, jaki jej został.

— Ha, jaki ty mądry, boisz się, by ci nie przyszło grzebać cygańskiego trupa.

Marcin nie czekając na przyzwolenie, poszedł i zaprzęgnął. Z trudnością wsadził z pomocą staruchy cygana na wóz, cyganicha siadła w głowach chorego, a małe kędzierzawe cyganiatko biegło za wozem. Ludzie we wsi złośliwie przypatrywali się temu, śmiali się, że Marcin furmani cyganom. Marcin czerwienił się, złościł i wstydził, ale cofnąć się już nie było podobna, bo jak tu pozbyć się z wozu cygana.

Za wsią cygan oprzytomniał nieco, obejrzał się, co się z nim stało i spytał matki, gdzie go wiozą.

— Do miasta, do szpitala.

— U, nie chcę, nie chcę—odezwał się przeciągle grubym głosem—duszno tam, ciasno, ja tam umrę. Do lasu, do lasu, matko.

Cyganicha chciała go przekonać i uspokoić. Cygan się rzucał, chcąc się podnieść, wyjść, ale niemoc go więziła. Wreszcie zebrał ostatek sił, podrzucił się całym cielskiem w górę tak, iż wypadł z wozu i stoczył się w rów przy drodze. Marcin rad był temu w duszy, druga wieś bowiem była blisko, a tam znowu czekałyby go szyderstwa i śmiechy ludzi; skoro więc cygan stoczył się z wozu, on nawrócił szybko, zaklął i wrócił pędem do wsi. Choć wóz turkotał mocno po kamienistej drodze, przecież Marcin słyszał dobrze, jak cyganicha za nim wołała:

— Bodaj ty jak pies zginał!

Po wsi wnet rozeszła się wieść o przekleństwie cyganki; ludzie ślepą wiarę w to położyli i dlatego za nic w świecie nie namówiłbyś żadnego parobka we wsi, by przez żeniaczkę wszedł w tę rodzinę.

Opowiadanie księdza jak i ojca jego, wzbudziło we mnie zajęcie i współczucie dla tej rodziny, którą jakieś fatum podawało nieszczęściom z rąk do rąk; żal mi było szczególnie Hanki, tyle cierpiącej nie za swoją winę, a znoszącej to wszystko z jakimś rezygnacyjnym spokojem i posagową obojętnością. Chciałem bliżej poznać tę nową rodzinę Atrydów, wyższą nad resztę ludzi w siole, wielkością zbrodni i nieszczęścia, i tego samego dnia poszedłem w stronę ich mieszkania.

Marcin siedział opodal od chaty pod śliwami; kiedy widział mnie zbliżającego się wprost ku niemu, wstał i chciał wejść do chaty. Zatrzymałem go powitaniem;

— Niech będzie Chrystus pochwalony.

— Na wieki.

— Gospodarzu, nie dostałby u was mleka?

— Nie, nie dostanie.

Potem zawahał się i dodał: ha, może: czekajcie. Hanka!—zawołał.

Dziewczyna wyszła z chaty, poznała mnie i skinęła głową na powitanie uśmiechnąwszy się, choć uśmiech ten był smutny i jakby wymuszony.

— Dostanie mleka?—spytałem.

— Je! a czemużby nie i poszła do chaty. A ja tymczasem zagadnąłem ojca i rozpytując się o to i owo zdołałem rozgadać starego. Kiedy Hanka wyniosła mleko, my już na dobre rozmawiali, siedząc pod śliwami. Wyczytałem w oczach dziewczyny, jak mi była wdzięczną za ojca. Gdy chciałem jej płacić cofnęła się i rzekła:

— A tożby nam jeszcze należało wam podziękować, żeście naszym domem... Nie skończyła, bo ojciec spojrział na nią surowo, wrócił do chaty, a my gwarzyli dalej. Marciu mówił o córce, z rozmowy widziałem, że pod tą szorstką i ponurą powłoką, było serce czułe, jeno, że kątane od ludzi skurczyło się i schowało jak ślimak w skorupę. Już dobrze się zmierzchno na polu, kiedy od strony wsi przyleciała

waryatka; musiano ją rozdrażnić, bo się rzucała gwałtownie i miała więcej dzikości w twarzy. Przeleciała koło nas i wpadła do chaty. Za chwilę dał się słyszeć gwałtowny krzyk Hanki:

— Ratujcie, ratujcie, na miłość Boską ratujcie, bo zdusi!

Chciała widać więcej krzyczeć, ale głos nie mógł już przejść przez ścieśnione gardło. Marcin się zerwał i wbiegłszy do izby. Przy blasku ognia, co płonął na kominie ujrzelśmy, jak stara waryatka chudemi rękami ścisnęła gardło dziewczyny, która już posiniała na twarzy. Nie było co się namyślać. Marcin rzucił się między nie i począł się szamotać z matką, która w napadzie szaleństwa miała niezwykłą siłę. Wreszcie udało mu się odczepić ręce stariej od szyi córki, szarpnął ją i odrzucił z siłą na bok. Niestety chciało, że waryatka potoczywszy się, uderzyła skrouią o krawędź skrzyni, jęknęła raz tylko i nie ruszyła się więcej. Przybiegłem do niej z ratunkiem, ale napróżno. Okropną była ta scena, oświecona krwawym ogniem. Trup waryatki, Hanka zemdlona na ziemi, a wśród nich góral osłupiały, przerażony, z rękami podniesionymi do góry, które mu zesztyniały od zgrozy. Ja sam przez chwilę byłem jak przykuty do miejsca tragicznością téj chwili. Wreszcie upamiętałem się, ocuciłem Hanke i wyprowadziłem ją na pole; potem wróciłem do Marcina i wziąłem go za rękę. Szedł za mną, jak dziecko bez oporu; radziłem mu usiąść, usiadł, ale nie mówił nic i w sztywnych oczach wciąż malowało się przerażenie. Hanka rzuciła mu się na kolana i zanosiła się od płaczu. Ten płacz zrywający piersi, poruszył starego, westchnął ciężko i rzekł cicho, smutnie:

— Ha! darmo!

Późno w noc wróciłem do domu i opowiedziałem księdzu straszny wypadek; dano znać do powiatu, zjechała komisya na śledztwo, ja jako obecny przy całym zdarzeniu stawałem na świadka i opowiadałem wszystko, bo od Marcina trudno było słowo jakie wydostać. Stał jeszcze bardziej milczący i ponury; sam wyciosał trumnę dla matki. Nie wiem czy znacie kształt trumien góralskich? Jest to poprostu podłużna, prostokątna paka, na której w głowach czarny lub czerwony krzyż malowany. W taką trumnę wło-

żono ciało. Na pogrzebie było ludzi niewiele. Hanka płakała głośno, Marcin milczący, spokojny szedł za trumną. Niebo było pochmurne a powietrze parne. Na pagórku cmentarza pochowano ciało starłej waryatki.

W kilka dni potem wyjechałem do Krakowa.

Następnego roku wypadło mi znowu być w tamtych stronach. Nie omieszkałem zapytać się księdza o Marcina i jego córkę.

— O weselój, teraz w ich chacie — rzekł — szczęście zdarzało do niej, jak promień słoneczny przez szczelinę. Straszny wypadek ze starą waryatką choć chwilowo bardziej odstręczył ludzi od tej rodziny, potem ich zbliżył, bo wszyscy są tego przekonania, że z tą katastrofą spełniło się przekleństwo cyganki. Stary Marcin rozruszał się i rozpogodził trochę, nawet powiem ci więcej, Hanka idzie za mąż: już wyszły pierwsze zapowiedzi.

— I za kogóż?

— Za leśnego porębskich lasów. Przystojny chłopiec i dzielny strzelec. Jest to wychowaniec naszego dziedzica i ulubieniec jego. Był on na obsługach u niego na Podolu a teraz go tutaj przeniósł do lasów, bo chłopiec namiętnie lubi lasy i strzelbę. W kilka miesięcy po objęciu tutaj służby poznał się z Hanką i nie uważając na ludzkie gadania, oświadczył się o nią. Zdziwisz się niemało, gdy ci powiem, kto on jest. Gdy przyszło do zapowiedzi, pokazała się trudność z wyszukaniem metryki. Napisałiśmy więc do dziedzica na Podolu o miejsce urodzenia i inne szczegóły dotyczące się chłopca, i wyobraź sobie moje zadziwienie, kiedy dostałem list, w którym..... Poczekaj, mam go gdzieś między mojami papierami; masz: czytaj.

Wziąłem list, który był w tych słowach:

Kochany Księżę dobrodzieju!

„O miejscu urodzenia Stacha Znaima nic pewnego donieść nie mogę. Wracając raz od was tu na Podole spotkałem na drodze do Krakowa małe cyganiątko o kędzierzawych włosach, które z krzykiem leciało za mną prosząc

o coś. Sądziłem, że chce jałmużny i rzuciłem mu ją. Ale kiedy chłopak nie przestawał krzyżeć i biedz za mną, kazałem zatrzymać konie, i zaczekałem na niego. Łamanym cygańskim językiem wytłumaczył mi mały, że jego matka czy babka zasnęła, i mówić nie chce do niego, choć ją woła i trzęsie nią i pokazywał mi ręką odległy budynek. Poszedłem za nim ku ruderze, która pustką stała po spaleniu. Tam wśród gruzu i chwastu zobaczyłem starą, paskudną cygankę, nieżywą. Próżno było ją cucić, bo o ile poznać można było, stara już od paru dni nie żyła, a chłopiec siedział przy trupie nie mogąc pojąć śmierci i biorąc ją za sen mocny. Kazałem więc trupa w poblizkiej wiosce pochować, a dziecko wziąłem ze sobą. Polubiłem potem tego chłopca, był pilny, przywiązany i sprytny, a że niezbyt na cygana wyglądał, zatarłem przed ludźmi jego pochodzenie, by go nie narażać na uszczypliwe docinki czeladzi.

„W takim stanie rzeczy trudność a raczej niepodobieństwo jest odszukać jego metrykę; obejdz więc kochany księżę tę formalność i nie stawiaj mu przeszkody w małżeństwie, bo jak słyszę, chłopak się nie na żarty zakochał w waszych stronach. Wolałbym żeby go która rusinka za serce chwyciła, ale darmo. Takie widać przeznaczenie. Pobłogosław im więc księżę, a odemnie przyjmij wyrazy szacunku” i t. d.

— No, domyślasz się teraz, kto jest ów Stach?—spytał mnie ksiądz po przeczytaniu listu.

— Miałżeby być synem owego cygana....

— Najprawdopodobniej, wszystko się zgadza z moim dymysłem.

Właśnie w kilka dni po odejściu cyganów, dziedzic wracał do dóbr swoich na Podole, jest więc wszelkie prawdopodobieństwo, że stara cyganka oddzieliwszy się od bandy z powodu choroby syna, tułała się po jego śmierci w tej okolicy, że potem sama wskutek starości umarła, a Opatrzność zesłała jój wnukowi opiekuna. Tobie tylko jednemu zwierzam się z tym dymysłem, oni nie powinni wiedzieć, jakie tajemnice ich łączą. Widocznie tak zapisane było w księdze przeznaczeń, aby ci młodzi swoją miłością zatarli winy ojców.

— Dziwnie misterna płatanina przeznaczeń—rzekłem i zadumałem się nad losami narzeczonej pary; pragnąłem ją co rychło zobaczyć. Drugiego więc dnia wybrałem się zaraz do chaty Marcina.

Zastałem górala z przyszłym zięciem siedzących przed domem i rozmawiających.

— Nie poznajecie mnie?—spytałem widząc że Marcin pytająco patrzył się na mnie.

Wahał się co odpowiedzieć.

— Łońskiego roku byłem w tych stronach.

— A, to wy panie; tak krótko widziałem was wtedy i w tak smutnej chwili. Ale teraz Bóg nas pocieszył, weselęj nam tu teraz. Siadajcie panie, nie znudzicie się teraz tak jak dawniej. Stach mi tu dziwy opowiada o tej Rusi.

Marcin mówiąc to, miał twarz ożywioną, rozpogodzoną i z przyjemnością zatrzymywał wzrok na Stachu. Spojrzałem i ja uważniej. Znalazłem chłopaka wcale przystojnym, młokos był jeszcze i bez zarostu, ale czarne oczy ożywiały twarz smagłąwą i spaloną słońcem. Ruchy jego zdradzały krew gorącą, wschodnią, przynajmniej tak mi się zdawało, który znałem tajemnicę jego urodzenia. Niezadługo wyszła z chaty Hanka. Gdy mnie zobaczyła, poczerwieniła i spojrzała ukradkiem na Stacha. Slicznie było tej bladłej dziewczynie z rumieńcem, ten rumieniec dawał znak o jej życiu; przedtem wydawała mi się jak lunatyczka z martwą twarzą, smutek jej i spokój miały coś okropnego, demonicznego w sobie. Teraz szczęście i uczucie rozgrzało ją i roztopiło te lody, w których spała dusza zaklęta. Siadła obok ojca i słuchała opowiadań Stacha, który żywo im opowiadał o zabawach ludu ruskiego.

— Toś tam musiał się weselić nie mało?—spytał Marcin.

— Nie, wiecie co, że nie. Trudno mi było przywyknąć do ludzi i ziemi.

— A toś przecie z tamtych stron.

— Tak mówią.

— Bo widzi pan on sierota, tłumaczył mi Marcin; nie ma ani ojca, ani matki: ot tak sam.

— Nie uwierzycie mi może, gdy wam powiem, że mi wasze góry wciąż na myśli stały, że cknęło mi się bez nich. Nie wiem z kąd i czemu, a przecież gdym tu przyjechał, to mi się zdawało, że do domu wracam, i zdawało mi się żem kiedyś, gdzieś widział już te strony: nie były mi wcale obce.

— A to dziwy, rzekł stary, to może i ona nie była ci obcą.

— Ej co też tatuś nie gadają—rzekła zapłomieniona Hanka i zakryła się fartuchem, przed oczami patrzących. Cygana oczy tryskały ogniem, gdy patrzyły na nią. A przytém miały w sobie coś rzewnego i tęsknego.

Szcześnie było wśród tych ludzi, czułem się zbyt celnym, zawadzać im musiałem. To też nie bawiąc długo, pożegnałem ich i wróciłem do domu. Odchodząc upominałem żartem Hankę, by nie zapomniała prosić mnie na wesele.

Nie upłynęło może pięć dni od tego wieczora, gdy raz siedząc przy oknie zobaczyłem Hankę biegnącą szybko ku plebanii. Na twarzy jej malowało się jakieś gwałtowne wzruszenie, włosy miała bezładnie rozrzucone. Gwałtownie zabiło mi serce, przeczuwałem jakieś nieszczęście. Nagle drzwi się otwarły, góralka wpadła do pokoju zdyszana i rzucając się do kolan księdza, zawołała:

— Ratujcie, tatusia mojego pies wściekły pokąsał.

Ksiądz, który był potrochu lekarzem, dobył szybko lekarstwa z szafy i pobiegliśmy za Hanką. W ciemnej izbie siedział Marcin zakrwawiony, nikogo nie było u niego, bo ludzie złęknieni uciekli. Ksiądz czempredzej dobył kamienia piekielnego i wypalił ranę.

— I cóż?— spytałem po łacinie.

— Wątpię w skutek: wypalenie zapóźne.

— Więc umrze?

— Toby było najmniej, ale obawiam się skutków choroby. Trzeba dać znać do miasta.

— A gdyby go przywiązać?

— Nie, to byłoby okropne. Atak może czasem nastąpić w kilka dni, a onby się zawczasu musiał męczyć tą myślą. Toby było nieludzko. Słuchaj, ja jadę do miasta po doktora, by stanowczo dał zdanie, ty tymczasem staraj się nieznacznie oddalić z izby, i drzwi zaprzyj za sobą. To będzie bezpieczniej.

— Jedź więc i wracaj, rzekłem, a Hankę wyprowadź z chaty. Gdzież Stach? onby nam się przydał teraz.

— Stach w lasach poluje z rządcą.

Przez ten cały czas naszej rozmowy, która jak powiedziałem, odbywała się po łacinie, chory patrzył nam w oczy. Nie rozumiejąc słów, chciał z oczów wyczytać nam wyrok swego życia, lub śmierci; odejście księdza obudziło podejrzenie w jego duszy.

— Paniczu, zlitujcie się, powiedzcie mi prawdę!

— O czym? — spytałem udając, że nie wiem o co rzecz chodzi.

— Prawda, że nie ma ratunku? O! sprawdziło się przekleństwo cyganichy. Mój Boże, i to w takiej chwili, kiedy człowiek trochę odetchnął po nieszczęściu, kiedy poczęło mi już być dobrze.

Załamiał ręce, aż stawy zachrupotały i rzucił się na kółko.

Pocieszałem go jak mogłem, mówiłem, że znałem wielu ukąsanych od psa popsutego, a żyją zdrowi, że inna rzecz gdyby rany nie wypalono, ale teraz nie ma się czego obawiać. Nie przekonałem go jednak, i mało mnie słuchał nawet; on słuchał własnych myśli okropnych, rozpacznych, bo aż rękami zasłaniał oczy, by ich nie widzieć.

— Paniczu, paniczu, to będzie okropnie, kiedy przyjdzie na mnie ta zła chwila i ja będę latał po wsi, a ludzie chować się będą po chatach i rzucać na mnie kamieniami. Och Jezu! Jezu! Zginiesz jak pies: mówiła cyganicha, och!

Wzdrygnął się cały i skulił jak robak w kłębek.

— Kto w Boga wierzy, niech mnie zabije, żebym nie doczekał tej chwili. Paniczu, jeśli wy macie trochę litości, zabijcie, bo ja się boję tej chwili, latać po wsi, kąsać i być tłuczony kamieniami.

— Nie bądźcie dzieckiem Marcinie — perswadowałem — nie bluźnijcie. Toż ksiądz nie byłby was odstępował, gdyby widział że źle z wami.

To go trochę uspokoiło.

— Tak mówicie — spytał podnosząc się — że nie byłby mnie odstępował? Prawda, nie byłby tego zrobił. Ha, może też nie się nie stanie; dałby Bóg, jabym tak chciał żyć, patrzyć jeszcze czas jakiś na szczęście mego dziecka.

Tu począł rzewnie płakać; nagłe urwał i zamyślił się głęboko.

Korzystałem z tej przerwy, pod pozorem więc, że może będzie spał na chwilę, wydałem się z chaty i drzwi z cicha zaparłem za sobą. Przed domem stała Hanka oparta o ścianę, blada z dzikim zamyśleniem w oczach. Gdy mnie ujrzała wychodzącego, chciała wejść do chaty pilnować ojca. Z trudnością wstrzymałem ją perswadując, że ojciec chce spać, że usnął nawet, choć słyszałem od czasu do czasu jęczenie i konwulsyjne niecierpliwe rzucanie się po łóżku.

W takim oczekiwaniu upłynęła dobra godzina. Od strony wioski podniosła się kurzawa, dojrzałem bryczkę pędzącą, a w niej księdza z doktorem. Równocześnie z wnętrza chaty usłyszałem mocne uderzenie do drzwi, które się niebawem powtórzyło. Za chwilę usłyszałem brzęk upadających szyb i przez rozwalone okno wyleciał nieszczęśliwy Marcin, spieniony i dziki puścił się cwałem do wsi.

We wsi przy drodze bawiło się kilkoro dzieci, obok nich siedziały dwie góralki z szyciem białem, zapewne matki. Na tą gromadkę prosto leciał wściekły człowiek.

— Uciekajcie—zawołałem co sił stało i ksiądz to samo powtórzył, ale trudno było zebrać spłoszone i strwożone dzieci, trudniej jeszcze uciekać: powstał więc lament i zamieszanie. Chłopi z drągami lecieli od wsi na pomoc. Wtém na wzgórkę pokazał się Stach ze strzelbą.

— Wściekły — wściekły — wołali ludzie uciekając— strzelaj, strzelaj, bo to wściekły, ratujcie!

Stach zmierzył i strzelił, nie wiedząc do kogo. Strzał był dobry, wściekły człowiek zachwiał się i upadł na ziemię.

Reszty opisywać nie widzę potrzeby.

Zwarzeni i struci tém cośmy widzieli, wróciliśmy z księdzem na plebania, długi czas nie mogąc się zebrać na słowo. Wreszcie ksiądz odezwał się:

— Okropny wypadek; widziałeś z czyjjej ręki padł strzał?

— Stach strzelił.

— Syn cygana, którego Marcin kopnął nogą i dał mu skonać spokojnie na łące.

— Dziwne zrządzenie.

— I cóż się stanie teraz z młodą parą?

— Trudno, by córka szła za zabójcą ojca. Nie dam ślubu. Lepiej że dziewczyna zmarni się w panieństwie: na niej niech się skończą straszne nieszczęścia téj rodziny, nieszczęścia prawie nieprawdopodobne. Widocznie cały ten ród skazany był na zatracenie. Niech ona będzie ostatnią ofiarą.

W kilka lat później dowiedziałem się, że Hanka umarła na suchoć. Na jej grobie kazał ksiądz położyć piaskowy kamień z tym napisem:

Tu leży Anna Palikówna,
umarła w dwudziestym roku życia swego.
Życiem pełném zmartwień przebłagała niebo za winy ojców.
Pokój jej!



Dwa ustępy z niewydanego poematu Teofila Lenartowicza p. t.:

NIEMCY A CHROBACY.

KILKOMA UWAGAMI OBJAŚNIŁ

Adam Rządowski.

Pomiędzy szczepami, które od niepamiętnych czasów zamieszkują Europę, równie starym i równie dawno jak inne przybyłym, jest szczep słowiański. Dzisiejsza nauka kwestyą tę postawiła tak jasno, że już żadna w tym względzie nie zachodzi wątpliwość. Natomiast jednak dają się słyszeć skargi na smutne i złowrogie przeznaczenie, które kazało nam, Słowianom, wiecznie w stosunku pewnej niższości do innych ludów zostawać. Nie mamy atoli prawa skarżyć się, ani na fatum, ani na Opatrzność dziejową. Zamiłowanie w cichych zajęciach rolnych, brak silnej organizacyi państwowej, wieczna niezgoda plemienna—oto były przyczyny, które bitnym i praktycznym sąsiadom, przewagę nad nami dawały. Nie możemy mimo to twierdzić, żeby brak chęci zaborów, brak przedsięwziętych wypraw i tylko usilna obrona własnego ogniska—były śladami naszej działalności historycznej. Owszem, historia nam przedstawia wiele przeciwnych dowodów, a między innymi i objęcie przez Słowian ziem, stanowiących południowy brzeg Bałtyckiego morza, z kąd oni mieszkających tu Niemców wyparli. W V prawdopodobnie wieku, a może i wcześniej, z wspólnego wszystkich Słowian gniazda, z wielkiej Chrobacy, znaczna część ich przekroczyła Odrę i szerzyć się coraz bardziej ku zachodowi

zaczęła, opierając swe posady o dolną Elbę, a małe gromadki wysyłając do Batawii, Utrechtu, a nawet Brytanii. Ta gałąź Słowian, odstrzelona najbardziej od swego pnia rodzinnego, stała się jedną z głównych czat pogranicznych wielkiej słowiańskiej rodziny. Śmiertelna szczepowa nienawiść, do dziś dnia jeszcze rozróżniająca narody innego pochodzenia, o ileż silniejszą być musiała w czasach pierwotnych, kiedy walka o byt, o przewagę, o przyszłość historyczną, targła temi surowemi i wojowniczymi massami?

Słowianom w sąsiedztwie od zachodu dostali się Germanie. Walka stała się nieuchronną, a naturalnie wybuchnąc ona przedewszystkiem musiała na pogranicznych pasach—na punktach zetknięcia. Część Słowian, o której mówiliśmy co tylko, znana w historii pod jedną, ogólną, naukową, ale nie etnograficzną nazwą *Polabian* (od swoich siedlisk w okolicy rzeki Elby-Łaby) wystąpiła do krwawych zapasów. Przeciwno stałym dążeniom Germanów, przeciwko silnej organizacyi i ich wojowniczemu duchowi, nie postawili Słowianie jednolitości i zgody, nie sformowali się w jedno, pod silną władzą skoncentrowane państwo, ale owszem, podzieleni na nieskończone mnóstwo pojedynczych plemion, pałając zawiścią względem siebie, łącząc się tylko chwilowo dla wspólnej obrony, a nierzadko i zdradzając się nawzajem—wystąpili do walki o śmierć, lub życie. *Bodrycy* (Obotrycy), *Wilcy* (Lutycy, Weleci), *Ranie* (Rugianie, mieszkańcy wyspy Rugii-Rana), *Pomorzanie* i *Hawolanie* czyli *Stoderanie*—to tylko główniejsi przedstawiciele tego narodu; wszyscy oni dzielą się jeszcze na niezliczone mnóstwo pojedynczych plemion, z których każde działa na własną rękę. To też koniec tych krwawych zapasów łatwy do przewidzenia; Słowianie w XII już wieku wyginęli tutaj zupełnie. Ale od pierwszych ich utarczek z sąsiadującymi Sasami, Fryzami i Duńczykami, aż do podbojów *Gerona*, *Henryka Lwa* i *Alberta Niedźwiedzia*, upłynęła znaczna przestrzeń czasu. Pomimowoli więc pytamy: co ich tak długo utrzymywało przy życiu, co im siły w tej walce dawało? Przywiązanie do świętych tajemnic religii praocjów; groza potężnych *Swantewitów* i *Swarożyczów*; miłość domowego ogniska; ciemne gaje i kontyny bogów; mowa ich słowiańska; wreszcie obawa przed chrześcijańską łaciną i niemieczyzną, która

z mieczem w rękę, burząc ich ołtarze, zabierając rolę, skro-
pioną potem ojców, wyciskając ostatni grosz w nieskończo-
nych daninach, torowała sobie drogę;—oto słowa, rozwią-
zujące tę tragiczną, kilkowiekową zagadkę. Tylko te oko-
liczności wytłumaczą nam owe niezliczone powstania, jakie
ciągle podnosili Słowianie Połabscy, ilekroć oręż cesarów
doznał gdziekolwiek, choćby najmniejszego niepowodzenia.
Burzono wtedy chrześcijańskie świątynie, mordowano nie-
mieckich duchownych, wieszano lub duszono postanowionych
przez cesarów niemieckich zwierzchników i płomień wojny
rozszerzał się ze wschodu na zachód. Niepodobieństwo tutaj
wyliczać nieskończonej ilości takich wojen i powstań, tem bar-
dziej, że prawie zawsze podnosi je każde plemię z osobna,
a ani żadnego panującego monarchy, ani jakiegoś przewodni-
czącego narodu nie widzimy na czele; to też owa różnaitość
objawów wojowniczego ducha Słowian Połabskich zaprowa-
dziłaby nas zadaleko. Historya tego ludu nie da się sy-
stematycznie wyłożyć, jak historya jakiego zorganizowanego
państwa; jedyny bowiem raz tylko, pod przewodnictwem
potężnego *Kruka*, księcia Obotrytów (1066—1105 r.) łączą
się na pewien czas pojedyncze plemiona, przybierając pewien
pozór zorganizowanego państwa. Kruk, w skutek intryg
niemieckich, został zamordowanym przez wiarołomną żonę
Stawinę, i o jedności pomiędzy temi Słowianami niema już
odtąd mowy. I Karol Wielki, i Henryk Ptasznik, i Otto-
nowie umieli wyzyskiwać to rozdwojenie; to też w XIII
już wieku nikną w tych ziemiach ślady ludów słowiańskich,
a resztki ich ocalają się tylko na Pomorzu i na Łużycach.
Łużyczan obronił pośrednio Bolesław Chrobry, a bezpo-
średnio Czechy; Pomorzan apostolska missya Ottona z Bam-
berga, poparta orężem Krzywoustego. Jednym słowem i tych
i tamtych uratował chrześcjanizm, który jako jedna z naj-
większych powszechno-historycznych idei, dawał opiekę
i gwarantował całość tym, którzy go uznali, a druzgotali
wszystko, co mu tylko opór stawić się ośmieliło. Wyrwa-
łość Słowian połabskich i uparte ich przywiązanie do bał-
wochwalstwa, będące z początku głównym źródłem ich pa-
tryotyzmu, później stało się zgubą. Święci apostołowie: Ko-
lumban, Amand, Emmeram, Rupert, a później Adalward,

starali się tutaj zaszcześcić chrześcijaństwo, ale Połabianie przyjąć go od obcych nie chcieli. Inna rzecz, gdyby chrześcijaństwo ofiarowali im sami. Połabianie bowiem instynktem, właściwym pierwotnym narodom, rozumieli to dobrze, że przyjęcie chrztu grozi zagładą ich narodowości. Inni Słowianie, jak Czesi np. przyjmując wiarę Chrystusa z rąk Niemców, nie zostawiali pod klątwą tej strasznej przyszłości, bo oni, krusząc swoje pogańskie bałwany, mieli już zawiązki własnej organizacyi państwowej i ona to miała być dla nich deską zbawienia. Słowianie połabscy tego nie mieli, i dla nich jedyną podstawą, na której się ich narodowość opierała, była religia. To też najdłużej ze Słowian wytrwali w pogaństwie, najwięcej nam zostawili materiałów do odbudowania systematu religijnego naszych praociców, i w końcu, kiedy król duński Waldemar, wraz z biskupem Absalonem, zburzył ich ostatnią świątynię w Arkonie, w gruzach jej zagrzebała się i narodowość Połabian.

W każdym razie ich waleczność i męstwo, wytrwanie w obronie religii i kraju, a nawet ich niezgoda i rozdwojenie, ich dzikość i okrucieństwo w stosunku z Niemcami; wszystko to, osłonięte półcieniem zamierzchłej przeszłości, stanowi znakomity materiał dla poezyi. Olbrzymie posągi bogów, wysokie świątynie, powaga kapłanów i ojców rodziny, wieca gromadnie zebrane na polach, uczty i obiady, przekazane nam w pismach *Dytmara*, *Helmolda* i *Saksona Gramatyka*, gościnność i miłość rodzinna przyznawana im nawet przez Niemców (Ś. Bonifacy): wszystko to są przedmioty, jakichby napróżno szukał w narodzie, który już wstąpił w koło cywilizacyi i historycznej pewności.

Z tego bogatego źródła czerpała już nieraz nasza poezya i sztuka. Dosyć wymienić „Wieżę siedmiu wodzów” Zmorskiego, „Popiela i Piasta” Romanowskiego i „Trąby w Dnieprze” Siemieńskiego. W te także czasy przenosi nas obraz Gersona „Opłakane apostołstwo”, teraz zaś świeżo dotknął się tego przedmiotu tyle ceniony u nas poeta Lenartowicz. Wprawdzie nadesłane nam przez szanownego poetę dwa ustępy, mają więcej ogólne znaczenie, co zresztą i sam tytuł pokazuje. Pod imieniem Chrobotów obejmuje on wszystkich Słowian połabskich, dlatego na pozór zarzucićby nam można, że mówiąc tylko o Słowianach połabskich, nie wnikamy zupełnie w myśl poety. Prawda, że i Samo

i Świętopełk morawski i nasz Chrobry, i czeskie Przemysły walczą z Niemcami o idee narodowe; ale Słowianie połabscy są tutaj plemieniem typowém, bo u nich narodowość identyfikuje się z religią. Jakikolwiek więc artysta zechce odtworzyć kilka chwil z owego, dawno już minionego dramatu, sięgnąć musi koniecznie do Słowian połabskich, bo oni aż do czasów powszechnie znanych, wytrwali w pogańskich ideach—ostatni akt krwawej ich tragedyi, odgrywał się już w obliczu historyi.

Ich miał przed oczyma także i nasz poeta, a częste wzmianki o Wilkach i Obotrytach dowodzą tego wymownie.

Bóg chrześcijański, ów potężny, jedyny władca i stwórciel wszystkiego, niepojęty, niezmierny, a jednak wszędy obecny, nie może się przedstawiać jako przedmiot poezyi. Jego można uwielbiać, słać, całą moc liryzmu zwrócić ku niemu, ale przedstawić Go w kształtach zmysłowych, zrobić aktorem epicznej lub dramatycznej poezyi, niepodobna, że użyję religijnego terminu, niegodzi się. Byłby to antropomorfizm, któremu z zasady sprzeczne jest chrześcijańskie pojęcie Boga. Ale gdzie bóstwo nie jest niczém więcej, jak tylko doskonalszym człowiekiem, gdzie przypisują jemu właściwe tylko ludziom namiętności, gdzie bogi mieszają się w czynności ludzkie, nietylko dla ujęcia w swoje ręce opieki i rządu, ale i dla własnych interesów,—tam dla poety bogate żniwo, bo tam każdy krok ludzkości, każda czynność, zdarzenie, będzie nosiło na sobie cechę cudowności, spowodowanej udziałem wyższej potęgi. A cóż dopiero kiedy dodamy jeszcze, że poeta w takich okolicznościach wolny jest od śledczego oka krytyki historycznej? Kiedy przedmiotem poezyi jest jaki fakt znany dokładnie, wtedy pomimo znanj powszechnie zasady, że poezya nie powinna się zbyt krępować rzeczywistością, pomimo tego, mówię, mimowolnie pochodnią historyi rozświecamy lica bohaterów przeszłości i zapytujemy o ile tóż oni są prawdziwi. Gdzie historia nie dotrze zupełnie, a przedstawia tylko możliwe swoje kombinacye, ztamtąd, jeżeli zabrzmi głos wieszcz, to go bez wahania przyjmujemy za prawdę, bo wierzymy, że tam gdzie nie zdoła zajrzeć śledcze oko badacza, doleci orli głos wieszcz. W takich tylko okolicznościach i w takich warunkach powstawały wszystkie epepeje. Atoli poeta dzisiejszy, jakkolwiek utalentowany i natchniony, jest

przecież człowiekiem, wychowanym wśród swego społeczeństwa, więc trudno mu bezwarunkowo utrzymać się na stanowisku téj prostoty, cudowności i wiary, jaką w epopei ma wyśpiewać, i dlatego to epopeje rzeczywiste wytwarza cały naród, a nigdy pojedynczy człowiek. W roku, zdaje się zeszyłem, starałem się w tém samym piśmie wyłożyć na podstawie pracy Steinthala warunki, w jakich epopeja powstaje; nie będę więc tutaj tego powtarzał i zrobię tylko uwagę, że epickiego utworu współczesnego poety nie można porównywać do arcydzieł tego rodzaju, jak np. Iliada lub Nibelungi, bo to zupełnie rzecz inna.

Religia starożytnych Słowian zapewne mniej była usystematyzowana i skończona, aniżeli np. religia Greków; bogowie ich byli surowi i srożsi, ale mimo to i ona przedstawia wiele pierwiastku epicznego. Ów Bielboh, walczący z Czernobohem o lepsze, potężny Swantewit, biorący udział w ludzkich uctach, Pochwist, kierujący wiatrami, upiory i topielce, utrzymujący związek ludzi ze światem zaziemskim, rzeki i lasy, zaludnione przez tajemnicze istoty: wszystko to otaczało Słowianina cudownością i robiło każdy krok jego zależnym od woli wyższej. Właśnie warunki, w jakich powstaje epopeja; o ile zaś poezya nasza wyzyskała to źródło narodowego natchnienia, nie tu miejsce odpowiadać, i dosyć tylko wskazać na: „Sąd Libuszy”, „Krółodworski rękopism” i „Słowo o pułku Igora”. To są wzory dla każdego, kto z tęsknotą artysty i z łonem brzemieniem ideałem, podnosi zasłonę zamierzchłej przeszłości. Teofil Lenartowicz, czerpiący dotychczasowe swe natchnienie w pojęciach, obyczajach i prostocie naszego ludu, potrzebował krok tylko zrobić, aby zrozumieć całe poetyczne znaczenie naszej pierwotnej historii. Krok ten zrobiony, i dzisiaj, z prawdziwym poklaskiem radości witamy nowe usiłowania jego. Podane tu niżej dwa ustępy są urywkami z wielkiego poematu, mającego wyśpiewać narodową i religijną walkę naszych praojców; obyśmy się niedługo mogli doczekać i reszty!

Wzory, o których mówiliśmy, widocznie służyły poecie za główną wskazówkę, a pod ich kierunkiem godnie odpowiedział swemu zadaniu. Spokój i prostota, właściwe epicznemu opowiadaniu, widoczne są tu na każdym kroku. Łączność z naturą, jój wpływ na losy człowieka, gdzienie-

gdzie poetycznie odtworzone rysy z religii Słowian, przeplatane lirycznymi uniesieniami poety, objawiającemi się w ostrych końcówkach męzkich rymów, składają całość wielkiej wartości. Jedyłą wadą jest to, że liryzm ten występuje za często, i dlatego też podług naszego zdania ustęp pierwszy, będący treści wyłącznie opisowej, jest bez porównania wyższy. Ale z drugiej strony powołujemy się na to, cośmy wyżej powiedzieli, że wszelkie podobne utwory pojedynczego poety, muszą na sobie nosić cechę jego indywidualności, i nigdy nie odpowiedzą zupełnie właściwej, przed-historycznej epopei. Język szorstki i twardy, a mimo to w piękną zlewający się harmonią, warczy jak wytężona struna napiętego łuku Lutyka, brzmi jak ciężki oszczep, spadający na hełmy niemieokie, szumi jak las Swiatowida, to znów żałośnie kwili i świegoce jak głos jaskółki, ukrytej pod słomianą Słowianina strzechą.

Rzeczywiście w naszym chyba tylko, szorstkim, ostrym i twardym, a mimo to dźwięcznym i melodyjnym języku, podobne utwory pięknie wyglądać mogą. Ale dość tego, po co exegeza tam, gdzie sam poeta za siebie przemawia; słuchajcie więc jego, ja tylko zastrzegam sobie jeszcze pojedyncze objaśnienia do miejsc, któreby inaczej niezrozumiałemi być mogły.

I.

Dawnemi czasy—bardzo dawnemi,
 Ciemnymi lasy—bardzo ciemnymi,
 Wonnemi łągi—czystymi smugi.
 Rwały potoki, ciągnęły strugi;
 A na jeziora, na łąki błotne,
 X Szumiały skrzydła ptastwa przelotne,
 Kiedy wiosnowy deszcz ziemię splucze,
 W górze jęczały żórawi klucze.
 Baccian, by żagle sterował piórem,
 Tam dzikie gęsi, ciągnęły sznurem;
 Jaskółka wiośnie ciesząc się młodej,
 Wylatywała z pod chłodnej wody.
 One drzemliki, czerwonoookie,
 Opisywały koła szerokie.
 Jastrzęby, wreszcie orłowie dzicy, ? co robi
 Odyniec w wonnej tarł się żywicy,

A pod lasami—na trawie młodej,
 Na łąkach past się tur gestobrody.
 Jeleń krzaczysty i duże łosie, — ? w robili —
 Zajączek w chrustach kicał po rosie.
 Gdzie spojrzysz szczęście—wesele—cud, } obaw nieszczęśliwie
 Od lip kwitnących zawoniał miód. } spóźniony.
 Krzyku w bugaju (1) ptastwo tam mieszka,
 Na każdą wiosnę toż to ucieszka.
 Gdy one gniazdka poczną układać,
 Gdy one młode poczną wysiadać....

Słoneczko świeci nad czystym polem,
 Skowronek wzlata nad jarzmem wołem,
 I wszystko było jakieśi nowe,
 Albo dziecińskie, albo ojcowe.

Od białych Karpat po Czarne morze,
 Siedział Chrobata, boże, nieboże.
 Gęśl podzwaniała w cichy poranek,
 I głos pastuszych leciał śpiewanek.
 I tylko płakał, mocząc chwost ony
 Cieśla—bóbr wodny, zwierz niezgoniony.
 I pod szczęśliwą zrodzony gwiazdą,
 Snuł człek swą pracę jak remiz gniazdo.
 Łuczywem świecił w wieczory ciemne
 I bożki one czeił nieforemne....

Pod dobrych bogów czułą ochroną,
 Co gorsze zawdy leciało stroną.
 I Mazur czysty nur ziemorodny,
 Spokojnie patrzył na świat pogodny,
 I wołki wodził i kołki grodził,
 Z braćmi się kochał, z biedą się godził.

Rzemiosł nie brakło i w owe czasy:
 Krasne wełniane noszono pasy,
 Z dalekiej łąki, z głuchej doliny,
 Wciąż terkotały krzykliwe młyny;
 Kołodziej z lipy wycinał koły,
 Smolarz po lasach wypalał smoły.
 A garncarz śmiał się z onej przyczyny,
 Ze też potrzebny i statek z gliny,
 Czyto na strawę dla ludzkiej siły,
 Czy na spaloną kość do mogiły.

(1) *Bugaj*, u Słowian oznaczał ten wyraz tajemnicze miejsce w gaju, gdzie mieszkali bogowie. Dziś pod tym wyrazem rozumie lud jakąś tajemniczą okolicę, która tylko odlatującym ptakom jest znana. Pojęcie to zastępują często drugiem, niemniej starożytnym słowem *wyray*, może wykazującym nam dawne pochodzenie za starożytniej *Argi*, kraju podług pojęcia ludów Indo-europejskich, pełnego szczęśliwości.

I wszyscy bracia siedzieli społem. *Co to znaczy?*

Młot na kowadło brzęczał za siołem,
 I było błogo pod bogów strażą!
 Piwa naczynią, miodu nawarzą
 I róg napetnią i z pełnym rogiem
 Przed bożym progiem, przed samym bogiem,
 Staną, przypadną z miodem, z kołaczem,
 Uraczą bogi sercem prostaczym.
 I ptaku dadzą—i bogu dadzą,
 I ludziom radzą—i sobie radzą.

Koń Światowida (2) wypasa błonia,
 Boć i Światowid dosiada konia.
 Jakoż inaczej mógłby świat mierzyć?
 Ni mu też pieszko przystało bieżyć.
 A nie jednego—sto białych koni,
 O srebrnych uzdach po łąkach goni,
 A grzywy srebrne, złote ogony.
 Niemi bóg lata na świata strony,
 Na czarne morze, błękitne Tatry,
 Na konie siada—na cztery wiatry.

Po błotach olchy, zielone kępy,
 Nad one grzązła, na dnie dostępy,
 Po drogach wierzby, uciechy biesie,
 Po tykach listek chmielowy pnie się,
 Lipy na chatę biały kwiat pruszą,
 Pszczoły od lipy miodu ukuszą.

Na las sosnowy, na las iglasty,
 Dzbanki kozubki niosą niewiasty.
 Sosnowa puszcza daleka, głucha,
 Toż się tam wabią uha! a uha!
 A tu paproci do pasa wieszczęj (3),
 A tu się wonna lilia niebieszczy.

(2) Światowid, właściwie Swantewit, najwyższy władca ziemi i pan wszystkich bogów, czczony głównie przez Rugijan, u których w Arkonie na wyspie Rugii, miał wspaniałą świątynię; u Lutyków i Ratarów odpowiada jemu Siarozyc (Zwarazici) zwany przez Helmolda i Adama Bre-meńskiego Radegast (Radigast, Redigast), mający swą świątynię w Retrze. (Szczegóły o tym, porozrzucane w Rocznikach Helmolda., Adama Br. Saksona Gr., Ditmara i Brunona). Swantewitowi poświęcone były białe konie, utrzymywane w górach otaczających Arkonę. Poeta tutaj jako naczelnego boga, robi go także bardzo słusznie władcą wiatrów, jakkolwiek był to wyłączny wydział Pochwista.

(3) Paproć u Słowian uważaną była za świętą roślinę, czego ślad dotychczasowy przechował się u naszego ludu, który nadaje kwiatowi papro-

A tu grzyb miły, dębczak rozsadny,
 Bedłek zielony i kurek ładny;
 A jagód leśnych, brusznic, poziomek!
 Cieszy się na to wieśniaczy domek.

Kumkają żaby w dobrane głosy,
 Czy to w południe, czy na porosy.
 Łąka rozprawia, woda rozprawia,
 Cieszą się żaby z śmierci zórawia.
 A tu nad głowy ogromnym łanem,
 Powietrze świętém przewiewa sianem;
 A tu szum w górze, gdzie na pokosy,
 Nad głowy pełne szeleszczą kłosy:
 Istny las zboża, pszenicy złotéj!
 Ludzkie zaloty, ptasie zaloty.

Taki to świat był onych tam czasów,
 Gdy jeszcze ziemia nie wyszła z lasów
 A po dawnemu zwała się Lesią.
 Alić się na raz biesy rozbiesią:
 Jak pójdą lasem, wycięli w mig.
 Poszumiał wierzchem jastrzębi (4) krzyk
 I kraj się zmienił, wyrzała rola,
 I odtąd zwie się krainą od pola.
 Lecz to już nie ta, inny był czas
 Gdy nad głowami poszumiał las,
 Dzieci nam niańczył zielony stryj (5)
 A teraz w polu z wichrem się bij.

Nie ma tych dębów, gdzie spojrzysz kędy,
 Co wstrzymywały wichrów zapędy;
 Nie ma tych sosen pod niebem tam.
 To i któż hucznie zaśpiewa nam?
 Nie ma przytułku dla kruków, wron,
 Nie ma odgłosu dla złotych stron,
 Kiedy się дума urodzi w głowie,
 Tęsknemu sercu nikt nie odpowie,

ci moc wszystkowiedzy. Znane są w tym względzie wszystkim rozmaite podania. Paproć ma kwitnąć o godzinie 12 w nocy z dnia 23 na 24 czerwca, w święto u słowiańskiego *Kupały*, na cześć którego w wielu miejscach naszego kraju palą dotychczas *Sobótki*, *Kupalnice*.

(4) Jastrząb równie jak jaskółka, zóraw, kruk, puszczyk i sowa uważane były u Słowian za ptaki wieszczce i święte.

(5) *Zielony Stryj* u naszego ludu znaczy to samo, co *las*. Kiedy wiosna przychodzi i lasy zielenić się poczynają, lud nasz poetycznie się wyraża: „*już stryj brodę rozwinął*”.

Hej serceż moje, nie nurz się w żalach!
 Życie przemija jak łódź po falach;
 Jeśli przemija niechże po sobie
 Niby rozehodnik na świeżym grobie
 Pieśń pozostawi w pogodnym lecie,
 Co się rozwinie, serca oplecie,
 I w późne czasy powieść poniesie
 Echo, niknące w dalekim lesie!

II

Gdy na granicach wojna rozgorze,
 Zapłoną wici w chrobackim borze:
 Z wzgórza do wzgórza w dalekie strony
 Górą stuletnie sosny, jesiony (6).
 Wśród nocy głuchej, w górę to w dół
 Dym się po drzewach w krąg będzie snuł;
 Przez dymy grube konary cńmawe,
 Ogień by słońce zaświeci krwawe.
 Na trzask gałęzi jastrzębi krzyk,
 Czarny pod sosną budzi się dzik,
 Staje, najeża żywiczną sierć,
 Tam wilk zaczuwa walczących śmierć
 I leci paszczę kładąc na wiatr;
 Tam orły świszczą od śnieżnych Tatr,
 A zadymioną wśród nocy błoń,
 Wichrem przebiega Tatosza (7) koń.
 Sosnowe czołą w powiciu z chimur
 Płomieniem kraszą zamglony bór.
 Na wojnę krwawą płoną w krąg wici,
 Hej! wy Luty, hej! Ohotryci!
 Wilcy w puszczone zapadli dzicze,
 Nury, Drewlanie i Radymicze
 Daléj za wicią na skalny gród.

(6) Na znak rozpoczętej wojny, Słowianie połabscy zapalali olbrzymie puszcze, wzywając tém inne plemiona do powstania.

(7) *Tatosza kon.* Tatosz, koń znany w podaniach słowaków i górali karpaccich. Był on maści karéj, chudy i niepozorny, ale posiadał rozmaite zalety. Mógł przemienić się w orła, skakać z jednej góry na drugą i przemawiać ludzkim głosem. Podobnego konia, nazwiskiem *Szarac* ma królewicz Marko w podaniach serbskich. Koń taki znany jest także u Czechów pod nazwiskiem *Szentik*. Niektóre podania przedstawiają Tatosza jako Centaura, konia mającego piersi, ręce i głowę ludzką, inne zaś wprost Tatosza uważają za bohatera wojownika, mającego konia, który jednym skokiem dostaje się tam, gdzie się niebo łączy z ziemią. W téj myśli wyraża się i poeta w tém miejscu.

Ci gór grzbietami, ci brzegiem wód
 Lecą wodzowie, za nimi w ślad
 Lud się wynurza z zacisznych chat.
 Chrobacki topor, żelazny grot,
 Sorabów sierpy, krzemienny młot;
 Owdzie pod mgliste zaciągi nieb
 Radymiczánów wije się cep.
 Wilcy na karkach z wilczemi łby,
 Uszy zadarte, szarpiące kły.
 Skóry z bark, oko trudoby zgadło
 Że to nie wilcze stado przysiadło;
 To stado koni, a ludzkie plemie,
 Konie zębami sięgą do ziemi,
 A na nich wilcy sterczących usz,
 Lecą wierzchołkiem zamglonych wzgórz.
 Tam zastęp tętni chrobackiej kmieci —
 Odzież ich cała z rogowój sieci,
 Oklep na koniu jako wiewiórka,
 Na głowie jeno płaska misiurka:
 Wzniesiony dierzżąc żelazny glew (8)
 Skacząc po wzgórzach jak bogów gniew.
 Nad nimi Radgoń i drugie bogi,
 Lesiste błędne wskazują drogi.
 Szum, wrzask w powietrzu razem z wojaki,
 Na ścierw łakome ruszyły ptaki.
 A widno spieszno do boju im,
 Kraczą, a wietrzą wiciany dym.

Za nimi z cichych chrobackich siół
 Pieśni się żalą jak brzęki pszczót.
 Tam ojciec Radym stuletni dziad,
 Opiekę trzyma nad setką chat.
 Nad dziećmi wojów, nad niewiast tłumem
 Przód dierzży wiekiem i swym rozumem.
 Kręcą się kółka srebrzystej przedży,
 A dusza rada skoczyć co prędzej.

Kręcą się kółka, lecz rwie się nić,
 Żonie bez męża ciężko bo żyć —
 Żonie bez męża, siostrze bez brata,
 Za miłym serce jaskółką lata...

Spojrzały na się prządki od kótek,
 Zaświegotały krzykiem jaskótek,
 I od rodzinnych zielonych siół,
 Od orzechowych przęślić i kół,

(8) *Glew* wyraz obcy. U Rzymian oznaczał krótką dziadę, używaną do rzucania, później u ludów romańskich znaczy w ogóle *miecz*; u nas, o ile wiem, spotyka się tylko w Paprockim w formie *glewia* (r. 2.)

Wybiegły siostry—kochanki—drużki:
Znane im w kniejach drogi i dróżki.

Lecą dziewice z ptasim świegotem,
To cieniem gajów, to słońcem złotém.

A gdy im gęsty przekazi (9) las,

Przemkną leciuchno jak mgłany las:

A gdy im w drodze rzeka przegrodzi,

Wpław jak céranki przemkną bez łodzi.

Tylko bieluchne wyciągną ręce,

Tylko różane odrzucają wieńce,

Wodnicom (10) z czoła odmiotą kwiat.

Nie dla nich urok dziewiczych lat,

Zagrały serca na inną nutę,

Spalone chaty, wesele strute—

Dalój wodnice, boginki hej!

Wodo rodzinna fale swe lój...

Przypatrz się słońce krasie tych dziew,

Jasnym jak zorze, szybkim jak wiew.

Za ludem one na skalny gród,

Boginki leśne lecą na wschód.

To nad wełnisty szumiący San,

Czyste wodnice na wietrzny tan,

Przy brzęku złotych pszczołek i much.

Lekkie ich szaty lecą jak puch.

Jakby je wietrzyk pól naszych niósł,

Grając na strunach zielonych łóz.

Znikły, za nimi z pod dziada straży,

Któż się w las boży zwrócić odważy.

Dziadki pod drzewy w szczęsnych gromadach,

Siedzą spokojnie w jabłecznych sadach;

Nie tak spokojnie jak znać z pozoru,

Orle oczy lecą ku boru.

Zgorzałe lica, wpół nagie ciała,

Czyby zimnica sroga zawiała,

Ze tak zadrgnęły, rozległ się krzyk

I w cieniach lasu tłum dzieci znikł.

Za dziećmi matki. U chaty bram

Stuletni Radym pozostał sam.

Wyszedł, powieki podniósł nad sioło,

Z martwością cisza rozmawia wkoło:

Żadna się dusza nie pozostała,

Ściąły się zęby, drży głowa biała.

Spojrzał na chaty, na wiejski świat,

Tu mu przebiegło kragłych sto lat.

(9) *Przekazi* wyraz dawny, znaczy przeszkadza.

(10) *Wodnice*, tajemnicze mieszkańki rzek, dziewice pełne krasy i powabów, dlatego też pociągają one niczaz w nurty młodzień, jak Switezianka w balladzie Mickiewicza.

Tu widział lud swój, pocziwe plemię,
 Pługiem tę czarną przewracał ziemię—
 Dziś go świat cały pożegnał wraz,
 I starzec głowę obrócił w las.
 I zdał się czekać, stał długo, stał,
 Jak jedna z siwych Karpackich skał.
 I w chatę powlókł kroki niespore,
 Wnurzył się w chatę jak borsuk w norę.
 A z chwilą niosąc kamienny młot,
 Stuletni Radym ruszył do wrot.
 I jakby zamiar w sercu się chwiał,
 Patrząc na chatę, łez deszczem siał,
 Trząś się jak wiatrem wzruszone zboże,
 Co gnie się, pada, a iść nie może.
 Znać przyrosł starzec duszą do chat,
 Kędy mu zbiegło krągłych sto lat.
 I nagle jakby pozbyć się żadał,
 Szczęścia swojego za którym głądał,
 Krzemienym młotem uderzył w stal.
 Chato Radyma teraz się pał.
 Niechaj starego nic tu nie wiąże,
 Za wami dziatki w lasy podążę.
 I dziad ku boru w drogę się miał,
 Szedł, drżał a kłątwy straszliwe piał!
 Kłął wrogie Niemcy, przeklinał w pień.
 Na dym spoglądał, chwiał się jak cień.
 I wściekłą dziką chęć zemsty w nim,
 Od chaty gęsty podżegał dym.
 Porwał się, zastrząśł, krwi wrogów rad,
 Rzucił się naprzód, jęknął— i padł.
 Myśl rozognioną i ciała ruch,
 Na boje szybki wyprzedził duch.
 Wyrwał się, ciała zostawił próchno,
 I ptakiem wleciał gdzie lasy głuchną.
 Skrzydła sokołe poczuł u bark,
 Szum ciemnych lasów i wichrów wark.
 Nad czołem poznał nie włosy— piérz,
 Wzrok bystry powiódł na wzdłuż i szerz.
 Miasto rąk poczuł ostrz twardych szpou,
 I dziobem krzyknął: Niemcom na zgon!
 I stary Radym gdzie jego ród,
 Zatoczył siwem skrzydłem na wschód (11).

(11) Opowiadanie o starym Radymie, obraz wielkiej poetycznej wartości, zawiera pojęcie metempsychozy (wędrowki dusz po śmierci), jaką nie rzadko spotykamy u Słowian, zachowaną w pieśniach ludowych. Dusza wojownika przedzierzga się zwykle w siwego sokoła, jak dusza rozżalonej matki w kukułkę (u Rusinów Zazula), siostry w jaskółkę i t.d.

Pod skałę grodu na krwawe wici
Spieszą Lutycy i Obotryci.

Lecz pierwsi Wilcy skały dobiegna,
Szeroką ławą w okół zalegna,
I po chrobackiej oddal dzielnicy,
Zawyją głosem krwawej wilczycy.

Za wodzem woje, by wilków stada
Naprzemian w dziki chór odpowiada.
Gdy Wilcy ścichli, przy skalnej ścianie
Zaszumią sosen szumem DREWLANIE.

Zahuczą głosy rogowych surm,
Jako północny po lasach szturm.
Zda się, że lasów przestrzeń cienista
Pada w uściskach boga Pochwista.

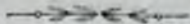
Po nich na góry, na lasów dzicze,
Zahuczą w krwawy chór Radymicze.
I lud u grodu, u czarnych skał,
Na wodza woła k'czemuś nas zwał?

Nad czarną skałą, na zorz jasności,
Starcowie staną wielkiej starości,
Dwunastu starców bieluchnych bród,
W krąg postawało na krwawy wschód.
Jutrzenka skryła w chmur skrawy szmat,
W dymach lesisty przeziera świat.
Na skraju ziemi czerwone brzaski.
Na skałe starcy wsparci o laski.
I lud gdzie skałę fal rzeczna myje,
Wilczemi głosy huczy i wyje.

Starcowie ludu, stułetnie dziwy,
Znak władzy wznosząc, kij długi krzywy,
Zatrzęśli dłońmi; cisza się stanie,
Zgłuchną, przypadną Wilcy, DREWLANIE,
I wnet paroby szerokich plec
K'ldzwonu się miccą dzwonić na wiec.

Zagrzmiało, głośny żelazny twór,
Zajęła woda i gród i bór.
Leją się fale straszliwe głosów
Od wód ich pełno aż do niebiosów.

Świat wypełniają rykiem gardzieli.
Ścichli DREWLANIE, Wilcy zniknęli:
O Karpat jeno oparty złom,
Przewlekłym warkiem warczy bóg grom
I usta śmiechem błyskawic krasi
I oczu iskry we Wiśle gasi.



ESTETYCZNE STUDYUM O MUZYCE.

NAPISAŁ

Bolesław Wilczyński.

II.

Muzyka w obec poezyi.

I.

Jak muzyka, w systemie sztuk pięknych jest idealnością *piękną*, tak poezya jest idealnością *prawdy*. Słowo jest pełne znaczenia, a rdzeń jego rozmaga się w myśl jawną, okręślającą unysłowe pojęcia, aż do najrozleglejszych, aż do pojęć nieskończoności. Dla tego słowo samo przez się, o ile wychodzi poza sfery codzienności już jest poezją, jest mową owęj potęgi duchowój człowieka, wypowiedzanej swoje do Bóstwa stosunki. Jakoż w starożytności najwyższą poezją stanowiła owa wewnętrzna moc słowa. Roztaczało ono urok lub grozę w dziecięcój imaginacyi ludów, a ztąd nabierało charakteru wyrzeczonej z góry świętości. Taką poetyczną idealnością zagrzyniały do Izraela słowa z góry Synaj, taką niezmierną wagę słowom swoim przypisywał Job, który je na kamieniu chciał mieć wryte. Ta świętość słowa, w natchnieniu ducha wyrzeczonego, objawiła się w Grecyi wiarą w one nieuniknione moce, które w postaci nieubłaganego *fatum*, poetycznemu ciążyły narodowi. Augurów i wyroczni w jednym słowie zamykali przeważne religijne lub polityczne zagadki i dość było natchnionego słowa, by wywołać czyn bohaterski, wielki, narodowy. Ale w wiekach nawet chrześcijańskiego romantyzmu, lub już wyłącznie w dziejach kościoła, znajdujemy w słowie streszczenie poetycznej idei, niby zaklętego ducha, i tylko nowsze czasy krytycznego rozumowania odjęły słowom tę ich powagę straszną a niewzruszoną. To zapanowanie świętości słowa widzimy zgoła wszędzie, gdzie duch wiary silnym uczuciem podniecał umysłowość do skupiania się, do streszczenia się w jednę ogólną abstrakcyi. Człowiek zamykał w niem całą intuicyę duchową i w jednym słowie zawierał wielkie swoje pojęcia.

Z pojedyńczego też słowa, w którym od wieków zaparte znalazły się najświętsze uczucia, trysnął, niby z opoki, strumień myśli poetycznych, a rozplynął pod wpływem wrażeń i otaczającego świata w różne kierunki życia. Zagrzany przecuciami, wysnuwać z siebie począł człowiek treść własną, jako prawdę żywota, dlatego idealną i poetyczną, że jej wzory nigdzie indziej, jeno w sobie samym znajdował. Szukał tedy najpiękniejszych wyrazów, a wyzuwał się z powszedniości mowy, by odtworzyć godnie rozgrzewające go prawdy i pięknie wypowiedzieć owe widzenia umysłu, u czystych a nieskalanych źródeł czerpiącego. Więc w najpierwszych początkach poetyczności swój stanął jako sztukmistrz muzyczny, bo wyobraźnia od razu podawała mu ową formę piękną, w której słowa i myśli, do harmonicznego układały się związku.

Tę muzyczność poezyi już widzimy w psalmach hebrajskich, które parallelicznie do śpiewu chóralnego ułożone, przedstawiają symetrią myśli i pewne rytmiczne obrazowanie uczuć. Z trzech języków starożytnej Indyi, sanskryt czyli język *doskonały*, nie był weale w mowie używany. To był język poezyi, najpiękniejszy, najbogatszy. Tu ogromna liczba sylab dopuszczała nieograniczoną w tworzeniu słów swobodę; tu niezrównana giętkość i przepyszna składnia, już same przez się tworzyły owe magiczne dźwięki słów, któremi poezya indyjska, najjaskrawsze fantasmagorye myśli i najsubtelniejsze punkciki marzącej wyobraźni, wypowiedzieć umiała. Jakoż pod wpływem politeizmu i wiary w wielmożne czary natury, rozmogła się poezya indyjska w olbrzymi a strojny romans natury, który wypowiedziany był językiem pełnym symbolów, niby w tony i modulacye muzyczne ukształtowanym. Taką muzyczną pieśnią, mającą już swoją rytmiczność, są dwa przesliczne poematy: Rama-jana i Maha Barata. Czytając je, zda się słyszysz cudowną muzykę, czarującą zmysły słodczą i niezrównanym wdziękiem, ułożonych do melodyi myśli. W istocie, słuszném jest podanie o onym braminie-poecie Walmiki, który ujęty pieszczotami dwójga w gniazdku ptasząt, głębokim smutkiem odczuł śmierć jednemu z nich zadaną. Wielka ztąd boleść pozostałej ptaszyny, natchnęła go myślami, której słowa mimowolnie w harmonicznym znalazły się układzie. Ztąd niby wzięła początek elegija, jako przeważająca w poezyi indyjskiej forma.

Atoli, w tych muzycznych kształtach zakwitła poezya jako sztuka, dopiero w Grecyi. W tym artystycznym narodzie, któremu daném było objawienie człowieka w doskonałe formy piękna oblec, całe życie było jedną złotą wstęgą sztuki przepasane. Grecya nie odróżniała ducha od ciała, nie pojmowała dualizmu w człowieku. Dlatego wyobraźnia jej widziała wszędzie równoważną harmonię, niby całość nienaruszoną; dlatego sztuka jej przedstawiała ową spójnię materyi i ducha, która niby na szalach wymierzona, tą dokładnością wymiaru właściwie stanowiła piękno. Z tego poczucia równowagi między duchem a materją, urastał ów urok młodej duszy, owo zachwycenie, sięgające wzrokiem ku onym tylko co doj-

rzanym artystycznym wdziękowi ciała. Nie znał młody artysta grecki cierpień rozdziwienia, ani pracy, w boleściach ducha podejmowanej. Dlategoż idealność nie mogła się tu inaczej przedstawić jak tylko w spokojnej cielesnej obłoczce, w harmonijnym z nią związku; myślenie ducha ludzkiego szukało odpowiednich konturów w materjali. Więc też i poezya nie mogła być w Grecyi inakszą, tylko w materjali głosu pojmovaną. Idealna treść w równie idealną przybierała się formę i już nigdzie indziej zaiste, jeno w Grecyi, poezya z muzyką w tak nierozzerwaną a doskonałą nie spłoty się całość.

Czuli byli Grecy przedewszystkiem na piękno muzyki, i jej wdziękowi chętnie dawali panować nad sobą, kiedy jej uprawę do najwyższych obowiązków społecznej cywilizacji podnieśli. Toż literatura gnomiczna nie była w księgach pisaną, lecz śpiewano ją w pieśniach, podczas uczt i uroczystości publicznych. *Skolie*, tak zwane piosnki, śpiewane były przy onych biesiadach, które swoboda greckiego umysłu tak estetycznie zagajać umiała. Każdy z biesiadników musiał, przy towarzyszeniu cytry, improwizować wiersz, trzymając myrtową gałązkę, która koleją, niby poetyczne godło, z rąk do rąk przechodziła. Te biesiady, równie jak publiczne zgromadzenia, to były społeczne koła, w których trzeba było okazać się pięknie wykształconym, i niejeden człowiek stanu dowieść tu musiał, ażali talentem i artystyczną kulturą położonemu w nim zaufaniu odpowiada. Wstydzić się musiał Temistokles swego muzycznego nieuctwa, również jak Heziod, którego, za nieumiejętne użycie liry podczas igrzysk pityjskich, słuszną spotkała nagana.

Wiemy jaką giętkością i toniczną wytwornością odznaczał się piękny język grecki. Sam on już się nadawał do rytmiczności, mając sylaby naprzemian długie i krótkie. Toż z tej różnorodźwiczności powstało mnóstwo podziałów miarowych wiersza, do przeróżnych melodyj pasowanych. Wiemy następnie jak łatwo Grecy w tej muzycznej formie poza granice ścisłych przepisów wychodzili. Dzieje muzyki podają, że siedmiostrunna lira Terpandra i jedenastostrunna Tymoteusza, jako naruszające dotychczasowy porządek i jedność nauki, przez władzę surowo potępione były. Dawał się nieraz unosić poeta grecki niepowściągnionym prądom melomanii, a już najbardziej solidarność poczty z muzyką psuć się poczęła w owęj epoce filozofizmu, w której się rwały tany dziejów klasycznych, niby zapowiadając nową przyszłość.

W istocie, z tego rozniłowania się we wdziękach zewnętrznych, które tak poczyna jak i wymowę grecką do kunsztowności, do wytworności prowadzity; z historycznych skazówek, które mówią o nadzwyczajnych wpływach, jakie wywierała w Grecyi sztuka krasomówcza, ujawnia się dopiero jedna psychiczna strona geniuszu greckiego, strona uczucia artystycznego. Ale miał ten geniusz inne jeszcze dźwignie, a przedewszystkiem wysoką posiadał zdolność logicznego myślenia. Toż ów rozum, estetycznym kierujący smakiem, nie dopuszczał, mianowicie w poezyi, żadnej niesforności

lub zbytku. W obec cielesnych rozkoszy melodyi, stawała wewnętrzna moc słowa ze swą treścią poważną, niosąc święte z dalekiej przeszłości tradycje. Po przez wieki rostała w homerycznych poematach groźna postać ojca poezyi, nakazując cześć dla zakłętych w słowie dziejów narodu; tkwiła też w niem wielka prawda, swem światłem całe pokolenia darząca. Tak epopeja jak liryzm były świadectwem czynów i rodzinnych natchnień, były mądrością poetycznego ludu, który słowem jasnym, księgę własnego żywota znaczył. I była poezya cała w Grecyi oblubienicą powszechności. Z ludu czerpała swoje piękno, lud też nawzajem swym duchowym otaczała puklerzem, niecąc w nim społecznej moralności zasady.

Tę wysoką misję swoją, jakiej już w żadnym nie miała narodzie, pełniła w Grecyi poezya za pośrednictwem dramatycznych przedstawień. Teatr był tu najwyższą praktyczną szkołą społeczną, kultem demokratycznym, z którego, pod przywództwem sztuki, urastało i powszechniej cywilizacji drzewo. Wystawmy sobie tę szkołę ludową pod otwartem niebem, wśród czarującej okolicy, której już sam widok duszę do poezyi budził. Tu, zgromadzonemu tłumnie ludowi, w obec żywej natury, przedstawiał poeta dramat życia ludzkiego, odziewając w szatę piękna poważnego wysoką z dziejów sumienia ludzkiego ideę. Jakoż maluje Eschyles, w swym legendowym Prometeuszu, zacność człowieka w zapasach z fatalnością, a przeprowadza tragicznie olbrzymią walkę, w której nierozumnemu prawu wzbrania się tenże człowiek uledez. To znów na tle prawdy dziejowej lub obyczajowej, usiłuje poeta przeprowadzić głębokie moralne lub polityczne zasady, a wszystko z ciała i krwi ludu stworzone, urabiało dzieło typowe, w którym się powszechnie narodowego ducha uczucia kształciły. Owóż, treść dramatyczną wypowiadali aktorowie stosowną intonacją muzyczną, a to dla tym wydatniejszego przedstawienia rzeczy, ile że obszar teatralny wymagał nawet w całym *decorum* optycznych środków, masek i koturnów. Tak w monologu jak w dialogach, wprowadzono *recytację*, czyli śpiew niemiarowy, zupełnie od poetycznej dykcji zależny, i jedynie chóry, które na scenie reprezentowały naród śpiewane były rytmicznie przy towarzyszeniu instrumentów. Znachodzi się tedy i w dramatycznej poezyi greckiej, gdzie forma muzyczna koniecznym już była warunkiem, rozumie dla znaczenia słowa poszanowanie. Rozumieli Grecy, że w idealnej symbolice muzycznej słowo się zręka swego królewskiego berła, rozptywając niby cieniem we mglistą przestrzeń tonów. Nie puszczali więc wódzów melodyi tam, gdzie aureola poetycznego słowa jaśnieć miała, gdzie fantazyja melopei ubliżać jego powadze musiała. Zważyć więc należy, że łączność poezyi z muzyką była w Grecyi w ogóle klasyczną, doskonałą; logika tu przestrzegająca ściśle porządku i nie dająca wygórować fantazyi z jednej strony na szkodę drugiej. Umysł grecki tworzył poezję zdrową swemu ciałem i duszą, zarówno prawdziwą w treści i piękną w formie.

Ale ta sztuka klasyczna, jak cała starożytna cywilizacja, raz tylko w dziejach była; znikła jak wszelaka młodość i już nigdy nie powróciła, pomimo niedawno jeszcze ku jój odrodzeniu czynionych usiłowań. Chcąc naśladować ducha poezji starożytnej, trzebaby wrócić do onych form klasycznych, a przedewszystkiem odtworzyć ów język syntetyczny, pełen ekspresyi i niewzruszonej logiki, gdzie jedno słowo można treść życia w sobie ścisłało, a obok tego tak artystycznie wykończony, że się w nim najdrobniejsze odcienia myśli odbijały.

Wszakże już nowe ludy zapoznały tę mądrą przeszłość. Na gruzach cywilizatorskiego Rzymu osiadły barbarzyńca, począł kuć i łamać łacińską mowę, bo jego gruba romantyczna fantazyja nie mogła się posługiwać językiem, w którym każde słowo, niby sybilla, zbiornikiem wiedzy było. Tę w użyciu powszechném zepsuta mowę, prowansalski trubadur po swojemu ogładza, i na tym nowym materiale buduje poezję romantyczną, mającą być pierwszą średnio-wiecznej intelligencji szkołą.

Chrześcijański poeta przynosi z sobą już całę odmienny charakter, a najprzód odznacza się pewną sprzecznością, pewnem rozdwojeniem. Jest w jego żyłach ogień, który go pali i niespokojnym czyni. Ten sam pieśniarz, co rycerzy do turniejów i walki zagrzewa, bo widok krwi i śmierci szlachetną mu sprawia uciechę, w innych kupletach głosi pokój i słodczye miłości. Raz go egzaltuje krzyżowa wyprawa i dla niej poetyczną zachętą werbuje zaciężnika, to znów w lekkomyślnęj satyrze bluźni dogmatom wiary i przepisom kościoła. W ogólnem rozprężeniu ducha, w swawoli władz umysłowych szuka swobody, a w zamęcie niesfornych czynów i wyuzdanych dążności ówczesnych, widzi poezją. Jakoż, w tój poezji życia nierządne, jawi się wielmożne słowo: *honor*, którego znaczenie mnóstwem sprzeczności nasiąknięte. Honor, łatwo w sobie mieści cnotę rycerską i niecnotę chrześcijańską; jest czułym na cień urazy, a niepamiętnym na własne bezprawie; nakazuje cześć dla kobiety, a bezcześci obyczaje społeczne. W imię honoru rzuca wspaniałomyślnie rycerz swem bohaterstwem na wsze strony i jednocześnie jest najbezwstydniejszym rabusiem. Jest więc w takim określeniu egzaltacja, rozczepiająca samo pojęcie, któremu brak gruntownej ostoji. W istocie, dziś nawet, ilekroć z tym jeszcze żyjącym wyrazem spotkać się wypada, przekonywamy się, że każda osobistość pojmuje go inaczej, każda inaczej w imię jego czyni; a wszelako niknie on pod krytyką rozumu i nie zostaje z jego groźnej postawy nic, jeno śmieszny strój arlekiński.

Ale ta sprzeczność była cechą całej właśnie ideologii romantycznego języka. Treść jego rozsadała egzaltacja, pod wpływem której pierzchała logika, wolne zostawiając fantazyi pole. Na miejsce rzeźbionego w kamieniu słowa, stanęła teraz gromada kolorowych słówek, wdzięczących się mile dla ucha, lecz pustych w sobie. Toż nie mogło takie słowo zaważyć w poezji. Układał pieśniarz południowy wiersze, w których mu chodziło o zręczne

końcówki, o mile brzmiący a mieniący się rytmem i o misterne zwrotki. Posuwał się nawet do figlów, tworząc najdziwniejsze akrostichy i przewroty wiersza: zgoła igrał ze słowem i myślą, a układał je tylko do muzycznej kadencji, do śpiewności. Otóż urodzony meloman, którego natchnienie szukało całkiem zewnętrznymi powabów sztuki, tak idealnej jak bezcelowa miłość szwalerska, tak lekkiej treścią jak całe romantyczne życie ówczesne.

Włóczył się tedy po świecie trubadur, układając poezję, a za nim tak zwany *zongler*, niby giermek, który śpiewał te jego utwory sposobem zupełnie dowolnym, a więc z całą fantazją rozkochanego w melodii śpiewaka. Jakież mógł być tych melodji charakter? Zważmy że śpiewność jest przyrodzoną człowiekowi. Ta melomania jawi się najbardziej w onym wieku młodzieńczym, w którym rozbudzony ku miłości pociąg ogarnia cały organizm duchowy, czyniąc go łatwym do wszelkiej nieprzytomności, do zapomnienia siebie. Będzie więc i melodia ta nieprzytomna siebie, pełna niespodzianych zwrotów, a tryskająca coraz inną w tonowaniu fantazją. Instykt szukać będzie w dźwiękach atrakcyi miękkich, spadków przeciągłych, a sama pieśń nigdy do końca nie dojdzie, wirując w utworzonej sobie sferze tonów. Taką zapewne musiała być nuta romantycznych pieśniarzy. Jak ich sonety, ballady i sirventy były wszystkie treścią i układem do siebie podobne, tak samo jednym charakterem wdzięczyły się one śpiewki, samorodne a fantastyczne.

Atoli pamięć tych poetyckich czasów nie minęła bez wieści. Obok przelotnych kupletów, stworzył poeta-włóczęga rodzaj poematu epicznego, a ów romans szwalerski, spisany w księgę, którą przykuwano do łańcucha, stanowił w bogatym zamku drogocenny przedmiot. Zbierano się rodzinnie, by w porze długich wieczorów dogodzić ciekawości i smakować w naiwnych a szczerych, lubo nie zawsze moralnych opisach. Na tej poezji wykarmił się duch Petrarke, z niej też zaczerpnąć musiał geniusz Dantego. Owszem pomimo swój jałowizny we względzie artystycznym, rozkołysała ona imaginacją i przygotowała niby właściwą farbę do zaprawienia onych pomników sztuki, które wyszły z kądzinąd, z rozdmuchanych w XVI wieku popiołów, klasycyzmu. Toż i śpiewki te trubadurów po całym rozsiały się południu, równie jak minnesingerów piosnki na północy, i zostały w ustach ludu, a duchem swym zapłodniły ona muzyczną sztukę świecką, która we dwa wieki później rozwijać się we Włoszech poczęła.

Głośne w dziejach sztuki odrodzenie skojarzyło najprzód dwa odrębnie dotąd obok siebie stojące światy: świat eklezjastryczny, który pieczołowicie chował pamiątki starożytniej mądrości i całkiem był nią przejęty, i świat właściwie romantyczny, który ze sobą przynosił zaród wolnomyślności i przywilejów indywidualnych. Z dojrzenia tych dwóch sprzecznych sobie elementów, urosł olbrzymi wiek XVI. Wszakże stworzył on arcydzieła jedynie dlatego, że się z zapalem rzucił do studyowania klasycznej artystyczności. Odkopane torsy i grupy greckiego dłuta, zbudziły artystyczny dla

kształtów anatomicznych podziw. Dlatego, natchniony poezją biblii, szuka Michał Anioł w klasycznych formach typu dla swych ideałów. Rzeźbi on Mojżesza, a w muskuły jego tchnie ducha potęgi i podnosi materię do niebotycznych wyżyn idealności. Dla tego maluje *Sąd ostateczny* w Sykstyńskiej kaplicy w zupełnie nagiach postaciach, lubo się stawia w estetycznej sprzeczności z czasem i za zniewagę miejsca świętego, słuszną obudza zgrozę publiczną.

Wszakże, gdy tak wszystkie sztuki odradzały się w umiejętnym na wzory klasyczne zapatrzaniu, muzyce jednej tych wzorów brakło. Sztuka muzyczna grecka nie zostawiła nawet tradycji po sobie; teorie Pitagoresa i Arystoxena, jakoteż traktaty filozofów, gmatwały tylko wyobrażenia o sztuce, której życie dawno już ustało. Notacya grecka była dla nowoczesnych niepojętym hieroglifem. Składała się ona z ogromnej liczby znaków, z alfabetu przerobionych, a do nauczenia się jęj trzy lata czasu było za mało. A przecież była ta nauka dopiero wstępem do rozpoznania onych tajemnic artystycznej egzekucyi, jaką się Grecy odznaczać mieli. Bo też egzekucya jest w sztuce muzycznej życiem, ale zarazem jest tajemnicą czasu, wyrobem jednej historycznej chwili, artystycznością ducha nabrzmiałej. W tém znaczeniu jest egzekucya muzyczna tradycyą, która się prędzej lub później zaciera, nie zostawiając po sobie nic krom piśmiennego wspomnienia; a przecież to wspomnienie z przebrzmiałych tonów, żadnej sprawy zdać nie jest w stanie.

To też nie mogła sztuka muzyczna na wzorce klasyczności się odtwarzać. Owszem, musiała wszystko brać z żyjącego świata, lubo ogólny popęd do artystyczności klasycznej i tu choć krótkotrwałą pieczęć wycisnęła.

II.

Gdy reformacya na upowszechnienie się zamkniętej dotąd w murach kościelnych sztuki wpłynęła, pojawiły się w Niemczech i Niderlandach tysiące śpiewów i psalmów, na głos pojedynczy pisanych, które miały na celu tekst Pisma Świętego rozpowszechniać. Ów przykład zachęcił południowych melomanów. Mała ich wówczas garstka opierała się wyłącznie o towarzystwo sfery arystokratycznej, ile że był to czas, gdzie protekcyja panów dla sztuki i literatury, dawała mistrzom, obok niechybnej umaterialnej kariery, jeszcze blask pewien. Ale to mecenasostwo odciągało artystów od spójności z ludem i z jego muzyką. Dlatego pierwsi ci artyści muzyczni czuli wstępną niepowściągniętość do śpiewów ludowych. Pisane wówczas madrygały na kilka głosów, były zupełną imitacyją kanonów, całkiem przejęte z muzyki kościelnej, gdzie sztuka już była daleko na drodze harmonicznej posunięta i gdzie poezya słowa już się stała tylko pretekstem. Były więc te pierwsze wokalne muzyki próbki pełne kontrapunktycznych pretensyj,

a poezya była w nich również tylko pretekstem. Toż nie padały one do smaku ówczesnemu światu, nie nie pojmującemu z onych harmoniczných kombinacyj. To był świat romansu, szukający w muzyce czystej melodyi, jako wyrazu uczuć; a wszakże te uczucia zanadto młode jeszcze i nieukształcone były, aby im kombinacye sztuki dogadzać miały. Ów świat, w którym się obudzili przecucia bezgranicznej idealności, który się kochał w obrazach i ideach własnej imaginacyi, omijał chętnie poezyę słowa i zanurzał się w bezsłownych dźwiękach melodyi, w onej sprzyśniętej duchów egzaltowanych spółnicze. Otóż, z jednej strony owe wymagania czasu, z drugiej zaś zwrot wszystkich w ogóle intelligencyi do naśladowania starożytnych wzorów—te dwa przeciwnie sobie czynniki, obudziły reakcyę w małym światku muzycznego areopagu.

We Florencyi, przy końcu XVIgo wieku, w patrycyuszowskiu domu hrabiów Vernio, zbierała się elegancka a świetna koterja, w większej swej części reprezentowana przez ludzi uczonych i artystów, pomiędzy którymi trzech było muzyków: Emil Cavaliere, Jakób Peri i Juliusz Caccini. Rozmawiano chętnie o sztukach i niejednokrotnie w krytycznych dyskusyach o muzyce, poruszano rzecz o tém, czyby nie mogła muzyka być wyrazem onych ruchów namiętności, które stanowią podstawę dramatu. Wiedzano że dramat u Greków i Rzymian był śpiewany. Chciano go w ten sam sposób odtworzyć. Jakoż zabrali się trzej melomani do rzeczy i poczęli małe w tym rodzaju próbki układać. Przewodowała im w téj robocie wyczytana z Platona teorya, wedle której najgłówniejszym w przedstawieniu dramy warunkiem jest *słowo*, potem *rytm*, i na ostatku już *intonacya*. Poczęto więc pisać madrygały pod kierunkiem téj precepty, oddalając się od kontrapunktu i śpiewu gregoryańskiego i opierając tonacyę swoją na dwóch trybach: majorowym i minorowym, które już w ludowych śpiewach dawno się znajdowały.

Z tego kółka artystów-nowatorów wyszła pierwsza próba dramy muzycznej, a jej układ zupełnie miał klasycznym odpowiadać wymogom. Według ich mniemania, mieli Grecy używać w tragediach pewnej melodyi akcentowanej, różnej od zwyczajnej mowy, ale nie będącej jeszcze właściwą melodyą. Stosując się do téj tradycyi, szukano w mowie onych punktów, którym sama myśl wypukłości nadaje, a zatem do akcentu melodyjnego prowadzi. Następnie studyowano psychologią mowy w różnych sytuacyach życia, usiłując dla rozlicznych poruszeń duszy właściwy ton wynaleźć.

Zapewne że ten pierwszy dramat liryczny najmniej nie był do greckiego podobnym i obaczmy jak się tu w istocie zakradł element, obcy greckiemu geniuszowi, który miał później operę na bezdroża estetyczne zaprowadzić. Tym elementem był romantyczny duch czasu, gonący za bezcielesnością ideałów, a zatem dający swoim melodyom podmuch owęj egzaltacyi, którą przejęty

był ówczesny idealista. Wszakże zrazu, jeśli opera do greckiego dramatu nie była podobną, to przecież niezbyt się oddalała od estetycznej tradycji. Przez cały peryod, który trwał z górą wiek cały, opera głównie się opierała na *recitativo* nie miarowym, mającym śpiówną deklamacyjny charakter. Jedynym śpiewem, oprócz rzadkich chórów, był wprowadzony do opery madrygał, w małych ramach *aryi*, mający wyłącznie wyrażać tylko pewne sytuacje liryczne. Piękno poezji dramatycznej, śpiówną podniesione deklamacją, jaśnieć miało prawdą estetyczną, której strzegła zbyt jeszcze świeża pamięć na starożytnych.

Jakoż i *arya* ta zrazu nie była czém inném, jeno melodią, nie znającą żadnych linii architektonicznych, żadnych konturów ściśle muzycznych, a przeto mało co od samego różniła się *recitativa*. Rozwijała się ona swobodnie pod dyspozycją wiersza, bez żadnych do peryodów pretensyj. Wszakże ta prosta forma *aryi* nie długo się utrzymała. Wprowadzono na miejsce jej *canzonette*, rodzaj piosnki, w której lud dość trywialnie śpiewał wierszyki i otóż pogardzany dotąd romantyzm ludowy, do sztuki się wcisnął. W tej nowej formie *aryi* już przeważał żywioł melodyi—motywy muzyczny; zrazu krótki, w jednym peryodzie, potem rozwijający się w kontrasty i rozmaite hafty. A ta raz dana impulsja fantastyczności melodyjnej, zaprowadziła jeszcze dalej, już w sferę najkapryśniejszej gry tonów. Jakoż niedługo rozszerzono plan *aryi*, dodając do głównego motywu inny, w odmienną tonacji, mający na celu, jak światło-cień w malarstwie, panujący wydatniać temat, który też w ślad za tэм się powtarzał. To znana już w nowszych czasach *cavatina*. Nareszcie, z tej ostatniej formy, wykształcony smak nowoczesnych mistrzów, utworzył już naszą *aryę*, którą dwa składają motywa, niby dwie zupełnie rozwinięte myśli muzyczne, różnej natury i w odmiennym ruchu.

Pod przewagą tej architektonicznie wiążącej się *aryi*, która się na harmonicznych podstawach instrumentacji oparła, wyrobiła się wprawdzie piękna i skończona muzykalia liryczna, umiejętny i kunsztowny niegdyś piosnki ludowej ideał; ale też za nią wszedł na scenę niebezpieczny patronaż muzyczny, wytrącający berko dramatycznej poezji, a który indywidualność śpiewaka panem sceny ustanowił. Aby zastosować wiersze do tej niezależnej struktury, trzeba było piękno poetyczne połamać, a nawet same poprzeinać słowa. Toć wiemy że Włosi w dzisiejszej swój operze mnóstwa nie wymawiają sylab, a tak tworzą pewną manierę śpiewania, w której mowa dąży do zupełnego spłynięcia z tonem—do symboliczności.

Zauważmy tedy, że na dwa peryody podzielone przez historyków, dzieje tworzenia się opery, przedstawiają dwie nader odmiennie epoki. Pierwsza pod wpływem klasycyzmu zrodzona, nosi na sobie charakter powagi dramatycznej; muzyka jej jest prostym środkiem expressji; kompozytor jest tu właściwie umiejętnym i natchnionym sceniczną poezji deklamatorzem. W drugiej

epoce, od pierwszych lat XVIIIgo wieku się poczynając, wyłączają się z opery intermedya komiczne i tworzą się dwa rodzaje: opera właściwie *serio* i opera *buffa*, z których ta ostatnia piękne ma karty w kronikach muzyki tak zwanéj klassycznej. Od téj drugiej epoki rozpoczął się ów nieład, owa estetyczna przedstawień niesforność, za przyczyną której, sztuka w teatrze, raczéj zbiorowém widowiskiem, niż piękném się rozsiadła.

Ale przerywając na chwilę uwagi nad dramatem lirycznym, dokończmy pierwéj zamierzonej rozprawy o stosunku poezyi i muzyki w ogólnosci.

III.

Koniec czasów rycerskich, to kres życia poetyckiego. Reformacja w poetyzującym a lekkoduchym dotąd świecie obudziła zastanowienie się, sąd, a wprowadzone nowe idee polityczne i rozpoczęte filozoficzne ćwiczenia myśli, zaszczyły ów duch regularnego porządku w czynach, ową propagandę wielkich humanitarnych dążeń, które już nowożytnie obyczaje do zupełnej prozy sprowadziły. Znikły téż powoli objawy poezyi życia; znikła, wystraszona, ona lekka a nadobna fantazyja, która każdego poetycznym natchnieniem darzyła, bez różnicy stanu i zatrudnienia. Ale została tradycya, którą dzisiejsza sztuka żyje, a ta tradycya, lubo historycznym kurzem przypruszona, toć jeszcze żywym jest przeszłości okruczem.

Owe resztki poezyi przyniósł ze sobą lud, którego nie tknęły burze, na który długo nie raczyły spojrzeć duchy dziejów cywilizatorskich, skazując go być niby niewzruszonym łożyskiem wielkiego morza ludzkości. W ludzie téż znajdują się choć nie wyraźnie, wszystkie tradycye, a umiejętny badacz mógłby tu odnaleźć związki psychiczne z najodleglejszą przeszłością i rozpoznać w téj spokojnej duszy złożone wieków pamiętki. Przysłuchajmy się jeno tym pulsacyom serca ludowego. Bezwątpienia że najpierw wypowiedzą one to co najbliższe, co dziś jego strun dotyka. Ale baczmy na tę fantazyję poetycką, niby niesforną i bezmyślną, a tak w swéj formie różnobarwną. W tém nieregularnym poetyzowaniu znajdziemy echa z różnych czasów. Usłyszemy naprzykład w melodyjach jakiś wspomnienie tego *enharmonicznego* trybu greckiej melopei (1), który wynikając z ćwierciowych podziałów tonu, odznaczał się wytworną miękkością melodyjnego cieniowania. My, przyzwyczajeni do utemperowanych dźwięków skali oktawowej, nie pojmowalibyśmy téj wytwornosci, i dlatego słusznie w tém ludowym śpiewaniu ucho nasze fałszu dostrzega. Wszakże ów fałsz

(1) Czyt. Estetyczne studyum o Muzyce w Bibl. Warsz. za miesiąc wrzesień r. z.

pozorny jest uczucia ludowego może najwyraźniejszym objawem. Toż wydatniej jeszcze uderzają pozostałości z czasów romantycznych. Jak tam, tak tu, przemożnym do poetyzowania bodźcem jest pewna swoboda, pewna lekkość umysłu. Lud nie opiera się na sobie, nie zna trudów łamania się z prawdą życia, a ufając bez ograniczenia panującej mu idei religijnej i społecznej, témsamém z wielkich zrzuca się ciężarów. W pieluchach tych dobrze mu, bo lubo ciałem cierpi, to jednak duchem jest w ciągłym spokoju, oczarowany mocami których nie zna. Ztąd owo usposobienie umysłu, objawiające się marzeniem o sprawach nadprzyrodzonych i wiarą w baśnie; ztąd też i owo rozmiłowanie się w poetyczności obyczajów, w których tyle urojonych, romantycznych stosunków. Lubo sama treść tego ludowego poetyzowania od treści romantycznej poezji odmienna, lubo w każdym szczebie różni się ona samém bogactwem poetycznej imaginacji, to jednak charakter ogólny formy, a mianowicie muzyczność jęj, to pokrewieństwo ze średniowieczną przeszłością zdradza. Jakoż zauważmy, że w tych utworach fantazyi ludowej, nie szukać piękna właściwie poetycznego; nie ma tu pięknego języka, nie ma istotnej wartości słowa. Jest tylko myśl poetyczna, usiłująca przez uczucie, przez melodyę się uwydatnić. Dla tegoż lekceważy sobie lud formy języka i samym porządkiem myśli częstokroć poniewiera, byle dosadniej tonami wyrazić owe serdeczne swoje smutki i radości. Ton melodyi zastępuje tu miejsce słowa, którego trzcliwość i powaga zanadto by studziły rozkochaną w tajemniczości fantazyę. Ztąd takie bogactwo w każdym narodzie melodyi, ztąd ważne w psychologiczném badaniu ludów miejsce, jakie obecnie zajmują.

Teraz obaczymy czém się stał pierwiastek romantyczny w sztuce. Melodya ludowa, na podstawie harmonicznój oparta, tworzy już niby pełną wyrazu mowę. Każdy ton nabiera tu już właściwego znaczenia; każde poruszenie tonów, w basowej ostoi znajduje plastykę i kolor, a ztąd figura melodyjna nabiera niezwykłej mocy wypowiedzenia rozlicznych uczuć i myśli. W istocie téż zadziwiającą jest treściwość téj mowy muzycznej. Zdaje się że zdolną jest ona wypowiedzieć wszystkie tajemnice serca ludzkiego, a zwłaszcza owe tętua i odcienia rozradzających się pod wpływem cywilizacji uczuć, których treści żadna inna sztuka odgadnąć nie jest w stanie. Uważmy nadto, iż téj w harmonii nabytej indywidualności melodyi, głos ludzki jeszcze bardziej charakteru nadaje. Sama wibracya strun gardłanych, w której każde wzruszenie śpiewaka objawia się natychmiastowym, żywym tonem, już posiada oną życiodawczą siłę, której niepodobna prawie z martwego dobyć instrumentu. Jest w organie ludzkim piękno idealne, którego już żaden materiał naśladować nie może, bo jest ono darem Stwórcy, najpiękniejszym przymiotem organicznój mechaniki człowieka. Wyrzeczone pięknym głosem słowo, staje przed nami w cudownym uroku i wcale inaczej się nam przedstawia, niż jeśli jest innym wypowiedziane głosem, innemi uduchowione usta. Dlatego piękny

głos, to jedna z cudownych sił ciała; przezeń pięknieje wszelka indywidualność i ciągnie ku sobie sympaty i uwielbienia. Ztąd też królewskie berło śpiewaków i owe niepomiarowane holdy, jakie im po wsze czasy składano.

Tedy, wobec takiej potęgi rozwijającej się wokalnój muzyki, nie mogło się ostać piękno słowa w poezyi. Uległ tym wdziękom nawet nasz wiek krytyczny. W istocie weźmy pierwsze libretto do ręki. Wszystko tu połamane, wykręcone, że nie poznać już w tej karykaturze poetyckich piękności wiersza, stylu i myśli. Idzie tu tylko o ogólne wyrażenie treści, którą kompozytor muzyczny ma wypowiedzieć; a więc poemat jest tu tylko osnową, zebrany, dla mistrza muzycznego, materyałem. Połowiczne piękno głosu samego w sobie, przemogło nad owém całkowitým pięknem słowa i głosu.

Pretensye muzyki dramatycznój nowoczesnój są niepomiarowane, a sprzyjał im kierunek pojęć estetycznych w ogóle. Zważmy, że w dążeniu języków do analityczności, w rozmaganiu się pod wpływem naukowym ich bogactwa i treści, słowo musiało stracić na wadze syntetycznego, niewzruszonego znaczenia. To znaczenie wewnętrznej wartości, w czasach krytycznego rozumowania, ze słowa przeszło już w myśl, w ideę, określającą się szczegółowością języka i jasnością wykładu. Krytyczne myślenie nie mogło nadać słowom uroku, a tém samém i tkwiąca w nich poetyczna rozciągłość, ustąpić przed racjonalną ścisłością musiała. Z drugiej strony zważmy, że i sama natura poetycznego twórstwa, czerpiącego natchnienie z nieograniczonych źródeł indywidualizmu, już zupełnie odmienną od klassycznój plastyki nadaje sobie formę. Olbrzymi romantyzm nowoczesnój szkoły, zajaśniał bezgraniczną wolnością ducha, a sięgnął we wszystkie dzielnice ludzkiego istnienia, odstaniając anatomicznie najdrobniejsze jego cząstki i wkraczając zgoła w one tajne przybytki życia, do których umysł człowieka dotąd zajrzeć nie śmiał. Toż romantyzm ów, nie szuka piękności słowa, ale jego określności, dosadności; wyrażenia jego techną naturalizmem, a więc nie koniecznie odznaczają się wytwornością i dobrym smakiem. Sprawdzają to już poezye Szekspira, a już w najnowszych czasach, epoka Wiktora Hugo. W następstwie tój w poetyzowaniu subiektywnój wolności, rozchwiały się formy piękna poetyckiego, bo nieograniczona fantazyja myśli, zrzuca ze siebie niewolę reguł, nie mogąc się w klubach miarowego wiersza i rymowości jedynie mieścić. To też pod wpływem królującego obecnie w literaturze romansu, zmałało powszechne nie upodobanie do owych form poezyi, którym starożytna klassyczność kształty muzyczne dawała.

Widzieliśmy jak tradycya tój muzycznój formy, pokusiła nowatorów do odtworzenia dramatu lirycznego. Widzieliśmy jak od tój tradycyi odstąpiono. Szukano w samej formie ekspresyi coraz potężniejszej, a przychodziło to tém łatwiej, ile że sztuka mu-

zyczna już samodzielnie urabiać się poczyniała. Monteverde, Grétry i Meyerbeer, to są stacye, przez które, ciekawe dzieje rozwijania się ekspresyi muzycznej, przechodziły. Jakoż zapanowała ta ekspresya w operze, przypisując wyłącznie sobie poetyczną moc przedstawiania treści dramatycznej. Deklamacya, jako piękna a logiczna forma, nabrzniewając z wolna tonami, sama się stała domniemaną poetyczną mową. To też przeciw onym roszczeniom powstawało niejednokrotnie wypowiedane uczucie prawdy i nie jednokrotne dla tej prawdy na polu muzycznym staczały się walki. Ale już czas nie był po temu. Wśród wzrastającego w nowoczesnym romantyzmie zapału do poezyi czystej, oderwanéj, estetyczność form i piękno całości przestały być przedmiotem powszechnej uprawy, a ztąd i teatr liryczny stanął poza obrębem dojrzałej krytyki wieku.

Miałaby muzyka stać się samą prawdą, samą treścią ideałów, i ludzkość miałaby kiedyś w symbolach dźwięcznych zamknąć ostatnie słowo swéj mądrości poetycznej? W istocie, tajemnice muzyki i jéj na cywilizacyą wpływy, budziły zawsze uwagę myślicieli. Nie bez przyczyny głęboko się zastanawiał nad muzyką matematyczny umysł Pitagoresa, widząc w niej system, według którego światy urządzać się miały. Karteziusz również pracował nad rozwiązaniem tkwiących w dźwiękach i harmonii zagadek. Ale się nie łudźmy, zagadki te nigdy rozwiązanemi nie zostaną, a w téj tajemniczości, cała właśnie moc muzyki spoczywa.

IV.

W obec nagłego w naszym wieku rozrostu sztuki muzycznej, estetyki jest rzeczą zwrócić uwagę na to samowolne jéj kroczenie, na to czarodziejstwo, jakim władze zmysłowe opanowuje, a z czego fałszywe o niéj mniemanie i ubliżające jéj urastają kierunki. Uroszczenia melomanii przynoszą krzywdę saméj istocie sztuki, która dlatego jest od innych wyższą, że swego rodzaju z ziemskiej nie wywodzi skorupy, i że nie bierze swych ideałów z życia realnego, gdzieby zejść musiała do jego brudnych kryjówek. Wszakże, jak dalece posunęłaby muzyka potęgę swéj ekspresyi, nie przestanie być tajemniczą, nieodgadnioną treścią, nigdy nie będzie *prawdą idealną*, ale *idealnym pięknem*. Zważmy, że lubo muzyka symbolizuje uczucia i myśli, ale nadaje im kształty tak idealne, nie ziemskie, że chcąc się stać ich uczestnikiem, trzeba się oderwać od świata, trzeba zapanować duchem nad powszedniemi wrażeniami zmysłów. Ztąd ta jéj czystość, unosząca duszę w sfery *dobra* idealnego; ztąd ta jéj moc, beatyfikowania wyobraźni która przed wzrokiem człowieka zakrywa plamy i ciernie żywota. Muzyka nie jest w stanie wypowiedać złego, bo go nie zna. Zapragnął artysta wyrazić w tonach jakąś ciemną stronę życia; więc wyrzucił ze siebie

tysiące przeraźliwych dyssonansów, niby kłuszące hydry i rozdarta duszę słuchacza; ale jęj nie wstrząsnął, nie dostał się w głąb sumienia, bo nie był w stanie ową niezgodą tonów samęj ciemności odstąpić. Raczej, dopuścmy że przejęty grozą owych subiektywnych sił, któremi się posługuje dzisiejsza poezya romantyczna, umiał obudzić w sobie pojęcie złego i zadrżał nienawiścią lub zemstą, rozpaczą lub piekielną złością; wszakże gdy się porwał do tonów, już te same tony go uspokoiły, a od kilku dyssonansów nieznacznie przeszedł do jasnej a spokojnej melodyi, niby modlitwy, z którą mu błogo i radośnie, z którą jak najdłużej zostać pragnie. Taka jest najpiękniejsza strona dualistycznej natury człowieka i muzyka z tej właśnie dogadza nam strony. Nie ma tu wymowniejszego piękna, jak rozwiązany akord dyssonansowy, jak po skrajnych cieniach niezgodności, światło doskonałej harmonii. Artystycznie pomysłana scena kościelna w Fauście, wielkie sprawia wrażenie. Dwie postacie, Małgorzata i Mefistofil, uwydatniają dramatyczność silnemi kontrastami, mającemi wyrazić skrucę i żal z jednej, szatańską złość z drugiej strony. Otóż obiedwie te postacie zniknęłyby w chaosie wrzawy, z której słuchacz najniżejszego o ich dramatycznym charakterze nie miałby wyobrażenia. Ale one grzmiące bassowe kolumny i rozdzierająca sopranowa melodia, rozścielają się na tle przeczystej a pełnej błogości kościelnej modlitwy, którą lud śpiewa. Wprowadzona do głównej myśli, udziela ona tej ciemnej scenie niebiańskiego światła i darzy rozdrażnionego słuchacza słodkiem uczuciem nadziei.

Stosunek nowoczesnej sztuki muzycznej do poezyi, jest jak formy do treści, jak mowy do myśli. Mowa była najpierwszą sztuką człowieka; jęj też powierzał on najpierwsze swe tajemnice. Ztąd mowa stała się nam najpojętniejszym z symbolów, bo od piełuch młodziechną wyobraźnię naszą ze swemi znakami oswaja. W nięj zawarła poezya owe szczytne objawienia ducha ludzkiego, które w księgach od samego początku świata spisywane były. Ona więc pielęgnowała w człowieku ziarno poezyi, a wskazywała co najpiękniejszego w życiu i poza nięm. Więć niby macierzysta przewodniczka, stała się piérwotorem i tłumaczem poetycznej mądrości. Muzyka drugą była sztuką człowieka, a poczęła i wychowała ją mowa, tchnąc w nią duchem idealności, symbolem, którego się sama rzekła. Z tej więc strony, muzyka, idealizująca mowę, opiera się całkiem na poezyi, na *prawdzie* idealnej. Panuje tu zupełna nieskończoność, jak jest nieskończoną poetyczna treść w człowieku, i dlatego muzyce symfonicznej granic ekspresyi oznaczać niepodobna. Owszem, sięgać ona może we wsze kraje myślenia i czucia, a ta jęj brzemienność sprawia, że najpiérwszém zajęciem słuchacza jest odszukiwanie w muzycznym poemacie wspomnień z onych wrażeń które mu poezya w macierzystej przedstawiła mowie. Ztąd też w piękniejszych utworach zda się, że żywe słowo przemawia, że już samą prawdę czujesz blisko

i niby widzisz, a dotykalnie ujmujesz treść najpiękniejszą. Tak jest w istocie, bo mistrz myślą i uczuciem dotykał samej prawdy, mówił w pierw ojczyzną mową, zanim się w dźwiękach utulił. Z dźwięków też uczynił on swą mowę, w której poetyczną treść wypowiada.

Ale ta muzyczna forma poezyi, to niby czary, to niby owa dziewczęca postać z nieba, marzeniem młodzieńczym gdzieś we snach widziana, której ciało z róż samych, a czysta miłość w oczach i weselna radość na ustach. Dotyka twój duszy, swym pocałunkiem ją porusza, a potem w przelotnym znika obłoku. Muzyka, a zwłaszcza harmoniczna, wyższą jest od mowy, bo ta z piedestału sztuki, zesłała w posługę codziennym ziemskim stosunkom, a stała się narzędziem potrzeb człowieka. Dlatego też mowa muzyczna, lubo dotyka prawdy lubo w wyobraźni naszej o te wyraźne potęga wspomnienia, wszakże, niby czarodziejską różeczką, rozwiewa je a nadaje im kształty niezwykłe. Tą niezwykłością mowy właśnie, muzyka ma moc potęgowania wrażeń i otaczania wszelakiej rzeczywistości pewną najwyższych uczuć aureolą. Olbrzymia treść poematu Fausta, w którym przedstawiona walka rzeczywistych namiętności ludzkich, nabiera w muzyce tego spokojnego piękna, jakim autor chciał swą filozoficzną prawdę otoczyć. Muzyka doskonale wielką myśl poety syntetyzuje, bo usposabia wyobraźnię i serce słuchacza do schwywania prawdy w mistycznej tajemnicy. Ale baczmy, że z pomocą harmoniczną swą techniki, wkracza muzyka tak samo i w dziedzinę sztuki malarskiej; więc niby opisowa poezya, dotyka pędzlem tych samych okolic, w których spoczywa prawda i odtwarza zaklęte w wyobraźni, a ze świata do niej przyniesione obrazy. Tym obrazom, stężonym w pamięci, nadaje ona życie i urok, oświeca mroczne postacie i z wdziękiem jeszcze bezludną przedstawia pustynię. W istocie, w uwerturze Mendelssohna p. t. „Grotta Fingala,” dość tego tytułu, aby wczytany w ossijaniczne pieśni słuchacz, widział przed sobą ową bohatera szkockiego kryjówkę, a w niej smutną, marzycielską postać ślepego starca, o swój wojowniczej przeszłości bajającego. Przypomina tu sobie słuchacz ową w górach poezję ludową, a muzyka, niby ponure echo lutni bardów północnych, zda się prawie o onych czasach szczęśliwych, kiedy bohaterski naród, wśród poszczęku oręża i wśród patryarchalnego żył obyczaju. Z zadziwiającym talentem malował Meyerbeer typy i postacie, od zamierzchłych w dawnych dziejach, aż do nieznanej nam charakterystyki ludów dzikich.

Owoż wnosić wypada, że muzyka, w swym dzisiejszym rozwoju, jest objawem piękna powszechniej poezyi życia. głosem z pierś, prawdą idealną natchnioną. Toż piękno w symfonicznej muzyce o tyle tylko istotne, o ile kompozytor w głąb prawdy wchodzi, o ile umie z niej samego wywołać ducha. Dla tego powinien on odtwarzać nie tekst, nie szczegóły, ale idee. Wszakże mu posłużą do tój roboty same rozsiane tu i owdzie bogactwa materiału muzycznego. Charakterystyczne melodie, w których zawarta cała treść psychologiczna narodowa, to obfite źródło muzyczne, na dnie któ-

rego sama prawda leży. U tego źródła czerpać mistrz może, jeżeli chce dotykać idei. Będzie wówczas jego dzieło nosić pewien charakter, będzie ukrywało treść oznaczoną. Ale zważmy, że nawet każde muzyczne dzieło nosi na sobie charakter i pewną cechę poetyczną, lubo sam autor o tém nie wie, lubo utworowi swemu nie nadał tytułu i muzykę swoją w zupełném oderwaniu tworzył. Pracował Szopen na obcej ziemi i nie wiedział o tém, że każdy pomysł jego opierał się o tę poezję polską, która tak wydatnym a odrębnym w ostatnich czasach zapałała idealizmem. Dla tego też mało dostępny dla innych, tylko w sercu polskiém grę wspomnień i uczuć obudza. Tak jest w istocie, bo artysta jest duszą poezji, która go wychowała a którą w siebie wsiąknął.

Wszakże i te kraje rzeczywistej poezji sztuce muzycznej nie wystarczają. Symfonicznej treści nic nie krępuje, wolność jest jej atrybucją. Nieskończoną kombinacją tonów i rytmu, nieograniczoną mocą frazowania i deklamacyi, wchodzi muzyka w one światy myśli i uczuć, którym już ani słowo, ani pędzel ciała dać nie mogą. Realność mowy uciska w człowieku dziedzinę marzeń i widzeń; kryją się te ducha ludzkiego objawy, przed ironią nieubłaganęj logiki. A przecież one są i streszczają się w wyższych sferach sztuki, aby tam z całą wylać się swobodą. Wglądając ściśle w życie, znajdziemy że każdy człowiek jest w duszy mniej lub więcej artystą, lubo obce wpływy zgłuszają w nim ten boży pierwiastek. Każdy choć raz w życiu, ujrzał coś wyższego nad swoje upragnienia codzienne, a zapłonął ową poezją bezsłowną, bezcielesną, która całą jego ogarnęła istotę. To są rzadkie chwile, w których dusza idealne piękno ujrzała. W onych chwilach zachwytu, w których życie niewypowiedzianém szczęściem pięknieje, w których sam rozum wydaje się być tylko marnym zlepkiem ziemi, człowiek gromadzi w sobie najszczytniejszą treść ideałów. Owoż tego zachwytu i szczęścia doznaje twórca muzyczny. W dźwiękach odsłaniają mu się niewypowiedziane ideały wiecznie młodej poezji, a symfoniczny poemat jest właśnie onych idealnych przywidzeń opowieścią.

Teraz zważmy, że piękno poezji wypowiada się w muzyce melodyą. Muzyka i melodia, to jedno. Muzyka bez melodyi istnieć nie może. W najwyższym rozwoju sztuki idzie właśnie o formy, które ta melodia przybiera, o plastyczne jej kształty, o różnostronne rozszerzenie jej ruchu. W harmonicznęj kompozycyi wszystko jest melodyą, a więc tak modulacye jak akord pojedynczy i rytmiczne przestanki, wszystko tu, ma melodyjne znaczenie. Melodia jest prostą i naturalną, kiedy w przyrodzoném następstwie tonów zamyka uczucie liryczne. Wówczas jest tylko piosnką, nie mającą wyższego namaszczenia sztuki. Współ z poezją rozpękła ona, niby kwiatek wiosenny, jednym tchem w imaginacyi ludu; słowa i muzyka ułożyły się tu odrazu, a zabrzmiały ową pięknością co do niczego pretensyi nie ma, co tylko prostotą i uczuciem swoje wdzięki stroi. W takiej melodyi jest pewna miara. zbliżająca ją najbardziej do poezji uczuć. Nikt jej nie układał, nikt się nad jej

formą nie mozolił i dlatego najżywiej wyraża ona ów liryzm, z którego wyszła. Jest znów melodia na wyższym stopniu, kiedy przybiera formę wyszukaną i w indywidualnym natchnieniu artysty się przerabia. Sztuka tu przychodzi w pomoc i tej prostaczęj, pierwsiastkowej pieśni daje rozwój taki, na jaki ją stać. Więc jeśli jest melodia ta w formy harmoniczne ubogą, jednostajną i pojedynczą, zdobi się wówczas wytwornością, zbytkiem, czaruje rzewnością i namiętną rozkoszą, a staje się tłumaczem uczuć wyszukanych, wydelikatnionych. Takim językiem muzycznym, który wyrobiła opera włoska, śpiewa dziś cała Italia, bo się on łatwo w pamięć wdraża i łatwo w masy publiczne wsiąka. Dlatego muzyka włoska ma pewien oznaczony z poezją uczeń stosunek; dlatego w niej dramatyczni sztukmistrze długo wzorów szukali. Ale inną jest też sama melodia, kiedy się nieskończoną staje w swych ruchach i przewrotach, kiedy już jest niby ideą, niby myślą. Roztacza się ona po przestworzach harmonii i z nią jest spojona węzłem nierozdzielnym. Nie można jej w oderwaniu od harmonii pojmwować. Taka melodia przemawia już nie do samych uczuć, ale do wyobraźni i inteligencji słuchacza, odsłaniając mu nieskończony świat ideałów. Taką melodyę, będącą sztuki nowoczesnej najpiękniejszym znamieniem, o ile uprzytomnić wyobraźnia sobie może, o tyle pamięcią ją odtworzyć niepodobna. *Muzyka symfoniczna wyrobiła się w nieograniczoną sferę piękną poezyi; dlatego melodie jej żadnej nie ulegają konwencyonalności. Lubo sztuka dramatyzuje tu ideę melodyjną, ale jej interes jest wewnętrzny, psychiczny, zamknięty w sobie. Sztuka muzyczna, w oderwaniu od poezyi słowa, jest tu najwyższym szczytem idealności.*

Widzieliśmy jak muzyka rozmaite przechodziła stopnie rozwoju, od greckiej melpei, gdzie była tylko zewnętrznym poczciem objawem, aż do symfonii, gdzie już całą ogarnia poezję uczuć i myśli, gdzie już sama niby wewnętrzna treść się zamyka. Ale symfoniczny poemat, cały w sobie, a ową powszechną poezją brzemienny, zostanie zawsze oderwaniem, abstrakcją. Muzyka czysta, jako samo piękno idealne, zawsze unosić będzie duszę daleko od ziemi, w owe przestrzenie bez gruntu, gdzie wyobraźnia już stąpać śmiało nie może, gdzie sama myśl w oceanach symbolów rozplywa. To piękno najszczytniejsze, najuroczystsze, ale nie ziemskie. Dla tego jawne połączenie prawdy poezyi z pięknem muzyki, będzie zawsze istotną w sztuce manifestacją życia, najsympatyczniejszym powszechnych artystycznych instynktów objawem. Zważmy że formy muzyczne nigdzie w rzeczywistości nie istnieją; tworzy je fantazja i artystyczna wyobraźnia. Ale są te formy zawsze poetyczności prodom, a utajoną w sobie noszą samej poezyi piękność. Wyrabia je konieczny pociąg człowieka do wyrażenia słowa dźwiękiem, piękną intonacją. Więc nie można im nadawać kształtów sztucznych, dowolnych; nie można ich od poetycznej odrywać macierzy, bo się staną pustym architektonicznym zlepkiem a nie oną budową piękną i wspaniałą, po której znać że w niej

mieszka człowiek, duch. Spytajmy dlaczego dziewczę śpiewa. Bo je urok poezyi rozgrzał i przyprowadził do rozlania nadobnej myśli w tonach. A przecież dziewczęca poezya, to tylko drobny z życia urywek, który, tak samo jak miłość ze swim słońcem i chmurami, poezyi nie wyczerpuje. Poezyą żyje każdy wiek człowieka; jęj zdroje całą podsycają ludzkość. Owszem, każdy ją cenić umie, bo poezya, to wdzięk życia, to prawda, w święteczną odziana szatę. Co poza nią, to mroźna i głucha realność, do której po wsze czasy duch człowieka wstręt czuje, pomimo nawet onego upadku jego, który materjalizmem zowią. Patrzmy jak świat myślący poetyzuje; jak się sucha nauka zdobi wdziękami by się podobać; przeciwnie, sama się koronuje najwyższym celem do którego dąży, ową zdobytą u stóp przedwieczności prawdą, dla tego piękną, bo jasną i pocieszającą.

Jeśli więc muzyka, jako piękny poezyi wyraz, w ślad za nią idzie, tedy w jawnym swym stosunku do poezyi, a zwłaszcza dramatycznej, sztuka muzyczna powinna stać się wyłącznie tylko pięknym jęj kształtem. W nieograniczoną moc wyrobiony nowoczesny język muzyczny, sam przez się staje się mową i pędzlem; ale przedmiot jego, poezya słowa i myśli, powinien mu być zawsze przytomnym, jeśli muzyka ma upiękniać i podnosić istotne w sztuce wyobrażenie życia. A przecież nie inny, tylko ten jest jęj przyrodzony przyniot, szczytne zaiste posłannictwo, być sztuk piękną glorią, samą twórczość nadziemskim uszlachetniać wdziękami.

V.

Historya teatru ściśle się wiąże z historją cywilizacji. Miał teatr swoje piękne karty, miał zwłaszcza w ostatnich dwóch wiekach swoją literaturę dramatyczną, która nam przyniosła miłe wspomnienia ze starego klasycznego świata. Wszakże we wszystkich epokach jego świetności i upadku, był teatr zawsze wyrazem czasu i wespół z literaturą wciskał się do życia, do obyczajów i moralnych potrzeb społecznych. Wysoce arystokratyczny w epoce dworactwa i w czasach przywilejów, nosił na sobie piętno owej wytwornej elegancji, która już za Ludwika XIV wyszukany polorem salonową zdobyła literaturę. Gwałtownie tendencyjny w epoce bieżącej, staje się wiejscem tej propagandy demokratycznej, która na wszystkich punktach umiejętności i sztuk zchodzi na dół, by podać wielkiemu zadaniu nauczania mass, oświecania powołanych do bytu ludów. Wszakże jak w tej epoce panowania idei arystokratycznej, teatr niejednokrotnie ulegał dziwnym kaprysom pańskim, tak i w obecnej swęj tendencyjności, nie jedną fałszywą myślą nadużywa estetycznych praw i nietykalności sztuki. Owóż tak jest i być musi, bo sztuka dramatyczna jest życia społecznego najwyraźniejszą prawdą. Rzadkie są epoki, w których geniusz tę

prawdę do ideałów podnieść potrafi, do owych wyżyn wiecznie panującego piękna, z których ją czas stracić nie może. Bo poezya dramatyczna żyje krwią i ciałem ludzkim, więc przedstawia owe pojęcia i uczucia, ową moralną stronę społeczeństw, które pod wpływem cywilizacji co chwila się zmieniają, podnoszą się i upadają, a coraz innemi ku swym celom zdążają drogami. Szekspir, Szyller i Goethe stoją jak półbogowie poezyi, ale naokoło nich jakieżto maluczki światki piszących dla jednej chwili, ileż fałszu i trucizny przygotowanych dla ogółu społecznego, który nie jest w stanie duchem ku onym podnieść się mistrzom.

W obec téj realnej natury sztuki dramatycznej, dramat muzyczny należy do najpiękniejszych pomysłów artystycznych. Opera w istocie powinna być tém najczystszeń piękniem zajaśnieć. Urok muzyki powinien być scenę od ziemskiej ochronić szkarady; idealność jej miała tu zacząć stronie człowieczeństwa zadość uczynić. Wielmożna władczyni uczuć, muzyka liryczna przede wszystkim, jest naturalną serdecznych pulsacji człowieka, przedstawicielką, więc odśłania piękno miłości w jej rozlicznych kierunkach, przemawia do szlachetnych zalet charakteru, a dotyka onych kryjówek ducha, do których się człowiek chętnie ucieka, dla wypoczęcia po znojach i gwałtach ziemskich namiętności. Wystawmy sobie dramat, gdzie treść z życia wyjęta, a przedstawiona w całej groźnej swój prawdzie, przychodzi w muzyce do onéj apoteozy szczęśliwości i pokoju, do których w istocie jednostka ludzka dąży. To też niemoże być doskonałą sztuka dramatyczna, która téj tendencji człowieka nie wyraża, która na złowrogim odsłonięciu namiętności i przyprowadzeniu człowieka do zbrodni, swoje tragiczne kończy założenie. Dlatego wysoką artystyczną wartość mają one poetyczne utwory Szekspira, do których mistrz ten wprowadzał postacie pełne słonecznej jasności i błęgiego spokoju, niby zesłanki niebios wśród burz i ńędzy ludzkiej. Te właśnie postacie swém światłem całą ciemnicę tragedyi ogarniają, a prawdę żywotną w sfery ideałów sztuki unoszą. Z innej strony, uznać należy, że muzyka symfoniczna, w swym olbrzymim dramatycznym rozroście naturalną dziś staje się opery współniczką. Obok piękna poezyi, owa forma wspaniała a pełna tajemniczej treści, do najsilniejszych wrażeń, do najszczytniejszych widzeń poruszać wyobraźnię może. W dramacie właśnie, symfoniczna muzyka, wychodząc ze swego psychicznego zamknięcia, dotykałaby już z bliska prawdy, poetyczną wyrażoną treścią i podnosiłaby temsamém całość do najwyższych dzielnic artystycznego twórstwa. Tak pojmowany dramat liryczny stałby się kreacją niespożyta, jako całe w sobie, a doskonałe dzieło sztuki.

Ale opera, przyswajając muzyce najwyższy rodzaj poezyi, tragedye, nigdy nie umiała do owych wyżyn sztuki się podnieść. A najprzód zapoznała istotną, przyrodzoną formę, w której się prawda dramatyczna wyraża, piękno poetycznego słowa. To ją sprowadziło do próżni, do nicości, bo muzyka sama przez się nie

jest w stanie owych dziejów czynu uplastyczniać, którym artysta dramatyczny najdzielniejsze siły duchowej energii, krew i ciało swoje poświęca. Pod osłoną samoistnej muzyki, która całe scenarium sobie poddała, zamgliła się treść i żywotne przedstawionych czynów znaczenie, a znikła jawność istoty ludzkiej, stawionej w tragedyi przed sąd najwyższych praw moralności. Zostaje tu tylko błada osnowa, niby kopja obrazu, którego rdzenne postacie malarz w przejrzyste cienie zamienił, a odebrał im charakter i samą treść zmieszał w jakimś obłoczném, nieodgadnioném widzeniu.

Zważmy że piękno dramatycznej poezyi stanowią najprzód *szczególne*. Dlatego rozsiał dramaturg w swym utworze owe bogactwa pięknej strony życia, które mają do wszystkich władz umysłowych słuchacza, do wszystkich jego uczuć przemówić. Więc uzacnił jego pojęcia, obudził sympatyę i zachwyty dla wzniosłej myśli, dla szlachetnego czynu, a nauczył obcowania ze sobą i baczenia na wielce ważne szczegóły czynów codziennych. Każde słowo i myśl każda, mają tu głębokie znaczenie, bo się z nich składa ów światek czynów, w którym się dramatyczna osoba porusza. Wszakże, lubo tę osobę wiernie określił dramaturg, to jednak wielkie zostawia zadanie do rozwiązywania artyście. Ma on stworzyć czynność tej osoby, ma napiętnować jej postępowanie i charakter tym lub innym odcieniem, a wszystkim jej przymiotom nadać barwę wyższą, estetyczną. Bo wszelka prawda musi się z kurzu ziemskiego otrząsnąć, zanim w progi poezyi wejdzie; naturalna jej cielesność powinna w duchowych ogniach artysty się oczyścić, aby mogła do duszy widza się wcisnąć. Dlatego też aktor powinien być panem swojej osoby, a mieć na posługę swojego działania tę formę przyrodzoną, w której swoje myśli i uczucia ukształcił, a która najlepiej jego treść wypowiada.

Teraz myślący uczestnik *całość* chce obejrzeć sztuki, zdaleka przypatrzeć się owemu obrazowi życia, który ma znamię wyższego natchnienia nosić na sobie. Bo lubo szczegóły mogą zająć przez chwilę, ale tylko artystyczna całość, tylko istotna w dziele przytomność duchowej prawdy, stawia go na piedestale, z którego hołd czci i powszechnego uznania odbiera. Tylko estetyczna całość dramatu najwyższe sprawia wrażenie, bo w nim wszystko w logicznym porządku; bo ta harmonia doskonale przedstawia niedocieczone człowieka z zewnętrzną przyczynowością związku.

Otóż zatracone są w operze one dramatycznego piękna warunki. Obaczmy czém jest w istocie opera.

Treść opery nie może być poematem w istotném znaczeniu dramatycznej sztuki. Wszystko tu przeinaczone i do peryodów muzycznej struktury przykrojone. Więc nie szukać tu pięknej formy poetycznej, ani związków logicznych. Owszem, w onych librettach już wcale zatarte owo piękno szczegółów, które stanowi filozofię dramatu, natchnienie i moralną stronę autora.

Natomiast sztucznie wprowadzone liryczne kuplety, stanowiąc tu mają właściwe tło solowych aryj, a w ten sam sposób kojarzą się i sytuacje przeznaczone dla efektów muzycznych, dla śpiewu zbiorowego, chórów i finałów. Patrzmy jak wokalizuje Szekspirowski bohater, jak się z trudnościami śpiewu pasuje, a całą istotę swój roli, w muzycznym zatopił artyzmie. Cały sobą zajęty, bo cięży na nim odpowiedzialność wielka za najmniejszą niezręczność wokalia, za najłżejsze diletanckiego ucha obrażenie. To też z tragicznej jego roli nic nie zostaje, a zwłaszcza w tych operach dzisiejszej szkoły, gdzie śpiewak z orkiestrą walkę staczać musi. Z tego zapoznania piękna treści, powstaje właśnie drożność i niemoralność libretta. Pod protekcją muzyki wciska się skandal i w jej niepowściągniętych wdziękach przychodzi do pewnej apoteozy. Muzyka włoska w lubieżnych topielach melody szuka piękna, więc i libretto jej z dziejów miłosnych rozkoszy czerpie. I na tej smutnej historii sensualizmu cała urosła tak zwana opera romantyczna, a już widoczne złowrogi jej na moralność społeczną wpływy, na ową społeczność, która śpiewającej Italii niósł a cześć i hołdy bez miary.

Ta próżnia i nicość przedmiotu w operze, prowadzi ją do wspomnianego się przepychem i wystawnością, do rozrywania znużonego słuchacza niespodziankami, wprowadzonymi tu z obcego świata sztuki. Piękno choreograficzne nie na swoim jest miejscu, skoro się gwałtem do opery wciska, niby publicznej niecierpliwości rzucana rozrywka. Muzyka do najpoważniejszych sięga przedmiotów dramatycznej poezji; cóż więc wspólnego ma lekkoduchy taniec z powagą czynów ludzkich? Musi tu słuchacz od pathosu i płaczu, do pustego przechodzić wesela; głęboką jego zadumę przerywają naraz ruchy, które tu nic nie wyrażają, a mającą się budzić ku wzniósłym rzeczom uwagę, zmysłową nęca pokusa.

Patrzmy na formy typowe opery. Tu to być arya i kawatyna, ballada i romans, a wszystkie w tradycyjnej swój okrągłości, kończą się zwykłą kadencją tonikalną, wówczas gdy akcja dalej się ciągnie i nic przerywać treści nie powinno. Przeciwnie, rzecz się rozwija i kolejno wprowadzać ma słuchacza w interes, w najpiękniejsze poetycznego przedmiotu zadania. Tu właśnie niewyczerpane pole dla muzyki, która tę stopniowość interesu potęgować może i przywoździć słuchacza do rozpoznawania najszytniejszych dramatu myśli. Toż o ile próżne są treścią owe wykończone a oderwane śpiewy kochanków, o tyle znowu nie ma między ouemi lirycznymi całościami związku. Nie znaleźć tu nici wiążącej myśli i wypadki. Ten ciasny świat ukutych form przywoździ muzykę do ratowania się sztucznością. W efektach wokalizy, w nieskończonych upiększeniach, tryllach i fermatach, zatracca się charakter rzeczy śpiewanej i tonie sama dramatyczna idea, którą całkiem despotyzm dźwięcznej massy zakrywa. Dla tego opery się piszą dla śpiewaków i dla nich się też czynią najdziwaczniejsze ustępstwa. W imię fałszywego tych reprezentantów dramy

wykształcenia, opera staje się kompilacją mniej lub więcej interesujących kawałków, a daje się skrawać i bez szkody przerabiać. Dlatego nie ma w operze całości i nie może być piękna wyższego, estetycznego. Lubo nie jedném muzycznym natchnieniem świętnieją tu owe porozrzucane cząstki, ale fałszywy kierunek téj muzykalii stawia ją otworem wszelkim nadużyciom. Więc łatwo opera się staje popisową areną talentu, i wykwiintną eleganckiego świata zabawką.

Jakoż od czasu, w którym opera przestała być starożytnéj tragedyi wzorem, widziany aż do obecnej chwili cały szereg wyrzutów estetycznego sumienia, cały szereg prób, odbywanych w celu przyprowadzenia jéj do jedności estetycznéj. Ale nie co innego, jeno brak rzetelnéj energii, oddał mistrzów od gruntownéj w tym względzie reformy. Ciężko było nie uledeż pokusie rozciągania na polu sceniczném onych piękności melodyi i produkowania onych cudów głosu ludzkiego, które porywały serca i upajały zmysły. W operze zapanowało poddaństwo gustom publicznym, a ztąd urosła jéj spekulacya i materyalizm. Z braku estetycznéj dźwigni, która w sztuce jest najwyższą instancją, a swą powagą zawsze umie publiczne dla piękna obudzić poszanowanie, wrósł ten materyalizm opery całą siłą w społeczny obyczaj. Więc idzie tu w istocie o zyski i o owe rzymskie *circenses*, o które na każdym stopniu wykształcenia powszechność zawsze dopominać się będzie. Toż zatarła się pod tą siłą obyczaju genialna reforma Glücka, a sławne za Ludwika XVI walki Glückerów i Piccinistów, jeszcze jednym skandalem wyobrażenia o sztuce napiętnowały.

Ale duch sztuki usypiać nie może. Rozpościera on opiekuńcze skrzydła nad oném palladyum, w którém na ołtarzu piękna najszczytniejsze się składają twórczości ludzkiej ofiary. Idzie ów duch zawsze naprzód, niewidzialny, niepostrzeżony, wpośród trwającej się nowością, a wiecznie konserwatywnej terażniejszości. Zwroćmy uwagę, że na horyzoncie sztuki muzycznej jawiły się w różnych epokach osobistości, których misyji jeśli czas nie umiał oceniać, to jednak praca ich przyszłym pokoleniom w puściznie została. Glück i Mozart, Beethoven i Weber są onymi duchami, których wiąże ze sobą tajna nie prawdy. Ich ród żyje w pokrewnym sobie świecie wybranych, a w coraz potężniejszych odradza się geniuszach. Toż i dzieło ich, pomimo oporu naprzód idzie, lubo zwolna i wśród walki. Któż mógł sądzić że Beethoven przez powszechność coraz bardziej pojmovanym będzie, że odrzucony w przeszłym wieku Glück swego następcę znajdzie?

Ostatnie lata rewolucyi w opiniach, z których tyle nowych wykłuło się idei, a zwłaszcza ów ruch umysłowy, któremu impulsę dał z jednéj strony głęboki idealizm filozofii niemieckiej, z drugiej coraz szersze prace nad dziełami starożytnéj greckiej cywilizacyi, powołały i sztukę do stawiania ku odrodzeniu się stanowczych kroków. Szkoła muzyczna niemiecka przygotowała to odrodzenie się, a jéj wpływy elektryzują powszechną melomanję, lubo się do

tych wpływów inne obozy otwarcie przyznać nie chcą. Wszakże tych obozów połączenie już dziś widoczne, lubo długo zapewne czekać wypadnie, zanim się przewyciężą opinie, prawne swą długo-trwałością, silne powszechnym obyczajem.

Stoimy właśnie w obec artystycznej siejby i patrzymy na pracę sztuk mistrza, który olbrzymi bój z przesądem stacza. Choć do przyszłości należy o téj pracy Ryszarda Wagnera sądzić, ale gdy w nim, jako w następcy Giücka, skupia się ogólna dążność owéj rodziny artystycznych umysłów, gdy dzieło jego wielkiem natchnieniem brzemienne, wskaźmy choć główną myśl tego dzieła, odsłaniając zarazem i pełne znaczenia dramatu muzycznego piękno.

VI.

W osobie Wagnera przedstawia się geniusz, w duchową robotę wieku naszego wtajemniczony. Niezłomna wola i energia są jego bronią przeciw napotykanym zawiadom, a wzrok jego skierowany ku jaśniejącemu obliczu prawdy, dla której męczeństwo ponosi. W istocie, życie Wagnera—to szczytny rapsod bohatera. Dla idei, dla istotnego piękna, zaparł się on zaszczytów i sławy, któremi dawno mógłby się już sycić. Harda dusza zrzeka się miłości własnej, byle nie czynić ustępstw na rzecz ustalonej tradycji, byle osiągnąć prawdę, w którą uwierzyła.

Głównym celem Wagnera pracy, jest demokracja sztuki. Chce on stworzyć piękno, któreby było dla wszystkich dostępne, w którembymy mogła cała uczestniczyć powszechność. Takie dzieło musi być doskonałą artystyczną całością, bo ma całą obejmować ludzkość, ma być myśli społecznej najwyższą estetyczną koroną. Wagner jest przedewszystkiem poetą-filozofem, który w przekonaniami swych wysoko wartość dramatu w społeczeństwie stawia. Widzi on w nim owo dzieło sztuki, które się nie schyla do drobnych teoryj lub pojedynczych uroszczeń, które nie jest brudu ziemskiego dzieckiem, naigrawającym się z własnej człowieka nędzy. Owszem, pojął Wagner dramę jako żywą syntezę natury, w całym jéj ogromie, w całej potędze tryskających w niéj prądów żywota, a niewyczerpaną w objawach swoich. Nie wchodzi tu do gry wielkie arkany namiętności, niema tu arystokracji bohaterów. Wagner w dramie powołuje do uczestnictwa całą ludzkość, w jéj czynnym ruchu, a bierze ją wśród pełni życia, wśród upragnień, niepewności i wśród gorączkowych jéj dążeń.

Zważyny że czasy tragedyi bezpowrotnie minęły. Znikła poezja złego, która ongi trwożą przejmowała niepewne siebie społeczeństwo. Ludzkość na twardym stanęła gruncie; wie czego żąda i dokąd idzie. Więc ma wolę która jéj świeci; więc unika ścieżek ciemnych i o jasny dzień woła. Dlatego téż owa nieruchomość sztuki, której zasadą była w czasach starożytnych inter-

wencya religijna, a w naszych despotyczna idea kastowości społecznej; owa teorya, w której zbrodnią był ruch wszelki, rozpaść się musi w obec dzisiejszej tendencji, w obec onęj skrętności, onęj energii życia, przenikającej wszystkie warstwy, od warsztatu do tytułów, od wiejskiej zagrody do pałaców. Jak w życiu, tak w sztuce, ludzkość dotąd rozpierzchnioną była. Szukała sztuka obozów i dlatego była skrepowaną, niewolną. Toż przeciw tój jej nieruchomości stanęły do walki nowe idee i do zstąpienia w życie ją zmusiły. Widzieliśmy tę walkę i byliśmy świadkami wywrotów, jakich czas dokonał. Wszakże, gdy sztuka pojęła swą dzisiejszą misję, gdy rozpoznała tętną bieżącą chwili, idzie teraz o to aby nie straciła swęj wyższości, swych nieskalanych znamion. Rozszerzając swój zakres i ogarniając całą spragnioną ruchu ludzkość, nie powinna być samą tylko ideą, samą piękną doktryną; ale całą w sobie, wielką, organiczną kreacyą ducha. Powołana do powszechnego stołu ludzkość, przynosi ze sobą duszę młodą, a wyobraźnię zbyt czułą. Każda myśl, każda idea, silném wrażeniem się w nięj odbija. Dlatego koryfuszów nowoczesnych powołaniem jest ową duszę najpiękniejszymi sycić wrażeniami; nie tylko, ale tworząc sztukę całą w sobie i pełną społecznego ruchu, tworzyć ją przedewszystkiém piękną i wzniosłą, czystą i niezależną.

W starożytnych wspomnieniach szukał Wagner owego typu stosunków ludu do teatru, jaki Eschylośowa stworzyła ojczyzna. W istocie tóż, jeno w Grecyi istniała owa wspaniała świątynia pięknej prawdy, gdzie wszystkie się łączyły sztuki, by zgromadzonemu ludowi godnie jego własną przedstawić zacność. Odtąd, różne gałęzie tój sztuki rozpierzchły się, tworząc pojedyncze umiejętności, a w tym rozwodzie swoim istotną wartość straciły. Dlatego trudno pojmują wieki nowożytne wysokie znaczenie sztuki; ludzkość, do czynu rozbudzona, nie jest w stanie dać sankcyi onęj najwyższej zasadzie estetyki: *sztuka dla sztuki*. Ztąd owo naginanie jej do celów, do posługi, przeciwko czemu zaszczytnie ją bronią filozofowie. Wszakże to zapoznanie dopóty trwać będzie, dopóki sztuka nie stanie się jednym z moralnych przewodników człowieka, dopóki społeczeństwo nie zazuje potrzeby pięknego, estetycznego życia. Ale dlatego sztuka musi się stać żywą i wolną; wystąpić z kryjówek onęj zazdrośnej muzy, która ją więzi i rozdziela, a nabrać ciała i krwi w powszechnym organizmie piękna.

Z tój strony pojął Wagner dramat i to właśnie jego geniuszowi sławę przynosi. Chce on tu połączyć wszystkie sztuki piękne; chce dramat uczynić wzorowym zbiornikiem artystycznej umiejętności człowieka. Wszystkie sztuki są własnością ducha ludzkiego, wszystkie są pojedynczemi jego twórstwa objawami. Połączenie tych objawów w jedną artystyczną całość, odtwarza właśnie ową żywotną spójnię, która w dramacie ma przedstawiać ludzkość całą, zupełną, w jej istotnej potędze myślenia, czucia i tworzenia. Poezya i muzyka, malarstwo i plastyka, mają tu zająć odpowiednie miejsca. Ale w tym artystycznym wieńcu żadna z siostrzyc nie

powinna jedna drugiej wyłączać, żadna niema o pierwszeństwo się ubiegać; owszem, każda powinna być tém, czém jest w życiu, więc poezya *prawdą idealną*, której treść wypowiada *piękno* muzyki i ożywiają *kształty* plastyczne.

Wagner cały oddany jest potrzebom masy społecznej, którą pragnie ująć dla sztuki i w jej najszczytniejsze podwoje wprowadzić. „Nazywam publicznością—pisze on w swoim dziele—całą masę widzów, która, lubo nie rozumie samych arkanów umiejętności, to jednak bez trudu i z pomocą wrodzonej skłonności, do obejmowania piękna dramatycznego się podniesie.” Dlatego, zajęty przedewszystkiém poezją, w niej szuka istotnej dramatu podstawy. Tę poezję znajduje on w mytach i legendach. W mycie lud spotyka się ze swém ukochaném bóstwem i z bohaterem serca swego; w nich widzi on zawsze człowieka, siebie samego. Z drugiej strony, zacierają się w mycie one formy konwencyjonalne, które dostępne są tylko czystemu rozumowi. Pod ową formą prostą a zwięzłą, która się sama przez się z mądrości życia wysnuła, gdzie ustaje wykład przyczyn i indywidualizm poety, przedstawia się istotna prawda, ludzka, żywotna, a dla wszystkich pojętna

W takim dramacie, w tym wielkim i postępowym organizmie, muzyka jest tylko piękną stroną, uzupełnieniem, dopowiedzeniem onych tajemnic ducha, których słowo wypowiedzieć nie może. Ale jak bez poezyi muzyka potrzebuje wytłumaczenia, dotknięcia nagłiem słowem tkwiących w niej zagadek, tak poezya bez muzyki nie może być czém inném, jeno szkieletem, jeno potencją w związku. Wagner przejął się Beethovenowskiego języka potęgą. W ostatnich mistrza dziełach, w dziewiętej symfonii zwłaszcza, dostuchał się on tak wielkich dramatycznych myśli, widział w tej mowie tyle siły i życia, że powziął zamiar ów niezmierny Beethovenowskiego dziedzictwa skarbiec, dramatowi przyswoić. Owóż epos symfoniczny wchodzi do życia i staje się nieodłącznym samój poezyi współnikiem.

Rozumiał Wagner, że tak wysoko przezeń pojmovany dramat wymagał bezgranicznej mocy w ekspresyi i nieznanej dotąd muzycznych form giętkości. Trzeba tu bowiem przemawiać nie do samych zmysłów człowieka, nie zajmować wyłącznie jego myśl lub serce, ale owszem, zainteresować całą jego istotę razem wziętą. Dla tego muzyka ma się tu stać omnipotencją ekspresyi, mocną wprowadzić każdą bez różnicy intelligencję w jasne obejmowanie ideałów, poetycznym przedmiotem zawartych. Wagner chce wszystko uwydatnić, całą malować duszę dramatu, tak w jej najdelikatniejszych odcieniach jak i w najgwałtowniejszych ruchach. Ztąd ta jego olbrzymia nauka muzyczna, która się z jego artystycznym natchnieniem złąła, a posłuszną mu jest w każdej chwili, na każde skinienie jego poetycznej wyobraźni. Ztąd to panowanie jego nad przedmiotem, nad tworzeniem, w którym tyle czynników w jedną ma się wiązać całość. Owe rytmy niezwykle, owa kolosal-

na a przepyszna harmonia i to wyczerpywanie sił każdego instrumentu, w którym tyle kolorów i mocy, budzą słuchacza do nowej, nieznanej mu uczt duchowej. W istocie, to świat zupełnie nowy, do którego wchodząc, trzeba się pozbyć nawyknień; trzeba odepchnąć od siebie one formułki melodi, któremi nasz smak zaprawiony. Trzeba się oddać całą duszą onej atmosferze, gdzie taka massa powietrza i życia. Wówczas dopiero, w tym wielkiem przestworzu dostrzeżemy nici i światła, które nas do oglądania cudownych krajów poezji doprowadzą.

Jak każdy reformator, czuł i Wagner potrzebę sformułowania swoich zasad. Pisał więc wiele o sztuce, a z dzieł jego najznakomitsze jest dwutomowe p. t. „Opera i Drama.” W teoryach, obok wielu nowych i gruntownych spostrzeżeń, nie jeden błąd sterczy, nie jedno zapatrywanie się jego nacechowane dziwnym mistycyzmem, osobistym a oderwanym. Zwolennik Heglowskiego panteizmu, rozkochany on w onych widzeniach ducha, którym olbrzymy natury niewyczerpany dają przedmiot. Obaczmy jak określa Wagner wielką melodyę. Dla jej scharakteryzowania, stawia czytelnika wśród lasu, daleko od zgiełku miast i ludzi. Człowiek otoczony duchem przyrody, zagłusza w zmysłach swoich codzienność, skupia się duchem i powoli zaczyna przejmować głosy wielkiej nieskończoności. Ta nieskończoność przemawia doń tysiącem dźwięków, wzmagających się potęgą i jednością, w miarę wzrastającej solidarności władz duchowych słuchacza. Otóż w tych dźwiękach poznaje on *jedyną wielką melodyę lasu*, która w nim zostawi wieczne, niezatarte wrażenie. Wszakże odtworzyć ją sobie człowiek nie jest w stanie; chcąc ją jeszcze usłyszeć, musi z zachodem słońca do lasu wrócić. Byłoby szaleństwem chcieć schwycić pieśń jednego z tych leśnych śpiewaków, pieśń oderwaną od wielkiej melodi. Cóż bowiem można wówczas usłyszeć nad jakiś śpiew włoski? W tym streszczeniu jest pewna aberracja umysłu marzycielskiego, lubo w istocie wyznanie to należy uważać za klucz do rozpoznania natury wyobraźni Wagnera. Wszakże artysta i poeta zapominał chętnie owe widzenia mistyka, a w ogniu natchnienia przetapiał się ów somnambulizm, zostawując ledwie ślad po sobie, właśnie ową wielką a sprężystą siłę wyobraźni. Owszem, przede wszystkim przewodniczy Wagnerowej kreacji myśl wielka sztuki, w jej ścisłym do życia stosunku, a to go niejednokrotnie od słabowitych chroni teoryi. Miał Wagner swoje wielkie nadzieje i silną wiarę w przyszłość. Otóż był czas mianowicie rok 1848, który mu gorzkim zawodem życie zatruł. Wówczas to, na wygnaniu, z duszą zbolełą, a nadmiar zupełnym od świata nieuznaniem zniechęcony, na niebezpieczną się rzucił drogę. Ironia sceptycyzmu w dobrą trafiła chwilę, aby w zbolełe serce poety swój jad wszczerpić. Szatańskim śmiechem filozofii Schopenhauera próbował Wagner leczyć się z onego optymizmu, który mu tyle w życiu obiecywał, a nic nie dotrzymał. W onej to chwili rozstrojenia napisał swoją dramę „Tristan i Isolda”. Tę dramę uważa za punkt,

w którym zupełnie z przeszłością sztuki zerwał, a w którym dawno upragnionej reformy całkiem dopiął. W samej rzeczy tak jest, choć z drugiej strony zanadto wybitnie objawił się w tym utworze ów chorobliwy stan poety, aby w nim obok zdumiewających piękności muzycznych, konwulsyjnych nie dopatrzeć skrzywień. Jest w tém dziele sprzeczność; jest mistrz, który olbrzymim trysnął muzycznym geniuszem, i jest poeta, pod wrażeniem smutnego i gorzkiego zostający rozczarowania.

Ale nie mamy zamiaru krytycznie na reformę Wagnera poglądać. Przedsięwzięcie jego jest wielkie i nowe, a mała liczba współczesnych przy nim stanęła, oceniając genialną mistrza pracę. Wagner stoi sam, wśród wielkiego świata, twardą skorupą estetycznych swoich pojęć opancerzonego. Szydzą więc ów świat ze śmiałka, który ma pretensye nieumiarkowane, który chce nowe stanowić prawa, a mąci estetyczny spokój wielkiej falangi dylettantów. Wszak im dobrze z tém co jest. Toż tak nierówna walka nie jednemu bohaterowi wytrąciłaby oręż z ręki, nie jedna energia zachwiałaby się, przestając w swą własną wierzyć intuicyę. Dlatego nie można za złe mieć zapasnikowi, że wśród walki żalem się uniesie, że pierś jego jęk bolesny wyda. Artysta zbroić się musi nieugiętą wolą filozofa, i dlatego często z właściwego schodzi artystycznego stanowiska. Nie wiemy co wyrzeczcie czas i czy nie rozmiłuje się z całym zapalem w dziełach mistrza, o których dzisiejsza krytyka bojaźliwie sądzi. Nie wiemy, ażali one naleciałości ducha rozdrażnionego, które dziś niby pozór chorobliwości mają, nie opowiedzą kiedyś światu wielkich natchnień, jakie duch artysty w bolesnej pracy począł. W tém leżą zagadki i tajemnice sztuki. Ale w dziele tém pozostanie nie-
tkniętą myśl wielka i prawda estetyczna. Skoro tak jest w istocie, to potomność nie omieszką tę prawdę jednoznacznie uznać i tylko jęj samej cześć bezwzględna odda. Dlaczegożby i chwila bieżąca nie mogła w dopatrzaniu się jęj mieć udziału, i istotnych, niezakłóconych używać estetycznych uciech? Zaiste, najwdzięczniejszy to patrzącego do artysty stosunek.

Wagnera dzieło jest przedewszystkiem nierozdzielną a doskonałą całością. Nie można tu muzyki od poezji odrywać; słuchacz powinien je razem obserwować. Poeta związany tu z muzykiem ślubem artystycznym. Każdy motyw wywołany właściwą sytuacją, każdy akcent jest naturalnym dramatycznym kolorem. Słuchacz przejmując z razu motyw, rzucony dla określenia wchodzącej na scenę osobistości. Ów naszkicowany motyw daje tój postaci pewne psychiczne znamię, po którym jęj czynność i uczucia w ciągu całego dramatu poznawać się będą. W miarę rozwijania się tych uczuć i akcji, rozwija się i motyw, przybierając tysiączne kształty, przechodząc przez najwytworniejsze stopnie modulowania i nieskończone rytmy. Niknie i znów niespodzianie się zjawia, to się wzmaga niby strumień wezbrany i wybucha całą strugą majestatu i potęgi, aby potem znów do swego wrócić łoża i lekkim szmerem gdzieś w dali zniknąć. Uważmy o ile takie postępowanie stawia wysoko

dramatyczną kreację, dając mistrzowi zupełną w kierowaniu szczegółów niezależność. Niewielka liczba motywów odmiennych wystarcza całości, składając się na określenie głównych tylko idei poetycznego przedmiotu. Powiązane one są ze sobą tą nicią interesu, jaka istotnie psychiczną stronę dramatu wiązać koniecznie powinna. Toż wolen jest mistrz, w takim rozwijaniu idei, najpiękniejsze roztaczać efekta muzyczne i w danych punktach gromadzić najsilniejsze dźwignie harmonicznego języka, a wtajemniczać serce i wyobraźnię w najsłabsze dzielnice poezji, w najgwałtowniejsze orkany dramatyczne. Nie odrywa się tu słuchacz od interesu mieniącemi się błyskotkami coraz nowych motywów; owszem, całą duszą oddaje się jednolitemu natchnieniu mistrza, który go tém olbrzymiém morzem harmonii do najpiękniejszych doprowadza krajów. Ta metoda form melodyjnych stanowi ważny punkt reformy Wagnera. Przychodzi on do niej stopniowo od „Latającego Holendra”, „Tannhausera” i „Lohengrina”, do „Tristana i Izoldy”, gdzie już zupełnie samoistną, zupełnie nową przyjął konteksturę. Symfoniczna maniera przybiera w robocie Wagnera olbrzymie rozmiary, a wychodząc ze swęj treści wewnętrznej, zamkniętej, tryska życiem w najbogatszych, w niewyczerpanych jego objawach.

Śpiewak Wagnera jest przedewszystkiem doskonałym aktorem, poetycznie wykształconym artystą. W jego grze wystaje piękno poezji w każdym słowie, w każdej myśli; słowa też, niby pełne kraszy dziewice, z największą starannością przyodziewają się tu w strój najodpowiedniejszy, w najwłaściwszy dźwięk muzyczny. Toż i chóry nie są tu massami nieruchomemi, bez prawdy i celu, ale logicznym i naturalnym w żyjącym dramacie faktem. Ztąd ich powaga i poetyczna ważność.

Orkiestra Wagnera, to całe studjum. Ma ona nader ważną rolę wspomaganą śpiewaka w tych odcieniach gry, których słowo ani akcja uplastycznic nie są w stanie. W orkiestrze, niby w zwierciadle, przeziiera się cała ekspresya dramatu; każdy ruch aktora, każdy psychiczny puls treści, wyjaśnia się tu instrumentacją, której bogata fantazyja wprowadza wyobraźnię w samo serce przedmiotu, opromieniając go najwyższą aureolą idealnego piękna. Wagner zamienia instrumenta i ich wzajemne kombinacje w jakieś nieznanne a pełne uroku czarodziejskie siły. Jakieżto dźwięki dobywa on z tej niepozornej mechaniki; jak umie w każdym z nich znaleźć najsympatyczniejsze, najprawdziwsze dla poetycznego języka tony. Wié on co może być duszy w każdym instrumencie i dlatego wyzyskuje dźwięczne jego siły do ostatka. Ztąd mocen jest wyprowadzić zadziwiające brzmienia i odszukać najpotężniejsze gromy i najśłodszą mowę. Ztąd ta obfitość szerokiego pędzla, to drzenie nerwowe, elektryczne orkiestralnego ciała. Zda się że widzisz i słyszysz, pojmujesz i sercem dotykasz. Całe twe jestestwo ogarnia zachwyty i uwielbienie dla owych, z wierzchołków poezji, oglądanych ideałów piękna.

Zarzuca krytyka Wagnera stylowi brak oznaczonej tonacji, w której to ciemnicy za długo częstokroć trzyma słuchacza. Tak jest w istocie; ależ zato jakie nieopisane wrażenie sprawia ta masa światła, jaka naraz tysiącem promieni słonecznych horyzont oświeca; ile jest żywej, potężnej wymowy w tém niespodziewaném rozwiązywaniu akordów, ile widoku w tych kryształach błyskawicznej harmonii. Ale nie inaczej trzeba się w tę muzykę wsłuchiwać jeno jako w solidarną dramatu stronę. Tylko wśród takiego logicznego wglądania, wielkie natchnienie mistrza się jawi; a z téj harmonii, tak napozór omroczonej i niezwyčajnej, powstają już niby żywe postacie, czujące i działające, które najwyższym interesem wyobraźnię ku sobie pociągają. Wagnera zadaniem jest przedewszystkiem dramat, wielki, popularny. Dla niego poświęca on delikatne instynkta i rozpieszczone, nerwowe gusta. Chce on zainteresować ogół, całą masę, a nie pojedyncze usposobienia, i dlatego używa dźwigni silnych, naturalnych, po których z ziemi przenosi w najszczytniejsze okolice ducha. Jest w tém synteza życia ludzkiego. Nie idzie mistrzowi i o te wyjątkowe organizacye, w ogniach prób wyrobione, i rozumem przeciw ciężącym w życiu boleściom, zahartowane. Takie organizacye umieją szukać światła w sobie samych; więc wymagają od sztuki onego spokoju, który w ich duszy zapanował. Ale inną jest natura powszechności, młodej a dopiero co w swą przyszłość wpatrzonej. Nie umie ona ciągłej pojmować szczęśliwości, nie umie jeszcze beatyfikacyi sztuki cenić. Ta powszechność tylko z padołów ziemi przepyszne stropy niebios oglądać może; tylko wśród ziemskich dotkliwości smakuje rozkosze zsyłanego jój dobra. Zaprawdę, jest to pierwszy krok sztuki do zstąpienia w progi życia, istotne jój zbliżenie się do człowieka, którego ma za rękę, po coraz wyższych stopniach piękna, prowadzić. Inaczej, sztuka będzie zawsze przywilejem, w niedostępnych pałacach, wśród sztucznej woni zamieszkałą, pochlebnicą. Nie oglądając jój oblicza, ogół nigdy się nie wzniesie do téj szczytnej strony cywilizacyi, która z estetycznej wyjść powinna uprawy.

Oznaczywszy główną ośnowę, na której Wagner nowy dramat muzyczny buduje, przypatrzmy się mu teraz zbliżając, dotykając szkiecem jeden z najdoskonalszych pod względem całości.

Lohengrin jest jednym z najpiękniejszych poematów, jaki kiedy fantazyi poety legenda podała. Elsa oskarżoną jest o zbrodnię. Wisi nad nią straszna kara, jeśli się za nią kto nie ujmie i nie stanie naprzeciw oszczercy do sądu Bożego. Fryderyk i jego żona Ortruda są tymi oszczercami. Dla ambitnych zamiarów zatracili oni powierzone swój opiece małoletnie dziecię księcia Branckiego. Siostrę więc małego Godfryda tą zbrodnią w obec króla Henryka obarczają, mniemając tém samém uniknąć podejrzeń. Elsa umrzeć musi, bo wśród tłumu nikt za nią głosu nie podnosi. Ale Elsa spokojną jest swą niewinnością; miała nawet widzenie, w którym się jój ukazała postać niezemska rycerza, a ten ją w głębokim smutku pocieszył. W niego więc wierzy, choć długo

nie przybywa, a król do zeznania nagli. Wtém zjawia się na horyzoncie przedmiot biały. To łódź przez łabędzie ciągniona, a w niej stoi postać błyszczącego od zbroi rycerza. Zdziwienie tłum ogarnia, następuje cisza uroczysta, w której wewnętrzna gra zainteresowanych osób w milczącej a pełnej wyrazu odbywa się scenie. „To jest mój zbawca!” woła uniesiona szczęściem Elsa. Lohengrin się zbliża, oddaje pokłon królowi i oświadcza się być w istocie obrońcą niewinnej. Więc herold otrąbił potyczkę, ale Fryderyk uznaje się za zwyciężonego i o łaskę prosi. Podczas tego Elsa nieruchoma, w jaśniejące oblicze swego wybawcy wpatrzona, zdaje się poddawać jakiemuś uczuciu zachwytu i uwielbienia. To najczystsza miłość. „Mój bohaterze! mój rycerzu! zabierz mię! daję ci wszystko czém jestem!” Rycerz ją kocha i chce jej mężem zostać ale pod warunkiem że nigdy nie zapragnie wiedzieć kim jest i z jakich przybywa okolic. Tymczasem Ortruda nie chce się wyrokowi poddać; żywi w sercu zemstę i nią zrozpaczonego męża pociesza. Ona warunek rycerza podsłuchała i z niego skorzysta zęcnie. „Oszukuje cię ten człowiek, mówi do Elsy; możesz go nazwać i być pewną jego cnoty i zacności? możesz wiedzieć z jakiej rasy pochodzi?” To trucizny kropla, rzucona w serce ziemską miłością kochające. Noc nadchodzi i małżonkowie niewypowiedzianym idealnym oddają się upojeniom. To najszczytniejszy ideał miłości. Ale gdy Lohengrin z tej czary w anielskim spokoju pije, Elsy wejrzenie zaczyna się wątpliwością mącić. Nie może się oprzeć gniotącej ją niepewności; rzuca słówko niejasne, potem z coraz większym naciskiem pyta, z coraz większą słabością swe przyrzeczenie przełamuje; niepokój ją ogarnia tém silniej, im bardziej Lohengrin wyjaśnień unika. Daje on jej miłość wielką, nieskończoną, daje całego siebie; ale to nie wystarcza, dopóki jego osobę choć najlżejsza osłania tajemnica. „Lohengrinie! kto jesteś, jaka twa godność, jaka twa władza?” Ten wykrzyknik sprowadza kochanków na ziemię. Skończył się urok niebiańskich, czystych rozkoszy, bo wąż się wślizgnął pomiędzy dwie dusze. Lohengriu nie może już tu pozostać i musi do nieznanj wracać okolicy, z której był przyszedł. Więc się wszystkim odkrywa: „W dalekiej, niedostępnej ziemi, wśród Monsalwata, wznosi się świątynia. Tam strzeżone jest naczynie święte i cudowne, z wyżyn niebieskich przez aniołów przyniesione i powierzone pieczy najczystszyemu z pomiędzy ludzi. Nazywa się Graal i z niego pochodzi wiara czysta i błogosławiona, przenikająca dusze służących mu rycerzy. Kto do postug tej świętości wybrany, otrzymuje naraz moc cudowną wspierania cnoty na ziemi. Ale imie jego i pochodzenie nie mogą być pomiędzy ludźmi znane; to jest szczytne prawo nietykalności świętej misteryj Graala. Skoro jest poznany, musi wracać tam z kąd przyszedł. Słuchajcie! byłem do was przez święty Graal posłany; mój ojciec Parziwal nosi jego koronę; ja jestem Lohengrin jego rycerz.” To odkrycie przejmuje wszystkich czią religijną. Wszystkie czoła przed świętym schylają się posłannikiem. Ale

węzeł miłosny zerwany, bo Lohengrina otacza atmosfera wyższa, nietykalna. Więc ma odjechać; łabędź znów się zjawia, a rycerz ostatnim pocałunkiem ukochaną żegna Elsię i w obłocznych przestworzach znika. Na ziemi zostaje boleść i żal nieukojonny, śmierć kochanki, która niebo w miłości ujrzała, ale która własną ręką szczęście swe rozdarła.

To treść. Ale są tu sceny tak wznioste, tak swém pięknem urocze, są przejścia psychiczne, tak delikatną dotknięte ręką, że dla serca i myśli dość już jest samej poezji. Dwie są główne w dramie tej postaci: Lohengrin, posłaniec Boży, pierwiastek dobra i cnoty bezwzględnej, ideał sprawiedliwości i wielmożności, zniża się do ziemi, przynosząc ludziom dary niebieskie. On jest czystą krynica błogosławieństw i bezgranicznych radości. Elsa, ideał kobiety, pełnej wdzięku w swój ślepotcie i w nieświadomości. Nie zna złego, ale jest słabą; chce w miłości same drgania serca obaczyć, skubie listki kwiatu, by się do jego wnętrza dostać. Po między nimi, w osobie Ortrudy, ciemna postać ducha złego, zawiść i zemsta, które niby węze, wokoło nieświadomej płaczą się cnoty. Lohengrin miłością zbliża się do ziemi, Elsa się doń podnosi czystą swą niewinnością. Ale gdy rycerza miłość spokojna, bo nie zna złowrogich szeptów nieufności, Elsa natomiast nie umie bez cierpienia kochać. Więc pragnie i kochanka na tę drogę złotych cierni sprowadzić, a ztąd się właśnie cała wykuwa dramatyczność walk, cała historia serca.

Jedność poezji i muzyki tak tu są doskonałe, że muzyka zdaje się być naturalną obłoczą słowa, które się samo przez się w żywą, drgającą śpiewność zamienia. Spokojna i przezroczysta melodia otacza postać rycerza. Ta sympatyczna postać, tyle rycerska w swych czynach i tyle anielska w swój dobroci, postawiona w tak ujmującej sferze śpiewności jasnej i prostej, że głos jej zdaje się mówić o tém różowym niebie, jakie się w dziecińczych roi marzeniach. Czy to w pożegnalnych słowach do łabędzia, czy w miłosnych u stóp Elsy zwierzeniach, wszędzie głos ten słodki i kochający, pełen dziecięcej ufności i najczystszych uczuć. To biały duch, którego obecność uszczęśliwia słuchacza. Elsa się wypowiada w tonach trwożnych i niespokojnych.

Uważmy tę introdukcję, tak znaczącą w swym rysunku. Odmalowana w niej najpiękniejsza część legendy, a mianowicie złożenie przez aniołów świętego naczynia na Monsalwacie. To naczynie, które krwią Chrystusa skropione było, odjęte zostało ludziom; ale za przyczyną miłosierdzia Bożego, znowu na ziemię powraca i oto świetny korowód aniołów uroczyście go niesie. W migocącym *pianissimo*, które długo w najwyższej sferze tonów skrzypcowych lawiruje, widzisz niby zarysowany na niebie lekki, ledwie dostrzeżony obłoczek, jakby się w lazurowym kąpał błękitcie. Ale błady i nieokreślony kontur jego nabiera powoli barwy, więc się rozszerza na horyzoncie i już się niby ukazują przezrocze główki aniołów. To melodia, która już w średnich tonach kształtów na-

brała. Falanga się zbliża; już jest nad tobą, już ją widzisz w całym blasku, rozwiniętą w wieniec przepyszny i słyszysz skrzydlatę družynę chór weselny. Dotknęli ziemi. W tej chwili radosne hosannah zalało powietrze, a potężna i jasna struga dźwięcznej pieśni zdaje się prosto ku niebu wznosić. Orkiestra całą tu wybucha piersią; gromowe trąby po raz czwarty tę samą intonują melodyę. Naczynie złożone. Teraz się wszystko ucisza, aniołowie w głębie nieba ulatują i kontury pieśni z niemi w nieskończoność pierzchają. Ta introdukcya, której treść idealną tylko muzyka przedstawić jest w stanie, to arcydzieło stylu malowniczego. Charakter i forma jej doskonale usposabiają słuchacza do pojmowania tej mistycznej strony dramatu, którą przedstawia Lohengrin, powstać nadziemską.

Słuchajmy tego chóru, który na początku dramatu, z ukazaniem się na horyzoncie rycerza, zebrany lud rozpoczyna. Jakiś dreszcz przebiega przez tłumy i lekkim szmerem w cudownym zarysowuje się *pianissimo*. To są pojedyncze manifestacye zdziwienia i przerażenia, trwogi i nadziei. W miarę zbliżania się łodzi chór się wzmacnia całą powodzią radości; idzie coraz wyżej i silniej, aż całą potęgą, całą piersią wybucha w chwili przybycia Lohengrina. Wówczas się zamienia w powszechny hymn radości, wielki, wspaniały, jak to niebo z którego rycerz schodzi. Ten chór i to unoszące się *crescendo*, nie jestże w istocie wyrazem owęj trwogi w przeczuciach i onych sił duchowych w ludzie, które wielka idea dobra w potęgę spaja? Zaiste, tylko takie natchnienia, wielkie a szczytne, są w stanie do ducha powszechności przemówić, bo w tych głosach zaklęta jest prawda, wszystkim pojęciom wspólna.

Obaczmy teraz jak pięknie jest obmyślany muzyczny wykład dramatu. Jak główne postacie, tak główniejsze sprężyny akcji, mają tu swoje wybitne melodyjne motywa. Objasniają one charakter i wewnętrzną osobę potencję, a dają się łatwo wśród symfonicznej poznać całości. Owszem, zapowiadają się one odrazu słuchaczowi, jako żywa myśl i żywe uczucie dramatu, jako jaźń i psychiczny każdej figury portret. Rozwinięty w preludjum religijny motyw Monsalwatu jest tłem, na którym się cała postać Lohengrina odbija. Na tłem spokojnym tle, zwiastunem uroczystej ciszy miejsc świętych, szkicują się pokrewne sobie motywa, mające z dostojnym posłannikiem styczność. Już w widzeniu Elsy jawi się ów srebrzysty cień melodyi, który się zdaje ziemskiej unikać formy. Przechwaja Elsa niewysłowione rozkosze Graala, a swą niewinną duszą do jego tajemnic sięga. Jakoż śpiewa, oczekując pomocy z góry, a w jej śpiewaniu, pełnym wiary i nadziei, w jej natchnionym przez niebo jasnowiedzeniu, słyszysz niby uroczą pieśń kobiety-anioła. Taż sama melodia przychodzi w czas, ilekroć rzecz się tyczy posłannictwa rycerza. Przechodzi ona w najwytworniejszą skrzypcową modulacyę i w danych chwilach, niby niewidzialna straż aniołów, nad głową się unosi bohatera. Na końcu znów tę samą słyhać melodyę, właśnie gdy Lohengrin swe pocho-

dzenie uroczyście odkrywa. Ale teraz już metalowemi instrumentami wzmocniona, zdaje się potęgę niebios przed śmiertelnymi roztaczać, i ostatnim, najuroczystszy blaskiem, zdaje się tę ziemię na zawsze żegnać. Toż motyw ten, tak wytwornego kroju, ma sobie przeciwstawioną złowrogą Ortrudy mowę, która się na wionolczellach zarysowuje. Złośliwa i zdradziecka, wije się ta fraza, niby gad podły, w około otaczających ją melodyj, a samym kontrastem, wykazuje jak na dłoni, ciemną duszę intrygantki. W duecie Ortrudy z Fryderykiem, przeraźliwym syczy poszeptem; toż i w dyalogu z Elsą, której ma w serce jad swój wcisnąć, słyszysz jak się w orkiestrze porusza, to się płaszczy, to się rzuca. Nie można się oprzeć scen tych urokowi. Są one niewypowiedzianie zajmującego interesu, ile że mistrz-poeta, dotykalnie pokazać umiał dwie krańcowe duszy ludzkiej strony. Jawne lecz nieświadome dobro postawione w obec ukrytej złości—w tém cała dogmatyka moralności, przez nauczycieli świata wiecznie poruszana.

Tym przykładem pomogłem sobie w uwydatnieniu piękności i artystycznej wagi nowój dramatycznej muzyki. Jakoż dramat przestaje tu być wyłącznie muzyką; opera nie jest tu bynajmniej zbiorem odrębnych i zaokrąglonych śpiewów, wystawą drobnych obrazków, które są w stanie ledwie przelotną, wyjątkową przyjemność sprawić. Owszem, tu się roztacza przedewszystkiém prawda poetyczna, wzniosła a szczytna, którą wypowiada najwyższa forma piękna—sztuka muzyczna w swym symfonicznym rozwoju. Taki dramat jest całą, logiczną i żywą organizacją, bo wyobraża niby pełnię i doskonałość natury, uważanej ze strony pięknego twórstwa Bożego.

Warszawa,

d 25 października 1868 r.

URYWKI EKONOMICZNE.

PRZEZ

E. Stawiskiego.

I. Niektóre zdania ekonomiczne J. S. Milla. — II. Projekt szematu do klasyfikacji naszej literatury ekonomicznej. — III Słówek o metodzie historycznej i porównawczej. — IV. O ideałach ekonomicznych.

Zdarza się nieraz, że imię jakieś głośne długo się uwija po piśmiech peryodycznych i nie peryodycznych z przyczepionemi do niego ogólnikowemi naganami lub pochwałami, wprzód zanim ogół czytającej publiczności postawiony jest w możności ocenienia kierunków, dążeń, doniosłości wyobrażeń chwalonego lub ganionego pisarza. Biję się nieraz czołem przed jakąś idealną powagą, bez zdania sobie sprawy, o ile jej się to istotnie należy, i o ile to dla nas właściwe: nieraz ryczałtowo potępia się pisarza na wiarę cudzą a nie jednokrotnie prawdziwa znakomitość pominięta i zapomniana przechodzi, bez wpływu i uznania, dopóki ją później lub gdzieindziej ktoś nie podniesie.

J. S. Mill należy do rzędu pisarzy którzy znakomitą zyskali sobie wziętość u współczesnych. Jest on powagą prawie nieomylną dla wielu piszących; rzadko kto z żyjących częściej jest powoływany na świadectwo lub poparcie zdań i wywodów. U nas niektóre jego pisma znalazły tłumaczy a wszystkie szerokie koła czytelników i zwolenników, jużto z powodu ich różnostronności, jużto z powodu bystrości poglądu na wiele zadań tegocześnie, jużto dla jasności wykładu i prostoty stylu, jużto z powodu zniewalającego i podbijającego umysły liberalizmu.

O nim więc pomówimy, ale na teraz tylko jako o ekonomistę, nie zrzekając się jednak zachaczenia i o inne jego mniemania i sądy, o ile pokażą się w związku z obranym przedmiotem.

I.

Nie dziwny się że pisarz ten właśnie jako ekonomista zrobił wrażenie w Anglii, wywołał tam gorące sympaty i antypaty. Rzeczywiście wstrząsa on posadami przyjętych i uwiecznionych tradycją wyobrażeń tamtejszych. Nie można mu odmówić wielkiej śmiałości myśli jako Anglikowi. Powstając w obronie drobnej własności ziemskiej: powstając przeciwko stosunkom społecznym w Irlandyi, pomimo wszystkich dokonanych tam reform; powstając przeciwko pierworodztwu i substytucyom; powstając przeciwko ideałowi ekonomicznemu opartemu wyłącznie na wzroście produkcji i gromadzeniu bogactw, dążąc wszelkimi możliwymi środkami do ograniczenia wzrostu ludności, a stawiając swój ideał społeczny w równości i mierności fortun, w mobilizacji ziemi, w podniesieniu klas pracujących, podważa on kardynalne podstawy społeczeństwa angielskiego, jego obyczaje, nawyki, tradycje, prawa. Co gorzej, w dążeniu do wstrzymania szybkiego wzrostu ludności, usiłuje podciąć to, co stanowiło siłę i wielkość Anglii w jej rozroście kolonialnym, w rozszerzaniu temi drogami swego wpływu, języka, wyobrażeń. Wreszcie rozszerzając sferę wpływu rządowego na stosunki wewnętrzne i społeczne, mianowicie wychowanie, jest nietylko w sprzeczności z samym sobą, w sprzeczności z najznakomitszymi przedstawicielami opinii na stałym lądzie i w Ameryce, ale i z odwiecznymi nawykami Anglików.

Widać opinia publiczna w Anglii przywykła do wielkiej tolerancyi albo chyli się do ważnych i wielkich przeobrażeń, kiedy pisarz szerzący tak sprzeczne z panującymi wyobrażeniami i zwyczajami zasady, mógł znaleźć tam posłuch i tak wysokie uznanie, że pomimo stanowczego wygłoszenia, że ani grosza jednego nie poświęci na swój wybór do parlamentu, został przecież wybranym.

Myśli przecież i zasady Milla o których wspomnieliśmy, jeżeli uderzyć mogły nowością i śmiałością w Anglii, nie były i nie są niczem nowem ani śmiałem dla stałego lądu. Ląd stały przywykł do nich i wzrosły w nich młodsze przynajmniej pokolenia, oswoiły go z niemi rewolucya francuzka, kodeks Napoleona, różne wielkie przeobrażenia społeczne, centralizacya, formy i nawyki rządowe. Ale Mill znalazł teorią prześcigającą nawet teorye stałego lądu. Dotąd awanturnicy tylko ekonomiczni tamtejsi występowali otwarcie przeciwko własności ziemi osobistej: cała falanga poważnych ekonomistów stała z mocą i przekonaniem przy niej. Mill nazbyt jest zręcznym i daleko widzącym, aby się miał udać drogami po których Proudhon chodził. Jego doktryna jednak w tej materyi tak samo podważa zasadę własności ziemi osobistej. Naprzód punktu oparcia dla niej

nie może znaleźć innego jak przywłaszczenie, tolerowane przez społeczeństwo. W następstwie tego sądzi, że tolerowanie to tak długo tylko trwać może i powinno, dopóki właściciel z korzyścią dla społeczeństwa własnością swą rządzi. Jeżeli ją zaniedbuje, prawa swe traci. Sądzią tego zaniedbania ma być rząd. Jest to więc postawienie własności państwa, w miejsce własności prywatnej. I to się praktykowało w świecie, bo cóż nowego pod słowem? Ale nie spotkaliśmy się nigdzie z dowodami istotnych ekonomicznych korzyści takiego stanu rzeczy.

Dotąd nie wykryto jeszcze silniejszej ekonomicznej pobudki działania w człowieku, i osiągania najwyższych korzyści w jakiegobądź przedsięwzięciu, jak interes osobisty właściciela, wzmocniony opartym na prawie upewnieniem własności i dziedziczenia przez naturalnych spadkobierców. Czy spółki i stowarzyszenia kapitalistów lub robotników, albo jednych i drugich razem, potrafią lepiej zastąpić w rolnictwie pojedynczych właścicieli, dotąd jest jeszcze kwestyą nierozstrzygniętą i prawie że nietkniętą. Przecież gdyby przyszła reforma rolnictwa pójść miała w tym kierunku, to wstępowanie spółek i stowarzyszeń w miejsce pojedynczych właścicieli, bez wdania się państwa i drogą swobodnych umów, byłoby jeszcze najwłaściwsze. Miałaby i nad takimi stowarzyszeniami ciężać groźnie kontrola państwa i przyjsć kiedyś i odjąć im eksploatacyę, jako nie odpowiadającą potrzebom społeczeństwa?

Bezwątpienia świat w długim życiu swoim wydał już różne kształty społeczne i różne zjawiska prawodawcze i administracyjne. Spodziewać się należy, że jeszcze nie jedna nowość o której nie śniło się politykom i ekonomistom, zjawi się z kolejną wieków. Ale gdyby w bliskiej przyszłości oczekiwać, miały rolnictwo takie przekształcenia jak wspólność użytkowań lub administrowanie ziemią na rzecz państwa, zatrwożyłoby się można o jego przyszłość.

Taka awanturnicza teoria własności ziemskiej w dziele ekonomicznem Milla tém więcej zadziwia, że na innych jego kartach staje on wytrwale przy małej własności. Miałaby mała własność w jego rozumieniu mieć przywilej wieczystości przed wielką? Miałaby mieć prawo wyłącznie być źle zarządzaną, choćby ze szkodą społeczeństwa, ale już bez żadnej kontroli państwa? Razi tém więcej takie fałszywe pojmowanie stosunków rolniczych, że ten sam pisarz w innych miejscach zdaje się być na właściwej drodze w jej ocenianiu. Przyznaje korzyści większej własności obok mniejszej, przyznaje korzyści swobodnego przekształcenia się większej w mniejsze, mniejszych w większe, wedle naturalnych potrzeb i nie krępowanego przepisami biegu stosunków społecznych; przyznaje nawet mimowolnie nietykalność własności ziemskiej, skoro inniema, że prawodawstwo dla ważnych tylko moralnych potrzeb łączących się z bezpieczeństwem państwa

może przystępować do modyfikacji własności ziemskiej, i to zawsze z poszanowaniem nabytych i uznanych praw pierwszego właściciela. Na takie wyjątkowe dotknięcie własności ziemskiej zgadzamy się zupełnie, uznajemy jego konieczność w danych chwilach, które i rzadkie są w dziejach i doświadczenie polityczne i ekonomiczne może je nie tylko obrać ze wszelkiej szkodliwości, ale owszem dokonać ze wszelką sprawiedliwością, bez obrazy prywatnych interesów, a z rzeczywistym pożytkiem ogółu.

Taka sprzeczność w pojęciach o własności, o jakiej wspomnieliśmy, u autora który zarazem jest twórcą najgruntowniejszej w kierunku empirycznym logiki (1), równie jak taka dwoistość miary i wagi dla wielkiej i małej własności, byłaby zadziwiająca, gdybyśmy klucza do tych sprzeczności i dwoistości nie znajdowali w teoriach najbardziej wpływowych angielskich ekonomistów, oraz w naturze i początku własności ziemskiej w Anglii. Już Bastiat (2) wykazał jak pojęcia ekonomistów angielskich Smitha, Ricarda, Mac Cullocha, Scrop'a, o rencie, zawiodły ich na manowce; zbłąkały ich pojęcia o własności ziemskiej, stały się punktem wyjścia dla niektórych ekonomistów francuzkich, a następnie bronią w ręku komunistów i socjalistów. Co się tyczy własności w Anglii, wiadomo, iż ta była wynikiem podboju i że ta własność potrafiła zdobyć sobie wszystkie przywileje polityczne, społeczne i ekonomiczne, jakie tylko zdobyć było można. Konstytucya arystokratyczna bowiem oddała właścicielom ziemskim zarząd i wpływ przeważny na prawodawstwo. Prawa o testamentach, majoratach i substytucjach, unieruchomiły ją w posiadaniu jednych i tych samych rodzin; wreszcie prawa zbożowe niedawno co upadły, dawały też własności monopol w sprzedaży najważniejszej części pożywienia ludu.

Napojony takimi teoriami i oburzony widokiem takiej monopolicznej własności ziemskiej, nie zdołał się podnieść Mill na tak wyniosłe stanowisko iżby oczyścić teorią z błędów, iżby pracy podniesionej umiętnością, oszczędności koncentrującej się w kapitale, naznaczyć właściwe miejsce, iżby wreszcie pójść do tego zasadniczego pojęcia ekonomicznego, stanowiącego chlubę i zasługę teorii Careja, Bastiata i Supińskiego, że siły i potęgi natury idą zawsze darmo na korzyść wszystkich, a wszelki dochód jest tylko wynagrodzeniem za pracę, pracy osobiste włożonej lub zaoszczędzonej. Pojmował wprawdzie, (jak to widocznem jest z wykazanej dwoistości i sprzeczności jego poglądów), własność ziemską czystą i własność ziemską najeżoną i obwarowaną przywilejami i monopolem, ale zamiast wypowiedzieć wojnę tym ostatnim, a całą siłą swęj powagi i talentu, położyć gruntowne podwaliny naukowe dla prawa własności, wiążąc je z naukowemi pojęciami o pracy, dochodzie i wolności, wołał podważyć podstawę

(1) P. wykład systemu: Logiki II. Struwego s. 112.

(2) P. Harmonies economiques. R. IX. propriété foncière.

własności, aby łatwiej monopol nie mający z nią koniecznego związku, wywrócić. Krótka to droga, ale niebezpieczna, a naukowo zupełnie błędna.

Zresztą nietylko do wywrócenia tém łatwiejszego własności monopolicznej, ten rodzaj taktyki był Millowi potrzebny. Zbudował on sobie ideał ekonomiczny, na który złożyły się teorie Ricarda, Malthusa i niektórych socjalistów nowoczesnych. Według tego ideału, ludność nie powinna być wielka i nie pomnażać się tylko w miarę ubytku. Rozsiedlona na małych kawałkach ziemi, powinna więcej pracować nad swoim moralnym i intelektualnym podniesieniem, jak nad pomnożeniem zasobu społecznego. A by dojść do tego celu i doszedłszy aby od niego nie zboczyć, okazała się potrzeba uzbroić władzę rządzącą dostateczną summą dowolności, aby pojedyncze ruchy swobodnej woli, wstrzymywać mogła, a stosownymi prawami o dziedziczeniu i testamentach, ideał społeczny umocnić. Dalej mówić będziemy nieco obszerniej o ideałach ekonomicznych, tutaj więc dłużej nad tym przedmiotem się nie zatrzymujemy. Potrąciliśmy tylko o niego dla objaśnienia pojęć i celów autora.

Własność ziemską pojętą jako tolerowane przywłaszczenie assimilować do wszelkiej innej własności, jak kapitału lub wszelkiej ruchomości, byłoby to rzeczywiście wszelką własność wywrócić, i stanąć na stanowisku Proudhona. Tak daleko Mill nie poszedł; ztąd powstało trudne do pojęcia już dzisiaj ekonomiczne rozróżnienie własności ziemi od własności ruchomości. Za tém rozróżnieniem poszedł i Roscher (1) którego zawsze podziwiać trzeba wielką pracowitość i naukę, ale którego osobiste poglądy tak są niekiedy elastyczne i niegruntowne, iż niepodobna zawsze z nimi być w zgodzie. Że własność ruchoma i nieruchoma, mają odmienne formy, tego trudno nie uznać i sama nazwa je wskazuje. Jawność i niewzruszalność, są cechą jednej; przenośność, podzielność, zamiennność cechą drugiej. Jeżeliby można brać podobieństwo z dziedziny świata fizycznego do obecnego przedmiotu, to własność nieruchoma jest krystalizacją, własność ruchoma płynem, a pieniądze ulotnieniem, gazem, tak jego sprężystość, lotność i siła. Że wszystkie nieomal prawodawstwa musiały uwzględnić te różnice, i w ślad ich pójść z przepisami, urzędzeniami prawnymi, to leżało w naturze rzeczy. Polityka nie lubiąca się bawić teoryjami i szukać zasad, uchwyciła te różnice, tak jak przemysł posługuje się wodą, to w formie lodu, to plynu, to pary, stosownie do potrzeby, niewchodząc w chemiczną tożsamość pierwiastków składowych. Dawniej własności ziemskiej oddawano obronę kraju, to znowu na niej wznoszono filar równoważenia względem innych elementów społecznych. Zwykle uważano ją jako główną podstawę stałych dochodów państwowych, a jako cel pożądań po każdym podboju. Z płynną

(1) Principes d'Ec. pol. trad. p. L. Wołowski. T. 1. p. 88 str. 202.

własnością, musiano się obchodzić ostrożniej i umiejętniej, a zaledwie śmiało dotknąć się niekiedy lotnej.

Czy z tego wszystkiego da się wyprowadzić wniosek, że tylko własność ruchoma jest rzeczywistą własnością, a własność ziemi względami użyteczności publicznej, osłonięciem przywłaszczeniem sił pierwotnych natury? To też rozważny tłumacz Roschera, obok tego frazesu położył znak zapytania. Zwróciłismy uwagę raz jeszcze na ten błąd w dziełach Milla i Roschera, bo są czytelnicy co ich tylko znają, a są i tacy dla których oni są dotąd nieomylną powagą. Po tem, co w tój materji powiedzieli Bastiat i Supiński, zbytecznąby była dłuższa polemika.

Zrobimy tę tylko jeszcze uwagę: gdyby ci ekonomiści i publicyści, którzy skazili swój talent i zmniejszyli zasługę na polu naukowym przez rozpowszechnianie mylnych teoryj, a zwłaszcza, i przez podkopywanie w opinii publicznej i w umysłach prawodawców zasad, na których własność ziemi, jak również wszelka inna własność się opiera; gdyby mówię ci ekonomiści i publicyści, użyli swego talentu i wpływu, na walczenie przeciw przywilejom i monopolom, na starganie więzów prawodawczych i fiskalnych, które jeden rodzaj własności krępują nieraz więcej jak inne; na wykazanie szkodliwości złego rozkładu ciężarów; na wynalezienie prawideł do rozwiązania spółności; gdyby jeduëm słowem pracowali byli nad tem: aby wszystkie rodzaje własności w obec prawa zrównać; przelew, zamianę ich ułatwić, jeden stopień zdolności skupiania się, zlewania się i dzielenia im nadać, odpowiedniami kredytami każdą z tych czynności ułatwić: byliby niewątpliwie większe oddali usługi społeczeństwu. Za błędy ekonomistów pokutuje niejedna społeczność. Gorączka gry giełdowej coraz szersze przez to przybiera rozmiary. Frymark pieniężny stał się najponętniejszym z hazardów; a tymczasem, pieniąż w wielu krajach ucieka ze strachem od ziemi. Odwraca się zarazem od niej i praca intelligentna. W rękach ubogich i niędolnych, traci ziemia swą żyzność, a niejeden teoretyk przejęty fałszywemi uprzedzeniami, z zadziwieniem pewnie zobaczy, że *siły pierwotne natury*, na których przywłaszczenie powstawał, znikły, a ziemia jest bez wartości. W innych zuowu krajach, przez skupienie się i odpowiednie skupieniu prawodawstwa, stała się prawie nieprzystępną, z wyjątkiem tylko małej ilości potęg pieniężnych i tam to właśnie guieździć się zwykły doktryny i teorye, mające na celu zaprzeczenie własności, jako reakoya przeciw niewłaściwemu prawodawstwu (1).

Niedosyć że Mill odejmuje własności to, co stanowi jęj istotę i robi z niej jakies tolerowane do czasu i pod pewnemi warun-

(1) Ciekawą i pożyteczną byłaby praca historycznie i porównawczo przedstawiająca nietylko pojęcia własności, nietylko przeobrażenia tych pojęć w prawodawstwie i zwyczaje rolnicze, ale jeszcze wpływ jaki wywarły na cywilizacyą, bogactwo i trwałość społeczeństw. Rzecz ta najslabięj

kami, przywłaszczenie, które każdej chwili może być zniesione; zaprzecza on jeszcze, aby z prawa własności płynąć miało prawo dziedziczenia. Bez wątpienia z tak pojętej własności płynąć ono nie może. Ale jakim dziwnym pomieszaniem wyobrażeń, autor mógł z niej wywieść prawo rozrządzania testamentem? Cóż jest rozporządzenie testamentowe, jak nie dziedzictwo pośmiertne? Co jest uszanowanie woli testatora, jak nie uznanie ciągłości dziedziczenia w idących po sobie pokoleniach? Jeżeli nie masz prawa dziedziczenia, z kąd się może wziąć prawo testowania? Jedno z drugim tak ściśle jest połączone, że albo razem żyć, albo razem upaść muszą. Jakoż, o ile nam wiadomo, żadne prawodawstwo jednego nie wyklucza z pozostawieniem drugiego. Ale i rozporządzenia testamentowe chce autor ograniczyć do pewnego tylko maximum, oddając resztę na własność państwa, równie jak większą część dziedzictwa po zmarłych bez testamentu. Po tych ostatnich, państwo oznaczać winno dzieciom działy z ojcowizny stosownie do swego uznania. To wszystko ma zmierzać do sprawiedliwszego rozdziału mienia ogólnego. Jak głyby to mienie było czemś gotowem, nadanem z góry przez Opatrzność w oznaczonej liczbie, a nie wyrobem pracy, zdolności, usiłowań, poświęceń człowieka? Jak głyby nie rosło i nie mnożyło się z dokładem tej pracy, uzdolnień i zaoszczędzeń, nie zmniejszało się w miarę usuwania się przyczyn które je rozmnażają? Wprawdzie chciwość i egoizm indywidualny i rodowy, są wielkie u ludzi, ale czy nierównie wielkie obojętność, zamiłowanie próżnowania, chciwość cudzego tam, gdzie pobudki do pracy są zniszczone, owoce pracy niepewne, niesprawiedliwość, uzurpacja postawione w miejsce prawa słusności?

Trzeba nie znać zupełnie natury ludzkiej, sprężyn i pobudek działania w człowieku, aby przypuścić, że stawienie w miejsce pełnej i dziedzicznej własności, posiadania warunkowego i bezdziedzicznego, może nie osłabić, a nawet nie osłodzić pobudek wszelkiej działalności. Cała ekonomiczna budowa tegoczesna wzrasta na podstawie swobody pracy, bezpieczeństwa, niezależności osobistej, uszanowania dla nauki. Te społeczeństwa które tych warunków nie posiadają, żywią się tylko okruchami zdobyczy osiągniętych przez tamte. Zbliżają się do tamtych w miarę, jak do tych samych celów, te same środki obierają. Dotąd nieudało się nikomu inaczej dojść do mety. Miałoby na tej szerokiej drodze sprzykrzyć się już ni którym w drowcom? Chcieliby powiedzieć ludom co najbardziej się posunęły w osiągnięciu wysokich celów społecznych: dosyć tego, pójdźmy teraz napowrót.

Takie znuzenie i taka chęć zwrotu zdaje się przebiegać w dziele Milla. Że w ideale ekonomicznym nie widzi celu ostatecznego

jest traktowaną w dziele Roschera. H. Ahrens w piątej edycji dzieła: „Cours de droit naturel” skreślił historję prawa własności, nie wyczerpał jednak przedmiotu, bo względ ekonomiczny nie wchodził do jego poglądu.

dla ludzkości, z t \acute{e} m si \acute{e} zupełnie zgadzamy. \acute{Z} e nie s \acute{a} dzi, aby ci \acute{a} gly wzrost produkcyi i bogactwa mi \acute{a} ł by \acute{c} met \acute{a} szczęścia i przezuacze \acute{n} cz $\acute{ł$ owieka i tu zupełnie jeste \acute{s} my z nim jednego zdania. \acute{Z} e natura wy $\acute{ł$ acznie na cele utilitarne obr \acute{o} cona mo $\acute{z$ e si \acute{e} sta \acute{c} szpetn \acute{a} , ra \acute{z} ac \acute{a} , i przeciwko temu nic nie mamy. \acute{Z} e cele moralne g $\acute{o$ ruj \acute{a} nad wzgl \acute{e} dami ekonomicznymi i to prawda. Alezby chyba domy \acute{s} la \acute{c} si \acute{e} mo $\acute{z$ na \acute{z} e Mill żyje w \acute{s} r \acute{o} d społecze \acute{n} stwa kt $\acute{o$ re ma taki idea \acute{l} tylko, takie cele, takie zadania, w \acute{s} r \acute{o} d społecze \acute{n} stwa, kt $\acute{o$ re zgubi \acute{o} wy $\acute{z$ szy idea \acute{l} . Czy tak jest? nie chcemy o t \acute{e} m wyrzeka \acute{c} ; za ma \acute{o} znamy społecze \acute{n} stwo angielskie.

Znu \acute{z} enie i zwrot autora do zasad sprzecznych z temi jakimi si \acute{e} r \acute{a} dzi Anglii, jest lub mo $\acute{z$ e by \acute{c} po cz $\acute{e$ ści uczuciem potrzeby pewnych reform, po cz $\acute{e$ ści naturaln \acute{a} w cz $\acute{ł$ owieku tęsknot \acute{a} do tego czego niema, czego jeszcze nie skosztowa \acute{l} , tęsknot \acute{a} zatem co nowe, co nieznanne, niesmakiem do tego na co si \acute{e} ci $\acute{a$ gle patrzy i czego wszystkie niedogodno \acute{s} ci si \acute{e} pozna \acute{o} , nieskosztowawszy dot \acute{a} d niedogodno \acute{s} ci tego, co ja $\acute{s$ niej \acute{e} przed nami powabem nowo \acute{s} ci i świe $\acute{z$ o \acute{s} ci.

Co znaczą zreszt \acute{a} takie zachcianki i takie indywidualne widzenia, a racz \acute{e} j uwidzenia w dziele nosząc \acute{e} m tytu \acute{l} : Zasady ekonomii politycznej i społecznej? Je \acute{z} eli ekonomia polityczna ma by \acute{c} nauką, jak do tego ma, jak jedni utrzymuj \acute{a} słusznie, inni niesłusznie, pretensy \acute{a} , to pod warunkiem wyrzucenia \acute{z} e swego łona utopii. Sumienne i gruntowne badanie fakt \acute{o} w społecznych i ekonomicznych i wyci \acute{a} ganie z nich praw og $\acute{o$ lnych dla wszystkich miejsc i czas \acute{o} w, daje j \acute{e} y dosy \acute{e} materia \acute{l} u i powinno by budowlanie idealnych teoryj społecznych, odbiera nauce j \acute{e} y czysto \acute{s} ć i powag \acute{e} . Nauka pod tym warunkiem mo $\acute{z$ e by \acute{c} nauką, \acute{z} e zawiera w sobie tylko takie pewniki, kt $\acute{o$ re na zasadzie dzisiejszej znajomości fakt \acute{o} w i dzisiejszej dok \acute{l} adno \acute{s} ci metod, ani si \acute{e} zachwia \acute{c} ani inaczej postawi \acute{c} nie mog \acute{a} . Tylko wykrywaj \acute{a} c nowe fakta, lub polepszaj \acute{a} c metod \acute{e} , posuwa si \acute{e} naukę. Ekonomio \acute{s} ci francuzcy szczeg $\acute{e$ śliwi s \acute{a} pod wzgl $\acute{e$ dem zakreszenia granic dla swych bada \acute{n} . Posłużyła im do tego świe $\acute{z$ a walka ze socyalistami i komunistami z kt $\acute{o$ rej wyszli zwycięzko. T \acute{e} j próby ognia nie przeszedł ekonomista angielski, i dlatego przyszło mu *zab $\acute{l$ yka \acute{c} si \acute{e}* na chwil \acute{e} w bezdrozach marze \acute{n} społecznych.

Niemamy mu za z \acute{l} e \acute{z} e jest nowatorem, niechaj i naj \acute{s} miel \acute{s} ze teorye a nawet utopie, wychodz \acute{a} mierzy \acute{c} si \acute{e} \acute{z} e s \acute{a} dem og $\acute{o$ tu. Niema w t \acute{e} m niebezpiecze \acute{n} stwa gdzie mo $\acute{z$ na otwarcie broui \acute{c} ka $\acute{z$ d \acute{e} j prawdy i zbija \acute{c} ka $\acute{z$ d \acute{y} fa \acute{s} z. Nieraz t \acute{e} ż zdarzyło si \acute{e} ju \acute{z} i zdarzy si \acute{e} jeszcze nieraz, \acute{z} e my \acute{s} l okrzyczana dzi \acute{s} za suchwa \acute{l} y paradox, uznana zosta \acute{l} a i wprowadzona w życie jutro. Ale to tylko mamy za z \acute{l} e autorowi, \acute{z} e zni \acute{e} szal naukę \acute{z} e swemi jednostkowymi pogl \acute{a} dami. Niechajby oddzielnie rozwija \acute{l} swoje projekta reform, zwi \acute{a} szcza \acute{z} e te po wi $\acute{e$ kszej cz $\acute{e$ ści odnosz \acute{a} si \acute{e} tylko do Anglii. Co pocznie m $\acute{o$ dy nieobyty \acute{z} e ścisło \acute{s} ci \acute{a} naukow \acute{e} j

metody umysł, w obec takiego pomieszania pomysłów reformatorskich i prawd zdobytych badaniem systematycznym? Albo widzenia jednostkowe weźmie za prawdy zdobyte przez naukę i zmyli swoją drogę naukową, albo jeżeli ma więcej zmysłu krytycznego, zwątpi o gruntowności i nieomyślności nauki (1).

Wspomnieliśmy poprzednio, że według Milla, w oczach prawodawcy i polityka cele moralne górować winny nad celami ekonomicznymi, i że te ostatnie dla tamtych zawsze poświęcić należy. Teoretycznie niemasz nie przeciwko tej prawdzie do zarzucenia. Czy zdrowa polityka jednak znaleźć się może w alternatywie poświęcenia jednych dla drugich? Chyba w rzadkich wyjątkowych wypadkach i położeniach. Znałem rodziców, którzy gotowi byli poświęcić zdrowie a nawet życie dzieci, dla ich jak najrozleglejszego wykształcenia naukowego. Wolę że żyć nie będą, jakby mieli być głupcami—mówił raz do mnie jeden ojciec o swoich dzieciach. Znałem i takich, którzy woleli swoje dzieci zostawić w stanie zupełnej dzikości, z obawy aby nie pobłądziły, nie schudły, swobody i pogody dziecińskiej nie utraciły. Czy dla tego rozsądny ojciec, może się znaleźć w alternatywie poświęcenia nauki dla zdrowia, zdrowia dla nauki? Także chyba tylko w wypadkach szczególnych i wyjątkowych.

Peño jest w życiu antagonizmów: serce, tradycye, nawyknięcia, nieraz nie są w zgodzie z rozumem; nauka z wiarą; obyczaje z prawami; ależ sztuka życia na tém zależy, aby te sprzeczności godzić i właściwą drogę wybierać. Tak samo w polityce, jednego warunku życia społecznego dla drugiego poświę-

(1) Mill jak i niektórzy inni pisarze ekonomiczni, nie odróżnił ściśle i nie wydzielił tego coby można nazwać ekonomiką idealną w pośród nauki ściśle wziętej. To samo określenie które Holtzendorf dał co do polityki idealnej, da się przenieść tutaj. W dziele: *Principien der Politik*. Berlin 1869 str. 16, tak mówi:

„Idealna polityka nie będąca istotnie polityką ale poezją, polega właściwie na tém, że jej głosiciele pomijają wszystkie fizyczne fakta i prawa, zapominają o ogólnych panujących ideach, a wytykają dla rozwoju cele, które leżą zupełnie poza obrębem ludzkiej świadomości o obowiązkach i poza obrębem państwowej władzy działania. Do tego rodzaju należy Platona polityczny poemat jego Rzeczpospolita, wymagania religijne stawiane państwu przez niektórych dawniejszych Ojców kościoła, utopia Tomasza Morusa i liczne utwory romantycznego rodzaju. Pewnego znaczenia w ogólnych dziejach literatury nie można tym utworom odmówić. Takie dzieła jak Platona Rzeczpospolita mogą dojść do wszech światowego znaczenia, jako pobudzające do myślenia i do filozoficznych badań. Wprawdzie kłopotą współczesnych, bo prowadzą na manowce; skoro jednak nie mieli na widoku jak poemat polityczny, nie mogą wymagać żeby ich liczono do pisarzy, którzy się zajmują zgłębianiem istoty działań państwowych.”

cać nie można, ale je godzić i harmonizować. Obraza interesów ekonomicznych, tak samo sprowadza burze i przesilenia, jak zaniedbanie potrzeb moralnych; bo bądź co bądź człowiek jest istotą dwoistą i oba jego pierwiastki życiowe mają swoje potrzeby domagające się zaspokojenia. Interesa ekonomiczne społeczeństwa nie są bezwzględnie celem wyłącznym istnienia tegoż społeczeństwa, są one jednakże jednym z warunków jego istnienia, a nieraz szerszy ich rozwój i silniejszy popęd, jest przejściem i przygotowaniem do wyższych stopni cywilizacji. Jak w człowieku, ciała dla obudzenia ducha zabijać nie można, tak w społeczeństwach o równowagę pomiędzy stronami życia moralną, religijną i ekonomiczną więcej jak kiedy dbać dziś należy, bo dążenie powszechne do wyswobodzenia i podniesienia klas pracujących wymaga środków ekonomicznych, bardzo potężnych i na szerokie rozmiary. Gdzie zaś niedostatek objemie od góry do dołu reformujące się społeczeństwo, tam klasy najmniej oświecone i przez to najwięcej uległe pokusom materializmu, będą się mieć za oszukane i zdradzone.

Lekkomyślne poświęcenie interesów ekonomicznych dla mniemaanych pobudek moralnych, tak samo jak dla złe obliczonych celów politycznych, jest pewnym rodzajem ascetyzmu i fatalne niekiedy stać się może w skutkach. Jak niebezpieczne pozory kryją tu czasem prawdę, jak nicnawiszczy religijne lub namiętności polityczne zaślepiają nieraz ludzi, niechaj objaśni kilka następujących przykładów.

Kiedy wypędzono Maurów i Żydów z Hiszpanii zrobiono to zapewne w mniemaniu, że poświęcone zostały interesa ekonomiczne dla moralnych. Jakiż to gruby błąd! poświęcono jedne i drugie dla fanatyzmu nierozumiejącego i tych i tamtych, a w kraju tym na długo, jeżeli nie nazawsze, zgasł duch handlu i przemysłu. Kiedy rząd Ludwika XVI odwołał edykt Nantejski pewnie także wychodził z przekonania, że dla wysokich celów moralnych poświęca ekonomiczne. Tysiące rodzin przemysłowców i ludzi nauki rozeszło się po obcych krajach, dając początek nowym gałęziom przemysłu i krzewiąc nauki na swobodzie myśli oparte, „Francyi, jak mówi Renan, pozostawiając dowciew i powierzchowność.” Kiedy północne stany Ameryki przeniosły okropności wojny domowej nał pozostawienie nadal niewolnictwa na południu, poświęciły interesa ekonomiczne dla moralnych, dobrze i pięknie zrobiły. Ale po wojnie, kiedy przez namiętność stronnictwą, całą prawodawczą władzę upierają się oddać w ręce murzynów wcale do tego nieprzysposobionych, a białą ludność miejscową wykluczając od używania praw politycznych, to już interes moralny jest tylko pokrywą dla zemsty i chęci panowania, a pogwałcone interesa ekonomiczne i moralne, mogą się w przyszłości dotkliwie dać uczuć, stanom północnym.

Mając na uwadze to, cośmy powyżej powiedzieli, zdaje nam się, że jeżeli w ogólnej zasadzie utrzymać można i należy axiomat,

że w oczach prawodawcy i polityka w razach nieuniknionej kolizyi, cele moralne górować powinny nad celami ekonomicznymi, to axiomat ten należy uzupełnić drugim, to jest tym: że pożądana jest równowaga pomiędzy interesami moralnymi i ekonomicznymi, i że te ostatnie nigdy poświęcać niepowinny dla celów wątpliwiej moralności, i niepewnych rachub politycznych, tém mniej dla zaspokojenia namiętności stronnictwej lub fanatyzmu.

Ten ekonomiczny ascetyzm autora o którym wyżej wspomnieliśmy, dalej jeszcze idzie, chociaż się z Benthamem wyraźnie wszelkiego ascetyzmu wypiera. Chce on jako zwolennik teoryi Malthusa, w przekonaniu, że środki wyżywienia nie mogą starczyć na mnożącą się w dotychczasowym stosunku ludność, położyć tamę plenności. Ideał jego społeczny równego rozdziału mienia, swobodnego jego użycia na cele rozwinięcia umysłu i uczucia piękna pod tym tylko warunkiem, może być osiągnięty. Przyklaskujem z serca takim pragnieniom i takim życzeniom. I nam równie jak autorowi szczerze żal każdej istoty przychodzącej na świat po nędzę, niewiadomość i cierpienie. Szczęścia więcej i pokoju, mniej znojnych zabiegów i zawodów, gorąco życzymy ludzkości. Wątpimy przecież by środek podany do dopięcia powyższych celów doprowadził. Bo najprzód nie wierzymy w żaden ideał społeczny dla wszystkich i zawsze dogodny. Dalej dlatego, że zdarzało się już widzieć ludności nieliczne rozrzuczone po wielkich i żyznych obszarach, pogrążone w nędzy i niewiadomości i pozbawione wszelkiego uczucia piękna a nawet sprawiedliwości. I nawzajem, widziano już społeczności ożywione duchem nauki i miłością piękna, szczęśliwe, bez idealnej równości położenia i mienia, ludne a dostatecznie we wszystko zaopatrzone.

Juz to dawno wiadome rzeczy, że obliczenia teoryi rozumowych nie rządzą wyłącznie światem. Ludzkość idzie różnemi drogami do celów których oznaczyć trudno; instynkta, namiętności, wiara, rozum, geniusz; zrządzenia czasem noszące piętno przypadkowości, częściej najwyższej kierowniczej woli, kataklizmy natury, wija się dziwnie, płaczą ze sobą i stanowią osnowę dziejów człowieczeństwa. Patrząc na to dziwne płątanie się sił i popędów działających w przeciwnych kierunkach na bieg i życie społeczeństw, wątpić przychodzi o znaczeniu i wartości niejednej teoryi, niejednego mniemanego pewnika naukowego. A czyż jeszcze i nauka zwłaszcza oparta na obserwacyi, nie przechodzi kataklizmów jak natura? Cóż jest szaleństwo geniusza jeśli nie zerwanie pęt dotychczasowej formułki naukowej a stworzenie i otwarcie nowych dróg dla wiedzy i nowych skarbów dla bogactwa narodów? Jak zwątpić o tej sile tworczej umysłu ludzkiego która coraz nowe tajemnice natury, nowe zastosowania sił, nowe środki zaspokojenia potrzeb zdobywa? Bacząc zresztą na różnorodność ludów, ich stopnie cywilizacyi, odmiennosć punktów wyjścia w ich pochodzie dziejowym, trudno przypuścić aby zasada

negacyjna, ograniczająca jeden z najsilniejszych instynktów naturalnych, mogła wziąć górę u wszystkich. Jeśli zaś obok Kwaków wirujących istnieć będą Mormoni, obok chrześcian mahometanie i buddyści; co na tém zyska teoria Malthusa i Milla?

Godném jest uwagi, że teorii Malthusa najsilniejsze ciosy zadawali, nieraz ci, którzy się ogłaszali jej zwolennikami. Pochodzi to ztąd zapewne, że jest w niej część prawdy niespożytej i głębokie współczucie dla losu młodych pokoleń. Ilekroć odzywa się do rozumu i serca i każe powściągać się jeżeli środki wyżywienia i wychowania rodzinie nie wystarczają, każdy człowiek myślący i czujący musi być z Malthusem w zgodzie. Z drugiej strony odkąd ekonomiści dostrzegli, że są środki polityczne, ekonomiczne, społeczne, oddziaływające przeciw nędzy i zaniedbaniu dzieci ubogich; odkąd miłość chrześcijańska przestała wierzyć aby jedynym środkiem jej działania była jałmużna, a zwróciła się do środków zapobiegających złemu i odsuwających przyczyny choroby: odtąd głos wielkiego przyziaciela ludzkości, coraz słabsze echo znajdować musiał w rozumach i sercach ludzi i schodził na rozumną i moralną przestrożę, jakkolwiek do pojedynczych położen stosować się mogącą, niemniej przeto ważną i ludzką.

Bastiat który Malthusa broni a teorią jego obala, z innego jeszcze zapatruje się na nią stanowiska: samo zgęszczenie się ludności uważa on za warunek i za narzędzie postępu. Zgęszczenie to według niego, wpływa nie tylko na materialne stosunki, mianowicie handlowe, ale i na stan moralny. „Ludzie więcej zbliżeni, powiada on, umieją lepiej dzielić pracę, łączyć siły do wspólnych celów, stowarzyszać się dla budowania szkół, muzeów, kościołów, myśleć o wspólnem bezpieczeństwie, zakładać banki, towarzystwa ubezpieczeń, jedném słowem zarządzać wspólnym potrzebom z nierównie mniejszym nakładem usilowań i kosztów dla każdego pojedynczo-wziętego” (1).

Sądźmy i zdaje nam się niebezzasadnie, że kwestyą przeludnienia i kwestyą wyżywienia można i należy rozłączyć. Jedna z drugą nie są bezwarunkowo związane. Przy bardzo wielkiej ludności, może jakiś kraj mieć zbytek środków wyżywienia; społeczeństwo bardzo nieliczne może być przy zbiegu przyczyn moralnych, politycznych i ekonomicznych zagrożone głodem. Kwestya przeludnienia jest miejscową i czasową; globowi ziemskiemu nie zagraża dotąd przeludnienie. Kwestya żywności jest sama przez się wszędzie i zawsze ważna i tém ważniejsza, że popęd do pracy i nauki nie jest popędem wrodzonym, ale wypadkiem rozmysłu i natężenia woli. W miarę jak potrzeby wyżywienia się zaradza, kwestya przeludnienia się usuwa. My, mianowicie na teraz mamy wszelkie powody mniej troszczyć się dla naszego kraju o drugą; potrzeby ograniczeń wzrostu ludności nie u nas nie wska-

(1) Harm. econ. str. 104.

zuje; natomiast podwojnych starań dołożyłoby należało do powiększenia tak środków wyżywienia, jak w ogólności mienia i zarobku ogólnego. Gdybyśmy przecież z powyższej teorii Malthusa i Milla praktyczną korzyść dla nas zebrać chcieli, to należałoby nam zwrócić uwagę na jedną okoliczność ściśle miejscową. Na to mianowicie: że niegodzi się powoływać do życia istot z tradycyi, nałogu, przesądu przeznaczonych do próżniactwa wśród społeczeństwa, w którym niemasz kawałka chleba dla próżnujących. I że jeżeli kto nie może ograniczyć swoich potrzeb, zmienić swoich nawyków, usunąć z głowy starych przesądów, dać przykładu ze siebie młodemu pokoleniu, a pomimo to wywołuje do życia nowe ofiary tychże samych grzechów, dwójaki występek popełnia, bo złe przedłuża i do próżnego stołu zasada nowych biesiadników równie mezdolnych go zaopatryć.

To cośmy rzekli dopiero, odnosi się do klas wyższych naszego społeczeństwa. Co się tyczy naszych włóścian, to słuszną zdawałaby nam się uwaga, która traci tylko na znaczeniu, że do nich nigdy nie dojdzie, bo oni ani czytają, ani chcą wierzyć temu co od ludzi czytających wychodzi. Uwaga ta jest następująca: że jeżeli za jedyne zajęcie swych rąk i czasu, postanowili uważać rolę, to rola jako ograniczona wyrokiem natury w swojej przestrzeni, doprowadzona do ostatnich granic swojej podzielności, odmówić musi nareszcie miejsca dla nowo przybywających w coraz większej liczbie na świat. Praca około ziemi coraz się udoskonala i coraz mniej rąk wymagać będzie. Gromadzenie się kapitału i nauka w tym kierunku iść muszą, aby więcej i taniej wytwarzać. Jeżeli więc z nierozumnym uporem iść nie przestaną po tradycyjnej drodze, nie rozszerzą koła dla swej wiedzy idła swej pracy, to ich spotkanie musi niedola, a społeczeństwo nosić w sobie zaród choroby i wstrząśnień. Być może że władze rządzące będą kiedyś zmuszone uciekać się do środków bardzo twardych, aby ziemi, które obecnie wskazujemy, zapobiedz.

Tę samą wreszcie uwagę należy odnieść do żydów, jeżeli w granicach ciasnych kramarszczyzny, szynkarstwa i lichwy będą się chcieli jak dotąd zamykać, a wieku w którym zawierają małżeństwa nie posuną znacznie naprzód.

II.

Lękać nam się przychodzi po tém wszystkim co dotąd powiedzieliśmy, aby czytelnik nie obwinił nas już o to, że same ujemne strony wyszukaliśmy w szacownem z wielu względów i poważnem dziele Milla, że nie zdołaliśmy lub zaniedbali ocenić stron jego dodatnych. Pospieszamy więc sprawiedliwość oddać całości tej obszernej pracy i w szczególności wielu jej częściom pojedynczym. Układ i wysnuwanie materji jednych z drugich

nie zostawiają nic do życzenia. Wszędzie wykład jasny; wszędzie gdzie punkt wyjścia trafnie obrany, wywody gruntowne i logiczne. Celują części dzieła o monecie, o kredycie, o cyrkulacji, o handlu. Wprawdzie i tu pewne zastrzeżenia są do zrobienia; i tak: wolimy wykład Supińskiego o zasobie społecznym; przyznajemy się że wykład Mac-Leoda rozszerzył i rozwiłnit nasze pojęcia o kredycie i że góruje nad pojęciami w tej materji Milla; wyznajemy także że rozumowania Careya zachwiały w naszym przekonaniu teorią Ricarda o rencie, której Mill jest zwolennikiem. Porobiliśmy poprzecznie nasze zarzuty działowi poświęconemu własności. Jednakże wspomnieć musimy że rzecz o małej własności, gruntownie i wszechstronnie jest wyłożona. Widać autorowi chodziło bardzo o to, aby zbić uprzedzenia panujące co do tego przedmiotu w Anglii. Walczy też gruntownie przeciw obawom, jakoby mała własność miała przyczyniać się do przeludnienia. Wspiera się wszystkimi powagami i przykładami wszystkich ludów i epok. Idzie do gruntu rzeczy i nie w przedmiocie podniesienia małej własności nie opuszcza. Pominął wszakże jeden ważny praktyczny pogląd: a mianowicie: czy wytworzenie sztuczne małej własności, wszędzie i zawsze równie dobroczynne sprowadzić może skutki? Czy wszędzie i zawsze mała własność, niewłasną siłą powstająca i nie z naturalnych stosunków ekonomicznych wybiegła, ma warunki życia i powodzenia? Między stosunkami ekonomicznymi wytwarzanemi a wytwarzającemi się samodzielnie, jest niezmierny przedział i różnica. Ostatnie mają w sobie sankcyą jeżeli nie swęj użyteczności, to swęj konieczności i stosowności, na którą tamte dopiero oczekiwać muszą.

Gorliwie i sumiennie zajmuje się autor w ogóle losem robotników i ich przyszłością, głównie przecież mając na widoku jako Anglik ludność frabryczną. Zupełnie podzielamy wszystkie jego w tej materji poglądy. Za fundament ich przyszłego losu uważa oświatę i płynące z nięj umoralnienie i udoskonalenie pracy, staje w obronie koalicyi robotniczej i mocno zaleca stowarzyszenia w nich włącząc wielki środek emancypacyjny z pod władzy kapitału. Nie przewidział snąć i zaprawdę trudno było przewidzieć do jakich obrzydliwości doprowadzą w Anglii stowarzyszenia robotników. Nie powstaje przecież na potęgę kapitału; nie oburza się na konkurencyą; nie chwytą nigdzie dorywczo dla obrony interesów robotnika za środki burzące, unika nawet takich które się maskują pod pozorami ewolucyi aby wprowadzić rzeczywistą rewolucyą społeczną.

Sympatyą również naszą obudziły ustępy, w których dotyka losu i położenia kobiet, wyraża pragnienie dla nich wyższej oświaty i otwarcia im zawodów niezawisłych.

W niektórych rozrzuconych pojedynczo tu i owdzie ustępach przebiega myśl głębsza. Nie możemy się oprzeć pokusie przywiedzenia kilku.

„Ludzkość dotychczas chybiała celu, który powinna osiągnąć. Pracować zarliwie kiedy pracujemy, a nadewszystko urozumiąć

myślą usiłowania ręki; ale na pracę mającą na celu jedynie zbytek, poświęcać mniej godzin w dniu, mniej dni w roku, mniej lat w życiu—oto cel racjonalnych dążeń”.

...„Jeżeli dążymy do rozwoju ducha społecznego, uczuć szlachetnych, lub poprostu do rozwoju sprawiedliwości i równości praw, to widzimy że wspólność interesów, nie zaś odosobnienie tychże, stanowi szkołę w której formują się owe przymioty wyższe. Postęp zmierza nie tylko do tego, aby nauczyć człowieka do opierania się na samym sobie nie zaś na cudzej pomocy, lecz także do tego, aby wzajemna pomoc i stosunki ludzi były dobrowolne, nie zaś wypływające z zależności”...

...„Sprawy życia potoczego tworzą jeden z najważniejszych środków wychowania ludzkiego; bez nich wszelkie wychowanie i wykształcenie z książek i szkół czerpane, jakkolwiek pożyteczne i niezbędne, będzie niedostateczne i nie osiągnie zamierzonego celu. Nauka jestto bowiem jeden z warunków udoskonalenia moralnego; istnieją inne, niemniej ważne warunki takiego udoskonalenia, jako to: praca, wyrobienie własnego sądu o rzeczach, panowanie nad sobą samym, hartowanie sił ducha, twórczość; trudna szkoła życia kształci, rozwija i umacnia wszystkie te strony ducha naszego”...

...„Doświadczenie uczy, iż ci którzy wyrażają ogół, to jest większość, skoro mogą liczyć na poparcie ludowe, jak w ogóle każda oligarchia, nie chcą ograniczać siebie, lecz dążą do ograniczenia jednostek. Masy zaś ludowe zawsze bywają skłonne do narzucania swych częstokroć wązkich pojęć i przekonań, chociażby najmylniejszych, osobom pojedynczym. Obecny kierunek cywilizacyi coraz bardziej rozszerza potęgę masy ludowej; należy więc starać się w obec takiej potęgi, co najbardziej gwarantować żywotność przekonania, słów i sposobu postępowania osób pojedynczych; oryginalność bowiem ducha i indywidualizm charakteru są to jedyne źródła istotnego postępu, i one tylko wyprowadzają ludzką do stanu cielesności i wiodą do dziedziny życia intelektualnego”... Przytoczyliśmy ten ostatni ustęp, bo myśl w nim zawarta jest osią około której obraca się jedno z późniejszych głośniejszych i zalecanych pism tego autora, dzieło mające tytuł: „on the liberty” o wolności. Przytoczyliśmy ją jeszcze i dlatego, aby wskazać jak w pismach głębiej myślących ludzi, pojęcia i myśli wiążą się z sobą; zarodki małe, wydają potem drzewa wielkie, a wszystkie utwory ich umysłu stanowią jakoby jeden łańcuch. Nie weźmie nam może za złe czytelnik, że kilka słów mimochodem o tem dziełku tutaj powiemy.

Traktat o wolności nie jest dziełem politycznym, w ścisłym znaczeniu, jakby z tytułu można wnosić. Nie spotka tu czytelnik teorii rządów, określeń ich form, systemów równoważenia żywiołów społecznych. Autor stanowczo odrzuca utopię kontraktu społecznego i drugą utopię, którą tak bardzo zajmowano się w czasach rewolucyi francuzkiej, utopię praw abstrakcyjnych człowieka. W ścisłe zamkniętej sferze jego rozprawy nie się nie

mieści nad określenie stosunku jednostki do społeczeństwa. Zai-
ste zajmujący i ważny przedmiot, choć w szczyplych ramach
zawarty i żadnemi obcemi przymieszkami nie zmacony. Rzecz
tak toczy się po granicach nauk moralnych i politycznych, że
pozostaje wątpliwość, do której kategorii właściwie odnieśćby
można pismo całe. Ale koniec końcem nie ma się żadnej urazy
do autora, bo założeniu swemu założył uczynił, owszem niepo-
dobna nieuznać mu tego za zasługę, że oszczędzając czytelnikowi
wywodów teoretycznych, jak np. o wolności woli, o prawie, o za-
sadzie władzy i t. p. od początku do końca utrzymać się potrafił
w dziedzinie praktycznej i faktycznej. Anglicy tylko tak umieją
traktować materje polityczne i moralne; Niemcy zaraz gubią się
w teoryach i systematyzowaniu, Francuzi w deklamacyach albo
doktrynerstwie.

Punktem wyjścia pisma o którym mowa jest ta uwaga
Wilhelma Humboldta: że warunkami rozwoju ludzkości są dwie
okoliczności: swoboda ruchów i różnaitość położeń; obie zarówno
są potrzebne, aby ludzie uniknęli niebezpieczeństwa jakie spotkało
typ chiński, to jest zupełnego podobieństwa do siebie indywidualów,
czyli zagłady wszelkiej indywidualności. Wartość społeczeństwa,
mówi Mill rozwijając powyższy temat, jest w wartości indywi-
duów składowych. Żywotności i wzniosłości ich nie zastąpi żaden
sztuczny mechanizm administracyjny; gdzie ludzie mali, tam
rzeczy wielkich dokonać niepodobna. Tymczasem wszystko w no-
woczesnych stosunkach dąży do zatarcia różnic, do ograniczenia
swobody ruchów, do stopnienia energii i samodzielności jednostek.
Różnice klas i stopniowań zajęć nikną; wszyscy żyją nieomal
jednakowo, czytają to samo, słuchają tych samych rzeczy, widują
to samo; obawy i nadzieje dla wszystkich płyną z tych samych
źródeł; wszyscy mają te same prawa, też same przywileje i równe
środki upomnienia się o nie. Różnice jakie jeszcze istnieją, są
nieczem w porównaniu tych, jakie istnieć przestały. Assymilacya
postępuje ciągle. Wszystkie zmiany polityczne jej dopomagają,
bo wszystkie podnoszą klasy niższe, a zniżają klasy wyższe.
Każde rozszerzenie wychowania publicznego jej sprzyja, do ogólnego
zasobu faktów i myśli coraz szerzej drzwi otwierając; każdy
postęp w środkach komunikacyjnych ułatwia ją zbliżając ludzi
i zaznajamiając jednych z drugimi. Wzrost handlu i przemysłu
zbliża ku temuż celowi, rozszerzając zamożność, ambicję i środki
jej zaspokojenia. Ale najprzeważniej popiera tę assymilacyą ogólną
wpływ rosnący opinii publicznej. W miarę jak wszystkie
wydatności i wyniosłości społeczne muszą się zniżać do ogólnego
poziomu; nikt niema czem zasłonić się przed gniewem lub po-
gardą większości. Gdy zaś chęć oporu woli tej większości, skoro
ona się raz objawi, zniknęła z umysłu polityków praktycznych:
dla jednostek różniących się zdaniem, żadnej społecznej podpory
i zasłony nie zostało. Niema już w społeczeństwie władzy nie-
zależnej, któraby stawić mogła czoło większości i któraby miała
interes w tém, aby osłonić zdania pojedyncze, odrębne i samoistne.

Połączenie powyższych wpływów stanowi, według słusznego zdania Milla, taką przewagę na niekorzyść indywidualizmu, że jak mniema, trudno przewidzieć, jak zdoła grunt pod nogami swojemi ocalić. Trudnym to rzeczywiście będzie zadaniem, jeżeli oświecona część społeczeństwa sama nie uczuje ważności zadania i chwili, sama niezrozumie, że tu idzie o istnienie ważnego elementu społecznego i nie stanie w obronie różnic, choćby się te różnice napozór szkodliwemi chwilowo zdawać mogły. Jeżeli prawa jednostki mają być broniene i ocalone, przyszła chwila dokonania tego, dopóki jeszcze akt assymilacji nie jest w ostatnich swoich konsekwencyach spełniony. Na początku tylko można się bronić skutecznie. Ogólna dążność zlania się w jeden typ wzrasta w miarę polykania nowych ofiar. Niedługo wszystko co odmienne, będzie uważane za niemoralne, za niebezpieczne, bezbożne, przeciwne naturze. Rodzaj ludzki stanie się niezdolnym pojęcia i uszanowania różności, skoro raz z oczu ją straci.

„Co ocaliło, mówi Mill, Europę od losu zastygłych państw azjatyckich? Przez co stały się narody europejskie częścią ludzkości rozwijającą się i kroczącą naprzód? Nie przez ich wyższość wrodzoną, bo ta jest skutkiem a nie przyczyną; wyłącznie przez ich wydatną różność charakterów, obyczajów i stopni umysłowego wykształcenia. W Europie jednostki, warstwy społeczne, narody same były nadzwyczaj urozmaicone. Każdy sobie tworzył drogi nowe, własne i szacowne robił zdobycze umysłowe i polityczne na własny rachunek, a chociaż nawzajem napadali się i jeden chętnieby był zmusił drugiego aby szedł za nim, to przecież usiłowania te były bez wielkiego skutku, nikt nie zdołał przeszkodzić drugiemu, a każdy korzystał z owoców przez innych szczepionych. Według mnie—mówi dalej—Europa téj różności dróg winna swój rozkwit postępowy. Ale ta korzyść zaczyna dla niej ginąć; widocznie zwraca się ku ideałowi chińskiemu: ogólnego podobieństwa. Tocqueville zwrócił uwagę na to, jak Francuzi zaczynają być do siebie podobni. Ta uwaga stosuje się więcéj jeszcze do tegoczesnych Anglików.”

Taki jest główny motyw, takie są konkluzye ostateczne do których autor dochodzi; wypowiedziane one są w ciągu pisma. myśmy je zebrali, aby je uwydatnić. Nie zatrzymujemy się nad szczegółami, a właściwie zatrzymaliśmy uwagę czytelnika na tém piśmie, bo jak wspomnieliśmy zaród jego i myśl zasadnicza położona została w jego ekonomii politycznej, i rzeczywiście odnosi ona się zarówno do sfery ekonomicznej jak moralnej. Zatrzymaliśmy się nad niem i dlatego jeszcze, że główną myśl autora, która pismo to ożywia i dała mu początek, podzielamy i chcielibyśmy przekonanie o ważności jej przelać w umysły innych. Nasłuchaliśmy się wprawdzie i naczytali dosyć deklamacyj przeciw indywidualizmowi jakoby chorobie wieku, a łatwo ten sam zarzut i tutaj postawić. Ale zarzuty przeciwko indywidualizmowi, jakoby sile rozprzegającej i rujnującej społeczeństwo, rzadko są bezinteresowne, a w dzisiejszym stanie rzeczy zupełnie niewcze-

sne. Budowa państw, organizacya większej części panujących kościółów, systemy wychowania, stosunki handlowe i finansowe, prawa cywilne i administracyjne, język i tradycye, para i elektryczność wiążą ludzi i spajają w grupy większe i mniejsze dostatecznie silne i te nawzajem ze sobą, aby się obawiać można o ich rozprzężenie i rozsypanie. Można zostawić indywidualnej niezależności i oryginalności swobodę działania i mówienia bez obawy niebezpieczeństwa i szkody. Większe szkody wynikną dla społeczeństw jeżeli siłę charakterów, inicjatywę w sztuce, przemyśle, naukach i życiu publicznem, stłumi i zwichnie ciężar praw, lub przewaga opinii publicznej fałszywie usposobionej.

S. Hüppe (1), szacowne z powodu bezstronności z jaką napisane jest dzieło o Rządzie dawniej Polski, kończy temi wyrazami: „*Die Verfassung der Republik Polen liefert den Beweis, wohin ein grosser Staat gelangen kann, wenn er die Freiheit höher stellt, als die Sicherheit nach aussen, wenn die Freiheit des Individuums als eine Wucherpflanze das allgemeine Wohl beherrscht.*” (Układ rządu Rzeczypospolitej Polskiej dostarcza dowodu, gdzie zająć może wielkie państwo, skoro stawia wolność wyżej jak bezpieczeństwo na zewnątrz, jeżeli swoboda nieograniczona jednostki, jak chwast zagłusza dobro ogółu). Zdanie to i trafność jego podzielamy i uznajemy. Podobne wynurzyliśmy dawniej w naszych: Poszukiwaniach do historyi rolnictwa krajowego. Nikt też nas pewnie nie obwini, abyśmy podnosząc myśl Milla i W. Humboldta chcieli nasiewać nasienie rozprzężenia, pójsć i przygotowywać grunt pod umysłową anarchią. Polityczna niezależność jednostki i górowanie jej nad wolą większości, musi stać się zgubą każdego ciała politycznego. Tego też nie mieliśmy na myśli, i Mill o tem nie myślał. Szło tu tylko o wydatność charakterów, o różnorodności ścierających się zdań na polu moralnem, naukowem i artystycznem. Że taka różnorodność zdań i sytuacji i wydatność charakterów musi być pożyteczną dla społeczeństwa, na to staraliśmy się zwrócić uwagę. Przyjmując nawet za pewnik, że jedną z najsilniejszych sprężyn wzrostu i rozwoju dla teraźniejszych społeczeństw jest stowarzyszenie, jeszcze i w obec tego pewnika zdanie nasze utrzymujemy. Bo i stowarzyszenia same, aby ważnością celów i doskonałością organizacyi wewnętrznej celowi swemu odpowiadały, muszą być sformułowaniem pewnej potrzeby lub dążenia zbiorowego, zebraniem w ognisko rozprysniętych pojęć. To sformułowanie i zebranie dzieje się zwykle siłą jednej potężniejszej woli, inicjatywą skierowaną we właściwy punkt inteligencyi, a i same stowarzyszenia w sobie, czemżeby były, gdyby się składały z cyfr jednakięj potęgi? Dla wszechstronności więc stowarzyszeń, dlatego, aby objąć mogły wszystkie kierunki życia społecznego, różnorodność zdań, położeń i wybitności charakterów, jest nieodbycie potrzebą.

(1) *Verfassung der Republik Polen.* Berlin 1867.

Przyjmując jeszcze za pewnik że harmonia interesów i celów społecznych powinna być najwyższem zadaniem i kierunkiem dążeń każdego szczegółowo i wszystkich razem, i w obec tego drugiego pewnika przy zdaniu naszym obstawiamy.

Cóż bowiem jest harmonia? W muzyce jest umiejętnem prawidłowem połączeniem tonów pojedynczych w celu utworzenia całości, mającej swój cel oznaczony w duszy kompozytora. W malarstwie jest również umiejętnem i prawidłowem połączeniem kolorów w tymże samym celu. W życiu, połączeniem zdań, wol, dążeń, usiłowań. Z różności tych pierwiastków, ich wzajemnych ustępstw, modulacyi, cieniowań, z umiejętnego układu, grupowania, poświęcań kolejnych jednych dla drugich, tworzy się właśnie harmonia. Ustępstwa wzajemne, to jest wielkie słowo tajemnicze tak życia rodzinnego jak społecznego i politycznego. Różnorodność, wybitność zdań, położeń i charakterów zharmonizowane uznaniem konieczności wzajemnych ustępstw daćby dopiero mogły ową wszechstronność życia społecznego, w której żaden głos geniuszu narodowego nie byłby stracony, żaden jego wyraz nie byłby zagłuszony, a wszystkie służyłyby na wspólne dobro i posuwały nieustannie rzecz publiczną ku lepszemu.

Wracamy do ekonomii Milla i jeszcze jeden z niej ustęp przytoczymy:

„Ludność może być zbyt gęstą wtedy nawet gdy nikomu nie braknie chleba ani odzienia. Nie dobrze jest, aby człowiek zawsze i pomimowolnie znajdował się w obec podobnych sobie; świat pozbawiony samotności byłby bardzo smutnym ideałem. Samotność to jest pewien stopień odosobnienia, jest koniecznym warunkiem głębokości myśli i charakteru a samotność w obliczu piękna i wielkości przyrody, jest źródłem myśli i dążeń nietylko dobrych dla jednostki lecz też pożytecznych dla społeczeństwa. Nie bardzo przyjemnie spoglądać na taki świat gdzie nic nie pozostawiono wolnemu działaniu natury, gdzie zorano wszystkie łąki i pustkowie, wytepieno wszystkie zwierzęta nieprzydatne człowiekowi jako istoty spółubiegające się z nim o żywność, gdzie wykarczowano każde drzewko nie potrzebne, wyrwano każdy kwiatek polny w imię postępu rolnictwa. Jeżeli ziemia ma stracić urok dzisiejszy z powodu że przedmioty którym zawdzięcza swój powab, zniszczone zostaną jedynie w celu wyżywienia ludności znaczniejszej, lecz ani szczęśliwszej ani lepszej, to szczerze ufam iż potomność przeniesie stagnacyą nad taki postęp.”

Tak i my sądzimy i w tych warunkach postępu nie chcemy. Ale co się tyczy stagnacyi, to jest pozostania w stanie do jakiego się doszło, to łatwiej z tą myślą pogodzić się Anglikowi, jak komu innemu; łatwiej jemu przebierać w warunkach postępu, bo to co ma może go pod wielą względami zadowolnić. To nasuwa nam myśl której nie możemy pominąć.

Jeżeli w duchu, obyczajach, prawach każdego narodu są wyłączości i różnice od innych, w sferze którą obejmuje gospo-

darstwo społeczne równie są znakomite. Nauka ta kreśli prawa ogólne, nie mniej jednakże w poglądzie autora przebijają się duch, potrzeby, dążenia narodu, równie jak duch i dążenia samego autora. Sam nawet Mill chociaż nowator dla Anglii, chociaż występujący do walki przeciwko mnóstwu wyobrażeń i nawyknień angielskich, jakże jest anglikiem w samym nawet wyborze poła do walki! To powinno zwrócić uwagę jak oględniemu musi być w każdym kraju posługiwanie się obcymi powagami ekonomicznymi. Każdy pisarz jest przede wszystkim u siebie, dla siebie i sobą samym. Patrzy na świat ze stanowiska które mu los naznaczył i otrząsnąć się z tego własnego ja, nie jest w możności, niema nawet potrzeby i celu w tém. Trudno, nawet niepodobna przenieść mu się myślą zupełnie w położenie obce. Jeżeli ktoś obcy z pośród odmiennych stosunków, w ślepcim uwielbieniu chwytając każde słowo z prostą a gorliwą wiarą neofity i chce je w czyn wprowadzić u siebie, na ileż błędów i zawodów się naraża. Stopnie cywilizacji i rozwoju społecznego są jak stopnie szerokości jeograficznej; nie wszędzie te same rośliny ndawać się mogą, nie wszędzie żyć i rozmnażać się mogą te same zwierzęta. Klimat można poprawić i cywilizacją podnieść; samodzielne myślenie najskuteczniej do celu prowadzi; trzeba szukać także nauki i przykładu u obcych ekonomistów, ale twierdzenia obcych jak rośliny i zwierzęta exotyczne, najwłaściwiej przeprowadzać przez próby aklimatyzacji, zanim się im da przystęp zupełny do skarbnicy prawd narodowych. Tę ostrożność i mądrość, tę samoitość i oględność na stosunki i potrzeby miejscowe, zachowywali zawsze ci pisarze, którzy głębszy ślad wyryli na umysłach i prawodawstwach krajowych. Proste naśladownictwo przemija prędko i bez śladu. Lekkomysłne zaś chwytywanie za rzeczy i myśli obce i również lekkomyślne ich stosowanie, spowodowało nieraz klęski i katastrofy niepowetowane.

Zaradziły do pewnego stopnia tej niedogodności metody historyczna i porównawcza, wprowadzone świeżo do nauki ekonomicznej przez Roschera, Kniesia i innych. Polegają one na tém, aby teorie ekonomiczne oprzeć na badaniu wszystkich czasów i wszystkich znanych społeczeństw.

O ile i w jakiej dotąd mierze te metody, zaradziły tej jednostronności i miejscowości poglądu ekonomistów, o tém oddzielnie w jednym z następnych fragmentów powiemy, nateraz zwrócimy tylko uwagę: że powstanie metody historycznej i porównawczej poprzedzić musiały badania szczegółowe tak stosunków miejscowych jak kolei historycznych ze stanowiska ekonomicznego. Najbogatsze w zasoby i materiały, oraz pracowników, ludy, najwięcej też na tém polu zrobiły. Obejrzymy w następnym urywku co zrobionem zostało u nas i w jakiej mierze przygotowani jesteśmy do kroczenia na równi z innymi po nowej drodze, na którą nauka gospodarstwa społecznego wchodzi.

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA

Paryż, d. 8 grudnia 1869.

Michelet i jego ostatnia książka „Nos Fils.” — „Education Sentimentale” przez Gustawa Flaubert i o moralności w literaturze. — Oszustwa literackie w Anglii i w Niemczech — Poranki dramatyczne. — Teatr dworski i nowa sztuka. — Emila Augier „Les lions et les Renards.” — Literatura kolendowa i dzieła ilustrowane.

Koniec roku jest widać chwilą najbardziej przyjazną do pojawiania się nowym utworom literackim i nowym teatralnym sztukom. Zdawałoby się, że autorowie, księgarze i dyrektorowie teatrów czekają tylko tej pory, aby Paryżanom wszelkiego rodzaju nowości na kolendę ofiarować.

Między świeżo ukazującymi się książkami, a liczba ich nie mała, zwraca na siebie w obecnej chwili uwagę nowe dzieło Micheleta: *Nos Fils*, już przez samo nazwisko autora. Wszystko, co wychodzi z pod pióra słynnego, a dziś sędziwego pisarza obudzić zwykło ciekawość powszechną, ale dodać można, że od pewnego czasu, każdy z nowych utworów Micheleta wywołuje na usta niektóre i uśmiech dwuznaczny. Zaprawdę, tym co lubią poszukiwać w literaturze excentryczności, dziwactw lub erotycznych ustępów, nie jedno z ostatnich dzieł autora, obfitego może dostarczyć materiału. Michelet z zupełnym i niewzruszonym spokojem naraża się na epigrammata wszelkiego rodzaju; a jeśli ze wszystkich narodów Francuzi najbardziej się obawiają śmieszności, to przyznać trzeba, że autor *Czarownicy*, *Biblii* i *Miłości* stanowi między ziomkami swemi wyjątek. Można ubolewać, że ten znakomity, często wzniósłszy, a zawsze szlachetny pisarz dziwaczy i dziecinnieje, ale trudno nie poszanować i nie uznać talentu sięgającego do wyższych zadań i objawiającego się w formie niezwyklej, a nieraz uroczej i świetnej.

Pełno dziś słychać skarg i narzekań po części słusznych, że poezya zamiera i że jej nigdzie odszukać nie można. Otóż ta poezya tak rzadko pojawiająca się w rymowanych utworach literatury frauczkiej, bądź co bądź spotyka się jeszcze w prozie

Micheleta. Poetyczny ton i nastrój nigdy nie opuszczają tego pisarza; towarzyszą mu one nawet w jego studyach historyi naturalnej. Zamiłowaniem przyrody, zdolnością malowania krajobrazów wyżej Michelet stoi od sztywnego Buffona i od Chateaubrianda. Natura jest dla niego rzeczą żyjącą a do pewnego stopnia osobistą; ziemia, ocean, góry przybierają pod jego piórem czysto ludzkie namiętności i uczucia. Kiedy opisuje nam życie, walki, miłość (przedewszystkiem miłość), drobnych morskich żyjątek i olbrzymich potworów, to im pożyczka własne swe myśli i ludzkie serca porwy. W takim zapatrywaniu się i umyślném ożywianiu natury, leży niebezpieczny szkopuł i na tym też punkcie sędziwy pisarz popada niekiedy w dzieciństwa i nieprzyzwoitości uczucie smaku obrażające.

Michelet jest do pewnego stopnia wizyonarzem, a *wizye* swe opowiada stylem sobie tylko właściwym. Na wzór Wiktora Hugo, z którym go łączy bliskie pokrewieństwo duchowe, szuka wyrażeń dziwacznych, obrazów niezwykłych, słów coby zastąpiły malarskie kolory. Styl ten gorączkowy, niespokojny, mistyczny, poświęcający harmonię i prostotę dla efektu, nuży nieraz czytelnika, ale wrażenie jakie pisarz chciał wywołać silnie się piętnuje na naszym umyśle. Bo przy wszystkich swych wadach, posiada Michelet dar pierwszorzędnny; uwydatnia on osoby i przedmioty dosadnie i plastycznie. W historyi Francyi i w historyi Rewolucyi można spotkać portrety ręką mistrzowską kreślone, sceny które się w pamięć wrażają i których się nigdy nie zapomina. Ażeby się przekonać do jakiego stopnia Michelet posiada dar plastycznego przedstawiania przedmiotów, dość jest przeczytać opis burzy w znanój książce o *Morzu*. Czytającemu ten ustęp wydaje się, że popadł w malinę; słyszy szekanie olbrzymich brytanów; wyją mu w uszy straszliwe potwory dopominające się zagłady świata i pragnące powrócić do chaosu. Czyta się te karty z tępem przerażeniem, z jakim dziecko słucha powieści o strachach, ale po przeczytaniu, zostaje nam wrażenie, żeśmy na burzę morską patrzyli i obraz jej na zawsze ryje się w wyobraźni.

Michelet jest historykiem niepospolitej nauki i erudycyi; w poszukiwaniach swych dociera do źródeł; tekstami posługiwać się umie a uczeni przyznają mu wszystkie warunki stanowiące poważnego dziejopisarza. Lecz wyobraźnia przeważa w tym niepospolitym umyśle szalę nauki i rozwagi; to tóż dzieła Micheleta w jakiejkolwiek bądź pisane materyi, są powieścią, dramatem lub tylko szkicem malowniczym genialną nakreślonym ręką.

Pod tęp piórem nieznanym miary, fakta i zdarzenia zmieniają swój charakter. Autor widzi jasno i dokładnie, ale to co widzi przybiera w jego wyobraźni rozmiary większe od natury, przechodzące w potworność, niekiedy w karykaturę. Goniąc wciąż za tęp co niezwykle i nadzwyczajne, pisarz chwytą to, co jest tylko dziwaczne: twarze ludzkie uderzają tu swym charakterem i niepospolitością rysów, ale wykrzywają się nieraz

cudacznym grymasem i robią wrażenia istot w śnie gorączkowym wyległych. Zdawałoby się, że Michelet widzi wszystko w tém marzącem i senném usposobieniu, gdzie wzrok duszy nie różni światła od cieui, fantazyi od rzeczywistości. Czarodzieje, czarownice, jezuici, lud, kobiety, członkowie konwencyi, cała rewolucya... wszystko to przesuwają się przed naszymi oczyma w jakimś tajemniczym oświeceniu niepozwalającym rozpoznać prawdy od złudzeń. Wszystko tam ma swoją fizyognomię odrębną, narysowaną dosadnie a jednak nieokreśloną, udającą podobieństwo i niby żywą, a przecież do rzeczywistości nie podobną. Michelet stworzył nowy sposób pisania historii; nie wyklucza on bynajmniej erudycyi i do pewnego stopnia krytyki, ale tam gdzie ścisłość naukowa nie dopisuje, ucieka się do intuicyi i posługuje się przedewszystkiem bogatą i pełną siły wyobraźnią.

Wszystkie zalety pisarskie i wszystkie sobie właściwe wady przynosi ze sobą Michelet ile razy, jak w ostatniej swęj książce przechodzi od historii do moralnych i społecznych zadań. Na wstępie do nowego dzieła *Nos Fils* powiada nam autor: że jest ono szczytem i uwieńczeniem całej budowy historyczno-filozoficznej nad jaką pracował i jaką wznosił śród trudów i moliw długiego swego życia. Wszystkie dotychczasowe prace pisarza mają być tylko wstępem i przygotowaniem do tego ostatniego i wszystkie się nań składały. Taka zapowiedź rozciekawia naturalnie do książki mającej być tém dla XIX wieku, czém był *Emil* Roussa dla przeszłych pokoleń. Książka ogarnia wszystko nie ledwie co z kwestyją wychowania ma związek. W pierwszej części mówi autor o wychowaniu przed urodzeniem dziecka, dalej o wychowaniu w kole rodzinném. W trzeciej części opowiada i przechodzi historię wszystkich dotychczasowych metod pedagogicznych, daje potém pogląd na dzisiejsze uniwersytety i szkoły, wreszcie kończy proroczym widzeniem przyszłości.

Pierwsze lata dziecięce a nawet chwile przed urodzeniem niemowlęcia dały sposobność pisarzowi do nakreślenia o dziecku i o rodzicach, wielu fizyologicznych obrazów i rysów, w których od pewnego czasu tak dziwne a stałe ma upodobanie. Lubo Michelet w swém dziele przeprowadza człowieka od kolebki do grobu, lubo idzie w ślad za nim od dzieciństwa do starości, ogarniając i młodość i wiek dojrzały, to przecież trudno sobie zdać sprawę jasną z tego systemu wychowania o jaki autorowi chodzi.

Dla obznajmienia czytelników z dziełem które w tej chwili rozgłos tu znajduje, przytaczamy jeden z charakterystyczniejszych ustępów:

„Gdyby mi—powiada Michelet—serce po śmierci otwarto, toby w niem wyozytano zapytanie z którym się nosifem przez całe życie. W jaki sposób należałoby pisać książki dla ludu i kto

takowe książki napisze? Nie znam trudniejszego zadania; aby mu podolać potrzeba trzech warunków niedających się prawie ze sobą połączyć.

Potrzeba najprzód geniuszu i wdzięku; nie myślcie bowiem że lud smakować będzie w mdłych i słabych utworach.

Potrzeba dalej delikatnego taktu i doświadczenia, wreszcie potrzeba téj niewinności uczuć i czegoś dziecięcego prawie, co tylko wyjątkowo i przelotnie u pewnych wybranych istot się spotyka.

Jakże to trudno tym warunkom odpowiedzieć, zrobić się na raz starym i młodym, mędrcom i dzieckiem!

Ta myśl ściagała mnie przez długie lata, ciążyła mi na sercu i na sumieniu. Czuję jak my ludzie pióra, z naszą wykwiutnością literacką jesteśmy na tem polu niedołązni i niezdolni, dochodziłem do zupełnej pogardy samego siebie.

Pochodzę z ludu, nosiłem ten lud w meim sercu. Wszystkie jego pomniki, pamiątki, zwyczaje są mi drogie, ale niestety języka ludowego nie byłem w stanie sobie przyswoić i mówić tym językiem nie umiem.

Po krwawych dniach czerwcowych 1848 r. przygnębiony boleścią, spotkałem Berangera i odezwałem się do niego:

— Gdzie są ludzie co potrafią do francuzkiego ludu przemówić? Jeśli się tacy ludzie nie znajdują, to zginiemy.

— Cierpliwości—odrzekł mi poeta—przyjdzie czas że ten lud sam sobie książki pisać będzie.

Od owéj chwili lat ośmnaście upłynęło, a my książek dla ludu nie posiadamy.

Nie będę przepowiadał, co nas czeka w niedalekiej przyszłości. Rola proroka jest dziś zbyt łatwą i zbyt powszednią. Człowiek myślący i pracownik sumienia tworzy sobie przyszłość z trudu i mozółu dnia dzisiejszego a przywiązuje wagę tylko do tych rzeczy, jakie ma w obecnej chwili przed sobą i które od jego woli są zawisłe. „Ma dość dzieci na swéj nędzy” powiada przysłowie. Chcieć i działać na dziś, to znaczy działać skutecznie. Przewidywać to co dalekie, jest rzeczą prózną i niebezpieczną. Zapuszczającym wzrok w odległość wysuwa się z rąk to, coby trzymać powinni.

Zamiast skreślić na wzór utopistów obrazy przyszłego raju, patrzmy na to co nas otacza i zdajmy sobie sprawę z tego co jest na jutro do zrobienia.

Głównem zadaniem, pierwszą i najbardziej palącą kwestyą jest utworzenie nowéj literatury, literatury istotnie społecznej t. j. wprost przeciwnej téj literaturze romansowej, fałszywej, napuszonej, niezdrowej, która dotychczas panuje. Zadanie to nie było podobnem do wykonania w położeniu jakie zamach grudniowy we Francyi stworzył. Dziś otwiera się temu kierunkowi pole. Powstał bowiem nowy prąd ożywczych idei, a atmosfera zaczyna

się oczyszczać i rozjaśniać. Widzę z radością jak powstają nowe talenta, nieznanne dotąd, niezawisłe od przeszłości, wolne od tych teorii sztuki które poprzedniemu pokoleniu nie raz były zawadą. Pojawilo się już wiele wybornych rzeczy dających się porównać z pismami Kamila Domouilins, a wyższych od ciężkich nieco pamfletów Couviera i biblijnych *Paroles d'un croyant* Lamenego."

Optymizmu Micheleta wyrażonego w ostatnim ustępie bynajmniej nie podzielamy. Tego nowego prądu przynajmniej w literaturze nie umiemy wcale dopatrzeć, a *Lutarni* Rocheforta i innych muięć lub więćej dowcipnych paszkwilów, nie przekładamy nad pełne artycyzmu i zdrowego sensu pamflety Couviera.

"Wiem dobrze, ciągnie dalej Michelet, że ta literatura o jakiej mówię, służy tylko do walki i podjazdowych utarczek, ale ciepło miodzienne po niej rozlane, rozszerzy się, użyźni niwę i wyda plon.

Osmieję się powiedzieć, że wszystko, co dotąd było napisane jest do przerobienia. Nie domagam się przeto, aby spalić wszystkie książki i dzieła jakie posiadamy dotąd, ale twierdę, że te książki choćby miały w sobie co dobrego, to przecież nie posiadają takich żywiolów, jakich dziś ogół potrzebuje i jakie nowi pisarze mu przyniosą.

Czyż jeszcze nie na tém polu nie zrobiono? Owszem zrobiono wszystko aby ludowi zbrzydzić naukę i aby go od niej odstręczyć. Nie znam nic ekliwszego i nudniejszego jak dotychczasowe dzieła popularne, czy to naukowe, czy moralne. To też lud czuje do nich wstręt nie przelamany i woli się truć sprosznemi romanсами i wyciągami z kryminalnych procesów.

Nie wątpię, że się to wszystko na lepsze odmieni. Lud odepchnie te niezdrowe pakarny, skoro mu podadzą kordyał życia, skoro mieć będzie książki, w których się sam rozpozna i które czytając pomyśli, że sam jest ich autorem."

Wedle Micheleta w społeczeństwie dążącym istotnie do postępu, wszyscy, albo prawie wszyscy, powinni wziąć na siebie obowiązek nauczania.

"Ileżto można spotkać ludzi, powiada pisarz francuzki, co nauczają doskonale, sami niewiedząc o tem, skoro o jakim przedmiocie odezwą się w towarzystwie z istotnym przejęciem się i niezwykłym poruszeniem serca. Ileżto wybornych choć nie z profesyi nauczycieli naliczyćby można. Dwie epoki życia najbardziejby takiemu nauczycielstwu odpowiadały.

Ludzie młodzi, nie złamani życiem, pochopni do wylewania uczuć swych na zewnątrz, mogliby nauczać obowiązków obywatelskich i zaszczepliac w serca miłość ludzkości.

Ludzie dojrzałi i chyłacy się od starości, a zwykle potrzebujący się dzielić tém, co ich doświadczenie nauczyło, mogliby młodym całą pozytywną stronę życia wykladać. Starość jest gadatliwa. Wielomówny Nestor nie byłby może ideałem nauczyciela, ale za to roztropny a heroiczny Ulysses, ileżby rzeczy mógł powiedzieć

o swych długich wędrówkach, o przeciwnościach znoszonych z taką cierpliwością i bohaterką mocą duszy.

Jestem przekonany, że w przyszłości nauczanie o jakimś mowie (*l'enseignement intermittent*) będzie znakomitym środkiem cywilizacyjnym. Społeczeństwo zużytkuje kiedyś te dwie tak odmienne potęgi: zapal młodzieńca i doświadczenie starca. Ten ogień i to światło przyniosą społeczeństwu korzyść.

Dziś nie umiemy jeszcze zużytkować owej siły jaką przedstawia nasza młodzież. Nikt nie zauważył, że np. ta młodzież, mianowicie do szkół wyższych należąca, tak samo, podczas wakacji jak w przejściu od szkół do specjalnego zawodu, trawi się i nieraz cierpi w zupełnej bezczynności.

Ta krytyczna dla młodzieńca chwila, ta skłonność do wulkanicznych wybuchów, sprawiająca nam kłopot, bo nie wiemy, co z nią zrobić, dałaby się przecież zużytkować. Młodzież potrzebuje pod ową porę wylać na zewnątrz zapal co jej piersi rozpira. Nie jedno niebezpieczeństwo jej grozi, nie jedna pokusa ją ęci. Otóż w takiej epoce rzućmy tę młodzież na propagandę naukową. Niechaj kształci mniej wykształconych, niechaj naucza przedmiotów w których sama ma upodobanie, a które mają dla niej wdzięk i powab nowości. Tacy nauczyciele chwilowi pojawiający się peryodycznie, byłiby nie zawodnie uważniej słuchani niż stali profesorowie. Dlaczego Teatr w Atenach działał na masy? bo nie był stały i trwał tylko podczas świąt wyprawianych na cześć Bachusa”.

Lubo Michelet powiada, że się nie chce bawić w prorocтва, to przecież prorokuje on nieraz, mianowicie pod koniec dzieła. Zapowiada nam, że do wychowania ludzkości przyczynią się nie mało uroczystości i igrzyska publiczne urządzone na kształt tych jakie znali Grecy. Uroczystościom tym mającym święcić przyrodę, ludzkość i cnoty, towarzyszyć będą, jak wnosi autor, dramatyczne przedstawienia i gimnastyczne turnieje.

Wątpimy bardzo, aby proponowany przez Micheleta system wychowania, znalazł poparcie u dzisiejszych pedagogów, lub u ludzi zasiadających w ministeriach oświecenia. To też książka z jakiej tu dalszyny sprawozdanie, jest raczej utworem marzyciela i poety, aniżeli dziełem pedagoga. I tu jak wszędzie u Micheleta, przedmiot posłużył za tkankę, na której pisarz dzierżga niekiedy przesłizne, niekiedy najdziwaczniejsze arabeski. Więcej w tej książce fantazyi jak zdrowego sensu, więcej polotu myśli, jak trzeźwego poglądu, ale w tych czasach, gdzie tyle się pojawia publikacji powszednich, tyle lichych romansów i płaskich paszkwilów, nie trzeba pogardzać utworem dotykającym zadań wzniosłych, a zalecającym się urokiem stylu i bogactwem wyobraźni.

„Paryż, to miasto wielkie, błotniste, kwiatami z kartonu obwisłe! Tam cywilizacya ogromna, ale egoistyczna, zapomniawszy o reszcie kraju, wszystko skupiła, ścisnęła, pochłonęła w jeden środek i serce Francyi urobiła ztego milionowego steku ulic,

kamienic, rynsztoków, szpitalów, więzień, sal policyjnych, świątyni mody, gmachów rozpusty i teatrzyków lekkomyślności. Serce to choruje na napływ krwi zepsutej, spiekłej, nie arteryjalnej, siniej krwi, co nie życie, ale raki gryzące tworzyć umie.”

Słowa te, które autor Irydiona w jednym ze swych listów napisał, przysłyły nam na myśl przy czytaniu nowej książki *Gustawa Flaubert*, noszącej tytuł *l'Education sentimentale*. *Flaubert* jest jednym z najślynniejszych chirurgów w tej chorobliwej literaturze, która owe raki paryzkie za przedmiot swych studyów obrała. Autor *Pani Bovary* i *Salambo*, długie lata pracujący nad każdym swym utworem, wygładzający je drobiazgowo i starannie, uchodzi za najpierwszą znakomitość w tak zwanym szkole *Realizmu*, a każde jego dzieło naprzód już zapowiedziane, obudza ciekawość Paryżan i ma dla czytelników powab skandalu. Ponieważ imię pisarza ma pewien rozgłos, ponieważ utwory jego niestety i nad brzegi Wisły dochodzą, więc powiemy tu słów kilka o owej *Edukacji sentymentalnej*, zwłaszcza żebyśmy nie życzyli nikomu, aby swą edukacyę na wzór bohatera książki odbywał.

Po przeczytaniu dwóch grubych tomów z jakich się dzieło składa, ogarnia zaprawdę czytelnika pewna nieopisana ckliwość i omdlenie, jakby po wyjściu z pieczary pełnej niemiłych wyziewów. Główna postać w tej książce nie zasługuje nawet na oburzenie, bo jest po prostu obrzydliwą, poziomą i płaską. Brudne przygody przez jakie autor przeprowadza swego bohatera, przekonują nas tylko, że ten bohater nie zdolny ani do cnoty, ani do występku, posiada duszę dziwnie miękką a płynną, roztopiającą się we wszystkich kałużach spotykanych po drodze.

Los oddaje mu w rękę dużą fortunę zaraz na wstępie w życie, wnet też otacza go cała tłuszcza intrygantów i łotrów najrozmaitszego gatunku: jedni zabierają mu czas, drudzy wyludzają pieniądze, a wszyscy popychają w błoto i w brud. Gdyby przynajmniej ta cała szajka hultai odznaczała się jakimi rysami nie zwykłymi lub potwornymi, to możnaby się przynajmniej na ich widok oburzyć lub przerazić; lecz są to łotry bardzo podrzędnego rodzaju, urwisze na bardzo lichy rozmiar.

Miłość naturalnie ważną odgrywa rolę w owym *Wychowaniu sentymentalnym*, jeżeli miłością godzi się nazwać uczucia budzące się w bohaterze książki na widok coraz innej kobiety. Kto się ośmielił czytać *Panią Bovary*, ten łatwo wyobrazi sobie, jakiego rodzaju kobiety lubi wprowadzać do swoich utworów pan *Flaubert*. Bohaterki te, nie mają nawet powabu i pojęty zepsucia, jakie gryzotkom swym dawał *Murger*; nie mają też one w sobie demonicznego żywiołu, rozwiązyłych kurtyzanek *Balzaka*. Jest to po prostu zgnilizna, zepsucie nie ma tu świadomości o sobie, bo jest zwierzęce i ... głupie. W tych lichych, zbrukanych miostkach, nie tylko że nie świeci żadna isierka uczciwsza

lub serdeczna, autor nie troszczy się o takie rzeczy, lecz nie ma tam nic ludzkiego, nic naturalnego: pulsa tu nie biją, namiętności żadne nie grają i wszystko odbywa się na zimno. Nie wystarczy to na usprawiedliwienie autora, że typy jakie uam ukazuje istotnie egzystują i że są z natury wzięte: czyż bowiem wszystko co w rzeczywistości istnieje, opisywać się godzi? Jeśli nie poczucie moralne, to zmysł estetyczny mógłby ostrzedz pisarza, że mu nie wolno zstępować w atmosferę pełną zgniłych wyziewów, wśród której czytelnik nos sobie nie ledwie musi zatykać.

Tu mimowolnie znów nam się nasuwają pod pióro, piękne i trafne słowa polskiego wieszczka:

„O kałużach nie wspomina się na polu sztuki. Zło, ale nie brud i obrzydliwość tam występuje. W okręgach kunsztu stoi więzienie, wznosi się rusztowanie, jest i czyszciec, jest i piekło, ale chlewu nie masz...”

Możnaby jeszcze nie jedno francuzkiemu autorowi przebaczyć, gdyby ten autor choć raz w ciągu swjej książki oburzył się na nikczemności i brudy, jakie opisuje. Lecz napróżno doszukiwać się tutaj oburzenia, gniewu lub żalu, przeciwnie wymyka się Flaubertowi z pod pióra bezwiedna może pogarda dla wszystkiego co zacne, pocziwe, ludzkie, pogarda lodowata, mrożąca aż do szpiku kości, jak śnieg grudniowy. Osoby które autor przed oczy nasze przesuwą, są wszystkie jakoby moralnym kalectwem dotknięte: żadna z nich nie wywołuje współczucia, a każda prawie wstręt obudza.

Nie mamy np. w nowszej literaturze ohydliejszego a uderzającego już samą swą płaskością ustępu, jak scena w której hrabina zamyka oczy umierającemu mężowi. Po długim konaniu opuszcza trupa i idzie do swego pokoju, gdzie na nią czeka bogatę powieści a jej kochanek.

— Teraz, powiada do niego, możesz zapalić cygaro, jesteśmy u siebie...

I na ten ton toczy się dalsza rozmowa. Flaubert nie daje nawet owej hrabinie tego instyktowego i fizycznego czysto wzruszenia, jakie się w ludziach budzić zwykło na widok umierającej istoty. Dodać do tego trzeba, że owa żona nie miała żadnego powodu skarżyć się na swego męża, i że nawet żadnej do niego nie czuła nienawiści: bo i to jest charakterystycznym, że osoby Flauberta są równie niezdolne do miłości jak do nienawiści.

Żadnych uczuć i żadnych wzruszeń! takie jest zdawałoby się godło pisarza, którego niczem nie zakłócona obojętność uchodzi tu w pewnej sferze za cechę wysokiego mistrzostwa i artyzmu. Ten kunsztmistrz i mniemany artysta istotnie celujący niekiedy dokładnością drobiazgowych swych opisów, zbiera śmiecie i brudy, ustawia je w symetryczne kupki i rozkoszuje się z takiej kunsztownej symetrii. Zaprawdę ci, co nieczystości

z ulic zbierają, większą oddają ludzkości przysługę, jak pisarze wprowadzający śmiecie do literatury!

Podnoszą tu niektórzy wysoko styl wykwintny i opisowy talent Flauberta. Talentu zaprzeczyć trudno, ale to właśnie czytającego jeszcze bardziej oburza i drażni. Autor z talentem nie małym maluje nam to wszystko co się w języku malarskim zowie *akcessoryami*, ale duszy ludzkiej z jej namiętnościami malować nie umie. Cóż z tego, że tło obrazu starannie i drobiazgowo wykończono, kiedy osoby na tém tle narysowane, są dla widza wstrętne i obrzydliwe. Ta ścisłość materyalna w opisywaniu szczegółów, nuży w końcu czytelnika i działa mu na nerwy. Gdy np. bohater Flauberta przykładą pistolet do serca swej kochanki, to można być pewnym, że autor zawiesi tak dramatyczne opowiadanie, aby nam oznajmić, że pod ową chwilę czas był dżdżysty, że okna się trzęsły od turkotu przejeżdżających powozów, że katorynka grała na podwórzu arye Verdiego, że portier chrapał w swojej izdebce przy schodach... i tak dalej przez cztery lub pięć stronnic.

Słusznie podejrzwać można, że autor ma już gotowe pewne ustępy, niby studia z natury wzięte, a starannie gromadzone w szufladzie, któremi w potrzebie opowiadanie swe przeplata. Ten sposób i rodzaj pisania uchodzi za wzór dla pewnej tutejszej szkoły i osnuto nawet na tej metodzie osobną estetyczną teorię: metoda ta dowodzi tylko ubóstwa i braku twórczości, gdyż tak samo w malarstwie jak w literaturze, łatwiej jest martwą malować naturę, niż oddać twarz ludzką z właściwym jej wyrazem i charakterem. Staranność i ścisłość opisowa owych zwolenników realizmu świadczy o wielkiej cierpliwości i zamiłowaniu drobiazgow, ale przypomina zarazem cierpliwą zręczność galerników, co ostrzem scyzoryka potrafią wyrzeźbić w łupinie orzecha okręty z masztami i kościóły.

Ta staranność i sumiennność pisarska byłaby rzadkim i chwalebnyim przymiotem, gdyby miała wznioślejszy cel przed sobą. *Flaubert* potrzebuje czterech lat na napisanie jednego romansu! I nie dziw. Aby opisać zachód słońca, musi on kilka razy ten zachód zobaczyć, zanim się do pisania zabierze. Jednego dnia będzie studjował niebo, drugiego zbada kolor drzew i liści, trzeciego przypatrzy się bydłu wracającemu z pola, i wreszcie z tych codziennych notat ułoży swój obraz. Ten obraz będzie dokładny i wierny, brak tylko w nim jednej rzeczy, to jest wrażenia, jakie zachodzące słońce może w duszy ludzkiej obudzić. Duszy ludzkiej wzruszeń jakich ona doznaje, nigdzie w podobnego rodzaju opisach odszukać nie można, i dlatego mimo fotograficznej ich dokładności, ogół razi fałszem i uderza brakiem tego, co moralną perspektywę stanowi. Utwory wedle teorii dzisiejszego realizmu powstałe, są jak obraz, w którymby malarz bitwę zamierzał przedstawić, a namalował tylko rzędem stojących żołnierzy z numerami pułkowemi na każdym gyziku.

Znakomity, może jedyny poeta jakiego miała Francya, Alfred de Musset, odzywa się do młodego pisarza:

Ach! frappe toi le coeur, c'est la qu'est le génie... Lecz u zwolenników społecznego realizmu próżnoby kto chciał serca się dostukać!

Moralna i szczerą intencją autora może niekiedy, do pewnego przynajmniej stopnia, okupić niemoralność samego przedmiotu, ale dokładne, choćby z największym talentem skreślone obrazy i opisy, nie okupują nigdy obrzydliwej treści dzieła. Nie jesteśmy z tych purystów co utrzymują, że dla moralności utworu, pisarz nie powinien dotknąć żadnej złej i występnej namiętności. Nie sądzimy także, aby sens moralny książki polegał na tém, że w końcu dramatu lub powieści występpek zostanie ukarany, a enota wynagrodzona. Nie są dla nas moralnymi i ci pisarze co się dziś odzywają: „położyliśmy palec na wrzodzie toczącym społeczeństwo i przykładamy doń rozpalone żelazo.” Od czasów Petroniusza i Juwenala wszyscy moralisci podejrzanego rodzaju odzywali się już w podobny sposób.

Moralność dzieła leży nie tyle w samym utworze, ile w poźuciu piszącego, a kwestyą moralności w literaturze i sztuce streścił jeden ze zmarłych a sumiennych krytyków francuzkich w tych prostych słowach:

„Tant vaut l'homme, tant vaut le livre.” Pisarz mający zmysł moralny i istotne estetyczne poczucie wie dobrze, że są obrazy i przedmioty, których sztuce dotykać nie wolno. Zło tragiczne, przerażające zgrozą, daje się w sztuce uszlachetnić, ale jest zło budzące tylko wstręt, ekliwość, obrzydzenie, i należałoby je w ciemnościach zostawić, a nigdy nie wyprowadzać na światło słoneczne.

Za piękną w tej mierze allegoryą, może posłużyć ballada wielkiego niemieckiego poety. Nurek Szyllera rzuca się z wiarą w ton morską, a póki nie przekroczył roztropnej granicy, wy-dostaje się cało z fal rozlękanych i nad powierzchnią wód wynosi w swej dłoni puchar i pierścień złoty. Lecz kiedy chce przeniknąć aż do owych ciemnych jaskiń, ukrywających nieznanne w zmierzchu pelzające potwory, opuszczają go siły i oddaje ducha. Jak ton oceanu, tak i dusza ludzka ma swoje głębiny i okręgi, w które sztuce zapuszczają się i skarby z nich wydobywać wolno: lecz ma ona także jaskinie ciemne i lochy stęchliwą ziejące, gdzie roją się niekiedy i pelzają obrzydliwe gady, a sztuka zstępująca w te zamierzchle kryjówki, umiera na wycieńczenie sił jak nurek Szyllera.

W listopadowym poszycie Biblioteki wspomniano o zrzecznej mistyfikacji, której ofiarą padł tutejszy uczony *Michel Charles*

skupujący fałszywe listy Pascala. Skandal ten znalazł nie mały rozgłos w całym naukowym świecie, a miłość własna francuzka wielce z tego powodu ucierpiała. Rozpocznie się wkrótce proces owego oszusta, co panu Chasles taką krzywdę wyrządził, a tym czasem dla ugłaskania ran uczonemu ciału paryżkiemu zadanych, podnoszą tu i rozpisują się szeroko o wszystkich tego rodzaju fałszerstwach, jakie obecnie po za granicami Francyi miały miejsce. Pokazuje się ztąd, że wszędzie między literatami i uczonymi o łatwowiernych nie trudno.

I tak w literaturze angielskiej znajdujemy świeży przykład ciekawego oszustwa, dokonanego z mistrzowską zręcznością. Niedawno temu ukazał się na widok publiczny jeden tom listów Schelleya znanego poety a najbliższego przyjaciela Byrona. Korespondencya ta zawierająca 25 listów, poprzedzona przedmową Browninga, wyszła u głównego wydawcy poetycznych angielskich utworów Moxona. Listy zawierały w sobie opisy podróży po Włoszech i wnet zostały rozchwycone przez czytającą publiczność.

W kilka dopiero tygodni po ukazaniu się książki, przypadek naprowadził na domysł, że cała owa korespondencya jest sfałszowana. Wydawca Moxon rozdał znakomitościom literackim po egzemplarzu nową publikacyi. Jeden egzemplarz dostał się słynnemu poecie Tenyssonowi. Przyjaciel Tenyssona, Palgrave, syn znanego historyka przychodzi do poety w odwiedzinę, znajduje nowo wydane listy na stole, przebiega je i z niemałym zdziwieniem w jednym z listów opisujących Florencyą, poznaje dosłownie artykuł swego ojca publikowany przed 30 laty w *Quarterly Review*.

Można sobie wystawić nie miłą niespodziankę wydawcy Moxona na wiadomość o takowem odkryciu. Moxon kupił wszystkie listy na publicznej licytacji i posiadał w ręku oryginały mające wszelki pozor autentyczności. Pismo było najzupełniej podobne do pisma Schelleya: pieczętka taka sama jakiej zwykle poeta używał, a koperty nosiły na sobie stempel miast włoskich z których listy były pisane. Pokazano owe koperty urzędnikom pocztowym, którzy w nich nic nie znaleźli podejrzanego. Pozostał jeszcze jeden sposób przekonania się o prawdzie. P. Murray posiada wielką liczbę listów Byrona, pisanych z tych samych miejsc i datujących z tej samej epoki. Gdy porównano jedne i drugie listy, stemple pocztowe z Rawenny i Wenecyi, ukazały bijącą w oczy różnicę. To stanowczo przekonało o fałszerstwie i wydawca musiał wycofać swą publikacyę z obiegu i cały nakład spalił.

Raz wszedłszy na drogę podejrzeń, przekonano się, że owe listy Schelleya pochodziły z fabryki uorganizowanej na wielką skalę, a dostarczającej listy różnych znakomitych ludzi. Na owej licytacji gdzie Moxon kupił mniemaną korespondencyę Schelleya, fałszerze potrafili sprzedać listy Keats'a i Byrona, a nawet książki pochodzące niby z biblioteki tego ostatniego, z notatkami własno-

ręcznemi na marginesach. Murray poszukujący chciwie każdego świstka napisanego ręką autora Child-Harolda, za 7 listów Byrona zapłacił 3,000 franków.

Przekonawszy się o wyraźnym oszustwie, postanowiono dotrzeć do źródła, odkryto też powoli, że wszystkie owe listy na sprzedaż publiczną wystawił księgarz White. Ów White w memoriale, jaki z tego powodu napisał, twierdzi, że sfałszowane dokumenta kupił od jakiejś nieznajomiej damy, że owa nieznajoma dama niechęcą wyjawić swego nazwiska, wzięła je w sukcesyi po swym ojcu, że ten ojciec posiadający obszerne zbiory, dostał owe listy od Fletchera wiernego sługi Lorda Byrona; śledząc dalej w tym labiryncie intryg i fałszerstw, odkryto dalej za ową damą jakiegoś awanturnika, będącego istotnym autorem sfałszowanych dokumentów. Ten jegomość uderzająco do Lorda Byrona podobny, podawał się za syna naturalnego poety, i cały tom jego pism pośmiertnych już miał przygotowany do druku.

Pokazuje się, że oszustwa tego rodzaju zmieniają swój charakter, stosownie do miejsca i kraju. Podczas kiedy Francuzi radują się korespondencją Pascala, a Anglicy listami Szekspira lub Schelleya, dla Niemców potrzeba czegoś bardziej wyszukanego i więcej starożytnego. W Paryżu wystarcza pisać starą francuzczyznę i gotyckimi głoskami, w Lipsku lub Berlinie trzeba umieć po grecku, a w danym razie i *palimpsesta* sfabrykować.

Wątpimy, aby czytelnicy nasi wiedzieli kto był Sanchoniaton? Sanchoniaton był Fenicyanin, który w tym języku historyę swego narodu napisał. Zdaje się, że uczeni nie wiedzą nawet dobrze, kiedy żył ten dziejopis. Jedni robią go społecznym Mojżeszowi, drudzy każą mu żyć na dwa wieki przed chrześcijańską erą. Historia jaką napisał Sanchoniaton zaginęła, zaginęło także jej tłumaczenie zrobione w Egipcie w II wieku po Chrystusie. Zachowały się tylko drobne kilka wierszowe fragmenta w pismach Euzebiusza, jednego z Ojców kościoła!

Można sobie wystawić jaką po wszystkie czasy bolesć wywoływała taka strata w sercach erudytych i uczonych. To też ów zaginiony Sanchoniaton czczony był jak bóstwo przez wszystkich uczonych i filologów niemieckich. Z drobnych ułamków ileżto razy chciano zbudować jakąś całość, ileżto razy silono się odgadnąć, co mogły w sobie zawierać owe dziewięć ksiąg fenickiego dziejopisarza? Jakież to strugi światła mogłyby być rozjaśnić tę zapadłą w zmierzch rasę semicką, gdyby choć jedna z ksiąg odnaleziona została.

Można z tego wszystkiego łatwo pojąć radość i wzruszenie erudytych niemieckich, kiedy kilkanaście lat temu odkrytem zostało greckie tłumaczenie historyi Sanchoniatona. Pewien oficer portugalski znalazł je w starożytnym klasztorze niedaleko miasta Oporto i przesłał uczonemu p. Wagenfeldowi w Bremen. Ręko-

pism spisany był na pergaminie i zawierał 127 kart. Wageufeld pospieszył publikować część owego manuskryptu z własnym pełnym erudycy komentarzem, a przedmowę napisał uczony filolog Grotefend. Doczytano się w tém drogocenném dziele o ciekawych żeglugach i odkryciach morskich Fenicyan. Dowiedziano się, że Sydończycy aż do Ceylanu żeglowali. Opisy geograficzne i historyczne, przeplatały zajmujące anegdoty, a nawet poezye, które znowu inny uczony z poezyjami Ossyana porównywał.

I tak przez lat kilka rozkoszowali się niemieckie filologi swoim Sanchoniatonem. Pierwszy który ich radość zakłócił, był Wilken autor wojen krzyżowych, podawszy w wątpliwość autentyczność rękopismu. Gensenius wystąpił z zarliwą obroną fenickiej kroniki. Zaczęła się polemika i zajadłe kłótnie. Niedawno wreszcie przekonano się stanowczo, że cała relacya Wagenwelda o oficerze portugalskim była fałszywą i że nigdy w żadnym klasztorze pod Oporto, żadnego nie znaleziono rękopismu.

Palma pierwszeństwa między społeczeństwiemi fałszerzami należy się przecież głośniejszemu jeszcze przed paru laty w naukowym świecie grekowi Simonidesowi. Ten Simonides był nie tylko śmiałym, ale i niepospolicie uczonym oszustem. Urodził się on na jednej z wysp archipelagu greckiego. W roku 1837 pracował w jednej drukarni ateńskiej, a później mieszkał w słynnym klasztorze na górze Athos, gdzie miał zakonnikiem wuja wielkiego lubownika i znawcę starych greckich rękopismów. Po śmierci tego wuja powrócił do Aten i zaczął puszczać w obieg stare manuskrypta pochodzące niby ze spadku, jaki mu wuj zostawił. Pracował przytem gorliwie ucząc się starożytnych języków i wczytując się w starych autorów. Układny, pełen zdolności, obdarzony znakomitym darem wymowy, wywierał wpływ na wszystkich z którymi miał styczność i wkrótce porzuciwszy Ateny, poszukał dla swój działalności rozleglejszej widowni.

Simonides wydał dość ciekawy opis swoich po świecie wędrówek, lecz ten opis ułożony widocznie w celu oszustwa, na żadną nie zasługują wiarę. To pewna, że przez lat kilka przesiedział na górze Athos, gdzie mu się udało skopjować lub wydostać kilka prawdziwych i cennych dokumentów. Zwiedził on później cały archipelag, Egipt i Azyę środkową i wreszcie osiadł w Konstantynopolu, gdzie znalazł potężnego protektora w ambasadorze sardyńskim baronie Tecco. Tu oznajmił uczonemu światu, że posiada rękopism grecki tłumaczący hieroglify i starożytną kronikę armeńską, którą prałatom armeńskim chciał ofiarować za bagatelę—milion piasłów!

Simonides oprócz tego oświadczył, że wie gdzie zostały zakopane rękopisma najciekawsze Komnenów, i żądał aby rozpoczęto poszukiwania w ogrodach Izmaila paszy. Zaczęto kopać we wskazanem miejscu i znaleziono istotnie kilka pergaminów zwiniętych w starej blaszanej puszcze.

Lecz niestety druga tego rodzaju próba mniej miała powodzenia. Niejaki Ibrahim posiadający grunt ze starymi ruinami, kopał ziemię pod fundamenta swego pałacu. Zwrócono uwagę Simonidesa, że może w owym miejscu udałoby się co ciekawego odszukać. Oszust nie namyślając się długo, oświadczył że tam właśnie wedle jego mniemania powinnyby się znajdować ważne dzieła arabskie, pisane charakterem syryjskim.

Rzucono się z zapalem do kopania. Nasz uczyony był obecnym przy tej robocie. Po kilku godzinach daremnych poszukiwań, wszyscy rozeszli się na obiad. Po obiedzie znowu do rozkopywania powrócono i zaledwie dotknięto się ziemi motyką, Simonides wydał okrzyk tryumfu i radości, znaleziono bowiem znowu puzderko z rękopismami. Ludzie kopający ziemię zawtórowali temu okrzykowi głośnym i szyderyczym śmiechem. Zapytano się ich o przyczynę pokazało się, że gdy wszyscy rozeszli się na obiad, Simonides ukradkiem powrócił do domu i sam jeden z motyką pracował. Po takim *fiasco* fałszerz był zmuszony Konstantynopol opuścić.

Nie zadługo potem pojawił się Simonides w Londynie, gdzie nader świetnie zyskał powodzenie. Lubownik i zbieracz starożytności sir Thomas Philips zapłacił mu 125,000 franków za jeden rękopism, a British museum siedem manuskryptów dla swych zbiorów zakupiło.

Z Londynu udał się Simonides do Lipska, gdzie go wreszcie ostateczna spotkała katastrofa. Posiadał on sfabrykowaną przez siebie kronikę królów egipskich, dosięgającą najodleglejszej starożytności. Tę kronikę miał niby napisać niejaki Alexandrinus zwany Uraniosem. Ten rękopism podrobiony z wielką zręcznością uchodził za *palimpsest*. Słynny filolog Dindorf uznał manuskrypt za autentyczny i kupił go za 2,000 talarów, aby go królowi pruskiemu za 5,000 odprzedać. Lecz monarchowie bywają mniej łatwowierni od uczonych. Król pruski polecił zbadanie manuskryptu berlińskim uczonym. Próby chemiczne pokazały, że tekst pierwotny owego Uraniosa był pisany świeżo i uczyony egiptolog p. Lepsius pojechał z Berlina w towarzystwie agenta policyjnego, aby złapać śmiałego fałszerza, który właśnie myślał z Lipska się wynosić. Rewizya w mieszkaniu Simonidesa zrobiła, odkryła wszystkie przyrządy fałszerskie do fabrykowania dokumentów służące.

Ten zręczny i głośny w świecie naukowym oszust, zaledwie 30 kilka lat liczący, dokonał prac olbrzymich i zadziwiających, przy których świeże fałszerstwo paryzkie bladem i lichem się wydać może. Łatwowierność i naiwność pewnych uczonych niemieckich, mogłaby francuzkiemu uczonemu być niejakiem balsamem pociechy.

Wprowadzono tu od pewnego czasu tak zwane *poranki literackie*, odbywające się o ranniej porze w jednym z bulwarowych teatrów, a mające na celu obznajmić ogół z klasycznym repertoarem francuzkim. Przedstawienia dramatyczne każdej sztuki poprzedzają prelekye przez p. Dechanel, Sarcey i innych literatów miewane. Prelekye te zastępują niejako miejsce chórów w tragediach starożytnych, tylko że nie mają starożytnej związku, bo prelegenci z właściwą Francuzom łatwością, gawędzą tam o wszystkim co nawet ze sztuką teatralną nie ma związku. Cztery utwory odegrano już w ten sposób: *Les femmes savantes*, *Edypa Woltera*, *le Vieux celibataire* i *Andromakę*. Tę ostatnią sztukę poprzedzała prelekyca Franciszka Sarcey jednego z najzdolniejszych dziś krytyków teatralnych.

Wystawa Andromaki była tém ciekawszą, że p. Ballande dyrygujący przedstawieniami wpadł na myśl odegrania sztuki w kostiumach z czasów Ludwika XIV: „aby jak się wyrażał program, publiczność i krytycy mogli osądzić, czy takowe kostiumy bardziej nie odpowiadają stylowi sztuki, od greckich płaszczy i koturnów.”

Tę też tezę podniósł w swjej prelekyi p. Sarcey i wymownie dowodził o potrzebie konwencyonalności w teatrze. Poeta dramatyczny wedle prelegenta, powinien szukać nie bezwzględnej prawdy historycznej, ale prawdy społecznej.

Twierdził dalej nie bez słuszności, że ścisła w drobiazgach wystawa, że sumiennosc kostiumów i przyborów, szkodzą raczej wartości historycznego utworu i biorą górę nad treścią sztuki. W Esterze Rasyna np., widzowie mają dziś przed sobą przepyszną dekoracyę assyryjskich gmachów wedle pomników znajdujących się w muzeach skopiowaną. Aswerus wychodzi tam na scenę w bogatym orientalnym ubiorze, jakoby przez malarza *Gérome* namalowanym; lecz ów Aswerus przemawia do nas językiem, jakim Ludwik XIV do La Valiery i pani de Montespan przemawiał. Sprzeczność taka razi słuchacza i wrazeniu szkodzi, więc tedy dla zachowania kolorytu epoki w której owe sztuki powstały, Rzymianie i Grecy poubierani zostaną w peruki Francuzi rodzą się z jakimś guzem osobnym, który im pozwala rozkoszować w ich repertoarze klasycznym; nam ten repertuar czy to w perukach czy bez peruk, sprawia najeźścię nudę.

I Napoleon III zajmuje się, jak twierdzą sprawą teatralną. Przypisują przynajmniej cesarzowi myśl stawiania nowego wyłącznie dworskiego teatru na placu Karuzelu wzdłuż skrzydła dotykającego ulicy Rivoli. Jak dla malarstwa muzeum w Luwrze istnieje, tak i ów teatr byłby niejako rodzajem muzeum dla najznakomitszych dzieł ze wszystkich epok i narodów; granoby tam tylko dawne sztuki i utwory poświęcone przez długoletnie powodzenie.

Sala owego teatru będącego zaledwie w projekcie ma być połączoną z pokojami cesarskiemi przez wspaniałe schody. W czasie zwyczajnych przedstawień tylko część sali będzie zachowaną dla dworu, w dniu galowe publiczność całkiem zostanie wykluczona. Na tej scenie aktorzy wszystkich paryzkich teatrów odgrywać będą najlepsze sztuki tak, jak je w Compiègne i Fontainebleau odgrywali.

Tymczasem Wiktor Hugo, którego dramata pozwolono narzucić tu przedstawiać, układa się z dyrektorem o te przedstawienia, ale stawia takie drakońskie warunki, że dotąd żadna dyrekcyja podjąć się tego zadania nie chce.

Zanim się ukaże romantyczny repertoar Wiktora Hugo, mają w tej chwili Paryżanie nowy utwór dramatyczny Emila Augier. Ta dawno już zapowiadana sztuka mająca nosić nazwę *le Spectre noire* ukazała się tego tygodnia na scenie teatru francuzkiego pod tytułem: *Les lions et les Renards*. Każde świeże dzieło tego znakomitego pisarza jest zdarzeniem obudzającym ciekawość i uwagę. Przedstawienie *Lwów* i *Lisów* było świetne, gra aktorów wyborna, ale co do nas, to sądzimy, że p. Augier nleża od jakiegoś czasu pewnej monomanii, wpływającej na jego talent szkodliwie. Wprowadza on wszędzie intrygi klerykałne i prześladowany jest przez widmo Jezuitów. Gdybyż choć z tych świętoszków i Jezuitów nowe tworzył postacie, ale posługuje się on tylko tuzinkowymi typami, które od czasu Eugeniusza Sue'go już się mocno zużyły.

W sztuce którąśmy tego tygodnia widzieli, bogata dziedziczka Panna de Biragne jest przedmiotem upartej walki Lwów i Lisów. Heroina owa ma tylko 9 milionów posagul a posiada przytém głowę romansową, szuka bezinteresownego kochanka i wielką czuje pogardę dla wszystkich ubiegających się o jej rękę. Tych ubiegających się jest naturalnie wielu. W pierwszym rzędzie stoi baron d' Estrigand, któregośmy już widzieli w innej sztuce autora: *la Contagion*. Ten baron będący oszustem wielkiego świata, zmuszony na jakiś czas zniknąć z widowni, pojawia się po kilku latach i wygląda teraz na przyzwoitego i uczciwego człowieka. Niespodziana successya pozwoliła mu pospłacać długi i nowym zajaśnieć blaskiem. Salony i kluby z których został wypchnięty otwierają mu swe podwoje i nikt się dowcipnego i pełnego elegancyi barona nie pyta, z jakiego źródła pochodzi owa nader podejrzana fortuna.

Panna de Biragne nie daje się przecież oszukać pozorami i zniecierpliwiona mocno umizgami barona, zmusza go w doskonale przeprowadzonej scenie do formalnego oświadczenia się, ale na to tylko, aby mogła natrętnikowi stanowczą dać odprawę. Wytrawny lis nie daje przecież sprawy za przegraną i ucieka się pod

opiekę hrabiny Prerenquere, która przy bogatej dziedzicze miejsce powiernicy zajmuje. Tymczasem rodzina panny pracuje ze swęj strony i układa na jęj miliony zasadzki. Młody kuzyn p. de Valtrarers dla starania się o rękę bogatęj kuzynki przyjeżdża z prowincyi w towarzystwie niejakiego p. de Saint Agathe, który najzupełnięj przypomniął nam Rodina z Żyda wiecznego. P. Saint Agathe wychowujący starannie swego ucznia na świętoszka i mazgaja, ma zamiar owałdnąć dziewięciu milionami na rzecz Towarzystwa Jezusowego, którego jest jednym z najglówniejszych filarów. Zawsze tak samo jak w znanym romansie Eugeniusza Sue. Młody Voltravers przybywszy do Paryża, sprawia swemu mentorowi nie miłą niespodziankę. Przedstawiony swęj kuzynce i zostawiony z nią sam na sam, zrzuca z siebie maskę pod jaką się dotąd ukrywał i ukazuje się bynajmnięj nie mazgajem, ale dość sympatycznym i nie wyzutym z szlachetnych uczuć hulaką. Ten młody lew przeniknął oddawna czarne intrygi swojego mentora, przyjął na siebie rolę świętoszka, bo mu się dusza do Paryża wydzierafa. Z całą naiwną otwartością błaga on teraz swęj kuzynki, aby go tylko pozornie za konkurenta przyjęła, bo w przeciwnym razie odesłany znów zostanie na prowincyą, gdzie się piekielnie nudzi.

Pośród takiego położenia rzeczy pojawia się glówny lew sztuki, Piotr Champlion. Champlion jest glównym i znanym ze swych naukowych wędrowek jeografem. Przebiegl on świezo całą środkową Afrykę, wraca do Paryża i miewa publiczne odczyty w celu zebrania summy 400,000 fr. potrzebnych dla uorganizowania nowęj ekspedycyi, mogącej w swych skutkach odkryć bogate złotodajneminy. P. Saint Agathe przeczuczając w tych minach dobry interes, chce potrzebną sumę ofiarować, ale wnet cofa swą ofiarę, bo Champlion mu oświadcza, że nie tyle dba o owe miny złote, jak o odszukanie towarzysza podróży i najbliższego przyjaciela, którego wśród groźnych niebezpieczeństw zostawił i którego z narażeniem życia chce z rąk dzikich wydostać. Wreszcie panna de Birague uczęszczająca na prelekye młodego jeografa, ujęta jego wymową, talentem i szlachetnością celu, ofiaruje także pieniądze na afrykańską wyprawę.

W trzecim akcie widzimy już heroinę studującą gorliwie mapę środkowej Afryki i wozytującą się w podróż i opisy wszystkich słynnych wędrowników. Takowe jeograficzne studia wymownie świadczące o sympatyach bogatęj dziedziczki dla lwa afrykańskiego, obudzają naturalnie czujność między czychającemi na posag lisami.

Baron d'Estrihand widząc budzące się w sercu panny de Biragne uczucie, zmienia całkiem swą dotychczasową taktykę: pojawia się u nięj pokorny, skruszony, gotów jest nawet Paryż i Francyą opuścić, wybiera się z Champlionem do środkowej Afryki, ofiaruje koszta ekspedycyi zapłacić i życie swe poświęć

w ofercie, byle tylko ulżyć sercu zranionemu najprawdziwszą miłością. Champlion wzruszony tak głębokiem i serdecznem uczuciem, chce biednemu baronowi do zaślubienia panny de Biragne dopomóc, ale dowiaduje się od niej o wszystkich matactwach szczwanego lisa, oburza się i pod pierwszym lepszym pretekstem wyzywa barona na pojedynek. Wiadomość o tym pojedynku napęluia przerażeniem heroinę, interesującą się nie tylko pomyslnym skutkiem afrykańskiej wyprawy, ale pragnącą młodego jeografa zaślubić. W czwartym akcie jesteśmy u pana Saint-Agatha. Ten Rodin miniaturowy, posiada naturalnie tajemnice wszystkich osób, wie on, że jego uczeń młody Valtravers spędza nocy na hulatyce i grze w karty, wie że d'Estri-gand jest niezwykłym oszustem i ma w swém ręku dokumenta dotyczące owej mniemanej sukcesyi, a mogące barona przed Trybunałem pociągnąć i zgubić. Następuje scena między dwoma lisami zrucającymi przed sobą maski. Saint-Agathe wyjawia baronowi, że go trzyma w swjej matni i proponuje mu układy. Odda on wszystkie listy i dokumenta kompromitujące, jeżeli baron dopomoże do zgubienia Champliona w oczach panny i jeśli nie będzie przeszkadzał jej zaślubieniu z młodym p. Valtravers. Oba lisy zrobiwszy taką ugodę, układają, jakoby na lwa zastawili pułapkę. Plan owej pułapki nie odznacza się wielką zręcznością. Po takim jak Saint-Agathe intrygancie i po takim jak baron oszucie, można się było czegoś lepszego spodziewać. Postanawiają oni w jednym ze skandalicznych paryzkich dzienników umieścić wiadomość, że Champlion ofiarował jednej z głośnych baletniczek przepyszne wierzchowca i że ten kosztowny podarunek pochodzi z sumy na afrykańską ekspedycję zebranych. Taka wiadomość wywołuje przeciw jeografowi powszechne oburzenie. Baron korzystając z oburzenia, zwołuje w swym klubie sąd honorowy, który oświadcza, że z człowiekiem kupującym konie baletniczkom nikt ucziwy bić się nie może. Uczucie honoru owego klubu jest bardzo delikatne i wysoko posunięte; wątpimy aby w rzeczywistości szanowni członkowie klubów tak dalece byli na owym punkcie drażliwi. Dość, że baron bić się z jeografem nie będzie, a Sainte-Agathe cieszy się, że panna de Biragne dowiedziawszy się o całym skandalu; nie wyjdzie za człowieka robiącego baletniczkom prezenta. Lecz młody Valtravers ocala wszystko i tryumf enocie zapewnia. Zwołuje on po raz drugi sąd honorowy i z dowodami w ręku wyjaśnia, że Champlion nigdy żadnego konia baletnicze nie kupił. Jeograf wychodzi z tej sprawy biały jak śnieg, zeni się z bogatą dziedziczką, a młode małżeństwo jedzie spędzić miesiąc miodowy do środkowej Afryki. Baron dla odpokutowania swych grzechów, oddaje się ciałem i duszą Rodinowi sztuki, panu Sainte-Agathe.

Taki jest szkielec nowego dramatycznego utworu. Te lwy nie mają lwiej grzywy i pazurów, a lisy nie odznaczają się żadną nową i niezwykłą chytrnością; są to farbowane lisy. Wyborna

gra aktorów, dowcip w dyalogach rozlany i samo imię autora, zapewnią sztuce na jakiś czas powodzenie. Krytyka odezwie się dopiero w poniedziałkowych felietonach. Wedle nas, lwy i lisy należą do słabszych Emila Augiera utworów.

Niedawno jeszcze nie wymagano nic więcej od książek pojawiających się na kolendę jak ozdobnej okładki, pięknego druku i papieru. Dzieła takowe miały tylko tyle powabu i trwałości, co cukierki przygotowujące się właśnie pod tę samą porę. Dziś ta literatura kolendowa jest nie tylko powabna, ale nieraz i pouczająca, a ryciny artystycznie wykonane przychodzą w pomoc treści.

— W tym dziale noworocznej literatury spostrzegamy *Kobiety Goethego* z tekstem napisanym przez P. Paul St. Victor i z rycinami Kaulbacha. Kaulbach poświęcił kreacyom kobiecym wielkiego poety 22 kompozycy, które w świecie artystycznym ogromne zyskały powodzenie. Wydawca francuzki Hachette nabył prawo publikowania tych kompozycy, a najświetniejszy z tutejszych fejletonistów Saint-Victor napisał o owych kobietach pełne smaku studia. Widzimy tu wszystkie te nieśmiertelne postacie, co więcej sero poruszyły i rozplomieniły, aniżeli istoty z ciała i krwi. Przesuwają się przed naszymi oczyma posagowe: Ifigenia i Helena; dalej Klara kochanka Egmonta i Eleonora ubóstwiana przez Tassa; wreszcie Dorota, Małgosia, Szarlota i Mignon. Życie Goethego natchnęło także Kaulbachowi trzy kompozycye. Lili, pierwsza miłość poety; Goethe w Frankfurcie ślizgający się i otoczony orszakiem młodych kobiet, i uwieńczenie wieszcza na wejmarskim dworze. Jest to niezawodnie jeden z najartystyczniejszych albumów, jakie oglądać można.

— Inny spółczesny poeta Tennyson pojawia się także poraz pierwszy w tłumaczeniu francuzkiem z rysunkami Gustawa Dorè, rytymi na miedzi przez angielskich artystów. W dziełach Tennysona znajdują się cztery poemata z rycerskich i feudalnych czasów, będące rozkoszą kobiet angielskich, a odświeżające dla dzisiejszych salonów romansową epokę „okrągłego stołu.” Epoka ta wyśmienicie przypadła dla talentu Dorego; to też rysunki są udatne i pełne charakteru. Wspaniała tam architektura średniowieczna z fantastycznymi wieżami i murami; lasy w omroku pełne tajemniczych dziwów; skały nadmorskie o które biją oceanu fale; zastępy nacierających na siebie rycerzy; turnieje, dziewice na balkonach, wreszcie tańce sylfów przy księżycowym świetle i pełne świeżości pejzaże.

— W świat całkiem odmienny przenosi nas dzieło pana *Humbert*. Autor obznajmia nas z Japonią w której lat kilka przepędził, a którą opisuje w zajmujący sposób. Książka zawiera do 500 rycin tekst objaśniających. Większość tych rycin jest reprodukcją rysunków dokonanych przez artystów japońskich;

gdyż Japouia posiada artystów i to odznaczających się poprawnością rysunku, poczuciem natury i niepospolitym w karykaturach humorem.

— Do dzieł dostępnych a rozpowszechniających naukowe odkrycia należą: *Voyages aeriens* przez p. Glaisher, Flamaron i Fonvielle; oraz *l'Homme primitif* przez Ludwika Figuier. W tej ostatniej książce autor zebrał i umiejętnie ugrupował to wszystko, co się odnosi do początków rodzaju ludzkiego. Figuier, oddajmy mu tę sprawiedliwość, nie wyprowadza człowieka od małpy, jak to czynić dziś zwykli ci, co błędnie teorię Darwina zrozumieli. Pewność, że się od Orangutanów nie pochodzi jest bądź co bądź dla serca ludzkiego przyjemną, i nie tylko dla uspokojenia naszej miłości własnej potrzebną.

II.

Wyprawa naukowa do Meksyku i do Ameryki środkowej, dzieło p. Brasseur de Bourbourg, wydane kosztem rządu. — Kongres archeologiczny w Kopenhadze. Delegowani francuzcy: pp. Quatrefage, H. Martin, Opert, Leonzon le Duc. — Rozprawa H. Martin o Skandynawii. — Życie Arabów i społeczeństwo muzułmańskie, przez generała Daumas. — Szesnaście miesięcy w koło świata, dzieło Jakóba Slegfried. — Fellah, powieść Edmunda About. — Grewa Kowali, monolog Fr. Coppée. Ostatnie posiedzenie akademii francuzkiej. — Wiadomości literackie.

Zaczynamy sprawozdanie z dziedziny naukowej, od dzieła p. Brasseur de Bourbourg, o starożytnych zabytkach Południowej Ameryki. Dzieło to należy do tak wysokich sfer naukowych, że w Paryżu dwóch tylko uczonych umie je nie tylko już ocenić, ale nawet odczytać: pierwszym z nich sam autor, drugim pan Aubin, obaj głębocy indyjniści. Gdyby nie to, że Towarzystwo Etnograficzne Paryżkie wysoko ocenia uczoność p. Brasseur de Bourbourg, że sam rząd francuzki łożył przeszło 100,000 franków na wydanie jego dzieła, nie odważylibyśmy się nawet pisać o tej kosztownej publikacji. Mamy przed sobą to wielkie *in folio*, znajdujemy na czele sprawozdanie autora w formie listu do ministra oświecenia. Dowiadujemy się, że autor poświęcił się szczególnie badaniom języka Maija, w którym znalazł pisane pomniki historyczne pierwszych mieszkańców Ameryki. Dzieło jego przedstawia własne owoce długoletnich poszukiwań.

Oczywiście że nie to dzieło zagadkowe, którego oprócz p. Aubin nikt w Paryżu nie rozumie, ale poprzednie prace autora, zapewniły mu wziętość w świecie naukowym. Ta wziętość sprawiła iż rząd zaufał mu o tyle, że łoży wielkie koszta, tak na jego podróże jak i na wydawnictwa.

Słyszeliśmy tego uczonego gdy zdawał sprawę w Towarzystwie Etnograficznem ze swoich zamorskich wycieczek. Widocznie zakochany w przedmiocie: a wiara z jaką mówi, oddziaływa mimowoli i na słuchaczów. Jakaż to radość uczonego, z odkrycia podobieństwa jednej litery Maija, do jednego z hieroglifów egipskich! Jakież pole do naukowych kombinacyj! Byłże to prosty traf, podobny do tego co sprawił że w głębi Afryki jest miasto Nitra, gdy druga Nitra istnieje jak wiadomo na Słowakach. Nie na podobieństwie przecież jednej litery, ani nawet na podobieństwie kilku wyrazów, osnuł Brasseur de Bourbourg swoją hipotezę. Osnuł ją raczej na tym łańcuchu zdarzeń, które dla nas są tylko zuchwałym domysłem, a dla niego pewnością. Według pomników wyczytanych przez tego lingwistę, cywilizacya świata starożytnego, nie wyłączając nawet egipskiej, ma początek swój w Ameryce!

Domyslają się czytelnicy nasi, że śmiech Homeryczny wielu uczonych odpowiada na ową teorią. Dziwi nas bardzo dlaczego teoria więcej wywołuje niewiary, niż tyle innych, które poruszają daleko ważniejsze zagadnienia, a są śmielsze jeszcze od tamtej, jak np. szukanie prototypu człowieka w małpie a nawet w żabie lub prostym mięczaku! W rzeczy samej w hipotezie p. Bourbourg idzie głównie o epoki wędrówek ludów.

Początek ostatnich odkryć tego uczonego bardzo prosty. Podróżował długo po Ameryce, wracając do Francji zatrzymał się w Madrycie. Tu w jednym z klasztorów znalazł akta inkwizycji sprowadzone z Ameryki hiszpańskiej. Między innymi papierami odkrył pisma tubylców amerykańskich, a co najważniejsza ich alfabet. Tento alfabet stał się kamieniem węgielnym całej budowy. I oto przedstawia nam autor archiwa Indyan, o których dzisiejsi ich potomkowie zatracili nawet tradycyą.

Szczańki takich indyjskich dokumentów, znajdują się podobno w trzech tylko bibliotekach europejskich. Są one malowane na grubem płótnie, zanurzone w roztworze wapna.

Znakomity orientalista p. Rosny, professor języka japońskiego, gdyśmy go pytali o zdanie o tém dziele, odpowiedział: „Ha! jeśli to nie jest nadzwyczajny obłęd loiki wychodzącej z fałszywego stanowiska, jest to utwór najpięrszego dziś geniuszu. W każdym razie, gdyby nawet wnioski p. de Bourbourg okazały się mylne, sam zbiór tylu materyałów, wielkim jest zasobem dla następnych badaczy.”

Z tychto powodów, uważaliśmy za słuszne zwrócić uwagę czytelników *Biblioteki*, na tę ważną z tylu względów publikacyą.

W tym roku jak wiadomo wiele odbyło się kongresów naukowych. Jednym z najświetniejszych był kongres archeologiczno-antropologiczny odbyty w sierpniu w Kopenhadze. Z pomie-

dzy Francuzów, czterej znakomici uczeni delegowani od rozmaitych towarzystw, przedstawili Francją w całym blasku. Mówimy tu o pp. Quatrefage, H. Martin, Opert i Leonzon le Duc. Quatrefage reprezentował antropologią, jako jeden z głównych prawodawców tej nauki. W żywych walkach, które szkoła realistów stacza dziś przeciwko tradycyi biblijnej, ten uczoney występuje śmiało w obronie biblijnego rodowodu człowieka. Udowadnia on słusność tych tradycyj na drodze czysto naukowej, jako badacz przyrody. Mieliliśmy sposobność słyszeć go często w muzeum Botanicznego ogrodu. Osobistość nadzwyczaj miła, wykład jego łatwy i zajmujący. Należy on do tych uczonych francuzkich, którzy jak niegdys Arago, są podziwem dla professorów niemieckich i ich słuchaczów, umie bowiem bez pedantyzmu z prostotą, sympatycznie rozwiązywać pytania naukowe najwyższej doniołości.

Imię H. Martin znane powszechnie, nawet tym, którzy nie trudnią się wyższemi naukami. Główną jego pracą jest historia Francyi w 18 tomach, zaczynająca się od czasu starożytnych Gallów, a przeprowadzona do końca XVIII wieku. Rzecz dziwna, że poprzedni historycy francuzcy, którzy napisali o swym kraju tyle monografij nawet olbrzymich rozmiarów, nie zdobyli się dotąd na wielkie dzieło obejmujące w sobie cały rozwój historyi, jak to uczynił H. Martin. Nie to jednak stanowi główną jego zasługę, ale to raczej, że pierwszy potrafił ująć w system historyą starożytnych Gallów i uczynił ją kamieniem węgielnym dziejów późniejszych.

Na dzieje tych praojców patrzyli dotąd Francuzi jak dziś patrzą na tradycje starych Aryów, swych przodków azyatyckich. Sam uczoney Guizot, w historyi cywilizacji francuzkiej, widzi tylko trzy główne żywioły, jako podstawę tejże cywilizacji: żywioł rzymsko-pogański, germański i chrześcijański. Uważał za rzecz podręczną ośm milionów Gallów ujarzmionych przez Rzymian, i przez Franków. H. Martin w ostatniej pracy: *Historyi popularnej Francyi* umiał uprzystępnieć dla ogółu czytelników, krytyczne badanie Augustyna Thierry i swoje własne i wskazał Gallom właściwe im w dziejach stanowisko. Jestto zarazem znakomity archeolog, historyk i poeta.

Z poetycznych prac H. Martin, jego dramatyczny poemat *Wercingetorix* lubo nie ukoronowany przez akademią jak i inne prace autora, jest podług nas najznakomitszym dziś utworem poetycznej literatury francuzkiej. Wiemy że przekład tego utworu na język polski ukaże się niezadługo w druku.

P. Opert professor sanskrytu należy do najpierwszych lingwistów. Świat zawdzięcza mu rozszerzenie wiedzy o ludach, co zamieszkiwały Azyę Mniejszą w czasach potęgi perskiej.

Pana Leonzona le Duc uważa Francya za głównego przedstawiciela skandynawizmu. Niedawno *Bibl. Warsz.* pomieściła wyjątki z jego przekładu Kalewali, epepei francuzkiej, których ciąg dalszy jak myślimy, ukaże się wkrótce w témże piśmie. Obecnie

uczony filolog przygotowywa obszerne dzieło o krajach skandynawskich, z poglądem na historią, tradycyę, pieśni ludu i t. p.

Opert i Leonzon le Duc po powrocie z Kopenhagi jako członkowie Towarzystwa Etnograficznego, zdawali sprawę na posiedzeniu ze swych wrażeń i zdobyczy naukowych, pierwszy przemawiał Leonzon le Duc, w nieobecności Operta. Słuchacze zachwyceni byli jego opowieścią pełną niezrównanego życia i dowcipu prawdziwie francuzkiego. Zaledwie że skończył, wchodzi poważny Opert, i z całym pedantyzmem uczonych niemieckich, podejmuje tenże sam przedmiot. Prezes i słuchacze, przez samą przyzwyczajność zmuszeni byli słuchać, ale łatwo się domyślić jak im to ciężko przychodziło. Co do nas staraliśmy się korzystać z poglądu obu uczonych, a zarazem uderzeni byliśmy ogromną różnicą geniuszu francuzkiego od niemieckiego; p. Opert jest rodem z Hamburga.

H. Martin zdał także sprawę z wycieczki naukowej, już nie słuchaczom Towarzystwa, ale całej publiczności francuzkiej, w jednym z tutejszych dzienników. Bardzo to zajmująca rozprawa; obok ślicznych opisów miejscowości, widzimy co chwila głębokie uwagi uczonogo. Mamy za obowiązek zapoznać z nią bliżej czytelników.

W żywych obrazach autor maluje przyjazd swój do Stokholmu, gdzie się najprzód czas jakiś zatrzymał.

„Gdy stawiamy stopę na ziemi skandynawskiej, mówi H. M., uderza nas szczególny objaw. W miarę jak się posuwamy na północ, język staje się nierównie dźwięczniejszym aniżeli w sferach germańskich; mniej tu chropawy, coraz więcej przeplatany samogłoskami. Dość czytać na dworcach napisy miejscowości, jak Dylta, Arboga, Nora, Moheda i t. p. Tu nie czujemy się już w nowoczesnym świecie teutońskim, ale raczej przenosimy myśl do starożytnego i jakby pierwotnego świata. Ktokolwiek badał początki narodów, czuje się tu blizkim kolebki naszego wspólnego plemienia, w sąsiedztwie starych Aryów z Indyi i Baktryany”.

„Każdy Francuz podróżujący po Skandynawii musi przyznać, że nad brzegami Zundu albo jeziora Mäler, bliżej jest od własnego ogniska aniżeli po prawej stronie Renu; że tam, w owych dalekich stronach, więcej znajduje podobieństwa ze swym krajem, w charakterze, w obyczajach, w ruchu umysłowym, a nawet w sposobie wyrażania się, aniżeli w pośród sąsiednich Niemców.

Pochodzi to ztąd, że fak w obyczajach jak w uczuciu i w języku, Skandynawii lepiej zachowali pierwotny charakter wspólnych praocjów naszych, gdy tymczasem Niemcy rozwijając swój właściwy geniusz, ściślej skupieni w sobie, odstąpili od wspólnego prototypu. Co do nas (francuzów) mimo zarzucanej nam lekkości, mniej zmieniliśmy się od 2,000 lat, niż się to na pozór wydaje.”

W Stokholmie H. M. zwrócił szczególną uwagę na wzorowe urządzenie szkół elementarnych.

„Zwiedziłem — pisze — wielką szkołę p. Mejerbeera, mądrego kierownika wychowania ludowego w Szwecyi. Człowiek to nieporównanej gorliwości. Zowią go tu nowym Wincentym à Paulo. Szkoła jego wyborna, w całym tego słowa znaczeniu.

Dziewczęta pobierają razem z chłopcami wspólną naukę wykładaną przez nauczycielki na sposób amerykański. Wzorowy ład panuje w szkole pod zwierzchnictwem kobiet, które z niezrównaną słodyczą i zręcznością, umieją wywiązać się z mozolnego zadania.

Gdyśmy weszli do tych sal obszernych i jasnych, ucieszyły nas w miły sposób twarzyczki dzieci wesole i swobodne. Dyrektor szkoły rozwiązał w niej ważne zagadnienie, umiał uczynić naukę przyjemną i upragnioną. Zakres wykładu doprowadzony daleko w historii, w jeografii, słowem we wszystkich przedmiotach potrzebnych każdemu.

Dwunastoletni chłopiec zagadniony przezemnie nakreślił dokładnie mapkę Francyi; lepiej się wywiązał z zadania, niż może nie jeden dwudziestoletni młodzieniec ze szkół naszych. Mała dziewczynka określiła machinę parową. Śpiew chóralny i ćwiczenia gimnastyczne, w godzinach rekreacyi, ważną grają rolę w owem wzorowem wychowaniu. Dziewczęta biorą w nich udział; tylko ćwiczenia wojskowe przeznaczone wyłącznie dla chłopców”.

Po krótkim pobyciu w Stokholmie, H. M. udał się do Kopenhagi. Dania według niego, jest w Europie głównym ogniskiem nauk archeologicznych. Tam uczeni jęli po raz pierwszy systematyzować odkrycia z czasów przedhistorycznych, dotyczące się pojawienia rodu ludzkiego na ziemi. Rzecz godna uwagi, że nawet lud wieśniaczy w Danii, szczególnie okazuje zamiłowanie w starożytnych zabytkach swego kraju.

Długi ustęp rozprawy poświęca autor opisaniu bogatych zbiorów archeologicznych, w Kopenhadze. Zastanawia się szczegółowo nad zabytkami z epoki kamiennej, bronzowej i żelaznej, które tam znalazł nagromadzone licznie i ułożone w systematyczny sposób. Widok tych ważnych zabytków nasuwa mu ciekawą uwagę:

„Sądziłem długo — mówi — że przepych w ozdobach rycerskich, znany już wodom Gotów i Franków, kiedy opanowali państwo Rzymskie, był po prostu naśladownictwem Rzymu i Konstantynopolu. Musimy porzucić ten przesąd, na widok przepysznych ryzsztunków wojennych pozostałych po dawnych Skandynawach, a które nie mają żadnego związku z cywilizacją klasyczną. W wielkim byliśmy błędzie przesadzając grubijanstwo barbarzyńców Północy i Zachodu.”

W zajmujący sposób opisuje następnie historyk posiadzenia archeologiczne w uniwersytecie, w gronie uczonych z całego świata.

„Nasze posiedzenia—mówi on—były niejako dopełnieniem i komentarzem, wycieczek po muzeach. Učení zgrupowani tu ze wszystkich krańców ziemi, odczytywali z kolei noty i memoriały dotyczące się odkryć archeologicznych, słowem, określali stan nauki w różnych krajach. Był to dalszy ciąg ważnych posiedzeń kongresu paryzkiego z r. 1867. Łatwo pojąć ile światła płynęło na naukę z tych sprawozdań, dochodzących nas, z ogromnych obrazów, począwszy od gór Andaluzji, aż do ujścia Dunaju, Dniepru i Wolgi.”

Dysputy pomiędzy pp. Vogt z Genewy i Quatrefagem o początkach rodu ludziego, o niezmienności albo przeobrażeniu się plemion, należały do najznakomitszych na kongresie.

Nakoniec autor opisuje wycieczkę naukową w głąb kraju, wszystkich zebranych członków:

„Nasz parowiec—mówi—dziwnie malowniczo przedstawiał obraz. Zamierzaliśmy odwiedzić razem ważniejsze pomniki i cenniejsze miejsca, z których muzea czerpały skarby swoje. Gościnni przewodnicy kongresu wszystko obmyślili, aby uczynić tę wyprawę o tyle przyjemną jak użyteczną. Obecność pań duńskich, które okazywały żywe zajęcie dla naszych prac, nadawała nie mały urok wycieczce, i przyczyniała się wielce do utrzymania harmonii.

Pierwszy dzień poświęcono zabytkom pierwotnym, przepłynęliśmy wzdłuż cały Fiord, czyli zatokę morską Roeskiid, w pośród licznych kurhanów grobowych, sterzących rzędem po obu brzegach. Zwiedziliśmy tak zwaną *kioekken-moedding* (to jest szczątek kuchni) ogromny zwal muszli, skorup, kości zwierząt i narzędzi kamiennych, pomieszanych z resztkami węgla. Były to ślady uczci pierwotnych mieszkańców Danii i dzisiejszego ich przemyśłu. Takie składy znajdują się w wielkiej liczbie, na wysepach Duńskich i na wschodnim brzegu Jutlandyi.

Było to ciekawe, ale okoliczność nieobjęta programem, żywiej zajęła.

Jużto wszystkie miasta zaczawszy od Roeskiid, przyjmowały nas z równą jak Kopenhaga gościnnością. Władze municypalne występowały w paradzie, lud tłoczył się z okrzykiem radości; na ulicach powiewały chorągwie: z tych francuzka nieodstępnie towarzyszyła skandynawskim, dodajmy do tego *lunsze* i ucztę. Wszystkie te oznaki współczucia, chwyciły nas za serce, ale przyjęcie jakiego doznaliśmy wysiadając na ląd w Soelager, było dla nas prawdziwie miłą niespodzianką. Ze wszystkich ot stron, zbiegały ku nam wózki uprzążone w parę małych ale krępych koników. Wieśniacy okoliczni z własnego natchnienia, zabiegli nam drogę, chcąc nas powieźć do pobliskich *kirekken-moeddings*.

Ci poczciwi ludzie, posłyszawszy że cudzoziemcy a szczególnieij Francuzi, tyle przywiązują wagi do ich narodowych pomników, naradzili się między sobą i przybiegli nam w pomoc. Żaden

z nich nie umiał po francuzku, my też nie rozumieliśmy ich mowy; trudno nam było porozumieć się bliżej, wymownym tylko uściskiem ręki okazaliśmy im naszą wdzięczność.

W ostatnich dniach kongresu, nastąpiły uroczyste bankiety.

Rząd duński — mówi H. M.—nie mieszając się bynajmniej do organizacyi kongresu, uważał go jednak za sprawę narodową. Posiedzenia rozpoczęte mową królewską, zakończyły się urzędowym bankietem w pałacu Christyansburgskim. W wigilią dnia tego, przedstawiono do okoliczności, rodzaj archeologicznej pantomimy. Występowali tu starożytni królowie morza, bohaterowie skandynawscy i wszyscy bogowie Odynowej Walhalli.

Nazajutrz po uczcie królewskiej przyjmowali nas uczniowie uniwersytetu.

Życzyliśmy szczerze naszym uczniom paryzkim, zakładu podobnego temu, w jakim przyjmowała nas młodzież duńska. Uczniowie z Kopenhagi zbudowali sobie za składkowy pieniądz gmach o wielkich salach, zaopatrzony w książki, gazety, mapy, narzędzia muzyczne, słowem we wszystko co im może być przyjemne i pożyteczne: prawdziwy to przybytek naukowy.

Przyjęliśmy nazajutrz potem udział w bankiecie wyprawionym przez miasto dla sławnego poety i powieścio-pisarza Andersona. Ten bankiet miał na celu uczczenie pięćdziesiątej rocznicy dnia, kiedy ów pisarz tak popularny w Danii, przybył młodem chłopięciem wiejskiem w mury tej stolicy, która dziś w obec uczonej Europy, składa z miłością bluszez na posiwałe skronie ulubionego wieszca.”

„Dania—dodaje autor—umie otoczyć hołdem każde imię które ją uświetniło. Świadczy o tём muzeum Thorwaldsena w Kopenhadze. W tём muzeum zebrano wszystkie utwory wielkiego mistrza, nie tylko utwory dłuta wykonane przezeń dla kraju, ale niemniej wszystkie jego rysunki i studia, a co ważniejsza odlewy genialnych utworów, które mistrz rozrzucił po świecie. Za jednym rzutem oka ogarniamy tu cały zawód jego artystyczny. To też imię Thorwaldsena stało się w kraju prawdziwie popularnem. Ludność z miasta i ze wsi okolicznych, tłoczy się co niedziela w progi muzeum, a tём samém uczy się pojmować prawdziwe piękno w sztuce.”

Martin zakończy rozprawę uwagami nad stanem politycznym Skandynawii.

Do poważniejszych dzieł jakie się obecnie pojawiły, należy dzieło generała Daumas: *La vie Arabe et la societe Musulmane*. Autor bada społeczeństwo arabskie w pierwiastkach i rozwoju historycznym, sięgając po czasy proroka. Wykazuje odwieczne tradycje, przesady, zabobony, przechowane do dziś dnia pomiędzy wszystkimi odłamami tego ludu, tak w właściwej Ara-

bii, jak niemniej na afrykańskich wybrzeżach. „Każdy Arab—mówi autor—ten nawet który od młodu żył życiem Europejczyka, który przepomniał napozór odwiecznych podań rodu swego, w miarę jak zachodzi w lata, wraca do dawnych wierzeń, i nową cześć otacza to, czem niegdyś gardził, gdy zostawał pod obcym wpływem. Cywilizacja europejska przeszła nad nim, nie zostawiwszy śladów, niby fala morska, pochyliła mu tylko grzbiet, wstrzymała mu chwilowo oddech w piersiach; przeszła, a on wrócił do pierwotnego stanu.”

Dzieło generała Daumas, przeznaczone głównie dla pożytku władz administracyjnych i wojskowych. Autor przemawia silnie aby szanowały wiarę i obyczaje Arabów, jeżeli chcą ugruntować władzę francuską w Algierji.

Ważne to dzieło tak pod względem erudyty etnograficznej, jak niemniej pod względem praktycznego zastosowania; charakteryzuje bowiem jedną wydatną stronę geniuszu francuskiego. Każdy niemal robotnik paryzki, przekonany silnie, że gdyby mógł pomówić kilka chwil z Chińczykiem, Japonem, albo negrem świeżo przybyłym z głębi Afryki, przemieniłby go odrazu na Francuza. Wszystkie zapewne narody posiadają tę pychę w różnych dozach, ale Francuzi górują w niej nad innymi. Widząc uznanie całej Europy dla cywilizacji swojej, uważają w niej ideał odpowiadający potrzebom całej ludzkości.

Ta dążność objawia się również silnie w sferach wyższej inteligencji. Weźmy np. arcydzieła różnych wieków i narodów tłumaczone na język francuski. My, kiedy tłumaczymy obcy utwór, staramy się aż może do przesady, uszanować cechy indywidualności autorów. Inne też narody europejskie uważają to za konieczność. Francuzi jedni śmiało, wstępny bojem, przerabiają obcego autora według własnej fantazyi, i nazywają to tłumaczeniem. Głównym celem dla nich jest chęć przypodobania się swoim czytelnikom. Przejrzyjmy tylko w tłumaczeniach francuskich: Homera, Wirgilego, Horacego, Tassa, Aryosta, słowem cały szereg wielkich poetów, aż do Byrona i Longfellowa, a zobaczymy że wszyscy odlani tu na jedną formę, przykrojeni do jednej miary. Niema wprawdzie reguły bez wyjątków. Do tych wyjątków zaliczymy przekład Danta przez Lamenaigo, jak niemniej Szekspira przez Karola Hugo.

Dzieło generała Daumas, jest ważnym upomnieniem, jest to szlachetne *mea culpa*, wyrzeczone w imię narodu francuskiego.

Częstokroć obwiniają Francją o duch inkerkantylizmu, jakoby pochłaniający w niej wszelkie żywotne siły, i sprowadzający ją z drogi przeznaczeń dziejowych. Mylnie to zdanie. Francją w wszechstronnym rozwoju władz intelektualnych, zanadto może zaniedbuje stronę przemysłową a szczególnie handlową. Świad-

czy o tém nowe dzieło Jakóba Siegfried p. n. „*Szesnaście miesięcy w około świata*” (1867—1869). Ostatni buletyn Towarzystwa Jeograficznego zwrócił szczególną uwagę na tę pracę znakomitego ekonomisty, który w missyi handlowej odbył tę ważną podróż. Przytaczamy krótki wyjątek z rozprawy p. Grad członka Towarzystwa nad powyższem dziełem, wykazujący o ile Francya nie zasługuje na czynione jój tego rodzaju zarzuty.

„Jeżeli Francya tak mało korzysta z ogromnych środków, jakie przedstawia jój handel ze Wschodem, nie pochodzi to z powodu z braku intelligencyi, ani też ze wstrętu do pracy. Powodem tej obojętności jest raczej kierunek nadany wychowaniu publicznemu. Wychowanie to, wyborne dla małej liczby jednostek, nie odpowiada przecież ogólnej potrzebie masy ludu. Nie braknie u nas adwokatów ani ludzi pióra; kandydaci do urzędów przedstawiają się w niesłychanej liczbie; ale za to, mało mamy ludzi praktycznych, przesiąkniętych zasadami pozytywizmu. Są u nas szkoły wyższe dla wszelkich gałęzi administracyi; dla wojskowości, marynarki, górnictwa, dla prac publicznych, dla samego nawet przemysłu; handel tylko pozbawiony tych środków. Powszecnie u nas sądzą, że handel jest rzeczą małej wagi. A przecież doświadczenie epoki obecnej, czyż nie wskazuje nam, jak wielkie stanowisko zajęły w świecie narody, u których handel najwyżej uczczony: Stany Zjednoczone i Anglia? Widzimy codziennie ilu tam ludzi zdolnych i wykształconych naukowo, znajduje w handlu szerokie pole spożytkowania własnych zdolności. Siegfried przekonany o potrzebie specjalnego wykształcenia młodzieży, domaga się u rządu wyższych szkół handlowych. Popierając czyuem teorią, ten znakomity negocyant, z pomocą brata, założył w Mülhuzie podobną szkołę i bogato ją uposażył. Według programu nakreślonego przezeń, szkoła przyjmuje uczniów od szesnastego roku, którzy ukończyli wstępne nauki. W ciągu dwóch lat, wykładane tam języki żyjące, jak niemniej dokładny kurs geografii handlowej, rachunkowości, ogólne zasady ekonomii politycznej i prawa. W końcu drugiego roku po egzaminie, celujący uczeń wysyłany bywa kosztem fundatorów na rok do Ameryki, w celu praktycznego dopełnienia nauk handlowych.”

Edmund About, pod wrażeniem pobytu swego w Suez, olśniony urokiem wschodniej gościnności khedifa, nakreślił zrecznie książkę o Egipcie, p. n. *Fellah*. W ciągu dni kilku rozechwytało pierwsze wydanie.

Słynny powieścio-pisarz, aby tém łatwiej dać poznać Egipt ogółowi czytelników, przybrał dzieło swoje w lekką szatę roman-su. *Fellah* przypomina ztąd klasyczną podróż *Anacharsysa po Egipcie*. Wprawdzie nie dorównywa tamtęj erudyoyą, ani dokładnością, w opisach, ani ścisłą krytyką, ale za to, o ileż prze-

wyższa klasyczną poprzedniczkę, lekkością stylu, prostotą i dowcipem. Pod piórem p. About widzimy stary Egipt, odradzający się nowemu życiu, otrząsający z siebie pleśń odwieczną. Opisy tu żywe, krótkie, pełne zajęcia. Przesuwają się przed oczyma czytelnika istnie jak w kalejdoskopie, i domy bogaczy egipskich, i gospody podróżnych, i chaty ubogiego ludu. Cechy obyczajowe, odrysowane tu lekko lecz wydatnie; wyższe nawet zagadnienia dotyczące się wielkiej rodziny muzułmańskiej, podjęte wszechstronnie w sposób zajmujący. Ścisła krytyka może niewątpliwie zarzucić niejedną niedokładność, nieuchronną w dziełku tak pobieżnym, na którego napisanie nowy Anacharsys, poświęcił ledwie kilka tygodni czasu; niepodobna jednak zaprzeczyć mu żywotności i wielkiej swobody w obrazowaniu.

Węzeł romansu podrzędna tu odgrywa rolę. Młody i bogaty Achmed, *Fellah* (co znaczy ziemianin) wychowany w zaciszy wiejskiej, na żądanie wice-króla, znajduje się nagle w Paryżu. W ciągu lat czterech wyuczył się języków: mówi po francuzku jak Francuz, zbadał głęboko nauki, poznał dokładnie dzieje wszystkich narodów. Wprowadzony do salonów paryzkich, staje się wkrótce przedmiotem powszechnego podziwu. Charakter jego gwałtowny i namiętny, ale ujęty w karby niezłomnej woli. Obdarzony wyższym umysłem, pochyla czoło przed cywilizacją europejską, a jednak za pierwszym rzutem oka, odkrywa jej wady. Pyszni się też z własnego rodu, mimo to sądzi kraj swój z nieprzebraną surowością, i postanawia zreformować go z gruntu.

Achmed pokochał młodą Angielkę miss Gracyą, godną imienia swego, piękną ale ubogą. Angielka bezposażna odmawia przecież ręki milionowemu pretendentowi, a raczej narzuca mu twarde warunki, i oblicza na cyfry każde uderzenie serca.

Dziwne to zapewne w romansie, ale powieść p. About jest prostą allegoryą. Achmed Fellah uosabia stary Egipt, pokostowany lekko cywilizacją europejską; przyznaje się do wad, lecz niemniej pragnie żyć własnym życiem, a w Europie szuka jedynie pobudki do postępu; chce połączyć się z zachodniemi państwami, nie zobowiązując się przecież do ślepej uległości. Miss Gracya to Europa, to upragniona oblubienica, pełna zakorzenionych przesądów. Serce jej uderza na widok pięknych afrykańskich wybrzeży, a jednak nakazuje milczeć sercu, powściąga wyobraźnię, a oblicza zimno korzyści, i narzuca warunki stanowiące podstawę przyszłych związków.

Świetnie dał się poznać z pięknego talentu młoty poeta Franciszek Coppée. Pisarz ten wyrabia sobie coraz wyższe stanowisko w świecie literackim. Komedia jego *Przechodzień* (*Le Passant*) przedstawiana w roku zeszłym w Odeonie, zjednała mu nagrodę na ostatniem posiedzeniu akademii. W tych czasach

przedstawił znów w Odeonie monolog pod tytułem: *Grewa kowali* (1). Krótki ten utwór, złożony zaledwie z dwóchset wierszy, ale pełen szczerego zapału, żywcem wyrwany z serca ludu paryzkiego, nacechowany prawdziwym talentem, przyczynił się nie pomalą do ustalenia sławy autora. Treść jego prosta, wzięta z życia rzemieślników. Niema tu szumnej deklamacji, niema błyskotliwych efektów, ale w każdym słowie odbija głęboka prawda i nieklamane uczucie.

Ojciec Jan, stary kowal, występuje na scenę jak przed sądowe kratki i opowiada smutną przygodę swoją:

Sędziowie! rzecz powiem krótko, węzłowato.
Kowale rozjątrzeni zbyt małą zapłatą
Zabrali się do grewy. Zima twarda, wreszcie
Głód ciężki na przednówku nawiedził przedmieście.
W sobotę, w dzień zwyczajnej płacy tygodniowej
Wziął mnie w wieczór pod rękę towarzysz cechowy
I poszliśmy do szynku...

Tam zastaliśmy liczną drużynę kowalską.

— Ojcie Janie! — rzekli do mnie druby — tyś najstarszy z pomiędzy nas. Zima jak wiesz daje nam się ciężko we zuaki. Majster tuczy się krwawym potem naszym. Za lichą zapłatę, wymaga od nas twardej pracy. Tak dłużej być nie może. Ty jako najpoważniejszy idź do majstra, powiedz mu spokojnie, bez giewu, że jeżeli nie powiększy płacy, od jutra każdy dzień będzie dla nas poniedziałkiem.

Jam człowiek z natury cichy, nie mieszam się w burdy uliczne, ale trudnoż było odmówić towarzyszom, skoro wszyscy zgodzili się na jedno.

Idę więc do majstra, przedstawiam mu naszą biedę; on słucha cierpliwie, a gdy skończył, odpowie mi w te słowa:

— Ojcie Janie, wiem żeś uczciwy i pracowity. Dla ciebie nie braknie nigdy miejsca w kuźni mojej. Ale powiedz próżniakom co cię tu przysłali, niech od jutra szukają zarobku gdzie chcą. I tak płacę więcej niż mogą. Nie dodam złamanego feniga.

Odszedłem smutny; powtórzyłem towarzyszom słowa majstra. Byłże to zgiełk i tartas! wszyscy zarzekli się że noga ich nie postanie w kuźni. Ja rad nie rad musiałem zaprzysiąc to z drugimi.

Nie jeden z nas kiedy wrócił do domu wieczorem, kiedy wysypał na stół zapracowane pieniądze, uczył zapewne w duszy

(1) Piękny przekład W. Szymanowskiego: *Bezrobocie kowali*, ogłosił Tygodnik ilustrowany w N. 102. Nie będzie zbyt cenną ta wiadomość korespondenta, zwłaszcza że wyjątki nowego przekładu posłużą do porównania.

nie małą trwogę na myśl, że nie prędko zobaczy się z nowym zarobkiem. Co do mnie sprawa była ciężka:

Bo tu chłodno i głodno! ha! nasłanie Boże!
 Człek stary, więc do postu nawyknać nie może,
 A bardziej niż o siebie, o drugich się boję.
 Żałośnie na kolana wziąłem wnucząt dwoje.
 Zięć mój wielki ładaco, córka zmarła z głodu;
 Gdym spojrział w te usteczka co nie znały głodu,
 Skraśniałem, serce dziwną zabiegło mi trwogą.
 Już przysięgłem niebaczny nie przestąpić nogą
 Od jutra, progów kuźni. Istna Boża kara!
 Dopieroż kiedy z pralni przyszła żona stara,
 Pęk chust mokrych dźwigając na bezsilnym grzbiecie,
 Jąłem rzecz opowiadać pomału kobiecie.
 Biedna! nie okazała ni gniewu, ni trwogi,
 Tylko z cicha wlepiła oczy w głąb podłogi—
 Stała długo w milczeniu.

„Mężu, powie wreszcie,
 Wiesz, nie lękam się trudu; co siły niewieście
 Mogą zmódz, ja to zmogę; ale żyć potrzeba,
 A my na dwie niedziele mamy ledwie chleba.

I oto przyszła nędza, straszna, nieprzeblągana nędza! Jedliśmy chleb suchy, wkrótce i na to nam niestało. Potrzeba było zastawiać sprzęty po jednemu. Wreszcie nudno człowiekowi bez pracy, skoro do niej nawykł od dziecka. Gdym z założonymi rękoma wędrował się po ulicach, a gdy mnie doleciał huk młota z oddali, oj ledwież mi serce z piersi nie wyskoczyło, tak mi ciężła przymusowa bezczynność.

Zasoby wyczerpały się do ostatka. Raz w chłodny wieczór grudniowy, powracam do domu, i widzę biedną żonę, jak siedzi skulona w kącie izdebki i do skrzepłej piersi przytula dwoje dzieci. Okropny widok!

— Jam to ich morderca!—wołam z rozpaczą—i wybiegam z domu jak szalony...

— Nie ma rady—trzeba wrócić do młota!—ale wprzód należy opowiedzieć się towarzyszom. Idę do szynku, patrzę, piją za stołem! Oni piją... a dziatwa moja mrze z głodu! przeklęty kto im płaci to wino! przeklęty kto podżega ten opór!

Zbliżam się do nich, przedstawiam nędzę moją.

Towarzysze! mnie dłużej nie wytrwać w tej mece,
 Patrzcie na ten włos biały, na te czarne ręce.
 Od czterdziestu lat z górą ta dłoń z młotem zrosła,
 Pozwólcieź mi samemu wrócić do rzemiosła!
 Chciałem zebrać, w tym celu wybiegłem na miasto,
 Godziź się do przechodnia tę rękę zylastą,

Wyciągać po jałmużnę? nigdy! bracia moi,
 Jam stary ale krzepki, mniej żebrać przystoi,
 Gdy mi jeszcze drga serce w piersi nie wychłódlęj?
 A jeden z nich wystąpił i wyrzekł: „Precz, podły!”

I krew warem zakipiła mi w piersi, w oczach mi pociemniało, porwałem się za głowę,

— Dobrze więc!—wołam—nie pójdę na robotę! żona umrze z głodu i zimna, sierotki moje pomrą, ale ty nikiemniku przyptacisz mi zuchwałe słowo.

I rozpycham tłum, porywam z ziemi dwa ciężkie młoty; lepszy rzucam w dłoń przeciwnika. Strach ogarnął go nagle.

Nigdy pies gdy pod chłostę przysiedzie na ziemi
 Nie patrzy w dłoń chłoszczącą tak błagalnym wzrokiem,
 Jak on spozierał na mnie, i nagłym podskokiem
 Ubiegł w tył i plecyma przyparł się do ściany.
 Widzę to błędne oko, ten włos rozczochrany!
 Trysła krew, z nóg powalony straszno się szamota;
 Jam roztrącił mu czaszkę jednym ciężkim młota.

Trup leży u stóp moich, mózg ciecze mu z głowy,
 Jam uczuł w głębi duszy wyrzut kainowy;
 Stałem jak słup, oburącz zacisnąłem oczy,
 Wtém chmara towarzyszków wkoło mnie oskoczył;
 Spojrzałem, wnet spłoszeni odbiegli zdaleka.
 —Zostawcież mnie! zawołam—ja wiem; śmierć mię czeka!
 Zrozumieli, ja wtedy zdjąłem czapkę z głowy.
 —Złóście tu—rzekłem—datek dla dzieci i wdowy.
 Sypnęły się miedziaki, garstka ich nie mała,
 Jam się oddał w moc sądu.

I oto rzecz cała!

Moja sprawa, sędziowie, ni zyska, ni straci
 Na tém, co wam wymowni rzekną adwokaci,
 Jeślim wyrzekł te słowa, to nie dla obrony,
 Lecz by wskazać on łańcuch ściśle upleciony
 Z smutnych przyczyn i następstw, co dziwnie się gmatwa!
 Już na kącik w szpitalu moja biedna dziatwa,
 Już zgryzota pocziwą zabiła mi żonę,
 Przyjmę z poddaniem głowy, co bądź mi sązone!
 Kara mnie nie zatrwoży, łaska nie osłepi,
 Jeśli kazeicie umrzeć, odpowiem: tém lepić!

Akademia francuzka w dniu 13 grudnia odbyła doroczne posiedzenie z r. 1869, pod prezydencją p. Adolfa Reigner. Pan Prevost Paradol jako dyrektor akademii zdawał sprawę z nagrody

za cnotę, fundacyi Monthion. Akademik ten z wielkim talentem wywiązał się z ciężkiego zadania, bo też i trudno znaleźć nowe formuły na przedmiot powtarzający się corocznie od lat tylu.

„Z jakiegoż tytułu, zapytał mówca przystoi nam wyrokować w rzeczy tak ważnej? aby mieć prawo sądu, czyżby nie należało nam samym, stać się żywym przykładem cnoty. I na to pytanie odpowiada równie dowcipną jak sprawiedliwą uwagę: „akademia francuzka ma prawo oceniać cnotę, albowiem ogólne poznanie natury ludzkiej i oswojenia się za pomocą literatury ze skłonnościami serca ludzkiego, usposabia ją do rozpoznania pięknego czynu i obliczenia całej jego doniosłości.

Następnie prezes odczytał nazwiska laureatów uwiecznionych przez akademią, za literackie prace.

Oto szereg dzieł uwiecznionych.

Uczucie religijne w Grecyi od Homera do Eshilesa, dzieło Juliusza Girard profesora Sorbony.

Studjum nad Galileuszem i prawami nauki; przez Th. Martina dziekana fakultetu literatury w Rennes.

Filozofia powinności przez p. Ferraz, profesora w uniwersytecie Lyońskim.

Spirytualizm i Ideal w poezyi Greków przez p. Chassing profesora szkoły normalnej.

Pierwszą nagrodę Goberta za najcenniejszą i najgłębszą pracę nad historią Francyi, otrzymował p. Roget baron de Bello-gnet, za dzieło p. n. *Etnologja galska, czyli rozprawa krytyczna nad pochodzeniem i pokrewieństwem Cymbrów, Cymerów, Ombro-nów, Belgów, Ligurów i starożytnych Celtów, 1858, 1868 w dwóch tomach.*

Inną nagrodę Goberta przyznano p. Dareste dziekanowi fak. literatury z Lyonu, za *Historią Francyi od czasów pierwotnych, do panowania Ludwika XV.*

Nagrodę Halphena, otrzymał członek Uniwersytetu p. Pe-rens, za dzieło w dwóch tomach p. t. *Małżeństwa Hiszpańskie za panowania króla Henryka IV.*

Pierwszą nagrodę poezyi, przyrzadzono E. Grenier za poemacik p. n. „*Semeja*”.

Drugą nagrodę otrzymał Franciszek Coppée, za poemat dramatyczny: „*Le passant*”.

Akademia podała do konkursu w oddziale wymowy na rok 1870 r. *pochwale historyczną Sullego, jako męża stanu i pisarza.*

Pod ogólnym tytułem „*Biblioteka cudów*”, (Biblioteque des merveilles), wydaje Hachete seryę dzieł poświęconych tak cudom przyrody, jak niemniej cudom pracy i geniuszu ludzkiego. Do tej seryi należą licznie wydane już dzieła o malarstwie, rytownictwie, rzeźbie, ceramice, budownictwie i innych gałęziach sztuki

jak niemniej o elektryczności, o meteorach, przemianach owadów i t. p. Przygotowano do druku: cuda sztuki złotniczej, cuda muzyki, cuda pamięci ludzkiej, cuda bohaterstwa, cuda przemysłu, cuda woli ludzkiej.

Pożyteczne to bardzo przedsięwzięcie, a do tego dostępne dla wszystkich. Tom ozdobiony drzeworytami kosztuje tylko 2 franki.

W nadzwyczaj ozdobnym wydaniu, wychodzi zeszytami dzieło p. t. *Konsylium Ilustrowane*; tom wielki in 4 obejmuje do 400 stronnic. Do każdego zeszytu dołączone piękne widoki Rzymu i jego pomników, oraz portrety Ojców koncylium. Drzeworyty przedstawiają uroczyste pochody, ceremonie religijne, posiedzenia. Dotąd wyszło zeszytów 14.

Biskup Orleanu wydał dzieło przeznaczone na kolendę: *Życie Chrystusa*, przepyszny tom in 8vo ozdobiony 12 wielkimi rycinami i 48 drzeworytami.

Księgarnia Didier wydała illustrowany poemat Wiktora Laprade p. n. *Pernette*; poemat ten drukowany po raz pierwszy w roku zeszłym, znalazł zasłużony rozgłos we Francji. Wśród dzisiejszej posuchy na polu poezji, uważać go można za prawdziwe arcydzieło, pod względem formy, dykcji i obrazowania.

Z historycznych dzieł zasługuje na uwagę: *Historja Europy podczas rewolucji francuskiej*, przez M. H. de Sybel, członka parlamentu północnych Niemiec, profesora uniwersytetu w Bonn. przekład z niemieckiego na francuski język dokonany przez pannę Maryą Dosquet odznacza się dokładnością i pięknym stylem. Dotąd wyszedł tylko pierwszy tom tej ważnej publikacji. Dwa następne są już pod prassą.

Panna Bader, z towarzystwa azyatyckiego, autorka dzieła *O kobiecie indyjskiej*, uwienconego przez akademię Francuską, pracuje nad nowym dziełem: *O kobiecie greckiej*. Pierwsza praca autorki znana była czytelnikom *Biblioteki* z pomieszczonego w niej sprawozdania z wyjątkami. Sądzimy że znakomita autorka pozwoli nam zamieścić w naszym piśmie kilka ustępów z niewydanego jeszcze dzieła.



KOLEJ ŻELAZNA

OD ATLANTYKU DO OCEANU SPOKOJNEGO.

(Wyjątek z podróży).

Po czterotygodniowej przeprawie z Yokohama, wylądowałem dnia 1 kwietnia 1869 r. na gruncie amerykańskim w Kalifornii. Przy wejściu do przystani spotkaliśmy parowiec, który przewoził mieszkańców miejskich na spacerową wycieczkę, do jednej z wysp sąsiednich. Dzień był prześliczny, błyszczące słońce uświetniało barwami tęczy różnokolorowe ubiory passażerów, którzy swobodni, uśmiechnięci, powitali nas przy mijaniu się, wesołem: „welcome in California.”

San-Francisco na pierwszy rzut oka nie może się podobać; okolica jest pusta, piaszczysta, miasto źle brukowane i źle utrzymane; domy, hotele, równie jak i gmachy publiczne bez stylu, bez artyzmu, noszą tylko na sobie ślady pośpiechu. Pośpiech wydaje się tam panującym; na ulicach widzisz, jak wszyscy pędzą wprost przed siebie, nie oglądając się na stronę; potrącają się, deptają sobie po nogach, nie przeprosiwszy się nawet. Przykrego też doznałem uczucia, ujrzałem się zanadto obcym pośród ludzi tak zajętych.

Lecz kilka godzin przepędzonych w mieście, całkiem rozproszyc mogą niekorzystne wrażenie. Samo wejście do hotelu, już mi przyjemną zrobiło rozrywkę; zaraz na wstępie wezwano mię, żebym według przyjętego zwyczaju, wpisał nazwisko do wielkiej księgi, spoczywającej w sieni, która służy zarazem za salę ustępową. Zastałem tam ze 20 Kalifornijczyków, porozciąganych na ławkach i krzesłach: czytali, palili i żuli tytoń. Spojrzawszy na chwilę w mą stronę, powrócili do swoich zatrudnień. Dano mi następnie ładny i dobrze umeblowany pokój, gdzie młoda dziewczyna ścieląc łóżko, przybrała rolę sędziego prowadzącego badanie; zapytywała mię bowiem o nazwisko, cel podróży, zkład i dokąd jadę, jak długo zabawie; a to wszystko od niechcenia, jak naj-

naturalniej w świecie. Dowiedziawszy się, że jadę z Japonii, bardzo chwaliła moich współziomków; biorąc mnie po prostu za Japończyka, chciała pochlebić narodowej dumie, zapewne w widokach przyszłej gratyfikacji.

W ciągu rozmowy otworzyłem tłomoki, i zabrawszy listy, wyszedłem na miasto. W skutek poleceń, przyjęto mnie wszędzie jak najlepiej: „Siadaj pan, nie zdejmuj kapelusza, tutaj łatwo się zaziębić; zapal cygaro, oto są bardzo dobre; czem pozwolisz sobie służyć. Przy tym stole możesz pracować, ile razy zechcesz, przychodź do nas często. Wieczorem przedstawię pana żonie, musisz być u nas na obiedzie; zabiorę pana na wieś, gdzie mieszkamy; wstąpię po pana do hotelu.” I w ten sposób, każdy się do mnie odzywał; bez ceremonii, szczerze i otwarcie, jakbym był im znajomy od lat dziesięciu. Ujęty tak miłym obejściem, zaraz zmieniłem zamiar prędkiego opuszczenia San-Francisco.

Wracając do hotelu przez główną ulicę Montgommery-Street, spotykałem mnóstwo ładnych, wykwintnie i gustownie ubranych kobiet. Nie jedno znam wielkie miasto w Europie, ale takiej elegancji i tyle wdzięków zebranych razem, nigdzie mi się widzieć nie zdarzyło, co w stolicy Kalifornii.

Mężczyźni nie dorównywają bynajmniej swym towarzyszkom; owszem, gdy te noszą suknie z kosztownych materyi, zgrabne buciki i rękawiczki; to ich odzież jest zakurzona, kapelusze zmięte, miny strudzone i zakłopotane. Chodzą prędko i sztywno, jakby mówili: Mamy drogę przed sobą wytkniętą, i po niej zmierzamy bądź co bądź.

Ludność zamożna w San-Francisco, składa się z tego, co Anglicy nazywają „self made men,” to jest z synów dzieł własnych. Majątki dziedziczne nie istnieją w kraju, którego bogactwo liczy się dopiero od lat kilku. Ci ludzie, wczoraj ubodzy, dzisiaj milionerzy, bez namysłu trwonią pieniądze i życie. Gdy są ubodzy, pracują jak niewolnicy; wówczas każde zajęcie jest dla nich dobre, byleby zysk przynosiło. Gdy się fortuny dorobią, lubią zbytek, przepych, obszerne posiadłości nie przynoszące, wiejskie domy, konie czystej krwi po 10 do 50,000 franków, dobrą kuchnię i otwarte domy. Ich żony, stroje sprowadzają z Paryża; grają na fortepianie i śpiewają; mówią kilkoma językami, gdyż są wychowane na najpierwszych pensjach Europy i Ameryki. Mężczyźni, z uprzejmym uśmiechem przysłuchują się ich szczebiotaniu, nie odzywając się ani pół-słówkiem. Oni nie rozmawiają o literaturze, ani też o sztukach pięknych; wyłącznym tematem ich rozmów, jest polityka i handel. Nie wychwalają się na sposób Anglików, że kiedyś w młodości umieli po francuzku lub po niemiecku. Bynajmniej, oni tego nigdy nie umieli, nie mieli czasu się nauczyć; jeżeli z czego się chlubią, to może z braku edukacji. Ale za to kraj swój znają doskonale; jego bogactwo, zasoby, administrację. Znają wszystko co im wiedzieć potrzeba, i to gruntownie. Gdy wytkną sobie cel jaki, idą ku niemu wytrwale, z siłą woli, niezmiennie. Chcą

zrobić majątek, to go zrobią z pewnością. Do tych rysów dodajmy jeszcze pewną nieczułość na honor narodowy, który wypływa z tradycji; brak wylania, ostrożne powstrzymywanie się w mówieniu o osobistych interesach, a będziemy mieli wizerunek dorobkowicza kalifornijskiego.

Po powrocie do hotelu, spostrzegłem że i moje ubranie jest całkiem zapyłone. Wiatr dmie w San-Francisco większą część roku, deszcz rzadko pada, a grunt jest piaszczysty; ztąd powstają tumany kurzu, nie bardzo przyjemnie oddziaływające na tego, co do nich nie przyzwyczajony. Chcąc mieć suknie wyczyszczone, musiałem się udać na róg ulicy, do publicznego schoc-black (czyściciel butów), ponieważ w hotelu nie robią takich usług; łóżko pościelą, wieczorem gaz zapalą i przyniosą wody; zresztą nie można się niczego spodziewać. Przyprowadziwszy toaletę do lepszego stanu, udałem się na obiad, który tam jedzą o godzinie 6ej, mianowicie „przy table d’hote.” Za 15 franków dziennie, można mieć w hotelu porządny pokoiik i nie zły obiad; co jest dość tanio, w porównaniu do cen ogromnych, jakim podlegają w Ameryce najdrobniejsze przedmioty. Wino liczy się osobno; gdyż butelka najwzyczajniejszego kosztuje od 5 do 10 franków, szampańskie 25 franków, lepsze zaś gatunki płacą się po 25 do 50 franków.

Przy ogólnym stole, mężczyźni jako zajęci interesami, i nie mający czasu się przebierać, siadają w zwykłym ubraniu; kobiety zaś w wieczorowem. Chociaż w pięknej sali *Occidental Hotel* było ze dwustu biesiadników, stół który zająłem z towarzyszymi podróżny, zwrócił na chwilę powszechną uwagę. Mężczyźni przyjrzeni nam się obojętnie, jako nowym przybyszom; lecz kobiety obejrzały nas wszystkich po kolei, bardzo szczegółowo; bez efronterji, to prawda, ale też bez najmniejszego zakłopotania; zupełnie jak gdyby oglądały jaki sprzęt lub obraz; co się nam dość szczególnie wydało, nam, którzy jesteśmy przywykli cenić wstydliwą skromność niewiast naszych.

Po skończonym obiedzie, jeden z nowych znajomych zaprowadził mię do teatru, objaśniając, że są dwa jego rodzaje: najprzód teatr główny, zwany *Kalifornijskim*, do którego uczęszcza świat piękny, i dwa mniejsze, nigdy nie zwiedzane przez kobiety dobrego towarzystwa. Lecz, że właśnie tam się udamy, abym o wszystkim nabrał wyobrażenia, miałem więc sposobność przekonać się, że licencya przedstawień przechodzi wszystko, co pod tym względem widuje się w Europie.

W kilka dni później, byłem w teatrze *Kalifornijskim* na przedstawieniu dramatu Szekspira; po którym nastąpiła jakaś farsa mitologiczna, i takowe zestawienie nikogo nie raziło. Sala jest duża i piękna, aktorowie średnich talentów, orkiestra niegodziwa. W ogóle, estetyczne wychowanie Amerykanów jest jeszcze do wyrobienia. Nic w tém dziwnego, gdy intelligencye zwrócone do praktycznej strony życia, małe mają usposobienie do poczucia delikatnych odcieni sztuk pięknych.

Rzuciwszy raz jeszcze okiem na miasto, możemy powiedzieć, że je zbudowano podług planu wykazującego, iż pierwsi osadnicy przeczuwali jego ważność handlową. Ulice są szerokie, proste, opatrzone chodnikami, oświetlone gazem. Koleje żelazne przerzynają je we wszystkich kierunkach, po nich toczą się omnibusy; kursa są niskiej ceny, gdy tymczasem jazda fiakrem jest nadzwyczaj drogą. Niektóre sklepy mają świetną wystawę; domów jest wiele z ciosowego kamienia, co musi być bardzo kosztownem w kraju, gdzie najem robotnika utrzymuje się na tak wysokiej stopie. Znaczna też jest liczba kościołów i świątyń, poświęconych najrozmaitszym wyznaniom. W pobliżu miasta znajdują się wille, to jest prywatne mieszkania bogatszych kupców, którzy swe kantory mają przy głównych ulicach. Okolica, jak już powiedziałem, jest pusta i smutna; dopiero wybrzeże morskie przedstawia się w dzikiej i groźnej wielkości. Szumiące bałwany roztrzaskują się z ogromnym łoskotem o poczerniałe skały, prostopadle stojące w wodzie. Opodal raf kilka wynurza się z toni, by służyć za schronienie stadom lwów morskich, których przeraźliwe, grobowe wycie, przygłusza nawet łoskot oceanu.

Po drugiej stronie miasta o kilkanaście mil drogi, rozciąga się łańcuch gór wysokich, u stóp których rozwijają się nieporównanej piękności krajobrazy. Tam to rosną owe ogromne drzewa, wysokie jak wieża katedry Strasburgskiej, których próbkę jedną posiada pałac Kryształowy w Londynie; jest to gatunek cedru, zwany w Ameryce „Washingtonia,” i jęj tylko właściwy.

II.

Wypadało mi nakoniec myśleć o powrocie do Europy, tego celu podróży, i opuścić San-Francisco, gdzie miłe towarzystwo zatrzymało mię dłużej jak zamierzałem. Dzienniki donosiły, że roboty na dwóch kolejach żelaznych: *Centralnej* i *Związkowej* szybko postępują, że niebawem się zetkną, i że tym sposobem najdłuższa linia kolei na ziemi, łącząca Wschodnią i Zachodnią Amerykę, Ocean Spokojny z Atlantyckim, zostanie w tych dniach otwartą. Znajdując się w Kalifornii, w chwili tak stosownej, postanowiłem być świadkiem wydarzenia, którego znaczenie polityczne, handlowe i cywilizacyjne, przewyższa o wiele jeszcze wszelką przesadę obliczeń amerykańskich.

Mając wyjechać d. 10 maja 1869 r. t. j. pierwszym pociągiem idącym wprost z San-Francisco, czyli raczej z Sacramento do New-Yorku; udałem się jeszcze dnia 7 maja do teatru *Kalifornijskiego*, aby po raz ostatni spojrzeć na zebrany piękny świat stolicy. Podczas jednego międzyaktu, kurtyna się podniosła, i jeden z aktorów, w czarnym fraku i białym krawacie, zbliżył się na sam brzeg sceny. Przyjeżdża go oklaskami, nim jeszcze przemówił. Gdy cichość powróciła, rzekł: „Panowie i panie, dyrekcya teatru odebrała w tej chwili telegram z kończyn kolei Żelaznej *Centralnej*, donoszący, że

ostatnia szyna, ta właśnie co połączy kolej *Centralną* z koleją *Związkową*, i ostatecznie uzupełni wielką *linię Oceanu Spokojnego*, będzie założona dnia jutrzejszego w południe." Zaledwo skończył, grzmot oklasków pokrył słowa jego; sypnęły się zewsząd kwiaty na postannika dobrej wiadomości; który, przejęty, wzruszony, jak gdyby te objawy dotyczyły go osobiście, cofał się ze sceny, czoło przed publicznością uchylając. Trzykrotnie go przywołano, aby mieć sposobność okazania na nowo swęj radości.

Nazajutrz, 8 maja, całe miasto było w ruchu, gdyż się zabierało do uroczystego obchodu *wielkiego dzieła*, jak je nazywano, to jest zetknięcia się dwóch, naprzeciw siebie budujących się kolei. Uroczystość miała być powszechną w całej Kalifornii, ale rzeczywistość była nieco przedwczesną; bo chociaż roboty w seceyi *Centralnej* były tak dobrze jak skończone, skoro telegramy donosiły, że w południe ostatnia szyna zostanie położoną w Promotory-Point; to roboty na kolei *Związkowej*, już od tygodnia nie mogły podążyć szalanej szybkości Kalifornijczyków. Unioniści prowadząc swą kolej z Omaha, mogli dopiero o dwa dni później stanąć na punkcie zetknięcia się dróg obydwóch. Byłoby zatem właściwie obchodzić ukończenie dzieła w dzień 10 maja, ale że już wszystko przygotowano na 8 maja, obchodzono je więc ósmego.

Była wielka uroczystość w mieście: pozamykano sklepy i warsztaty, chorągwie powiewały na domach, flagi na okrętach; dawano salwy z dział, tłumy świątecznie przybranych mieszkańców zalegały ulice; orszaki rozmaitych korporacji, cechów, stowarzyszeń, sekt, postępowały jedne za drugimi bez przerwy. Pompierze wiedli parowe sikawki, założone każda w cztery pyszne konie, maszyny świstały na wivat, przeciągłe a głośno; hałas ten podsycał coraz bardziej wzrastający zapał, który zdawało się, że już granic nie ma. Wyprowadzono nową lokomotywę, tylko co ukończoną w jednym z zakładów miejskich; spoczywała na wozie, ciągnęło ją 20 siwych prześlicznych koni, zaprzężonych żelaznemi łańcuchami po 4 w rzędzie; na wierzchu stało grono robotników w bluzach. Wspaniały ten zaprząg, pobudzał tłumy do nowych oklasków; na końcu zwolną postępowało wojsko i muzyka; jedném słowem połowa miasta składała pochód, a druga wyszła na jego spotkanie. Wieczorem zapalono illuminacyą.

Nazajutrz i dni następnych dzienniki Kalifornijskie przy zdawaniu sprawy z całej uroczystości, popisywały się ze znaną nadętością amerykańską uczuciami patryotycznymi; i rzucali przy tej sposobności kamieniem na „zgrzybiałą cywilizacyą europejską” mówiąc: „że potrzebowałyby wieków dla dokonania prac, które, śmiałe przedsiębiorstwo synów wolnej Ameryki, ukończyło w ciągu kilku miesięcy, w oczach zdumionego świata.”

Lecz powiedzmy prawdę, w jakiejkolwiek formie zapał się objawiał, był natenczas usprawiedliwiony, gdyż rzeczywistość wielkie dzieło dokonaniem zostało. W przeprowadzeniu jego ważne zachodziły przeszkody: przyroda i różne wypadki, góry osadzone za

nieprzebyte, domowa wojna, zdawało się to dostatecznym do opóźnienia zamierzonego projektu; tymczasem energia i optymizm, te świetne właściwości młodego ludu, wszelkie zwalczycy zdołały zawady. Zapewne, że człowiek w biegu wieków następnych wykona inne jeszcze dzieła, które dorównają odwadze i sile użytą przy budowie drogi do Oceanu Spokojnego; lecz ziemia nie jest dość obszerną, żeby się na nią mogły pomieścić przedsięwzięcia o wiele więcej olbrzymie. Pojmujemy też uczucie jakie podyktowało następne wyrażenie dziennika z Illeney: „Nie jesteśmy tak bogaci, żebyśmy równie świetnie obchodzić mogli wielki wypadek, jak nasi sąsiedzi z Chicago, ale dumniejsi jeszcze jesteśmy teraz, niżeli przedtém, że mamy prawo zaliczyć się do obywateli Stanów Zjednoczonych”

III.

Podczas gdy w San-Francisco obchodzono uroczyste ukończenie kolei kalifornijskiej, i prassa publiczna pod niebiosami wynosiła tych, co ją zaprojektowali i wykonali, roboty popierano z niesłychaną żarliwością w Promotory-Point, który był wyznaczony na punkt zetknięcia się dwóch oddziałów wielkiej linii. Rezultaty otrzymane w ostatnich miesiącach, przynosiły wszystko co tylko dotychczas pod względem szybkości budowy dokonaniem było, i to wszystko, czego najśmielsi inżynierowie spodziewać się mogli.

W marcu, robotnicy kolei *Centralnej* położyli jednego dnia $9\frac{1}{2}$ wiorst (1) szyny. Nie chcąc się dać wyprzedzić, Unioniści w jednym dniu zrobili więcej jeszcze, bo położyli 11 wiorst. Kalifornijczycy drażliwi na wszelką wyższość w pośpiechu, przy budowie wielkiej linii okazaną, zgromadzili wszelkie środki, dające się możliwie użyć w jednym punkcie i przytwierdzili w ciągu 11 godzin pracy, 16 wiorst szyn. Fakt takowy, nie mający dotychczas równego, odbył się dnia 8 kwietnia 1869 r. pod kierunkiem głównego dyrektora Karola Croker.

Roboty w tym dniu pamiętnym odbywały się ruchem przyspieszonym. Wszyscy biegali zamiast chodzić; robotnicy w liczbie 1500 nie odpoczęli ani chwili, nie chcieli nawet odpocząć. Nie było dla nich nic niepodobnego do wykonania: pędzi np. po kolei wagon napełniony szynami, konie puszczone galopem; naprzeciw niego tak samo leci wagon pusty, wyładowany; zdaje się, że już się spotkają, zgruchocą; dopadają ludzie, na rękach unoszą pusty wagon i ustawiają obok drogi. Naładowany leci dalej bez przeszkody, i dopiero przy końcu linii dwóch robotników zaktadır bale pod koła, dla jego powstrzymania. Czterech innych już czekających, hakami wyciągają z niego po dwie szyny, i zaraz kładą na poprzednio umieszczonych drewnianych podkładach. Wagon posuwa się dalej po kolei tylko co zrobionej; i ciągle tak samo, dopóki się nie wypróżni. Tuż za nimi idzie oddział robotników,

(1) Wiorsta równa się 1,06 kilometra.

którzy szyny przybijają i wiążą z największą dokładnością; są to mechanicy doświadczeni i biegli. Za temż postępuje oddział Chińczyków uzupełniających robotę. Na ostatku straż tylna, z motykami i rydlami, także najczęściej Chińczycy, okopuje, równa i ubija ziemię około relsów.

Inżynierowie, nadzorczy, inspektorowie na każdym są miejscu. Konno drogę przebiegają, doglądając czy wszystko idzie jak należy; zachęcają i chwają robotników. Na samym czelu linii, w powozie otwartym, zawsze jest obecny pan Karol Crokner, inspektor główny, i jego pierwszy sekretarz Stonbridge. Poważni i zamyśleni, z lunetą w rękę, dają baczenie na wykonywane roboty, jak generałowie na placu boju.

W południe przybywa pociąg, złożony z prawdziwych domów na kołach, w których pracownicy jedzą i śpią. Wszyscy udają się na obiad. Chińczycy jedzą osobno, na otwartém powietrzu. Każdy się posila ochoczo i raźnie, by znów powrócić do swego zajęcia. Dnie, nie są jeszcze długie, słońce coraz bardziej zniżą się na horyzoncie; cienie przybierają zaczynają fantastyczne kształty, praca idzie ciągle. Jakby iskrą elektryczną poruszani, robotnicy unoszą ogromne masy żelaztwa; ono dla nich ciężaru niema; gwoździe, kleszcze, sworznie, same znajdują swe miejsca, młoty spadają, konie cwałem pędzą. Dozorczy zachęcają do pośpiechu, do odwagi; ale pocóż? nikt nie ustaje, nikt nie odpoczywa.

Nagle wszystko stanęło. Okrzyk tryumfu wychodzi z końca linii. Robota skończona. Położono ostatnią szynę. Co zostało wyznaczoném z rana, przed nocą się wykonano. Radość powszechna.

Żeby mieć wyobrażenie o trudnościach, jakie były do pokonania, potrzeba sobie wytłumaczyć, że pracowano w okolicy zupełnie pustej, zdaleka od najmniejszego miasta, od wszelkiej nawet osady. Gdy nadszedł czas obiadu, robotnicy oddalili się już o 9½ wiorst od miejsca, w którym z rana śniadanie jedli. Musiano zabrać i przewieźć żywność, namioty, sprzęty, naczynia, ogień i wodę; i wszystko to spełniono porządnie, bez żadnego zamieszania. Armia pracowników złożona z 1500 ludzi, na jednym punkcie, w czasie postępu pracy swojej, miała zapewnioną żywność i schronienie w kraju, gdzie z rana śladu nie było drogi, ani też żadnych zapasów.

Miejsce, w którym się zatrzymała robota d. 8 kwietnia, nazwano *Victory-Point*, co znaczyło, że Kalifornijczycy byli górą. *Unioniści* bynajmniej się tem nie zniechęcili, pracowali ze swęj strony gorliwie; tak, iż przy końcu całej budowy, tylko o dwa dni później dosięgnęli *Promotory-Point*, gdzie właśnie miało odbyć się uwieńczenie dzieła.

Promotory-Point, w okręgu *Utach*, jest to mała osada, dotychczas z szałasów złożona, w pobliżu Jeziora Słonego. Wznosi się na 4,943 stóp nad poziom morza, w szerokości północnej 42°;

od San-Francisco oddalona 1,200 mil (1), od New-Yorku 3,750. W tém to miejscu, dnia 10 maja 1869 r. zebrano się do tysiąca osób, wyobrażających wszystkie klasy społeczeństwa amerykańskiego, dla obchodu ukończenia wielkiej linii narodowej, utworzonej połączeniem dwóch gałęzi: *Central-Pacific*, która przebywszy Sierra-Nevada, w wyniesieniu 7,042 stóp (stacya Summit), rozciąga się na przestrzeni 689 mil (1,083 wiorst) pomiędzy Sacramento a Promotory-Point (2), i koleją *Union Pacific*, która wyszła z miasta Omaha przez góry Skaliste, w wyniesieniu 8,424 stóp (stacya Sherman) i ma 1,086 mil, (1,707 wiorst) długości.

Gubernator Leland Stanford, prezes kolei *Centralnej*, przybył ze swoim orszakiem do Promotory-Point w wilią uroczystości. Deputaci kolei *Związkowej* przyjechali z rana 10 maja. Przedwstępne przygotowania załatwiono wkrótce; przestrzeń na 100 stóp długa, była umyślnie pozostawiona pomiędzy krańcami dwóch kolei. Zbliżyły się więc dla uroczystego jej zapewnienia, dwa oddziały najcelniejszych robotników, w szyku pełnym porządku. Robotnicy biali ze strony Unionistów, Chińczycy od strony Kalifornii. Przyjemnie było patrzeć, z jaką wprawą i szybkością wywiązali się ze swego zadania. Chińczycy, zawsze poważni, milczący a zręczni, ściągnęli ogólne podziwienie.

O godzinie 11, gdy jeszcze stali naprzeciw siebie, dwie lokomotywy zbliżyły się ze stron przeciwnych, pozdrawiając się wzajemnie, przeciągłym świstem uchodzącej pary. Komitet wyprawił jednocześnie do San-Francisco i do Chicago, dwa telegramy adresowane do *Stowarzyszenia dzienników* Stanów Wschodnich i Zachodnich, w tych słowach: „przygotujcie się do odebrania znaków, odpowiadających ostatnim uderzeniom młotka.” Nader łatwym sposobem skomunikowano druty telegraficzne głównej linii z miejscem, w którym miał być wbity ostatni gwóźdź łączący relsy. W Chicago zaś, w Omaha i San-Francisco, gdzie się znajdują trzy główne bióra telegraficzne, najbliższe Promotory-Point, urządzili się odpowiednio, żeby wprost korespondować z New-Yorkiem, Washingtonem, Cincinnati, i innymi wielkimi miastami. W tych zaś ostatnich, zostały wprowadzone w zetknięcie druty wielkiej linii telegraficznej, z sygnalami pożarnymi. Dzięki temu dowcipnemu pomysłowi, ostatnie uderzenie młotkiem w Promotory-Point, bezpośrednio znalazło echo we wszystkich stanach Rzeczypospolitej.

Podkładka na której spocząć miała ostatnia szyna, była z drzewa lauowego; gwóźdź co ją miał przytwierdzić, ze złota; a młotek do jego przybicia, srebrny. Doktor Harkness deputat z Kalifornii, wręczył powyższe przedmioty panom Stanford i Durant, mówiąc: „Niechaj to złoto wydobyte z łona ziemi Kalifornii, niechaj to drzewo w jej lasach wycięte, które obywatele ofiarują, staną

(1) Mila znaczy $1\frac{1}{2}$ wiorsty.

(2) Ostatecznym punktem złączenia dwóch kolci, ma być Ogden, odległy o $79\frac{1}{2}$ wiorst od Promotory-Point.

się uzupełniającymi częściami drogi, łączącej Kalifornią z bratnimi stanami Wschodu, łączącej Ocean Spokojny z Atlantykiem."

Ostatnich szyn dostarczyła administracja Unionistów. General Dodge reprezentant miał mowę, zakończoną temi wyrazami: „uwieńczyście dzieło Krysztofa Kolumba; jest to droga wiedąca do Indyi."

Panowie Stanford i Durant, prezesi dwóch kolei, zbliżyli się, żeby szyny własnymi położyć rękoma. W tój samėj chwili, telegraf przemówił do Chicago i San Francisco: „Przygotowania ukończone; odkrycie głowy, będziemy się modlić." Z Chicago nadeszła odpowiedź: „Rozumiemy was i słuchamy."

Znaki elektryczne, roznosząc następnie po całej Ameryce każde uderzenie młotka, zawiadomiły obywateli w religijnem oczekujących poszanowaniu, że dzieło zostało spełnione. To bezpośrednio ucheśnictwo w wielkiej myśli, wywarło na wszystkich wpływ, o którym trudno sobie zrobić wyobrażenie. Głosy wychodzące z tajemniczych sfer ładu środkowego, co objawiły światu ukończenie pracy olbrzymiej, potrącały o najszlachetniejsze struny serca ludzkiego. Zewsząd tóż wzniosły się okrzyki radości, wylewały łzy rozrzewnienia!

W głównych miastach Stanów Zjednoczonych, dawano po 100 wystrzałów armatnich; palono illuminacye; chodziły processye; tysiące kapeluszy wlatowało w powietrze; słyhać tylko było okrzyki: Niech żyje Ameryka! Niech żyje Wielka Rzeczpospolita!

W Promotory-Point tymczasem kończono przemowy, i na wszystkie strony rozsełano telegramy; bo nie tylko, że one szły od Zarządu kolei, ale także od korespondentów dzienników, od osób prywatnych do prywatnych. Nareszcie, gdy wrzawa obchód uświęcająca przebrzmiała, gdy wróciła cisza, olbrzymie przedsięwzięcie, opuszczając granice filozoficznych przypuszczeń, od razu weszło w ruch praktycznego i handlowego życia.

IV.

Środkowy kraj Ameryki północnej, zaczawszy od Missouri do Oceanu Spokojnego, długi czas jeszcze po jój odkryciu, pozostał ziemią nieznaną. Pierwszy ślad ważniejszy przebycia pustych okolic, pozostawił Jonathan Carver, oficer w służbie królewskiej, który wyprawivszy się z Bostonu, przeszedł wzdłuż jeziora Ontario i Michigan, następnie stany Wisconsin i Minnesota, i zatrzymał się na ziemi Dakota, gdzie spotkał niezwycone przeszkody, które nie pozwoliły mu dotrzeć do brzegów Oceanu Spokojnego. Opis jego podróży budzi wielkie zajęcie; zwłaszcza że przekonywa u śmiałym i bystrym umyśle podróżnika. Między innemi, robi on następujące uwagi: „osada założona na brzegach wielkiego Oceanu, stałaby się źródłem nowych środków handlowych; ułatwiłaby stosunki z Chinami i z angielskimi koloniami w Indyach, z którymi dotychczasowa komunikacya przez cieśninę Magellana i około

Przylądka Dobrej Nadziei, tak jest trudną. Wiem że dzisiaj plany moje będą uważane za urojenia, ale i o tém wiem także, że po upływie niedługiego czasu, zostaną urzeczywistnione. Wzywam zatem tych, co w przyszłości zbierać będą owoce myśli rzuconej przeze mnie, aby wspomnieli na tego, który pierwszy do bogactw otworzył im drogę!" Gdyby nie to rzewne odwołanie się do wdzięczności pokoleń przyszłych, możnaby sądzić, że powyższe wyrazy były napisane za dni naszych. po utworzeniu stanu Kalifornijskiego i zawiązaniu kompanii drogi *Pacific-Railroad*.

Myśl ściślejszego związku pomiędzy ludami zamieszkującymi brzegi obydwóch Oceanów, powoli dojrzewała w przekonaniu obywateli klas oświeconych. Mężowie stanu rozumieli bardzo dobrze, że gdyby mocarstwo jakie założyło kolonię na pustych wybrzeżach Ameryki zachodniej, ta wkrótce stałby się mogła niebezpieczną współzawodniczką. Pragnęli zatem jak najprędzej urządzić komunikację Wschodu z Zachodem, i wejść w posiadanie tamtego kraju, chociażby nawet podobne nabycie, widocznych nie przedstawiało korzyści. Lewis Clarke, Wilkes, Whitney i inni ludzie wpływowi, nie wahali się już głośno objawiać swojej myśli: popierali ją nie tylko w zgromadzeniach prawodawczych, ale i w zebraniach ludowych.

W owej epoce, to jest pomiędzy rokiem 1845 a 1850, Stany Zjednoczone miały tylko jedną posiadłość na wybrzeżach Oceanu Spokojnego, gdzie niegdzie zamieszkaną przez szczerpłą liczbę osadników; oddzielone zaś od niej były pustynią, rozległą na 2,300 mil, (więcej jak na 3,450 wiorst), którą przerywały dwa pasma gór wysokich, pokrytych u szczytów wiecznym śniegiem. Straszne przepaście, gwałtowne potoki, płonne wyżyny, niedostępne wąwozy nadawały tym obszarom przerażającą charakterystykę, mianowicie w oczach publiczności objaśnionej wrażliwymi opisami podróżników. Powszechne też było mniemanie, że niepodobna myśleć o budowaniu kolei w miejscach tak nieprzebytych. Szczęściem dla dziejów postępu, że zawsze znajdują się ludzie, którzy przed niepodobieństwem się nie cofają. Ameryka, trzeba jej to przyznać, obfituje w bohaterów podobnego rodzaju.

W r. 1850, Thomas Benton przedstawił kongresowi pierwszy bill mający na celu kolej żelazną idącą w kierunku Oceanu Spokojnego. Nie śmiejąc jednakże odrazu wyłożyć planu, z góry już osądzonego za niemożliwy, uniknął trudności, projektując budowę kolei w miejscach dostępnych, i łączenia takowej w niedostępnych za pomocą dróg zwyczajnych. Imię Bentona uchroniło bill od zapomnienia, następnie zaś, poparły go wypadki, którym Kalifornia zawdzięcza szybki rozwój; tym sposobem projekt zaczął dawać znaki życia. W r. 1853 kongres uchwalił sumę 150,000 dolarów (1) (197,300 rs.) na zbadanie najstosowniejszej miejscowości pod budowę drogi wpoprzek ładu północnego. W roku następnym

(1) Dolar = 1 rs. 81 ½ kop.

jeszcze na ten cel dodano 190,000 dollarów (250,000 rs.), skutkiem czego uorganizowało się kilka wypraw pod dowództwem najznakomitszych inżynierów. Rezultaty trudnej ich pracy, zebrane razem, wyszły na widok publiczny w pyszném wydaniu in quarto, ozdobioném mappami, planami i rysunkami. Dzieło to uważać należy za prawdziwą podstawę przyrodniczych i topograficznych wiadomości o środkowej Ameryce. Badacze różnili się co do kierunku drogi, ale na jej możliwość zgodzili się jednomyślnie. Był to już wielki krok zrobiony.

Projekt pozostał w zanedbaniu przez lat dziesiątek. Z upływem jednak czasu, powody przemawiające za koniecznością komunikacji pomiędzy krajami nadbrzeżnemi obydwóch oceanów, naglejsze się stawały. Ważność Stanów zachodnich, mianowicie Kalifornii, wzrastała z dniem każdym. Od r. 1861 oceniano już dochód roczny z kopalni drogich kruszców tychże krain (1) na 217 milionów franków. Coraz zatem bliższém do rozstrzygnięcia ukazało się pytanie, kto dostarczy pierwszych 125 milionów, uważanych za niezbędne aby kolój rozpocząć, to jest aby ją doprowadzić do wyżyn Sierra-Nevada.

Kalifornijczycy, jako najwięcej interesowani, pierwszy dali początek. Inżynier Tomasz Judah zjednał dla projektu kapitalistów miasta Sacramento. Za ich fundusze, po dwakroć udawał się dla zbadania miejscowości, i zdał rapport ostateczny: że kolój żelazna da się przeprowadzić przez Sierra-Nevada w wyniesieniu 7,000 stóp, za pomocą odpowiednich spadków. Co się zaś tyczy drogi z drugiej strony gór, aż do jeziora Słonego, to spuszczał się na plan inżyniera Beckwith w r. 1854 sporządzony. Koszta miały wynosić 500,000 fr. na wiorstę w miejscach trudniejszych, reszta zaś, to jest roboty zwyczajne, miały kosztować 63 mil. fr. na przestrzeni 210 wiorst. Komitet przyjął raport i konkluzye. Kapitałiści z San-Francisco przyłączyli się do projektu Judah opatrzony w pełnomocnictwa, udał się do Waschingtonu w roku 1861 w charakterze ajenta kompanii.

Nie była to chwila stosowna do podobnych przedsięwzięć; Ameryka podzieliła się na dwa obozy, kwestye polityczne pochłoniły powszechną uwagę. Szczęśliwym wypadkiem kolój Oceanu Spokojnego, podciągnięto pod kategorię wojenną. Kassa ciągle wyczerpywana, mogła się zasilać w kopalniach zachodu, należało je więc co najprędzej połączyć ze wschodem, drogą prostą, najkrótszą. Dodajmy jeszcze, że podówczas w Ameryce, przyzwyczajono się liczyć tylko na miliony i miljardy; tyle to kosztowała wojna domowa: ogromne summy rozpraszały się tam prawie niedostrzegalnie. Skoro raz już kolój uznano za srodek wojenny,

(1) Komisya statystyczna Stanów Zjednoczonych obliczyła na rok 1867, że kopalnie przynoszą w ogóle 375 mil. fr.; rozłożonych następującym sposobem: Kalifornia 125 mil., Nevada 100, Montana 50, Colorado 50, Oregon i Waschington 25, Idaho 25.

rzecz była skończona. Bil dotyczący jej budowy przeszedł w lipcu 1862 i został potwierdzony przez prezydenta Abrahama Lincoln. Poprawki wodotowane w latach 1863, 1864, 1865 i 1866 akt uzupełniły. Szczodroblliwość rządowej zapomogi, mogła zadowolnić najbardziej wymagających dyrektorów kompanii.

Uchwała kongresu, zatwierdzając budowę głównej linii idącej z San-Francisko do Omacha (Nebraska), rozdzieliła się na dwie sekcye: kolej *Centralną* i kolej *Związkową*. Kompania upoważniona do budowy pierwszej sekcji miała obowiązek, kolej poprowadzić z Sacramento, przez Kalifornię, Nevada i Utah, na spotkanie kolei *Związkowej*, która wyszedłszy z Omaha, powinna o ile możliwości w prostym zmierzać kierunku, do Jeziora Stonego. Zaliczenia rządowe mają być uiszczane w miarę budowania drogi; to jest, gdy komisyja wyznaczona od rządu poświadczy, że jeden dział kolei którejkolwiek wynoszący mil 20 czyli wiorst około 30 jest ukończony i stanowi drogę pierwszej klasy, rząd wypłaca natychmiast przypadającą za te 30 wiorst zapomogę. Tym sposobem otworzono pole dla obydwóch kompanii do współzawodnictwa w pilności. Nadto rząd wyznaczył od siebie dwóch komisarzy dla nadzoru, mających w komitetach zasiadać, wspólnie się naradzać, oraz zawiadamiać tak rząd jako i akcyonaryuszów o biegu interesów. Cała zaś wielka linia, nazwana: „*Koleją żelazną narodową Oceanu Spokojnego*” powinna być ukończoną na 1 lipca 1876 roku, pod zagrożeniem konfiskatą.

Pod temi warunkami, i innemi jeszcze interesu podrzędniejszego, które pomijamy, Stany Zjednoczone udzieliły Zarządowi kolei pomoc pieniężną i przywileje, jak następuje:

1) Ustąpienie bezpłatne na każdą milę kolei, 12,000 akrów gruntu do niej przyległego; co na cały przebieg drogi, wynosi 16 milionów akrów gruntu, oszacowanego, licząc po 2½ dollara za akr, 40 milionów dollarów (200 milionów franków).

2) Pożyczkę pod formą obligacyi rządowych, z terminem wypłaty 36-letnim, z procentem 6 od sta, wypłacalnym przez skarb. Licząc po 30,000 dollarów na milę, w ogóle ilość 275,000,000 franków.

3) Przywilej wypuszczenia w obieg obligacyi za summę wyrównywającą rządowej pożyczce, wypłacalnych w lat 30, także 6-cio procentowych, przedstawiających summę 275,000,000 franków.

Kompanie zatem w chwili rozpoczęcia robót, mogły rozporządzać kapitałem wynoszącym 150 milionów dollarów, czyli 750 milionów franków (197 milionów rubli). Powyższe cyfry dostatecznie małą hojność rządu amerykańskiego, jako i finansowe położenie kompanii. O rzeczywistych zaś wydatkach, będziemy mogli się dowiedzieć dopiero po ogłoszeniu ich do publicznej wiadomości.

Na czele kompanii *Związkowej* stanął generał Dix, lecz niebawem gdzieindziej na usługi kraju powołany, ustąpił miejsca Tomaszowi Durant. W Kalifornii wybrano pp. Leland Stanford i Huntington, na prezesa i wice-prezesa kolei *Centralnej*.

Żeby sobie zrobić wyobrażenie o trudnościach, na każdym spotykanych kroku, i pojąć różnicę zachodzącą w systemie budowania drogi w krajach ucywilizowanych, a w pustyni na 3,000 kilometrów (2830 wiorst) rozległję, należałoby przeczytać sprawozdanie inżynierów Indah, Gray, Montagne, Dodge, Evans, Seymour i innych.

Cały materyał kolei Centralnej, musiano zrobić w Stanach Wschodnich, i dostawić do Kalifornii morzem, opływając Przylądek Horn. *Związek*, jakkolwiek pod tym względem w korzystniejszych pozostawał warunkach, to znów przewiezienie materyału do Omaha, podówczas nędznej osady, nadzwyczaj wiele go kosztowało. Dla utrzymania robotników, obie kompanie musiały kazać wozić za nimi żywność i wszystko, co do ich wygody nieodzownem się okazało. Tym sposobem, robotom towarzyszyły prawdziwe miasta przenośne. W tych obozowiskach znajdowały się kaplice, hotele, restauracye, drukarnie, bióra gazet it d. I to wszystko zaledwo dni kilka, czasem kilkanaście, na jednem zatrzymać się mogło miejscu; posuwało się ciągle i coraz dalej, w miarę postępu drogi.

Przebywali ogromne obszary bez kropli wody; potrzeba było w takim razie świdrować studnie artezyjskie, lub wodę sprowadzać rurami o mil kilka. Oprócz tego, kompanie były nieraz zmuszone odpierać napaści indyjskich plemion. i utrzymywać porządek w armii roboczej, co podobno było najtrudniejszém. Pod zarządkiem Unionistów pracowało zawsze do 25,000 ludzi. A jakich ludzi! Zapewne. że pomiędzy nimi znaczna była liczba porządnych i uczciwych pracowników, ależ jaka zbieranina ich otaczała: bez czei i wiary! Każdy dla własnej obrony musiał nosić przy sobie jeden lub dwa rewolwery, oprócz obowiązkowego *bowie-knife*. Nikt nie będzie wiedział, ile tam zbrodni, ile gwałtów się popełniło. Potrzeba było żelaznej dłoni. żeby utrzymać choć pozór karności i porządku. Jedni tylko Mormoni i Chińczycy zachowywali się przyzwoicie, a nadewszystko wstrzemięźliwie; gdy pijaństwo było ogólną wadą ich współtowarzyszy. Kompania Centralna kazała rozbijać dowożone beczki z wódką; wołała żeby handlujący podawali na nią skargi do sądów San-Francisco i Sacramento, wołała płacić kary i wynagrodzenia obżałowanym, niżeli znosić u swoich podwładnych skutki, z nadużycia trunków pochodzące.

Z początku roboty szły wolno; później, gdy zdołano zawładnąć przeszkodami, coraz prędzej, nareszcie z gwałtowną posuwały się szybkością; do czego się przyczyniało współzawodnictwo i ambicya kompanii, jako i zysk pieniężny. Przytoczyliśmy wyżej artykuł koncessyi, dotyczący częściowych wypłat ze strony rządu uiszczanych, skutkiem którego, kompanie mogły współubiegać się o większą ilość zrobionej linii. Gdy więc obie sekcyje zbliżały się do siebie, okoliczność powyższa nadzwyczaj wpływała na pośpiech w pracy, która przy końcu szła, jak gdyby na gwałt dzwoniło. Zaprzestano już całkiem oglądać się na wydatki, byle tylko iść prędzej.

Dnia 10 maja 1869 r. obie kompanie wywiązały się, z zadania o 7 lat wcześniiej, jak przypadał termin przez rząd naznaczony. Długość całej linii od Omaha do Sacramento wynosi 2,920 wiorst (1)-

Sekcyja z Omaha do Ogden, zbudowana przez kompanię *Związkową* ma 1694 wiorst. Z Ogden do Sacramento jest 1226 wiorst. Nienależy ztąd wnosić, że Kalifornijczycy mniej mieli do zrobienia; bo ubytek na przestrzeni zastąpiło im przeprowadzenie drogi przez Sierra-Nevada. Góry skaliste, przebyte przez Unionistów, nie przedstawiały tak wielkich trudności (2).

W miarę postępu robót, coraz silniej ustalało się przekonanie w narodzie, że kolej żelazna do Oceanu Spokojnego, jest równie szlachetnym przedsięwzięciem pod względem państwowym, jak korzystnym dla przedsiębiorców. Komisyja rządowa nadzorczą objawiła zdanie, że sekcyja Centralna powinna wydać jeszcze 22 miliony franków, a sekcyja *Unionistów* 34 miliony, aby, uzupełniając niektóre opuszczenia i pomyłki, doprowadzić kolej do kategorii drogi pierwszej klasy.

Te 54 milionów wrócić się prędko. Podług powszechnego mniemania, kompanie zrobiły świetny interes; ale nikt im tego nie zazdrości: owszem, wszyscy jednomyślnie się zgadzają, że im się to należy. Wykonały bowiem największe dzieło cywilizacyjne czasów obecnych; dzieło otwierające świat cały nowych idei i interesów, który pociągnie za sobą przedstawienie równowagi przemysłowej i politycznej narodów. Obszary żyzne a dziś dostępne, grunta z łatwością żywiące właścicieli, bogate kopalnie, nareszcie okolice gdzie człowiek może być swobodnym, przygarną do siebie ubogich i ucisnionych. Nietylko spekulacya, ale i filantropia przyjmuje udział w przesiedlaniu ludności na wielką skalę, co jest najpewniejszym i najgodniejszym środkiem zmniejszenia pauperyzmu na Zachodzie. Rząd Stanów zjednoczonych będzie popierał ruch takowy, i w krótkim czasie na środkowej przestrzeni, powstaną wielkie i bogate miasta, rywalizujące w pracy, przemyśle i dobrobycie, z grodami nadbrzeżnymi obydwóch Oceanów.

Cześć niechaj będzie tym, co powzięli wielką myśl zbudowania kolei do Oceanu Spokojnego, i tym co ją wykonali! Jeśli

(1) Z Sacramento do San-Francisco komunikacya odbywa się statkami parowemi; lecz kolęj żelazna między dwoma miastami jest już rozpoczęta.

(2) Najwyższy punkt leży powyżej granicy wiecznych śniegów, dla tego spadki przyjęte są bardzo znaczne, bo dochodzą $\frac{1}{20}$ a dla ochrony od śniegów zaalaniają miejscami drogę ściany i dachy; szerokie parowy przebyto mostami drewnianymi do 90 stóp wysokimi, często w łuk wygiętymi. Dla wciągania pociągów na dolinę Słonych Jeziór urządzono w Chayenne stacyą z machinami staleni. W ogóle drogę stanowi pojedyncza para relsów przybitych gwoździami do podkładów co $2\frac{1}{2}$ stóp położonych. Plant z gruba wyrównany (Gazeta Polska).

imion ich nieznanych, głośna sława nie roznosi, gdy imię Lesseps'a zna każdy Amerykanin, to tylko ztąd pochodzi, że u nas rzadziej się przytrafiają wielkie dzieła, niżeli w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

V.

Nazwiska miast nowych i stacyj, przez które przechodzi kolej żelazna Oceanu Spokojnego, są mało jeszcze znane w Stanach Zjednoczonych, a zupełnie nieznanie w Europie. Lista ich tymczasem jest bardzo długa. Nim zaczniemy je wyliczać, rzucmy raz jeszcze okiem na cały przebieg linii.

Kolej Oceanu Spokojnego, dzieli się, jak już powiedziałem, na dwie główne sekcye: *Centralną* i *Związkową*. Pierwsza, idąca z Sacramento do Ogden, wynosi 742 mil (1,113 wiorst), druga pomiędzy Ogden a Omacha, liczy 1,030 mil (1,545 wiorst).

Linia *Centralna*, prawie przy początku swego wyjścia, spotkała przeszkodę najtrudniejszą do przewyciężenia, to jest łańcuch gór Sierra-Nevada, który przebywa w Donner-Pass, stacya Summit, 105 mil (157 $\frac{1}{2}$ wiorst) z Sacramento, w wyniesieniu 7,042 stóp angielskich. Z Summit do Truckee, położonym na wschodnim stoku góry jest 21 wiorst, a różnica wyniesienia dwóch stacyi wynosi 357 metrów. Pomiedzy Truckee a gorami Wash, na wschód jeziora Słonego, rozciąga się obszerna płaszczyna, znana pod imieniem *Wielkiego basenu Ameryki Północnej*. Kolej idzie po niej z zachodu na wschód przez długość 959 wiorst. Wzniesienie płaszczyny zmienia się od 3,921 do 6,180 stóp. Jest to pustynia, którą gdzie niedzie przeryniają góry wulkaniczne, obfitujące w drogie kruszce: najznaczniejsze z nich są góry Humboldta. Deszcz prawie nie pada w tej okolicy. Rzadko napotykanne strumienie wód, uchodzą do jeziora Słonego, lub do jeziora Humboldta. Kraj w części należy do Stanu Nevada, w części do okręgu Utah. Miasta: Virginia, Austin i Salt-Lake-City, są najznaczniejszymi osadami. Kolej od pierwszego przechodzi w odległości 16 mil (czyli 24 wiorst), od drugiego o 100 mil (czyli 150 wiorst), od trzeciego o 35 mil (czyli 52 $\frac{1}{2}$ wiorst).

Góry Wasath znajdują się na przebiegu linii Związkowej, która przez nie przechodzi w wyniesieniu 7,567 stóp. Dwa przejścia naturalne: *Cannos Webera* i *Echo*, jedno leżące 5085, drugie 6,880 stóp nad poziom morza, były główną pomocą w budowie drogi. Bez tych przejść byłoby niepodobieństwem, według zdania inżynierów, przebyć góry. Między Wash a stokiem zachodnim gór skalistych, na długość 200 mil (czyli wiorst 300), rozciąga się równina sucha i nieplodna. Kraj ten zwany *Bitter-Creek-Country* (kraj gorzkiej wody) przytyka do stanów Colorado i Nebraska, oraz do okręgu Utah. Przerzyna go *Green-River* (zielona rzeka) i łączy się z Colorado, który wpada do zatoki Kalifornijskiej. Wody tamtejsze, jak ich nazwa wskazuje, są

gorzkie, siarczane i alkaliczne. W górach skalistych są dwie wyżyny: Laramie i Black-Hills (czarne wzgórza), które zawierają największe kopalnie węgla kamiennego, zasilające kolej Oceanu Spokojnego. Drogie kruszce także się znajdują, mianowicie w okręgu wody słodkiej i na złotych polach Colorado. Rolnictwo nie ma tam pomyślnych warunków. Kolej przebywa góry skaliste, wyżyny Laramie i Black-Hills, na wzniesieniu zmieniającem się od 6,145 do 8424 stóp (stacya Sherman).

Z Black-Hills do Omaha jest 530 mil czyli (795 wiorst). Płaszczyzna spuszcza się nieznacznie. Podróżny nie czuje tego, że przybywając do Omaha, zjechał z wysokości 6500 stóp. Na przestrzeni mil 300 (450 wiorst), okolica jest pusta, grunt wyschły, rzadko kiedy od deszczu zroszony, zaledwie miejscami łąką, może wyżywić trawę. Czasem przez cały dzień nie widzi się najmniejszej zieleności. Dopiero na jakie 100 mil (czyli 150 wiorst) od Omaha, krajobraz się ożywia; przy samej zaś dolinie ukazują się bujna roślinność, użyzniona wodami Missouri.

Kolej Centralna z Sacramento (38° 30' szer. jeo.) do Promontory-Point (41° 45' szer.) ma kierunek północny. Od jeziora Słonego do Omaha, koleją związkową idzie w całej prawie długości pomiędzy 41° a 42 stopniem.

Kolej Centralna dzieli się na 5 sekcji: Sacramento, Truckee, Shoshone, Humboldt i jezioro Słone. Zawiera 65 stacji; główne są: Sacramento, Colfax, Cisco, Truckee, Reno, Wadsworth, Winnemucca, Carlin, Elko, Montello, Corinne, Brigham-City i Ogden.

Kolej związkowa zawiera sekcje: Platte, Lodge-pole, Laramie i Bridger. Stacji jest 89. Główne są: Echo, Wasatch, Bryan, Rawling, Benton, Laramie, Sherman, Cheyenne, Sidney, North Platte i Grand-Island (1).

(1) Załączamy listę wszystkich stacji tej kolei:

1) *Kolej Centralna*, (numera oznaczają odległość w milach od Sacramento). Arcada 7, Antylopa 15, Junction 18, Rocklin 22, Pino 25, Penryn 28, New-Castle 31, Auburn 36, Clipper-Gap 43, Colfax 54, Gold-Run 64, Dutsch-Flat 67, Alta 69, Shady-Run 73, Blue-Canyon 78, Emigrant-Gap 84, Cisco 92, Summit 105, Truckee 119, Boca 128, State-Line 138, Verdi 143, Reno 154, Clarks 174, Wadsworth 189, Desert 198, Hot-Springs 208, White-Plains 223, Humboldt 284, Mill-City 296, Raspberry 302, Rose-Creek 313, Winnemucca 324, Tule 330, Golconda 341, Iron-Point 351, Stone-House 363, Battle-Mountain 379, Argenta 396, Shoshone 407, Be-o-wa-we 417, Gravelly-Ford 422, Second Humboldt Bridge 428, Palisade 435, Carlin 445, Elko 460, North-Ford 485, Tulasco 506, Humboldt-Wello 520, Independence-Springs 535, Pequop-Pass 541, Toano-Pass 559, Passage-Creek 584, Desert-Point 606, Terrace-Point 618, Red Dome Pass 638, Monument-Point 662, Promontory 689, Corinne 718, Brigham-City 721, Ogden 742.

2) *Kolej Związkowa* (numera oznaczają odległość w milach od Omaha). Summit-Siding 4, Papillon 12, Elkhorn 28, Valley 35, Fremont 46,

Jazda z Sacramento do Omaha, jeśli się odbywa bez przerwy, co nie zawsze się zdarza, trwa 99 godzin. Z Omaha do Chicago, stolicy Illeneys, 28 godzin, z Chicago do New Yorku 41. Razem potrzeba 168 godzin, to jest siedm dni i siedem nocy, żeby przejechać koleją z Sacramento do New-Yorku. Średnia prędkość jazdy dzisiejszej, wynosi tylko 32 kilometry na godzinę. Obiecują ją przyspieszyć; w takim razie jazda skróci się o 24 godzin.

Bilet z San Francisco do Sacramento kosztuje 15 dolarów (1), z Sacramento do Promotory-Point 50 dolarów, z Promotory do Omaha 23 dol. 37 centów, z Omaha do Chicago 60 dolarów, z Chicago do New-Yorku 20 dol. Razem więc koszt podróży dla jednej osoby wynosi 800 fr. Lecz że opłata ma być znacznie niższą w r. 1871, bilet z San-Francisco do New-Yorku będzie tylko kosztował 500 fr. Co się tyczy pakunków, to koleje żelazne w Stanach Zjednoczonych, są pod tym względem bardzo wyrozumiałe. Jeśli tylko nie ma zbyt dużego natłoku przesyłek, żadna przewyżka się nie dopłaca. Podług taryfy, wolno mieć z sobą 100 funtów rzeczy.

R. B.

North-Bend 61, Shell-Creek 75, Columbus 91, Jackson 99, Silver-Creek 109, Clark 120, Lone-Tree 136, Chapman 142, Grand-Island 153, Pawnee 161, Wood-River 172; Gibbon 182, Kearney 191, Stevenson 201, Elm-Creek 211, Overton 220, Plum-Creek 230, Cuyote 240, Willow-Island 250, Warren 260, Brady-Island 268, Mac-Pherson 277, North-Platte 291, O'Fallons 307, Alkali 322, Roscoe 332, Ogallala 341, Big-Spring 360, Julesburg 377, Lodge-Pole 396, Sidney 414, Pater 433, Antelope 451, Bushell 463, Pine-Bluff 473, Egbert 484, Hillsdale 496, Archer 508, Cheyenne 516, Hazard 522, Ottoc 528, Granite Cannon 536, Buford 542, Sherman 549, Red-Butte 564, Fort-Sanders 571, Lauramic 572, Wyoniny 586, Coopers-Lak 598, Lookout 604, Miser 615, Rock-Creek 622, Como 637, Medicine-Bow 644, Carbon 653, Simpson 658, Pony 665, Dana 672, Sainte Mary's 679, Benton 694, Rawliugs 709, Seperation 721, Creston 738, Wash-a-kie 750, Red-Desert 759, Table-Rock 770, Bitter-Creek 783, Blak-Buttes 792, Point-of-Rocks 803, Salt-Wells 818, Rock-Springs 829, Green-River 844, Bryan 858, Granger 874, Church-Butts 885, Carter 901, Bridger 912, Piedemont 925, Aspen 937, Evanston 952, Wasath 963, Echo 986, Ogden 1030.

(1) Dolar = 1 rs. 31 $\frac{1}{2}$ kop.

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Pisma peryodyczne w r. 1869.

Jak w roku 1868, tak i w roku zeszłym trzydzieści pism peryodycznych zajmowało bez ustanku w oznaczonych terminach publiczność naszą. Każde grono tych współtowarzyszy pracowało nad wybranym przedmiotem, a wszystkie razem ciągnęły wóz szczęścia czy nieszczęścia, ciągnęły jak mogły drogą postępu i nasycały tworamii swojemi tę opinią publiczną, która jak gąbka, każdą ciecz podaną bez wyboru pochłania. Pracujący w zawodzie publicystyki już tём samém są w orbicie ogólnym i nigdy się oderwać nie mogą od ludzkości, od społeczeństwa, które pędzi tam gdzie je Opatrzność prowadzi. Wówczas to myśl czysta, odwaga i siły stosowne, stanowią całą zasługę pracowników. Na naszym placu przy ciągle nadzwyczaj ograniczonych środkach, przez rok cały odzywało się jednak trzydzieści razem głosów: orkiestra i chór potężny. Milczenie Pytagoresa już nie jest stosowne dla naszego wieku. Milczenie to największa plaga ludzkości. „Mów co chcesz i jak możesz, tak nauczał filozof indyjski, już ja cię zawsze zrozumieć i powiem nawet, co rzeczywiście myślisz i dlaczego tak myślisz, tylko cię proszę nie udawaj myślącego i mówiącego, kiedy ani myślisz ani mówisz, bo to żarty z daru bożego.” Plagi milczenia i plagi udawania mowy wcale u nas nie było i nie ma. Pisma peryodyczne bez ustanku w rozmaitych przedmiotach rozmawiają z publicznością, dla której ta rozmowa stała się już nieodzowną potrzebą.

Polityką jako najważniejszym przedmiotem stanowiącym duszę społeczeństwa, zajmowało się i zajmuje siedem pism naszych. 1) Dziennik Warszawski, 2) Gazeta Warszawska, 3) Gazeta Polska, 4) Kuryer Warszawski, 5) Kuryer Codzienny, 6) Gazeta Handlowa i 7) Kuryer Lubelski.

Dziennik Warszawski jak był tak jest ciągle organem urzędowym. Najważniejsze prawa i rozporządzenia przed wszystkimi innymi piśmami w nim są ogłaszane. Obejmuje wiadomości polityczne, wyjaśnienia polityczne, statystykę, wszystkie wypadki w kraju, kroniki i felieton który czasem składa się z oryginalnych artykułów. Charakter pisma i jego stanowisko jest zawsze jedno i to samo.

Gazeta Warszawski i *Gazeta Polska* dwie piękne damy, pełne wdzięków, zawsze w najświetszym, w najmodniejszym stroju. Widać delikatne wychowanie, dobry takt, wyższy ton i szyk niepospolity. Obie razem spacerują po tym wielkim świecie, tak jakby wzajem dla siebie były przeznaczone. Jednak okrutny los rozdziela te dwie piękne istoty. Obie dążą tą samą drogą, do tego samego celu, ztąd współubieganie się, do jednego przedmiotu psuje wzajemną życzliwość, lecz niezmiernie jest korzystne dla czytelników. Obie gazety razem zamieszczają jedne telegramy, jedne wiadomości polityczne i przeglądy polityczne. *Gazeta Warszawska* przedstawia fakta, lecz je obwija w rozumowania i temi nie tylko wyjaśnia wypadki lecz pragnie odgadnąć tajemnice przyszłości. *Gazeta Polska* podaje również te same fakta, lecz je zestawia po swojemu i bez żadnych prawie uwag odłaje czytelnikowi pod ocenienie.

Polityczne korespondencye *Gazety Warszawskiej* czy one do redakcyi przychodzą wprost z Londynu, z Paryża, z Berlina, Wiednia lub Włoch, czy też są przekładami z dzienników obcych, zawsze gruntownie obznajmują czytelników z kwestyami życia parlamentarnego, z dzisiejszemi zagadkami społecznymi, finansowymi, prawnymi. Niektóre z nich malujące towarzystwa i życie domowe są bardzo ciekawe. I *Gazeta Polska* ma także korespondencye polityczne, osobliwie z podpisem V. F-y. Korespondent ten żyje w ścisłej poufałości z dygnitarzami, deputowanemi i ministrami włoskimi, którzy mu tajemnice stanu powierzają, wie więc wszystko co się dzieje, wszystko najszerzej opowiada, z czego czytelnik mocno się cieszy. *Gazeta Warszawska* udziela czytelnikowi sprawozdania z nauk, ze sztuk, z utworów estetycznych i ze wszystkich prawie książek nowo wychodzących, prócz tego zamieszcza przeglądy teatralne z tak niepospolitą zdolnością znawcy pisane, że w tym względzie pierwszeństwo jej przyznać należy przed wszystkimi bez żadnego wyłączenia dziennikami w Warszawie. *Gazeta Polska* również z dzieł wychodzących, ze wszystkich widowisk, koncertów, podaje wiadomości. Z nich niektóre są wzorem sprawozdania pismennego i ścisłego. Czasem jednak, kiedy przychodzi przykra prawda któremu z nowo występujących artystów powiedzieć, sprawozdawca doбира tak delikatnych wyrażen, że sąd jego rzeczywisty jakby we mgłę ginie. *Gazeta Warszawska* ciągle felieton zapełnia powieściami i romanсами wielkich rozmiarów. Są to prawie zawsze przekłady z cenniejszych pisarzy. *Gazeta Polska* również daje przekłady powieści, lecz zamieszcza i oryginalne. W każdym razie wybiera przed-

mioły drażniące ciekawość, nadzwyczajne, jak ostatnia zabawna powieść: Podróż na około księżycy Vernego. Dawnym zwyczajem przy Gazecie Warszawskiej wychodzi dodatek *Korrespondent*, zbiór rozmaitych wiadomości dla rolnika. Działy Gazety Polskiej: Ruch naukowy, Kronika Paryzka, Kronika Wiedeńska, bardzo ożywają pismo peryodyczne. Ruch daje obraz postępu nauk, osobliwie ścisłych. Kronikę Paryzką utworzyła ś. p. Zofia Węgierska. Jej artykuły, były zawsze zwierciadłem myśli i życia Paryżan. W ostatnim miesiącu r. z. czytamy w Gazecie Polskiej kronikę nowego korespondenta, który nie jest bez zdolności do tego rodzaju sprawozdań. Kronika Wiedeńska gdziekolwiek pisana, jest zręcznym odbiciem felietonów niemieckich i zajmuje czytelników. Nadto przeglądy finansowe z największą ścisłością przedstawiają całe życie świata przemysłowego i handlowego. Był czas, kiedy Gazeta Warszawska była najulubieńszym dziennikiem na prowincyi. Teraz już ją choć w części zastępuje Gazeta Polska. Obie Gazety w emulacyi o pierwszeństwo mimo woli i bezwiednie dopełniają się i są wzajemną kontrolłą. Każde zaniedbanie jednej gazety, uderzająco odbija przy gazecie drugiej, gdy ta nie ustaje w pracy.

Kuryer Warszawski i *Kuryer Codzienny*, miejskie amorki, sygnia nowinki po wszystkich ulicach jak kwiatki z rogu obfitości. Warszawianie już do tych malców tak przyłgnęli, że niepodobna żyć bez ich towarzystwa i gawędy. Obadwa starają się w lot zaspokoić wszelkie potrzeby i zachcenia duszy i ciała. Dla duszy mają telegramy, wiadomości polityczne, prawdziwe dzieje miasta, sprawozdania z nabożeństw, z modłów, z zakładów dobroczynnych, z czynów szlachetnych, z książek nowych, z widowisk teatralnych, z koncertów, z wystaw, z gabinetów, z odkryć i t. d. Dla ciała mają zapas wszelkich rozkoszy dla wszystkich pięciu zmysłów człowieka i dla szóstego, który sami utworzyli, a który się nazywa plotkochwył, to jest zmysł, który ploteczki łowi. Badacz ludowy najlepiejby ocenił ile już te dwa dzienniki stały się odbiciem charakteru mieszkańców Warszawy, ich myśli, mowy i czynów, bo niepodobna przypuścić aby po tylu latach istnienia *Kuryer* nie wojeił się już z życiem i sposobem myślenia Warszawian. Pamiętamy czém niedawno był *Kuryer Warszawski*. Potulny, cichy, unizony, kryjący swe zdanie, a zawsze gotów do sypania tylko pochwał ile razy do tego nadarzyła się sposobność. Dziś oba *Kuryery* jakkolwiek oględne na dochody, przemawiają otwarcie bez żadnej ceremonii, tylko *Kuryer Warszawski* zawsze występuje z większą odwagą, jako pewny zdania swego, braciarsk zaś jego *Kuryer Codzienny* łagodniejszego jest temperamentu. Oba jednak równą budzą sympatyą, bo umieją się podobać całą swoją treścią aż do różnaitości i puezyi, które nieraz nie małej są wartości.

Ciekawe jest porównanie dawnych dziejów *Kuryera* z dzisiejszym jego życiem. Wszakżeto pierwszy u nas *Kuryer* zjawił

się anno 1730: już prawie półtora wieku dobiega od jego urodzenia. Wówczas wychodził w takim samym formacie jak dzisiaj, w formacie ówiartkowym, druk rozdzielony na dwie szpalty. Tytuł jego ozdobiony był rycinką przedstawiającą pocztyliona pędzącego galopem z trąbką w ustach. Zamieszczał na pierwszej stronie wiadomości z miast rozmaitych Królestwa i z zagranicy; potem wiersze pobożne albo relacye o rozmaitych wydarzeniach, a w końcu każdego numeru przedstawiał dzieje krajowe częstokami począwszy od Lechusa czyli Lekusa księcia Słowackiego, który dla rycerskich akcyj i procederów u wszystkich Nacyi w Nordzie znajomy. Oprócz wiadomości politycznych Kurjer stary przedstawiał i inne, z których kilka dla czytelników naszych przytoczymy:

Z Kamieńca d. 30 Martii, Imci P. Podolski terażniejszego baszę nowego regalizował smyczą chartów, drugą psów gończych, a trzecią legawych, z czego basza był niezmiernie kontent.

Z Kamieńca d. 20 Juli. Złapano tu dwie matrony stare, które zwodzając *tenerioris aetatis* panny, przez niemały czas do Chocima Turkom przedawały, które podobno *justitia decidente* żywo *ad rogum* będą kondemnowane.

Z Kamieńca d. 1 Augusti. Mamy konfirmacyą o krwawym deszczu który na Wołoszczyźnie padał, co niezmiernie Turcy apprehendują, na złe to swemu ominując państwu, jakoż i nie na dobre, kiedy już jest wiadomość, że się tam pokazało powietrze.

Z Lublina d. 12 Martii. W przeszły poniedziałek z dekretu tutejszego miano egzekwować pewnego delinkwenta, który syna Imci P. Kozmińskiego we 13 leciech *crudelissime* zamordował, tego już na placu kobięta chustką zarzuciwszy od śmierci *eliberavit* i t. p.

Gazeta Handlowa. jak dawniej tak w roku zeszłym przedstawiała treściwie wypadki polityczne o tyle, o ile zmiana ztąd spodziewana mogła mieć wpływ na handel, spekulacye przemysłowe i ceny produktów wszelkiego rodzaju. Starannie zebrane nowiny, są bardzo użyteczne dla naszych przemysłowców, kupców i handlarzy. *Gazeta Handlowa* zamieszcza telegramy polityczne handlowe, korespondencye, sprawozdania giełdy warszawskiej, wiadomości krajowe, wyjaśnienia co do robót, budowli, przedsiębiorstw, kursa i t. d. a prócz tego rozporządzenia rządowe dotyczące handlu. W felietonie często ogłasza pomniejszych rozprawy z ekonomii politycznej i handlu, tym sposobem czytelników swoich wciąga praktycznie do nauki, do badań, wykazując im bliżej sprężyny ruchu handlowego. I tak w roku zeszłym zamieszczała artykuły: o giełdzie i spekulacji, o grze giełdowej w Paryżu, o kryzysach handlowych, zbytek ze stanowiska ekonomicznego, życie i praca. Skala przedsiębiorstw naszych gospodarzy wiejskich, o konkurencji i t. p. Wykład popularny bez pretensji do technizmu i systematyczności naukowej, wyjaśnia dostatecznie z prze-

mysłu i handlu nasuwające się stosunki. Wielką zaletą tego dziennika, jest to, że ściśle utrzymuje się w granicach jakie sobie od początku zakresił.

Kuryer Lubelski. Pismo prowincjonalne dla m. Lublina i jego okolic utworzył Jul. Liedtkie. Od 1. października r. z. przeszło pod redakcyę p. Wdowińskiego. Wiadomości polityczne tego dziennika ograniczają się na powtarzaniu ważniejszych wypadków i artykułów z gazet warszawskich. Kuryer ogłasza wszelkie rozporządzenia rządowe i obwieszczenia. Największą zasługą każdego pisma prowincjonalnego jest to, kiedy trafnie i rzetelnie umie pochwycić i przedstawić życie i charakterystykę mieszkańców i okolicy, terażniejszą chwilę a nawet i przeszłość, kiedy stoi na straży przyzwoitości i dobrych obyczajów, a opinii miejscowej własnym poglądem przychodzi z pomoc. Kuryer o ile może stara się odpowiedzieć swojemu zadaniu jak przekonują korespondencye miejscowe Znicza, z nad Tudorowca, z pod Kraśnika, kronika brukowa i inne. Im więcej pismo takie ma artykułów oryginalnych i w nich siły duchowej, tém bardziej wznosić się musi i przyszłość swoją zapewni. Życzymy Kuryerowi aby mu jak najwięcej przybywało sił do pracy i aby mu do utrzymania pisma, przychodzili w pomoc pisarze zdolni, ludzie nauki i obywatele. Przyjemnie nam donieść że w roku bieżącym zjawia się drugie pismo prowincjonalne pod tytułem: *Kaliszanin* gazeta miasta Kalisza i okolic, z tém godłem: „Znaj siebie samego, znaj nadto i społeczność której członkiem jesteś, znaj ludzi z którymi przestajesz”. Prospekt zapowiada następujące przedmioty: 1) krótkie wiadomości polityczne, 2) rozporządzenia władz, 3) wiadomości miejscowe, 4) wiadomości statystyczne i handlowe, 5) korespondencye, 6) kronikę teatralną, 7) felieton a mianowicie: powieści, opowiadania, komedye i t. p. 8) rozmaitości; oprócz tego obwieszczenia, kursa, ceny targowe, wiadomości bibliograficzne i księgarskie.

Nauka jest zdobyczą umysłu ludzkiego. Przez naukę woiska się człowiek w najgłębsze tajniki przyrody, bada jej porządek, jej budowę cudowną i dochodzi rozwiązania najważniejszych zagadnień dla swęj istoty, dla swego sumienia. Na nauce wznosi się człowiek w przestrzeń bez końca, poznaje własny umysł, własnego ducha który jest kropłą nieskończoności i już przychodzi do zuchwalstwa, że dla tęg kropli zadnych nie stawia granic. W literaturze nadobnej, w literaturze wyższej, wytryska z całą siłą twórczość ducha ludzkiego, jako odbicie pięknych kształtów przyrody myślą ludzką wzniesionęj. W literaturze takiej, jest ognisko ducha wszystkich ludów całej ludzkości, a w płomieniach tego ogniska, duch ludzki pozbywa się wszelkich plam, rapawa się rozkoszą i dochodzi czystości niebiańskięj. Uprawa więc nauki i podnoszenie literatury wyższej jest tak ważne, że bez nięj ludzkość się cofa i wraca do stanu zwierzcęgo. Kilka pism peryodycznych poświęca się u nas wyłącznie obranęj nauce. Pomijamy

Bibliotekę Warszawską, która od lat trzydziestu przynosi czytelnikom co może z nauki, literatury i umiejętności. Inne pisma są: *Ekonomista*, *Merkury*, *Przegląd sądowy*, *Gazeta rolnicza*, *Biblioteka rolnicza*, *Przegląd katolicki*, *Zwiastun ewangeliczny*, *Izraelita* i pisma lekarskie: *Pamiętnik lekarski*, *Gazeta lekarska* i *Klinika*.

Ekonomista wraz z dodatkiem *Merkury* przez lat cztery (od 1 października 1865 r.) zostawał pod redakcją p. Antoniego Nagórniego, który pismo to peryodyczne utworzył i z rzadką pracą i poświęceniem prowadził. Z d. 11 sierpnia r. z. *Ekonomista* przeszedł pod redakcję p. Wiktora Somera. W zeszytach z r. z. oprócz przekładów z *Chevaliera*, z *Garniera*, z *Hildebranda*, z *Batbiego* i innych, ogłoszoną jest ważna wiadomość historyczno-statystyczna Adama Baguiewskiego: O mennicy warszawskiej od czasu jej założenia (1810) do roku 1867 ze szczególnym względem na monetę zławkową. Bardzo ciekawe jest w kronice naukowej sprawozdanie z posiedzeń Akademii nauk moralnych i politycznych w Paryżu za pierwsze półrocze r. 1869. Żał patrzeć że *Ekonomista* wychodzić nie może zeszytami peryodycznie co miesiąc, jak to zamierzył (ostatni zeszyt wyszedł za m. wrzesień) (1); że traci wyraźnie podporę materalną, a z nią siły do swego posłannictwa duchowego i może stać w tak pożytecznym zawodzie. Jedyne to pismo poświęcone wyłącznie nauce, która podnosi do samodzielnego myślenia nad najważniejszymi stosunkami krajowemi; wskazuje środki do bogactwa ogólnego, do potęgi umysłowej i kształci zdolność do wykonywania użytecznego obowiązków obywatela. Takie pismo własną siłą utrzymać się nie może. Po objęciu *Ekonomisty* w swój zarząd nowy redaktor w odezwie z tego powodu ogłoszonej, nie kryje przed sobą trudności i przeszkód z jakimi walczyć mu przychodzi. Przede wszystkim zaznacza, że pismom specjalnym wstrzymuje powodzenie: brak poczucia w publiczności dobrze zrozumianego interesu, obojętność dla wiedzy i niewiara w pożyteczność i konieczność jej szerzenia. Słuszne to są zarzuty, lecz tylko w części. Redakcyja znać powinna do jakiej massy czytelników przychodzi z swoją nauką; w jakim oni są stopniu wykształcenia do zrozumienia przedmiotu; jakie należy wybrać środki do wzbudzenia w nich ciekawości i upodobania. U nas niepodobna wyklądać naukę tak ważną w formie systematycznej i suchej i podawać odrazu ostateczne rezultaty chwili bieżącej. Wykład musi przysposabiać sobie coraz większą ilość czytelników i dla nich wyłączenie rozwijać zwolna zasady i z nich następstwa. Wykład taki musi być nie tylko ile można najbardziej popularny, lecz przede-

(1) Zbiorowy zeszyt *Ekonomisty* za miesiące: październik, listopad i grudzień już jest pod prasą i obejmować będzie prace pożyteczne i interesujące. Między innymi studyum profesora Dunajewskiego: *Ziemia i krcdyt*; *Statystyka przemysłowa gub. Warszawskiej*; i *O wolności handlu*.

wszystkiem połączony z silną wymową pełną wdzięku i zajęcia, tak, aby zrobił wrażenie i drażnił wyobraźnię. Treść ubrana w rozmaite formy, odpowie zupełnie celowi. Niemożna tu naśladować francuzkiego dziennika ekonomistów, lecz bardziej wykład prelekcji popularnych; wykład konferencyi jaki nam podaje „Revue des Cours littéraires.” Co większa, dla zaspokojenia rozmaitych żądań, byłoby stosownie jedną część ekonomisty poświęcić na takie popularne wykłady a resztę na przedmioty wyższego wykładu. Może nasze widzenie jest mylne, lecz zawsze jest to najszczerza chęć podniesienia tego użytecznego dziennika wszelkimi środkami do jakich w redakcyi zdolności nie brak.

Merkury, dotąd dodatek tygodniowy do *Ekonomisty*, wychodzi regularnie, w formie małego arkusza. Przeznaczony na dopełnienie *Ekonomisty* przez wcześniejsze znoszenie nowin z ruchu handlowego i przemysłowego, coraz bardziej rozszerza objętość swoją i prawie już jest przygotowany do oddzielnego życia, jako osobny dziennik. Jak dawniej tak i w roku zeszłym obejmuje następujące przedmioty: Tydzień finansowy, operacye Banku Polskiego, kursa giełdy, ceny targowe, wiadomości bieżące o drogach żelaznych, fabrykach, produktach, wyrobach, nowych bankach i t. p. a prócz tego zawiadomienia o nowych dziełach dotyczących ekonomii politycznej. Ciągłe prawie zjawiają się w tym dzienniku drobne rozprawki w przedmiotach ekonomii politycznej. Wiadomości statystyczne i korespondencye zagraniczne. Dziennik ten w zyciu oddzielnym, samoistnym, byłby z samego przedmiotu współzawodnikiem *Gazety Handlowej*.

Przegląd Sądowy, drugi rok bytu swego rozpoczyna. Redaktorem odpowiedzialnym jest p. Wincenty Prokopowicz. Prawnicy do składu redakcyi należący o ile mogą rozwijają ten organ tak dla nas pożyteczny i tworzą z niego ogólne zjednoczenie prac prawnych. W odezwie przy tomie piątym Redaktor odpowiedzialny oświadcza czytelnikom *Przeglądu*:

„Nie pochlebiamy sobie, żeby wydawnictwo nasze było doskonałem. Czujemy bardzo na czém nam zbywa. Bo też nie wszystkie jeszcze imiona zapisane na liście naszych współpracowników, weszły do kolumni naszego pisma”.

Wiemy że każdy początek jest trudny, nieraz potrzeba szczególnej wytrwałości, aby się łamać z przeszkodami. Lecz z czasem droga się uprości, a *Przegląd* odpowiedzialnie może w zupełności swojemu założeniu. Tylko pracy potrzeba i kierunku. Pracy w dwónastu zeszytach roku zeszłego jest niemało. Odznacza się tu rozprawa p. Dominika Zielińskiego: O wexlach. Wszystkie spostrzeżenia prawodawczo organiczne, Alex. Thisa, J. K. Wołowskiego, sprawozdania z czynności senatu przez H. Chwaliboga, Jurisprudencya kryminalna senatu, są pożądane dla praktyki sądowej równie jak wyjaśnienia i stosowanie pojedynczych przepisów prawa. Ciekawa jest wiadomość pod napisem: Zabytki dawnych urzędów sądowych miasta Warszawy przez A. Wejuerta i inne.

Kierownictwo Przeglądu sądowego wywoływać powinno przede wszystkim rozprawy, choćby polemiczne, a wyjaśniające ciągle praktykę sądową tak cywilną, jak kryminalną, w której przy zbiegu rozlicznych praw i rozporządzeń, ważną jest rzeczą oznaczenie prawdziwych i stałych zasad lub wskazanie niedostatków. Takie artykuły byłyby na straży postępowania sądowego. Prawodawstwo nasze w tyłu gałęziach wysoko posunięte i w praktyce niemalże zapewniające użytek, należałoby porównywać z prawodawstwem, szczególniejszej Francji; na tych samych jak nasze prawo zasadach rozwijanem, a to w miarę nowych społecznych stosunków, jak z własności literackiej i artystycznej, z zaprowadzenia dróg żelaznych i t. p. Dlatego wiadomości w tym celu z pism prawnych zagranicznych przeniesione do Przeglądu więcejby dziennikowi temu nadały życia.

Gazeta Rolnicza.—Najpracowitszy, najskrzętniejszy dziennik który już lat dziewięć istnieje i niezaprzeczenie czynnym jest nadzwyczajnie. Wychodzi co tydzień numerami z jednego arkusza formatu większego a nawet więcej, stosownie do potrzeby i ogarnia naraz tysiące przedmiotów, bardzo ważnych, bardzo przytecznych dla naszego kraju rolniczego. I tak mamy w nim: Korrespondencye z kraju i z zagranicy; Przegląd przemysłowo-handlowy; Przegląd rolniczy; Rozmaitości gospodarskie; nowiny; wszelkie wiadomości dla rolnika; polemikę z werwą prowadzoną. Rozbiory dzieł gospodarskich i sprawozdania. Rozprawy i wyjaśnienia odkryć, ulepszeń i t. p. ilustrowane są rycinami które zrozumienie ułatwiają; jak wyobrażenia narzędzi rolniczych wszelkiego gatunku, machin, plany i rozmiary budowy gospodarskich i innych. Przypomina czytelnikom zasługi mężów pracujących dla rolnictwa, przemysłu i nauk przyrodzonych i daje wizerunki jak w roku zeszyłem: Hippolita Cegielskiego, Ludwika Twarowskiego i Darwina z stosowną o nich wiadomością. Przy takim praktycznym działaniu dziwnie czasem wygląda szczególna drażliwość dziennika tego, który jak gladiator z wyostrzonym mieczem czeka tylko na zjawienie się przeciwnika choćby w formie cienia. Dlatego niepodobna chociażby najdelikatniej objawić dziennikowi temu życzenia swego, któreby się nie zgodziło z jego widzeniem, bo natychmiast w takim życzeniu widzi wprost *krytykę* dla siebie najdotkliwszą. Mamy na to przykład ze wzmianki w Bibliotece prowadzenia czytelników kierunkiem jak Liebig i jego współpracownicy, a więcej jeszcze z odpowiedzi w Nrze 36. Czy *Gazeta Rolnicza* przedmiot swój rozwija ściśle naukowo, czy też praktycznie, to od jęj woli zależy, bo ona sama wie najlepiej jak jest w możności skutecznie przemawiać do swych czytelników. W programacie *Gazeta Rolnicza* z góry ograniczyła swą działalność, oświadczając że chce być przedstawicielką pojęć i postępu krajowego rolnictwa, bo jęj głównie idzie nie o teoretyczne artykuły, *naszpikowane wyższą znajomością chemiz, logarytmami, potęgami* lub choćby skomplikowanemi lekarstwami wyższej wetery-

nary; ale o artykuły *praktyczne*, jasno, popularnie, a treściwie przedmioty przedstawiające tak, żeby każdy nawet maluczki wie-
dzą, umiał je zrozumieć, ocenić i skorzystać z udzielonej rady lub doświadczenia; dlatego gazeta niemoże zapełniać szpalt swoich wykładami gospodarstwa jako nauki; na to są szkoły, pamiętniki, roczniki i t. p. pisma i dzieła specjalne gospodarstwu poświęcone. Uważamy że takim wywodem Gazeta Rolnicza w zupełności usprawiedliwiła swoje dotychczasowe wydawnictwo.

Biblioteka Rolnicza. Redakcyja Gazety Rolniczej uzupełniając wiadomości naukowe dla czytelników swoich, utworzyła pismo pod powyższym tytułem, które wychodzi dotąd zeszytami miesięcznie i następnie od stycznia r. b. bez przerwy miesięcznie wychodzić będzie; uważać je więc musimy za pismo peryodyczne, zwłaszcza że zajmuje się bieżącymi wiadomościami i bibliografią rolniczą. Sześć zeszytów wydanych w roku zeszłym obejmuje różne artykuły: pomiędzy którymi znajdują się konferenecye rolnicze Jerzego Ville i chemia rolnicza przez J. B. Rogójskiego, w której na wstępie autor się odzywa: „W pismach układanych dla praktyków, każde doświadczenie unikać wywodów teoretycznych, jeżeli ich zrozumienie wymaga znajomości początków chemii. Z drugiej strony rzemieślniczy spis recept chemiczno-gospodarczych. pozbawiony wyższego poglądu, nie zgadzałby się ani z upodobaniem *słowiańskim* ziemian naszych, ani z poszanowaniem ich z mej strony. Co przystoi w przekładzie dzieła obcego, to może być rażącym w pracy oryginalnie polskiej. Wołałem tedy dolożyć starania w wytlumaczeniu ile możności zwięzłym a jasnym każdej prawdy chemicznej, mogącej być pożyteczną dla gospodarzy wiejskich, niżeli opuścić którąkolwiek z nich jedynie dla ulżenia sobie trudu”. Chemia rolnicza zamieszczona w zeszytacie czwartym i piątym, zapowiedziana jest na rok bieżący pomiędzy innymi przedmiotami, jakie wydawca w zawiadomieniu swoim wyszczególnia.

Dla ziemian naszych *Korrespondent rolniczy, handlowy i przemysłowy* nie może być bez pewnego interesu. Chociaż tylko jest dodatkiem do Gazety Warszawskiej raz w tydzień, w pół arkuszu wychodzącym, znosi jednak wiadomości najczęściej z dzienników innych czerpane, oraz korespondenecye z kraju które niejedno słowo prawdy wypowiadają i wyjaśniają ogólne położenie gospodarstw naszych. Niektóre artykuły są zajmujące jak: O wpływie konieczyuy na skład chemiczny ziemi. Ptaki i owady i inne. Drzeworyty przychodzą także w pomoc do wyjaśnienia konstrukcyi niektórych maszyn rolniczych.

W roku zeszłym wychodziły w dalszym ciągu trzy pisma peryodyczne treści religijnej: Przegląd katolicki, Zwiastun Ewangeliczny i Izraelita.

Przegląd katolicki raz obroną postępuje drogą. Zasady wiary świętej są jedynym przedmiotem jego życia. Waleczy za ten dar Boży z całą gorliwością i natchnieniem. Dziennik ten

zamieszcza dla swych czytelników wszystko co wiernym, na drodze duchowego życia, pomoc przynosi i od błędów broni. I tak przedstawia wyjaśnienia Pisma Świętego, prawd ewangelicznych, obrzędów, wspomnienia historyczne, rozbiory dzieł, bibliografię. Zbiera starannie wszelkie wiadomości z których najbardziej pocieszające i unoszące serce każdego chrześcianina są obrazy postępu wiary świętej, sprawozdania z misyyi we wszystkich częściach świata a mianowicie w Japonii, Chinach, Malgaskie, w Afryce, w Ameryce, w Oceanii. Wykrywa walki i rozdwojenia stronictw protestanckich. Polemika oparta na teologii rozwija się tu z siłą i życiem. Staje zawsze z najściślejszą obroną zasad przeciw każdemu wypadkowi, przeciw każdej odmiennąj myśli. Takimi są artykuły: Słowa niebaczne, O przekładzie J. Wagi wielości światów i inne. Czasem wybór wyszukanych przedmiotów i sposób ich przedstawiania razi jaskrawością. Jak w artykułach: Ruiny moralne i umysłowe Alfreda Nettement. Ojcowie i dzieci XIX wieku Legouvego i t. p. Ten sam autor: Darwinizm w obec religii i moralności, Teoryą Darwina (gdzie zawsze idzie o małpy) podaje jako zastraszające zjawisko! Mniej oburzenia a więcej chłodnej rozwagi, prawdziwy czytelnikom przyniosłoby użytek. Wzór polemicznych rozpraw stanowią artykuły z podpisem ks. M. N., rozumowania w nich gruntowne, pełne silnej logiki i obszernych wiadomości, styl rzadkiej czystości a przy uczuciu spokojności i godności, w rozprawach każdego przeciwnika do szczególnego zniewala szacunku. Ten sam autor wytyka usterki Bibliotece Warszawskiej, niepodobna na to odpowiedzieć, kiedy rozumowanie wychodzi z odziedlonego właściwego Przeglądowi stanowiska. Najświetniej ks. M. N. odznaczył się w rozprawie: kwestya narodowa w powieści. Tam rozumowania i przegląd historyczny przynoszą jasne przekonanie czóm jest katolicyzm dla ludzkości. Widać w Tygodniku katolickim jak dopuszcza i jak ocenia swobodę zdania kiedy odzywa się: „Nie lubimy tonu zaufania w swoją nieomylność, jako znamienia jednostronnego i wrażliwego umysłu.”

Zwiastun Ewangeliczny. Nie możemy pomijać dziennika, który w Warszawie w roku 1865 utworzony dla mieszkańców tujejszych wyznania ewangelicznego, chociaż od roku drukuje się w Cieszynie, ciągle jednak przynosi pomoc duchową czytelnikom polskim jako ich wyłącznie potrzebie poświęcony. Jest on jedynym ewangelickim pismem peryodycznym wydawanym w języku polskim. W każdym miesiącu wychodzi jeden zeszyt w osemce objętości arkuszowej. Celem pisma, jak to redakcyja zawiadamia jest: „czysto i jasno opowiadać ewangelią i dawać stanowczy odpór wszelkim dążeniom nie protestanckim i zmierzającym do obalenia i podkopania zasadniczych prawd chrześciaństwa. Miarą zaś wszelkich sądów i zdań, jest Pismo Święte i zgadzające się z niem symbola wiary kościoła ewangelickiego.” W roku zeszłym *Zwiastun* ogłaszał nauki pod rozmaitemi napisami jak: Wódz nasz, Krzyż, Czekanie Pańskie, Stosunek wiary do miłości i nadziei według

nauki świętego Pawła, Prosta droga, Nawrócenie, Źródło pobożności, Nasza nauka, Pociecha nasza i inne. Prowadzi walkę polemiczną przeciw tym którzy w imię postępu zdążają do obalenia istniejącej budowy chrześcijaństwa, jak to przekonywają artykuły: Pasterstwo, — Wyłożenie najgłówniejszych prawd chrześcijańskich w obec tych co nowoczesnym duchem natchnieni zaprzeczają wszystkiemu czego kościół chrześcijański uczy, — Dwa zgromadzenia, — Protestantyzm i sobor ekumeniczny i t.d. Zbiera wiadomości do dziejów ewangelickiego zboru krakowskiego. Ogłasza korespondencye, rozbiory dzieł i wszelkie szczegóły dotyczące kościoła ewangelickiego. Z początkiem roku zeszłego wychodzi przy Zwiaſtunie dodatek pod tytułem: *Werdauskie Wiadomości Missyjne* numerami z dwóch kart pół ćwiartkowych, poświęcony wyłącznie na upowszechnienie wiadomości o missyach kościoła ewangelicko-luterskiego. Jestto przekład dziennika niemieckiego, który wydawanym jest w Werdau w Królestwie Saskiem. Opowiada dzieje czynności missyjnych poczynając od roku 1732 i wyszczególnia rezultaty z nawracania pogan w rozmaitych okolicach świata, gdzie jeszcze światło nauki Chrystusowej nie doszło.

Izraelita. Tygodniowe to pismo już rok czwarty pracuje na pożytek wyznania swego i na podniesienie starozakonnych do cywilizacyi i postępu ludzkości. W ramach Izraelity mieszczą się artykuły wszelkich form. Wyjaśnienia biblii, talmudu, i innych ksiąg religijnych. Wyjaśnienia obrzędów. Legendy według Pisma Świętego. Legendy talmudyczne. Rozprawy różnej treści. Powieści moralne i tendencyjne. Korespondencye. Rozmaitości i polemika zawsze i wszędzie jedna i ta sama, o wyższość wyznania, o wyższość wybranego jednego plemienia wśród tyłu narodów kuli ziemskiej. Jak tylko czytelnik myśl swą zagłębi w ten dziennik, zaraz zdaje mu się że wszedł w inną atmosferę odrębną, oryginalną, w której umysł ludzki tajemni poruszany sprężynami toruje sobie oddzielną drogę. Przyznać należy że tu jedna idea potężnego Boga góruje nad wszystkimi, że idea ta błyska kolorami Pisma Świętego i innych ksiąg wyznania Mojżeszowego. Lecz z tego źródła chociaż moralność według przykazań Boskich dla narodu wybranego rozwija się ciągle, to przecież nie tryska z niego ta potężna miłość bliźniego, która ogarnia wszystkie bez różnicy ludy od jednostek najwyżej w cywilizacyi posuniętych do Hotentotów i człowieka dzikiego. Nie ma tam tej myśli boskiej, tego dobrowolnego poświęcenia jednostki dla ogółu, które prowadzi do szczęścia, do zbawienia cały ród ludzki w tem i w przyszłym życiu. Jest tam solidarność szczepu dla szczepu, lecz nie ma solidarności dla całej ludzkości. Bez miłości bliźniego, bez tej myśli poświęcenia, atmosfera Izraelity zmartwiała i pustką być musi. Wolno jest dziennikowi temu uważać nasze zdanie za proste uprzedzenie, lecz wyznać musi, że cywilizacya i cały postęp na tej jedyniej podstawie wyrasta. Szczep ten odrębny, przez ciągłe życie duchowe, przez tyło wiekowe życie według zasad Pisma Świętego siły swe umysłowe rozwijał, pomnożył. W nim też zjawia-

ją się zdolności szczególne, a w ogóle cała bez różnicy masa tego ludu, działalnością umysłową a raczej tak pospolicie zwaną przemysłową, zapewnia sobie wyższość. Nie do nas należy badać z kąd pochodzi nabytek sił takich, czy przez stopniowe przybywanie materji mózgowej pokoleniami i wiekami i przez kształcenie w tym kierunku organizacyi ciała gimnastyką duchową, czy też przez inny szczególny dar, dość że fakt ten istnieje. Zjednanie takiej siły dla ogólnego celu, wcielenie się w ludzkość jest najpierwszym obowiązkiem tego ludu. Izraelita dąży ku cywilizacyi i postępowi; zdaje się jednak że znając dobrze swoich wyznawców robi to z wolna i ostrożnie. Z nim łączą się podniesieni nauką i wychowaniem pisarze pragnący przedewszystkiem usunięcia przesądów, uprzedzeń, tworców ciemnoty i fanatyzmu. Ztąd widzimy ciągłą walkę przeciwko Chasydom, Sadykom, Kabalistykom, przeciwko nadużyciom wyzyskiwania na swą korzyść ciemnoty ludu. Z tćm jednak dążeniem sprzeczne często wyrwywają się zjawiska, np. baśń ludu: Napoleon i Baal Szem podana za prawdziwe przepowiednie; Korrespondencya Chaima Szczęsnego w innćm świetle stawiająca swaty, jak to wykazał J. Goldszmit w Szadchonomie czyli w kojarzycielach małżeństwa i inne szczegóły które pomijamy. Rażącemi są odpowiedzi najskrzętniej przygotowane i do drobiazgowości posunięte, na wszelkie zarzuty wad i złych namiętności współwyznawcom przypisywanych; razi także zapewnienie, że mściwość i inne wady i ułomności żydom zarzucaue, są urojeniami. Izraelita ciągle pochwałami i pochlebstwami zasypuje lud swój i to w stanie w jakim dotąd zostaje. Przypomina dawne przesładowanie, obraz nawet Mortary i donosi że przesady przeciwko żydom trwają wciąż nawet we Francyi, nawet w Anglii, że uprzedzenia przeciwko żydom wyasane są z mlekiem matki i wcale nie wskazuje przyczyn tego uprzedzenia. Takie przedmioty drażnią wzajemnie i nie mogą posłużyć za środki jednoczenia. Kiedy lud ten samowolniony, poróznany we wszystkich prawach społecznych z innymi ludami; kiedy we Francyi sądy karne wyrokami wymierzają karę na tego kto żyda nazwie żydem w zamiarze ubliżenia (Nr. 36); kiedy tym sposobem wzajemne zbliżenie się przygotowane, w takiej chwili odrywanie się tego ludu we wszystkich krajach od społeczeństwa, tworzenie całości ze wszystkich cząstek do oddzielnego życia jest błędem nie do darowania, bo krzywdą ludzkości. Przekonani jesteśmy że Izraelita stale dąży do podniesienia swych wyznawców, że dla nich szczególnie dziennik ten wychodzi, a przecież napozór zdawałoby się iż ten organ zjawia się jedynie na to aby publiczność całą przekonać o zaletach ludu który dotąd tyle krzywd wycierpiał, a pomimo to, w naszym kraju do tak znakomitej wzrost liczby. Mamy nadzieję, że oświeceni Izraelici najlepiej u nas znający ludność żydowską, z wolna skutecznemi środkami potrafią usunąć złe które ogółowi szkodzi.

Przebiegając treść naszych pism religijnych i widząc jaką koleją ludzkość postępuje, przychodzi nam myśl, że dziś gdyby żył Omar, nieśmiałyby powiedzieć ażeby wszystkie książki spalić; bo albo zawierają to co już Alkoran podaje a zatem niepotrzebne, albo jeśli tego nie zawierają, to złe; a przecież nie tak odległe czasy, w których książki przeciwne przyjętemu kierunkowi nakazywano palić a nawet i tych co je pisali.

Peryodyczne piśmiennictwo lekarskie, w roku zeszłym nie uległo żadnej zmianie, tak co do liczby pism, jak również co do obranego kierunku. Wciąż je ożywiał duch czystej nauki a głównym zadaniem ich było pilne śledzenie za rozwojem wszystkich gałęzi medycyny zagranicą i skrzętne zbieranie materyałów miejscowych, mogących być choć drobnym przyczynkiem do jej postępu w kraju.

Pamiętnik Towarzystwa Lekarskiego, najdawniejszy z pism naszych lekarskich, jest zawsze organem tego ciała naukowego. Pomieszcza protokoły posiedzeń Towarzystwa; drukuje oryginalne prace członków i podaje w streszczeniu rzeczy ważniejsze z pism zagranicznych. Wychodzi zeszytami miesięcznymi, które w ciągu roku składają dwa tomy po 20 do 25 arkuszy druku każdy. Obecnie głównym redaktorem jest Dr. Wszebor.

Gazeta Lekarska redagowana umiejętnie i starannie, pozostaje wierną swemu pierwotnemu, ściśle oznaczonemu kierunkowi. Nie tylko jest ona dokładnym obrazem obecnego stanu nauki lekarskiej zagranicą, ale sama przyczynia się do jej postępu i nadaje kierunek pracom krajowym przez wyznaczanie od siebie nagród konkursowych na temata najżywotniej obchodzące naukę i społeczeństwo, i przez pomieszczanie prac młodzieży lekarskiej dokonanych w pracowniach uniwersytetu pod kierunkiem profesorów. Niezmordowanej działalności redakcyi tego pisma zawdzięczamy wydawanie w dalszym ciągu olbrzymiego dzieła, jakim jest: *Biblioteka umiejętności lekarskich*, oraz *Dziejów szpitali w Królestwie*. Nadto wydała ona na rok 1870 *Kalendarz lekarski* pożyteczny i ozdobny podręcznik dla lekarzy, po raz pierwszy zjawiający się w kraju. Słowem pismo to odznacza się szczególną inicjatywą, która z rzadką wytrwałością natychmiast w czyn się zamienia; co je tak zaszczytnie wyróżnia pomiędzy wszystkimi pismami lekarskimi.

Klinika w roku zeszłym zmieniła się z dwutygodniowego na tygodniowe pismo lekarskie. W redakcyi nie zaszły żadne zmiany. W ciągu roku pismo to kilka razy podnosiło kwestyą felczerów, których wykształcenie uważa za nieodpowiednie wymaganiom obecnej chwili. Przy Klinice wychodzą kwartalne dodatki, za oddzielną opłatą, mieszczące albo rozprawy młodych doktorów, składane dla pozyskania stopnia uniwersyteckiego, albo artykuły tłumaczone z obcych języków.

(Dokończenie nastąpi).

O rodzinie Jana Kochanowskiego o jej majątnościach i fundacyach. Kilkanaście pism urzędowych zebrał ks. Józef Gacki. Warszawa. 1869. (W 8ce, str. 172).

Kiedy koniec wieku XVII i początek XVIII stulecia, jakby pragnęły zatrzcć pamięć wielkiego poety z Czarnolasu, wciąż uporne o nim zachowywały milczenie, a eńa lichych wierszokletów okradając bez litości Jana Kochanowskiego, lękała się nowego wydania jego poezyi, ażeby łupieży ich niedostrzeżono; równocześnie stara tradycya co przechowywała wspomnienia o nim coraz więcej blakła, a dawne edycye pism, coraz rzadszemi bywały. Pierwszy dopiero Krasicki, który czuł całą wyższość wielkiego poety XVI wieku, przedsięwziął odwiedzić i uczcić jego skromną siedzibę w *Czarnym lesie*. Jakoż przybywszy na miejsce, z boleścią pisze, że darmo szukał owęj sławnej lipy, pod której cieniem kreślił nieraz swoje utwory Kochanowski, gdzie pieścił ukochaną Urszulkę, a po jej zgonie, płakał serdecznemi łzami. Po nim, w pomnikowej swęj *Edycyi wyboru pisarzy polskich*, Tadeusz Mostowski, w staranném wydaniu ogłosił zbiór wszystkich pism Jana Kochanowskiego w dwóch tomach, w Warszawie 1803 roku, kładąc je na czele swego *Wyboru*. Poprzedza utwory Kochanowskiego, jego zyciorys krótko skreślony przez Franciszka Bohomoleca. Odtąd od czasu do czasu pojawiały się przedruki Mostowskiego wydawnictwa, a im więcej smak się prawdziwęj poezyi upowszechniał, im więcej zaczęto wczytywać się i studyować utwory wieszczki z *Czarnolasu*, tём więcej pokazywała się potrzeba uagląć, wydania krytycznego wszystkich pism Kochanowskiego.

Mysł tę zapragnął urzeczywistnić, jeden z najwięcej przedsięwierznych nakładców i księgarzy J. K. Żupański w Poznaniu, i pracę tę mozolną poruczył p. Józefowi Przyborowskiemu, obecnie bibliotekarzowi biblioteki głównej przy Uniwersytecie Warszawskim.

Nie wiemy powodów dla których zamierzone wydawnictwo do skutku nie przyszło, i mamy tylko wysokiej wartości pracę p. Przyborowskiego: „*Wiadomość o życiu i pismach Jana Kochanowskiego*” która zapewnie na czele utworów tego poety pomieszczoną być miała, i tę J. K. Żupański ogłosił drukiem 1857 roku w Poznaniu.

W pobliżu Radomia zamieszkały ks. Józef Gacki, znany od lat wielu jako sumienny, a gruntowny badacz naszęj przeszłości, korzystając ze sposobności poznania dokumentów tyczących się rodziny Jana Kochanowskiego i majątku jaki posiadał, zabrał się do ich wypisania, uporządkowania i objaśnienia.

Wiele lat mozolnych ślęczeń zabrała mu ta szacowna praca, pozornie sucha, w rzeczy, wiele objaśniająca, i stanowiąca ważny przyczynek, dla każdego kto chce bliżej zbadać tak żywot samego

poety, jak i wiek w którym żył i pisał. Uzupelnia ona o wiele nawet *Wiadomość*, którą poprzednio ogłosił p. Przyborowski.

Rękopism ks. J. Gackiego, jak i wiele innych studyów szacownych, wykończony, daremnie oczekiwał nakładcy, o którego nie łatwo, aż przecież znalazł się p. B. J. R. który nie pożałował kosztu, na wydanie staranne. Pamięć twórcy nieśmiertelnych na śmierć ukochanej Urszulki *Threnów* odzywa się więc na nowo; a jak dobrze wyraził szanowny wydawca: „Genialny malarz Jan Matejko, tę chwilę uwiecznił pędzlem swoim, pod ich tekst twórca *Halki*, Stanisław Moniuszko, podłożył równie rzewną, jak słowa melodyę, a Felicyan Faleński, wartość ich poetyczną w obszernym studyum wykazał”. Na czele wydania T. Mostowskiego, umieszczono popiersie jakoby Jana Kochanowskiego, tymczasem przekonano się później, że nie był to jego wizerunek, tylko Piotra tłumacza *Jerozolimy wyzwolonej* Tassa. Dopiero znakomity malarz Alexander Lesser zdjął z nagrobka *Jana* w Zwoleniu, rzeczywiście popiersie poety w wiernym odlewie gipsowym.

Zbiór dokumentów, które ks. J. Gacki składa, zaczynają się od roku 1488, w którym występuje nieznaną Niesieckiemu ród *Szlizów*, a następnie spokrewniony przez kądziel z Kochanowskimi; dzieje zaś Czarnolasu, dziedzictwa niegdyś poety doprowadza do ostatnich czasów, bo do roku 1846.

Zajmujący wyjątek z tego dzieła, w którym opisuje ks. J. Gacki szczegółowo Czarnolas, dwór Jana, i ową sławną lipę, Biblioteka Warszawska w Tomie III z roku 1869 w całości podała.

Teraz zasoby jakie posiadamy, ułatwiają wielce tak pożądane wydanie krytyczne pism Jana Kochanowskiego. Do życiorysu gotowe są materiały bogate w studyach p. J. Przyborowskiego i ks. J. Gackiego: mamy i popiersie prawdziwe, największego poety naszego z XVI stulecia: potrzeba oprócz hojnego nakładcy na wydanie, biegłego pracownika i umiejętnego, któryby wedle najpierwszych edycyj, zadaniu temu wydołał i godnie odpowiedział.

R.

Historia powszechna przez Wiktora Duruy, przełożona przez L. Rogalskiego. 3 T. Warszawa. 1869.

Przekład powyższego podręcznika, rozpoczęty przed kilkoma laty, obecnie już z trzecim tomem w zupełności ukończony został. Byłego ministra oświecenia, *Historia* dość powszechnie w wykładzie szkolnym przyjęta, posiada istotnie zalety które jej we Francji słusznie zjednały uznanie. Wykład prosty, jasny, oparty na zręcznie uporządkowanym materiale czerpanym z odpowiednich źródeł, stanowią prawdziwą wartość pedagogiczną w pracach Du-

ruy'a. To też zapewne skłoniło tłumacza do wzbogacenia naszej literatury historycznej, przekładem powyższego podręcznika, lubo na brak w tej gałęzi skarżyć się nie można; już posiadamy kilka przyswojonych utworów cudzoziemskich. Czy wybór p. L. Rogalskiego był zupełnie trafnym, nie rozstrzygamy tego stanowczo. Literatura francuzka obfituje w historyczne podręczniki, nie zbywa też na nich i niemieckiemu piśmiennictwu. Z każdym rokiem przybywa szereg utworów przeznaczonych dla użytku szkolnego. Niemal każde gimnazjum niemieckie ma swoje samodzielne książki, poświęcone wykładom dziejowym. Ale bogactwo jednej i drugiej literatury nie świadczy bynajmniej o prawdziwej jej pedagogicznej wartości. Jeżeli sama nauka dziejowa na właściwe jeszcze nie weszła tory, to i podręczniki błędzą po bezdrożach. Wina więc nieco wyżej się ukrywa. Nie pociągamy przeto do odpowiedzialności ani autora ani przekładcy, szerokie w tym względzie rozprawy jeszcze się nie skończyły i nie podnosimy tu głosu, coby nas zbyt daleko od przedmiotu odprowadził. Znany ze swojej niestrudzonej pracy p. Rogalski wywiązał się sumiennie z zadania przekładcy. Jasność i potoczystość wykładu pierwotnego oddał swoim piórem z całą wiernością. Dlaczego jednak powtarzał za autorem tyle błędów, od których nie jest bynajmniej wolnym Duruy, a które w uwagach sprostować było można, nie rozumiemy. Dlaczego nie otrząsnąć się przy każdej sposobności z bogatej spuścizny nieokładności, które nam przekazały czasy nie krytycznej historyi; dlaczego książkę obarczać tym zbyt ciężnym ciężarem, który już odpadł, jak plewy od czystego ziarna? Czemuż powtarzać, że wiele innych pominiemy, owych deputowanych, co niesli Henrykowi I wiadomość o wyborze i zastali go polującego na ptaszki i ztąd mniemane jego przezwisko Ptasznik? (*Waitz. Jahrbücher* 213).

W tłumaczeniu Cantu, mówi przekładca o Saksonach, w podręczniku o Sasach. Tu i owdzie spotykamy nie zupełnie trafne wyrażenia, zbyt drobiazgowe, żebyśmy je ujawniać mieli. Ale między innymi, jeżeli św. Bernard (II p. 134) do papieża Eugeniusza pisze o Rzymianach że są dziwne cervicis, to zapewne że są twardego, nieugiętego karku, a nie „krnąbrnego mózgu,” razi nas także zwrot nie swojski, że John Knox miał *nauczycielem* Kalwina (III p. 206), zdaje się, że naszej mowie obcy jest zwrot podobny i t. d. W ogóle jednak długoletnia już wprawa pozwoliła p. Rogalskiemu wywiązać się z zadania przekładcy, i podręcznik Duruya dla niejednego pożyteczną będzie książką. P.



ROZMAIŃCOCI.

Głosy całego cywilizowanego świata brzmiały radością i uwielbieniem na wiadomość o otwarciu kanału Suezkiego. Olbrzymie to dzieło przybyło do pomników i do chwały naszego stulecia. Gazety, ilustracje, dzienniki, broszury, książki zaniosły wszystkim krajom szczegółowe wyjaśnienia tej nadwyzajności. Odtąd już dla podróży do Indyi nie potrzeba opływać brzegów całej Afryki i przylądka strasznego Dobrzej Nadziei. Spełniła się piękna nadzieja, trzecia część świata Afryka, dotąd ogromny półwysep, myślą i ręką człowieka, ręką postępu zamienioną została na wyspę, a droga do Indyi skróciła się do $\frac{1}{6}$ dawnej długości. Uroczystość otwarcia kanału uderza świetnością. Pierwsza cesarzowa na Orle przepłynęła wody morza Czerwonego połączone z wodami Śroziemnego morza, a za nią reprezentanci ludzkości, jak w tryumfie płynęli w jednym gronie panujący towarzysząc monarchini. I w jednym punkcie kanału rozwinęły się nagle obrazy cywilizacji europejskiej, przepychu muzulmańskiego, życia Arabów, Fellachów, murzynów i innych narodów Wschodu i wznosiły się do niebios modły z jednej strony całego chrześcijaństwa, z drugiej moslimów, a w pośród śpiękiej przyrody tropikowej na te obrazy pokoju, zbliżenia i miłości, na te obrazy potęgi umysłowej, patrzyły piramidy, obeliski, mauzolea olbrzymie z większym zajęciem i zdumieniem niżli na obrazy walk i zwycięstw olbrzymich. Uroczystość skończona, cudowne sceny znikły, kanał tylko pozostał i teraz jest przedmiotem rozmyślań, badań, rozpraw, dowodzeń: czy głębokość jego odpowiada okrętom najwięcej ładunku biorącym, i czy dochód z kanału wystarczy na jego utrzymanie i zwróci wyłożone ogromne kapitały z procentami. W naszym wieku nie można tak się odzywać jak ów wódz rzymski, który nalegany o rachunek z kosztów wojennych i łupów, zawołał jako zwycięzca, że rachunki wszystkie w oczach ludu niszczy i wzywa naród cały do ofiar bogom za udzielone zwycięstwo. Wszyscy wtedy głosu tego usłuchali, a rachunki znikły.

P. Pétavel-Olliff sekretarz Towarzystwa Narodowego do tłumaczenia ksiąg świętych w Neuchâtel, wydał na widok publiczny swój odczyt w przedmiocie *postępu religijnego*, w którym stara się pogodzić naukę z wiarą. „Dlatego, mówi, postęp ciąglego doznaje oporu, że Bóg duchowieństwa, tak czarnemi odmalowany kolorami, iż przestrasza śmiertelnych, a Bóg uczonych, przechodzi pojęcie ogółu. Nauka dzisiaj przemawia silniejszym głosem niżeli kościół; wzywa ludzi aby łącząc ogień z wodą, świat przebywali i zagarniali go pod swoje panowanie, wynajduje maszyny które stokroć pomnażają wyroby przemysłu; pracuje nad wydobyciem ubogiego z pognębienia: zakłada kassy codziennej oszczędności, towarzystwa spożywcze. W Stanach Zjednoczonych pracownik dzień swój dzieli na ośm godzin pracy, ośm godzin snu, ośm na naukę i rozmyślanie. Głód w Europie stał się niemożliwym skutkiem kolei żelaznych; umiejętnie rolnictwo powiększa plody ziemi. Lecz co z tego wyniknie, jeżeli potęga nauki i wynalazków zaciągnie się pod sztandary morderstwa, dając się użyć do budowy coraz bardziej zadziwiających maszyn, które mają na celu niszczenie ludzi? Jeśli połowa naukowych środków, jakimi rozporządzamy, tworzy i zapewnia życie, a druga połowa śmierć zadaje, jakież będzie udoskonalenie rzeczy ludzkich?” Ztąd wniosek, że postęp naukowy nie jest wszystkim; żeby stał się zbawiennym, należy wybierać z niego tylko wyniki pożyteczne i dobroczynne, a nadewszystko rządzić się moralnemi przepisami Ewangelii, uczuciem braterstwa, i poszanowaniem sprawiedliwości.

Z powodu nowego dzieła p. George Perrot: *„Essai sur le droit public et privé de la république athenienne”* E. Véron robi uwagi, naszym zdaniem godne powtórzenia, ponieważ dotyczą znanych myślicieli starożytnej Grecyi, o których do dnia dzisiejszego sądzimy, podług opinii cokolwiek na ślepo wyrzeczonej.

Sprawozdawca oceniając najprzód wartość i układ dzieła, powiada, że autor zna wszystkie teksta greckie i łacińskie, odnoszące się do jego przedmiotu, że radził się wszystkich dzieł francuzkich i niemieckich w tej materji piszących, że w skutek sumiennej pracy zebrał mnóstwo dokumentów, które tak umiał przetrawić i uszykować, że uwadze czytelnika oszczędził wszelkiego trudu.

Zadaniem dzieła wszędzie widocznym, jest całkowite usprawiedliwienie demokracji ateńskiej, tyle razy przez własne jej dzieci spotwarzonój.

„Nie można się temu dziwić, mówi p. Véron, gdy ludy okazują większą zwykle drażliwość na niedogodności, jak na korzyści instytucyi, pod któremi żyją. Nie należy im tego brać za złe, w tém bowiem spoczywa zaród postępu. Prawem jest i obowiązkiem człowieka, być szczęśliwym i wolnym, musi więc przyganiać wszystkiemu, co mu do tego stoi na przeszkodzie, na téj dro-

dze jedynie może oczyścić warunki społeczne ze złych żywiołów. Lecz z drugiej znów strony, zanadto na seryo przywykliśmy brać oskarżenia Aristofanesa, Sokratesa, Platona, i Xenofonta. Oni bowiem, co będziemy musieli w końcu przyznać, rządili się zasadami wstecznymi, tak w polityce jak i w filozofii. Zupełny powrót do dawnych urzędów arystokratycznych, nazwaliby dopiero postępem. Nauka ich, była to tylko forma filozoficzna politycznych teoryj. Nie pojmuję, jak można brać za objaw duchowego postępu systemata, które w umysłach swych twórców, tak dobrze się godziły z uwielbieniem dla dzikiej i skażonej oligarchii Lacedemoneńczyków. Należy przecież zastanowić się, że w tym jest coś nienaturalnego, żeby jedna i ta sama intelligencya, znajdowała się jednocześnie na dwóch przeciwległych biegunach myśli; żeby była postępową w filozofii, a w polityce wsteczną?

„Dzieło p. Perrot silnie wykazuje takową nieprawidłowość i wyjaśnia, jak mało są uzasadnione zarzuty tych uczonych ludzi, zawsze nam podawanych, pomimo przestróg Arystotelesa, za ustanowiciele greckiej filozofii.”

Następnie sprawodawca przechodzi konstytucję ateńską, która w wysokim stopniu połączyła umiała starodawną zasadę władzy ludowej z poszanowaniem prawa osobistego. Odpięra mylne mniemanie, dzięki Xenofontowi, dość rozpowszechnione po za granicą specjalnej erudycyi, jakoby urzęda w Atenach zawisłe były od losu, jakoby wyciągnięta gałka, nadawała naczelnika rzeczypospolitej. „Wcale tak nie było, powiada Véron, Ateńczycy nie byli tyle niełorzecznymi w rzeczywistości, jak ich wystawiają nasze wykłady szkolne. Najprzód nawyknięcie brania udziału w sprawach publicznych, silnie rozwijało ich zmysł polityczny, i usposobiało przeważną większość obywateli do życia publicznego. Powtórę, kandydaci do urzędów poddawali się najcisłszej kontroli, badającej także ich postępowanie prywatne. Nakoniec zawsze im służyła możność, usuwania urzędników nie zasługujących na szacunek współobywateli.

Co do organizacyi sądowej, to w Atenach przeważało zastosowanie sądów przysięgłych. Bieg sprawiedliwości ułatwiał, silnie w umysłach obywateli zakorzenione poszanowanie słuszności. Wiem, mówi w końcu p. Véron, że zawsze można tutaj przeciwstawić skazanie Sokratesa. Ja także potępiam je jak najmocniej, z tego głównie powodu, że nie przyznaje nikomu prawa ścigać za opinie, ani też zabijać, wyjąwszy wrzecie zagrożonej własnej egzystencyi, ale co do osoby Sokratesa, to przyznam się, że ona nader słabe obudza we mnie współczucie, i jego nauka według mego przekonania, raczej cofnęła, nie zaś naprzód posunęła oświatę grecką. Nie utrzymuję bynajmniej żeby zasłużył na śmierć za to, że był wstecznym w polityce i w filozofii, jedynie tylko powiadam, że gdyby to nie w Atenach, Sokrates był skazany przed dwoma tysiącami lat, ale za dni naszych w Paryżu, np.

przed 15-tu laty, to wielu jego wielbicielom i obrońcom, wymierzona nań kara, w niejby się wydała nienawistną."

Człowiek i pieniądze. Znany ekonomista Baudrillart, stawał nie dawno w obronie pieniędzy. Opierając się na świadectwie dziejów dowodził, że ten kruszec szacowny oddał spofeczeństwu, oświacie i wolności, znakomite przysługi. Nie chcemy temu zaprzeczać, powiada p. Conus, lecz zastrzegamy, że obok względu ekonomicznego kwestyi, powinniśmy zważać także na jej stronę moralną.

W mowie ludów wszystkich, są dwa małe wyrazy: *mój* i *twój*, które po wszystkie czasy były źródłem niezgody, processów i wojen. Żeby odrazu koniec polozyć tak niepięknym zajściom, umysły niewinne podały środek arcy napozór prosty: Oto, wykreślmy tylko ze słownika te dwa zgubne słowa, a wszystko będzie dobrze. Czyli, inaczej mówiąc, zaprowadźmy komunizm. Pomysł nie nowy. Nie sądzicie, żeby był płodem naszych czasów; bynajmniej, myśl takowa przyszła mu w prostej linii od Greków, wraz z grą w gaskę. Właśnie dwa tysiące lat temu, zdrowy rozsądek i żartobliwość Aristofanesa, obeszy się z nią jak na to zasługiwała. Czego dowód mamy w sztuce pod tytułem: *Zgromadzenie kobiet*, w której występuje na scenę dwóch obywateli: jeden uczciwy, prostoduszny, przynosi rządowi stosownie do przepisu prawa, swoje małe gospodarstwo; drugi zaś roztropny komunista, przychodzi zasiąść z próżnemi rękami do uczty publicznej; chce brać, nie zaś dawać. Gdy tamten przedstawia, że tak nie uchodzi, to on mu odpowiada: „żeby był oicho, ponieważ jest głupcem, którego szal własności unosi.” I gdy już wszystko było gotowe, łóżka i dywany, kwiaty, pachnidła, owoce, pieczone zające i ciasta, nasz komunista, jeden z pierwszych zasiadł do stołu i zjadał w najlepsze.

W drugiej znów sztuce *Plutus*, Aristofanes wystawia jak silny wpływ wywierają pieniądze na ludzi. Biedny, wzgardzony przedtem wieśniak, gdy został za sprawą bożka najętnym, mówi: „Ach! cóż to ja mam przyjaciół teraz, gdy jestem bogaty! Przejść nie mogę, potracają mnie łokciami, deptają mnie po nogach, żeby mi okazać swoją zyczliwość!”

Prawdziwie tak nie wiadomo, czy to jest napisane przed dwoma tysiącami lat, czyli też dzisiaj?

Katon, ostatni w Rzymie przedstawiciel surowej przeszłości, napróżno upominał obywateli, żeby powściągnęli swe zbytki i szalone marnotrawstwo żon swoich. Pomimo jego oporu, senat znieść musiał znenawidzone przez kobiety prawo *Oppia*, określające ubranie niewieście. W owym dniu pamiętnym była prawdziwa rewolucya w mieście: kobiety zapełniły ulice, place, forum;

interpellowały senatorów udających się do kuryi, pochlebiali im, groziły nawet. Małżonkowie ze spuszczonei uszami, szli głosować pod naciskiem żon swoich. Fatalna ostateczność! Głosujesz za usunięciem prawa, jesteś zrujnowany; głosujesz za jego utrzymaniem, to cię czekają inne nieszczęścia!

Dwaj trybunowie, dwaj Brutusy, wybierali się położyć *neto* na wniosek uprzejmych konsulów; oddanych sprawie niewieściej; lecz obłączeni w swym domu przez grono kobiet, nie śmieli wyjść by stawić czoło burzy. Katon więc sam piorunował w kuryi, ale jak już powiedzieliśmy, nadaremnie. Prawo zostało usunięte; kobiety śmiały się z Katona, jak się dzisiaj śmieją ze wszystkich, przeciw zbytkowi w strojach pisanych i mówionych kazań. Dla nich, tak samo jak dla pani Didier z domu Benoiton, cały dochód z posagu, powinien iść na galganki. I to jeszcze jedna garderobiana im nie wystarczała; miały ich cały batalion: jedną od malowania twarzy, drugą od zębów, trzecią od paznogi, czwartą od włosów, oprócz tego, w domu trzymały haftarki, krawcowe, praczki i t. d. Potrzebowały też klejnotów i purpury; a do wyjścia na miasto, lokai, wozów i mułów. W obec tak wielkich żądań, nie jedna dziewczyna naprózno wyglądała męża. Jednych odstręczały wymagania i zbytek, drudzy znów, sami potrzebując dużo pieniędzy, zenili się tylko z bogatemi dziedziczkami.

Rzymianie oddani zbytkom i rozpuście, bezustanku wołali: złota, i złota! Różne były u nich sposoby dorabiania się majątku: zarządzanie prowincjami, polowanie na testamenta, i pobór podatków.

Widzimy jak Verres, Krassus, Lukullus i inni tracili swoją ojcowiznę na to, żeby pozyskać względy ludu; a otrzymawszy zarząd prowincyi, obdzierali krajowców, dopuszczali się grabieży i gwałtów, byle tylko zebrać pieniądze.

Kwitnął u nich także przymysł upędzania się za testamentami. Bogate wdowy, starey bez spadkobierców, wystawieni byli na ataki spekulantów; którzy znowu pomiędzy sobą ubiegali się, kto na swoją korzyść umie testatora. Czasem się to udawało, ale bywał też i zawód w zysku. W obecności podobnego przymysłowca, otworzono testament Sulpicjusza, w którym przy końcu stało jak następuje: „Ostatni zapis robię dla mego *przyjaciela* Hereniusza. Przyczepił się do naszej osoby, pomimo naszej woli; wmawiał w nas przymioty, których nie posiadaliśmy nigdy; czujemy się więc w obowiązku, także mu coś pozostawić... dobrą radę: Kochany Hereniuszu, wybieraj lepiej ofiary swojej chciwości.” Zawstydzony spekulant, poszedł dalej zastawiać swe sieci.

W wiekach średnich, pieniądz również był powodem ciężkich zamieszek i nieszczęść. Obdzierano żydów, fabrykowano fałszywą monetę.

I w późniejszym czasie dla pieniędzy, ludzie rozum tracili. Przykładem tego sławna tragikomedia, co się odegrała na początku XVIII wieku, z owemi milionami z Mississipi. Wążka

i ciemna ulica Quincampoix, którą dotychczas jeszcze oszczędził młot burzący stary Paryż, była sceną niesłychanej orgii finansowej. Rząd francuzki, zwiąawszy się z Law'em, wydawał papiery ubezpieczone na podatkach królestwa, i na bogactwach kolonialnych nieznanego kraju.

Na pastwę chciwości kapitalistów, rzucono kopalnie złota i dyamentów Luzyanny.

Wściekle tłumy cisnęły się przez kilka miesięcy do licznych biur ulicy Quincampoix, aby wymienić swe dobre złoto na kawałek papieru Mississipi. Wszyscy go mieć chcieli: panowie, książęta, mieszczanie i rzemieślnicy. Stawali po dniach całych ściśnięci, przyduszeni, wzajemnie się mierząc zawistnym okiem.

Akcyje 500 frankowe wydane w sierpniu 1719 r., stały w październiku po 10,000 fr. a w listopadzie po 20,000 fr.

Pewien garbusek wynajmował swe plecy za pulpit do pisania i to mu przynosiło 150,000 fr. Ogromne robiono majątki w ciągu kilku dni, nawet w ciągu godzin kilku. Białoskórnik z Montelimart wyniósł z tej operacji kapitał 70 milionów, wynoszący; służący pewnego bankiera zyskał 50 milionów fr.; jeden Sabaudczyk 40 mil.; książę Bourbon 60 mil. Nieprawne te zyski nader złe wpływały na moralność; niejaki hrabia Horn, zabił komisanta, żeby mu zabrać akcyje.

Ponieważ cały budynek finansowy opierał się jedynie na zaślepieniu publiczności, runąć musiał. Zręczniejsi, sprzedali papiery we właściwym czasie, inni zaś zbywali je za bezcen. Na placu Vendôme, gdzie się otworzyły targowiska, ludność na nowo zbierała się gromadnie, z milionami akcyi w rękę, a bez grosza na kawałek chleba. Law od niechybnej śmierci ratował się ucieczką, pogrążywszy tysiące rodzin w nędzę i rozpacz.

Pomimo to, przeklinany po wszystkie czasy i przez wszystkie stany pieniądź, zwolna wyswobadzał narody, i przygotowywał równość społeczną, której dzisiaj używamy.

Oszczędność i praca usamowolniły poddanych i gminy; mieszkańcy miast przemysłowych, począwszy od XIV stulecia, wzrastali w dostatki, których im zazdrościli magnaci i szlachta. Pieniądź zrobił pierwszy wyłom w własności feodalnej, oparł się siłą fizyczną, ułatwił postęp oświaty i obalił przestarzałe przywileje.

Nie pogardzajmy nim, ale nie róbmy z niego bożyszczą; nadewszystko, nie poświęcajmy mu naszej spokojności, ani też honoru. Prawdziwem bogactwem jest praca, bo zawsze nam zapewnia byt dobry; od chciwości zaś, uchroni nas umiarkowanie żądań.



WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Grudzień 1869 r.—Z korespondencji z Włoch otrzymujemy wiadomość, że oprócz dwóch tomów wydanych nowych Poezyi Lenartowicza we Lwowie, ma wyjść we Florencyi w przepysznój edycji w przekładzie włoskim, oddzielny tom jego Albumu, osnową do lokalnych przedmiotów odnoszącego się. Literackie prace swoje przepłata Lenartowicz nieustająco nowemi w plaskorzeźbie utworami; a po odlaniu ich najprzód w gipsie, ma tu wkrótce przysłać fotografie z takich, z gorącym życzeniem: aby mógł zamówienia otrzymać do odlewu tychże *kompozycyi w bronzie*.

— Znany z prac archeologicznych Matias Bersohn, w Gdańsku w *Artushof* znalazł obraz przedstawiający oblężenie i zdobycie Malborga przez Kazimierza Jagiellończyka w roku 1460. Współczesny artysta nieznan z nazwiska, wymalował go na drzewie. P. Bersohn, uzyskawszy pozwolenie, polecił gdańskiemu fotografowi zdjęcie wiernej fotografii, tak zajmującego zabytku, i rozesławszy do większych bibliotek i muzeów po egzemplarzu, jeden dał na wystawę Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie.

— Dnia 8 grudnia 1869 r. odsłonięty został wielki ołtarz w kościele Maryackim w Krakowie, arcydzieło Wita Stwosza, po jego zupełnym odnowieniu. Wrażenie całości jest wspaniałe, a pomimo wielkiej ilości złota w tej rzeźbie, blask ten nie razi, przez zachowanie stopniowania pod względem świetności metalu.

— Eustachy hr. Tyszkiewicz, były prezes wileńskiej komisji archeologicznej, autor monografii Birż, d. 27 września r. z. wybrany został na członka honorowego kurlandzkiego Towarzystwa przyjaciół literatury i sztuk pięknych, połączonego z muzeum krajowem w Mitawie.

— W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego rozpoczął się obecnie druk obszernego dzieła, nakładem komisji bibliograficznej wydelegowanej z łona Towarzystwa naukowego, którego tytuł jest: *Bibliografia Polaka ujęta w katalog alfabetyczny autorów i materii, przez Karola Estreicheru*. Część I w druku będąca, ogarnia do 50,000 druków od roku 1800, to jest stulecie XIX. Obejmuje szczegółowy spis wszystkiego, cokolwiek od r. 1800 u nas, lub za granicą o nas w obcych językach i cokolwiek przez Polaków w obcych językach było drukowanem. Druk choćby najdrobniejszy, należy do bibliografii, dlatego niegodziło się i ulotnych broszur pomijać. Cokolwiek bądź dzisiaj obojętnem jest dla historyi literatury, może nie być obojętnem po upływie pewnej seryi lat dziesiątek, bo może nie jeden szczegół interesujący w sobie przechować. Katalog Bibliograficzny nie odrzucający, nie gardzący niczem, wzrósł w roz-

miary, tak dalece, że część pierwsza ogarnia materiały więcej aniżeli na sześć sporych tomów, a dorówna dziesięciu tomom takim, jakim jest jednotomowy katalog ogólny ksiąg polskich Rafalskiego, z roku 1852 wyd. w Lipsku. Całość dzieli się na dwa tomy w dużej ósemce w dwie szpalty petitem drukowane, mogące objąć 120 arkuszy druku (Sama litera A, B, C, zajmuje około 20 ark.) co czyni 360 arkuszy zwyczajnego druku, co równa się 10 tomom historii literatury Wiszniewskiego. Teżte wielkości będzie część druga obejmująca XVIII i XVII stulecie i część trzecia obejmująca stulecie XVI i XV. Całość zatem publikacji, obliczyć można na niespełna dwadzieścia zwyczajnych tomów, czyli na sześć drukowanych petitem w wielkiej ósemce. Ta rozległość materiału w drukowanych księgach zawartego, była powodem, że autor wyrzec się musiał podawania treści czasopismów i rozpoczętych studyów w tym kierunku zaniechał. Praca ta bowiem ogarnęłaby drugie tyle niemal materiału zawartego w tysiącu pism peryodycznych, a drukowanie podobnego rozmiaru dzieła, przechodziłoby możność pojedynczego pracownika.

Rozpoznanie zatem odrębno treści pism peryodycznych, przyjęła na siebie komisya bibliograficzna, rozdzieliła czynności pomiędzy członków, i rezultata tej pracy stanowić będą mogły materiały do osobnej publikacji.

Również z tego powodu, aby rzeczy do rozmiarów nadzwyczajnych nie rozszerzać, zaniechał autor rozpoczętego z razu podawania osnowy dzieła lub wyjątków z dzieł rzadszych, w sposób, jak to skuteczniał Jocher, bo drukowanie dzieła takiego, byłoby w dzisiejszych czasach materialnie niemożliwem. Wypadało oszczędzać miejsca i kosztów, dlatego ograniczono się na posunięciu kierunku czysto praktycznego; ułożył zatem autor katalog przeważnie w tym celu, aby mógł być przewodnikiem podręcznym dla księgarzy i bibliotekarzy. Że zaś tych jest w kraju naszym nie wielu, a na pokup książki będącej suchym inwentarzem liczyć nie można; przeto musiano postarać się, aby koszta druku wyniosły jak najmniej i aby te koszta mogły się zwrócić. Autor rękopism swój oddał komisji Bibliograficznej bezpłatnie, zrzekając się zwrotu wydatków na przepisywanie blisko sześciu tysięcy arkuszy katalogu. Gdy więc autor poprzestaje na tém tylko, że owoc swój pracy oddaje bez pretensyi na użytek publiczny, komisya Bibliograficzna ze swój strony podejmując nakład na dzieło, pragnie tego tylko, aby dzieło rzeczzone służyło istotnie do użytku publiczności. Że jednak księga drukująca się będzie obszerną, bo obszerniejszą aniżeli Słownik Lindego, a obecne czasy nie są czasami Lindego, na którego publikacją składały się hojność monarchów i poparcie dostojników; przeto komisya bibliograficzna widzi się spowodowaną ograniczać się na swoich szczupłych funduszach i w miarę ich wpływu, dzieło kontynuować. To jest powodem, że poprzestać musi na odbiciu bardzo małej liczby, około 500 egzemplarzy, z których około czterysta w obieg księgarski będą puszczane, i że cenę prenumeraty tak zastosować wypadnie, aby ta niewielka liczba zgłosić się mogących prenumeratorów pokryła

choć w części koszta druku i papieru. Główny zasób przedpłaćcicieli stanowiący winn wszyscy księgarze i właściciele bibliotek z powodu że przy każdym niemal dziele podaną jest cena księgarska, i antykwerska, zatem katalog ten w użyciu praktyczny, często pożądaną wyświadczyć może przysługę. Pożytecznym też byłby w zbiorach gimnazyalnych i innych szkolnych. Obecnie licząc na mały rozkup, cena pozahandlowa zeszytu o 10 arkuszach druku, wyrównywanego najmniej 30 arkuszom zwyczajnego druku, obrachowaną została mniej więcej na 2 zł. reń. Obliczenie to jest nader niskie, nawet stosunkowo do ilości rozprzedaży egzemplarzy, znacznie niższe niżeli była przedpłata Encyklopedyi Powszechnej Orgelbranda, bowiem i format będzie znacznie większy i druk *petitem* znacznie ściślejszy.

Cena prenumeracyjna jednak zastosowaną będzie do ilości zgłaszających się osób, jak równie do tej cyfry regulować się będzie wielkość nakładu. Cena księgarska nie mogłaby z powodu rabatu należącego się dla księgarzy, być niższa od 3 złr. za zeszyt o 10 arkuszach, bo trzecią część należitości należy odłożyć na księgarski rabat.

Z tego to powodu uprasza komissya bibliograficzna o wczesne zgłaszanie się a raczej zamawianie prenumeraty w ilości 2 złr. za zeszyt 10 arkuszowy, który 2 złr. gdyby nadspodziewanie liczba prenumeratorów wzrosła, obniżoną zostanie, a nadwyżka na rachunek zeszytu następnego policzoną byłaby mogła. Wmiarę bowiem większej liczby przedpłaćcicieli, będzie można prenumeratę w ten sposób obniżyć, aby bez osiągnięcia zysków, koszta druku pokrytymi być mogły.

Co do ceny dzieła prenumeracyjnej 2 złr. a po za prenumeratą 3 złr. za 10 ark. druku, wyjaśnia się, że cena ta jest jak najskromniejszą z uwagi na szczupłość edycyi, bo arkusz druku Bibliografii ogarnia więcej niż któregokolwiek dzieła arkusz, i tak:

Arkusz *Hist. Liter. Wisznizowskiego* obejmuje przeszło 22,000 liter. *Rocznik Tow. Nauk.* 25,000. *Słownik Lindego* 2 seryi przeszło 46,000 liter. *Encyklopedyi Orgelbranda* 48,000. Katalog *Rafalskiego* książek polskich, wydany w r. 1852 w Lipsku obejmuje przeszło 32,000 liter, w arkuszu, a że ma ark. 20 więc obejmuje 60,000 liter, co równa się mniej niż 10 arkuszy druku bibliografii, to jest więcej niż 2 arkusze katalogu Rafalskiego idzie na 1 arkusz bibliografii. Cena katalogu Rafalskiego szła po 1 tal. 10 sreb. gr. *Jochera* obraz bibliograficzny ma w części katalogowej 40,000 w arkuszu, 14 arkuszy Encyklopedyi niemal tyle było co 10 ark. bibliografii. Encyklopedya za dwa zeszyty szła po 4 złp. gr. 20, więc tanięj od Bibliografii, ale rozsprzedaż szła na tysiące egzemplarzy. Arkusz zaś Bibliografii obejmuje około 86,000 liter, zatem o trzecią część jest większy od największych publikacji, to jest od Encyklopedyi i od Słownika Lindego; że zaś w obieg księgarski pójdzie tylko 400 egzemplarzy, z tych 300 sprzedanych pokryją zaledwie koszta druku, papieru i korekty, przeto nie tylko w tej publikacji nie może być mowy o zyskach dla komissyi bibliograficznej, ale co

więcej nawet po wyprzedazy wszystkich egzemplarzy nie byłyby powrócone ogromne koszta autora i koszta przepisywania do sześciu tysięcy arkuszy pisma, których atoli kosztów zwrotu zrzekł się autor bezwarunkowo.

— Olbrzymie dzieło Naglera „*Słownik artystów*” publikacja jeszcze w roku 1835 rozpoczęta, obecnie w nowej, uzupełnionej edycji wychodzi. Lipska firma Wilhelma Engelmana podjęła to trudne zadanie. Główny redaktor tego Słownika Dr. Juliusz Meyer, wezwał do współpracownictwa przeszło stu archeologów i historyków sztuki, wszystkich którzy się w Europie tą gałęzią badań zajmują. Oddział artystów polskich, i redakcją wszystkiego co się tyczy dzieł sztuki pięknych w dawnej Polsce, poruczono professorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie Dr. Łepkowskiemu. Na jego ręce mają być nadsyłane uzupełnienia i poprawki pierwotnego wydania Naglera; oraz żywoty, autobiografie artystów współczesnych polskich.

— We Wrocławiu, nakładem księgarni Görlicha i Kohna, wychodzą w tłumaczeniu niemieckim kazania Piotra Skargi.

— Na posiedzeniu oddziału archeologii i sztuk pięknych w Towarzystwie Naukowym Krakowskim d. 23 listopada odbytym, odczytano sprawozdanie Dra Żebrowskiego z czynności około rozkopania mogiły tatarskiej zwanéj, pod Przemyślem, i list p. Miszke budowniczego, téj sprawy dotyczący. W odpowiedzi na wezwanie oddziału do zaprojektowania medalu, dla nagrodzonych na wystawie przyrodniczo-lekarskiej, przosno do tego pp. Juliusza Kossaka i T. Żebrowskiego. Przesłane oddziałowi pismo z Magistratu do komitetu kościoła Panny Maryi, względem urządzenia rynien na zewnątrz ścianie tegoż kościoła, uchwalono przesłać konserwatorowi budowli pomnikowych. Następnie odczytano rozprawę bar. Edwarda Rastawieckiego pod tytułem: „*Języki Smocze—naczynia stołowe w średnich wiekach od otrucia*,” mieszczącą wiele szczegółów do historii trucizn i antidotów, z tą konkluzją, że w Polsce najmniej śladów z téj przykréj kategorii zostało.

— W Towarzystwie Naukowym Krakowskim, Dr. Franciszek Matejko docent bibliografii, brat rodzony słynnego malarza Jana, a współpracownik naszego pisma od wielu lat, czytał: „Rzecz o systemach bibliograficznych.” Przedmiot ważny dla ludzi wszelkich gałęzi. Z funduszu dla artystów austriackich, wyznaczonego na rok 1869 w summie 15,000 zlr., otrzymali stypendya: malarz krakowski Floryan Cynk i kompozytor muzyczny Stanisław Duniecki. Zapomogę zaś dano Zygmuntovi Sidorowiczowi, malarzowi ze Lwowa.

— Dary z całkownych wykopalisk zabytków pogańskich są dla nauki wielce przydatne. Komplety takie nader pożądane w muzeach. Ma je gabinet archeologiczny Uniwersytetu Jagiellońskiego, posiadając dobór ciekawych przedmiotów (z epoki kościanéj) z budowli na palach z *Czeszewa*; także grupy popielnic i innych wykopalisk z *Kotowa*, z *Malic*, z *Kujawek*, z *Majkowa*, z *Paprotni*, z pod *Pińczowa*, z pod *Wągrowa*, *Chruszczyny*, *Suwałk*, *Opatowa*, z *czer-*

skiego, z wieluńskiego, z sieradzkiego, z hrubieszowskiego (wiele), z ziemi dobrzyńskiej. Wszystko to prawie z Wielkiego Księstwa Poznańskiego i Królestwa, z Galicyi najmniej. Obecnie p. Kazimierz Kantak zbogacił muzeum uniwersyteckie znakomitym darem, bo przysłałaniem stu kilkunastu popielnic i naczyń grobowych, wykopanych w Dobieszewku w okolicy Nakła, gdzie jest słynne, a często opisywane cmentarzysko pogańskie, zajmujące około 200 morgów magdeburgskich. W miejscowości tej przez lat wiele robił poszukiwania sam pan Kantak; wybrał i zachował dla siebie naczynia co najwytworniejszych kształtów, popielnice najcenniejsze, zabytki ceramiki szczególne, bo począwszy od wielkich baniastych urn, aż do drobnouchnych (zaledwie po calu średnicy mających) symbolicznych zapewne naczynek, dzwoneczków, miseczek, kadzielnic, gruchawek i t. d. To wszystko darowane Uniwersytetowi Jagiellońskiemu, przysłano właśnie do Krakowa. Arcypiękny dar stawiający odrazu gabinet katedry archeologii na stopie nielada zamożności i w tej kategorii zabytków. Grupa z tej posyłki powstała, zyska osobne umieszczenie (w oddziale wykopalisk), pod imieniem dawcy—na liczbę przedstawione cmentarzysko dobieszewskie w 113 przedmiotach, które już profesor archeologii Dr. Józef Łepkowski w *Collegium jagellonicum* umieścił.

— Wyszedł nowy tom (z roku 1619) wielkiego dzieła *Acta publica (Verhandlungen und Correspondenzen der schlesischen Fürsten und Stände)*, wydawanego w Wrocławiu przez H. Palma, pod kierunkiem towarzystwa badaczy historii i starożytności szlązkich. Toż towarzystwo wydało właśnie pierwszą część siódmego tomu Regestów (*Codex diplomaticus Silesiae*); oraz dwa nowe zeszyty dziewiątego tomu swoich roczników. Roczniki i kodex redaguje Dr. Kolmar Grünhagen profesor uniwersytetu wrocławskiego. Wszystko to publikacje wielkiej wagi dla dziejów polskich. Z Polaków są członkami tego wrocławskiego towarzystwa: prof. Przyborowski, Żegota Pauli, prof. Nehring, Z. A. Helcel etc.

— Goethe w roku 1798, przesyłając swój rękopism opieczętowany, księgarzowi Vieveg w Brunświku, w liście swoim wyraził: „Posyłam rękopism opieczętowany, jeżeli p. Vieveg nie zechce zapłacić mi za niego 200 frydrychsdorów (1040 rsr.), to niech mi zechce zwrócić bez odpieczętowania.” Vieveg, bez namysłu złamał pieczęć i znalazł słynny poemat *Herman i Dorota*, który po mistrzowsku przełożył Antoni Czajkowski a nasze pismo je wydrukowało.



Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatorium Astronomiczném
WARSZAWSKIEM.
Listopad, 1869.

Listopad, 1869.

Dostrzeżenia Meteorologiczne

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich
 długość w czasie 1^h14^m45^s,7 czyli w łuku 18°41'25",5

W Obserwatorium Astronomiczném Warszawskiem.

Nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5",
 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany księżycy	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stustopniowy				
		6	10	4	10	średni	6	10	4	10	średni
		godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny
1		750.53	749.11	748.53	748.21	749.095	- 2 ^o .1	+ 0 ^o .8	+ 2 ^o .3	+ 2 ^o .5	+ 0 ^o .88
2	Rów.	749.33	750.45	750.32	750.32	749.190	+ 0.8	1.5	2.7	1.0	1.50
3	Perig.	734.56	732.64	739.91	729.91	732.283	5.1	6.9	7.7	5.3	6.23
4		735.41	735.98	734.18	734.18	733.465	0.4	2.3	3.6	1.9	2.05
5		725.47	726.36	731.97	737.24	730.260	2.3	2.1	2.7	0.8	1.98
6		740.51	739.31	733.16	729.45	735.608	- 2.5	- 0.4	- 0.1	3.3	0.08
7		736.22	739.44	741.00	745.27	741.233	+ 1.7	+ 3.1	+ 2.5	1.7	2.25
8		747.22	747.77	741.48	737.24	743.478	1.5	2.7	4.8	5.2	3.55
9		742.44	744.48	745.40	741.62	743.485	1.5	4.1	3.2	2.3	2.78
10		739.53	740.29	740.41	742.34	740.643	2.7	4.0	3.5	1.2	2.85
11		744.85	746.28	748.78	751.18	747.723	0.5	1.0	1.5	- 2.1	0.23
12		751.95	753.29	754.86	756.68	754.195	- 2.5	- 1.9	- 2.9	3.8	- 2.78
13		758.07	756.88	750.66	745.50	752.778	5.5	3.8	2.7	0.3	3.08
14	Apog.	737.45	737.11	741.67	743.15	739.845	0.1	+ 0.4	+ 1.4	+ 1.4	+ 0.78
15	Rów.	739.46	740.97	741.46	744.71	741.650	+ 2.7	4.5	4.2	3.8	3.80
16		752.25	754.25	757.21	759.37	755.770	1.5	2.1	1.4	1.0	1.50
17		761.88	762.69	762.86	763.62	762.763	- 0.4	- 0.2	0.4	- 1.1	- 0.33
18		763.92	764.22	764.57	763.56	764.168	0.9	0.9	- 1.1	0.9	0.95
19		759.82	758.40	754.55	753.10	756.468	0.0	+ 0.4	+ 2.1	+ 1.7	+ 1.05
20		750.39	749.95	749.08	749.42	749.710	+ 2.4	2.5	3.1	3.3	2.83
21		752.41	753.85	754.09	754.49	753.710	0.6	1.2	0.6	0.6	0.75
22		753.97	753.75	751.75	749.55	752.255	- 0.2	1.4	0.4	1.1	0.68
23		747.01	746.50	746.37	747.86	746.935	+ 0.8	2.5	4.2	1.2	2.18
24		749.31	749.96	750.16	749.98	749.853	- 0.4	1.7	4.6	3.1	2.25
25		747.88	747.03	743.72	741.80	745.108	+ 3.2	4.2	5.3	5.1	4.45
26		738.26	738.74	739.36	740.72	739.270	5.0	5.8	2.3	0.6	3.43
27		741.20	741.41	740.21	741.12	740.985	2.3	3.5	3.3	2.4	2.88
28		741.49	740.92	737.10	733.49	738.325	1.5	1.9	2.3	3.3	2.25
29	Rów.	733.07	735.49	737.48	740.02	736.565	2.3	1.9	1.2	0.6	1.50
30	Perig.	742.10	742.69	742.16	742.68	742.408	- 1.3	- 2.7	- 1.3	- 1.7	- 1.75
Śr.		745.599	746.007	745.599	745.358	745.641	+0 ^o .76	+1 ^o .75	+2 ^o .11	+1 ^o .48	+ 10.53

Wielkość średnia dzienne	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Ilość wody co do wysokości w milim.		Wysok. wody na Wiele.	
	6	10	4	10	6	10	4	10	dész-czu	śniegu	na m.	na p.
	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	godz. wiecz.	god. rano	god. rano	godz. w.	godz. w.				
81.0	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pd1.	PdZ2.	Z2.	Z2.	1.0	0.2	3	4
85.8	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	Z2.	Z1.	PdZ2.			3	3
84.0	poc. dész.	poc. dész.	poc. dész.	pochm.	PdZ2.	PdZ3.	Z3.	Z3.	19.5		3	7
87.3	napół pog.	napół pog.	pochm.	poc. dész.	Z1.	Z1.	Pd1.	PdW1.	1.7		4	t
91.0	pochm.	pochm.	pochm.	napół pog.	Z2.	Z1.	PnZ2.	PnZ1.	4.6	0.3	4	3
89.3	pogodny	pogodny	poc. śnieg	poc. dész.	PdZ1.	Pd1.	Pd2.	PdZ2.	5.5	3.0	4	1
87.8	pochm.	pochm.	pogodny	pochm.	Z3.	Z2.	Z1.	Z2.	1.7		4	0
81.3	pochm.	pogodny	pochm.	pochm.	Z1.	PnZ2.	Z4.	PdZ4.	4.5		3	11
87.8	napół pog.	pochm.	pochm.	poc. dész.	Z2.	Z2.	PdZ2.	PnW1.	6.4		4	0
89.0	pochm.	pochm.	poc. dész.	pochm.	Z2.	Z2.	PnZ2.	Z2.	4.9		4	3
80.5	pochm.	pochm.	pochm.	napół pog.	Z1.	Z1.	PnZ1.	Z1.	0.1		4	4
91.0	pochm.	pochm.	pogodny	pochm.	PnZ1.	Z1.	Pn1.	PnZ1.	0.2		4	10
93.0	pochm.	pochm.	poc. śnieg	pochm.	Z1.	Z2.	Z2.	Z2.	1.8		4	8
94.3	poc. śnieg	poc. śnieg	pochm.	pochm.	Z2.	Z2.	Z2.	PdZ1.	0.3	5.9	4	8
91.5	pochm.	poc. dész.	poc. dész.	pochm.	Z2.	Z1.	Z1.	PnZ1.	8.2		4	5
93.3	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnW1.	Pn1.	Pn1.	Pn1.			4	2
86.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnW1.	Pn1.	Pd1.	Pd1.			4	3
85.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	Z1.	Z1.	Z1.			4	4
92.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pd1.	PdZ1.	PdZ1.	Z1.			4	5
93.8	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	Z1.	PdZ1.	Z1.			5	1
92.0	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	Z1.	Z1.	PdZ1.			5	8
87.0	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pd1.	PdW1.	PdW1.	PdW1.			7	2
87.8	pochm.	pochm.	pogodny	pogodny	PdW1.	PdW1.	PdW1.	PdW1.	0.1		6	3
91.0	napół pog.	napół pog.	pogodny	napół pog.	PdW1.	PdW1.	PdW1.	PdW1.			5	7
96.0	pochm.	poc. dész.	poc. dész.	poc. dész.	W1.	W1.	W1.	PdW1.	3.4		4	12
85.8	pochm.	pochm.	pochm.	poc. dész.	Pd1.	Z1.	PdZ2.	Z2.	1.9	0.4	4	8
82.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdZ1.	PdW1.	PdZ1.	Z2.	3.3		4	8
84.3	pochm.	pochm.	pochm.	poc. dész.	Pd1.	Pd1.	PdW1.	W1.	1.1	0.1	4	5
87.0	pochm.	pochm.	pochm.	poc. dész.	Z1.	Z2.	Z2.	Z1.	3.4	0.5	4	2
80.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	Z1.	Pd1.	PdW1.	2.8		4	2
80.2									70.0	15.3	4	6,3

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	745.641	27	6.540
Najwyżej barometr dochodził d. 18 o g. 4 w.	764.57	28	2.931
Najniżej — — d. 5 o g. 6 rano	725.47	26	9.598
Średnia dzienna zmiana barometru	5.968		2.646
Największa dzienna zmiana barometru d. 13—14 o godz. 6 rano	20.62		9.141
Średnia wysokość barometru jest mniejsza o	4.927		2.184
od stanu normalnego z 43 lat poprzedzających	750.668	27	8.774
Średnia temperatura listopada wynosi	+ 19.53 C.	+	1.22 R.
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.16		1.73
Największa zmiana dzienna temperatury d. 11—12 o godz. 10 wiecz.	5.9		4.7
Średnia temperatura listopada jest większą o	0.28		0.22
od stanu normalnego z 43 lat poprzedzających	+ 1.25	+	1.00

Termometrograf wskazał: Maximum: +8° 3 C. = +6° 6 R d. 3 po pół.
Minimum: — 5.8 „ = — 4.6 „ d. 13 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 90,3 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 5,37 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejszą o 0,9 setnych od normalnej (31.1).

Ilość wody spadłej z deszczu co do wysokości wynosi 70,0 mil. czyli 31,03 lin. par., ze śniegu 15,3 mil. czyli 6,78 lin. par., razem wody z deszczu i śniegu 85,3 mil. czyli 37,81 lin. par., więcej o 44,5 mil. czyli 19,73 lin. par., od ilości wody jaka zwykle u nas w listopadzie spada (40,8 mil. czyli 18,08 lin. par.).

Dni pogodnych — napółpogodnych 5, pochmurnych 23.

— deszczu 17: (d. 1, 13, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 14, 15, 23, 25, 26, 27, 28 i 29).

— śniegu 11: (d. 1, 5, 6, 11, 12, 13, 14, 26, 28, 29 i 30).

— mgły 4: (d. 14, 18, 19 i 20).

— wichrów 4: (d. 3, 7 8 i 9) (Zach.).

Wiatr panujący zachodni.

Listopad b. r. był niepogodny, dżdżysty i śnieżny lecz dość ciepły. Średnia jego temperatura jest: 1,2 stop. R. o 0,2 stop. R. wyższa jak normalnie (1,0 stop. R.). Temperatura przez cały miesiąc wahała około zera chociaż po większej części nad niem się utrzymywała. Do najcieplejszych należą dni 15 i 25, do najchłodniejszych 12, 13 i ostatnie dni miesiąca. Największe ciepło dochodziło 6,6 stop. R. d. 3 po południu; największe zimno 4,6 stop. R. d. 13 rano. Największa zmiana dzienna temperatury 4,7 R. przypadła z dnia 11 na 12 w czasie pierwszej kwadry księżycy. Stan barometru przez cały miesiąc był niezwykle zmienny i w ogóle znacznie niższy jak zwykle. Największa zmiana dzienna barometru 9,14 lin. par. przypadła z d. 13 na 14 gdy księżyc był najdalej od ziemi. Deszcze i śnieg padały często i obficie. Dni deszczu było 17, a śniegu 11, pierwszych o 9, a drugich o 5 więcej jak zwykle. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był niepogodny, stosunek bowiem dni pogodnych, do napół pogodnych i pochmurnych w stanie normalnym jest jak: 3,0 : 6,2 : 20,8, gdy w b. m. stosunek ten jest jak 0 : 5 : 25. Wiatr panujący przeważnie zachodni.

D. 8 koło białe otaczało słońce, a d. 11 księżyc.

D. 8, 24 i 30 zauważano plamy drobne na tarczy słonecznej.

D. 9 srożył się w Królewcu orkan, w skutek którego większa część dolnego miasta powodzią dotkniętą została.

D. 12 i 13 w Grenobli dało się uczuć trzęsienie ziemi.

W nocy z d. 13 na 14 niezwykła burza srożyła się nad Wiedaem i jego okolicą.

D. 19 dość silne trzęsienie ziemi nawiedziło Grossgerau, zjawisko to powtarza się codziennie od kilku tygodni.

D. 25 silne trzęsienie ziemi uczuć się dało w Trius w Tyrolu.

D. 29 Wezuwiusz znowu zaczął wybuchać wielkimi massami dymu.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle..... stóp 4 cali 6,3 n. m. polsk.

Wysokość wody największa dochodziła d. 22..... stóp 7 „ 2 „ „

„ „ najmniejsza „ od d. 2..... stóp 3 „ 3 „ „

OPOWIADANIE PANA ERAZMA.

Pamiętam, ongi, z sercem pełnem nadziei, z duszą o młodzińczém pojmowaniu rzeczy, wstałem od ostatniego egzaminu, który kończył moje uniwersyteckie studia. Z ciasnych murów wybiegłem na świeże czerwcowe powietrze, a świat mi wydał się tak piękny, jakim go później raz tylko jeden jeszcze w życiu swoim widziałem. Otoczony kółkiem ukochanych kolegów, pokazywałem im z dumą swoje uznojone czoło, palce atramentem poplamione, zwoje papierów i ksiąg pod pachą, a oni mnie ściskali, podawali jeden drugiemu i winszowali serdecznie. Byłem szczęśliwy szczęściem, jakie daje ukończenie pracy, którą się wprzód za niepodobną prawie do dokonania uważało. Zdawało mi się, że wielki jak Tytan; że wszyscy tryumf mój ujrzeć powinni; że pochwały jakie na mnie spływały z ust moich mistrzów, po całym świecie rozlegną się wkrótce. Kłopotliwa myśl o przyszłości, straszne zapytanie, gdzie się teraz kroki moje obróca? nie przyszło psuć harmonii mego szczęścia; ono czekało, aż te wszystkie uczucia radosne ostygną powoli, aż zimny rozsądek powie: nie sztuka, żeś skończył nauki, dostałeś podstawę, teraz otworła ci się brama życia; pracuj, męcz się, żyj—a jeżeli wystrzelisz po nad tłum zwyczajny, wtedy dopiero może i inni spojrzą na ciebie. Tych słów zimnej rozważki nie czekałem wtedy, ale pod wpływem świeżo doznanej uciechy pośpieszyłem na swoje rodzinne Podlasie. Myślicie może, że strona kraju w którą się udałem, ponurością swoją zaćmi promienie szczęścia jakie igrały w około méj myśli? O nie, bynajmniej. Prawda, że so-

snowe bory téj okolicy, piaski obsiane rzadkiém zbożem, wolno sunące się po płaszczyźnie rzeki, nie uderzą cię pięknością swoją, nie zachwycają malowniczością i potęgą przyrody; ale cóż chcecie?, jam się w tym kącie urodził, ja po tych równych polach pierwsze wywracałem koziółki, po tém rzadkiém życie zbierałem bławatki z najpierwszém, rodzącém się w młodém sercu uczuciem, ja po tych borach uganiając się za sarną lub zającem słuchałem trąb myśliwskich grania. Góry Szwajcaryi uderzą swoją malowniczością, niebo włoskie natchnie rozkoszą, kręty Ren przypomni romantyzm rycerski; ale wszystkie te uczucia nie zastąpią jeszcze uroku, jaki dostarcza strona rodzinna. Dla mnie, na tém smutném, ponurém i zapadłém Podlasiu, każdy spotykany domek, każda dróżka, każda miedza i trawka nieomal, przywodzą rozmaite wspomnienia, a te, czysto ludzkiego pochodzenia zrozumiałej przemawiają do człowieka, aniżeli najwspanialsze dzieła natury.

Po przyjeździe do rodzinnego gniazda nie spałem, jak któryś z bohaterów *Metamorfoz Kraszewskiego*, z rzędu trzy dni całe, ale owszem, wbrew zwyczajom miejskim, zrywałem się o świcie i dzieliłem się szczęściem swoim z ukochanemi. Ojcu dopomagałem w jego rolnych pracach, matce związałem nici opowiadając jój tysiączne miejskie zdarzenia, z siostrami biegałem za kwieciami po łąkach, zbierałem jagody i grzyby. Ale w końcu, za ciasno mi się zrobiło w familijném kółku, uczułem potrzebę i innych rozrywek. Na Podlasiu, jak zapewne i wszędzie prawie na wsi, życie towarzyskie na bardzo niskim stoi stopniu. Biędne grunta obszernością wynagradzają małą żyzność swoją, ztąd téż i dworki szlacheckie są dosyć dalekie od siebie. Obywatele ziemianie, wodząc się za bary z biędą, zapominają o towarzyskich obowiązkach człowieka, a grzebiąc ciągle w ziemi, powoli z ukształconych nawet ludzi robią się surowemi hreczkosiejami, tém bardziej, że ukształcenie wielu jest bardzo problematyczne. Rodowość szlachecka, rozmaite dystynkcyje, wynikające z wielkości posiadanego majątku, względy na stosunki familijne i spokrewnienie ze znaczniejszymi domami istnieją tu jeszcze w całej swojej barbarzyńskiej sile i zacofaniu. Płatki, niby jakiś afrykański samum unoszą się w powietrzu i grożą każdemu krokowi twojemu. Panny, owe czarodziejki, sta-

nowiące ponętę, choćby podbiegunowej strefy, jedne milczące i skromne trusie, z szeroko rozwartemi oczyma witają człowieka przybyłego z „wielkiego” jak się wyrażają, świata; drugie posadzają cię o jakieś matrymonialne zamiary i pytają wprost: „czem pan będzie?” inne wreszcie zaufane w swój majątek, albo starożytność rodu, pół słówkami odpowiadają na twoje rozmowy. Darujcie mi współziemianie, że tak czarno przedstawiam wspólną nam wszystkim, rodziną okolicę; ale po cóż mam prawdę owijać w bawełnę, po co mam schlebiać temu, co może wy sami kiedyś, da Bóg, uznacie za wadę, która przebaczona kiedyś, dziś już stanowi ciężki grzech, w obec praw sumienia XIX wieku. Darujcie i wy, piękne Podlasianki, i przywieźcie sobie na pociechę to, że żadna reguła nie jest bez wyjątku. Może później ja sam wam takie wyjątki pokażę, a tymczasem bodajby wszystkie do nich się zaliczajcie.

Otóż z powodu takiego stanu stosunków towarzyskich, prędkobym znudził się w moim wiejskim wypoczynku, gdyby nie najbliższy sąsiad mojego ojca, pan Erazm Topolski. Był to już starzec sześćdziesięcioletni, ojciec mój chrzestny, przewodnik w myśliwstwie, a zarazem najszczerzy przyjaciel i towarzysz wszystkich moich dziecinnych i młodzieńczych figlów. Ojciec mój przy wieczornym pacierzu, dziękując Bogu za udzielone dary, zwykł był błogosławić niebo za to, że domowi jego udzieliło najzacniejszego przyjaciela i sąsiada. Rzeczywiście pan Erazm, był człowiekiem, którego jak to powiadają, choć przyłóż do rany. Stary już, a jednak rzeźki i żwawy, całe życie poświęcał gospodarstwu, polowaniu i usługom innych. Ze śmiertelnego zdaje się, jeszcze postanienia zerwałby się, żeby nieść pomoc bliźniemu, a na przyjacielską zabawę bodajby z łóżkiem nawet zanieśćby się kazał. Posiadacz niegdyś znacznego dosyć majątku, straciwszy żonę i podchowawszy dwie pozostałe córki, wydając je za mąż, podzielił pomiędzy nich swoją fortunę, a sam zostawił sobie tylko małe fundusik, za który kupił kilka włók gęstego lasu w sąsiedztwie mojego ojca. Tu prowadził życie takie jak kolonista w dziewiczych lasach Ameryki. Przywiązawszy do siebie kilku prostych ludzi, z nimi razem karczował swoją posiadłość, budował mieszkanie i polował na dzikie zwierza. W dziecinnych jeszcze la-

tach pamiętam gęsty bór sosnowy otaczający myśliwski jego domek, na miejscu którego dzisiaj pszenica swym kłosem bujno wyłacza pole. Powoli kolonijka jego stała się bardzo intratna, ale dochody z niej pan Erazm zwykł był wkładać napowrót w grunta, albo używać na zapomogi dla biednych i sąsiadów w krytyczniejszych chwilach. Jedynym zbytkiem jego było zaprowadzanie coraz nowych przyrządów myśliwskich, utrzymywanie chmary psów najrozmaitszych i majówki wyprawiane cztery razy do roku: dla córek pana Erazma, na jego imieniny i na cześć moich rodziców. Na wina, na przysmaki, na stroje nie wydawał zupełnie. Las otaczający go swoją zwierzyną, grzybami i jagodami zaopatrywał stół jego, stanowiąc tym sposobem dodatek do powszedniego chleba; woda z czystej krynicy w rznętym kunsztownie dzbanie, zastępowała wszystkie trunki, z wyjątkiem wódki, którą przyrządzoną w najrozmaitszy sposób, uważał pan Erazm za konieczną we wszystkich myśliwskich wyprawach. Strój jego był zawsze jeden i ten sam. Kafowa świta, skrojona na wzór sukmanek, noszonych przez lud tutejszy, obszyta na około zielonem suknem i grube juchtowe buty stanowiły strój jego codzienny. W święto, kafową świtę zamieniała siwa, a dla elegancyi na obszyciu zielonem, wzorzysto płatały się czarne sznureczki. Buty przy siwój świcie przyozdobiały się lakierowanemi sztylpami. W zimie takiejże długości kożuszek węgierski na codzien, a bekiesza siwem suknem kryta na święto. Ubiór ten prosty dziwnie pięknie odbijał i zgadzał się z całą postacią pana Erazma. Był on bowiem wzrostu wysokiego i usprawiedliwiał tém w zupełności swoje nazwisko. Barki szeroko rozrosłe znamionowały potężną siłę, siwe oczy świeciły pogodnie i pociągały ku sobie, a ogromny, sumiasty, siwy wąs, z żołnierska pokręcony w górę, dodawał powagi rumianej i czerstwej twarzy. Pan Erazm chętnie śpieszył z pomocą każdemu, ale znajomych, z któremiby się komunikował i utrzymywał stosunki, miał bardzo mało. Zapraszającym go wymawiał się zwykle starym swoim wiekiem i uważał sobie za jeden z artykułów wiary o pana nigdy nie zawadzać. Długie doświadczenie wyrobiło w nim praktyczny, tak nazwany chłopski rozum, który u niego w zupełności zastępował ukształcenie, na jakim panu Erazmowi zbywało. Z téj przyczyny

był on nieprzyjacielem książkowego rozumu i z góry wszelkie bibuły, jak się wyrażał o książkach, potępiał. Ojciec mój nie mało z nim gorących sporów stoczyć musiał, zanim pan Erazm zgodził się na oddanie mnie do gimnazjum, a później na uniwersytet; dobre dopiero moje w naukach postępy, a przytém zachowanie w pamięci tego, czego on mnie nauczył, gniew jego rozbroiły. Brak ukształcenia naukowego w panu Erazmie był posunięty do tego stopnia, że nawet bardzo często stawał on w opozycji z gramatyką nie chcąc nigdy, bodajby przekonany, zrobić jęj ustępstwa. Do najbardziej drażniących go rzeczy należało twierdzenie, że język polski w liczbie mnogiej czasu przeszłego, ma dwa zakończenia *li* i *ły*. On zawsze mówił: charty się podbili, baby mi żyto dożęli, bodaj cię kaczki zdeptali i t. d. A kiedyś mu zaprzeczył i chciał poprawić, wprawiało to go w gniew największy, w którym nie przebierał wcale pomiędzy argumentami, byleby się tylko przy swoim utrzymać. Pomimo tak niskiego wykształcenia swego, nie raził on niczem inném, oprócz niepoprawności języka, a powiedział nieraz tak do serca i myśli, że choćbyś i rok w książkach wertował, nicbyś podobnego nie znalazł. Ja oceniając całą jego moralną wartość, całą szlachetność uczuć i trafność poglądów, z żalem nieraz zawołałem: o czemuż on nie ma choć trochę nauki.

Pan Erazm był nietylko rodziców moich, ale i moim najszerszym przyjacielem. Podawszy mnie do chrztu św., odtąd mnie jak syna swego uważał. On pierwszy uczył mnie strzelać, pływać, jeździć konno, a nadto radami swojemi, przykładami i opowiadaniem rozwijał budzący się umysł. Skoro z wielkim żalem nas obu, ojciec mnie do szkół odesłał, pan Erazm zawsze mnie witał na wszystkie święta najpierwszy, bądźto przyjeżdżając po mnie, bądź oczekując przybycia mego gdzieś w środku drogi. Stosunek ojcowski z początku, zamieniał się z czasem na coraz więcej przyjacielski i kiedym już był w uniwersytecie, byliśmy z sobą jak dwaj bracia, jak dwaj rowieśnicy i koledzy. Nie było rzeczy, w którejbym się nie przyznał panu Erazmowi, a on nawzajem opowiadał mi wszystko, co tylko w sercu jego lub głowie powstało.

I on więc był dla mnie jakby jednym z członków rodziny, i on więcéj może, aniżeli wszystkie inne okoliczności, uprzyjemniał mi pobyt w rodzicielskim domu. Polowanie było główném naszym zajęciem, a rozmowy, śmiechy i żarty zabijały przyjemnie czas, ilekroć znużeni siedliśmy pod rozłożystym krzakiem leszczyny. Matka moja z trwogą patrzyła na myśliwskie nasze trudy i często prosiła Erazma, aby był litościwym dla mnie; ale widząc jak zdrowie moje prosperuje, jak jagody wyżółkłe nad egzaminową pracą powlekają się zdrowym rumieńcem, nie przeszkadzała już naszym wycieczkom.

Raz, w kilka tygodni po moim przyjeździe polowaliśmy na kaczki. Słońce już dochodziło środka nieba, a upał był nieznośny. Ledwie, ledwie poruszać już mogłem wiosłem, a pot kroplisty spływał mi z pod szerokiego słomianego kapelusza. Nic dziwnego, od godziny 7-éj rano zaczęliśmy swoją pracę, a 11 cyranek leżących w mojem czółnie było dowodem, że stary pan Erazm nie potrzebował się rumienić za swego ucznia. On sam teraz nie wiem gdzie się znajdował. Przed godziną rozjechaliśmy się dwoma ramionami rzeki i mieliśmy się zjechać na okrągłym jeziorku, do którego właśnie dobijałem. Bądź co bądź, postanowiłem tutaj polowanie zawiesić, z trudnością bowiem mogłem popychać czółno po szerokich liściach zielonego manistu. Ogar mój Trafisz, wywiesiwszy język, zaledwie już ciągnął się brzegiem po trzcinie, a Brylant, mały pudel używany do łowienia małych kaczek, chrapał wyciągnięty w czółnie, powiększając jeszcze tym sposobem ciężar dla mego ramienia. Wypłynąłem na jezioro. Jeden jego brzeg zarośnięty gęstym oczeretem i ocieniony karłowatą wikliną wabił mnie ku sobie. Przybiłem a wyniosłszy na ląd i myśliwskie przybory i łowieckie łupy, układałem się wygodnie pomiędzy oczeretem, na miękkim posłaniu, ubarwioném niezapominajkami i czerwoną smółką. Psy leżyły przy moich nogach. Cisza południowa przerywana tylko brzękiem polnych koników w trzcinie i pluskaniem wahającego się jeszcze czółna, balsamiczna woń wodnego kwiecia, chrapanie psów pomęczonych, wszystko to stanowiło piękne tło, na którem młodzieńczy umysł dziergać zaczął złotą tkanę rojeń. Pokazały się na niej i ponure mury uniwersyteckie i twarze mo-

ich kolegów, błysnęły także jakieś niebieskie oczy, ale za ich wejściem zaraz los zawistny rozpędził wszystkie uludy. Na prawo oczeret rozchyłać się i trzeszcząc począł, usłyszałem plusk wiosła i domyśliłem się że to mój towarzysz na miejsce schadzki podąża. Nie omyliłem się, bo wkrótce zabrzmiała ulubiona jego myśliwska piosenka:

Trąb pojezdnego, niechaj się schodzą,
Niech za kaczkami dłużej nie brodzą,
Siaki taki z buteleczki
Gul, gul, gul gorzałeczki, gorzałeczki....

a po chwili ukazał się i sam pan Erazm, czerwony jak rak od zmęczenia, z dubeltówką na plecach i pękiem kaczek przy torbie. Czółno szło rzeźko, widocznie w wytrwaniu nie zrównałem memu mistrzowi.

— Hop! hop!— zawołał wynurzywszy się ze trzciny.

— Jestem tu— odrzekłem trochę nie kontent ze starego, bo on mi miłe sny moje przerwał.

Za chwilę czółno dopłynęło. Psy pana Erazma zaczęły wyskakiwać na brzeg, a przybiegłszy do mnie rozpoczęły pełne radości granie, skacząc na moje piersi i liżąc po twarzy. Moje także nie okazały się leniwsze, a hałas i wrzawa rozdarły ciszę, którą tak przed chwilą podziwiałem.

— Ha! łacinniku!— zawołał wyskakując raźno z czółna pan Erazm— już leżysz jak baran! a widzisz! wiosło to nie pióro. Pi, pi!, dodał, ujrzawszy moje cyranki. Raz, dwa, trzy.... jednaście, jak Boga kocham, jednaście, a tylko sześć strzałów! Zuch jesteś, o to to lubię! to lepsze aniżeli libyś sto wokabułów łacińskich się nauczył.

Uśmiechnąłem się widząc jego uciechę, a może i duma moja połechtana została, dlatego dobrze już zupełnie usposobiony, zapytałem:

— A wasza zdobycz jaka, ojczy?— tak zwykle nazywałem starego.

— No, moja!— odrzekł jakby urażony. U mnie półtora mędla cyranek, a i temu szelmie nie darowałem, to mówiąc podniósł za skrzydło olbrzymiego bąka.

— Za cóż na niego taka zawziętość— zapytałem. A cóż zrobicie ojczy na rok przyszyły, po czemu żyto sprzedacie,

jeżeli głos jego nie będzie się już odzywał na tutejszych błotach?

— El babskie gadania — zawołał machnąwszy ręką pan Erazm. Właśnie zeszłej jesieni *orząłem* się fatalnie z jego przyczyny. Opanował mnie Szmul koniecznie, aby mu żyto sprzedać, a ja niewiedząc dobrze w swoich pustkach cen zboża, zacząłem rozpytywać się o nie starój mojej Pietruchy. Baba mi, dawaj pleść, że słyszała jakoby bąk po pięć razy się odzywał, zkąd wniosek, że żyto ni mniej ni więcej tylko po pięć złotych ćwierć. Śmiałem się z baby, ale kiedy wieczorem ta szelma znowu pięć razy huknęła, pomyślałem sobie, ha! to spróbuję i na drugi dzień wal po trzy ruble żyto żydowi. Szczęściem, że mu tylko pięć korcy sprzedałem, bo później za resztę po pięć rubli mi zapłacono. Ale od téj chwili postanowiłem uśmiercić tego przeklętego łgarza i oto go mam w swéj łapie.

— To wyście mściwy, jak uważam, ojczu — wyrzekłem mimowoli.

— A cóż ty chcesz, żebym pozwolił sobie grać po nosie i to jeszcze takiéj bezdusznój bestyi? *Ne doczekanije joho*. Pan Erazm miał zwyczaj przeplatać mowę swoją ruskiemi przysłowiami i zwrotami, używanemi przez lud tutejszy.

— Czy i złudźmi tak samo postępujecie?

— Z ludźmi? o nie; nie zawsze.... i zamyślił się stary.... Ot wiesz có, dodał po chwili, ponieważ oba pomordowani jesteśmy, ponieważ odpocząć trzeba, a spać na takiéj wilgotnój roli nie zdrowo, to ci opowiem jeden ustęp z mojej młodości. Ty nie wiesz, jaki ja byłem za młodu, pewno nie taki bibuła, jak ty ze swoją łacińską mądrością, a chociaż ty tam już teraz może z za stosów szpargałów nie zrozumiesz co to młode serce, jednak ja tobie chętniej, aniżeli komu innemu to wszystko rozpowiem. Ale najprzód kropniem jałowcówki, przegryziem kiełbasą i zakurzymy lulki. To mówiąc dobył z torby oplecioną mosiężną fiaszkę, przechylił ją do ust, a skrzywiwszy się potężnie, wyrzekł:

— Oto mi kordyał!, jak oliwa po płucach się sunie. Ktoby myślał, że to niewiem jakie specyały, a to tylko prosta gorzała, jałowcowe i jarząbkowe jagody. Choćby suchotników tém leczyć.

To mówiąc podał mi flaszkę, a jakkolwiek ja nie znałem tych wychwalonych zalet, to jednak pociągnąwszy haust porządny, wygłodzony, rzuciłem się chciwie na wędzoną kielbasę. Posiłek nasz trwał krótko, bo był bardzo gwałtowny. Po chwili zapaliliśmy krótkie fajeczki, a układszy się wygodnie na torbach i dawszy psom po kawałku chleba, byliśmy już zupełnie gotowi, ja do słuchania, on do opowiadania. Opowiadanie to daję wam czytelnicy. O ile możliwości starałem się sposób wyrażania się pana Erazma zachować, pominąłem tylko językowe jego błędy i wprowadziłem większy porządek, na który opowiadacz nie bardzo jakoś zważał.

Urodziłem się nie tutaj, gdzie ty, wyrzawszy na świat mnieś zastał; ale het, het ku wschodowi, za Bugiem, w stronie, którą wy Polesiem zowiecie. Wyśmiewacie wy i Polesie i Poleszków, ale „daleko kuciomu do zajcia”. U nas jak piasek to w kolano, jak bór to istotna ciemnica, a jak bagno, to nie takie jak u was, co je chłop dobrze się rozpedziwszy przeskoczyć może, ale i milę i więcej się ciągnie. Tamto dopiero zwierzyny, tam knieje i stepy, tam ptastwa wszelkiego chimary. Do domku moich rodziców przytykało takie samo bagno, a na niem wiszary, oczerety, jak puszcza jaka, a w nich wieczna muzyka i wieczne granie. Mógłbym nawet z największą w świecie pewnością twierdzić, że pierwszym głosem jaki się do ucha mego dostał, był głos rybitwy, albo cyranki. Rodzice moi byli już dosyć starzy, a wszyscy moi starsi bracia i siostry, których niezła poręca była, wczesnie zwykle kończyli życie jeszcze w pieluchach. Ztąd téż i z mego przyjścia na świat, jak opowiadała mi stara Horpyna nie wielka była pociecha, bo rodzice straciwszy już nadzieję w miłosierdziu Boskiem, byli pewni, że i ja dla nich tylko nowém zmartwieniem będę. Ztądto matka moja wiecznie płakała nademną, a ojciec poważny, mało mówny i surowy, rzadko do mnie zaglądał. Ależ widać Bóg już ulitował się jakoś, bo oto rostem czerstwo i zdrowo i prędko paplać zacząłem, a z czworaków już twardo i na nogi się podnosiłem. Co tam wtedy się ze mną działo, jakie prowa-

dzikiem życie, czym był płaksą czy potulny jak baranek, tego ja nie pamiętam i dlatego bająć ci o tém nie chcę. Z dzieciennych moich wspomnień nasuwa mi się tylko poważny ojciec, który do mnie nawet nie zagadał, nigdy się ze mną nie popieścił i którego ja bałem się jak ognia, oraz poczciwa, czuła i serdeczna matka, która rozpływała się nademną i wszystko: szybkę z okna, kafel z polewanego pieca, nawet gwiazdkę z nieba byłaby dała dla swojego Razia. Z osób odwiedzających zielony nasz domek, pamiętam moich chrzestnych rodziców Łukasza i Petronellę Zawadzkich, którzy regularnie co miesiąc przyjeżdżali do nas i wtedy zwykle ojciec mój stawał się weselszy, ożywiał się, rozinawiał, ja mniej go się bałem i zwykle w takich razach, porzuciwszy chłopców wiejskich, z któremim się za łby wodził, wkraczałem śmiało na pokoje i wobec ojca repetowałem łakocie, jakimi mnie obdarzała chrzestna moja matka. Zawadzkich również rzadko odwiedzali moi rodzice, i tak ciągle czas płynął równie i jednostajnie. Ja jednak byłem szczęśliwy, bo nie przypuszczałem, żeby było gdzie więcej światła, jak do tych lasów, do których oko moje dobiegało. Zabiedbywany przez ojca, pieszczony przez matkę, po całych dniach uganiałem się z wiejskimi dziećmi, wdrapywałem się na drzewa, brnąłem po bagnach i drewnianą szablą ścinałem makówki w matczynym ogrodzie. Ale raptem przerwała się moja swoboda, skończyłem bowiem lat 9 i ojciec mnie do elementarza zapędził. Już to wiesz o tém dobrze, że zawsze unikam bibuły, a widać że to sam Pan Bóg takim być mi kazał, bo i wtedy, jakkolwiek nie rozumiałem dobrze co to jest takiego, ale zawsze owe czarne kulasy na białym papierze, dziwne we mnie przestrach budziły. Ojciec, Panie tam świeć nad jego duszą, nie chciał uwzględnić téj mojej natury i zawezwał do pomocy różgę. Pamiętam, nieraz zsieczony tak żem siedzieć nie mógł, klęczałem przed zasmolonymi kartami mego elementarza, powtarzając za zagniewanym ojcem litery. Matka, nie mogąc się dostać do nas, bo ojciec zwykle drzwi na klucz zamykał, to zaglądając oknem, to stukając we drzwi upraszała o wypuszczenie Razia, ale zwykle napróżno. Na takiéj męce zeszedł rok cały. Ojciec mój wysechł i wyżółkł ze zmartwienia i gniewu, matce czarne koła otoczyły oczy

a jam się tylko siedmiu pierwszych liter nauczył. Sam nie wiem czy już taki byłem zakuty, czy taki był jakiś wyraźny dopust boży, dosyć że gdym tylko wziął do ręki elementarz, taki dziwny zawrót opanowywał moją biedną głowę, że wtedy nietylko litery, ale nawet ani ojca, ani matki, ani siebie nazwaćbym po imieniu nie potrafił. Po roku ojciec przyszedł do przekonania, że nic mi sam nie poradzi i za namową matki sprowadził do mnie syna organisty. Ten syn organisty, Jakób mu było na imię, był erudyt, jak to tam wy nazywacie, nielada. Nie tylko polskie ale i łacińskie czytywał książki, z ojcem swoim uczenie w chórze śpiewywał i umiał prawić takie oracye, że i mój ojciec bywało i pan Zawadzki pokręca głową i powiedzą półgłosem, oto ma bestya olęj w głowie! Jakób sprowadziwszy się do nas, pomiędzy innemi rekwizytami przywiózł i dyscyplinę surowcową i ta mnie nie pomału przestraszała, alem zawsze mniej go się bał, aniżeli ojca. Z nim téż nauka szła mi jako tako. Wkrótce syllabizować począłem, a w końcu roku już biegle i przed ojcem i przed panem Zawadzkiem z elementarza czytałem:

„Rano wstawszy, uczynź znak krzyża świętego i t. d.

Im dalej, tém lepiej. Po kilku miesiącach umiałem już expedyte całą *ministranturę*, a nie upłynęło nawet całe dwa lata od pobytu u nas pana Jakóba, jak uradzono żeby mnie do szkół oddać do Prużany. Przyszedł wyznaczony termin, któregom się lękał i cieszył nim razem, i spłakany, rozżalony wsiadłem z ojcem na dryndulkę i po raz pierwszy w życiu opuściłem dom rodzicielski. Jakem się gapił na wszystko, zajechawszy do wielkiego miasta, jakem czerwieniął i blednął przed księdzem rektorem; jakem później beczał, rozstając się z ojcem, tego nie potrzebuję ci opowiadać, bo i ty przechodziłeś przez takie koleje. Prędko się jednak obnudziłem. Wesołe kółko rówienników zatarło żal po rodzicielskim domu i w Prużanie zrobiło mi się znowu tak dobrze, jak bywało kiedyś w domu, pókim jeszcze utrapionego elementarza nie zaznał. Prawda, że często odsiadywałem kozę, że co tydzień prawie spadała na mnie ciężka ręka szkolnego stróża, ale za to, kto piłką rzuca najcelniej? — ja; kto z żydami zwyciężkie toczy boje? — ja;

kto zdobywa śniegowe fortece? — znowu ja i zawsze ja. Razio został bohaterem w oczach kolegów, ale urwisem z pod ciemnej gwiazdy w opinii nauczycieli. Naturalnie że cenzura była bardzo zła i basy mnie od rodzica w domu spotkały, ale to nic nie pomogło. Ojciec mnie bił, nauczyciele bili, dyrektor okładał, a jednak ja ciągle złe przywoziłem cenzury. Obmierzła mi szkoła; straciły urok koleżeńskie zabawy; wszędzie tylko widziałem wiszący nad sobą bizun i czułem stęchłą bibułę pod nosem. Ilekroć zobaczyłem się z matką, opowiadałem jej moje męczarnie, prosiłem na klęczkach, żeby mnie z tego piekła wyrwano; ona się zwykle spłakała, przyrzekła wstawić się u ojca, ale wstawienie to skutku nie odnosiło. Upłynęło lat sześć, a ja jeszcze z drugiej klasy wygrzebać się nie mogłem. Pamiętam, skończyłem wtedy lat 18 i na dorodnego zakrawałem chłopaka, a wąsik mi nawet pod nosem wykluwać się począł. Przyjechałem na wakacje do domu. Ojciec siedział w gaunczku i zoczywszy mnie, groźnym zawołał głosem:

— Promocya jest?!

Nic nie odpowiedziałem, bo promocyi nie było. Ojciec chwycił się oburącz za głowę, przeszedł się po gaunczku, a stanąwszy przedemną, wyrzekł już spokojniéj:

— Chciałem, żebyś się uczył, żebyś wyszedł na człowieka; trudno: nie uczyłeś się, to teraz św... paść będziesz.

— Ach! będę, będę je paść całe życie, przyrzekam że nigdy ich w szkodę nie puszcze, tylko mnie z tej szkoły wyswobódź ojcie! Tak pomyślałem, ale wyrzec tego nie miałem odwagi.

Ojciec popatrzył się na mnie i poszedł do stajni.

Od tej chwili zaszła nowa zmiana w mojem życiu. Przybyły Zawadzki z ojcem mym odbył walną naradę, której koniec słyszałem przeze drzwi. Ojciec mój chrzestny zakonkludował, że wypada mnie na gospodarza obrócić.

— Widoczny to palec Boży dla ciebie—mówił do mego ojca. Bóg zabrał ci wszystkie dziatki, ale na końcu dał ci chłopaka, który czerstwo i dorodnie się chowa, a że tam książkowa mądrość głowy się jego nie czepia, to już to mniejsza o to. Widać nie sądzono mu być ani filozofem, ani literatem, a tylko gospodarzem. I tu widoczna łaska

Boża — ciągnął dalej — bo i komużbyś swoją chudobę na starość powierzył, gdyby syn twój dłużył po księgach, albo nawet rewerendę księżą nałożył?

— Jednak i gospodarzowi przydałaby się także odrobina nauki — wtrącił mój ojciec.

— I, pluń Wojciechu na to — ozwał, posuwając się z krzesłem Zawadzki. I myśmy przecież nie bardzo przecuczeni, a gospodarka idzie nam niezgorzdej. Wierzaj mi: gospodarz z książki, a wilk uczony — to jeden djabeł. Jak ten do lasa, tak tamten do księgi ciągle ze świata. Zboże gnije, gnój wysycha, chłopstwo się buntuje, a on czyta i czyta.

Na takie jasne dowodzenie, nic ojciec mój nie wyrzekł, tylko wstał i kuma swego ucałował i jeszcze coś do siebie adali, ale dla mnie już i tego dosyć było. Wybiegłem z domu, puściłem się cwałem po dziedzińcu, przesadziłem jednym krokiem płot wysoki i oparłem się aż na brzegu bagienka. Radość to mnie i wewnętrzna, niewypowiedziana uciecha tak pędziły. Zaśpiewałem, zagwizdałem i w górę skakać zacząłem; wreszcie złożyłem garść, sformowałem z wielkiego palca swego olbrzymią figę i nią w stronę Prużany zmierzyłem. Było to pożegnanie ofiarowane szkole, księdzu rektorowi i ciężkiej stróżowskiej ręce.

Przy tych słowach pan Erazm się podniósł, spojrzął dokoła okiem pełnym zadowolenia, a golnąwszy świeży łyk jałowcówki i nabiwszy fajkę na nowo, opowiadał dalej:

— Tak więc pocziwy mój chrzestny ojciec, oswobodził mnie od nienawistnej bibuły. Zrobił dla mnie to, za co mu wdzięczny dotąd zostałem, i za co do dnia dzisiejszego w rocznicę jego śmierci zakupuję solenne exekwie, aby łaskę Bożą dla zacnej jego duszy ubłagać. Od jego bytności zmieniło się zupełnie nieszczęśliwe życie moje. Ojciec stał się łaskawszy, widocznie pogodził się już z losem, przestał marzyć o tém, abym został uczonym, a natomiast wziął się do zrobienia ze mnie tegiego gospodarza. Zapędzał mnie nieraz do ciężkiej i prostej roboty; uczył powodować sochą, machać cepem i kosą, nawet żąć i bronować. Robót tych nie wykonywałem po dniach całych i nie stawałem do nich dlatego, żeby robotnika oszczędzić, ale żeby nauczyć się

wszystkiego i później roboty dopilnować potrafić. Z gospodarką szło mi inaczej, jak z książką. Bruzda wyprowadzona moją ręką, szła prosto jak strzełił; ziarno przezemie rozsiane, rozleciało się równiutko, jakby je baby palcami sadyły; pokos mój był równy i czysty. Wszystko to cieszyło ojca i jego czoło zmarszczone rozpogadzało się powoli, a nawet czasem pochwałą mnie zachęcił i łaskawem spojrział okiem. Matka, widząc mnie szczęśliwym, wesołym i zdrowym, odżyła także, i zaczęliśmy powoli coraz ciaśniej łączyć się z sobą i używać słodkich uczuć rodzinnego szczęścia. Pierwszy rok mojej praktyki gospodarskiej nie obszedł się jeszcze bez częstych połajañ ze strony ojca, który w największy gniew wpadał głównie z tego powodu, kiedy czasem koło godziny piątej rano zastał mnie jeszcze śpiącego. Porywał mnie wtedy za kark, wyciągał z łóżka i długie *pater noster* mi prawił. Ja, stuliwszy uszy, słuchołem cicho i pokornie, i wieczorem, stosownie do porady matki, modliłem się gorąco do Matki Najświętszej, aby mi na drugi dzień zaspąć nie pozwoliła.

Modły te zapewne sprawiły, żem prędko się tej głównej wady pozbył i już na drugie lato nigdy mnie ranne świtanie nie zastało w łóżku. Ojciec jeszcze łagodniejszym się zrobił, a kiedy w jesieni korzystna sprzedaż żyta w dobry go humor wprawiła, podarował mi czteroletniego kasztanka z całym porządkiem do wierzchu. Dar ten ucieszył mnie wielce. Dzielny ten koń bowiem był pierwszą rzeczą, którą swoją nazwać mogłem i ojciec nadto, sam tęgi jeździec, wyuczał mnie rozmaitych sztuk kawalerskich, i temperował zbytni mój ronkor do konia. W następnym roku dostałem strzelbę *Lepazówkę*, później parę ogarów z psiarni poradziwiłowskiej: wyżła, tułubek węgierski i tak dalej i dalej. Jam gospodarował, ojciec mnie chwalił, często uściskał i pobłogosławił, a główny zarząd fortuną ojcowską coraz bardziej w moje ręce przechodził. Ojciec często i zaspął, i w dzień się czasem zdrzymnął i w upał w chłodku posiedział, a ja dumny wyciecznikiem, jaki mu dać mogę, dzięki składałem w duszy Zawadzkiemu, który wyciągnąwszy mnie ze szkół, wszystkich uszczęśliwił.

Ach! święte to czasy były i święta ta ustronń poleska! W okół sosnowe bory, w dali świecące piaski i szumiące ocze-

rety, a ja pomiędzy t \acute{e} m wszystki \acute{e} m uwijam si \acute{e} na moim kasztanie, z flint \acute{a} na ramieniu, pogoda czy s \acute{l} ota, upa \acute{l} czy mrozy, wytrwa \acute{l} y na g \acute{l} o \acute{d} , niezmordowany najci \acute{e} ższ \acute{a} prac \acute{a} , niby ten kr \acute{o} l niezwy \acute{c} ie \acute{z} ony w bajdzie star \acute{e} j Horpyny. Dzi \acute{s} , w nodze reumatyzm łupie, w uchu strzyka, w krzy \acute{z} u łamie, a w g \acute{l} owie jak w dyabelskim m \acute{l} ynie ko \acute{l} uje. Nie tak to by \acute{l} o, nie tak, kiedy \acute{m} pami \acute{e} tam, po kilku latach swojej gospodarskiej praktyki, 2 czerwca sko \acute{n} czy \acute{l} lat 24. Nie chc \acute{e} g \acute{o} bie ubli \acute{z} ac, i ty \acute{s} t \acute{e} gi ch \acute{l} opak, i tybys \acute{g} g $\acute{l$ ow \acute{e} nie jedn \acute{e} j zawr \acute{o} ci \acute{l} dziewczynie, ale gdzie ci mierzy \acute{c} zemn \acute{a} . Ty \acute{s} b \acute{l} ady i bia \acute{l} y jak panienka, ja by \acute{l} em w \acute{o} wczas ogorza \acute{l} y i rumiany jak \acute{e} wik \acute{l} a; ty \acute{s} wiotki i przewiezisty jak trzcina, u mnie pier \acute{s} jak ława, a kark cho \acute{c} jarzmo nak \acute{l} adaj. Dodaj do tego, panie, w \acute{a} s czarny w g \acute{o} r \acute{e} , oko ogniste i \acute{s} mia \acute{l} e, czupryn \acute{e} ostrzy \acute{z} on \acute{a} kr \acute{o} tko, a nie tak jak u ciebie gdzie \acute{s} na wiatr rozrzucone w \acute{l} osiska, a b \acute{e} dziesz mia \acute{l} ch \acute{l} opca jak malowanie.

Takim ja by \acute{l} em, a wiedzia \acute{l} em o t \acute{e} m, bo pocziwa matczyisko nie umia \acute{l} a utai \acute{c} uciechy, skoro wpatrzy \acute{l} a si \acute{e} we mnie i uj \acute{a} wszy mnie zwyk \acute{l} e za szyj \acute{e} , ca \acute{l} owa \acute{l} a w bia \acute{l} e czo \acute{l} o, kt \acute{o} re jedyne od opalenia pod czapk \acute{a} si \acute{e} zachowa \acute{l} o, i m \acute{o} wi \acute{l} a:

— Pi \acute{e} kny jeste \acute{s} m \acute{o} j Raziu, czasby ju \acute{z} ciebie ludziom pokaza \acute{c} . Czy ci nie t \acute{e} s \acute{k} no do \acute{s} wiata?

Ja odpowiada \acute{l} em ni sio, ni to, bo ja sam nie wiedzia \acute{l} em co o tym \acute{s} wiecie i o ludziach \acute{z} yj \acute{a} cych na nim my \acute{s} le \acute{c} . Opr \acute{o} cz Pru \acute{z} any i wsi gdzie by \acute{l} nasz parafialny ko \acute{s} cio \acute{l} ek, ja wi \acute{e} c \acute{e} j nigdzie nie by \acute{l} em, a opr \acute{o} cz nauczycieli, koleg \acute{o} w i poddanych mojego ojca, ja wi \acute{e} c \acute{e} j ludzi nie zna \acute{l} em. Ojciec i matka byli dla mnie dobrzy, ale wszak to rodzice; nauczyciele katowali mnie, bili, mo $\acute{z$ e i inni tak robi \acute{a} , i ja ba \acute{l} em si \acute{e} \acute{s} wiata. To znowu so \acute{l} tys \acute{o} wna Nastka, spotka \acute{l} a mnie id \acute{a} c z sierpem w r \acute{e} ku. Wpatrzy \acute{l} a si \acute{e} we mnie czar-nemi jak w \acute{e} gle oczyma i za \acute{s} piewa \acute{l} a:

„O m \acute{o} j panyczu, sercie moje,
Oj chorosze \acute{n} ko dorohojel
Oj, jak bi \acute{l} aja by \acute{l} y no \acute{n} ka,
Oj jak czerwona ko \acute{l} yno \acute{n} ka'...”

Mnie rumieniec na twarz wyst \acute{a} pi \acute{l} , a ona wyszczerzy \acute{l} a swoje drobne z \acute{a} bki:

— Oj paniczu, mówiła, jedźcie wy w świat, tam do białych dworów, za czarne lasy, a tam zobaczycie panienki jak krew z mlekiem, a one wam swój wianeczek podadzą i obejmą wypieszczonemi rączkami te ramiona, które teraz ciężka fuzya obrywa...

Ja spałem kasztana, on dał szczupaka, soltysówna zaśmiała się głośno, a ja chętkę do tego świata uczułem.

Tak pomiędzy chętką a strachem wahałem się długo i kto wie, czybym się na jaki krok stanowczy zdecydował gdyby nie wyraźna wola mojego ojca. Ojczysko pocziwie od pewnego czasu niedomagał jakoś, skarżył się na głowę, to na ból w piersiach i do gospodarstwa rzadko już bardzo zaglądał. Raz jakoś w połowie sierpnia wypadło święto. Ojciec wybrał się ze mną obejrzeć świeżo zżęte kopy. Skorośmy obeszli poli, usiedli pod cieniem rozłożystej gruszy, ojciec zażywszy tabaki, zwolna się ozwał:

— Nie mam co w papier obwijać, mój Raziu, że tego gospodarujesz i żeś wart méj pochwały, bo i żyto wcześniej zżąłeś i umiejętnie je poukładałeś w kopy, a widzę i ugór popodrzcucany i stożki poustawiane zgrabnie. Gorliwości, chęci do pracy i starunku zaprzeczyć ci nie można, to też Bóg błogosławi twoim usiłowaniom i urodzaj i powodzenie w miarę nam daje; ale to jeszcze nie wszystko mój synu. Dziś ty mnie tylko wyręczasz, a matczyńsko stare kołatać się musi po kuchni i spiżarni, czas już i jój wypoczynek zapewnić.

W pierwszej chwili myślałem, że nie dość sumiennie wypełniał, co do mnie należało i oświadczyłem natychmiast ojcu, że nie tylko kuchnię i spiżarnię, ale także oborę i piwnicę, ja biorę na siebie.

Uśmiechnął się mój stary i wolno się ozwał:

— Oceniam twoją gotowość i chęć ulżenia nam starym, aleś mnie nie zrozumiał mój synu. Ja ci chciałem tylko to powiedzieć, że jak ja byłem w twoim wieku, tom już był mężem twojej matki i ojcem nieboszczyka Andrzeja.

Jeszcze nie rozumiałem o co chodzi, bo widziałem niepodobieństwo wypełnienia tego, co ojciec w moim wieku zrobił. Jakżebym ja mógł być mężem mojej matki i ojcem nieboszczyka Andrzeja? Wybałuszyłem na rodzica zadziwione oczy.

— A, już téż słusznie robili ci, którzy tobie promocyi dawać nie chcieli—ciągnął zgryźliwym już głosem ojciec— bo taki z przeproszeniem niedołęga jesteś; ja ci chciałem powiedzieć, że kiedym ja w tym wieku był ojcem, to i tobie już czas się ożenić.

— Ożenić? — powtórzyłem, a wyraz ten sprawił na mnie takie wrażenie, jakby mnie kto pałką zamalował po za uszy. Nie pochodziło to ze strachu, bo ja o czémś podobném już nie raz myślałem, ale teraz przy tym wyrazie, przyszło mi na myśl, że żona odrazu nie stanie się żoną, ale najprzód będzie panną. Żony, gdybym ją miał, nie bałbym się wcale, bo tak samobym się przyzwyczaił do niój, jak do ojca, do matki, do starój Horpyny, lub furmana Wasyla; ale panny jam tylko widywał w kościele, z daleka, widywałem tam także, jak się koło nich młode kręcili chłopcy, jak je podsaźdzali do bryczek, i kiedym zapytywał siebie czy jabym tak potrafił, to mnie dreszcz zimny od pięt do pasa przechodził. Nie bałem się Nastki, Pałaski, Makryny, które do nas na robotę przychodziły; ale skorom zobaczył pannę w kapeluszu strojną i białą, tom zawsze oczy spuszczał i czuł, że tracę kontenans.

— Żenić? — powtórzyłem znowu — dobrze; ale jak, gdzie i z kim?

— W tém już moja głowa—wyrzekł wolno mój ojciec — a powiedzieć ci muszę wszystko dokładnie. Rodzice twoi chrzestni Zawadzcy, mają jeszcze przy sobie jedną córkę, która w sześć lat przyszła na świat po twojém urodzeniu. Dziś jest panną dorosłą. Uczciwa, nabożna, potulna, a miła jak przylepeczka. Ja od lat już kilkunastu prosiłem jój ojca o nią za żonę dla ciebie i przyrzeczenie dostałem; ale nie myśl, żebym ciebie miał niém krępować, owszem, ani jój ani tobie nie wspominaliśmy o tém, bo czekaliśmy póki dorosnięcie i poznanie się sami. Ja tylko, ponieważ bardzo sobie tego związku życzyłem, nie wozilem cię nigdzie, żebyś się wcześniój w jakiej innój nie zadurzył dziewczynie; oni także z sobą córki do nas nie brali, bo trudnoż jechać z panną tam, gdzie kawaler w domu siedzi. Teraz rzeczy stoją inaczej. Tyś już dorosły i nieszpety wcale mężczyzna, gospodarz tęgii, a z łaski Boga i nie nędzarz żaden; poznaj

ją, przyjrzyj się, a może spełnią się zupełnie życzenia rodziców.

To mówiąc, przyciągnął mnie ku sobie i ucałował w głowę; ja na ręce jego złożyłem serdeczny całus, ale sam nie wiedziałem, czy się tém wszystkiem cieszyć, czy martwić. Ojciec mi już nic więcej nie mówił, tylko wstał i poszliśmy z wolna do domu.

W domu zaraz pobiegłem do matki i całą rozmowę z ojcem powtórzyłem, dołączając zarazem wszystkie moje obawy, których przed ojcem odkryć się bałem. Matka wiedziała także o wszystkiem, śmiać się ze mnie zaczęła, dodała mi odwagi, opisała piękność i wszystkie przymioty Elżuni, (tak się zwała panna Zawadzka) i zakończyła temi słowami.

— Mój Raziu, boisz się panien, a to one ciebie bać się powinny, bo ręczę, że choćby królowna na ciebie spojrzała, to jużby o kim innym myśleć nie mogła.

Wszystko to zagrzało moją fantazyę, obudziło zaufanie w siebie i postanowiłem spełnić życzenie moich rodziców. Za dni kilka w sobotę miałem wyruszyć do Koszelówki, gdzie mieszkali Zawadzy. Zanim termin ten nadszedł, dziwnie niespokojny byłem. Po nocach śniła mi się Elżunia ciągle piękna, ciągle udatna, a zawsze inna. Raz miała oczy czarne jak sołtysówna Nastka, raz białe długie kosy i niebieskie oczy, jak panna Zuzanna siostrzenica naszego proboszcza; to była mała i drobna jak ptaszątko, to rosła i smagła jak trzcina, ale zawsze mi się ładną wydawała. Po każdym śnie prosiłem Boga, żebym inną mojej Elżuni nie znalazł, a jak mi za następnem zmrużeniem oczu pokazywała się zmienioną, jeszcze mi się wydawała piękniejszą, aniżeli poprzednia. Tak było w nocy. We dnie znowu myślałem nad tém, żeby wszystko do wyjazdu przysposobić elegancko, żebym odrazu przez oczy w serduszko dziewczynie zajechał. Wybierałem się naturalnie nie inaczej jak konno, siodło więc polakierowałem świeżo, strzemiona napuściłem olejem, cały rządek czyściłem i zdobiłem bez końca. Kasztanowi zaplotłem w warkoczyki grzywę i co dzień myć go mydłem kazałem. Furman nasz Wasyl, robiąc to wszystko, nie pomału musiał być zaciekawionym, bo razu jednego zapytał:

— *I deż to panycz tak poide?*

— Do Koszelówki—powiedziałem — a tyś tam jeździł już nieraz, to mi rozpowiesz drogę.

Wasył dawał mi najszczegółowszą marszrutę, wyliczając każdy zakręt drogi, każdy lasek i brodek, a na końcu dodał:

— Jak panicz będzie jechał przez Krasne, to niech panicz wstąpi do dworu i obejdzie naokoło pałac. Z wiorstę drogi tylko się nadłoży, ale zato co się napatrzy, to się napatrzy. Co tam za bogactwa, za cudności, to chyba już i w Warszawie nic więcej nie zobaczy.

— Ale tam mieszkają hrabstwo Reklewscy; jakżeż ja mogę przed ich dom zajeżdżać?—zapytałem.

— I nie, paniczu: jasny graf i grafini pojechali gdzieś za morze, do ciepłych wód i panicz tam może swobodnie się napatrzeć.

Ta wiadomość udzielona przez Wasyla, była mi bardzo na rękę, za pierwszym bowiem w świat wyruszeniem, mogłem zobaczyć, jak to i hrabiowie mieszkają.

Przyszła wreszcie oczekiwana sobota. Koń wyczyszczony, wymyty, z ufryzowaną grzywą, w świecący rzed przybrany, czekał już w stajni. Potrzeba było teraz samemu panu przybrać się uczciwie. Już dawno myślałem nad tém, a matka i stara Horpyna udzieliły także swojej pomocy. Koszula jak śnieg biała, z mocno wykrochmalonemi kołnierzykami, leżała od rana na mojem łóżku, obok niej kamizelka atłasowa, nieużywana dotąd, w żółte i czerwone na czarném tle kwiaty. Buty węgierskie z lakierowanemi sztylpami, jasno tabaczkowy surdut i czerwone na szyi wiązanie, dopełniały stroju, który mi się wydał królewskim. Prawda, że matka utrzymywała iż lepiejby było na szyję wziąć czarną a nie czerwoną chustkę, ale to był pomysł mojej inwencji i żadną miarą rozstać się z nim nie mogłem. Pisarz prowentowy przyjeżdżając do naszego parafialnego kościoła, nosił taki sam krawat i bardzo mu było do twarzy.

Skorom wszedł tak przystrojony do pokoju, aby śniadaniem na drogę siły pokrzepić, spojrzeli się na mnie wszyscy. Matka uśmiechnęła się radośnie, ojciec trochę się zmarszczył, ale nic nie rzekł. Horpyna podała mi wyprasowaną i w pierożek złożoną chustkę fularową, a ja, roztrząsłszy ją

z fantazją, schowałem do tylnej kieszeni surduta, wystawiając misternie na wierzch, niby od niechcenia, dwa niebieskie jej końce.

Po śniadaniu, po pożegnaniu rodziców i domowników, wsiadłem na konia wzięwszy z rąk Wasyla cugle i kozacką pletnię i kopnąłem się lekkim truchcikiem. Słońce już trochę przygrzewać zaczęło, mój kasztan niepokoił się i kręcił jakoś, a mnie serce dygotało z wewnętrznego niepokoju. W głowie miałem szum jakiś, w oczach mi się kręciło, a oddech w piersi się zapierał. Było to zapewne wrażenie, wynikłe z pierwszej wyprawy w świat, z przypomnienia celu tej wyprawy; ale powoli jakoś to przechodzić zaczęło. Skoki i szczupaki rezolutnego kasztana przywołały mnie do przytomności, poprawiłem się w siodle, skrobnałem nahajem po ziobrze niesfornego podjezdka i zanuciłem wesoło:

„Oczki czarny, browy czarny,
Łyczko jak krow z mołokom...”

Czy to się miało odnosić do mojej Elzuni, ja sam nie wiedziałem, ale później przekonałem się dowodnie, że to było szczególniejsze przecucie. Upaliłem półtoręj mili i zupełnie mi się już rażno zrobiło. Dojeżdżałem właśnie do Krasnego, o którym mi tyle opowiadał Wasyl. Postanowiłem skorzystać z jego rady i zwróciłem z drogi, którą jechałem, w wysadzoną różnemi drzewami ulicę, prowadzącą do jakiegoś zabudowania o czerwonym dachu. Przypatrywałem się tymczasem drzewom, póki nie zobaczę czegoś innego, a i drzewa jakieś osobliwsze były. Ni to lipy, ni to topole, ale coś podobnego do nich; tylko że pomiędzy liśćmi przeglądały szyszki, czy jagody białe. Nawróciłem konia chcąc im się przypatrzeć, ale wtém rzuciłem okiem w koniec ulicy, i dziwne jakieś zjawisko mnie uderzyło. Na pięknym, karym, z białą gwiazdką na czole koniu, jechała jakaś pani czarno ubrana. Nie widziałem nigdy kobiety jeżdżącój konno, nie pojmowałem, żeby można było siedzieć inaczej na siodle, jak ja siedziałem i dla tego zostałem zdziwiony, a nawet przestraszony tym widokiem. Chciałem w pierwszej chwili zwrócić konia i drapnąć, ale już było między nami odległości zaledwie dziesięć kroków. Zdobyć się na czyn tak stanow-

czy już nie miałem czasu, jechałem więc przed siebie, a jechałem jak na ścięcie. Za ową panią jechał pan jakiś ze złotem na kołnierzu i czapce, a na butach jego nie były lakierowane jak u mnie, ale jakieś z czerwonej skóry, sztylpy. I ja i oni jechaliśmy stępa i zbliżaliśmy się wolno ku sobie. Teraz mogłem już dokładnie przypatrzeć się pani. Była ona bardzo młoda i bardzo piękna. Biała jak śnieg, jak mleko, jak kołnierzyk, który szeroko rozpostarty odbijał na czarnej sukni, przytrzymywany świecącą złotą spinką. Duże, rozwarne, czarne oczy utkwiała we mnie, a czarne warkocze wymykały się z pod maleńkiego z piórem kapelusika. Wysoka i smągła, w pasie przewięzista jak osa, była ona tak piękna, że ja... zgłupiałem zupełnie. Zapomniałem o swoim kasztanie, zapomniałem o cuglach, które trzymałem w ręku, i tylko patrzyłem w nią jak w tęczę, chociaż czarne jej oczy kłuły mnie i paliły jakoś. Ot co tu długo gadać, puściła odrazu jakiś tuman na mnie.

Uśmiechnąłem się mimo woli na to proste wytłumaczenie doznanego wrażenia, ale spojrzawszy na pana Erazma, ujrzałem twarz jego rozplómienną, oczy pełne młodzieńczego ognia, opowiadanie jego zainteresowało mnie jeszcze bardziej. Spodziewałem się tu jakiegoś stanowczego w życiu jego faktu i wytyczyłem ucho ciekawie.

— Boże mój, Boże! — ciągnął on dalej, westchnąwszy — tyle lat już upłynęło, a jeszcze krew ta sama! I dziś gdybym ją taką spotkał, pomimo sześćdziesiątki na plecach, pomimo chłodu starości, jeszczebym tak samo zleciał z konia, jak wtedy zleciałem.

— Toście z konia zlecieli, ojcze? — zapytałem — a to przyznam się dziwny sposób okazania sentymentu swego.

— Zleciałem, bom jak ci mówił, zgłupiałem zupełnie i nie wiedziałem na którym jestem świecie. Kasztan mój, zoczywszy towarzyszków, nabrał fantazyi, zadarł łeb w górę, a nie czując w pysku mundsztuka, który ja mu swobodnie puściłem, zaczął się puszyć i bokiem posuwać. Wszedł na mostek, w mostku przy boku była dziura; on w nią obie przednie nogi wsadził i ja grzmotnąłem łbem w most, aż drzewo zadudniało. Co się później stało, nie wiem zupełnie, bom utracił ze szczętem w skutek uderzenia, przytomność. Kiedy mi ro-

zum wracać począł, uczułem coś bardzo pachnącego pod nosem, ale oczy jeszcze rozklejać się nie chciały. Pierwszą myślą która mi wtedy po głowie przeszła, było żądanie ujrzenia jeszcze raz tój pani. Zkąd to żądanie, czém ono było dla mnie? chyba ty odpowiedź mędrku, coś tyle ksiąg przewertował, ja jestem na to zupełnie głupi... Spełniło się jednak to, czego tak pragnął, bo skorom oczy otworzył, ujrzałem ją klęczącą nademną. Zapachy jakie powonienie moje uderzały, wychodziły z małej niebieskiej trzymanej przez nią koło mego nosa fiaszeczki. Oczy jój czarne znowu się po mojej twarzy ślizgały, a prawa, maleńka, miękka, aksamitna rączka dotykała mego karku, podtrzymując stłuczoną głowę. Rączkę tę czułem raz jak chłodny kwiatek liliowy, to znowu jakby gorącą rozpaloną szynę żelaza i od tój chwili zapomniałem o oczach, a zacząłem myśleć jedynie o rączce. Zrobiło mi się dziwnie jakoś dobrze i błogo i znowu straciłem przytomność, a musiał długo trwać ten mój stan uspienia, bo skorom się obudził po raz drugi, już nie leżałem jak poprzednio na ziemi, już nie było na szyi mojej owęj rączki, ale siedział przy mnie pan ozłocony i oba jechaliśmy w szerokim powozie. Podniosłem głowę, bom się naprzód przestraszył tēm, że jój nie masz, rzuciłem naokoło oczyma, wjeżdżaliśmy przed jakiś pałac, pomiędzy klomby ustawione z wazonów. Za powozem zobaczyłem ją, jadącą znowu na tym samym karym koniu, a oczy jój z wyrazem jakiegóś dobroci spoczywały na mnie. Uspokoiłem się, ale na krótko. Pan siedzący koło mnie coś gadał, ale ja nie rozumiałem, a strach jakiś zdjął mnie całego. Chciałem uciekać i wziąłem się rękami za drzwiczki powozu, ale powóz zatrzymał się przed gankiem. Pani na koniu podjechała do drzwiczek i wyrzekła wolno:

— Nie wiem kto pan jesteś, ale wypadek pański kazał mi pośpieszyć mu z pomocą. Z rozbitą głową nie możesz odbywać dalej podróży i dlatego musisz przyjąć gościńkę w moim domu, którą ci z serca ofiaruję.

Strach, wstyd, niepokój jakiś owładnęły moją duszę, a instynkt zachowawczy znowu mi uciekać kazał. Na grzeszne słowa nic odpowiedzieć nie umiałem, tylko protestując niejako temu, co mi powiedziano, zawołałem:

— Nieprawda, ja nie mam rozbitéj głowy!...

Ona uśmiechnęła się lekko i wyrzekła: gorączka, a zsiadłszy z konia po podaném krześle, odpowiedziała coś złoconemu panu, koło którego już kilku innych kręciło się takich, weszła na ganek i znikła za szerokimi drzwiami.

Do mnie się wzięli pozostali i jeden za rękę, drugi za nogi, trzeci w pół, podnosić mnie i ciągnąć zaczęli. Chciałem się bronić, szczerze pragnąłem którego z nich ucześnie pięścią, ale czułem że to nie wypada i poddałem się cierpliwości. Wyjęli mnie z powozu i na ganek nieśli, a mnie się zdało, że mnie już diabli żywcem do piekła prowadzą.

(Dokończenie nastąpi).



E. CARO O HEINEM.

NĘDZE BOGA XIX^o WIEKU.

I.

Było to w roku 1820, gdy Henryk Heine nazwał się bogiem z łaski Hegla, lubo w dość liczнім towarzystwie. W owym czasie w Niemczech, znalazła się potężna liczba kandydatów boskości. Lecz co lepiej, czy zostać po prostu człowiekiem, czy też bogiem, jeżeli osiągnięcie boskości nie ochrania ziemskiego boga od żadnej z żądz, i to mimo olimpijskich marzeń? To właśnie zadawałem sobie pytanie czytając *Korrespondencję Heinego*. Czytelnicy niech odpowiedzą za mnie.

Przypominam sobie jakby to było wczora—uczucie jakiego doznałem w chwili poznania tego nadzwyczajnego umysłu, tego największego Francuza z pośród jego współrodaków, posługując się naszym zarozumiałem wyrażeniem, najdowcipniejszego pomiędzy Niemcami.

Wrażenie to było zdziwieniem, było olśnieniem i jakimś niepokojem zagadkowym. W jego to listach o *Francyi*, *Niemczech*, w *Lutecyi* objawiła się ta świetna werwa, ta ostra finezya, jakoteż ironia, która chwilami przypominała Woltera swobodą, lekkością zwrotu, uskrzydłonym i dowcipnym wdziękiem (niby osy attyckiej lub paryzkiej) nareszcie humor, fantazyja i jakiś dźwięk smutku, w którym przebija szyderstwo sceptyka. Objawił mi się Wolter humorysta, czasem smutny i czuły aż do liryzmu. Wrażenie to podwójne i sprzeczne zwiększyło się jeszcze, gdy się zapoznał bliżej z poetą *Księgi pieśni* i *Reisebilder*, gdzie w pełnym blasku wybuchają jego kaprysy i napaście, jego szyderstwa rozpaczliwe, intuicye najwznioślejsze, i wszystkie namiętności ludzkie zmieszane z natchnieniem. Zacząłem pojnować zagadkę tej dziwnej osobistości, gdzie najsprzeczniejsze żywioły złączyły się, ażeby uwydatnić w jednej i tej samej fizyognomii rysy przeciwne sobie, to jest poetą podszytego sceptykiem, umysł po-

zbawiony złudzeń, nie zwodzący siebie i nie dający się uwieść, często nawet cyniczny, zlewający się z liryzmem, który w chwili porywu i wielkiego uniesienia, dosięga najwznioslejszych szczytów, przewyższa Szillera, dorównywa Getemu: poznałem nareszcie mimo wszystkich tych sprzeczności, pewną szczerotę charakteru, sprowadzającą je w jedną zasadę, w harmonią żywą, którejby sztuka sama nigdy nie dosięgła, bo taką dosięga tylko natura, ten najwyższy artysta.

Właśnie te sprzeczności i zagadka jaką one zdają się wysnuwać, nęcą wyobraźnię w niezwykły sposób. Nazwiska Bayrona i A. Musseta Alfreda, nasuwają się mimowoli na myśl, ilekroć się obserwuje sąwidoczne, jest przecie między temi trzema poetami różnice są widoczne, jest przecie między temi trzema poetami pewne tajemnicze powinowactwo, zbliżające ich ku sobie mimo najrozmaitszych położeń, mimo wręcz przeciwnego sposobu życia, zwyczajów i moralnego klimatu w którym żył z nich każdy. Wszyscy trzej mają ten przywilej: zwracania uwagi niepokojąc. Żaden inny poeta naszego wieku, nie miał tego daru pobudzania i żywej sympatii i ciekawości namiętnej. Zналиśmy może wyższe umysły, ale nie było ani jednego, któryby w tymże stopniu zwać się mógł: „wybrańcem imaginacyi.”

Można to wytłumaczyć. Geniusze albowiem spokojne i uporządkowane w piękności plastycznej sztuki, wielkie umysły jak Gete, używając w pełni dzielnego zdrowia umysłowego i równowagi moralnej, narzucają się naszemu uwielbieniu z za wysoka. Życie ich nawet zdaje się dziełem sztuki, które stwarzają i porządkują sami, poddając je prawom piękna i estetycznego rozumu. Objawiają się nam jak pół-bogi, obojętni lub wyżsi nad nędze natury ludzkiej. Bywa to czasem czystym tylko złudzeniem perspektywicznym, ale jest ono powszechnem i wstrzymuje ciekawość wyobraźni, zwracającej się chętniej do tego co lubo bardziej oddalone od doskonałości estetycznej, jest jednak nie regularniejsze a więcej ludzkie. Wyobraźnia rzuca się na oślep ku takim umysłom jak jest Heinego, ku tym talentom niespokojnym i sceptycznym, natężeniom niepewnym, i cierpieniom rzeczywistym, wyższym pod pewnemi względami od ogółu ludzkości, ale głęboko ludzkim właśnie swą ruchliwością i przeciwieństwem. Chciałoby się koniecznie poznać tajemnicę tych dusz, tajemnicę ich pochodzenia, chciałoby się pochwycić to serce w najgłębszych jego tajnikach, wtedy gdy się odzywa rozzdzierającym krzykiem, drgającym głosem jeszcze w śmiechu. Dlatego to czytelnicy *Reisebilder* otworzą skwapliwie dzieła pośmiertne Heinego. Dwa tomy zawierają *Korrespondencje niewydane* od roku 1820—1843, dwa drugie p. t. „*O wszystkim po troszę i o Anglii*” zbiorem są utworów humorystycznych i fragmentów krytyki literackiej, rozsianych poprzednio po kilku felietonach niemieckich, dziś już oddawna zapomnianych. *Korrespondencje* przełożono na język francuzki, starannie i pieczołowicie.

Azeby czytać skwapliwie *Korrespondencyę*, dość było doznać ostrego przedsmaku, jakiego używa ironiczna liryka Heinego. Już potem nie można być obojętnym dla poety. Lecz wiele osób, z trudnością przewycięży przykrość uczucia przy czytaniu tych listów aż nadto wziętych z życia, czyli jak mówią, aż nadto realistycznych. Pierwsze wrażenie jest smutnym. Trzeba się naj-samprzód rozczarować, gdy się poznaje codzienną troskę poety, opisaną przez niego przerażająco-naturalnie. Nie są to bowiem troski ideowe; jeżeli się te ukazały tu i owdzie, to znikają natychmiast w chaosie różnorodnych ale bardzo rzeczywistych interesów, jako: w kłopotach pieniężnych, w trudności utrzymania się w naprężonej walce, będącej wynikiem obrażonej srogo miłości własnej.

Przypatrzmy się tu obrazowi domowemu wburzonego życiem sumienia poety, obrazowi odstręczającemu nagością. Szczęśliwy ten poeta, który maluje pięknie portret swój dla potomności i który się jej wskazuje w tej tylko pozycji, jakiej sobie życzył. Tutaj, jak wszędzie, oddalenie nie szkodzi efektowi, gdyż perspektywa dobrze obrana, idealizuje. Gete zrozumiał to doskonale, dawszy tytuł swym pamiętnikom: *Poezya i Prawda* (Dichtung und Wahrheit). *Prawda* niezawodna, ale pokazana w odległości, z punktu widzenia jaki sam nazначzył, a nacechowana urokiem sztuki, umiejącej wybierać i nakładać. Jestto prawda jego życie, ale nie ścisła i naga rzeczywistość. I u Heinego znajduje się odcień zatytułowany: *Wyznanie poety*, będący rozdziałem życia jego lekko uidealizowanego, a który porównany z *korrespondencyą* za-nadto szczerą, nie oświeconą promieniem kolorytu, odsłania rzeczywistość zbyt zamgloną. A przecie, mimoto i tak jak jest, *korrespondencya* ta ma wielką w oczach naszych wartość. Oświeca bowiem życie i serce poety w najdalszych zakątkach, i jeżeli wszystko co się tam ujrzy nie jest tem czego by się życzyło, to zyskuje się przynajmniej korzyść, czasem bardzo niemiłą, że nie było tu kłamstwa, że go być nie mogło.

Na nieszczęście, wydana *Korrespondencya* zaczyna się zapóźno, a kończy się zawczasie. Zaczyna od roku 1820, w którym poeta miał lat dwadzieścia jeden, a kończy w 1843, czyli 13 lat przed jego śmiercią. Otehłan tę obiecują wydawcy zapelnie kiedys, gdy pozbiierają liczne świadectwa tego peryodu zapełnionego najstraszliwszemi cierpieniami, a zarazem kilkoma najwznieślijszemi natchnieniami poety. Na pierwszych lat dwadzieścia, mamy jedyne źródło w pamiętnikach poety pisanych przez niego samego, a których rękopism posiada rodzina. Tam dopiéro, gdy będą wydane pamiętniki, będzie można pochwycić na pewno pierwsze początki, pierwotne porywy tej oryginalnej natury, jakoteż naj-skrytsze motywa i najlżejsze zaczątki namiętności, wybujałych później w taką lawę, rozlewającą się z łomotem, roztrzaskującą w gruzy i ruiny. Lecz i dzisiaj z pomocą *Korrespondencyi*, można odgadnąć czy przeczuć, pierwsze doświadczenia tego życia oddane-

go straszliwym hazardom, bez kierownictwa stałego, bez innej przeciwwagi moralnej jak tylko: duszy ruchliwej, i podnieconej wrażliwości poetycznej.

Pominąwszy zaczarowane godziny i boskie rokosze sztuki, które są zawsze najpyszniejszym wynagrodzeniem najsmutniejszej doli, życie Heinego było nieszczęśliwem, było walką między przesądem rodziny i rasy, błakaniem długi czas po Niemczech aż do przyjazdu do Paryża, gdzie go czekała choroba, zostawiająca mu przed ostatniem, śmiertelnem uderzeniem, kilka zaledwie lat spokoju.

Korrespondencya ukazuje go nam w uniwersytecie gettyngskim, komponującego tragedye romantyczne: *Almansora* i *Ratcliffa*, uczęszczającego niebale na kursa prawne, napół pogniewanego z rodziną, która chciała żeby wszedł na drogę handlową. Idąc śladem jego listów, towarzyszyć mu trzeba po różnych przystankach, gdzie go naprzemian wodziła ruchliwość jego nadziei i kapryśność jego gniewów, to w Berlinie lub w Luneburgu w ubogim domu ojca, to znowu w Hamburgu, gdzie mieszkała część jego familii, a mianowicie stryj jego Salomon Heine, sławny bankier, tak często przeklinany i czczony w *Korrespondencyi*, stosownie do tego czy mu przysyłał zasiłek pieniężny, lub czy go odmawiał. Kilka wycieczek do kąpeli morskich i do małej wyspy na północy, Helgolandu, usiłowania nadaremne zaaklimatyzowania się w stolicy Niemiec katolickich w Monachium, jakoteż wycieczki do Włoch i do Londynu, dowodzą usposobienia niespokojnego poety, i szczególnej trudności osiedlenia się gdziebądź, aż do dnia w którym gwałtowność jego pożałowania godnej polemiki z hr. Platenem, uczyniła prawie niemożliwym, pobyt jego w ojczyźnie niemieckiej.

Odtąd żył w Paryżu, gdzie mieszkał przez ostatnich lat 25 swego życia, z wyjątkiem kilku miesięcy podróży po Niemczech, w roku 1843.

Podróż tę odbył w napadzie tęsknoty za krajem, choroby nieuleczonej — jak powiada — która *poczęła burzyć w jego sercu*. Lecz jeszcze bardziej nieuleczoną chorobą wzrosła w jego sercu, była nienawiść literacka. Nią natchniony, napisał z okazji tej podróży, satyrę najgwałtowniejszą ze wszystkich, znaną jako *Opowiadanie nocy zimowej*, która oburzyła do reszty przeciw niemu opinię publiczną w Niemczech, zamykając mu na zawsze nadzieję powrotu do kraju.

Od tego też zamachu nie opuścił Francyi. Lecz już teraz zgnębiła go straszliwa choroba, nie dająca mu odpoczynku, a w której jedynie poeta mógł leczyć człowieka. Przepyszne strofy jednak, wytryskiwały z pośród tych okropnych męczarni. Przykuty boleścią do fotelu, otoczony rzadkimi przyjaciółmi, odwiedzany przez kilku współrodaków, lękających się zawsze nielitościwej jego ironii, unosił się wyobraźnią aż do tytanicznej bezbożności, wybuchającej krzykiem nienawiści buntu, to znowu do najwyższych na-

tohnien pełnych niezwyčajnej oryginalności w kraje zaczarowane legend, zkąd wywoływał typy bohaterów i dawnych bogów, a podczas wywoływania potęgą sztuki, zapominał cierpień.

Umierał z wolna, w pośród podziwu raczej, aniżeli powszechnej sympatii. A i ten podziw jeszcze dziwnego był rodzaju, bo w ciasnych zaledwie granicach, poza któremi Henryk Heine był prawie nieznanym, w kraju adoptowanym przez siebie. Nie był nigdy popularnym, nawet w Paryżu, gdzie tylko literaci, *dyletanci* ducha i poezyi, czytali ohoiwie każdy utwór umknięty jego konaniu. A przecież jakichże nie uczynił poeta usiłowań dla utrwalenia sławy swęj we Francyi! Przejął się wieloma naszymi ideami i gustami, naszym językiem którym władał niepospolicie i z wdziękiem. Mimo to pozostał obcym pośród nas. Głosy wzruszone i dyskretnie kilku przyjaciół wyborowych, pozostałych wiernymi jego pamięci tak jak mu byli wiernymi za życia, głośniejsze pochwały kilku krytyków nie mogły zastąpić téj wrzaskliwej sławy, tak miłej uszom poety. Nie mylił się w tym względzie Heine, ztąd zapewne pochodzą jego okrutne psoty i świetne inwektywy przeciw kilku z naszych najpopularniejszych pisarzy. Śmierć jego zaszła w roku 1856, śmierć największego poety wieku, zaledwie wywarła wrażenie w salonach i kółkach literackich, lecz nie była żadnym faktem na bulwarach paryzkich, których czar niezdrowy i szal opisał tak żywo. Trumna, która niosła na cmentarz Montmartre zwłoki tak rzadkiego człowieka, posuwała się naprzód w pośród obojętnego tłumu. niesprawiedliwe to zapomnienie, ale straszliwa expijacya przesadzonej próżności i potężnego talentu, rozproszanego, wyczerpanego drobnymi namiętaostkami!

W peryodzie dwudziestu trzech lat objętych *Korrespondencyą* a w którego granicach trzymać się chcemy, możemy łatwo pochwyć z rozmów codziennych poety z przyjaciółmi i wydawcami, dwa lub trzy rysy charakterystyczne tego życia, które nam pomogą w zrozumieniu poruszeń i kierunków nadanych talentowi, a któreby inaczej pozostały zagadką.

Zdaje się, że Heine odgadł użytek, jaki zrobią kiedyś z jego wyznań, że się więc miał na baczności przeciw komentarzom krytyki: „Jedna rzecz zraniłaby mnie najboleśniej—pisze do swego przyjaciela Immermana w 1823 r., to jest gdyby chciało objaśniać ducha mych poezyi z historyi ich autora. Czulem się śmiertelnie obrażony, czytając list, gdzie jeden z mych znajomych, z pomocą kilku historyek pobieranych tu i owdzie, odbudować chciał naturę mą poetyczną, rzucając między innymi takie frazesy: *Wrażenia życia, stanowisko polityczne, religia...* etc. Jakkolwiek łatwem jest z życia poety stworzyć komentarz do jego dzieł i dowieść, że często stanowisk polityczne, religia, nienawiści prywatne, przesady i okoliczności różnego rodzaju oddziały na jego poezję, to jednak są to szczegóły, o których się za życia pisarza nie wspomina. Odbiera się przez to świeżość i kwiat poezyi, zdziera się z niej zasłone

tajemniczą, gdy się wskazuje realność wpływów, a jeżeli taka wy-cieniowana exegeza fałszywą jest, wówczas oszpeca się samą poezycę.”

Krytyka nie może zatrzymać się przed tą protestacją. Kiedy trzyma w swych rękach niektóre z przyczyn, nadające poecie piętno szczególne i akcent osobisty, wówczas nie może powodując się przesadzonym skrupulem, pozbawić się szacownych objaśnień. Nadto Henryk Heine potrzebuje tyle przebaczenia, że na takiej robocie krytyki tylko zyskać może. Wytłumaczyć jego uniesienia, gwałtowność, popędy szalone, znaczy w pewnej mierze to samo co uniewinnienie, a przynajmniej, w pewnych wypadkach bardzo ważnych, znaczy to: obronę okoliczności łagodzących. Tyle jego satyr dyszy taką nienawiścią i szaloną zemstą, że trudno by je przyszło zrozumieć, gdyby się nie pamiętało pewnych okoliczności z życia poety, i przesilen w tej wątłej organizacyi, podczas których choroba nerwowa służyła mu za natchnienie.

We wszystkich prawie jego listach, widoczne cierpienie fizyczne, a często przestraszające nadmiarem. Czasem pragnął śmiać się z nich, ale jakież ten śmiech bolesny! „Bardzo cierpiełem podczas tej strasznej ultra zimy, podczas której każdy człek liberalny i uczciwy chorował, teraz po miesiącu pijawek, baniek, aptekarzy i współczujących przyjaciół, znowu mam się lepiej. Plułem mocno krwią, a ponieważ wiem o tém z historii literatury, co fakt taki u rymotwórców znaczy, więc byłem bardzo niespokojny, a w nieśmiertelnej mej obawie zakazałem sobie surowo wszelkiego uczucia poetycznego, a co gorzej jeszcze, wszelkiej roboty poetycznej. Więc z poezycą koniec, lecz za to spodziewam się dłużej jeszcze żyć w prozie.” (List z 27 lutego do p. de Varnhagena). W roku 1823, mając zaledwie lat 24, pisał: „Oby mi Bóg tylko użył zdrowia, o resztę sam się postaram.” Jestto na jego marnieć, krzyk Ajaxa:

„Boże, udziel nam światła i walcz przeciw nam!”

Światło, czyli zdrowie, nie wróciło nigdy poecie. W każdym liście śledzimy postęp choroby, która się zakorzeniła coraz bardziej w nerwach, a w pewnych dniach, wstrząsała niemi okropnie. Wiele rozdzierających krzyków w tych listach, których odgłos dochodzi do nas. Taki stan chorobliwy, chroniczny i naprężony, mógłby znieść tylko bohater lub święty. Czyż można się dziwić, że tak wielkie cierpienie zmniejszyło umiarkowanie człowieka, który nie wiele dbał o sławę bohatera, a tém mniej świętego?! Werwa poetyczna łącząc się ze wszystkimi naraz demonami, tańczyła w tym biednym mózgu, oszalałym z bólu. Inny demon, wicherzący okrutnie w życiu jego, był ten, z którego Grecy zrobili smutną boginię, nazwaną *Penia*, ubóstwo. Tak ruchliwemu umysłowi, wiecznie wzburzonemu świeżą namiętnością, psującą jakby

z rozrywki wszelkie stosunki, nie się powieść nie mogło. Próbował kilku powołań zawsze miękko i niestale. Zakosztował wszystkiego potrosze: prawa, advokatury, redakcyi kilku dzienników niemieckich. Próby te były tylko zawodami. Niemożebnemi były mu; wszelka praca regularna, ciągła, wszelka karność życia lub idei, chwilowa znowu duma w tych napadach, oddalała go całemi latami od podpór naturalnych, któreby łatwo znalazł w bogatej swej rodzinie. Czasami chwycił się pierwszego lepszego środka, a jego *nedza literacka* jak ją nazywa, zajmuje tyleż prawie miejsca w listach co *nedza fizyczna*; korespondencya zapełnioną jest pomurą troską o pieniądze, najprozaiczniejszą, przytępiającą i przytłumiającą natchnienie. Same prawie kłótnie z wydawcami, propozycye przyjęte lub odrzucone, ugody, himny ogniste na cześć Juliusza Campego wtedy, gdy ten wydawca hamburgski pozwala mu wystawić na siebie weksel, obelgi i wściekłości wysokości komiki, gdy na to nie pozwala, lub gdy opoznia wydanie jakiejś książki, na honorarium której autor oczekuje. „Nie czeka się ażeby żyć, woła biedny autor, pieniądze! potrzeba mi moich pieniędzy!”

Takiem to było życie obarczone cierpieniem i troskami, wystawione na napady choroby nerwów mającej go zabić, zajęte kłopotami materyalnemi i wszelkiego rodzaju podejrzeniem, nieodłącznym od tego rodzaju kłopotów. „Moje bezpieczeństwo osobiste, moja przyszłość jest zachwiana, woła bez ustanku, widzę, jak mi wszędzie usiłują przeciąć środki do życia.” I już zaraz wyobraźnia naprężona, widzi same tylko konspiracye, intrygi wszelkiego rodzaju, zdaje mu się że jest celem zaciętych prześladowań. Dochodzi do gwałtownego stanu umysłu, który choroba podtrzymuje i zwiększa. Choroba moralna zdwaja się chorobą fizyczną, poddając jej nowego żywiołu i nowych sił.

Są to przyczyny zewnętrzne, jedne przypadkowe, jak: ubóstwo, drugie czysto materyalne, jak: choroba. *Korespondencya* odsłania inne jeszcze wewnętrzne i głębsze, zależne nietyle od temperamentu poety, ile od jego duszy. Te potrzeba nam zbadać.

II.

Ktoś, sądząc Heinego po *Korespondencyi* rzekł: że jest to dusza gniewu. Trafny wyraz. Bolesnie to i dziwnie patrzeć jak osobistość poety, zgryziona chorobą, rozdrażniona, łatwo się unosząca, dochodzi do gwałtowności przeciw ludziom i wydarzeniom, przeciw stanowi rzeczy i ideom, które mu nie na rękę, lub których się dotknięcia dla siebie lęka. Zapożyczając porównania z fizjologii rzekłbym, że nerwy i mięśnie tej duszy w całej się odsłaniają nagości, narażone na każde uderzenie, zranione każdym dotknięciem; dodacby można, że nawet otaczające powietrze drażni

je i podnieca. Życie jego jest jednem silnem oddziaływaniem przeciw cierpieniom aż nadto rzeczywistym, i przykrościom po części imaginacyjnym, które chorobliwa jego wyobraźnia rozszerzała do nieskończoności.

„Zdecydowałem się na walkę, pisze, i to nie na żarty. Gdy po raz pierwszy wziął broń do ręki, czułem się do tego zmuszony niezmierną pychą urodzenia.” Wziąwszy raz broń do ręki, już jej nie złożył, więc dodaje: „Już w mojej kolebce leżał drogowskaz na życie całe.” (Paryż, 16 lipca 1833 r.).

Dowiedzmy się co to było napisane na tym *drogowskazie* złożonym w posępnej jego kolebce. Odnajduję tam natychmiast jeden rys charakterystyczny, który potrzeba zauważyć. Heine był żydem. Opowiada nam w którymś miejscu, żartobliwą baraszkę pewnego dobrego chrześcianina, kupca w Hamburgu, nie mogącego pojąć, iżby Zbawiciel żydem był z urodzenia. Ten zacny mieszczuch, opowiada, srożył się wielce, ilekroć wyznać musiał, że Chrystus należał „do żydowskiej rasy, do tej klikki o zakrzywionych, źle ntartych nosach, do taudeciarzy ulicznych któremi z całego serca pogardzał, a których témbardziej nienawidził, iż mieszając mu się w handel, psuli własne jego interesa.” (O Anglii, Bobaterki Szekspira).

W gruncie zaś rzeczy, uczucie zacnego mieszczucha hamburskiego, podzielał Heine stosując je do siebie samego. Nie mógł się nigdy pocieszyć, że był żydem. Co dla innej zahartowanej duszy byłoby prostym tylko wypadkiem urodzenia, na który nikt się na seryo nie skarży, to dla jego rozkielznanej wyobrazni było jakby fatalizmem starożytnym. Sam przecież wyrzekł to charakterystyczne słowo: „judaizm nie jest religią, jest nieszczęściem.”

Zobaczmy, jak maluje żydów zgromadzonych w synagodze w Wenecyi. Kilka szczegółów da się dziwnie zastosować do niego: „Obchodzili tego dnia świętego przebaczenia. Otuleni w długie białe szaty, czyniąc głową tajemnicze poruszenia, stali niby widma... podczas gdy patrzałem z uwagą na zgnębione twarze żydów, zrobiłem odkrycie, którego przemilczeć nie mogę. Zwiedzałem tego samego dnia dom obłąkanych w San Carlo, i uderzyło mnie, że w synagodze znalazłem we wzroku żydów, ten sam blask przestraszający, tę samą minę napół obłąkaną, napół niepewną, napół przebiegłą i napół stępioną, jak we wzroku obłąkanych. Ten wzrok niepojęty, nie dający się zdefiniować, nie oznaczał wprost braku jasności umysłu, ale przewagę jakiejś idei stałej (*idée-fixe*). Być może, że wiara w transcendentnego Boga i w zapowiedziany piorun Mojżesza, stała się ideą fixe całego ludu, który mimo że mu od dwóch tysięcy lat nakładają kaftan i że go napryskują tuszem, poddać się jednak nie chce. Tą ideą obdarował Mojżesz żydów...”

Lecz *idée fixe* Heinego, nie może być *bóg transcendentny pioruna*, z czego tak przyjemnie szydzi, lecz niezawodnie *idea rasy przeklętej* do której należy. Oto *idée fixe* przyczepiona do choro-

bliwej jego wyobraźni, która, posługując się własnym jego wyrażeniem: „wkrajaną mu jest w ciało, wrzeźbioną w kości.” Jakiby bądź było stanowisko żydów w Niemczech w roku 1820 wytworzone przesądem, to jednak niemniej jest prawdą, że potrzeba chorobliwej wyobraźni ażeby tak głęboko je odczuć. Umysł miał w tej mierze dotknięty niby obłędem. Przyjął chrzest sądząc, że chrześcjanin obojętny lub sceptyczny, pozwoli zapomnieć żyda. Napróżno! Zdawało mu się, że spostrzeżga wszędzie tę odrębnego rodzaju pogardę, złośliwość i chęć prześladowania żydów, którą charakterystycznie piętnuje wyraz hebrajski *Risness*. Obłęd ten ścigał go i we Francyi, w Paryżu nawet, gdzie obyczaje tak się zrównały z prawem, gdzie izraelici wszędzie na równi stoją z chrześcjanami, w jakichbądź zawodach, w przemyśle, w instytucie, na giełdzie, i na najwyższych urzędach, w ministeriach, w życiu społecznóm i w salonach.

Czuł Heine to dobrodziejstwo cywilizacji francuzkiej. Opowiada żartobliwie że raz w Wenecyi, spacerując po Rialto oglądał się na około, czy nie ujrzy przypadkiem Szyloka: „powiedziałbym mu coś, coby mu sprawiło przyjemność, to jest że naprzykład kuzyn jego pan de Szylok w Paryżu, stał się najpotężniejszym baronem chrześcijaństwa, i że otrzymał od Jej Królewskiej Mości ten order Izabelli, który niegdyś ufundowano na cześć wypędzenia Żydów i Maurów z Hiszpanii.” Mimo to i właśnie dlatego, że ma zakomunikować tak dobre nowiny swym braciom prześladowanym, nie był nigdy spokojny w tym punkcie. Przenikając swym węchem, który rozwija idee fixe, poznawał już z daleka straszne *Risness* i cierpiał nierozważnie. On, który marzył zawsze o wyższych przyjemnościach życia, o elegancyach arystokratycznych, czuł się odrzucony i odpychany precz, od tych chimerych rozkosznych właśnie tym okrutnym przesądem, względem którego zawiniło nie tyle społeczeństwo, ile jego wyobraźnia. Ileż więc ciosów śmiertelnych dla miłości własnej! ile okazyi cierpień i rozdrażnienia! Ztąd też pochodzą w listach jego dwa kierunki wrażeń pozornie sprzecznych, wypływających jednak z tego samego źródła. Raz bowiem wyśmiewa żydów, gniewając się na nich że są takimi a nie innemi, to znowu broni ich całym arsenalem; ironią, wymową, gorliwym stając się rzecznikiem rasy wypędzonej, uniewinniając nawet błędy szczególne żydów, za które czyni odpowiedzialnymi ich prześladowców. Lecz na spodzie tego wszystkiego, łatwo odkryć uczucie cokolwiek dziecinne: poniżenia.

Zapewne, że nie poznanoby apologisty poważnego judaizmu, w humoryście piszącym te wyrazy: (Lueneburg 18 czerwca 1823 roku) „Żyję tu zupełnie sam, gdyż krewni moi usunęli się z towarzystw. Żydzi są tutaj tak jak i wszędzie, brudnymi i nieznośnymi tandeciarzami; chrześcjanie klasy średniej z pogardą dla żydów; a arystokracya z większą jeszcze. Nasz mały piesek, poznany został i zmaltretowany na ulicy w sposób ciekawy, przez psy chrześciańskie, które oczywiście brzydzą się psami żydowskiemi...” I prawie pod tą samą datą, werwa jego tryska ostrym epigramam-

tem: „Prawdziwie, pisze do swego przyjaciela Mozera tyś najszlachetniejsze serce w Izraelu... Twoje uczucia, to ciężkie sztaby złota, moje zaś prostym banknotem... czyż ta metafora nie przekonywa cię, że jestem poetą żydowskim? I dlaczegoż miałbym się wstydzić? Jesteśmy *en famille*, więc postuguję się chętnie przenośniami narodowymi. Gdy kiedyś *Ganstown* (miasto Gant, niby Jeruzolima utopijna, którą rządzić będzie doktor Gans) pobudują, gdy pokolenie szczęśliwsze, nad brzegami Missisipi, święcić będzie palmy, i gdy zakwitnie literatura neo-żydowska, wówczas wyrażenia nasze kupieckie i giełdowskie należeć będą do języka poetycznego, a jaki praprawnuk małego Markusa, odziany płaszczem i filaktem, zaśpiewa przed zgromadzeniem Ganstowenu: „Siedzieli nad brzegami Sprei i rachowali bouy bankowe, a wówczas przyszli ich wrog i rzekli: „Dajcie nam papierów londyńskich, bo kurs jest w podwyżce.” (maj 1823 r.).

Nie jestże to okrutna satyra na siebie? To też dziwić się trzeba, gdy zaraz potem natrafia się na plany i apologią narodową: „Bardzo mnie nagli objaśnić to, co Börne nazywa *wielką boleścią żydowską*, i uczynię to, jak się tylko uspokoję.” Lecz nawet wtedy, gdy Heine najpoważniej myśli, niemożliwem jest dlań wytrwać w powadze.

„Bardzo to niegrzecznie ze strony naszego Wszechmocnego Pana, że mi każe cierpieć tak bardzo, a nawet jest to niepolitycznie, bo Jego Stara Królewska Mość wie bardzo dobrze, cobym mógł dla niego uczynić. Lub może stary baron z Sinai, autokrata Judei, przedzierzgnął się także w Boga oświeconego? Czy wyrzekłby się narodowości, rzekł pretensyi i porzucił swych sekciarzy, na korzyść idei kosmopolitycznych? Obawiam się, że stary pan stracił głowę i że „mały żyd z Amsterdamu” będzie mógł słuszniej szepnąć mu w ucho: „Mówiąc między nami mój panie, ciebie już nie ma.”

„Wielka boleść żydowska,” natchnęła go projektem romansu *Rabin z Baccharach*, mającym być obrazem narodowości tułaczęj w średnich wiekach. Zajmuje się przez cały rok 1824 tym pomysłem, przygotowując skrupulatnie materiały, studyując kroniki, zgłębiając grube tomy dzieła *historia iudaica*, zastanawiając się nad doktrynami rabinistycznymi. Często podnosi okrzyk boleści i szczeręj litości: „Wzruszony jestem, gdy przeglądam te tragiczne roczniki, pełne nauki i smutku.” (25 czerwca 1824 r.). Został się tylko początek dzieła, reszta zaginęła podczas pożaru w Hamburgu w 1843 r. Z tej samej idei pozostał przepyszny rozbiór „Kupca Weneckiego” (Szyloka), jako jedna z najpiękniejszych karytek krytyki nowoczesnej. Drga dusza poety w najwznioślejszych natchnieniach.

„Może Szekspir dla zabawienia tłumów, chciał przedstawić wilkołaka, istotę chciwą krwi, którą okrucieństwo pozbawia córki i dukatów, i z której w dodatku szydzą. Ale geniusz poety, duch powszechności górujący u niego zawsze, silniejszym jest od jego woli osobistej, więc stało się, że w Szyloku mimo przesadzonego

dziwactwa, wypowiedział usprawiedliwienie sekty, którą Opatrzność z tajemniczej pobudki, obładowała nienawiścią wszelkiego ludu, a która nie zawsze, za nienawiść gotową była odplacić miłością. Lecz co mówię! geniusz Szekspira unosi się nieskończenie wyżej ponad wstrętnemi kłótniami dwóch religii; w swoim dramacie nie pokazuje on nam ani żydów ani chrześcian, ale z jednej strony gnębieli, a z drugiej gnębionych, wściekłych z bólu, krzyżujących z dziką radością w chwili, gdy mogą odwetować lichwą swym prześladowcom." I rozbierając rozmaite charaktery, *Antonia*, *Lorenza* spółnika kradzieży domowej, tak kończy: „Prawdziwie że z wyjątkiem Porcyi, Szylok jednym jest w całej sztuce, godnym szacunku. Kocha pieniądze, lecz się z tem nie tai, głośno o tem wszystkiem gada... lecz jest jeszcze coś, co stawia wyżej ponad pieniądze; zemstę, zadosyćczynienie za niezliczone obelgi. Ofiarują mu dziesięćkroć tyle, odmawia; nie żał mu ani 3,000 ani 30,000 dukatów, byle za tę cenę kupić mógł funt mięsa swego wroga... Tak, Szylok kocha pieniądze; lecz są rzeczy które bardziej jeszcze kocha, między innymi swą córkę, „Jessyko, dziecię moje!” Jakkolwiek w paroxyzmie gniewu, przeklina, pragnąc widzieć ją u nóg swych z brylantami w uszach a dukatami w kieszeniach, to jednak kocha ją wyżej niż te dukaty i brylanty. Biednemu żydowi odepchniętemu z życia publicznego, ze społeczeństwa chrześciańskiego, ograniczonemu w ścisłym zakresie szczęścia domowego, nie pozostaje nic prócz uczuć rodzinnych.” Potem, jednym nagłym skokiem, przenosząc się na Rialto, gwałcie szukał nadarmo dawnego Szyloka, ma poeta to wzruszające widzenie: „Wieczorem, w godzinie w której według wiary żydów, bramy nieba już zamknięte nie przepuszczają żadnej prośby, posłyszałem głos w którym brzmiały łzy jakich żadne oko ludzkie nie wylało.. było to łkanie zdolne poruszyć kamienie... były to dźwięki bólu jakie wydać tylko mogła pierś męczennika ludu, znoszącego wszystkie tortury od tysiąc ośmiuset lat. Był to jęk duszy, która umierając ze znużenia, pada pod bramami niebios... I zdawało mi się, że ten głos znam, że go słyszałem niegdyś, gdy jęczał w rozpacz: „Jessyko, dziecię moje!”

Ten ustęp przyzna każdy, wynagradza nie jedno dzieciństwo, i nie jedno zapomnienie godności.

Innym znów razem, przedsiębierze apologią rasy żydowskiej w formie humorystycznej. Powiada, że bogactwo tak za złe miane ludowi Izraela, przynosi mu zaszczyt, bo jest widocznym świadectwem czystości wiary jego w niewidzialnego Boga. Wtedy albowiem gdy ślepi poganie, nie zdolni wznieść się do czystego ducha, kuli sobie wszelkiego rodzaju bogów ze złota i srebra, marnując przez to szacowny metal, cóż robili żydzi? Zamienili na papiery wszelkie złoto i srebro jakie znaleźć mogli, umieszczali na wielkich procentach, czy to w pożyczkach państwa Assyryjskiego i Babilońskiego, czy w obligacjach Nabuchodonozora, czy w akcyjach kanałów egipskich, lub w pięcio procentowych na Sydonie

i innych wartościach klasycznych, które Wszechmocny pobłogosławił tak, jak ma zwyczaj błogosławić wszystkie wartości nowoczesne."

Dość że protestacye te wesołe, czy melancholijne, odsłaniają idee fixe. Wychodzi ona na wierzch co chwila. Wielka boleść żydowska, stała się zarazem boleścią szczególną Heinego. Nie trzeba się na to skarżyć, bo tej okoliczności jego pochodzenia, zawdzięczamy kilka przecudownych natchnień. Była to dlań jedyna sposobność, wzięcia jakiegoś przedmiotu życia na seryo. Uczuwał on, nawet w swych urojonych cierpieniach, cierpienie historyczne rasy. Ztąd wypłynęło dlań źródło wzruszeń męzkich i zdrowych, nadających częstokroć poezyi jego cechę czułości i rzewności, a jakkolwiek przyczyną była zawsze osobistość jego obrażona i podejrzliwa, to przecież poczucie długiego męczeństwa ludu, odrywa chwilami myśl jego od samolubnych i próżnych trosk, i wtedy tłumaczy językiem przepysznym i prawdziwą podniosłością moralną, niezmierną litość, jaką serce jego przejęte.

Z innego też względu nie wyszło mu na złe, pochodzenie izraelskie. Faktem albowiem jest, sprawdzonym porównaniem historycznym ras, że ze wszystkich ras najnaturalniej religijną i monoteistyczną, jest rasa semitycka. Nie chcemy objaśniać tego ani konformacją czaszki Semitów, ani też że żyli długo na puszczy, a „puszcza jest monoteistyczną,” ale stwierdzamy sam tylko fakt. Otóż mimo że na pierwszy rzut oka zdawać się może paradoksalnym, poszukiwanie żywiołu religijnego ras w nieumiarkowanych żartach i bluźnierstwach zapełniających poezye Heinego, to jednak ten, który umie rozróżnić wpływy tajemne od poruszeń duszy, pozna że ze wszystkich współczesnych poetów, żaden nie zajmował się goręcej ideą religijną jak ten poeta, tak często bezbożny i zbuntowany. Rzekłbym że jest tą ideą opanowany. Dziwna to walka między instynktem rasy sobie wrodzonym a zwątpieniem, zaczerpanem w naukach sprzecznych swjej epoki, i we własnym sercu. Sztydzi, bluźni, lecz jakaś siła nieznaną sprowadza go bezwiednie do tego Boga, którego jarzma pomimo przekleństw, strząsnąć z siebie nie może. Jestto bezbożność niezawodnie, ale bezbożność Lukrecjusza, bezbożność liryczna, wielce odmienna od ateizmu naukowego, chłodnego i suchego jak każda negacya, zbyt pewna siebie. Heine nie jest też owym czystym heglistą, dla którego obrazy zmiennej historii są tylko rozwojami koniecznymi idei, ani owym sędzią pobłażliwym, któremu chodzi jedynie o pochwylenie tajemnej racyi każdego historycznego zjawiska, i prawa bytu każdej religii. Nie, on czuje gniew przeciw Bogu, unosi się nie spostrzegając, że gniew jest pewnym zamięciem wiary. Nikt się nie gniewa na mrzonki. Dopóki namiętność tkwi w duszy, dotąd oznaczyć można, że jest tam wiara. Kto tylko żył w zażyłości intelektualnej z Heinem, ten przyzna, że idea Jehowy zawsze obecna, źródłem jest liryzmu jego. Krąży ona w krwi jego tak, jak płynęła w żyłach. Obel-

gi i wyzwania są tylko u niego formą instynktu, którego wydrżec nie może z serca. Niechaj szydzi i zwalcza boga swęj rasy, „boga piorunu;” z pewnych akcentów głęboło ludzkich, boleśnych i smutnych czuje się, że drzy przed uderzeniem, które śmie wyzywaó. Poeta żydowski mógł być buntownikiem, lecz nie mógł być ateuszem.

III.

Dowcip żywy i wdzięczny, rozsiany w kaźdym z listów z powodu lada czego, nie może atoli zatrzec przykrego wrażenia, gdyż widzi się tam za wiele nędz moralnych. obnażonych przed publicznością. „Och poecil mówi Heine w którymś miejscu, nie przypatrujemy się im nigdy zbyt blisko. Podobni oni pięknym światłom, które w pogodny wieczór letni lśnią blaskiem na murawie i liściach, tak iżby się je wzięło za gwiazdy ziemskie... myślałby kto, że są to dyamenty i szmaragdy i drogie kamienie, które dzieci królewskie bawiając się, porozwieszały w zapomnieniu na parkanach... możnaby ich wzięść za ogniste krople słońca, które zgubione w bujnej trawie, kąpią się w świeżości nocy, aż dopóki poranek, ta gwiazda płomienia nie wzniesie ich do siebie... Niestety! nie szukajcie śladów tych gwiazd, tych dyamentów, tych kropli słońca, bo na ich miejscu znajdziecie tylko małego ziemskiego robaczka, brzydkiej barwy, pełzającego nędznie po drodze, tak że uczujecie wstręt na ten widok, i tylko przez litość nie zdepczecie go nogą.” (Heroiny Szekspira) „Tę kroplę słońca” która była poezją Heinego, ileż drobnych namiętności nie skalało, nie splamilo! *Korrespondencya* jest historią choroby Heinego, wspólnej kilku poetom naszych czasów: miłością własną gniewliwą. unoszącą się, czasami wściekłą i szaloną, niby epilepsją moralną w swych napadach, a badanie jej dręczącym jest. Ta choroba była prawdziwą przyczyną wszystkich nieszczęść, o które Heine oskarża ustawicznie to fatalność swęj rasy, to jakies urojone spiski. Ouato wplątała go w kłótnie nigdy nieustające i gwałtowne, które skaziły jego talent. a nawet zaćmiły jego sławę.

Prawda że nie był dosyó opancerzony na doświadczenia życia literackiego, wymagające tyle zimnej krwi, tyle panowania nad sobą i pogardy. Z *Korrespondencyj* widać, jak nadśluchuje wszelkiej wrzawie około swego nazwiska, jak się zaczyja na echo pochwał lub obelg. Wymaga od kaźdego ze swych przyjaciół albo świadectw publicznych, albo protestacyj przeciw napadom nieprzyjaciół. Lecz prawdziwa godność polega w twardym zawoździe pisarskim, na pogardzie wielu rzeczy lub na pominięciu ich milczeniem. Jakażby to była praca niewdzięczna, gdyby się chciało rozprawać z kaźdą zawistną złością, podyktowaną uczuciem mierności! Za wiele daje tryumfu zazdrośnym ten, który zbyt

bierze do serca zaczepki złych namiętności, lub dotkniętych przekonań.

Heine zaś, odsłaniał całą powierzchnię miejsc słabych swym wrogom, których liczba zwiększała się z każdym dniem. Przyciągał ich swym zapalem niedyskretnym walczenia, upodobaniem fatalnem w walce w której celuje, i ową potęgą inwektywy która go od jednego skoku unosi w ostateczność polemik, nie dających się zagodzić. Lecz jakże ułatwił walkę swym wrogom! Można powiedzieć że odsłaniał się umyślnie, bo ażeby go uderzyć śmiertelnie, chodziło tylko o wybór. Jego chorobliwy niepokój i rozdrażnienie nerwowe, oddawały go na łup nielitościwy nienawiściom nagromadzonym przeciw niemu. Były to smutne walki, rozdzielające nawet przyjaciół jego, przerywające stałe sympaty, martwiące wielu. Z każdej takiej walki wychodził poraniony, osłabiony, zyskawszy tyle tylko, że opinia oświadczyła się za jego nieprzyjaciółmi, i to aż do dnia w którym na zawsze opuścić musiał pole walki w Niemczech.

Nie myślimy opowiadać wszystkich zająć z hrabią Platenem, z Menzlem, z Börnem, z przyjaciółmi Börnego, z M. Straussem którego spotwarzył. Ostatnia ta sprawa spowodowała nie tylko pojedynek który o mało życiem nie przypłacił, ale nadto podniosła przeciw niemu wszystkie burze germańskie, w których imię jego, sława i honor o mało nie zmarniały.

Niektóre z tych zająć wszczęły się z błachych przyczyn, a rozszerzyły do kolosalnych rozmiarów. A kiedy już znudzony poeta uczuwa w sercu chęć przebaczenia, wówczas podlega się sam umyślnie ażeby nie zapomnieć nikogo, i sporządza listę tych, którzy go chcieli obrazić. (Korrespondencya, 2 serya str. 36). Co więcej listę tę trzyma do dyspozycyi swych przyjaciół, obowiązując się zaczepić każdego, ktorego mu wskażą. Staje się to wreszcie *Kondottierystwem* literackim.—Poślesz mi pan—pisze do p. de Varnhagen—swą listę proskrypcyjną?—Jestem na Twe rozkazy. P. Varnhagen podziękował wesoło, dodając że jak na teraz nie wie o nikim, ale że zostawia to sobie na przyszłość. Nie potrzebujemy tu dodawać, ile te polemiki zabierały czasu i sił poecie, ile tracił na tém jego charakter i podniosłość jego talentu. Ilek pięknych natchnień przytłumiły te próżne złości, nie mogące nas zająć! Karą za taką poniewierkę talentu, jest obojętność publiczna i szybkie zapomnienie. Chłodni jesteśmy na wszystkie te wybuchy.

Osobistość, złą jest doradczynią nawet dla geniuszów.

Na darmo ta chorobliwa miłość własna, pragnie usprawiedliwić swe wybryki i uniesienia, łącząc je z wielkimi ideami i z wielkimi sprawami. Bardzo łatwo rozpoznać w wielu wypadkach kruchość wymówek. Naprzykład w sprawie z Platenem, gdzie tenże prócz rzeczywistego talentu, miał wszystko za sobą co daje zwycięstwo w takiej polemice, to jest szacunek i przyjaciel,

usiłował Heine nadarmo obrócić przedmiot dowodzeniem, że chodzi tu o inną sprawę nie o prostą polemikę literacką, że chodzi tu o „rewolucyą wchodzącą wyłomem w literaturę, że jest to ani mniej ani więcej, tylko epizod wojny społecznej, że więc chciał zniszczyć nałożnicę arystokracji i księży.” Mimo to nie trudno poznać, że chodzi tu o osobistość srogo obrażoną, i gdy się czyta *Edypa romantycznego*, wnet poznać można przyczyny walki, któremi były alluzye do narodowości Heinego, do tej narodowości którą on uważał jako fatalność zawieszoną nad sobą, i o epigramaty przeciw jego *manierze* poetycznej, przeciw temu co w jego talencie poetycznym było *chcianem* i sztucznem. Zranili w nim naraz wszelkie odcienia miłości własnej. Tego było za wiele, oddał więc ni spokoju, ni odpoczynku w zemście. Reszta tej przykréj historyi wiadoma.

Rola Heinego uzacnia się cokolwiek w dzielnych walkach za *młode Niemcy*, do której, według proskrypeyi konfederacyi germańskiej, należeli prócz niego, Karol Gutzków, Henryk Laube i Teodor Mundt. Ta szkoła literacka oskarżoną była o atakowanie religii chrześcijańskiej, i naruszenie podstaw porządku społecznego, a rządy niemieckie nakaz miały surowo przeciw niej wystąpić. Zakazy takie wyrabiają przydomek sławy męczeńskiej, rozszerzając sławę książek w ten sposób zakazanych. Żądamy dla prawdy religijnej i filozoficznej praw, które tak samo jej przysługują powinny jak i błędowi. Heine miał tutaj prócz dobrodziejstwa sympatyi ogólnej i tę wyższość, że miał do czynienia z niegodnym przeciwnikiem Menzlem, denuncyantem *młodych Niemców*. Lecz jak zwykle drwi sobie znów potrosze ze świata i z wysokiego sejmu germańskiego w sławnym liście, w którym żąda zniesienia zakazu na jego pisma, a to z następnej przyczyny: „Pochlebiam sobie, powiada we wzruszającym wstępie, że mi łatwym będzie wykazać iż pióro moje powodowało się nie myślą niemoralną lub nie religijną, ale przeciwnie syntezą wielce moralną, której oddawna oddali cześć nasi najznakomitsi pisarze, poeci i filozofowie.” Lubó wiemy dobrze, że zaraz nazajutrz wyjawia ten wielki szyderca sekret tej komedyi swemu wydawcy: „Uważałem za stosowne pomacać stare peruki, bo też list dziecinny, miódowy, nie mógł nie zrobić należytego wrażenia.... *Jasnie Wielmożni Panowie, Wasze Excellencye*. Jeszcze im nikt tak nie usłużył! Jednak—powie wysoki sejm—jest to człowiek nie pozbawiony ludzkich uczuć, bo nas przecie nie traktuje jak psów jakich. I na tego to szlachetnego pisarza wydaliśmy interdikt! I wnet trzydzieści sześć chustek od nosa, otrze łyż skonfederowane.”

Wolter pozwalał sobie równie takich figlów;—dedykacya *Mahometa* papieżowi Benedyktowi XIV, stanowi arcydzieło w tym rodzaju.

Heine chciałby być seryo, gdy mówi o swéj syntezie moralnej i religijnej. I cóż to za synteza? Rozwinał ją szeroko

w kilku listach do swego przywiązanego przyjaciela, Henryka Laube. Według niego, większość radykałów niemieckich, francuzkich i kosmopolitycznych, pojęła tylko zewnętrzną stronę rewolucyi, ale pominęła najgłębszą kwestyą. Prawdziwiej zagadki nie szukać ani w rzeczywistości, ani w granicach monarchii, *ale w dobrobycie materyalnym ludu.* (Korrespondencya, serya II str. 118). „Dawna religia spirytualistyczna zbawienną była i potrzebną dotąd, dopóki większość ludzi żyła w nędzy, nie mając innej potrzeby jak religii płynącej z nieba. Ale postęp przemysłu i umiejętności ekonomicznych, pozwala teraz wydobyć ludzi z nędzy materyalnej, i uczynić ich szczęśliwymi na ziemi... Pojmujesz mnie...”

I my pojmujemy. Dobrobyt ogólny, oto wielka idea Heinego, ta która go ściga ilekroć chce być filozofem lub politykiem, a przestaje być na naszą szkodę, poetą. Wreszcie nie chodzi tu o środki, tylko o wielką ideę. Więc mało go obchodzą formy polityczne, które w oczach jego są środkami. Tym sposobem przecina się kwestyą. Nakazuje zwolennikom swym nie wychodzić poza ten obręb, niech się zamkną w dyskusyi zasad moralnych i religijnych. Nie uchodzi atoli jego uwagi, że zasada moralna i religijna trzymają się za ręce. Powiada: „Moralność jest religią wsiątką w obyczaje. Jeśli religia przeszłości zgniła jest, takąż będzie i moralność. My chcemy religii zdrowej, ażeby i obyczaje uzdrowić, i lepiej uzasadnić jak obecnie, gdzie nie mają żadnej innej podstawy, prócz niewiary jedwabnej obłudy.” Oświadczą się przeciwnikiem deizmu żydowsko-mahometkańsko-chrześcijańskiego. On jeden zna tylko wyraz przyszłości: „Wiem, że jestem. Nie dawno jeden z mych przyjaciół Saint-Simoniści, powiedział zdanie które mnie rozśmieszyło, a które przecież jest prawdziwem, to jest: że jestem pierwszym ojcem kościoła Niemców.”

Otóż macie go i ojcem kościoła, wielkim kapłanem nowej religii, objawicielem, apostołem. Oddzieliwszy ironią, związaną koniecznie z tym poetą szydzącym z pozorem najpoważniejszego przekonania, dowiadujemy się tu ciekawych szczegółów. Zdaje się jasnym, że cel reformatora (nie nadużywając tego wyrazu w tym wypadku) nie idzie dalej poza „demokrację bogów ziemskich, równych, „w szczęśliwości” że nigdy nie umiał sobie stworzyć szczytniejszego ideału nad dobrobyt materyalny, że sprawiedliwością dla niego, jest prawo równego podziału rozkoszy, i że nareszcie jemu przypadło w udziale stworzyć religią ciała sławionego, którego antytezą krwawą i ponurą, były średnie wieki. Nie chcemy zbijać tego socyalizmu, który jest tylko marzeniem gniewu i zemsty przeciw istniejącej społeczności, zmieszaniem z marzeniami rozkoszy powszechniej, natrętnie kołatającemi się po mózgu poety. Heine wziął swą moralność z Saint-Simoniźmu, pomijając jedyną w nim stronę poważną, to jest: naukową i przemysłową.

Nie można się więc potem dziwić, że Heine jest zaprzysięgłym wrogiem Anglii, tej cywilizacji pracowitej i tych instytucyj liberalnych. Lecz mianowicie jako poeta, odczuwa i wyraża swój wstręt. Utopie jego humanitarne są raczej wysokokami humoru, zbuntowanemi przeciw porządkowi społecznemu i religijnemu. Listy jego datowane z Anglii, przepełnione są ciężką nad nim nudą, a piosnka jego melancholijna: „Nic tu nie ma prócz mgły, pary, porteru i Canninga.” Martwi serce ta myśl, że Szekspir jest Anglikiem, i że należy do najszkaradniejszego ludu, jaki Bóg stworzył w swym gniewie. „Jaki to niezdarne lud! Jaki nieznośny kraj! jacy ciężcy, jacy brzydzy, jacy egoiści, jacy Anglicy! Jestto kraj, któryby ocean dawno był zatopił, gdyby się nie bał nabawić przez to kichania.... Lud, monstrum ziewające, rozścielające naokoło siebie śmiertelną nudę, a który pewnie skończy na tém, że się powiesi na jakim kolosalnym maszcie.” Kilka kart ostatnich książki o Anglii dowodzi, że Heine stał się sprawiedliwszym dla przymiotów tego narodu i jego wielkości. Lecz w gruncie rzeczy, cała jego sympatya jest dla Francyi, i mimo kilku epigramatów, które miłość własna francuzka z trudnością przebaczy, to między nami dopiero znalazł on ojczyznę, jaką utracił. Historia rewolucyi francuzkiej i wielkich wojen cesarstwa, nęciła go i zapalała. Epopeja *dobosza Legrand*a dawno już go wskazała złości stronnictw wstecznych, jako przyjaciela wiernego Francyi. W owym czasie Niemcy stały w opozycyi z nazwą, z pamiątkami, ze sympatjami Francyi. Czasy dziś zmieniły się cokolwiek.

Nie samych nienawiści doświadczał Heine, miał kilka przyjaciół wiernych. Lecz i tu fantastyczny jego humor, zgubny wpływ wywierał. Nietyle zasługiwał na te przyjaźnie, ile je sobie gwałtem zdobywał. Powszechném jest mniemanie, oparte na sławnym wierszu, że przyjaźń wielkiego człowieka, jest dobrodziejstwem bogów. Przyjaźń Henryka Heine, zapewne dlatego że się poróżnił z bogami, była dla kilku jego przyjaciół prawdziwem umartwieniem. Czy może być smutniejszy przykład, jak historia stosunków jego z przeciwnikiem młodości Mojżeszem Mozerem, jednym z najzaciejszych i najrzadszych ludzi, którzy jakby stworzeni byli umyślnie na przejście podobnych doświadczeń. Był on Piladesem. temu zepalczywemu i romantycznemu Orestowi. Był to Pilades na miarę germańską, erudycyi niezwyyczajnej w językach starożytnych i filozofii transcendentalnej, czytający Hegla i Walmiki w oryginale, prawdziwy myśliciel, szczerzy w myślach i w pieniądzach, zawsze gotów do przyjścia w pomoc biedzie literackiej lub piętnej swego przyjaciela, zapominany w dniach szczęśliwych, wzywany zawsze w dniach niepomysłnych, typ jedyny, którego, czytelnik dziwactw Heinego, pokochać musi.

Piękna ta przyjaźń smutne miała rozwiązanie, nie przynoszące wcale zaszczytu Orestowi. Nieroztropny Mozer lubił za-

wsze mówić prawdę. Z powodu oplakanéj polemiki Heinego z Platenem, użył jéj z godnością prawdomównego przyjaciela. Po tylu oddanych przysługach, po tylu latach niezmiennego przywiązania, osądzi każdy, że Mozer miał prawo mówienia prawdy. Jakimże tonem odpowiada Heine na jego oględne uwagi! Nie chce się niby skarżyć na niego, bo nie można mieć żalu do niemającego inteligencyi, znosi się go tylko. „Skarżę się tylko na bogów, zostawiających mnie tak długo w błędzie, co do twego sposobu rozumienia życia mego i mych ambicij. Tyś nigdy nie rozumiał życia mego i jego aspiracyj, więc dlatego przyjaźń nasza nie ustała, lecz raczej nie istniała nigdy. Nie przyzwolenia, ale zrozumienia czynów naszych, wymagamy od naszego przyjaciela; może je chwalić lub ganić, lecz przedewszystkiem musi je rozumieć, musi ocenić je koniecznie ze stanowiska naszego, choćby całkiem odmiennego oł jego poglądu.”

Ciekawie istotnie wygląda taka teorya nieomyślności poety, nieprzyjmującego ani pochwały ani nagany, żądającego od swych przyjaciół nie *sądu*, ale *zrozumienia*. List ten datuje się z d. 2 czerwca 1831 r. Korrespondencya przerwana z Mozerem, zaczyna się w listopadzie 1836 roku. Czy Mozer ją zaczyna? Czy nabył przez czas pięciu lat odpowiedniej inteligencyi i światła? Nie, inicjatywę tym razem wziął poeta. Pewnie skutkiem żalu za utratą tak cennéj przyjaźni, ze serca? Chcielibyśmy w to wierzyć z pierwszych przynajmniej słów listu:

„Czy uwierzysz Mozerze, że słowa te są najsilniejszym dowodem jaki ci dać mogę, méj ufności i przyjaźni? Piszę do ciebie z zasmuconém sercem, ale bez wahania, z radością melancholijną znalazzenia się znów z Tobą razem.. Nie dawno temu, w Paryżu, gdy blizki śmierci podczas nocy bezsennéj i gorączkowej, przeglądałem szereg przyjaciół, którym mógłbym zwierzyć ostatnią wolę moją, przekonałem się że was dwóch mam tylko: Ciebie i może brata mego Maxa.”

Jesteśmy wzruszeni, bo jakież to piękne uczucie, przewyciężające złe podszepty próżności! Lecz nadchodzi coś, co nam psuje przyjemne wrażenie: „Skutkiem rozlicznych wydarzeń, znajduję się w takim kłopotcie pieniężnym, o jakim nie masz wyobrażenia. Zauadto Cię kocham, abym Cię martwił opisami, ale uczynisz mi rzetelną przysługę, pożyczając mi 400 talarów.” Przekonany jestem, że je Mezer pożyczyl. Najpiękniejsza to zemsta.

Wątpię, czy oddam przysługę pamięci Heinego, publikując jego *Listy poufne*. Bezstronne wrażenie czytelnika nie wypadnie na korzyść poety, odsłoniętego z tak blizka, w takich nędzach moralnych. Ażeby oczyścić wspomnienie i odżywić uwielbienie, potrzeba odrzucić na bok *Korrespondencyą* i zaczarować się na nowo kilkoma *Pieśniami* (z Księgi Pieśni) lub kikoma dobrze wybranymi kartkami z *Reisebilder*. W ten tylko sposób zla-

godzi się smutek, gorycz nawet z odebranych wrażeń; — czytając te poezye, zapomni się o rzeczywistości.

IV.

Stydium Heinego według *Korrespondencyj* byłoby niedokładnem, gdybyśmy nie dodali rozbioru sławnych jego publikacyj o *Niemczech* i *Lutycy*, będących częścią korrespondencyi jego publicznej. Są to kartki naprzenian świetne jak widzenie, płomienne jak gniew trybuna, dziwaczne i cyniczne jak szyderstwo Rabelais'go. Zrozumiemy je lepiej z pomocą korrespondencyi prywatnej, dającej klucz do tej dziwnej duszy.

Lutecya jest zbiorem listów pisanych dla *Gazety Augsburskiej* od r. 1840 — 1843. Celem ich było zapoznanie Niemiec z życiem politycznym, artystycznym i społecznym Paryża, w latach nadejścia rządu lipcowego. Wszystkiego znajdziesz po trosze w tych latach: poważne dyskusyje polityczne i studia obyczajowe wiele naprężone. Z gabinetu ministra idziesz na bal publiczny, a po kwestyi wschodniej doczekasz się opisu zakazanych tańców. Obok sprawozdania z koncertu, przeczytasz szkic filozofii Piotra Lerou, a akademie umiejętności moralnych i politycznych idzie w parze z corps-de baletem. Wszystko się naraz tłoczy, w tej korrespondencyi w dobrém porozumieniu.

Znać może zanadto że autor nie chciał być pedantem, ani poważnym, ani nudnym, ani nieświeckim; lecz byłoby lepiej gdyby to nie było ułożonem z góry, i z większą przyjemnością rozumielibyśmy całą skalę rychłości tego umysłu, zaczepiającego z równą swobodą o przedmiot sztuki jak i o prosty dwuznacznik, gdybyśmy zawczasu nie byli uprzedzeni że pisze to humorysta. Uwielbiam niespodziankę, zwłaszcza wtedy gdy mi jej naprzód nie zapowiadają. Zresztą książka ta tak jest bez związku i taką pstrociną nadziana, a autor taką na tej niewymuszoności zakłada sławę, że niewiele jest książek równie oryginalny wywierających efekt.

Lecz strona polityczna która w tych listach była zapewne główną swojego czasu, dziś już zwietrzała. Niepodobna nam już domyślać się dowcipnych alluzyj, śmiać się z djabelskiej złośliwości i zuchwałości epigramatów, wymierzonych przeciw p. Guizotowi i Ludwikowi Filipowi. Cała ta podjazdowa wojna takim jest dzisiaj anachronizmem, że dziwić się trzeba iż Heine z późniejszych wydań nie wyrzucił tej zastarzałej polemiki, wstrzymującej dziś tylko uwagę czytelnika... Epigramaty polityczne, mają o tyle tylko wartość, o ile są zuchwałe; lecz gdy niebezpieczeństwo minęło, wówczas sprawiają efekt wystrzelonej flinty na nieobecnego nieprzyjaciela.

Heine jest w pretensyi, że ma przekonania polityczne. „Ten któryby się przyczepiał do słów—powiada poważnie—znajdzie łatwo w mej korespondencyi pewne kontradykcyjne, lekko-myślność a nawet brak pozorny przekonań szczerych. Lecz ten który dba o ducha słów swoich, znajdzie ścisłą jedność myśli i niezmiennie przywiązanie dla sprawy ludzkości, i dla idei demokratycznych.” Jakież to są te jego idee demokratyczne? Oto, polegają u niego na socyalizmie najdalej posuniętym, a raczej *chcąc nazwać monstrum po nazwisku*: na komunizmie. Pyszni się usługami, jakie oddał sekcje: „Komuniści wszechkrajów, nabrali z naszych listów nowego przeświadczenia o ciągłym postępie ich sprawy, dowiedzieli się ku wielkiemu swemu zdziwieniu, że nie są jakąś drobną gminą, ale najliczniejszymi ze stronnictw, że dzień ich, prawda jeszcze nie nadszedł, lecz że oczekiwanie oierpliwe nie nazywa się stratą czasu dla ludzi, do których przyszłość należy. A przyszłość należy do nich, bo mają za sobą *sprawiedliwość i prawdę*.” Straszliwy syllogizm zczarował umysł Heinego, więc choć nie może zbić tej premisy, iż wszyscy ludzie mają równe prawo do jedzenia, czuje się jednak zmuszony do przyjęcia dalszych, ztąd wynikłych konsekwencyj. Lecz myśląc o tém, widzi demony prawdy tańczące koło niego w tryumfie, z rozpaczą przeto szlachetną woła: „Dawno już potępione stare społeczeństwo. Niech sprawiedliwość wymierzoną będzie! Niechaj runie ten świat stary, w którym niewinność cierpiała, samolubstwo zwyciężało, a człowiek wyzyskiwany był przez człowieka!”

Frazesy te mają pozór poważny. Lecz posłuchajcie, jak wielki ten apostoł *niewinności i sprawiedliwości* drwi sam z siebie: „Niechaj zburzone będą te białe nagrobki, w których zamieszkało kłamstwo i niegodziwość! I niechaj błogosławiony będzie korszennik, który kiedyś z moich poezyi robić będzie tutki do nasypywania kawy i tytoniu dla ubogich staruszek, które w naszym nieśmiałym świecie, musiały się może obchodzić bez tej małej przyjemności—*fiat justitia, pereat mundus*.” Oto prawdziwa nuta jego przekonań, a potrójnie oszukany ten, który im zawierzył.

Więcej od jego poglądów politycznych, obchodzą nas jego krytyki literackie i artystyczne. Lecz i tu jeszcze zartuje dwójznacznie, posuwa się do gorzkich osobistości, do okrutnej gry humoru fantastycznego i ostrego sceptycyzmu, ale i zwraca się czasem nagle porywem uczucia szczerego i wzruszającego. W każdym jednak razie, w tej wolnej dziedzinie sztuki, polemiki nie starzeją się tak prędko, a sądy jego o Jerzym Sandzie, Wiktorze Hugo, Delarochu, Leopoldzie Robercie, Beethovenie, Piotrze Leroux i Cousinie nie przepadną.

Co się nas tyczy, rzadko zgadzamy się w zdaniu z Heinem, lecz jak ponętną u niego zmienność punktów widzenia i niespodziane fantazyje! Jak wszystko rusza się tu i obraca, i jak cała ta mieszanina imion własnych społecznych, jakoteż sądów zu-

chwałych, dziwne sprawia wrażenie! Warto się przysłuchać, jak traktuje naszych wielkich pisarzy. Chateaubriand jest u niego waryatem, pathos jego komiczne, a po przez dźwięk pogrzebny słów jego uważanych za wzniosłe, Heine słyszy zawsze odgłos dzwonek u jego czapeczki błazeńskiej. Z Lamartinem obszedł się najłagodniej, jeżeli w takich razach milczenie nie jest najszerszą obeigą. Wiktor Hugo jest u niego niczem innem tylko wielkim szarlatanem, który wmówił w swych ziomek a w końcu i w siebie, że jest największym poetą Francyi. Lecz jest on naciągającym, fałszywym, bez gustu, nienaturalnym, lodowato-zimym nawet w najgorętszych porywach; entuzjazm jego to fantasmagorya, rachunek bez miłości, a raczej on kocha tylko siebie, jest bowiem egoistą a raczej *hugoistą*. Niezgrabnym jest jak dorobkowicz, albo jak dziki odziewający się pstrokatemi płachtami. Wszystko u niego barbarzynstwem trąci, niezgodą i kalectwem. Powiedziano o jego geniuszu: To piękny garbus. Ten co to powiedział, wyrzekł ostatnie słowo. Z kolei obraża p. Villemain.

P. Cousin doznaje w książce tej rozlicznego szczęścia. Raz zganiionym jest za potępienie panteizmu, to znowu broniony przeciw napadom Piotra Leroux; apologia to szlachetna, bo Piotr Leroux filozofem jest według serca Heinego. Autor *Ludzkości* przedstawiony w kolosalnych rozmiarach, niespodziewanych dla francuzkiego czytelnika. Jest to sama cnota, choć daje się czasem uwieść namiętności, jest to eremit myśli, *Pontifex maximus*, najpłodniejszy ideami ze wszystkich we Francyi. Michelet, Quinet i pani Sand, cieszą się wraz z Piotrem Leroux łaskami arystarchy niemieckiego. W szeregu tym sławnym, niezapomniana także Akademia francuzka, o której mówiąc mówi o płci pięknej nieopuszczającej ani jednego posiedzenia, ilekroć który nieśmiertelny ma przemawiać. Wszędzie tu wysoka fantazyja, i nie można zaprzeczyć iżby ta latarnia czarnoksięzka nie była zabawną, ale stwierdzam, że jest to tylko latarnia czarnoksięzka.

Atoli, jeśli się zdarzy że Heine zrzeka się na chwilę obmyślanęj z góry parodi i forsownych żartów, jeśli poddaje się swemu wzruszeniu i poważnemu nastrojowi, wówczas wydobywa tony podniosłości niezrównanej. Kto czytać może bez głębokiego wzruszenia o śmierci Leopolda Roberta? „Co popchnęło Roberta do śmierci, to może ta najstraszniejsza ze wszystkich boleści, kiedy artysta dostrzega niezgodę między pragnieniem tworzenia a środkami wykonania; to przekonanie o braku potęgi jest już prawie śmiercią, a ręka pomaga tylko wtedy ukróceniu konania. Jakkolwiek dzielne i przepyszne są płótna Roberta, to jednak są one bladym tylko cieniem kwitnących piękności natury, widocznych duszy jego, a wprawne oko dostrzeże z łatwością u niego, ślady zmudnej walki z przedmiotem, którą zaledwie pokonał najrozpaczliwszém usiłowaniem”. Okres ten pełen jest prostoty patetycznej i tonu, na który rzadko natrafie można w chaosie szalonej gry, rozbudzonej jego wyobraźni.

Lutecya stanowi zbiór facecyek przesadzonych i obelg dziwacznych, pomiędzy któremi rozsiane tu i owdzie sądy szczerze i rysunki poważne. Co najlepszego w tem, to naiwność, z jaką niektórzy krytycy naszego kraju dali się złapać na oświadczenia przyjacielskie zartobliwego Niemca, i na zapewnienienia jego że jest Francuzem i paryżaninem w duszy. Jest nim niezawodnie na swój sposób, ale z jaką dozą ironii! Wzięto za monetę dobrego gatunku, wszelkie komplementa jakimi płaci hojnie naszą próżność narodową. Niestety! to była zaledwie moneta fałszywa! Czyż dobrzy ci krytycy, nie czytali uważnie lub nie zrozumieli tej ciekawej książki? Czyż potrzeba mi przytoczyć list z 13 lutego 1831, wyborny dla zwrócenia uwagi naszej patryotycznej dumy? Streszczam go: „Jeśli Francuzi działają tak prędko korzystając z obecnego czasu, to dlatego, że może przeczuwając nadejście zachodu słońca, spełniają szybko zadanie dnia. Ich rola wszakże zawsze jest piękną, a inne ludy stanowią tylko szanowną publiczność, przypatrującą się komedyi stanu odgrywanej przez lud francuzki. Prawda, że czasem ta publiczność objawia chętkę wyrażenia swego uznania lub nagany, a nawet wejścia samoj na scenę i zagrania jakiej roli, ale Francuzi: ci komedyanci zwykli dobrego Pana Boga, zostaną zawsze komedyantami głównymi dramatu powszechnego, czyby się ich zarzuciło wieńcami czy kartoflami. Nie, Francya jeszcze nie odegrała, ale już przeszła swą świetną epokę, a obecnie dokonywa się w niej przeobrazenie, którego zaprzeczyć nie można. Na jej czole fałduje się kilka zmarszczek, jej lekka głowa poczyna siwieć i schylać się stroskana, zajęta nietylko już tym dniem który płynie, ale i jutrem. My Niemcy, postępujemy zwolna, lecz co to szkodzi, przyszłość do nas należy, przyszłość długa.”

Jasnóm jest przeto, że my jesteśmy cywilizacją dzisiejszej chwili, i to dlatego nie szczedzi nam Heine tak wzruszających karesów, ale Niemcy są cywilizacją przyszłości, więc jeśli nam zostawiają terazniejszość, to łatwo poznać za jaką cenę. Używajmy szybko resztek, bo dni nasze policzone. Nasza wielka i świetna cywilizacja, jest tylko uczta Baltazara. Słowa tajemnicze przepowiadają już nam upadek, a ten co je nakreślił na murze Paryża, jest Henryk Heine, ten dobry przyjaciel Francuzów!

Gdyby Niemcy więcej były przenikliwe, gdyby lepiej pojmowały wielkie sprawy, zamiast się trzymać na uboczu podejrzliwie i śmiesznie, to poszłyby za przykładem Heinego, to jest przyswoiłyby sobie nasze obyczaje, idee, naszą cywilizację; wzięłyby od nas dowcip, grzeszność, wdzięk i elegancją, które opromieniają uroczy nasz geniusz narodowy. Przyspieszyłyby przeto swoje sprawy o kilka wieków. Trzymając się zaś na uboczu, odkładają na czas nieoznaczony występ swój na scenie świata. Więc też poeta pamfletyczny, nie ma dość wybuchów przeciw tej niedołężności swych współziomków *Teutomanów*. Wyczerpuje słownik obelg, na wyklinanie tych tak zwanych reprezentantów narodo-

wości niemieckiej, tych *falszywych patryotów*, u których miłość ojczyzny polega na *wstręcie głupim* do wszystkiego co obce. „Tak woła, tych potomków teutomanów z r. 1815, którzy tylko zmienili swój dawny kostyum szaleńców ultra-teutomańskich i tylko przykróćili sobie trochę uszu, nienawidziłem i zwalczałem przez całe me życie, a teraz gdy miecz wypada z ręki konającego, pocieszam się przekonaniem, że komunizm który ich pierwszych napotka na drodze, zada im cios ostatni, i nie będzie to cios maczugi, nie, ale olbrzym zgniecie ich tylko prostem kopnięciem nogi, tak jak się przygniata *ropuchę*.”

Gdybyśmy chcieli zebrać nasz sąd o *Lutecyi*, sąd ten wypadłby surowy. Jesteśmy atoli nieczuli na wdzięk niespodzianki, na urok najświetniejszego dowcipu igrającego z wypadkami, i oświecającego nagłym blaskiem najwyższego rozumu najdziwniejsze żarty; nie zapoznajemy szczególnego daru niewyczerpanej werwy, wyskoków wesołości lub rozpaczliwego smutku, lub też owego okrucieństwa słowa, owę zdradę wyrafinowanej alluzji, owę wykończoną wreszcie sztuki, zabójstwa literackiego i tortury epigramatycznej. Nie, wszystko to pamiętamy, ale wszystko to zasmuca. Wielbimy grę fantastyczną pisarza i zuchwałe kaprysy pióra, lecz nie budzą one w nas sympatyj.

Nie zaprzeczają świetności szczegółów, całość męczy nas. Tyle złośliwości i niesprawiedliwości, tyle sądów wstecznych, tyle małuczkich ludzi wznieisonych ironicznie może, a tyle wielkich ludzi, prawdziwych talentów i szlachetnych charakterów ponizonych, z wściekłą niemal rozkoszą! Heine dał parodię ducha, zgadzam się, ale nie dał obrazu Francyi.

Heine ideami swemi społecznymi (w książce o Niemczech), chciał przestraszać. Zdaje się, jak gdyby go to wielce radowało bawić się kosztem publiczności. Posługuje się tu manierą straszliwego p. Proudhona, który miał przyjemność cisnąć od czasu do czasu w milezący i spokojny ogół, jakiś axyomat złowieszczy: *brzmiały w uszach poczciwych ludzi jak dzwon pogrzebowy*. „*Własność jest złodziejstwem—Bóg jest złem*. Wyobrażam sobie tajemną radość wielkiego szydery, patrzącego na strach, jakiego nawarzył. Mógłbym prawie stwierdzić, że taka rola złowieszcza pochlebiała jego próżności, pragnącej się odznaczyć. Otóż Heine jest kuzynem Proudhona w ironicznej zuchwałości. I on także cisną okropnym sarkazmem na sprawę ludzkie i boskie, i on także lubi w utarczce posługiwać się religią i metafizyką. Śpiewa tonem lirycznym, wszystkie wielkie klęski i katastrofy Boga, zapowiada tonem natchnionego czasu nowe, w których ciało zajmie należne sobie miejsce w świecie i życiu, lecz zanim czas ten nadejdzie, potrzeba będzie stoczyć niemałą walkę. Niemcy będą mieć swą rewolucyą. Prorok wyrzuca kłatwy piorunu: drzyjcie mieszczuchy! Nie zawiedziecie najgorętszego pragnienia Heinego, umrzyjcie ze strachu dla zrobienia mu satysfakcyi.

Zaiste, Heine nadużywa roli karawaniarza politycznego i terrorysty religijnego. Jest coś dziecinnego w grze gwałtownej jego stylu, przeznaczonęj na przemianę zdrowego sensu w osłupienie. Przecież czytelnicy jego to nie dzieci, nie przelekną się takiej np. przepowiedni: „Przyjdą kantyści nie chcący słuchać litości, niszczący bez miłosierdzia, mieczem i toporem ziemię naszego życia europejskiego na to, ażeby raz wytepić ostatnie szczątki przeszłości. Przyjdą i ficheiści uzbrojeni, których fanatyzmu woli, nie uszkromi ani obawa ani interes... Lecz najstraszliwsi ze wszystkich będą filozofowie natury, którzy wtrącają się czynem w rewolucyą niemiecką, jednocząc się sami z dziełem zniszczenia. Bo jeśli kancista uderza silnie i ręką pewną, i serce jego niewzruszone żadną czią tradycyjną, jeżeli ficheista pogardza niebezpieczeństwami, bo nie istnieją one dla niego w rzeczywistości, to filozof natury będzie najstraszniejszy w tém „że zostaje w związku z siłami pierwotnymi ziemi, że zażęgnywa siły ukryte tradycyi, że może wywołać siły panteizmu germańskiego, i że nareszcie wznieca w sobie ten zapał do walki, który mieli dawni Niemcy, a który chce walczyć nie dla zniszczenia, ani dla zwycięstwa, ale li tylko dla walki.”

Po wyliczeniu legionów uzbrojonych przeciw społeczeństwu i cywilizacyi, następuje obraz fantastyczny rewolucyi niemieckiej, rozkiełznanęj i wypuszczonej na świat. Kiedy krzyż się złamie, starożytna dzikość zrodzi się w krwi niemieckiej, dawne bóstwa powstaną ze swych bajecznych grobów, Thor wypręży się, trzymając obrzymi młot i zwali katedry gotyckie. Grzmot w Niemczech jest także niemiecki, grzmi on zwolna, ale uderzy, a gdy usłyszycie łoskot jakiego jeszcze nigdy nie było w świecie, wtedy wiedziecie, że grzmot niemiecki uderzył nareszcie. Wtedyto ludy ugrupują się, jak stopnie amfiteatru około Niemiec, ażeby przypatrzeć się wielkim igrzyskom. Wtedy też, Francuzi, moi przyjaciele, —to radzi wam Henryk Heine,—bądźcie cicho i nie wtrącajcie się, bo mogłoby wam się źle przytrafić”.

To jest próbka tonu filozoficznego Heinego: przesada gwałtowna w ideach, liryzm rozkiełznuany zmieszany z trywialnością, styl wrzawliwy, źle ukrywający tumultem słów, brak przekonania, ironia lubująca się w przestraszaniu dusz, wzywająca na świadków potęgi niebios i ziemi. Prócz tego zaś, dowcip połyskujący, werwa niewyczerpana, geniusz *humoru* ale *humoru* obmyślonego. Zuchwałością wstrząsa Heine najbardziej uspione dusze, rozumiętua czytelnika, drażniąc go czelnością metafizyczną, i w chwilę potem rozbrajając najdziwaczniejszym żartem. Czasami znów, błysnie promyk zdrowego rozumu, niby błyskawica oświecająca orgię nocną.

Nie myślimy się okrywać śmiesznością, zbijaniem djatryb któremi dwadzieścia lat temu, pokrywał Heine swój *zmysłowy* panteizm. Sam ich się prawie wyparł we wstępie do nowęj edycyi i w sławnym a głośnym swego czasu utworze p. t. *Wyznania poety*. Sam podjął się na siebie krytyki i spełnił ją su-

miennie, o tyle przynajmniej, o ile on jęj zdolnym, to jest przepłatając rzeczy poważne fraszkami. Wyznaje nam ze szczerością wysokiej komiki, motywa które go poróżniły z Saint-Simonistami i innymi apostołami rehabilitacji ciała. Wowym czasie, widział w nich stronnictwo najbardziej postępowe emancypacji ludzkości. Zajmował się nimi, jak się zwykło zajmować zwyciężonymi, i czuł dla nich sympatyę duszy szlachetnej względem męczennika. Nie wahał się nawet, powiada, narazić na śmieszność, którą trochę dobra ich sprawa pokrytą była. Ale stan rzeczy zmienił się, męczennicy dawniejsi nie noszą już krzyżów, chyba krzyże legii honorowej, nie przebiegają boso puszcz Arabii ażeby wynaleźć kobietę wolną, bo ci emancypatorowie węzłów małżeńskich, za powrotem ze Wschodu sami się poženili; *stali się epuzerami nieustraszonymi Zachodu, i noszą buty*. Większość tych męczenników bogata dzisiaj, niektórzy z nich są *néo milionerami*. Prędko się leci koleją żelazną. To też entuzjazm Heinego dla tych wielkich proroków przesładowanego ciała i kobiety wolnej, znacznie zwolnił. Dostrzegł, że ci sławni nieprzyjaciela cywilizacji, są o tyle tylko jęj nieprzyjaciołmi, o ile w niej miejsca dla siebie znaleźć nie mogą, co naturalnie otwiera skromniejsze nawet oczy od oczu Heinego. Daje przez to do zrozumienia we wstępie, że nie trzeba brać zbyt na seryo, jego *zuchostwa* w studyach o Niemczech. Rozczarował się ze swych złudzeń nad tą biedną i smutną boginią: ludzkością.

Lecz dwadzieścia lat temu, była to młodość gwałtowna, nieumiarkowana, prorokująca. Przedstawili oczom naszym obraz tej filozoficznej młodości: zapoznajmy się z nią.

Studia które tworzą pierwszy tom książki o Niemczech, stanowią protestacyę przeciw fałszywemu tłumaczeniu umysłu niemieckiego, spowodowanego książką pani de Staël. Heine więc przywraca stan rzeczy do dawnego porządku.

Prawdziwy początek filozofii niemieckiej, datuje się od Reformy; Luter albowiem, wyswobadzając religię, stworzył myśl wolną, tę matkę nowoczesnego świata. Religia sama zmienia nie tylko charakter, ale prawie swą naturę. Trzeba poszukać, czego zapewne czytelnik nie wiedział, że kościół rzymski był w gruncie rzeczy niczém innym, tylko dawnym spirytualizmem żydowsko-deistycznym, który pod nazwą wiary ewangelicznej, rozwinął się odpowiednio do czasu i miejsca. Ciało przybiera na nowo swe prawa przyrodzone, kapłan staje się człowiekiem, biorąc żonę i nie wstyżając się swych dzieci. Z drugiej strony, Bóg staje się celibataryuszem niebieskim, świętych medytujących, aniołom ucinają skrzydła, matce Boga zdzierają wieniec, cuda przestają istnieć, nauki przyrodzone czynią postęp, słowem świat nowy się rodzi. Wszystko to dziełem jest Marcina Lutera, któremu Heine oddaje najwyższe zaszczyty. Reformator stwarza erę nowych wieków wolnością myślenia, stwarza również literaturę narodową dając jęj język, jako wyrażenie tejże literatury. Reforma filozo-

ficzna idzie ślad w ślad za rewolucją religijną. Wielkimi pociągami pędzła, rysuje nam Heine te zmiany idei przeobrażające Niemcy, a które później, jeśli wierzyć mamy, przeobrażą świat cały.

Dochodzimy do drugiego peryodu myśli niemieckiej. Jest to chwila panteizmu z doktryną Spinozy, w której Niemcy się odzwierciedlić mają, którą przyjąć mają z zapalem, a która w zarodku mieści w sobie Kanta, Szellinga, Hegla. Tu z całą swobodą rozwijają się upodobania Heinego i nadzieje przyszłości, a to w żywej paraleli między panteizmem a deizmem. Bóg panteistów tём się różni od boga deistów, że jest sam światem, podczas gdy tamten jest w świecie, czyli ponad światem. Bóg deistów rządzi światem z góry na dół, jak gdyby zakład jakiś oddzielony od siebie, tak że deiści różnią się między sobą tylko co do sposobu tego rządzenia.

Hebrajczycy przedstawiają sobie Boga, jako tyrana uzbrojonego piorunem; chrześciance jako Ojca pełnego miłości; uczniowie Roussa i cała szkoła genewska robią z niego zręcznego artystę, który sfabrykował świat w podobny sposób jak ich ojcowie zegarki, i jako znawcy, uwielbiają dzieło i chwalą mistrza siedzącego wysoko. Dla deisty świętym jest tylko duch, ponieważ uważa go jako technienie Boskie. Żydzi uważali ciało jako rzecz pogardy godną; chrześciance, ci ultrasy spirytualizmu, ogłaszali ciało złem, godnym potępienia, zaszczipionem przez szatana. Ale ciało buntuje się, tak jak i materya niesłusznie ponizona. Ludzkość wzdycha za potrawami pożywniejszemi, anizeli jest ciało i krew mistyczna. Potrzeba pogodzić materyą z duchem. Nie, złe nie tkwi jak to chce chrystyanizm: w materyi. Materya staje się złą wtedy dopiero, gdy musi sprzysięgać się potajemnie przeciw samodzierzstwu ducha, gdy duch ją skaził lub gdy się zniestawiła pogardą własnowolną, albo nareszcie gdy mści się nieszczerze na duchu, skrywając tajemne swe rozkosze pod maską obfudy. Złem jest kłamstwo. Panteizm zniszczy złe i zgnębi dawne kłamstwo, ucząc ludzkość całą, to jest: duszy i ciała, materyi i ducha, że jest inkarnacją Boga.

„My nie walczymy—powiada Heine—za prawa ludzkie, lecz za prawa boskie ludzkości. Nie chcemy ani sans-culotów, ani mieszcuchów skromnisiów, ani prezydentów skromnych; zakładamy demokrację bogów ziemskich, równych w szczęściu i w świętości. Wy żądacie ubrań skromnych, obyczajów surowych i ławtych uciech, a my przeciwnie pragniemy nektaru ambrozyi, płaszczów purpurowych, rozkoszy, pachnidła, tańców nimf, muzyki i komedyi... Bez gniewu, cnotliwi republikanie! Na wasze zarzuty odpowiemy słowami błazna Szekspirowskiego:

„Czy sądzisz, że dlatego iż ty jesteś cnotliwy, to na świecie nie powinno już być ani ciast złoconych, ani wina kanaryjskiego?”

To ma być religia nowa, filozofia nowa przyszłości, panteizm, prawdziwy katolicyzm ludów, który jedynie zaspokoi pragnienia ludzkości. Już w r. 1835 zapewniał nas Heine, że panteizm jest sekretarzem jawnym Niemiec. „Istotnie—powiada—zanadto przerosliśmy deizm. Wolni jesteśmy i nie chcemy tyrana z piorunem; pełnoletni jesteśmy i nie mamy potrzeby opieki ojcowskiej; nie jesteśmy też już dziełem wielkiego mechanika; deizm jest religią dobrą dla niewolników, dzieci, Genewczyków zegarmistrzów.”

W takimto stylu dziwacznie lirycznym, zdaje Heine sprawę z wielkiego wydarzenia filozoficznego, które przygotowało drogę Szellingowi i Heglowi, czyli poświęcenie publiczne panteizmu. Chodzi tu o publikacyą *Krytyki czystego rozumu* Kanta. Jest to dlań dzień 21 stycznia deizmu. „Strach pełen czci—powiada—i tajemnicza pobożność nas ogarnia. Serce nasze pełne spólcucia... *bo oto stary w niebiesiach przygotowuje się na śmierć.* Zналиśmy go dobrze od kolebki jego w Egipcie, gdzie się chował pomiędzy wołami, krokodylami świętymi, ibisami i kotami! Widzieliśmy go, żegnającego się z rówieśnikami dziecięctwa, z obeliskami i sfinxem Nilowym; potem zaś w Palestynie gdy się stał małym królem—bogiem z ludu ubogiego pasterzy. Widzieliśmy go później w styczności z cywilizacyą assyro-babilońską; i wtedy wyrzekł się swych namiętności zanadto ludzkich, przestał wylewać gniew i zemstę, przynajmniej nie bił piorunami o najmniejszą bagatelę. Potem emigrował do Rzymu, gdzie odprzysiągł się przesądów narodowych, i obwieścił równość niebieską wszystkich ludów. Pięknemi swemi zdaniem, stworzył opozycyę przeciw staremu Jowiszowi intrygując tak, że doszedł wkrótce do władzy, i z wysokości Kapitolu rządził miastu i światu *urbi et orbi.* Widzieliśmy go oczyszczającego się, uduchowniającego, stojącego się ojcowskim, miłosiernym, dobroczyńcą rodzaju ludzkiego, filantropem. Nic go ocalić nie mogło. Czy słyszycie odgłos dzwonka? Na kolona! niosą sakramenta Bogu, który umiera.”

Zwykle u niego sceptycyzm bywa zimny, a ironia unika dytyrambr, tutaj przeciwnie sceptycyzm się rozgrzewa, a sarkazm staje się lirycznym. Jakby szal pijanya przebija się w tych obelgach przeciw *staremu z nieba.* A nagle znowu przez zamięłowanie kontrastu, następuje kartka wzruszająca, słowo ze serca, ła prawie niebieska, spadająca w pośród téj orgii wyobraźni przewrotnej, i podbudzonej zmysłowości. Innym znowu razem, zablyśnie sąd zdrowy, umiarkowany jak gdyby dla odpoczynku umysłów po tyłu wstrząśnieniach, lub portrety żywe, skreślone w dwóch słowach z podziwienia godną trafnością. Nikt lepiej nie zdefiniował Szellinga jak on w tym frazesie: „P. Szelling jest to jedna z tych istot, którym natura udzieliła więcej gustu dla poezyi aniżeli potęgi poetycznej, a które niezdolne zadowolnić Muzy, chronią się w lasy filozofij, gdzie zawierają najniepłodniejsze śluby z abstrakcyjnymi nimfami drzewnymi.” — Lecz te jasne chwile trwają

krótko, już się wam zdaje że trzymacie za poły poetę lub filozofa, a mylicie się, bo to tylko arlekin.

Wyznania poety są tylko dopełnieniem i poprawką pierwszej części o *Niemczech*. Nie żeby to było bezwzględne odwołanie, potrzeba być zbyt naiwnym ażeby w to uwierzyć, lecz przynajmniej jest mniej pewności w tej bezbożności; stary z niebios nie tyle już sponiewierany; przebacza mu się wiele rzeczy których mu się dawniej nie przebaczało, i dochodzi się wreszcie do uznania, po wielu figlach, że dobry Bóg nie zupełnie jeszcze umarł. Odgaduje się po tych kartkach napisanych w dwadzieścia lat później, w najokropniejszych cierpieniach, pod grozą śmierci zawieszonęj nad łożem boleści, i pod naciskiem ubiegłych lat jakoteż myśli poważniejszych, jakieś mimowolne wzruszenie, jakiś żal za latami szału, a rzekłbym prawie i wyrzut sumienia. Więc też naturalnie wygląda wesołość, nie rozdziera już serca jak dawniej. Wspomnienia osobiste, przybycie do Paryża, zła i dobre znajomości tamże zawarte, rozmaite koleje szczęścia karyery literackiej, opowiadane są z finezyą, z dowcipem, z umiarkowaniem krotochwilnym. Jest tu jeszcze za wiele drwin z pani de Stael i z jej sentymentalności, i za wiele starych plotek wyszłych już z użycia we Francji przeciw tej znakomitej kobiecie; ale byłibyśmy zarówno niesprawiedliwi dla Heinego, jak on jest dla pani de Stael, gdybyśmy zaprzeczyć chcieli wdzięku tych świetnych kart. Najciekawszą atoli częścią w tych pamiętnikach osobistych jest ta, w której autor spowiada się ze swych zawodów filozoficznych. Przypominamy sobie, jakim brzmiał głosem dwadzieścia lat temu, zapowiadając przewrót w Niemczech. Chciał nas przestraszyć, a tymczasem tak się stało, że się sam karawaniarz przeląkł:

— Ach! woła, co się dawniej zdawało nadzwyczajnym, dziś za Renem wygłaszają wszyscy, a zapal fanatyczny tych kaznodziej nabawia niepokojem i obawą.

— Mamy teraz mnichów bezbożności, Torquemadów ateizmu, którzyby spalili pana Aroueta de Wolter za to, że w głębi serca posiadacz z Ferney jest niczem innym, tylko zatwardziałym deistą. Dopóki podobne doktryny należały do tajemnych przywilejów arystokracji literackiej ludzi wyższych, dopóki się dyskutowały językiem uczonej koteryi, którego nie rozumieli lokaje stojący za naszymi stołkami, nie rozumiejąc też naszych bluznierstw podczas obiadów filozoficznych, dotąd i ja należałem do tych płochych *esprits forts*, których większa część przypomina wielkich panów z przed rewolucyi, rozrywających sobie nudne życie dworskie nowemi ideami. Lecz gdym się spostrzegł, że i gawiedź uliczna rozprawia nad temi samemi przedmiotami w pijackich izbach, gdzie blask kaganka zastąpił zyrandole, gdy posłyszałem zaprzeczanie Boga ustami brudnych partaczy szewskich i krawców niezgrabnych, gdy ateizm począł cuchnąć mydłem, sznapsem i ta-

baką, wówczas roztworzyły mi się oczy, pojąłem nudę niesmaku, czego nie mogłem pojąć rozumem, i pokłoniłem się ateizmowi.”

Jakaż to lekcyja dla rozumu upijającego się podobnemi teoryjami, i jak ją Heine wyraża szczerze i żywo! Lecz nie wszyscy chcą się jej nauczyć, nie brakuje jeszcze we Francyi rehabilitujących ciała, mimo katastrofy Saint-Symonistów i ich towarzyszy. Marzą oni jeszcze o takim raj, w którym każdy członek rodziny poić się będzie ambrozyą, ubierać w płaszcz purpurowy, zachwycać nektarem pachnidel i tańcem nimf... Niechaj się jednak spełni ta rozkosz uniwersalna, będąca tak długo marzeniem, a ujrzymy równocześnie wiele jeszcze takich nawróceń jak Heinego. Marzenie takiego festynu olbrzymiego zmysłów, może wywierać urok na imaginacye epikurejskie, ale rzeczywistość odarłaby brzydko złudzenia, wszyscy komuniści arystokratyczni odwróciliby się rychło od takiego bezwstydu! Marzenie było poezją, urzeczywistnienie byłoby wstrętem.

Pyszna jest zartobliwa szczerść Heinego, opisującego kwitnącą epokę własnego ubóstwienia. Nie można drwić dowcipniej z siebie, ze swego postannictwa boskiego, i z tego co sam nazywa niedorzeczną pychą. Był młodym i pysznym, powiada, nie chciał nigdy wierzyć że Bóg stał się człowiekiem, ale wierzył Heglowi na słowo, utrzymującemu że człowiek stał się Bogiem. Sam uważał się za czystość wcieloną, spełniając rolę swą z zapalem, przywracając utracone dziewictwa i rozdając hojnie z budżetu swój boskości, gdy nagle z utratą zdrowia i pieniędzy, ujrzał znikające wspaniałe swe marzenie, tak że musiał abdykować ze swych obowiązków boga, ażeby się stać napowrót prostym śmiertelnikiem. Przyznaje że myśl o Bogu przyszła mu z chwilą cierpienia duszy. Było to wielką dlań pociechą, gdy na łożu boleści mógł pomyśleć że ma kogoś w niebie, do którego skierować może westchnienie.

„Jakże są głupi i okrutni, dodaje wymownie i ze szczerem uczuciem, ci ateusze, ci dyalektycy zimni i zdrowi, którzy siłą się na odebranie cierpiącym ich pociechy boskiej, jedyne go uspokojenia jakie im pozostało. Powiedziano, że ludzkość chorą jest, a świat wielkim szpitalem. Byłoby to straszniej jeszcze, gdyby powiedziano, że świat jest wielkim szpitalem bez Boga...”

Niestety, ironia Boga ciąży na mnie. Wielki Stwórca świata, Arystofanes niebios, chciał dać uczyć żywo małemu twórcy ziemskiemu, tak zwanemu Arystofanesowi niemieckiemu, że jego najostrzejsze sarkazmy były w istocie zaledwie ukłóciem śpilki, w porównaniu z uderzeniami piorunu satyry, którą humor boski, umie cisnąć na biednych śmiertelników. Ta gorzka fala szyderstw którą wielki mistrz oblewa mnie, okropną jest, a jego epigramaty wstrząsają mną.”

I znów nadchodzi arlekin.

„Lecz ośmielam się zrobić uwagę memu panu, że okrutny zart jakiego sobie ze mną pozwala, trwa za długo, bo ciągnąc się już przez sześć lat, może się stać nareszcie nudnym.”

Szyderstwo nie wygasło nawet po zrzeczeniu się boskości. Zafujemy jednak zarówno tych, którzy ufając kilku dobrym słowom rozsiąnym tu i owdzie w *Wyznaniach poety*, uwierzyli w nawrócenie satyra, jak i tych którzy widząc co chwila wysuwającą się naprzód nogę widełkową, wzięli *Wyznania* te za nową ironią i za jedno bluźnierstwo więcej. Jedni są za naiwni, drudzy wcale nie. Poeta śmieje się jeszcze i to bez litości, ale wśród tych sarkazmów czuć boleść, i jakby świeżą aspiracją. Dawniej był to tylko sarkazm, dziś jest to człowiek sceptyczny jeszcze to prawda, ale który odzyskał serce i zdwoił duszę.

Możnaby sądzić, że przepędziwszy tyle szalonych lat życia, jak nam o tem mówi w najdziwaczniejszy sposób, na karczemnym bałowaniu z filozofią, że poddawszy się tylu *susom* umysłu, i przetańczywszy z tyloma systematami bez znalezienia w nich zadowolenia, tak samo jak Messalina nie znajdowała w owych wycieczkach nocnych zadowolenia lecz zmęczenie, możnaby więc sądzić że nagle uklęknie, tym razem szczerze przed Bogiem Ewangelii. Nie wierzmy zbyt oświadczeniom wielkiego szyderycy, z nim to trzeba być zawsze na ostrożności, żeby nie być wydrwionym.

Nie mieliśmy okazji mówić o innych częściach, bardziej literackich, księgi o *Niemcach*. Byłoby jednak niesprawiedliwie, nie oznaczyć przynajmniej pobieżnie, godnego uwagi szkicu literatury idącego aż do śmierci Getego, i zapomnieć o tej galeryi żywej i malowniczej żyjących poetów. Lecz co przekładamy nad te portrety literackie, w których zawsze przebija się tendencyjność systematu, to trzy utwory zachwycającej oryginalności: *Legandy ludowe, legenda Fausta i bogowie na wygnaniu*. Tutaj objawia się sam tylko poeta, a co jest dla nas powodem niezmiernego zdziwienia, a raczej znamię nadzwyczajnej giętkości umysłu, to to, że ten rozuzdany sceptyk, ten szyderycy ateusz, umie się przeobrazić w opowiadacza nieporównanego, wyrażającego z szczególną naiwnością uczucia głębokie i narodowe Niemiec, uczucie fantastyczności i nadnaturalności, będące echem uczucia nieskończoności. W tych opowiadaniach obrazowych i nacechowanych prawdą, tłumaczy on *duszę marzącą a silną* swęj ojczyzny. Pozbierał on te baśnie cudowne i te legendy, radujące i straszące czuwających w nocy, z ust ubogich ludzi, w wieczorach zimowych, u ogniska nędznych chat. Zdaje się, jak gdyby odczuł w swém sercu wszystkie te strachy, i drżał przenikającym dreszczem; opowiada je też udzielając wzruszenie tak, że ten który dopiero wskazywał nam wieczność milczącą i puste niebiosy, czaruje nas teraz i mięsza baśniami usłyszczanymi od jakiego ślepeca może, lub od starej babuni. Przywilej to podziwienia godny wyższego umysłu, który samą siłą imaginacyi, trzyma się bezstronnie, przywracając sposobem sztucznym, którego ślad zatrzcć umie, uczucia naiwne dawniej stracone!

Bogowie na wygnaniu mają swój właściwy charakter. Uczucie zabobonu i legendowe zlewa się harmonijnie z poczuciem hellenjskim. Heine Grekiem jest w pewnych odcieniach swęj wyobraźni, i z tęj tęz tylko strony. ze szkoły Getego. Ma on w najwyzszym stopniu poczucie piękności plastycznej, opowiada ze jeden z jego przyjaciół, a tym przyjacielem jest on sam, płakał raz gdy czytał obronę świątyń greckich przez Libaniusa. Zbiera on ze czcią prawie pobożną szczątki, wspomnienia, resztki poganizmu, nie należące już do religii umarłej ale do sztuki, żyjącej wiecznie.

W urnie swęj poezyi poświęcił on popioły tych bogów dawnych: *ten kurz pogruchotanych marmurów*. W proch ten tchnie on boskiem tchnieniem poezyi, a pogruchotane marmury powstają, świątynie wznoszą się w dawnej majestatyczności, a sztuka wieczna poznaje swe zniknione dzieła. Bierze ten popiół pełen chwały, i potężném tchnieniem czarodzieja, wywołuje cały lud żyjący i młody wskrzeszonych bogów. Biedni ci bogowie, są paryasami średnich wieków, i ofiarami Chrystyanizmu. Scigają ich jak dzikie zwierzęta, zmuszają do chowania się po nocy w najciemniejszych kryjówkach. Zabobon zaś ludu gorzej postępuje niż żeby zabijał, bo upadła; w obec niego są to złe demony chowające się za dnia, a za nadejściem nocy wychodzące z kryjówek, przybierające ponętną postać, aby tém lepiej pobłąkać biednych wędrowców, i wpędzić ich w zdradzieckie sidła. Olimp nie zginął. Niestety! lepiej byłoby żeby zaginął w wielkiej katastrofie; nie zginął lecz stał się przedsionkiem piekieł. Tak ten piękny Olymp wyperfumowany ambrozyą, w którym bogowie na purpurowém wezgiłowiu kosztowali boskich rozkoszy, stał się nieczystą kryjówką, przygotowującą niecne czarodziejstwa. Rasa bogów tak pięknych i szlachetnych, tęj rodziny znakomitej, bogiń idealnie pięknych i bohaterów majestatycznych, wszystko to teraz opętane jest szatanem, a pani Wenus a nie jest niczém in-ném tylko czarownicą pracującą dla szatana! Heine zapewnia, że ją spotkał pewnego dnia spacerującą po placu Breda krokiem lekkim, zamiatającą bruk końcem pysznego indyjskiego szala. Była to Wenus przedzierzgniona w zalotnicę. Tak, Wenus, ta promieniejąca piękność Homera, Wirgilego, Lukrecyusza, która jest obecnie sławną kobietą pół świata, damą kameliową, boginią podejmowaną cudzym kosztem. Takim to tonem lekkim i nadobnym, mieszczącym tyle przekonania ile trzeba dla poetyczności, tyle sceptycyzmu ile trzeba dla lekkości, opowiada Heine opłakane przygody tych biednych bogów, pędzących na ziemi życie napiętnowane. Skreśla rozmaite ich przygody z pozorną powagą, która właśnie cały wdzięk stanowi. Potrzeba czytać historię pięknego Dionizjusza i Bachusa, który został zakonnikiem w głębokim Tyrolu, lecz obchodzącego corok w *equinoctium* swoje święto ogromnym sabbatem, przypominającym mu przynajmniej przez jedną noc, sławę czasów ubiegłych. Lecz je-

steście nieczuli, nie przelawszy ani jednej łzy nad losem biednego Jowisza, który jest jedynym mieszkańcem *wyspy królików*. Gdy się dowiaduje stary bóg od młodego marynarza, że piękna świątynia jego w Grecyi stała się nędznym zwaliskiem, zaludnionem prosiętami, upada omdlały na kamienie, płacząc jak dziecko, a erzel jego wierny wydaje krzyk przeraźliwy, i marynarze uciekają wylęknieni.

Heine celuje w oddaniu żywym tego poganizmu popularnego, przeniesionego w legendę. Żadne z opowiadań Hoffmana nie przewyższa w fantazyi tych dziwnych baśni, gdzie wspomnienia czasów poetycznych, miarkuje uczucie chwili współczesnej. Całość dwóch tych natchnień, ułożonych zręcznie z pozorną naiwnością, sprawia potężne wrażenie. Przyciąga ona jak powieść, nęci poetycznością jak mitologia, co wszystko okrasza ironia nowoczesna wraz z dowcipem najindywidualniejszym.

Mówiliśmy wyżej, wspominając *Korrespondencyą*, że jest ona wybitnym dowodem niebezpieczeństwa, wynikającego z obrazonej osobistości, najgorszej doradczyni talentu. Lecz trzeba się porozumieć, myślałem tu albowiem o tej osobistości niespokojnej, mściwej, zajętej drobnymi pobudkami próżności, czyniącej się centrum wszech rzeczy, wyobrażającej sobie że nie ma większej zbrodni jak zaprzeczenie prawa boskiego geniuszu, słuszności wielkich i drobnych namiętności, błędów nawet, z których każdy sprawiedliwym jest lub koniecznym. Takiej osobistości znajduje się zbyt wiele w pismach i listach Heinego, i ta zasługuje na potępienie.

Lecz istnieje jeszcze inna osobistość, która cechuje charakterystycznie wybitnie talent jego. Takiej osobistości miał poczucie jasne, jakkolwiek przesadzał w wyrażeniu, naprzykład wtędy, gdy w szeregu porównań niebardzo skromnych, przeciwstawił własne tendencye tendencyom geniuszu Getego. Zmysł jego estetyczny i krytyczny nie mylił go, gdy utrzymywał, że: „zasada epoki Getowskiej, idea sztuki ginie, że z nowymi czasami nowe poczynają się zasady... że świat *przedmiotowy* piękna, stworzony słowem i przykładem Getego, *getyzm* wali się pod napływem nowych umysłów, ustępując miejsca czystej *przedmiotowości* (subiektywności)... Sztuka i starożytność, woła dumnie, nie będą w stanie zepchnąć natury i młodości”. Wiele tkwi prawdy w tych oświadczeniach Heinego. Jakkolwiek zanadto podnosi rolę swą i znaczenie w rozpoczętym ruchu, niezaprzeczenie jednak jest naczelnikiem szkoły; oddziałał silnie przykładem własnym i zachętą przeciw wyłącznemu panowaniu, tyrańskiemu niemal Getego. On także był mistrzem, twórcą i inicjatorem. Od *księgi pieśni: Reisebilder* poczyyna się dla poezyi niemieckiej, era osobistego liryzmu, nie tyle starającego się o dokładne odtworzenie form plastycznych starożytności, ile o wyrażenie życia i ruchu, duszy nowoczesnej akcentem oryginalnym. W tém leży trwała wielkość Heinego. Ażeby go dobrze zrozumieć, potrzeba ściśle rozróżnić te dwa ro-

dzaje osobistości: jedną która jest zasadą jadowitą talentu, drugą która go odnawia i odżywia, będącą tylko formą egoizmu namiętnego, próżnego, despotycznego i drugą, która jest formą nową sztuki, prawdziwie ludzką i żywą; jedną która tylko siebie widzi w naturze, drugą która widzi naturę w sobie, która czuje rzeczywistość w naszém uderzeniu serca, w każdym ruchu życia i która je tłumaczy tonem indywidualnym, w całej szczerości i niepodległości. Jedna była zgubnym natchnieniem *Korrespondencyi* Heinego, druga zasadą nieśmiertelnie młodą jego poezyi, rzekłbym nawet: poezyi nowoczesnej. Pozostanie on albowiem, jednym z najprawdziwszych i najżywszych jój typów.

E. Lubowski.



BUKOLICZNA POEZJA

W STAROŻYTNEJ GRECYI.

NAPISZŁ

Zygmunt Węclewski.

Najpiękniejszym płodem, najwonnejszym kwiatem poezji greckiej po czasach Alexandra W. była poezja bukoliczna.

Sycylia, owa piękna i żyzna wyspa na Śródziemnym morzu, słynąca z wesołości, dowcipu i wymowności mieszkańców, o ile ci byli greckiego pochodzenia, lecz pozbawiona, uważana jako całość, samodzielnej historii i jednolitego charakteru narodowego: Sycylia, która zresztą wydała bardzo mało prawdziwych i oryginalnych poetów, była kolebką i ojczyzną greckiej pieśni pasterskiej i Teokryta.

Już w czasach mitycznych, jak głosi tradycja, pasterze sycylscy (Komatas, Menalkas, Diomos) byli niezwykle śpiewni i muzycalni; lecz nad wszystkich odznaczył się płodnością i bogatym talentem muzycznym pasterz *Dafnis*. On też w śpiewach zachowanych z czasów późniejszych występuje jako reprezentant stanu swego, jako pasterz nadzwyczajnej urody i niezwykłej ogłady, nakoniec jako wynalazca śpiewu bukolicznego (bukoliasmos). On, syn Hermesa bożka i nimfy, przez matkę wyrzucony w wawrzynowym gaju, od tego wypadku wziął nazwisko swoje 1).

Nimfy go wyniańczyły i wychowały; bożek Pan sam uczył gry na flecie. Następnie był mnogich trzód pasterzem, a pieśni przez niego ułożone przechodziły z ust do ust i rozlegały się po całej Grecyi. Polował *Dafnis* także z Artemidą i rozweselał boginię grą na fujarce i sielskimi melodyjami. Pokochawszy się w nimfie, usłyszał z ust jej wyrok, że wzrok straci, gdyby z inną przestawał niewiastą. Na nieszczęście królowna jakaś upoiła pasterza i przywiodła do tego,

1) Grecki wyraz *dafne* znaczy *wawrzyn*, a *dafnis*, owoc wawrzynowy, u Hippokratessa.

że przeniewierzył się ukochanej nimfie. Niebawem groźba straszną spełniła się. Dotknięty ślepotą rzucił się podobno w przepaść. Według innej tradycyi nimfa zazdrosna przemieniła go w kamień; w innych wreszcie okolicach rozeszła się wieść, że Hermes wziął pasterza do nieba i że z miejsca, z kąd bóg go unióś, wytrysnął źródło, przy którym jeszcze w późniejszych czasach historycznych składano ofiary 2).

Smutne dzieje Dafnisa i sławę jego, jako najśpiwniejszego i najpiękniejszego pasterza, długo opiewali i wielbili śpiewacy, mianowicie w święta doryckiej Artemidy, zwanęj Faselitis; a szli albo z sobą o lepszą, puszczając się w zawody np. w mieście Tyndaris, albo chodzili po kraju, wygłaszając pieśni przy wtórze muzyki, wystawiające mistrzostwo w grze i śpiewie lub oplakujące niedolę jego. Stezychoros z Himery pierwszym był znanym poetą i twórcą tego rodzaju utworów. Jego to pieśni bukoliczne rozwodziły żal nad nieszczęśliwym końcem urodziwego Dafnisa 3).

Gatunek ten poczyli wydoskonalił i nadał mu postać idylliczną (ejdylliów), t. j. postać obrazków zdjętych wernie z życia ludowego Teokryt, który w trzecim stuleciu przed Chr. żył, już to na wyspie Sycylii, już to w Alexandryi, stolicy Egiptu: dla uczoności i ogłady światowej tam w łaskach u Hierona II, tu u Ptolemeusza Filadelfa. Równocześnie z Teokrytem lub nie wiele po nim żyli i wystąpili także jako autorowie sielskich pieśni Bion i Moschos.

Pod nazwiskiem Teokryta zachowało się do naszych czasów trzydzieści ejdylliów, pisanych po największej części w heksametrach; a układał on prócz tego epigramy, hymny, elegie i powieści epiczne. Trudno rozstrzygnąć, czy starożytni poczytali wszystkie ejdyllia za poezję bukoliczną, czy wszystkie te utwory rzeczywiście są utworami Teokryta. To pewna, że ejdyllion pierwotnie nie oznaczało wcale pasterskiej pieśni. Wolno to wnioskować z tego, że starożytni grammatycy nie pod tym nazwaniem poprosto wspominali pieśni Teokrytowe, lecz że je zwali Teokryta bukolicznymi ejdylliami. Pojęcia te nie były więc identyczne czyli równoznaczne. To też w ejdylliach nie pasterskie jedynie opisywano życie; lecz rozumieli przez nie, później przynajmniej, starożytni w ogóle obrazki z życia ludowego, nacechowane piętnem sztuki, czyli tak zwane obrazki rodzajowe (*tableaux de genre*). Dlatego możnaby właściwie mówić o bukolicznych czyli pasterskich, o żniwarskich, rybackich, zagrodnych, miejskich i t. p. ejdylliach Teokryta. Ale że pomiędzy ejdylliami Teokrytowymi najwięcej było takich, w których opiewano życie sielskie, pasterskie, ztąd poszło, jak zdaje się, że nazwanie bukolicznych ejdylliów przeniesiono na wszystkie jego utwory, mające formę tę samą, co właściwe bukoliczne, i że poezye nie odnoszące się wcale do życia wiejskiego, nawet nie do ludowego, liczone do bukolicznych, np. tren Moschosa na śmierć

2) Schol. do Teokr. 8, 92. — Owid. Przemiany, 4, 278. — Serwiusz do Wirgil. Eklog. 5, 20.

3) Eliana, Różne hist. (Variar. hist.) ks. X, 18.

Biona. Forma więc jedynie tym różnorodnym rodzajowym obrazkom wspólna przyczyniła się do tego, że im wspólną nazwę bukolicznych ejdyllion nadano i że następnie z powodu formy normalnej pasterskich pieśni, zachowanej w utworach odmiennym zupełnie duchem technicznych, nazywali się nawet Bion i Moschos pasterskimi pieśniarzami lub biegłymi w śpiewie pasterskim poetami.

Forma w utworach tych była rzeczą główną; a formę tę można nazwać muzykalną. Cechami bowiem zewnętrzniemi formy tej są: 1) *Wrotka (refrain, versus intercalaris)* np. w 1 ejdyl., w którym Tyrzys śpiewa żadaną pieśń o śmierci Dafnisa — a zupełnie inaczej tam opisano powód do tragicznego końca jego — i powtarza po trzecim, czwartym, piątym i szóstym wierszu pieśni wrotkę:

Śpiew, ukochane muzy, zacznijcie:
Zabrzmiście, muzy, pieśń sielską!

albo w 2 ejd., gdzie czarownica co piąty wiersz powtarza wrotkę:

Kręć mi się, frygo, kręć się i sprowadź
Do domu znowu młodzieńca.

2) podział całości na równe mniej więcej ustępy czyli strofy, choć je nie zawsze wrotka powtarzająca się rozdziela. Tak np. w trzecim ejdyllion mamy głównie ustępy z 3 hetrametrów złożone, które w polskim przekładzie oddałem za przykładem naszych sielankopisarzy przez strofę czterowierszową. Ejdyllion to w przekładzie brzmi:

AMARYLLIS.

Wesołym śpiewem ucieszyć idę
Kochaną Amaryllidę.
Niechaj się pasą kozy nad wzgórzem,
Tytyros będzie ich stróżem!
Och! mój Tytyrze! serduszek moje! 4)
Paś kozy, żeń je nad zdroje!
Kozła unikaj wždy Libijczyka
Masłowatego, bo tryka.
Amaryllido wdzięczna! przecz z groty
Wołając na mnie: „Mój złoty!”
Już nie wyglądasz teraz ukradkiem?
Żalim ci obmierzył przypadkiem?
Żali, gdy zbliżka patrzysz, perkaty
Nos mój? czym nazbyt brodaty?
Dziewucho! widzę, że cię ucieszę,
Gdy się z rozpaczy powieszę.

4) Tytyros, wyraz dorycki, oznacza tu kozła — przewodnika. Właściwie, zdaje się, znaczy to, co „kudłaty, kosmaty.”

Dziesięć przynoszę jabłek ci oto!
 Zerwałem one z ochotą
 Tam, gdzie kazałaś, posłuszny słowu.
 Inne dam jutro ci znowu.
 Patrz-że na boleść serce trawiącą!
 Obym był pszczołą brzęczącą!
 Przez bluszcz i gęste paproci sploty
 Do twojej wleciałbym grotty.
 Wiem już, czém Eros. Bóg srogi. Lwica
 Jego karmiła; rodzica
 Chowala zasię, gdzie knieja dzika.
 Oh! zre mię i wskroś przenika!
 Dziewko wabnego śmieszkiem spojżenia,
 Daj, czarnobrewko z kamienia,
 Gęby w uścisku! Całować usta,
 Zabawa słodka, acz pusta.
 Chcesz-li? Drę zaraz wianek na szmaty
 Z bluszczu, wonnemi róż kwiaty
 I potocznika ot! przetykany
 Dla Amaryllis kochanej!
 Biada! cóż pocznę? Nie słuchasz wcale?
 Niebogi rzucę się w fale,
 Ściągnawszy kozuch, gdzie dla tuńczyka
 Toń rybitw Olpis przenika.
 Ha! ależ gdy się w falach pogrzebię,
 Wielce ucieszy to ciebie!
 Gdym, czy mnie kochasz, badał niedawno,
 Powziąłem wróżbę złą jawno:
 Liść maku nie pękł z trzaskiem, bez dźwięku
 Rozdarty w tłustym zwiądl ręku.
 Wyszła z Agroi ust prawda szczerą,
 Gdy kłosa po niwie zbiera,
 Że lgnę do dziewczki, wróżyła z sita,
 Co o mnie wcale nie pyta.
 Wiedz, z dwojgiem bliźniąt dla ciebie biała
 Kózka się u mnie chowała;
 Mieć Erytakis, Mermnona śniada
 Dziewka, chciałaby ją rada.
 I podaruję onęj, ponieważ
 Drożąc się, ty mnie wysmiewasz!
 Drga oko... prawe! Żoczę-ż ją może?
 Pod linbą ot! się położę.
 Wiem, spojrz na mnie, gdy nucić pienia
 Zacznę, toć nie jest z kamienia.
 „Hipoman żony pragnąc, przegoni
 Dziewczynę, z jabłkami w dłoni;

A Atalanta widząc to, splonie
 I w szale miłości utonie. 5)
 Wieszczy Melamp trzodę gna z Otryś góry
 Do Pylos—i w zmyślnej córce
 Alfezyboi wdzięcznej macierzy
 Objęciach Bias ot! leży. 6)
 Czy pasąc w górach Adonis trzody,
 Cyprydy wdziękiem urody
 Zdobnej, nie wprawił w szal, że po zgonie
 Nawet go pieści na łonie? 7)
 Szczęsny Endymion, co nieprzespanie
 Drzemie, i Jazyon, kochanie,
 Bo dopiął, o czém się nie dowiecie
 Wy, niewybrani. na świecie!“ 8)
 Ach! boli głowa! Tyś zimna wcale.
 Precz z śpiewem! Tu się powalę.
 Pożrą mię wilcy. Niechże to słodziej
 Niż miód do gardła ci wchodzi!

Na podobne ustępy czyli strofy dzielą się ejd. 2, 5, 10te i i.

Daléj cechą tych pieśni są jeszcze liczne *asonancye*, *alliteracye*, nawet *rymy*, *responsya*, czyli forma śpiewu naprzemian, wreszcie *bukoliczna tetrapodya*.

W responsyach, naśladowanych także przez Szymonowicza w sielankach, sprawia miłe wrażenie powtarzanie się brzmień równych, równa konstrukcyja i symetryja myśli. Wszystko to, choć nie wspiera się na tonach, przecie w duszy sprawia wrażenie śpiewu dwugłosowego, gdzie temat jeden i ten sam powtarza się, albo nie-

5) Kiedy Atalanta, córka beockiego króla Schojneja, miała pójść za mąż, wyrzekła, że każdy z konkurentów winien z nią biedz na wyścigi i że pokonany śmiercią zamiaru swego przypłaci. Hipoman zwyciężył za pomocą złotych jabłek, daru Afrodyty, które trzymane przez niego w rękę w Atalancie wznieciły miłość.

6) Bias, brat Melampusa, starał się o rękę córki króla meseńskiego Neleja, który temu tylko przyrzekł oddać córkę, kto mu dostawi bydło Fylakosa, strzeżone bacznie w tesalskiem mieście Fylake. Na prośby Biasa, Melampus, wieszcz i prorok, rozumiejący mowę ptaków, podjął się przypędzić bydło, lecz z góry przepowiedział, że będzie, schwytyany na gorącym uczynku, siedział rok cały w więzieniu. Tak się téż stało. Atoli w czasie tym tak bardzo zobowiązał sobie Fylakosa swoją sztuką wieszczbiarską, że ten mu trzodę podarował, którą Melamp przypędził do Pylui jako dar od konkurenta Biasa oddał Nelejowi. *Alfezyboia*, córka Biasa.

7) Co dotyczy Adonisa i miłości Afrodyty do niego, p. *mytologią*.

8) Endymion, piękny młodzian, który zapadł w sen wieczny, ponieważ, przez Zeusa wzięty do Olimpu, pałał miłością do Hery, albo że Selene, zachwycona jego pięknoscia, pograżyła go w tym śnie, aby go niepostrzeżenie okrywać mogła całusami. *Jazyon* zaś na weselu siostry swéj Har-

zmieniony prawie (Ejd. 8), albo z stósonem zmianami i niby w innej gammie lub tonacyi 9).

Bukoliczna zaś tetrapodya dzieli długi wiersz sześciomiarowy na dwie nierówne części, na dłuższy wiersz czteromiarowy i krótszy dwumiarowy. Z tego można wyprowadzić wniosek, że rzeczywiste pieśni pasterskie składały się z wierszy dłuższych i krótszych, wracających na przemian. Formę tę wiersza nasi sielankopisarze Karpiński, Książnin i t. d. naśladowali, z tą tylko różnicą, że po czteromiarowym wierszu następuje trzymiarowy. 10)

A zatem po wszystkim tém, co dotąd powiedziano, można określić bukoliczną pieśń temi słowami: Był to obrazek poetyczny, który, choć treścią nie odnosił się do życia pasterskiego, w skutek zewnętrznej formy jednak dał odśpiewać się przy wtórze fletu pasterskiego czyli syrynxu.

Teokrytowe ejdyllia najlepiej podzielić na bukoliczne i mimiczne; a krom tych należy do nich kilka lirycznych i epigramatycznych utworów.

Jak w dzisiejszych Włoszech improwizatorowie nie małowazną odgrywają rolę, tak już starożytni mieszkańcy południowych Włoch i Sycylii przystuchiwali się bardzo chętnie i z wielkim zadowoleniem deklamacyom i uciesznym krotochwilom żartownisiów,

monii (z Kadmem) pięknoscia swojā zjednał sobie miłość Demetery i spłodził z nią Plutora. Miłość tę i objawienia, które Jazyonowi bogini zrobiła w skutek miłości, poczytano za świętā tajemnicę; lecz Jazyon za karę, że zbliżył się do nieśmiertelnej bogini, zginął zabity piorunem Zeusa (Hom. Od. V, 125). A zatem zdaniem pasterza szczęśliwi byli Adonis, Endymion i Jazyon, choć ukarani byli śmierciā lub snem do śmierci podobnym, bo ich boginie kochały; gdy tymczasem sam jest nieszczęśliwy, bo mu żyć wolno, lecz nie jest kochany.

9) Wyborny przykład takiej responsyi mamy w Horacego 9-ćj odzie księgi trzeciej, gdzie poeta od w. 11 mówi:

*Me nunc Thressa regit Chloe
Dulces docta modos et citharæ sciens:
Pro qua non metuum mori,
Si parcent animæ fata superititi.*

Na co Lidya odpowiada:

*Me torret facce mutua
Thurini Calais filius Orniti:
Pro quo bis patiar mori,
Si parcent puero fata supesititi*

- (10) Książnin w pieśni „Krosienka”
Darmo mi, matko, stawisz krosienka,
Insza mię teraz myśl wiedzie.
Ach! pozwól raczej wyrzec z okienka,
Czyli mój Filon nie jedzie.

Ja też zatrzymałem formę tę wiersza w przekładach swoich.

blaznów, trefnisiów. 11) Horacyusz opowiada w 5-jej satyrze ks. I, w. 51 i t. d., jak czas przyjemnie skrócili Mecenasowi i jego towarzyszom na podróży do Brunduzyum arcy-płaskiem i w samej rzeczy dowcipami blazny (*scurrae*) Messyusz i Sarmentus. Tarent mianowicie był siedliskiem komicznych improwizatorów, a w Kampanii popisywano się w święta ludowe twórczością swoją w tego rodzaju fraszkach. Głównie jednak mieszkańców Sycylii wstawily wesolość i nieuśmierzona skłonność i chęć do szydu i śmiechu. „*Nunquam tam male est Siculis, quin aliquid facete et commode dicant*, t. j. nigdy tak bieda Sycylianom nie dokucza, żeby nie zdobyli się na żart i dowcip” powiada Cyncero w mowie przeciw Werresowi (*Act. II. l. V, 43*). Nie tylko komedycę (głównie *Epicharm*) samodzielnie wydoskonalili, ale układali także mniejsze fraszki, podobne do komedyi. Do rzędu fraszek takich należą przedewszystkiem mimy *Sofrona* i syna jego *Ksenarcha*. Utwory obu nie były więc komedjami w pełnem znaczeniu tego wyrazu, jeno dyalogami lub scenami krótkimi, wydanemi w prozie rytmicznej, w których życie, obyczaje i zwyczaje, nałogi i przesady gminu wystawiano.

Otóż, kilka ejdylliów Teokrytowych, mimicznej także natury, zbliżają się pod względem formy i ducha do utworów Sofronowych. Nakreślono tam w żywych, może nawet w jaskrawych kolorach i nieco obszernie zwyczaje, ducha i mowę niższych warstw społeczeństwa. Stósownie do tego ton i wyrażenie w nich niewykwintne, lecz trafne i dobrane, przeplatane mnóstwem jędrnych przysłów, żartobliwych zwrotów i gminnych dowcipów. Wreszcie utwory te odznaczają się nie tylko silnem narysowaniem charakterów, ale i żywością i gminnym wdziękiem rozmowy, które to przymioty zamieniły te rodzajowe obrazki w wykończone dramaciki. Nie wszystkie jednak fraszki mimiczne były dyalogizowane. Niekiedy, zdaje się, jedna tylko osoba mówiła. Tak np. Teokryta drugie ejdyllion „Czarownica,” będące nieprzerwanym monologiem, starożytni scholiaści wymieniają właśnie jako naśladowanie Sofrona. Najlepszym zaś tego rodzaju utworem Teokrytowym jest 15 ejdyllion. Odgrywa się w nim przed naszymi oczyma mały dramat, i to w Aleksandryi.

„Syrakuzanka Gorgo przybywa w odwiedziny do swęj przyjaciółki Praksynoi, a kiedy usiadła na podaném jęj przez slugę krzesle, odzywa się:

Ledwie że dyszę! Z biedą uszłam cała
Ze ścisku wozów i ludu natłoku!
Buty na każdym i na każdym kroku
Wojacy w płaszczach. A ten kawał drogi!
Och! za daleko mieszkasz na me nogi!

Słowa te podają Praksynoi sposobność do skarg na kochanego mężula, który rzeczwiście wszystkiemu winien, bo mówi:

11) Zwali się: *γελωτοποιοί, ἰθολόγοι, αυτοκάβδαλοι, ἰλαρῶδοί, λογομίμοι, scurrae.*

To mój uparciuch—loch mi, nie mieszkanie
 Na końcu ziemi ten zakamieniały
 Kat mój, abyśmy nie sąsiadowały,
 Na złość mnie najął!

Prawda, że Gorgo przerywa przyjaciółce:

Nie mów-że, kochanie,
 Tak o Dinonie twoim, gdy tu mały
 Synek obecny. Ot! jak patrzy na cię!
 Hej! Zopyrjonku! mowa nie o tacie.

a Praksynoa, przestraszona niby, otumanieć chcąc chłopca powiada:

Tak prawda święta! coś rozumie dziecię.
 O! tatka drogi!

lecz niezwłocznie prowadzi znowu dalej skargi obelżywe:

Ten tatuś niedawno
 Temu, (a wszystko niedawno kobiecie)
 Nie ruż z saletrą mi po mojej woli
 Przyniósł od kupca, ale prostej soli
 Zakupił osieł trzynasto-łokciowy.

ale i sama Gorgo przodku nie daje przyjaciółce pod tym względem,
 bo męża swojego tak opisuje:

I mój nie lepszy, ten pochłōnca złota,
 Diokleidas. Za pięć skór baranich —
 Klaki parszywe i kudły psie na nich,
 Plugawstwo samo i straszna robota —
 Ot wczora jeszcze siedm drachmów zapłacił.

Poczem wzywa towarzyszkę niedoli małżeńskiej, aby z nią poszła na zamek królewski, gdzie królowa podobno świetne zrobiła przygotowania do solennego obchodu uroczystości Adonisowej. Praksynoa przychyła się do życzenia przyjaciółki, a ubierając i strojąc się, łaje z fukiem służebnicę:

Eunojo! odnieś przędzę, a broń Boże,
 Nie rzuć na ziemię jej znowu, leniuchu!
 Tak, tak, koteczki lubią miękkie łoże.—
 Rusz się i wody przynieś mi co ducha!
 Mnie wody naprzód potrzeba— a ona
 Mydło przynosi. No! dajże! Nieayta,

Nie lój za wiole!—Och! ty, utrapiona,
 Pocóż koszulę złałaś mi?—Dość tego.
 Przecie-m, jak chcieli bogowie, umyta.
 Gdzież klucz do wielkiej skrzyni? No! daj-że go.

Kiedy nareszcie Praksynoa włożyła na się suknię odświętną, w której jej przesłicznie do twarzy, płaszcz i kapelusz, obie przyjaciółki, zostawiając w domu beczącego chłopca i polecivszy drugiej słudze z nim się pobawić i zamknąć furtkę podwórzową, wychodzą na ulicę i przez tłumy narodu snujące się i zdążające także na zamek, przeciskają się z biedą do miejsca widowiska. Tam podziwiają wspaniałość przygotowań, przysłuchują się pieśni pochwalnej czyli hymnowi, który śpiewaczka jakaś wykonywa po artystowsku, i wracają, zupełnie zadowolone z wycieczki, do domu pospiesznie, bo stary zrzęda, małżonek czeka na śniadanie.”

Bawi w tém ejdyllion przedni opis charakterów niewieścich — i to jest głównym celem poematu. Ale udało się obok tego wypowiedzieć w stósowném miejscu kilka słów na pochwałę króla Ptolemeusza i jego małżonki. Rzeczywiście bardzo zręcznie wplótł poeta w opowiadanie tę pochwałę, bo wychodzi ona z ust rozgadanych kobiet ni-by przypadkowo, a w pieśni śpiewaczki występującej na zamku jest także bardzo naturalna i niewymuszona.

Równie zręcznie poeta wypowiedział i złożył cześć Ptolemeuszowi w ejdyllion 14-tym. Tu młody zapaleniec skarży się przed przyjacielem, jak urągliwie naśmiewała się z niego kochanka przy ochoczej uczcie; dodaje dalej, że przekonał się o jej wiarołomstwie i zaręcza, że nie ma innego środka do uśmierzenia bólu i zapomnienia dotkliwego zawodu, jak pójść w świat i zaciągnąć się do wojska. Przyjaciel pochwała to postanowienie i radzi udać się do Egiptu i wejść w służbę króla Ptolemeusza. Lepszego bowiem pana i króla-płatnika nie znajdzie na świecie wolno urodzony człowiek. Z tego wywięzuje się dalsza rozmowa o królu i pieśń kończy się szczodłą pochwałą cnót królewskich Ptolemeusza, pochwałą zręcznie wplecioną, bo w biegu rozmowy bez naciągania jest wypowiedziana.

W innych bukolicznych pieśniach występują także wyłącznie ludzie niższych warstw społecznych, pasterze, kossarze, rybacy, żony zamożnych rzemieślników lub kramarzy, mieszczyki i wiochny z gorącym sercem i żywą wyobraźnią; żołnierze, zagrodnicy, a nawet Cyklop, którego, gdy w młodych latach stroił jeszcze baraszki, spotkało straszne nieszczęście, że pokochał się szalenie w delikatnej i uroczej uimie. Nie życie jednak w ogóle ludzi tych opisuje poeta, bo témby mógł był w rychle sprawić przesyt i obmierzłość, lecz za pomocą kilku udatnych rysów poetycznych maluje zabiegi i zajęcia, dolę i niedolę ich, jakimi były w rzeczywistości. Obrazki te wiernie zdjęte z natury. Daleki od okliwosci, nie rojąc życia idealnego w przyrodzie, nie mając zamiaru moralizować, wyprowadza na widok pasterzy Sy-cyli lub Włoch południowych, zajętych sumiennem a pełnem swobody spełnianiem obowiązków swoich codziennych, otoczonych pasące-

mi się trzodami; nie kreśli mar znikomych, bezcielesnych, lecz ludzi złożonych z duszy i ciała; a rysy nierzadko nawet są grube, tak że sądzimy, jakobyśmy byli pomiędzy nimi rzeczywiście, jakobyśmy widzieli ich uganiających się za swemi kozami lub cieleętami, słyszeli ich rozmowy i kłótnie i zawody pieśniarskie i muzykalne; jakobyśmy nakoniec wypoczywali w skwar słoneczny wraz z nimi pod rozłożystym klonem nad brzegiem zimnego źródła i przysłuchiwali się śpiewowi i grze Tyrzysa. Nie o ideały więc chodzi poecie, lecz o plastyczne wydanie postaci rzeczywistych, które same przez się, z prostoty i naturalności swęj mają się podobać.

W kreśleniu obrazów tych Teokryt jest przednim mistrzem. Skłonność zaś owa do malowania życia jędrnego i krzepkiego niższych warstw społecznych nie wywiązała się w nim, jak w innych twórcach ejdylliów, z przesytu i wstępu do miasta, lecz z szczerzej radości na widok tęgich i nieczepsutych charakterów w owych warstwach. To też w utworze, któremu przed innemi palmę przyznać należy, to jest w streszczonem powyżej ejdylljon 15-tem, rzecz się dzieje nie pomiędzy pasterzami lub innemi dziećmi przyrody, lecz w jednem z największych miast ówczesnych, i aktorkami są niewiasty, rozprawiające o różnych wymysłach i zwyczajach zbytku.

Że Teokrytowi udało się uchwycić tak wybornie i wystawić naturę i charakter owej klasy ludzi, do tego przyczyniła się przede wszystkim treść pieśni, które im poeta kładzie w usta. Odpowiadają pieśni te zajęciom, nastrojowi, wiekowi wyprowadzonych czyli ukazanych osób. Co np. pastuchy śpiewają w 8 ejd., co nuci zachowany pasterz w ejd. 3, jest tak proste i naturalne, że zdaje się, jakoby otoczenie i miejscowość nie były mogły im poddać nic stósowniejszego. Po części zresztą pieśni te osnute są podług śpiewów ludowych. Tak np. pieśń o cierpieniach i niedoli Dafnisa, którą Tyrzys śpiewa w 1-ém ejdyllion, niewątpliwie żywcem przejęta z ust ludu; a przynajmniej starą pieśń miał w pamięci Teokryt, tak jak w nowszych czasach naśladowano np. stare ballady. Pieśń 10-ta kosiarzy zawiera przypowieści, które choć może niedostownie powtórzone, zachowały przecie głównie myśli dawnych maksym ludowych.

Wreszcie język czyli dyalekt nie mało też wpłynął na udatność i prawdziwość obrazków Teokrytowych. Po mowie poznasz człowieka, mówi przysłowie. Jednem słowem niekiedy trafisz do celu i wydasz człowieka tak, jakby stał przed tobą na jawie. Tego dopiął Teokryt głównie tём, że jego pasterze i niewiasty doryckie mówią po dorycku. Wszelako osoby Teokryta nie mówią, jak osoby Sofrona, językiem prostym, gminnym, lecz językiem gramatycznie poprawnym, nawet uczonym, że tak powiem, doryzmem, bo uszlachetnionym domieszkanemi epickimi formami. A język ten jędrny, jak ród ludzi, który nim mówi; jasny, jak niebo, pod którym ród ten żyje; lekki i swobodny, jak przystało na potomków dawniej, wielkiej Grecyi.

Wiersze zaś płynne, dźwięczne, rytmiczne, niby płąsy wdziękiń starogreckich. Dyalekt jednak, stósownie do treści i charakteru pie-

śni, rozmaity; w lirycznych i epicznych utworach ioński; w 29-tem ejdyllion eolski 12).

Pomimo silnej indywidualności i krzepkiego ducha nie zdołał jednak Teokryt otrząść się zupełnie z przywar i obronić się wpływowi wieku, w którym żył. On, co po największej części bardzo jest prosty i nie ubiega się za sztuką, przesadza gdzieniegdzie nienaturalnością, nie umie oprzeć się ponęce myśli w niestosownem miejscu. Wszakże z tego, że poeta tu i owdzie uchybił przeciw prostocie, nie należy zaraz wyprowadzać wniosku, że to nie plód Teokrytowej Muzy, w którym taki usterk się znachodzi; jako też i to nie winno podawać w wątpliwość autentyczności utworów, że nie w jednym i tym samym, to jest w doryckim dyalekcie pisane.

Starożytni scholiaści zaręczają, że pierwsze 18-cie ejdylliów pisał Teokryt, i t \acute{e} m sam \acute{e} m poniekąd naprowadzają na myśl t \acute{e} , że z liczby następných pieśni niektóre, choć mniejszą mają wartość, jemu mogą być przypisane dlatego, że pomiędzy owemi 18-ma równie słabe mieszczą się utwory. Z t \acute{e} m wszystkim krytyka pewną ilość ejdylliów uznała za podrobione, choć w t \acute{e} j kwestyi dotychczas jeszcze wielka panuje niezgoda. Przynotuję w t \acute{e} m miejscu przekład 20-go ejdyllion „Młody pasterz,“ policzonego przez krytykę do podrobionych, aby pokazać, o ile ono różni się duchem od prawdziwych utworów Teokrytowych. A porównać je można najlepiej z ejd. trzecim, powyżej w przekładzie także przytoczon \acute{e} m:

Gdym chciał całusa ukraść, Eunika
 Wyśmiała mnie i l \acute{z} ąc rzecze:
 „Pastuch do gęby mi się pomyka?
 Precz ztąd, bezwstydnny człowiecze!
 Li usta mieszczan musnąć świadoma,
 Nie umiem smoktać wieśniaka;
 I przez sen niech cię nie bierze skoma
 Na ładniuchnego buziaka!
 Jakaż twarz! jakie ty pleciesz brednie!
 Jak chłopskie żarty! Jak wabnie
 Gwarzysz! Jak cedzisz słoweczka przednie!
 Jak włosy spadają zgrabnie!
 Jak miękka broda! A czarne dłonie,
 Warg skóra się popryszczyła,
 Nie miło jakieś wydajesz wonie!
 Won! abym się nie zbrudziła!”

12) Zdaje się, jakoby liryczne, zwłaszcza erotyczne ejdyllie Teokryta były pisane w młodzieńczym wieku. Pełne one wyższego polotu i piękności poetycznych, choć zwykle krótkie. Do nich liczę 18 ejd., choć w doryckim dyalekcie pisane, 12-te (w iońskim) i 29-te (w eolskim), które są pieśniami miłosnemi na wzór poezyi Alceuszowej. Epigramy niektóre także są bukolicznej natury, lecz krytyka odnawia je Teokrytowi; inne zawierają napisy na groby l. posągi snanych pocie osób.

Trzykroć, zelżywszy mnie temi słowy,
 Splunie w pazuchę, wydyma
 Gębe, od stóp mierzy do głowy,
 Ciągiem świdrując oczyma.
 I krygując się dumna mnie panna,
 Szczerząc zębami wyśmieje.
 Krew wrząca we mnie, jak rosa ranna
 Różę, twarz z bólu zaleje.
 Ona odeszła — i mnie zostawia.
 Ja dotąd w sercu gniew żywię,
 Że mnie, którego uroda wślawia,
 Dziewka znieważa złośliwie.
 Żali-m nie piękny? mówcie pasterze;
 Żali bóg nagle mnie nadał
 Inną postacią? powiedźcie szczerze.
 Dawniej-m wdzięk miły posiadał.
 Kwitnący, który, jak bluszcz pień wkoło,
 Twarz zdobił; spadał na skronie
 Włos, by potocznik, a białe czoło
 Lśniło na czarnych brwi tronie.
 Od ócz Ateny modrych me oczy
 Żywsze, od zsiadłej śmietanki
 Usta—i mowa, co z ust się toczy,
 Słodsze niż miód były z dzianki.
 Wdzięczne me pienia, czy na fujarze
 Wygrywam one lub flecie,
 Czy na piszczalce lub dudkach gwarzę;
 I każda w górskim tym świecie
 Mnie urodziwym mieni niewiasta,
 Każda mnie smoknie dziewczucha;
 Nie chce i mija jeno ta z miasta
 Mnie, jak przeżywa, pastucha.
 Snać, że jałówki pasł, nie słyszała,
 Piękny Dyoniz w dolinach;
 Że za pasterzem Cyprys szalała,
 Gdy po frygijskich wyżynach
 Pasterkę kłamiąc, w dąbrowie ścisła
 I płacze tam Adonisa!
 Czem był Endymion? choć na pastwiska
 Gnał bydło, u ust zawisa
 Jego Selone; zbiegłszy z chochołu
 Olimpowego na ziemię,
 W leśnym Latmiosa jarze pospołu
 Z chłopczyną miłym się zdrzemie.
 Żali pasterza Rea nie płacze?
 Dla chłopca, co gnał na paszę
 Trzodę, czyś, Zeusie, ty na tufacze
 Życie nie puścił się ptasze?

Eunika sama gęby się wstyda
 Dać pasterzowi. Spać w cenie
 Większej niż Rea jest i Cypryda,
 Przodka nie daje Selenie! 13)
 Więc nadal ani ty w mieście, ani
 W górach nie całuj kochanka,
 Jenó śpij sama, Cypryjska pani,
 Noc od wieczora do ranka.

Zbior ejdylliów zrobiono zapewne krótko przed czasami gramatyka Artemidora, który żył na 50 lat przed Chr. Gramatyk ten znał już zbiór ich. Teokryt zresztą chętnie i gorliwie bywał czytany, i tém tłumaczy się owo mnóstwo objaśniaczy, rękopismów, interpolacyi, przerw i różnic dyalektycznych.

Za pomocą środków więc powyżej wskazanych, Teokryt sielskie pieśni swoje, niby plastyczne dzieła sztuki, zasługujące na nazwę klasycznych, przekazał ziomkom i potomności. Jeżeli bowiem po klasyczném dziele wymagamy, aby ono było jasnym, przedmiotowém naturalnym, wykończoném, to przymioty rzeczzone posiadają w zupełności utwory Teokrytowe. Dlatego to Longinus w rozprawie „O górnosci“ r. 30, mógł słusznie powiedzieć: Teokryt w bukolikach bardzo szczęśliwy (*ευτυχιστατος*).” Ztąd to jego poezya skłoniła już Biona i Moschosa do naśladowania, a porównanie z nimi wielkość poetyczną Teokryta dopiero lepiej uwydatnia. Bo chociaż tym poetom nie zbywa na głębokości uczucia, na wdzięku, na zręczności i trafności w opisach, na biegotości w budowie wierszy, przecie nie ma tam już tej świeżości, tej prostoty i naturalności, którą podziwiamy w Teokrycie; natomiast pełno tam igraszek, baraszek i sentymentalności. Zbliżają się ci poeci duchem więcej już do nowożytnéj ekliwéj pasterskiéj poezyi. Dlatego też Wirgiliusz, pisząc eklogi, obrał sobie za wzór Teokryta; choć w rzymskiego poety allegoryach ludzie z innymi wyobrażeniami maski jedynie pasterskie przywdziali, i pieśni jego do Teokrytowych w takim są stosunku, w jakim kopia do oryginału.

Pozostałości po Bionie, który, rodem z Smyrny, osiadł w Sy-cylii i żył za czasów Teokryta, składają się z większego poematu „Obchód pogrzebowy Adonisa” i z kilkunastu mniejszych, po większej części fragmentarycznie zachowanych utworów, a są między niemi epigramy także erotycznego charakteru. W utworze większym myśli są piękne, uczucia głębokie, ale i niezwykła wystawność i przesada w przedstawieniu. Piękne i powabne są niektóre małe pieśni, np.

13) Widoczne jest naśladowanie 3-go ejdyllion; co dotyczy szczegółów mytologicznych, dowodzą one w części także późnego autorstwa. O Dionizie pasterzu nikt nie wiedział w dawnéj Grecyi. Rea zaś oplakuje Attisa lub Attesa, syna Kalaosa, który zresztą nie uchodził za pasterza. Wreszcie Zeus dla Ganymedesa przemienił się w orla i uniósł urodziwego pasterza do nieba.

Ptasznik, Szkoła Erosa, Eros i Muzy. Miękkie i słodkie są: Achilles i Deodamia, O wiosnie; męskie zaś: Wzajemną miłość i Do wieczornej gwiazdy. Zdaniem wielu krytyków 12-te, 19-te i 20-te ejdyllion (powyżej spolszczone) w zbiorze Teokrytowym mają być płodami muzy Bionowej. Kładę tu przekład 19-go ejdyllion (ze zbioru Teokrytowego).

MIODOKRADZIEŻCA.

Kiedy złodziejski Eros się skrada
 Niegdyś pon dzieią do ulu,
 Żądłem cios srogi pszczoła mu zada;
 W ręce dmuchał ci on z bólu,
 Tupał nogami, skakał i biegał,
 Bo palce wszystkie zażęgał
 Ogień, aż wreszcie z przymówką rzecze,
 Wskazując, kędy ból piecze
 Do Afrodyty: Lichy twór pszczoła,
 A jakże ranić on zdoła!
 Ukrasi lice rodzicy wesoly
 Uśmiech i powie: Do pszczoły
 Czyś nie podobny? Ty malec taki,
 A jak się dajesz we znaki!


Wiersz ten przełożył i wplótł w drugą sielankę „Wesele” Szymonowicz. W ogóle jednak zbywa Bionowi na sile i prostocie Teokryta w takiej mierze, w jakiej go słodyczą, blaskiem i wytwornością przechodzi.

Nakoniec najwięcej przypomina Aleksandryńskie wieki Moschos z Syrakuz. Z pięknymi myślami łączy się retoryka, z serdecznością przesada. Niektóre tylko utwory są udatne. Większe są opicznego charakteru i mieszczą w sobie nie mało pięknych ustępów. Tren zaś na Biona pełen przesady i nieprawdy. Przytaczam tu w przekładzie ejdyllion 5-te pod tytułem:

NAD BRZEGIEM MORZA.

Gdy od podmuchu wiatru się rusza
 Morze sinawe bez drżenia,
 Przynętę czuje trwożna ma dusza;
 Ku sobie tęskne marzenia
 Toń gładka z większą przyciąga siłą
 I ziemia już mi nie miłą.
 Lecz gdy zaryczą szare bezdenie,
 Łukiem się morze przelewa,
 Piana i fale straszne szalenie
 Huczą, na ziemię i drzewa:

Wtedy spoglądam, odwracam oczy
Od morza topieli słonej:
Wtedy cień gajów i łąd uroczy
Miły, bo choć wiatr szalony
Dąsa się, linba dźwięcznie szeleści.
Och! biedny żywot pędzi rybołów,
Któremu łódka jest chatą,
A ryb tułaczych omylny polów
Za trud na morzu zapłatą.
Wolę sen słodki pod gęstym klonem,
Słuchając szmeru strumyka
Bliskiego, co się mile pomyka.
Nie trzęsąc łonem wzburzoném.



KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

I.

Paryż, d. 20 Stycznia 1870 r.

Ruch filozoficzny we Francji. Pomnik Hegla. Sprzeczność realizmu francuzkiego z idealizmem niemieckim.—Pierwszy kongres jeograficzny międzynarodowy w Antwerpii. Pomniki na cześć Merkatora i Orteljusza. Zdanie Seleweta o ich pracach.—Historja popularna Francji H. Martina i Guizota. Odkrycie starożytnych pomników Druidyzmu w Walii przez H. Martin. Jollo Morganwy. Tryada Bardów Druidzkich.—Badania naukowe nad ludami głębokiego Wschodu. Dzieło Stanisława Julien'a: *przemysł starożytny i nowoczesny w państwie Chińskiem*.—Stan obecny poezyi we Francji. Próby odradzającego się klasycyzmu. T. Bauvelle. Nowe poezye panny Siefert.—Opera komiczna Aubera. Nabuchodonozor, dramat Nikoliniego, przekład ks. Piotra Bonaparte. Rozmaitości.

Wielka radość panuje w kole tutejszych pisarzy, którzy usiłują utworzyć filozofię francuzką. Otrzymali bowiem *dyplom* na filozofów, ze stolicy Heglizmu. Paweł Janet przedstawiający tu szkołę filozoficzną, odebrał list od profesora Uniwersytetu Berlińskiego Micheleta: sławny profesor w imieniu Towarzystwa filozoficznego Berlińskiego zaprasza filozofów francuzkich na uroczystość odsłonięcia pomnika Heglowi w dniu 29 sierpnia b. r.

Niemcy uznali więc naostatek, że filozofia istnieje we Francji: wiadomo bowiem jak pogardliwie dotąd wyrażali się o tém, co Francuzi zwali swoją filozofią. I ci ze swój strony odpłacali też samą monetą Niemcom, zowiąc ich *ideologami* w ujemném znaczeniu tego wyrazu.

Dzisiaj odmieniły się rzeczy. Od lat kilku literatura francuzka wydała szereg dzieł, w których widocznie przeważa Heglizm. Wychodzi nawet w Paryżu osobna *Biblioteka Filozofii współczesnej*. Pięćdziesięciu czterech autorów ogłosiło w niej prace swoje, w sześć-

dziesięciu czterech tomach, przykrojonych na jedną miarę. Głównym wydawcą téj Biblioteki jest Germer Baillie're.

Sądząc z liczby autorów i dzieł, moglibyśmy słusznie wnosić, że Francya jest krajem najfilozoficzniejszym w świecie. Nie zapominajmy bowiem, że i na prowincyi pojawiają się coraz nowe dzieła w tym kierunku. Przejrzawszy jednak treść tych publikacji, widzimy, że dążność nowych pisarzy do utworzenia filozofii na wzór niemieckiej jest próżnym usiłowaniem. Geniusz francuzki tak potężny sam z siebie, nie może wznieść się do czystej abstrakcyi, aby w tym świecie budować systemata: przyznać jednak potrzeba, że samo skierowanie umysłu ku temu celowi, wzbogaciło krytykę w dziedzinie historii, literatury, estetyki i t. p. Widoczna to w dziełach Taina, Franka, Lévequa, Janeta, Lemoina i wielu innych. W pracach tych wszystkich pisarzy, objawia się realizm geniuszu francuzkiego, przeciwny ideologii niemieckiej, lubo czerpiący z niéj natchnienie.

Ta uderzająca sprzeczność nie uszła zapewne uwagi filozofów berlińskich. Zapraszając Francuzów na uroczystość Hegla chcą uczyć sami siebie, gdyż będą mieli sposobność okazać, że Francuzi są ich uczniami. Wielki to tryumf dla pamięci Hegla. Ostatni numer *Revue des Cours litteraires* powołuje zwolenników tego filozofa do podpisów na pomnik.

Ważność kongresów naukowych zwiększa się z każdym rokiem. Charakterystyczny to objaw czasu, w którym żyjemy. Nigdy jeszcze nauka nie była tak wysoko uczczoną jak dziś, kiedy pod sąd jej same rządy poddają zagadnienia dotyczące rozwoju bogactw krajowych i potrzeb cywilizacyi. Dla człowieka myślącego, takie uznanie praw nauki, ma niesłychaną wagę i zuamionuje prawdziwy postęp. W tym roku ma się odbyć kilka ważnych kongresów tego rodzaju. Według nas główne miejsce zajmie kongres jeograficzny w Antwerpii. Przed niewielą dniami, był on tylko projektem kilku uczonych belgijskich; dziś został przyjęty powszechnie w świecie naukowym. Tutejsze Towarzystwo Jeograficzne na ostatniém posiedzeniu, wyznaczyło komissyą dla oznaczenia punktów, które mają być rozstrzygane.

Ważność nowego kongresu zależy na tém, że jest pierwszy w wydziale nauk jeograficznych, a nadto, że wchodzi w dziedzinę statystyki i etnografii.

Belgia pragnie przy téj okoliczności uczcić pamięć dwóch synów swoich, sławnych na świat cały jeografów: Merkatora i Orteliusza.

Już w tym celu za pieniądze składkowe, przy znacznym zasiłku ze strony rządu, odlano posąg spiżowy Gerarda Merkatora. Ma on stanąć w miasteczku Rupelmonde, jego rodzinném miejscu. Ze swéj strony Antwerpia kazała wykuć z marmuru posąg Abrahama Orteliusza, który ma zdobić nowo utworzoną część miasta.

Ci dwaj sławni jeografowie, dzieci jednej ziemi, byli niemniej przyjaciółmi od lat młodych. Obaj wspierali się wzajemnie w pracy, dopomagając sobie w olbrzymich trudach, jakie podjęli. Sława ich zyskała wiele na tém, a nauka zebrała ztąd niezliczone owoce, których wiele mogło zmarnieć przy pojedynczych usiłowaniach.

Belgia oceniając te braterskie uczucia dwóch uczonych, równie jak ich naukowe zasługi, postanowiła odkryć z wielką uroczystością i to w jednym czasie oba pomniki, w dwóch pobliskich od siebie miastach; przytém ma się zawiązać w Belgii Towarzystwo Jeograficzne. Dziwić się wypada, że podobne towarzystwo nie istniało dotąd w kraju, który wydał tak sławnych jeografów, i który w skutek położenia nadmorskiego, powołanym jest do coraz nowych odkryć i badań jeograficznych.

Kongres ten międzynarodowy, jeśli się urzeczywistni (o czém wątpić nie można) będzie najodpowiedniejszém uczczeniem dwóch głównych reformatorów i prawodawców jeografii. Wypisujemy z ostatniego buletynu tutejszego Towarzystwa Jeograficznego, ustęp z odezwy p. Ruelens konserwatora Biblioteki Królewskiej w Brukseli: widzimy tu doskonałą charakterystykę dzisiejszych potrzeb téj nauki, a tém samém określenie jój stanu obecnego.

„Wychodząc z téj zasady, mówi p. Ruelens, że społeczeństwa ludzkie biorą najżywoćniejsze pobudki do postępu, z gruntownej znajomości otoczenia (*milieu*), pod którego wpływem się wyrabiają, moglibyśmy zapytać siebie, czy nauka XIX wieku, dosyć jest posuniętą, aby śmiała już stawiać niezbite prawidła, dla oznaczenia granic ludom, urządzania normalnego krajów, i racjonalnego wyprawiania emigrantów z miejsc rzeczywiście przeludnionych. Z téj zasady wypływają ważne pytania uboczne: Jakie światło rzuca nauka na utrwalenie dobrych stosunków między ludźmi? Jakie z pomiędzy krajów nieznanych wymagają najpilniejszego zbadania? Czy potrzeba ułatwiać i popierać podróże, które nie przyniosą doraźnych korzyści? Jakie drogi czyto morskie, czy lądowe, nasamprzód wypada urządzić? a nakoniec rozszerzając koło naszych badań, czyby nie należało dotknąć ważnej kwestyi plemion, ich rozrządzenia po świecie, ich praw do posiadania ziemi, coby nas koniecznie doprowadzić musiało do wykazania zasad, na których opierać się mają państwa w kolonizowaniu dalekich stron, i w udzielaniu opieki tubylcom.

„Nie wolno już ścieśniać jeografii do tak szczupłych rozmiarów, aby widzieć w niej tylko prosty opis ziemi. Nauki specjalne przekraczają dziś po za granice, jakie im dawniej zakresłano. Podobnie jak kamyki rzucone razem w głąb wody, tworzą rozliczne koła, zachodzące wzajem na siebie, a mimo to zachowują własne kształty, niemniej i nauki dzisiejsze, wkraczają chętnie w dziedzinę drugich nauk, i wspólnie z niemi, uprawiają tém lepiej szerokie pole inteligencji.

„Nauka jeografii, zarówno jak historia ma własną filozofią: Ptolomeusz równie jak Platon mógł być nakreślić swoją *Rzeczpospolitą*. Z takiegogo wysokiego stanowiska poglądał na nią Mer-

kator, z takiego samego uważa ją uczony i znakomity wice-prezes Towarzystwa Jeograficznego Paryżkiego, p. E. Cortambert, w głębokiej pracy: *Paralella Jeografii i Historii*."

Następnie podnosi p. Ruelens, potrzebę przyjęcia jednego południka; jednakowych stopniowań termometru i barometru; dotyka sposobu nauczania jeografii, pyta ażali nie byłoby właściwiej używać globów w miejsce kart jeograficznych i t. p.

Spodziewa się uczony Belgijczyk, że wspaniałość, z jaką Antwerpia zwykła przyjmować gości (czego dała dowód w stoletnim obchodzie pamiątki Rubensa), ułatwi mieszkańcom wprowadzenie na kongres pytania tak ważnego dla nich: „jakim sposobem ta sławna niegdyś metropolia stałego ładu, może zająć dawne swe stanowisko?”

My dodamy z naszej strony, że ten miejscowy egoizm, bynajmniej nie może szkodzić nauce. Cześć ludom, które tak wysoko jak Belgowie oceniają wielką jej doniosłość!

Imiona dwóch uczonych, dla których uczczenia Belgia powołuje cały świat naukowy, przypominają nam uwagi Lelewela o ich pracach. Ten wielki badacz, w ciągu długiego pobytu między Belgami, upominał się bezustannie u nich o pomnik dla Merkatora. Powiadają, że kiedy przed śmiercią, minister oświecenia, odwiedził chorego patriarchy tyłu gałęzi nauk, pytał w czym mógłby mu usłużyć? Starzec odpowiedział: „Uczcijcie sami siebie; postawcie pomnik Merkatoremu.”

Oto jeszcze wyrazy Lelewela, któremi zakończył uwagi nad dwoma belgijskimi pografami, w dziele *Géographie du Moyen âge*.

„Pracami swemi Gerard Merkator stał się prawdziwym odnowicielem jeografii. On pierwszy dał popęd następnym reformom i przyszłemu postępowi w nauce. Abraham Orteliusz, czynny i głęboki erudyta, przyłożył silnie rękę do tego dzieła, według mnie przecież stoi on na drugiem miejscu. Orteliusz ukazuje się tu jako prawdziwy filozof, który bada jeografię nowożytną, aby z jej pulsacyi zrozumieć czasy starożytne; Merkator zaś działa jak matematyk i jeometra, usiłujący organizować. Jeżeli jedną z cech jeografii nowożytnej jest badanie gruntu i drobiazgowych przypadłości ziemi, można powiedzieć, że rodzina Merkatorowych dopełniła tego zadania. Ale w naukach nie wystarcza prawdziwa zasługa, aby wyrzucić wpływ i sprowadzić reformę. Szczęście dopisało Orteliuszowi: uczczony za życia, nie obudził zawiści i po skonie. Jego *Parergon* i *Theatrum* były odbijane tak często, że tablice zatary się w końcu, a z nimi przepadły zbiory i tytuły Orteliusza.

„Skromny Merkator ze swój strony, przez cały wiek używał wziętości odpowiedniej wielkiej zasłudze. Atlasy jego powtarzały się tak często, że imię Merkatora stało się synonimem nazwy atlasu przezeń wynalezionej. Dowód to oczywisty wpływu, jaki Merkator wywarł na naukę. Późniejsi jeografowie cytowali uwagi Orteliusza, nad rzeczami erudycyi, a trzymali się metody Merkatora co do kreślenia map, opierając naukę własną na tém, co on wykonał w swym atlasie. Orteliusz rozbudził pierwszą ciekawość, Merkator

pierwszy nadał ciąg jeografii i zakreślił jęj stały system. Malte Brun mówi, że od jego czasów, datuje się dzisiejsza jeografia.

„Badając prace Merkatora i Orteliusza, przychodzimy do rozmaitych wniosków. Streszczamy je w następujących uwagach: Żyli oni w czasie kiedy kula ziemska tylko co ukazała się przed oczyma ludzkiemi. Na całej swęj znanęj przestrzeni, przedstawiała już wszystkie formy przemiany i podziały. Stary świat okazywał się geniuszowi Merkatora, jako trzecia część kontynentów globu, których dwie części tworzyła Ameryka i Magielana czyli Australia. Liczni żeglarze kreśliли formy dawnięj nieznanę, owych rozległych kontynentów; niemnięj liczni orografowie rozmierzali ich kraje, i bez względu na to co było poprzednio dokonane, badali grunt, syllematyzowali swoje wnioski, niezaleźnie jedni od drugich. Tymto szcynym żeglarzom i orografom, zawdzięcza jeografia konieczność reformy. Głównę jęj pobudki leżały w duchu czasu. Merkator i Orteliusz przyjęli je i sformułowali: w tęp leży ich zasługa.”

Tak Lelewel określił ważność zasług dwóch wielkich jeografów XVI wieku, dwóch prawdziwych geniuszów; bo geniusz w człowieku częźmie jest, jeśli nie uznaniem potrzeb czasu i sformułowaniem ich w taki sposób, że się stają kamieniem węgielnym dalszego rozwoju nauki i jęj praktycznych zastosowań?

W końcu zeszłego roku Dr J. Van Raemdonck ogłosił ważne dzieło — odpowiednie zamierzonęj uroczystości—p. t. *Życie i prace Merkatora*.

Pragnienie Lelewela zostało więc urzeczywistnione. Belgowie uczcili sami siebie, czcząc pamięć swych uczonych: świat ucywilizowany chętnie przykłaśnie tak szlachetnęj miłości własnej.

H. Martin szybko prowadzi do końca swoją *Historję popularną Francji*; doszedł już do XVII wieku. O tęp ważnęp dziele, ukoronowanęp przez Akademię wprzód jeszcze nim ukończonę zostało, powiemy szczegółowo w swoim czasie. Styl nadzwyczaj jasny i dosadny, sąd wytrawny, uwagi trafne i głęboke, obrazowanie poetyczne, opowiadanie pełne werwy, wszystko to nadaje dziełu temu niezaprzeczoną wartość, i czyni je prawdziwie pożytecznęp. Pięknę drzeworyty przyczyniają się nie mało do spopularyzowania tęp pracy.

Ciekawęp będzie porównanie *Historji popularnej* H. Martin, z dziełami tępże samęj treści, którą przygotowywa p. Guizot dawny minister p. t. *Historja Francji opowiedziana moim wnukom*.

Oprócz tego H. Martin pracuje nad obszernęp dziełem archeologiczno-historycznęp, w któręp zamierza ożywić pamięć starych Gallów w celu odgrzebania odwiecznych pamiątek druidyzmu; uczony ten z cierpliwością archeologa, a zapałem poety zakochanego w swym przedmiocie, zdeptał już wielokrotnie te części kraju swego, w których jak w Bretanii, w Auwernii i t. p., druidyzm

najwięcej pozostawił zabytków. Nieraz zdarzyło nam się słyszeć H. M. mówiącego o bardach i Druidach galskich. Oko jego ożywia się wtedy, rumieniec zapala oblicze, włos srebrny unosi się nad wzniosłym czołem, tworząc jakby promienistą aureolę; słowa jego tryskają niby wrząca lawa, poruszenia stają się tak żywe, że trzeba pilnie mieć się na baczności, żeby wpatrując się w mówcę, którego postać wyobraża natchnionego Druida, nie utracić wątku opowieści.

Ztądto zapewne ulubiony ten pisarz uchodzi za miernego oratora. Gdyby go ogół zrozumiał, cofnąłby może ten sąd, usprawiedliwiony tém chyba, że H. M. nie należy do owych zimnych rutynistów, których słowa płyną jak woda, wprawdzie pogłaszczą ucho, ale w myśli nie wywołują śladu.

Kto szuka z miłością, ten niewątpliwie znajdzie czego pragnie. Tak też i H. M. w niedawnej podróży do Walii, odszukał ślady niedawno zmarłego barda, który przechował tradycje starożytnych Druidów galskich. O tymto zmarłym bardzie i o drogocennych pismach zachowanych przez niego, H. M. zdał sprawę na dwóch konferencyach w roku zeszłym. Nie wiemy jakiego wrażenia doznali inni słuchacze. Co do nas, byliśmy przedewszystkiem uderzeni głęboką wiarą uczonego, któremu udało się odkryć tajemnice życia przodków, tak ważne dla historyka-erudyty. Każda nauka ma swoje x matematyczne. Dla naszego miłośnika Druidów, to x już nie istnieje.

Łatwo odgadnąć że zimni krytycy, nie mają téj głębokiej wiary w ważność odkrycia, jaka ożywia naszego erudyta. Wolą oni zostać przy starém x., a nawet uholewają że tak potężny umysł dał się obłąkać mrzonkom jakiegoś górala Walii. Czas dopiero pokaże która strona ma słuszność. Co do nas mamy przekonanie, że odkrycie pism Druidów, zachowanych przez Jollo Morganwy, owego górala walijskiego, będzie miało też samą doniosłość, dla wyjaśnienia historii starożytnych Gallów, jaką miało przed kilkudziesięcią laty dla świata słowiańskiego, odkrycie króloworskiego rękopismu przez Hanke.

Mamy sobie za miły obowiązek donieść czytelnikom naszym, że autor udzielił nam łaskawie notat, które mu służyły do konferencyi, a których nie chciał udzielić dziennikarzom francuzkim, aby nie rozrywać całości dzieła. Te notaty są tak obszerne, że uważamy za właściwe umieścić je osobno w Bibliotece. Zawierają one ciekawe szczegóły o istniejącém dotąd w Walii towarzystwie *Neo Druidów*, o osobie zmarłego Jollo, a nakoniec o pobycie autora w tém gnieździe starożytnych pamiątek galskich. Co do samej nauki Druidów, sformułowanej w Tryadach, H. Martin ogłosił je drukiem.

Ponieważ mówimy o starożytnych Gallach, dodamy tu, że zapowiedziany na rok zeszły kongres celtycki nie miał miejsca z rozmaitych powodów. Żałujemy tego szczególnie ze względu na starożytne dzieje nasze i pobratymczych nam ludów, gdyż uczony W. A. Maciejowski, który już przyjął udział w poprzednim kongresie

celtyckim z 1868 roku, przez nadeślanie ważnych notat, przystał nową ich seryę i na ów zamierzony a niedoszły kongres. Notaty p. Maciejowskiego zwróciły uwagę tutejszych Celtystów, jak dowodzi obszernie sprawozdanie, ogłoszone drukiem. Nam notaty nie przypadły jednak dla nauki, są bowiem w ręku uczonych, którzy potrafią z nich korzystać.

Poszukiwania naukowe nad ludami głębokiego Wschodu, zajmują tu coraz bardziej umysł. Różne komitety naukowe, trudnią się rozpatrywaniem nowych projektów w tym kierunku, a nie jeden projekt zamienia się już w rzeczywistość.

Prace o Wschodzie zcentralizowały się głównie w wielkiem przedsiębiorstwie zbiorowych wydawców, zawiązaném w celu upowszechnienia w przekładzie francuzkim, wszystkich znakomitych pisarzy świata. Spółka ta złożyła już 200,000 franków na tę publikacyę, i zapewniła jeszcze 80,000. Wydawnictwo rozpocznie się od poematu Rig-Veda, przekładu p. Langlois z adnotacyami uczonogo Eichhofs. Sam Eichhof tłumaczy Zenda-Westę z perskiego. Znany Egiptolog p. Rougé członek instytutu, przetłumaczył poemat egipski Pentaour, inny zaś Egiptolog p. Chabas, przygotowuje niektóre teksta lirycznej poezyi egipskiej. Będziemy uważali za obowiązek dać czytelnikom naszym w swoim czasie choć ogólne wyobrażenie o tych utworach geniuszu wschodniego.

Obok téj wielkiej zbiorowej publikacyi, zapowiedziało wiele innych prac pojedynczych. Wskazujemy dwa najważniejsze dzieła które w ostatnich czasach opuściły prasę.

Książd Perny wydał dykeyonarz francuzko-tacińsko-chiński: pismo chińskie drukowano w nim z wielką starannością.

Stawny sinolog, professor języka chińskiego, p. Stanislas-Julien, ogłosił drukiem długoletnią pracę swoją p. t.: *Przemysł starożytny i nowoczesny w państwie Chińskiem*. Dzieło to napisane, w sposób zajmujący, obudziło uwagę nie samych tylko specjalistów, ale w ogólności wszystkich ludzi, dla których postęp nauk nie jest obojętnym.

Wiadomo że Chińczycy w wielu wynalazkach znacznie wyprzedzili Europę. Bussola naprzykład znana u nich była na 2,000 lat przed Chrystusem. Papier którego Chińczycy używają nie tylko do pisania i druków, ale najmnieję do wyklejania okien zamiast szkła, a co więcj do palenia stosami na cześć umarłych; papier oto wyrabiany jest w Chinach od ośmnastu wieków. Do jego wyrobu używana kora drzewna, jak również rozmaite mchy i wodne porosty,

Autor ciekawe czyni uwagi nad sztuką typograficzną u Chińczyków. „Gdyby Europa—mówi on—utrzymywała stosunki z Chinami od VI wieku, byłaby poznała drukarstwo na 860 lat wcześniej niżli to nastąpiło.” Dodaje że i drzeworytnictwo głębokiej tam sięga starożytności. Na poparcie przytacza ustępy z dwóch encyklopedyi chińskich, według których obie wspomniane sztuki

siegają początków dynastji Soui (na 581 lat przed Chrystusem). Postęp w nich był stopniowy; nakoniec pod dynastją Song, (960—1278) doszły obie do zupełnego rozkwitu.

W połowie XI wieku, obok znanj sztuki drukarskiej, prosty kowal wiejski, nazwiskiem Pi-ching, wynalazł inny sposób drukowania, za pomocą ruchomych tabliczek, zwanych Ho-pan. Wynalazca wyłabiał głoski na rozczynioném cieście. Kiedy ciasto stężało, odbijał je na drugiem, przez co otrzymywał wypukłe zgłoski. Te ostatnie kładł w piec, a potem obsadzał je ściśle w ramki z żelaza. Prostý ów kowal o cztery wieki wyprzedził w pomysle sławnego Guttenberga.

Jeżeli Europa dziś dopiero przychodzi do zrzucenia z Chińczyków zarzutu barbarzyństwa, który przez tyle wieków ciążył nad tym przemyślnym a pracowitym ludem, za to sami Chińczycy mają w wysokim, nawet w przesadzonym stopniu samouznanie swj wartości. Kilka miesięcy temu, mieliśmy sposobność przepędzić wieczór w towarzystwie jednego mandaryna, poświęcającego się nauce, jakkolwiek wychowaniec misjonarzy francuzkich, nie mówił wcale po francuzku, tylko po łacinie. W tój bardzo był biegły. Widzieliśmy go wkrótce po jego przybyciu do Europy. Z niestychaną pogardą a nawet z gniewem wyrażał się o wszystkich niemal podróżnikach, zacząwszy od księdza Huc, którzy jak mówił tysiące fałszów ogłosili o Chinach. Utrzymywał z głębokiem przekonaniem, że przebywszy tyle krajów, zaczął się dostać do Francji, nigdzie nie napotkał cywilizacji, któraby mogła iść w porównaniu z chińską. Co więcej dowodził, że żaden z profesorów wykładających w Paryżu chiński język, nie zna go jak należy. O jednym tylko Sinologu Kleczkowskim, tłumaczu ostatniej legacji, mówił bardzo przychylnie, oceniając sumienną jego naukę. Kto wie czy zdanie tego uczonego Chińczyka, nie wpłynęło na to, że Kleczkowski otrzymał w tym roku katedrę chińskiego języka w College de France.

Dziwny to był ów łacińsko-chiński wieczór. Rozmowa toczyła się oczywiście po łacinie. Jak kto mógł przyjmował w niej udział. Kto z nas nie czuł się dosyć biegłym w mowie cyceronów, odzywał się po francuzku; Chińczyk rozumiał nieźle ten język, ale łatwiej mu było odpowiadać łaciną.

Postać jego zgodna zupełnie z typem chińskim, mimo to przyjemna i dosyć dorodna. Nie ma więcej nad lat trzydzieści. Jak nieodrodný syn niebieskiego państwa, ubrany w długą suknię jasno-błękitną, w miękkie papucie na wysokich podeszwach, okryty wielką paleryną perewistkową bardzo malowniczo wyglądał. W rozmowie zapalał się co chwila, w ówczasto ruchy jego przybierały typowy charakter. Na samą wzmiankę jednego z uczonych francuzkich, do którego miał żal na sercu, zerwał się z krzesła i pochwycił za piętę, co u Chińczyków jest oznaką oburzenia. W ciągu spokojniejszej rozmowy, nie mogąc zostać bezczynnie, bawił się z dwułokciowym warkoczem ciemnych włosów, lub z bransoletką, wykutą

z bledo żółtego kamienia, którą nosił na prawej ręce. Ta bransoleta oznacza stopień mandaryna. Miał jeszcze na palcu ogromny pierścień z takiegoż kamienia, otrzymany jako znamię doktoratu. Poświęca się wyłącznie lingwistyce i jak mówił pracuje nad dykcjonarzem chińsko-łacińskim.

Na wezwanie nasze kreślił na papierze rozmaite figurki, to jest litery chińskie, których komplikacja jak wiadomo bardzo dziwna. Wyraz jeden, zawsze jednozłgłoskowy, ma niekiedy pięć lub sześć znaczeń zupełnie odrębnych. Cała różnica polega na znakach, które czynią samogłoskę mniej albo więcej przedłużoną. Jakieżże to potrzeba wprawy, aby wiedzieć o ile głos zatrzymać, aby nie nadać wyrazowi niewłaściwego znaczenia. Wcale się też nie dziwimy, że ten uczony lingwista, rodowity Chińczyk, pomawiał o nieuctwo sinologów francuzkich.

Jedna tylko okoliczność wynagradza ogromne trudności jakie napotyka Europejczyk w nauczaniu się języka chińskiego, że ludność stanowiąca właściwe Chiny, a wynosząca około 350,000,000, używa jednego języka. Nie ma tu silnie oznaczonych prowincjonalizmów. Jestto główna cecha, nadzwyczaj uderzająca w cywilizacji tego dla nas dziwnego ludu.

O ile słuszne były skargi i przechwatki naszego gościa chińskiego, nie do nas sądzić o tém należy. Nie mogą jednak żalić się Chińczycy na obojętność Europejczyków względem siebie. Jeżeli z jednej strony ogół ich nie rozumie, jeżeli nawet niektórzy sądzą ich z uprzedzeniem, za to jest nie mało takich, którzy umieją patrzeć na ich społeczeństwo i sądzić je z bezstronnością godną prawdziwej nauki. Na dowód przytaczamy słowa vice-prezesa towarzystwa etnograficznego, wyrzeczone na doroczném posiedzeniu, przy zdaniu sprawy z postępu przekładów na język francuzki dzieł z chińskiego i japońskiego.

„Z tych dzieł lepiej możemy poznać ludy i charakter właściwy ich cywilizacji, aniżeli z owych licznych wyrobów, jakie handel rozpowszechnia codziennie między nami. Japończycy i Chińczycy zaczynają nam dziś wynagradzać nasze badania w sposób godny tych wielkich ludów; otwierają nam skarby swojej wiedzy. Ich księgi dowodzą że żyją racjonalnie, naukowo, że umysł ich nie jest bynajmniej skryształizowany.

„Oto nowe odkrycia dla uczonego świata; oto źródło nowe a niewyczerpane, które posłuży do zbliżenia się ludów głębokiego Wschodu z ludami Europy.”

Przejdźmy teraz na pole poezyi. Pole to we Francyi od dawna spoczywa odłogiem, a tak zarosło trawą i chwastami, że potrzebuje ręki dzielnych karczowników, aby je znów przygotowali do uprawy. Nie będziemy tu wchodzić w powody takiego wyjąłowieńia roli poetycznej we Francyi. Należyż przypisać tę posuchę wstrząśnieniu umysłów, skierowanych wyłącznie do spraw poli-

tycznych i socyalnych. Jestże jój powodem ten olbrzymi, może nawet potworny wzrost dziennikarstwa, który tyle pochłania zdolności i z drzewa wiedzy, zrywa tyle niedojrzałych owoców. Czyżby język francuzki, tak ścisły, tak jasny i malowniczy w prozie, nie dał się naginać dowolnie do poetycznej formy? Brakłoby wreszcie ducha poetycznego tej Francyi, którą w dziecięcych latach kołysały pieśni starożytnych Druidów galskich?

Nie możemy tu szczegółowo odpowiadać na te pytania; zapewnimy jednak śmiało, że Francyi nie brak ducha poetycznego. Alboż poezya nie tryska żywym strumieniem, w poważnych pracach tylu uczonych, którzy nieraz suchy nawet przedmiot umieją używać i uczynić powabnym. Brakże jój w historycznych obrazach H. Martin, w badaniach Micheleta i Thierrego, w powieściach pani Sand, w prelekcjach Franka i Labouleya, w dziennikarskich nawet artykułach nie jednego publicysty.

Formy poetycznej doskonale wyrobionej, nie można przecież zaprzeczyć natchnionym poetom, którzy tylko co zeszedli z poetycznego widnokręgu. Zachwycał ją Lamartine, porywał Beranżer, czarował Alfred Musset, zdumiewał ją żyjący lecz przeżyty Wiktor Hugo. Co więc, nie mówiąc już o tych wielkich koryfeuszach, każdy z dzisiejszych wierszopisarzy francuzkich zna doskonale warunki sztuki i gdyby tylko na samej formie spoczywała poezya, Francya nie miałaby prawa utyskiwać na brak poetów.

Ciężko ona jednak utyskuje na to chwilowe wyczerpanie sił w tym kierunku. Każdy zjawiający się talent przyjmuje krytyka z radosnym poklaskiem; akademia posypuje mu hojną ręką wieńce i inne zachęty; nakładca Lemerre, wydający wyłącznie poezye, chwytą skwapliwie nowy utwór i na prześlicznym welinie ukazuje go w oczy świata; profesorowie Sorbony i Collégé de France, podnoszą każdy wiersz piękniejszy i powtarzają go w obec tysiąca słuchaczy. Nic to jednak nie pomaga, słabiuchny ognek, który wydawał się napozór gwiazdą, błednieje i zagasa w przelocie, a ogół obraca znów oczy ku nowemu zjawisku.

Tymczasem każdy nowy geniuszek „zaledwie rozpowity z piełuszek,” o jakim tak się dowcipnie wyraził Fr. Morawski, szuka sobie dróg, na których mógłby wydeptać nowe, a raczej oddeptać zatarte ślady i tём samém upada w nieznośną *manierę*. Owa to chęćka *pseudo* nowości sprawiła, że niektórzy z dzisiejszych poetów, umyślili przywrócić poetyczną cześć starożytnym bóstwom mytologii greckiej. W utworze jednego z nich, Teodora Banville, w poemaciku *Cytera* spotkaliśmy się niedawno z całym szeregiem bóstw Olimpu, zacząwszy od Saturna i Jowisza, do Neptuna, Plutona, Marsa, Junony i Cybeli, którym poeta nadał greckie nazwy: Kronosa, Zeuza, Posejdona, Rhei i t. p. Ujrzelśmy tu całe plejady muz, geniuszów, leśnych sylwanów i uroczych nymf, z którymi poze gnaliśmy się przed laty pięćdziesięciu, jak się zdawać mogło, na wieki.

Dla oryginalności przytaczamy w przekładzie ustęp z tego olimpijskiego poematu. Ktokolwiek zechce przeczytać ten urywek, musi przenieść się myślą w czasy, kiedy u nas świątynia Wenery w Knidos budziła taki zachwyt. Szczęściem że u nas przynajmniej ten zachwyt przeminął bezpowrotnie.

Oto kilkanaście wierszy Teofila Banville, który w kole paryskich poetów używa nie małej wziętości:

O! słuchajcie tych dźwięków zaklętych w Cytarze.
 Wy bogowie Olympu i wy co w Tartarze
 Dzierżycie wszechpotężne berło w swój prawicy,
 Wy Tytany, naddziadów naszych poprzednicy!
 Kronosie co polotem okrążasz świat cały,
 Ty królu opiekuńczy Zeusie pełen chwały!
 Niezwyciężony, święty, groźny, płomienisty,
 Zeusie! co u obłoków miotasz grom ognisty,
 I ty Hero królowo co rozsiewasz życie.
 Na śnieżne gór wierzchołki toczące w błękitcie
 Rheo, która na wozie uprzężonym w byki
 Stodkim dźwiękiem miedzianych cymbalków muzyki,
 Poisz niebiańskie ucho! Ty uwieńczasz w kwiaty
 Posłuchaj też Cytary, Sylenie rogaty!
 Słuchajże jej potężny królu Posejdonie,
 Co ujarzmiasz niesforne oceanu tonie.
 Słuchajże jej Aresie zboczony krwią czerwoną;
 I ty królowo Leto, i ty Persefono
 Posłuchajcie Cytery!

Niechże sobie czytelnik wyobrazi pięćset podobnych alexandrynów, odlanych na jedną formę, a będzie miał słabe pojęcie odradzającego się klasycyzmu we Francyi!

Mytologia grecka tak piękna w epopkach Homera i Wirgillego, tak świetnie odrodzona w utworach Tassów, Aryostów, Ronsardów i Kochanowskich; zużyta przez pisarzy XVIII-tego wieku, zarówno we Francyi jak i w Polsce, sponiewierana do reszty przez ostatnich klasyków, którzy jej przestarzałym sztandarem, odpierali zacięcie wszelki rozwój żywotnej i swojskiej myśli, mitologia grecka powtarzamy, tak samo nad Wisłą jak i nad Sekwaną skonała bezpowrotnie. Ktoby chciał wskrzeszać trupa, okryje się próżno śmiesznością a nie osiągnie celu.

Oni znów poeci francuzcy wzięli sobie za cel czerpać dla oryginalności w tradycjach wiedzy, w mistycznych podaniach Buddy, a niekiedy w hebrajskim talmudzie. Z tego ostatniego źródła widzimy wydobytych Kainów i Ahaswerusów nowego kroju. Z niego to zdolny i młody poeta Garner, uwieńczony w tym roku przez akademię, wydobył postać pięknej Semei, dziewicy izraelskiej, która czekając na przyjście zapowiedzianego oblubieńca, słysząc już a raczej przeczuwając jego zbliżenie, skonała z zachwytu wprzód niżli

pojawił się jój oczom. Utwór ten zjednał poecie pierwszą nagrodę za wzorową poprawność wiersza, co w akademii, która trzyma straż nad językiem, główny daje tytuł do wieńców i medalów.

Przesada jaką widzimy w pomysłach nowej szkoły, tak wielką budzi ekliwłość, że wszelkie oznaki prawdziwego uczucia w poezyi, znajdują tu powszechny poklask. W roku zeszłym, professor Guizot, z katedry Collége d' France, wysoko podniósł talent poetyczny panny Luizy Siefert z Lyonu. Znakomity krytyk stawiał w szczególny sposób naiwną szczerłość, z jaką ośmastoletnia poetka wypowiada uczucia osobiste; powtarzał z upodobaniem każdy wykrzyk boleści jój zranionego serca.

Staraliśmy się poznać ten zachwalony zbiorek p. t.: *Promienis zatracone* (Rayons perdus). Odczytaliśmy go z uwagą: pod względem czystości języka, harmonijnego układu wiersza, a nawet siły męzkiej w wielu ustępach, drobne te utwory nie pozostawiają nic do życzenia. Ta jednak szczerłość którą Guizot najwięcej właśnie podnosił, wydała nam się dziwną i rażąca.

Młoda panienska przez pierwszym wstępem na świat, doznała bolesnego zawodu; narzeźcony opuścił ją, lekceważąc sobie jój prostą i prawdziwą miłość. Tknięta do żywego, obrażona w uczuciu i dumie niewieściej, wylała ból i gorycz serca w kilkunastu piosenkach, z których każda stanowi całość osobną. Jest w nich życie, jest prawda, ale według nas poezya podmiotowa nie ma tak wielkiego znaczenia, jakie jój nadaje p. Guizot. Nie dziwimy się jednak, że znudzony zimną konwencyonalnością i przesadnym szkolarstwem dzisiejszych poetów francuzkich, skłonił ucha na ten wykrzyk boleści, tak szczerzy i prawdziwy.

Nie sam tylko professor Guizot podniósł talent poetki lyońskiej. Inny, wytrawniejszy jeszcze krytyk, zmarły niedawno Sainte-Beuve, oddał jój równie chlubne świadectwo. Oprócz kilku poetów, którzy sypnęli na jój cześć pochwalnemi rymami, sam nawet Wiktor Hugo, w liście przesłanym z Guernsy, zachęca młodą poetkę do wytrwałości na drodze, którą tak chlubnie rozpoczęła.

Pierwszy nakład *Promienis* odbity w 500 egzemplarzach, rozszedł się w ciągu kilku tygodni.

W każdym wierszu Luizy Siefert, odbija obrażona duma. Przebaczymy tę szczerłość ośmastoletniej śpiewaczce. Gdyby miała dziesięć lub piętnaście lat więcej, doświadczenie zapewneby ją nauczyło, że najwyższa duma, nie ta co się objawia wykrzykiem chociażby harmonijnym, lecz ta co rada ukrywa ją w milczeniu.

Oto wierszyk p. t. *Orgueil* (pycha) charakteryzujący kierunek talentu poetki:

Nie jestem ja z tych kobiet, coby rychłym skonem
Pragnęły swoich katów schlebić myśli dumnej, ;
I dać im żyć w pokoju z sercem niezmaconém.

Jestże to poświęcenie? to szal bezrozumny!
Grać rolę bohaterów, ich rozkosz prawdziwa:
Niech świat widzi ich wspartych nogami o trumny!

Głos obłudnych pierś moją na kęsy rozrywa,
Gdy mówią rozczuleni przy ofiar mogile:
„Anioł się za mnie modli w niebie! nieszczęśliwa!”

Wiem, bo tyś mnie nauczył, zwycięstwo przy sile!
Kto umrze, ten zapomni, wołę cierpieć raczój,
Pod twym-że ja pociskiem dumny kark pochylę?

Grób mnie woła, choć serce pęka mi z rozpacy,
Ponętny głos ten, z dumy odpycham rumieńcem,
Bo skoro mnie się pomścić nie dano inaczej.

Ja chcę byś wyrzekł kiedyś: „Ha! byłem szaleńcem!”

Oto inny ustęp, malujący też same uczucia gniewu i pogardy:

O! jeśli mądrość ludzka w tém się cała mieści,
By z dróg życia kolczyste usuwać boleści,
Bo na nie czasu tak mało;
Jeśli trzeba z łez gorzkim obliczać się zdrojem,
Jeśli by z upragnionym nie zrywać pokojem
Skracać trosk chwile przystało;

Jeśli trzeba odtrącać jak poświst natrętny
To wszystko, co przeszłości głos miły a smętny
W głąb' ucha łzawo ci kładzie;
Jeżeli moc uczucia o rozum się skruszy
A chłodne samolubstwo zawładnie w twój duszy,
I serce stanie na zdradzie!

Gdy brak sercu téj dumy co pomścić je może,
Jeśli jak martwy polip podda się w pokorze
Pod losu ciężki i chłosty,
Co mają do nowego przykroić je celu;
Gdy cnotą i mądrością, po walkach tak wielu
Będzie mu tylko zysk prosty;

O! jeżeli to prawda, wyznam ze szczerotą:
Ja pogardzam rozumem, szczęściem, nawet cnotą,
Choć świat jój sypie oklaski.
Ile mam nienawiści, wypowiem-że słowy,
Ile obelg i wstrętu ku rachubie owój,
Rachubie podtój a płaskiej!

Tak, ja cierpieć potrafię, miłość wyznam śmiało,
 I czoło moje zwieńczę koroną wspaniałą
 Z bólu co zatrzał mi życie.
 I uczucia me zdobne przezczystych łez rosą,
 W lazury ciche skrzydła boleści uniosą,
 I złożą w jasnym błękiecie.

Przytaczamy trzeci jeszcze ustęp. Tu poetka nie przemawia już osobiście, ale porównywa się do samotnej jodły. Urywek ten przechodzi już cokolwiek w dziedzinę poezji przedmiotowej.

DO JODŁY.

Tyś miłsza mi jodło nad dęby i klony,
 Z twym czołem poważnym, z krzepkimi ramiony,
 Skrzydlastych śpiewaków mijają się roje;
 Maj świeżą koroną nie zwieńczy ci głowy,
 Nie zmiecie twój krasny wiatr chłodny, grudniowy:
 Do ciebie się miękkie nie tulą powoje.

Gdzie rośniesz, tam władnie mrok ciemny, szron wieczny
 I nigdy cię promień nie ogrzał słoneczny;
 A jednak samotna panujesz nad borem,
 Od młodu spowita w wilgotne chmur kłęby,
 Prześcigasz ty czołem stuletnie puszczy dęby,
 Nim człowiek cię twardym powali toporem.

O jodło! ja serca podobne znam tobie,
 Co w ciszy samotnej, w sieroctwa żalobie
 Wytrwale się w modre wzbijają niebiosą,
 Co w śnieżnej zamieci zdobędą hart nowy,
 Choć niemi wciąż wicher pomiata grudniowy,
 I nigdy majowa nie krzepi ich rosa.

W następnym sprawozdaniu przejrzymy utwory innych poetów, a szczególnie Franciszka Coppée, który odmienną poszedł drogą, niż jego współzawodnicy i podwakroć już otrzymał nagrodę akademii.

Najważniejszym wypadkiem w świecie teatralnym, jest ukazanie się nowej opery Aubera, którą odegrano po raz pierwszy 20 grudnia w *Opera Comique*. Ośmdziesięcioletni kompozytor wywiązał się nadszpiewanie z trudnego zadania. Opera bowiem nosi tytuł: *Reve d'amour* (marzenie a raczej sen miłości). Przeciwnie jak Rossini, który na czterdzieści lat przed śmiercią spoczął już na laurach rzuciwszy w świat najpiękniejsze arcydzieło swoje Wilhelma Tella; autor tworzy, dopóki czuje że ma prawo wystąpić

jeszcze przed światem, bez ubliżenia dawném a niezapomnianém dotąd arcydziełem

Arbitralni krytycy, którzy nie dawali pokoju włoskiemu mistrzowi, czemu przedwcześnie tworzyć przestał, wyrzucają nielitościwie ośmdziesięcioletniemu mistrzowi francuzkiemu dlaczego jeszcze tworzy, kiedy szron przypruszył mu czoło od tak dawna? Gdyby przynajmniej zarzucano że ten szron wystudził serce i zmroził artystyczny zapal starca, krytyka byłaby poniekąd usprawiedliwioną. Tymczasem panowie krytycy nie zaprzeczając młodzieńczej werwy w utworze, naganiają mistrza że nie chce spocząć, kiedy jego dzieła naprzykrzyły się już publiczności. Takie to *oburzające* zdanie czytaliśmy w *Revue de Deux Mondes*.

Publiczność tymczasem zadaje fałsz krytykom. Tłumy gromadzące się na każde przedstawienie, świadczą wymownie, że Auber nie naprzykrzył się Francyi, gdzie nie ma dotąd nikogo, coby godnie zastąpić go potrafił.

Zgrabne libretto pp. Ennery i Cormon godnie odpowiada komicznej muzyce, pełnej prawdziwie francuzkiego humoru.

Oto pobieżna treść opery:

Śliczna Deniska, córka zamożnego wieśniaka Bertranda, niegdyś majtka, mnóstwo ma zalotników. W dniu dożynkowym, ośmiu naraz oświadcza się o jej rękę. Dziewczyna nie chce i styścić o nich. Serce jej skłania się do młodego i dorodnego Marcela. Marcel jest bliskim jej krewnym. Żona Bertranda przygarnęła go niegdyś sierotą, równie jak małą jego siostrę i oboje chowała troskliwie z dwojgiem swych własnych dzieci. Ów Marcel różni się od innych wieśniaków. Stary Bertrand zowie go próżniakiem, dlatego że chciwy nauki, ucieka na plebanię lub też do nauczyciela wiejskiego. Mimo to Bertrand kocha wychowanka i pragnie oddać mu jedynaczkę.

Marcel tymczasem cały rozmarzony, goni jakieś tajemnicze wspomnienie. Jedynym jego powiernikiem jest zielony dąb w gaju:

Gdy słońko wschodzi pogodnie z rana,
Pod cień twój śpieszę o dębie mój,
Tu moja dusza oczarowana
Goni zaklętych pamiętek rój.
Oddałbym ja życie
Za dzionek ten,
Gdym uczuł w zachwycie
Miłości sen.

Gdy słońka blaski ostatnie gasną
Przez twych konarów zielony splot,
Widzę, ach widzę gwiazdeczkę jasną,
Zbliżam się do niej... lecz zbiegła w lot.
Oddałbym ja życie
Za dzionek ten,
Gdym uczuł w zachwycie
Miłości sen.

Wydaje się tajemnica. Marysia przyjaciółka Denizki z narzeczonym swym Andonem, podsłuchali piosenkę Marcela. Badają go oboje.

— Skoro chcecie—wszystko wam powiem—rzecze Marcel. Dwa lata temu wracałem z pola; mimowoli zwróciłem oczyma na to drzewo, pod jego cieniem, na ławeczce spała jakaś zakłęta czarodziejka. Chciałem odejść, nie mogłem, jakby stopy wrosły mi w ziemię. Mrok zapadał zwolna.. ośmielony zbliżam się do niej i z cicha składam pocałunek na jej bieluchnym czole. Obudziła się z krzykiem: ten krzyk przywrócił mi zmysły. Uciekłem, ale w sercu uniosłem jej pamięć na zawsze. I od tej chwili przychodzę tu co dzień i pytam sam siebie, bytż to sen czy prawda?

— Rzuciłbyś próżne mary—rzecze dziewczyna—zapomnij raz o twoim śnie, a nie odrzucaj szczęścia, co się samo garnie do ciebie.

Namowy przyjaciół sprawiają, że Marcel postanawia zaślubić Denizkę. Stary Bertrand uszczęśliwiony, zgromadza sąsiadów. Tego dnia jeszcze odbędą się zaręczyny. Marysia którą Andosz ścigał oddawna czułym wzrokiem, skłania się także do jego chęci.

Niech co chcą mówią, przez wszystkie wieki.

Jednym się kołem obraca świat:

Gdy jedna owca skoczy do rzeki

Wnet za nią drugie poskoczą w ślad.

Kiedy radość ożywia chatę Bertranda, panna Henryeta de Laroche Villers, która tylko co przybyła do zamku, w gronie licznych gości z Paryża, przebiega lasek z towarzyszkami. Na widok dębu zbladła, zadrżała jak listek. Na zapytania przyjaciółek opowiada im, jak przed dwoma laty zuchwalec jakiś zbudził ją pocałunkiem na tej samej ławeczce darniowej.

— Odtąd rzecze — ilekroć spotkam wzrok nieznajomy, lękam się i drżę cała.

Trwoga moją myśl zamąca,

Brak mi tchu i sił,

Pytam siebie cała drżąca,

Gdybyż to on był!

Jeśli młody—mniejsza jeszcze,

Ustępują z piersi drzeszcze,

I otucha wnet nieznana

Doda sercu sił;

Pytam siebie zadumana

Gdybyż to on był!

Lecz na twarzy jeśli bladój

Wiek głębokie wyrył ślady,

I siwizną włos mu pruszy;
 I blask oka śmiał.
 Pytam siebie z trwogą w duszy:
 Gdybyż to on był!

Wieśniacy tymczasem z grajkami na czele wchodzą tłumnie do chaty Bertranda. Henryeta pyta co to znaczy? Dowiedziawszy się o dwóch weselach, wita uprzejmie gospodarza: prosi by ję przedstawił narzeczonych. Marcel z Denizką stawiają się na wezwanie. Skoro młodzian podniósł oczy, poznaje w Henryecie tę, o której marzy od tak dawna, na której czole złożył tajemny pocałunek. Ona zaś nie domyśla się niczego, kładzie na palec Denizce pierścień złoty, zaprasza wieśniaków, aby w dniu wesela, chcieli potańcować w zamkowym parku, gdzie przygotowuje dla nich ucztę.

Drugi akt przenosi nas do parku w Laroche Villers. Arystokratyczne grono oczekuje na przybycie weselnego orszaku; tymczasem bawi się wesoło w wolanta i w ślepą babkę. Henryetta biega z zawiązanymi oczyma, lecz nikogo dogouić nie może. Przybliża się nakoniec do cieniściego gaju z bzów; tam chwyta chropawą rękę, zdiera chusteczkę z oczu, widzi że złapała wieśniaka. Czoło dumnej panny pochmurza się. Marcel błaga o przebaczenie. Ukryty w parku pragnął tylko zobaczyć ją opodał; ale gdy spostrzegł że po omacku zbliżyła się do posągu kamiennego, w obawie żeby nie zraniła czoła, wystąpił z cieniu drzew i zasłonił ją sobą. Tym sposobem, chwyciła jego rękę.

Przybiega wtedy Marysia z Andoszem, oznajmiając że małżeństwo Denizki rozchwiało się, gdyż w chwili podpisania kontraktu, Marcel wyznał że ję nie kocha, i nie chce być przyczyną ję niedoli. Biedna Denizka płacze za wymarzonem szczęściem, ojciec ję przeklina wychowanka.

Goście rozchodzą się po parku, Marcel wraca do chaty. Henryeta zostaje z Marysią i Andoszem. Dowiaduje się wtedy od nich, o czarach jakie od dwóch lat urzekły biednego młodzieńca; o nieszczęśliwym pocałunku, co taki wpływ wywarł na jego losy. Pomieszana Henryeta, pragnie pomówić z Marcelem, przyrzeka nakłonić go do małżeństwa z Denizką.

Gdy młodzi wieśniacy odeszli, zbliża się do niej jeden z licznych ję zalotników Boisfleury. Henryeta odrzuca jego rękę. Obrażony panicz, który zna tajemnice domu Laroche Villers, opowiada przygodę jaka zaszła przed dwódziesiąt laty.

Dnia jednego margrabia Laroche, objeżdżając obszerne dobra swoje, wstąpił do ubogiej chaty wieśniaczej. Zastał tam młodą niewiastę, z czworgiem pięknych lubo zgłodniałych dzieci. Była to żona majtka, mąż ję popłynął gdzieś na dalekie morze. Bezdzietny margrabia wziął dwie dziewczynki na wychowanie, dwoje dzieci pozostało u matki. Henryeta de Laroche Villers jest jedną z tych wychowanek, druga umarła w dziecięcych latach. Ona sama odziedziczy wielki majątek margrabiego. Przybrany ojciec który

pragnie jej związku z Boisfleurem, sam oznajmił mu w liście tę przygodę.

Henryeta oburza się z razu; pociesza ją jednak myśl, że ta okoliczność zbliża ją do Marcela, ku któremu czuje tajemny pociąg.

Marcel przybywa. Henryeta radzi mu, żeby się zaciągnął do wojska. Zostanie może oficerem, a wtedy zniknie zapora między niemi. Marcel przyjmuje z zapałem tę radę, odchodzi uszczęśliwiony.

W kilka dni potem młodzian żegna rodzinę, zaciąga się na ochotnika, wojna właśnie wre na granicach Francyi. Akt kończy się marszem rycerskim:

Grzmia wesoło tarabany,
Szumi sztandar chwały znak;
Rannój zorzy blask rumiany
Rozpromienia ciemny szlak.
Ochotnicy śmiało,
Rzucić nam przystało
Tę kwiecistą błoń;
Ach dla was tam żniwa,
Tam wawrzyn dojrzewa,
Tam młodość go zrywa
Na zwycięzcy skroń.

W trzecim akcie podczas gdy Marcel bije się dzielnie i dośługuje stopnia kapitana, w chacie Bertranda wyjaśniają się rzeczy.

Henryeta wyznaje staremu majtkowi, że jest jego córką. Denizka z tęsknoty za Marcelem wędnieje niby kwiat bez słońca. Aby ją ocalić siostra poświęca się dla niej. Gdy po skończonej wojnie Marcel powraca do rodziny, szlachetna Henryeta zwodzi go utrzymując, że jest rodzoną jego siostrą i skłania go do zaślubienia Denizki.

Rzecz mogła się łatwo dać wytłumaczyć w ten sposób, gdyż druga dziewczynka wzięta przez margrabię na wychowanie, co zmarła w dzieciennych latach, była rzeczywiście siostrą Marcela. Tajemnica znana tylko Henryecie i staremu Bertrandowi. Marcel zrazu w rozpacz, pociesza go jednak stałe przywiązanie Denizki. Przymusza do posłuszeństwa. Henryeta zaś oddaje rękę p. Boisfleury. Pozostał obojgu chwilowy *sen miłości*.

Pomimo nieprawdopodobnych sytuacji, łatwych do przebaczenia w librecie, treść jego zajmująca i poetyczna. W operze napotykamy mnóstwo prześlicznych melodj, odśpiewanych wybornie. Wystawa świetna, i malownicze stroje wieśniaków bretońskich, dodają też wiele uroku. W uwerturze zwraca uwagę marsz wojskowy, którego motywa powtarzają się w ciągu sztuki.

Nieszczęśliwa popędliwość, jaką w ostatnich czasach okazał książę Piotr Bonaparte, dała pobudkę do różnostronnego badania jego osobistości; ponieważ książę jest także autorem, poczęto rozpatrywać bliżej jego prace literackie. Między innymi przetłumaczył on tragedję włoską Nikoliniego p. t. Nabuchodonozor.

Wbrew przyjętemu powszechnie we Francyi mniemaniu, że język francuzki nie może oddać wierszem zwłaszcza rymowym, żadnego utworu obcego, książę nie uląkł się trudności, śmiało je przełamał i dowiódł, że potrzeba tylko pracy aby zwalczyć tak zwane niepodobieństwo. Przekład jego dokonany pełnym i harmonijnym wierszem.

Powiedzmy słówko o samym utworze.

Nikolini obrał za miejsce działania Assyryą i to w epoce pokrytej dotąd grubym pomrokiem wieków.

Nabuchodonozor I, obrany królem z woli ludu, postanowił opanować całą Azyą, i zagarnąć Scytyą pod swą władzę. Przez lat dwadzieścia zwycięstwo szło za nim wiernie w ślady. W końcu jednak narody pokonane podniosły głowę. Arcykapłan którego przesładował król Assyryi, mimo że dźwigał z upadku ołtarze, występuje przeciwko niemu. Wodzowie wojsk obsypani przezeń darami, zdradzają go; sama nawet małżonka, córka i siostra królów, staje się narzędziem jego zguby; pozostaje mu tylko jedyna deska zbawienia w owym ludzie, który go wyniósł na barkach. Dumny król gardzi tą ostatnią podporą.

Na tém tle osnuł Nikolini swój dramat. Łatwo odgadnąć, że autor pod osłoną nazwisk assyryjskich przedstawił w nim dzieje współczesne.

Nabuchodonozor wyobraża tu Napoleona I. jego matka Vestris, Letecyą matkę cesarską; królowa Amity, Maryą Ludwikę; Mitran kapłan Belusa, uosabia wiernie Piusa VII. W Asfenie wodzu Nabuchodonozora łatwo poznać plejadę generałów, którzy widząc zachwiane cesarstwo, przyspieszyli jego zgubę. Arsaces wyobraża geniusz ludu.

Zwycięzki Nabuchodonozor opanował już Tyr, podbił Medyą i Persyą, a teraz marzy o zawojowaniu Scytii. Wysyła tam niezliczone zastępy.

Los odwraca się nagle przeciw niemu. Król Assyryi pokonany potrzebuje ludu, potrzebuje pomocy bogów.

Mocarz przed którym drżał dotąd świat cały, widzi że jest nadeń wyższa potęga, przed którą musi pochylić czoło.

Arcykapłan Mitran rzuca mu w oczy gorzką prawdę. Król w oburzeniu zwołuje lud i senat nakazuje nowe pobory; ale Assyrya wycieńczona, zabrakło krwi w żyłach jej synów. Wszyscy wołają o pokój! wypowiadają posłuszeństwo... Nabuchodonozor pada ofiarą własnej pychy.

W samym przedmiocie jaki obrał Piotr Bonaparte do tłumaczenia, maluje się jego charakter niepodległy i energiczny. Jaka szkoda, że ta energia nie dała się zużytkować na właściwém polu.

Z wiadomości obchodzących scenę paryżką, powiemy tu, że Erkman-Chatrian, to jest dwaj nierozłączni pisarze zwani jednem imieniem, piszą dramat w pięciu aktach p. t. Przyjaciół Fritz, dla teatru Cluny.

Juliusz Clarette wykończy dramat także pięcioaktowy p. t. *Aragonowie*.

Franciszek Coppée autor *Bezrobocia Kowali* napisał wierszem dramat: *Les deux douleurs*, który ma być za parę tygodni przedstawiony w Odeonie.

Wiktoryn Sardou pisze także nową komedję.

Wyszła u Dentu powieść p. t. *Panna Girand moja żona*, przez A. Belot. Parę miesięcy temu dziennik *Figaro* zaczął drukować tę powieść w feletonie swoim, lecz nagle ją przerwał nie doszedłszy połowy. Przyczynę tego wytłumaczył teraz w sposób godny zapisania w historii dziennikarstwa i ruchu umysłowego we Francji.

Redakcja nie spostrzegła zrazu, że ta powieść może wyrzeć szkodliwy wpływ na społeczeństwo, przedstawiając obrazy niemoralne. Ostrzeżona przez czytelników, przerwała natychmiast druk bez względu na poniesione koszty.

„Delikatność uczucia ze strony czytelników, mówi Redakcja, bardzo według nas słuszna i usprawiedliwiona. Książka nie tyle zaszkodzi w domu jak dziennik; można ją zamknąć na klucz, dziennik zaś jest przyjacielem, towarzyszem i niejako domownikiem w rodzinie. Dziennik przychodzi sam, wciska się wszędzie, staje się ulubieńcem żony i córki twojej. Ufasz mu i masz słusność, bo sama ufność twoja nakłada nań święte obowiązki”.

Pamiętajmy, że te słowa wyszły z Redakcji Figara, to jest jednego z tych najpopularniejszych dzienników, o których lekko-myślności tak wiele mówią cudzoziemcy. Dowód to nowy, jak trudno im zrozumieć tę Francją tak lekką w formach, a tak głęboką w gruncie rzeczy.

Professor Werth, sekretarz Towarzystwa przyjaciół starożytności w krajach nadreńskich, wręczył cesarzowi Napoleonowi III, dyplom na członka korespondenta Towarzystwa.

— Uważam przyjęcie Waszój Ces. Mości — rzekł — jako dowód przyjacielskich stosunków między dwoma ludami, u których wojenne wypadki z ostatnich wieków, pozostawiły uprzedzenia i niechęci przeciwne ich rozwojowi intelektualnemu.

Cesarz odpowiedział na to, że szczyści się z tytułu członka towarzystwa, którego pracom zawdzięcza tak wiele w wykonaniu swego dzieła historycznego. Co zaś do szacunku i sympatyj dla Niemiec, wychowanie niemieckie jakie odebrał, daje doskonałą ich gwarancję.

W *Teatrze Francuskim* przedstawiono w tych dniach dramacik w jednym akcie, napisany wierszem p. t. *Robotnicy*. Auto-

rem jest p. Manel professor jednego z Liceów paryzkich. Cztery osoby odgrywają tu rolę: matka Joanna, syn jój Marceli, pan Morin i wychowanka jego Helena.

Matka Joanna zacna, pracowita kobieta z ludu, miała męża wielkiego zawadykę. Przed dwudziestu laty, mąż ten wróciwszy podchmielony z szynku, nie wiedząc sam co czyni, ugodził nożem poczciwą żonę i przestraszony zbrodnią opuścił progi domu.

Rana nie była śmiertelna. Matka Joanna zostawiona sama sobie, pracą rąk starczyła na wychowanie syna Marcelego. Chłopiec rozwijał się pod czujną jój opieką, uczył się wybornie i miłość dobrej matki odplacał synowskiem przywiązaniem.

Dwadzieścia lat upłynęło od chwili, jak mąż opuścił Joannę. Marceli wyrosł na zdolnego i pracowitego rzemieślnika. Poznał wtedy młodą sierotę Helenę i szczerą pokochał ją miłością. Helena ma starego opiekuna p. Morin. Cały węzeł dramatyczny polega na tém, że owym opiekunem jest nie kto inny jak mąż Joanny, poprawiony z dawnych nałogów. Joanna przebacza mężowi bezwiedny zapęd, Marceli poślubia Helenę.

Dramat przyjęty był z niesłychanym zapalem. Przytaczamy słowa Marcelego:

Nie kryję nikomu

Tajników mego życia; wyznam je bez sromu...
 Jam jeden z tych, co marzeń snują przedzę złotą,
 Kiedy ręka powszednią zajętą robotą;
 A gdy umysł i ręka unużą się, wreszcie
 Starą matkę pod ramie prowadzę po mieście,
 Bo i matkom potrzeba dać rozrywki chwilę.
 Często idę na kursa, wszak bywa ich tyle.
 Rysuję, więc rad zwiedzam sztuki arcydzieła,
 Skrę z mózgu krzeszę młotem, by myśl nie spoczęła.
 Z dobrą matką poważne co wieczór rozmowy,
 Nauczyły mnie cenić ten pokarm duchowy.
 Wreszcie jam nie żonaty; jak się zwykle zdarza,
 Mam w kilku towarzystwach urząd sekretarza.
 Bom otrzymał od nieba, mówię tu bez pychy,
 Wznioślejszy polot ducha nad mój zawód cichy.
 Wszak godzi się rozumem i myślą podniosłą,
 Skromnego robotnika uznać rzemiosło.
 W twardej pracy hartować trzeba dłoń szeroką,
 By z nędzą się zuchwale zmierzyć oko w oko.
 Ach! trzeba gdy nas fali porywa prąd chyży
 Wdzierać się w pocie czoła wciąż wyżej a wyżej!
 Lud istny dąb: przyroda praw tu swych nie zmienia.
 Sok żywotny do góry pędzi od korzenia.

Przekład tego dramaciku dla sceny polskiej wkrótce ukończonym zostanie.
 S. D.

II.

Ostatnia publikacja Renana.—Pochwała Rossiniego odczytana na posiedzeniu Akademii sztuk pięknych.—„Le Vrai Titus” przez p. Beule.—Korrespondencya Napoleona Igo.—Projekt nowego morskiego kanału.—Teatra paryżkie w porze noworocznej i komedia Froufrou.—Wystawa zabawek dziecięcych.—Najnowsze historyczne i literackie prace.—Le Chateau de Żółkiew.

Praca publikowana niedawno przez Renana w *Revue des deux Mondes*, wyszła temi dniami w osobnej książce pod tytułem: *Philosophie contemporaine de la monarchie constitutionnelle en France depuis la révolution de Février*. To studyum dotyczące wielu zadań dzisiejszych, zwróciło na siebie uwagę, a nie jednemu zrobić mogło istotną niespodziankę; jest to dość śmiałe i dumne: *odi profanum vulgus*, rzucone niejako w oczy pewnej rewolucyjnej szkole tutejszej.

Treścią swą i poglądem nowa publikacja należy do tego samego rodzaju, co wydane przed rokiem *Questions contemporaines*. Umysły delikatne i wyrafinowane, smakosze literaccy, diletanci polityczni, wszystkie dusze zmęczone a na stałej podstawie religijnej nie oparte, z wielkiem upodobaniem czytują tego rodzaju studia, których wykwintność formy i urok stylu nie małą stanowi zaletę. Żadne przekonanie nie znajduje tu zupełnego zaspokojenia, ale za to każde stronnictwo, każdy niemal odcień opinii może odnaleźć i wybrać sobie ustępy przypadające do smaku. W owych „kwestjach społecznych” konserwatyści ucieszą się niezawodnie z sądów autora o rewolucyi; Orleaniści przyklasną ocenieniu Ludwika Filipa; Bonapartystów przyjemnie pogłaszczę po sercu: że „drugie cesarstwo przyniosło massom bohaterskie wspomnienie i imię budzące cześć a łatwe do zrozumienia;” wreszcie ci których drażnił oddawna epikureizm Berangera i jego przesadzona poetycka sława, z prawdziwą uciechą przeczytają znakomity, a ironią zaprawny ustęp o osiwiątym kochanku i śpiewaku Lizety. Wyznajemy, żeśmy tę ostatnią uciechę w całej pełni podzielali.

Lecz tego rodzaju cząstkowe i czysto ujemne zadowolenienie, głębszym i sumienniejszym umysłem wystarczyć nie jest w stanie. Ogół dość łatwo ulega wpływowi talentu; lecz nawet ludzie przyzwyczający na niszczenie tego, co czcig jest otoczone, domagają się w końcu, aby ten co niszczy i obala, stawił w to miejsce coś nowego, choćby jawną niewiarę, choćby najgrubszą cześć dla materyi. Takiego zadowolenia jednym, takiego zgorszenia drugim, nigdy Renan nie daje. Stara się on dowieść wszystkim religijnym i politycznym opiniom, że są w błędzie; a zamiast przekonania które pod tym lub owym sztandarem, pobudzały ludzi do życia i działania, ofiaruje jakąś metafizykę transcendentalną, okraszoną ponętym, ale denerwującym diletantyzmem. Nie dziw też, że reakcya przeciw autorowi „*Jezusa i Apostołów*” rozpoczęła się na raz ze

wszystkich stron; dzisiaj już nie tylko katolicy zarzucają Renanowi, że szerzy zwątpienie i do omdłałości doprowadza sumienia.

Ten utalentowany i zręczny pisarz zastosowuje do kwestyj politycznych i społecznych tę samą metodę, za pomocą której usiłował podkopać Ewangelię. Podaje w wątpliwość przekonania i zasady dzisiejsze; obudza w nas żal i tęsknotę za tem, co niepowrotnie minęło; druzgoce to co ludzie czcić przywykli i rozrzewnia się nad pokruszonymi szczątkami; prześlizguje się zgrabnie po tych szczątkach, rzucając czytelnikowi w oczy świetne paradoksa i pełne ponęt hipotezy. W chwili gdy nam się zdaje, że już chwytamy autora za słowo, wymyka się on, rozwiewa w powietrzu i całkiem ulatnia. Ta subtelność i łatwość rozplywania się jakoby w eterze, daje analizom i wywodom Renana niebezpieczny wdzięk zdradzieckich kobiecych kokieteryi. W niejednym twierdzeniu czuć tam pod spodem zaprzeczenie; przy niejednym znów zaprzeczeniu, zdaje się że autor chciał „tak” powiedzieć.

Pisarz ten, zaprawdę jest biegłym maszynistą! Jakże złudnie dla oka ustawia on swe dekoracje, jakże zręcznie posuwa je i przemienia! W tem sztucznem a mamiącym otoczeniu, wnet tracisz poczucie miejsca, czasu, proporcye i odległości, a jeżeli spojrzysz ku górze, to nie wiesz czy masz nad sobą prawdziwe czy też malowane niebo. Nie wiesz także, czy to dzień świeci czyli noc panuje, bo w tym uroczym świecie światło dniowe ma tajemniczość zmierzchu, a wśród nocy błyszczą naokoło błędne ogniki. Kto z tej zakłętą i ułudną dziedziną wyrwać się potrafił, kto wróciwszy do przytomności, odnalazł sen trzeźwy i zdrowy, ten może z oburzeniem zawoła, że mniej jest niebezpieczną otwarta, cyniczna, najgrubsza bezbożność, niżeli to w tęczę i girlandy ubrane zwątpienie.

Nowe a przede wszystkim polityczne studjum Renana, poświęcone głównie obecnemu stanowi Francyi, nie daje poniekąd powodu do zarzutów, jakieśmy tu wypowiedzieli, a jakie religijnym studjom autora zrobićby można. Na początku swój pracy powiada Renan, że te narody, które stworzyły religię, sztukę, ideę państwa i kościół, słowem to wszystko, co ma uniwersalne znaczenie, padają zwykle ofiarą tych dzieł, jakie ludzkości przyniosły. Rewolucya francuzka lubo jest dziełem mniej uniwersalnym jak dzieła Judei, Grecyi i Italii, mieć będzie wszelako zgubne dla Francyi następstwa. Stan dzisiejszy Francyi wydaje się podobnym autorowi do stanu Niemiec w XVII wieku. Niemcy dały światu rzecz pierwszorzędną wagę, reformę, i odpokutowały za to w następnym stuleciu przez poniżenie polityczne. Być może, dodaje autor, że wiek XIX będzie uważany w historii Francyi za tego rodzaju pokutę.

Powiedzieliśmy, że w każdej niemal książce Renana spotykają się ustępy, na któreby się zgodzić można. W dziele o którym mowa, nie brak takich ustępów. Przytaczamy tu krótki wyjątek

dla obznajmienia czytelników z poglądem autora na dzisiejsze społeczeństwo francuzkie:

„Wszystkie usiłowania rewolucyjne we Francji, noszą na sobie piętno błędnej i fałszywej idei. Wzniosłość celu, entuzjazm dla wolności i sprawiedliwości zakrywały oczom naszym ten fałsz i błąd pierwotny; lecz przez aureolę otaczającą rewolucją łatwo dziś dostrzedz zgubną teorią socyalną, na jakiej się opierały wszystkie rządy tego kraju, zaczawszy od Dyrektoryatu aż do naszych czasów. Wedle téj teorii, któraby można nazwać materyalizmem politycznym, społeczeństwo nie ma w sobie nic świętego, nic religijnego. Celem społeczeństwa kierującego się tą teorią jest używanie i dobrobyt bez żadnej troski o to, co stanowi ideał dla ludzkości. Na co marzyć o podniesieniu serc i uszlachetnieniu sumień; tu chodzi o to, aby większość znalazła szczęście w zaspokojeniu bardzo zwyczajnych i bardzo poziomych potrzeb: mniejsza o to, że szlachetniejsze i wyjątkowe dusze, szczęścia dla siebie na téj drodze nie widzą. Lecz w oczach filozofa, społeczeństwo nie jest dziełem człowieka, ale wspaniałym utworem Opatrzności ustanowionem na to, aby tu na ziemskim globie kwitło i rozwijało się umysłowe moralne życie. Taki cel i taka transcendentalna funkcyja ludzkości nie może być wypełniona przez to tylko, że się ludzie zwiążą w społeczeństwo na mocy jakiejś teorii lub ustawy. Społeczeństwo jest z natury swój hierarchią, gdzie wszyscy mają swe prawa, ale gdzie nie wszyscy są równi. Każde indywiduum jest częstką wielkiego organizmu, dążącego do coraz większej doskonałości, a odbywającego pewną pracę duchową... boską. Głównym błędem demokracji dzisiejszej jest to, że ona téj pracy nie uznaje. Ta demokracja stawiając za cel społeczeństwu dobrobyt pojedynczych indywiduów, zaprzecza tém samém prawa idei, a potrzeb duchowych i umysłowych nie uwzględnia...

Zazdrość jest bodźcem i treścią wszystkich nieomal dzisiejszych socyalnych teoryj. Ta zazdrość może równość w społeczeństwo wprowadzić, ale nie wprowadzi doń nigdy i nie ustali wolności. Szkoła demokratyczna dzisiejsza fałszywe ma pojęcie o męztwie i cnocie. Wedle tych pojęć nie jest najdzielniejszym naród, który się poświęca, cierpi i za ideałem goni, ale ten co się burzy i co najczęstsze robi rewolucye....

Nie chcemy broń Boże wskrzeszać tego co umarło, lecz nie żądając bynajmniej przywrócenia przywilejów szlacheckich, utrzymujemy przecież, że przewaga rodu, więcj jest warta niż przewaga pieniędzy. Obie zapewne są równie niesprawiedliwe, a jedyny przywilej należy się cnocie i zasłudze; lecz ta cnota i zasługa daleko łatwiej wyrabiają sobie stanowisko w społeczeństwie, gdzie istnieje arystokracja rodu, niż tam gdzie jak u nas, pieniądze główną stanowią przewagę.

Ludzkość to tajemnicza drabina z mnogich złożona szczebli. Każdy na swoim szczeblu stojąc, jest niejako strażnikiem tradycyi, tak potrzebnej do istotnego postępu i cywilizacyi. Całe pokolenia ludu zajętego ręczną pracą, zapewniają swym trudem istnienie sta-

nu średniego (*bourgeoisie*), ten stau trzeci znowu przez swą rzadność i uczciwość zapewnia byt ludziom wolnym od materyalnych zatrudnień, a poświęconym umysłowej i bezinteresownej pracy.

Wyższość i siła kościoła leży w tém właśnie, że kościół te rzeczy rozumie i że je pojmować naucza. Kościół wie dobrze, że najgodniejsi stają się nie raz ofiarą tak zwanych klass uprzywilejowanych, ale wie on zarazem, że tylko krwawy trud jednych, pozwała małej liczbie żyć życiem szlachetniejszym i umysłowem. Mimo to kościół nie nazywa jednych uprzywilejowanemi, drugich wydziedziczonemi, bo ludzkość jest dla niego całością nierozdzielną.

Ktoby wszech świata prawom wbrew, postawił wszystkich w jednym rządzie bez węzła, bez tradycyi, bez karności potrzebnych do wspólnego celu, ten mieć będzie egoizm, miernotę, odosobnienie, oschłość, słowem coś podobnego do życia obecnej chwili, które nawet dla ludu cięższem się staje i smutniejszém aniżeli było kiedykolwiek. Zapatrując się ze stanowiska pojedynczego indywiduum jest zapewne rzeczą niesprawiedliwą, aby człowiek był poświęcany dla drugiego człowieka; lecz nie jest rzeczą niesprawiedliwą, aby wszyscy przynosili ofiarę temu wyższemu i wzniosłemu dziełu jakie tu wypełnia ludzkość cała. Do religii należy wytłumaczyć te tajemnice i te pozorne niesprawiedliwości, a zarazem ukazać po za światem, nagrody i pociechy za poświęcenia i trudy, na tym podjęte świecie."

Może nie jeden z czytelników z pewnem zdziwieniem spotka podobne myśli i zdania wychodzące z pod pióra, które przeciw religii objawionej i kościołowi występować zwykło. Autor z nieudanym bólem skarży się i smuci nad zerwaniem tradycyi, nad obaleniem wszelkich powag i skargi swe wypowiada w ujmujący i przekonywający sposób. Lecz na te skargi i ubolewania możnaby ze słusznością autorowi powiedzieć, że sam nad obaleniem wszelkich tradycyi i powag pracował, rozpowszechniając w popularnej edycyi *Jezusa*, który tyle hałasu wywołał i *Apostolów*, którzy zresztą zupełnie zrobili *fiasco*.

Francuzi nie posiadają téj zdolności co Niemcy, rozdzielenia życia na dwie odrębne połowy, oddania jednej sprawom domowym i gospodarskim, a poświęcenia drugiej zaciekaniom się i spekulacyom filozoficznym, które żadnego na życie nie wywierają wpływu. We Francyi od każdéj teoryi, od każdego nowego systemu wnet domaga się ogół praktycznego zastosowania. Takie wymaganie francuzkiej publiczności sprawia, że tu każda błędna doktryna, albo wnet robi się niebezpieczną, albo téż śmiesznością okryta obojętną się staje. Renan jest pisarzem niepospolitego talentu i nie powszedniej miary, w mierność nie łatwo popadnie, ale to pewna, że niebezpiecznym być już przestał, przynajmniej we Francyi.

Wydział sztuk pięknych odbywał swoje doroczne posiedzenie, a sekretarz wydziału p. Beule odczytał mowę pochwalną na

czeń Rossiniego. Mowa ta nie była bynajmniej akademycznym panegirycznym, ale pięknie zajmująco przedstawioną biografią i umiejętnym rozbiorem dzieł znakomitego mistrza. Nie tylko trafnie określał mówca talent artysty, ale głęboko wszedł w naturę człowieka i prawdziwie pouczające utworzył studyum. Jednym z wybitniejszych ustępów mowy był rozbiór Wilhelma Tella, przy którym autor zwracał uwagę na okoliczności i atmosferę wśród jakich zrodziło się to muzyczne arcydzieło. Opera ta przedstawioną była po raz pierwszy 1829 r.

„Wpływ, mówił p. Beule, jaki Francya na Rossinim wywarła najwidoczniej się w „Wilhelmie Tellu” wyraził. Nie było może przedmiotu bardziej wstrętnej charakterowi, naturze a nawet przyzwyczajeniom artysty. Rossini wychowany w miastach nie znał wcale żywej przyrody, a wsi całą duszą nienawidził. Nie miał on także pretensyi do cnót obywatelskich i heroizmu. Tyrteusz i autor hymnu Marsylskiego nie byli jego ideałami. W polityce znał tylko jedną zasadę... ostrożność i jedną doktrynę... nienawiść rewolucyi. Przykład Cimarczy opłacającego życiem za hymn patryotyczny, był dla Rossiniego przestrogą i postrachem.

Otóż ten sceptyk, i egoista, ten epikurejczyk i mieszczuch, dał się raz w życiu porwać prądowi, jakiemu podówczas uległa Francya i stał się nagle malarzem przyrody i apostołem wolności. Była to zaprawdę świetna i pamiętna epoka w duchowym życiu Francyi a nawet ówczesne błędy i iluzje dobrze o duszy ludzkiej świadczyły. Wiek XIX odbywał pod ową chwilę swój peryod młodości.

Rossini wybierając sobie taki przedmiot jak Wilhelm Tell, wiedział dobrze że tą drogą trafi do serca publiczności francuzkiej. Siły jaka leżała w samym przedmiocie, użył za środek do zjednania sobie popularności, ale opanowany przez tę siłę artysta, stał się ję niewolnikiem i dał się unieść na wyżyny, do których nigdy nie sięgnął. Twórczość i wyobraźnia nie byłyby w tym razie wystarczyły Rossiniemu, gdyby duch i idee francuzkie nie dodały im skrzydeł. Atmosfera którą podówczas w Paryżu oddychał, pozwoliła mu przejąć się walką o wolność i w umysł artysty uderzyły nagle te błyskawice przelotne, o jakich wspomina Bossuet. Obdarzony zmysłem czułym i subtelnym, w pełnym rozkwicie swego talentu, wylał z całą potęgą odebrane wrażenia i odmalował nam Szwajcaryą i ję patryotyczne boje, jak prawdziwy wielbiciel natury i najgorętszy patryota. To téż gdy ten mistrz harmonii przenosi nas wśród łąk i lodowisk Szwajcaryi, to już samym rytmem przygotowuje słuchaczy do sielskich wrażeń, wszystkie motywa są tu zwierciadłem odbijającym naturę, krajobraz występuje, ożywia się, przystraja w barwy, a dźwięki mają siłę i wybitność farb malarskich. Domowe rodzinne życie pasterskiego narodu płynie w owych przesłicznych aryach oddających czystość i prostotę obyczajów podniesioną meztwem i dzielnością. Wszystko tam świe-

że i młode jak w pierwszych dniach stworzenia, dopiero widok ciemięzców, których kobiety i dzieci z jękiem przeklinają przypomina nam, że jesteśmy wśród nieszczęśliwego narodu.

Kiedy sprzysiężeni przygotowują się do wybuchu, to zdawałoby się, że całe stworzenie służy za tło temu sprzysiężeniu, bo wszystko tam spiskuje: i noc swym zmierzchem i ciszą, i lasy głuchym poszmerem i lodowe przepaście niedostępne dla żołnierzy Gesslera i jeziora po których łódź nie zostawia śladu. A gdy nagle z tych męźnych piersi wybuchnie hymn wzywający do czynu, to wszyscy słuchacze stają się spółnikami zamachu i łączą ze spiskowymi w straszliwej przysiędze. Cóż powiedzieć o przepysznym finale V aktu, gdzie człowiek i przyroda roztopiają się w jednej pieśni dziękczynnej, jakby ziemia odżywiła się na nowo pod promieniami odmłodnionego słońca. Strugi wspaniałej, wzniosłej harmonii coraz większe zakreślają kregi, rozlewają się coraz szerzej, wznoszą się i giną w nieskończoności.

O jakąż to potęgą jest geniusz wyrażający uczucia mass, służący temu co szlachetne i wieczne! Spółcześni idą w zapomnienie, on jeden stoi jak przedstawiciel epoki i świadczy o niej przed przyszłością. W tém też leży nagroda prawdziwego geniuszu. Twórca Wilhelma Tella zasługuje na ten rodzaj chwały, gdyż doskonałość formy dorównywa tu zupełnie wzniosłości przedmiotu.

Żadne słowo nie może dać wyobrażenia o tej wspaniałej architekturze muzycznej łączącej w sobie powagę z prostotą, o tej misternej tkance tonów bogatej w barwy jak malarska paleta: głos ludzki płynie tam pełny, swobodny nie narażając się nigdy na zmęczenie. Wszystkie ozdoby i ornamenta śpiewu zastosowane są do wymagań scenicznych, a bogactwo stylu, nie psuje nigdzie ogólnej harmonii.

Zjawienie się Wilhelma Tella jest najpamiętniejszym zdarzeniem w dziejach teatru lirycznego: cały świat muzyczny uległ wpływowi mistrza i można powiedzieć że Robert Djabeł, Hugonoci, Żydówka bez inicjatywy danej przez Rossiniego nie byłyby powstały. Od lat 40 Wilhelm Tell wznosi się coraz bardziej w uznaniu powszechnym, publiczność coraz nowe odkrywa w tém dziele zalety i o takiej tylko muzyce wolno jest powiedzieć że będzie *muzyką przyszłości*."

P. Beule skorzystał ze sposobności, aby w swój mowie uderzyć mimochodem na Ryszarda Wagnera, w którym publiczność francuzka bynajmniej nie smakuje, a którego utwory wygwizdano temi czasy na jednym z koncertów. Studium o Rossinim jakieśmy na posiedzeniu akademickim słyszeli, jest niezawodnie jednym z najlepszych rozbiórów życia i prac znakomitego mistrza muzycznego.

P. Beule jest nie tylko wykwiutnym mówcą ale biegłym archeologiem i historycznym badaczem: miewa on tu bardzo ucze-

szczane prelekcyje o Cezarach rzymskich i świeżo wydał nowe swe studyum pod tytułem: *le vrai Titus*. Ten prawdziwy Tytus w niczem nie jest podobny do powszechnie dotąd znanego Tytusa o jakim nas uczono, że dzień za stracony uważał jeśli komukolwiek nie wyświadczył przysługi. Beule odziera całkiem z cnoty i chwały rzymskiego imperatora i z dowodami historycznymi w rękę ukazuje nam Tytusa jako ambitnego intryganta, szukającego tylko zysku i własnej korzyści, burzącego Jerozolimę i skazującego na śmierć w dwóch igrzyskach 5000 gladyatorów. Nawet owa Berenika tak upoetyzowana przez Rasyne nie jest przez autora oszczędzoną. Beule przedstawia nam ją, jakoby damę z dzisiejszego pół-świata, utrzymuje, że liczyła lat 40 kiedy ją Tytus pokochał i że sobie twarz i włosy malowała. Do reszty wreszcie ten miłośny stosunek traci na swój poetycznej aureoli, skoro się dowiadujemy, że gdy dwóch filozofów wyraziło się w sposób niepochlebny o ulubienicy Cezara, Tytus wspaniałomyślny kazał jednego publicznie ochłostać a drugiemu ściął głowę.

Les dieux de la terre s'en vont et le règne des hommes commence powiedział niedawno Jules Favre. Kiedy owo panowanie ludzi nadejdzie, trudno przewidzieć, ale do kruszenia niektórych bogów ziemskich tak dawniejszych jak i współczesnych nie mała istnieje tu pochoćność. Wychodząca obecnie historia Napoleona I przez Laufrey i zajmująca praca p. d'Haussonville o stosunku cesarstwa z kościołem obdzierają nowożytnego Cezara z uroku. Jeżeli za czasów restauracyi w ponętne i urocze barwy strojono napoleońską legendę, aby nią zawstydzić i upokorzyć Burbonów, to dzisiaj znowu odmienny całkiem przyjęto kierunek. Historycy dotykający tej epoki szukają przedewszystkiem materiału do krytyki na teraźniejszą władzę. Sąd bezstronny znajduje się podobno między temi dwoma wprost przeciwnemi kierunkami, a do wyświecenia prawdy historycznej przyczyni się zapewne nie mało ukończona wreszcie publikacya olbrzymiej korespondencyi Napoleona I.

Komissya ustanowiona przez Napoleona III dokonała z końcem roku mozolnego swego zadania uzupełniając korespondencyę cesarską dziełami i dokumentami datującemi ze świętej Heleny. Wiadomo że jeszcze przed zgonem cesarza wiele publikacyj dotyczących pobytu na tej wyspie, opowiadających jego życie i notujących rozmowy, rozeszło się po całej Europie. Większa część takowych utworów mających na celu zaspokoić ciekawość, nie zasługiwała na wiarę; niektórym jeszcze sam cesarz stanowczo zaprzeczał. Napoleon przecież przez cały czas swego pobytu na S-tej Helenie objawiał wyraźną wolę pozostawienia pamiętników mających być opisem faktów i obrazem zapatrywań się i sądów politycznych. Ściśle strzeżony, nie mający możności znoszenia się z nikim, zmuszony używać do redagowania, coraz innego ze swych

domowników, nie był w stanie stworzyć całości, pozostawił tylko fragmenta. Często także zdarzało mu się brać do ręki pióro lub ołówek i kreslić uwagi na marginesie dzieł które czytywał. Ztąd powstały cenne i jedyne w swym rodzaju notaty. Cesarz zresztą prawie zawsze dyktował, a że sekretarze zmieniali się często, było ich pięciu, nie wszyscy dziś na jednakową zastępują wiarę. Jedni słowa cesarskie ogłaszali zaraz, drudzy zachowywali je w ukryciu a mogli nawet dla osobistych względów tekst tu i owdzie przemienić.

Komisyya kierująca wydaniem korespondencyi wahała się długo jak ma sobie postąpić z owemi *Dictées de St. Helene*. Wszystko odrzucić wydało się rzeczą niesprawiedliwą. Chwycono się metody dość słusznej i krytycznej: dano pierwsze miejsce oryginałom i autografom, w drugim rzędzie postawiono rękopisma, a druki umieszczono jako dodatek i uzupełnienie. Lubo materiały w ten sposób uklassyfikowane weszły do korespondencyi Napoleona, dano im przecież osobny tytuł *les oeuvres de Sainte-Helene*. Oba tedy dzieła stanowią dziś całość, pierwsza część jest właściwem dziełem, druga tego dzieła komentarzem.

Książę Napoleon kierujący wydawnictwem broni swego stryja od zarzutu, jakoby cesarz na S-tój Helenie miał przywdziać maskę dla potomności. „Cóż na tém ucierpi historia, powiada książę, jeżeli słowa na Stój Helenie wyrzeczone nie zawsze są w zgodzie z czynami Napoleona. Nauka płynąca ze studyów nad wielkimi historycznymi postaciami daje się wyciągnąć nie tylko z tego, co ci ludzie dokonali ale i z tego co wyrzekli, napisali, lub dokonać chcieli.” Zdanie to wydaje nam się słuszne, chociaż korespondencyę cesarską spotykają tu zarzuty i krytyki których domyslać się łatwo. Jednym do podejrzeń wystarcza już to samo, że wydawnictwem kierowała oficjalna ręka; drudzy pytają się czemu prywatne listy cesarza nie znalazły w tej korespondencyi miejsca.

Bądź co bądź, 28 grubych tomów zawierających 22,000 dokumentów, pozostanie jako bogata i nie łatwo dająca się wyczerpać mina i dla prac historycznych szerszego rozmiaru, pojedynczych monografii. Dowiadujemy się że jeden z rodaków pracuje nad zebraniem w jedną całość wszystkiego, co w korespondencyi cesarskiej odnosi się do dziejów naszych z napoleońskiej epoki.

Pokazuje się, że kanały morskie i wodne komunikacje są dzisiaj na porządku dziennym. Od kilku miesięcy wszystkie pisma i dzienniki zapełnione są opisami suezkiego przekopu; o tunelu mającym połączyć Anglią z Francją dużo już także pisano, a oto w tej chwili tutejszy geolog p. Blandet proponuje przeciąć Palestynę kanałem, dla połączenia morza Martwego ze Śródziemnem.

Projekt ten oparty na naukowych danych, był w każdym razie zajmująco, przez autora na jedném z posiedzeń Towarzystwa Geologicznego, przedstawiony. P. Blandet proponuje rzecz równie olbrzymich rozmiarów jak dzieło świeżo przez Lessepsa dokonane. Chodzi o to, aby wprowadzić wodę morską w naturalne i głębokie wklęsnięcie, ciągnące się wzdłuż Palestyny równoodległe od morskich wybrzeży, i tak utworzony kanał połączyć ze Śródziemnym i Czerwoném morzem. Owo wklęsnięcie czyli wąwóz olbrzymi, noszący nazwę Ghor, idzie od stóp Libanu do zatoki Arabskiej, a poziom jego niższym jest od powierzchni morza. Wąwóz Ghor o którego powstaniu nic nie umieją pewnego powiedzieć geologowie, uchodzi za prawdziwy fenomen hydrograficzny.

P. Blandet w broszurze swój *Palestine de l'avenir* podaje sposoby, za pomocą których owe wyschłe łożysko dałoby się przemienić na kanał sposobny do żeglugi. Przez dokonanie takiego dzieła, Palestyna zmieniona na półwysep i zabezpieczona na zawsze od napadu Beduinów, stałaby się krajem urodzajnym i żyznym, klimat miejscowy nie byłby odtąd szkodliwym dla zdrowia, a nawet morze Martwe, jak utrzymuje autor, zmieniłoby całkiem swoją naturę. Tyle dziwniejszych i trudniejszych wykonano dzieł temi czasy, że w projekcie p. Blandet zwracającym obecnie na siebie uwagę, nikt już nie upatruje utopii.

Kanał Suezki i tłumne wycieczki odbywane dziś nad brzegi Nilu, wprowadziły tu Wschód w modę, a najgłośniejsza z noworocznych teatralnych *Revue* przenosi nas także do Egiptu. Przepyszna i prawdziwie artystycznie wykonana dekoracja przedstawia port Izmailia; w dali widać kanał łączący dwa morza, po którym żeglują tryumfalnie okręty i statki. Wyborna perspektywa daje cały urok prawdy szerokiemu i wspianiemu krajobrazowi. Niestety wśród tego świetnego orientalnego krajobrazu, kilkadziesiąt par tańczy ohydneho paryżkiego *kankana*, bez którego żadne z podobnych teatralnych widowisk obejść się nie może. Połowa teatrów tutejszych odgrywa w obecnej chwili owe *przeeglądy noworoczne*, które bynajmniej do sztuki dramatycznej nie należą i o których wspominać nie warto. Dekoracje, balet, sztuki łamane, śpiewki i dowcipy podejrzanego rodzaju, stanowią całą wartość tych latarni czarodziejskich, przesuwających przed oczami Paryżan pewne miejscowe zdarzenia, blachestki i fraszki z całego roku zebrane.

Sztuką teatralną mającą największe w tej chwili powodzenie, jest komedia pp. Meilhac i Halevy, grana już drugi miesiąc w teatrze Gynmase i ściągająca zawsze liczną publiczność. Autorowie *Pięknej Heleny* i tytuł płaskich bufonad zdobyli się tą razą na utwór zakrawający na istotną komedię. Trzy pierwsze akta tej sztuki noszącej tytuł *Froufrou*, są nie złe a nawet zajmujące, ale koniec

w zwykłą melodramę przechodzi. Owa nazwa *froufrou* przypominająca szelest sukni jedwabnej i trzepot skrzydeł motyli, jest przewiskiem młodej i powabnej kobiety, której dusza rozstrzela się i rozwiewa w tysiącznych fraszkach światowych. Typ to z natury wzięty, przeważnie paryzki, choć podobne do *Froufrou* istoty i po za Paryżem spotkać można.

Niejaki p. Brigard bardzo majątny wdowiec ma dwie córki: Ludwikę i Albertynę (*Froufrou*). P. Brigard częściej przesiaduje w klubie jak w domu, a kulisy i balet wycęj go zajmują jak wychowanie córek. Te córki wczesnie pozbawione matki, psute przez ojca, który się wcale niemi nie opiekuje, mają zupełnie odmienny charakter. Starsza Ludwika jest poważna, rozsądna i cały dom na niej się tylko opiera. Z młodszej wychowanie, a raczej brak wszelkiego wychowania zrobiły istotę kapryśną, nerwową, zdolną do tyranizowania, a pełną przytem naturalnego wdzięku i powabów; łączy ona w sobie wszystkie warunki, aby unieszczęśliwić człowieka, któryby się w niej na seryo zakochał. Taki człowiek nadarza się właśnie. Hrabia de Sartoris młody dyplomata, mający świetny zawód przed sobą, jest częstym w domu p. Brigard gościem. Starsza siostra kocha się w p. de Sartoris, nie przypuszczając, aby poważny i zimny napozór dyplomata mógł się w wietrzną *Froufrou* rozmiłować. To też straszliwy cios uderza w serce biednej Ludwiki, gdy hrabia oświadcza się o rękę młodszej siostry. *Froufrou* decyduje się wyjść za mąż, nie zdając sobie zresztą sprawy z ważności tego aktu. Zna ona przecież dobrze swą naturę; mam tysiące wad—powiada o sobie—i wiem o tém, ale co najgorsza, że mimo to jestem najzupełniej z méj osóbką zadowolniona i z pewnością nie poprawię się nigdy.”

Czteroletnie pożycie z mężem nie zmienia w niczem Albertyny. Mąż, który ją zawsze kocha, nie potrafił ję zmienić i czuje, że ję nigdy zmienić nie potrafi. Młoda kobieta ubóstwia swe dziecko, ale niestety nie znajduje czasu, aby się niém zająć, bo wizyty, toaleta, bale i teatr amatorski zabierają ję wszystkie chwile. Autorowie bardzo dowcipnie i trafnie oddali rysy życia kobiety rozproszonęj w światowych rozrywkach i uciechach.

Mąż widząc dom opuszczony, dziecko zaniedbane, prosi Ludwikę, aby się jedném i drugim zajęła. Ludwika w której sercu nie zgąsło dawne uczucie, opiera się temu, ale wreszcie naleganiom siostry ulega i przenosi się do nięj. Od téj chwili p. Sartoris jest najszczęśliwszym z ludzi; lecz wnet lekkomyślna Albertyna przekonuje się, że straciła w domu to miejsce, które ję się z prawa należało. Chce ona teraz oprzec się na swych obowiązkach matki i żony; chce w dziecku znaleźć obronę przeciw miłości pewnego młodego człowieka, z którym kokietuje i teatr amatorski odgrywa; ale oparcia tego znaleźć nie może, bo dziecko zabrała Ludwika, a mąż przywykły w żonie widzieć kapryśne dziecko, nie bierze ję zwierzchni na seryo. Młoda kobieta przywykła, aby wszystko ję woli ulegało, unosi się gniewem, upatruje w siostrze rywalkę

i całkiem traci głowę. „Wzięłaś mi dom, męża i dziecko—woła w napadzie nerwowym do siostry—zachowajże sobie wszystko.”

Froufrou po takiej scenie porzuca męża i wyjeżdża do Wenecyi z p. Valreas swym towarzyszem zabaw teatralnych. Tu już wchodzimy w zupełną melodramę. Następuje pojedynek; uwoźdiciel ginie z ręki męża; wreszcie śmierć bohaterki wyciskająca obfite łzy widzom, zakończyła tę sztukę uchodzącą u wielu osób za bardzo moralną. Moralność na teatrze jest rzeczą bardzo względną. Znany chemik Raspail w procesie pani Lafarge oświadczył: że z krzeseł na których siedzą sędziowie, dałby się wyciągnąć arsenik. I z awantur pani *Froufrou* dałaby się zapewne wyciągnąć nauka, mianowicie ta, że niekoniecznie trzeba złych skłonności i występnej namiętności, aby kobietę doprowadzić do moralnego upadku; dość jest mieć serce próżne i głowę pustą.

W chwili kiedy niniejszą kronikę piszemy, trwa jeszcze w Paryżu ruch i zgiełk noworoczny: z ustawionych wzdłuż bulwarów bud jarmarcznych przepukniętych nawołują hałaśliwie publiczność. Wszystko zresztą na kilka tygodni jarmarcznych przybrało tu cechę: w księgarniach książki kolendowe zajęły miejsce dzieł poważnych i literackich; sklepy rycin ofiarują przechodniom utwory umyślnie na podarki gwiazdkowe przez specjalnych artystów dokonane, a znany magazyn p. Giroux urządził jak zwykle wspaniałą wystawę lalek, do której nie łatwo docisnąć się można.

Jean Jacques Rousseau każe się swemu Emilowi bawić z najbrzydszemi i najohydniejszymi zwierzętami, aby go zawczasu z brzydotą oswoić. Modne lalki p. Giroux oswajają zawczasu panienkę ze wszystkimi wykwinnościami i zbytkami toalet dzisiejszych. Widząc te woskowe elegantki w balowych strojach, przychodzi na myśl, że jeśli niegdyś w Rzymie stanowiono prawo o zbytkach dla dam ówczesnych, to dziś takowe prawo nawet dla lalek postanowićby należało. Wszędzie tu połyskuje jedwab, mieni się aksamit, świecą klejnoty, pstrzą się wstążki, koronki, falbany, a suknie zdają się być robione w magazynie Wortha, który tu dziś ubiera dworskie i nie dworskie damy. Gdyby taka lalka dostała się w odległe od Paryża strony, to możnaby zaręczyć, że miejscowa pleć piękna zaczęłaby się na jej wzór ubierać. Nigdzie już nie widać owych lalek w strojach wieśniaczych, albo w kostiumach bretońskich, włoskich, hiszpańskich, które przynajmniej przemawiały do wyobraźni dziecięcej, przypominały różnice narodowości i które miały pewne malownicze piętno. Zbytkowe lalki dzisiejsze wymagają naturalnie odpowiedniego sobie otoczenia. Więc widać tu naokoło etażerki pełne modnych i wymyślnych fraszek: stoją fotele, konsole, umywalnie z najwykwintniejszymi przybarami do toalety, są nawet łóżka i jakie łóżka! Mimowolnie wyraża się podejrzenie, że lalki mające tak umeblowane apartamenta

muszą być wątpliwiej konduity, a cała zresztą wystawa p. Giroux przedstawia się jak istny *demi-monde* lalczany.

W tych zabawach dziecięcych w których mała dziewczyna piastując niby niemowlę macierzyńską odgrywa rolę, lalka ma swoje znaczenie i może być jeduém z narzędzi przyszłego wychowania, ale owe eleganckie poczwarzki w nowomodnych ubiorach nie tylko uczucie smaku psują, ale i odbierają wszelkie dziecięce iluzje. Nie dziw doprawdy, że z małej Paryżanki bawiącej się tego rodzaju lalkami, wyradza się w późniejszym wieku owa *Froufrou*, jaką nam autorowie nowej teatralnej sztuki przedstawili.

Mieliśmy temi dniami w ręku niedawno wydany nowy tom Guizota pod tyt. *Melanges biografiques et litteraires*. Wszystko co z tak głośnego w Europie pióra wypływa, ma przywilój zwracać na siebie uwagę powszechną. Ten ośmdziesięcioletni przeszło starzec, daje zaiste ciekawy i budujący przykład nieustającej czynności, niezmordowanego trudu w najrozmaitszych kierunkach. Ileż to dowodów wszechstronnej pracy przedstawia długi żywot tego człowieka. Literat i grammatyk wydał słownik synonimów i komentarze nad Szekspirem i Kornelem; historyk i publicysta ogłaszał broszury, drukował zbiory dokumentów, napisał znakomitą historję cywilizacji i słynne dzieło o rewolucyi angielskiej; professor i mówca odznaczył się na katedrze i trybunie; mąż stanu był ambasadorem, ministrem i przedstawił w swój osobie całą politykę Ludwika Filipa, a możnaby bez żadnej złośliwości dodać, że się przyczynił do upadku aż dwóch dynastyi, i że rewolucję lutową wywołał. Nie dziw, że człowiek mający taką przeszłość za sobą, obudza jeszcze dziś zajęcie każdą nową publikacją.

Melanges historiques et litteraires są to oderwane a zajmujące studia, jakie autor poświęcił kobietom spółczesnej epoki, słynnym jużto z piękności lub dowcipu, jużto z wpływu jaki na ludzi i wypadki wywierały. Obszerny życiorys pana de Barante uzupełnia ten nowy tom dzieł Guizota. Niektóre z owych studyów rozrzucone były po różnych pismach, inne świeżo powstały, a wszystkie połączone razem, tworzą ciekawą galeryę portretów i uprzytomniają całą nie dawno upłynioną epokę.

W przeszło-miesięcznej kronice naszej mieliśmy sposobność ubolewać nad dziecinniałością, w jaką poniekąd popadł Michelet; Guizotowi starszemu wiekiem od historyka rewolucyi, podobna katastrofa nie zagraża. Siła twórcza, fantazyja, i bogactwo wyobraźni nie popsują nigdy równowagi temu trzcźwemu i pewnemu sobie umysłowi. Sędziwy pisarz posiada dziś talent téj samej wartości, co w najczterstwiejszym peryodzie swego publicznego zawodu. Taz sama tu zawsze jasność przedstawienia, ścisłość rozumowań, tenże sam styl przezroczysty, nieco kaznodziejski i jakoby z górnego piętra przemawiający: mniej za to może dzisiaj téj purytań-

skiej sztywności, którą na trybunie i na katedrze zarzucano niegdyś mówcy i professorowi. Guizot wyzuty z dostojęństw i władzy nie wystawiony na pociski przeciwników, nie potrzebujący zażegnawać wzburzonych i nieprzyjaznych sobie żywiołów, stał się przystępniejszym i dopuszcza nawet czytelnika do pewnej względem siebie poufałości. Urzędowy mąż polityczny zniknął, został się tylko człowiek wytrawnego sądu i zdania.

Opowiadając życie swego przyjaciela p. de Barante, Guizot z duszą pogodną i uspokojonym umysłem kreśli nam kilka kart ze spółczesnej historii. Czuć wszędzie w tej biografii poważne pióro męża stanu, który widział upadające rządy i dynastyę, a sądy dawnego ministra są tym ciekawsze, że oceniając wypadki i ludzi ma on za sobą to co nie każdemu jest dane, bo własne doświadczenie polityczne. Można się nie godzić na niektóre zapatrywania się autora, ale nie można mu odmówić powagi i wzniosłości poglądu. Zresztą dzieło o którym mowa wyzute jest z tych osobistości jakie niektórzy zarzucali pamiętnikom. Ujmuje dziś czytelnika swym „cichym, dumnym smutkiem” ten starzec, który nie da wno powiedział:

„Im więcej rozważam, tém mocniej jestem przekonany, że zadania religijne daleko więcej obchodzą Francję, niżby się to napozór zdawać mogło. Pewien jestem, że mimo zamieszkań, wahań i chwilowych swych słabości ma Francya w głębi poczucie i wysokiegi wagi tych zadań i całej praktycznej ich wartości. Jeżeli się w istocie w zdaniu mojem nie mylę, jeżeli takie jest rzeczywiście usposobienie Francyi dzisiejszej, to może mam pewne tytuły, aby głosu mego słuchano z niejakiem zaufaniem. W ciągu długiego mego żywota widziałem wiele i działałem nieco. Miewałem udział w sprawach tego świata, a dziś ten świat rzuciłem i patrzę nań z mego ustronia. Od lat 20 próbuję już miejsca w grobie, zszedłem w ten grób żywy i żadnej do wyjścia zeń nie mam ochoty. Gdyby mi dozwolonóm było oddać jakąkolwiek usługę dwom wielkim sprawom, ściśle jak sądzę ze sobą złączonym, to jest sprawie wiary chrześcijańskiej i sprawie wolności, gdyby mi to danóm było, tobym z wdzięcznością i pociechą doczekawał się w mojem ukryciu owęj jutrzenki dnia wieczystego, dnia, który jak powiada Petrarka „tylko bezrozumni nazywają śmiercią.

Quel che morir chiaman gli sciocchi.”

Członek akademii francuskiej p. Franciszek de Champagny wydał *Les Césars du III siècle*. Jest to dalszy ciąg historii cesarzów rzymskich, którą autor 30 lat temu rozpoczął, a której odtąd poświęca swe poważne i powszechnie oceniane pióro. Ta trzecia zrzędu serya Cesarów jest pod pewnym względem jeszcze dramatyczniejszą i bardziej zajmującą od poprzednich. Mamy przed

sobą peryod chylącego się do upadku Rzymu; walczącego napróżno z barbarzyństwem północnym i ulegającego powoli wpływowi chrześcijaństwa. Nowa praca p. Champagna rozpoczyna się od Marka Aureliusza a dobiega do Konstantyna czasów.

— W odmienny całkiem od rzymskiego świat wprowadza nas p. Gobineau w dziele swém: *Histoire des Perses, d'après les auteurs orientaux et les monuments figures*. Wszystkich nas w szkołach uczono o Cyrusie, Daryuszu i niepomyślnój wyprawie Kserksesa. Dzieje te mniej niż którekolwiek inne krytyką oświecone, opierały się głównie na opowieściach greckich pisarzy pochopnych do tworzenia legendy, a tём samém podejrzanym. P. Gobineau utrzymuje, że historię swą głównie oparł na nowych nieznanym dotąd źródłach, mianowicie na współczesnych perskich kronikarzach, nie posiadających tój poetycznej wyobraźni co Grecy, ale naiwniejszych i bardziej wiarogodnych. Świeżo odkryte rękopisma, pomniki i napisy nie dawno przez uczonych odczytane, posłużyły autorowi do tój historycznej pracy.

— Świeżo wyszłe dzieło p. Mantz'a o malarstwie włoskiem należy do najozdobniejszych w tym rodzaju edycji, a wykwantność szaty idzie tu w parze z wartością wewnętrzną. Dzieło ma na celu obznajmić ogół ze wszystkimi szkołami włoskiego malarstwa. Opis obrazów choćby najszczegółowszy nie zupełnie takiemu celowi odpowiada, dla tego wydawca dołączył wierne i artystycznie wykonane reprodukcje głośniejszych arcydzieł. Coraz bardziej doskonalała się tu chromolitografia, lubo nie jest w stanie oddać siły i uroku weneckich kolorytów, weale dobrze oddaje koloryt malarzy pierwotnych jak: Gioto, Fiesole a nawet Perugin'a. Z wielkim taktem i umiejętnością posłużono się tu chromolitografią, a obok kolorowanych odbić załączono ryciny wedle oryginalnych rysunków doskonale styl mistrzów tłumaczące. Można przebieść te karty nie ledwie z tym samym pożytkiem, z jakim się zwiedza muzeum. Wszyscy mistrze włoscy są tu przedstawieni zaczawszy od XIII aż do XVIII wieku. Szereg rozpoczynają Cimabue i Giotto jako protoplaści tój całej tak licznej a świetnej rodziny artystów włoskich. Tekst napisany przez Mantz'a jednego ze zdolniejszych estetyków tutejszych, odznacza się prawdziwą znajomością sztuki. Monografie malarzy są treściwie i dobrze skreślone, a sądy o ich dziełach pouczające i trafne. Autor odrzucił wszystkie systemata i teorie w jakich podoba sobie pewna krytyka dzisiejsza. Chodzi mu o to aby jasno i przystępnie styl i rodzaj każdego z mistrzów wytłumaczyć. Wyborny rozdział o szkole Sienskiej wzięty jest wprawdzie z książki p. Rio, ale za to rzecz o florenckich malarzach czerpana z nowych a mniej znanych źródeł, budzi zajęcie nawet u najbardziej wymagającego czytelnika.

— Jedną z figur zagadkowych i obudzających powszechną ciekawość, był słynny i tajemniczy więzień znany w XVII wieku pod nazwą *l'homme au masque de fer*. Historycy starali się nieraz wysledzić, kto się pod ową maską żelazną ukrywał, a romans opi-

sarze nie jedną już powieść osnuli na tém zdarzeniu. Młody pisarz p. Marius Topin znany z kilku prac historycznych, postanowił tajemnicę stanowczo wyświecić i w książce pod tytułem *l'homme au masque de fer* podaje nam rezultat swych badań na nowych oparty dokumentach. Samo odkrycie kto był tym zagadkowym człowiekiem, jest faktem podręcznej historycznej wagi, nie mniej przeto książka pana Topin ma istotną historyczną wartość. Autor bowiem przesuwa przed nami wszystkie spóczesne figury, w których wyobraźnia owego tajemniczego więźnia upatrywała. Spotykamy tam księcia de Beaufort, Buckinhama, hrabiego Vermandois, Fouquet i patryarchę armeńskiego Avedicka. Opis porwania tego ostatniego należy do najdramatyczniejszych i najbardziej zajmujących ustępów. Epizod ten wywołuje obecnie dość żywą i ciekawą polemikę ze strony Zgromadzenia Jezusowego, w którego obronie występuje ks. Turgand.

P. Topin przeszedłszy kolejno wszystkich politycznych więźniów epoki dowodzi, że człowiekiem ukrywającym się pod maską żelazną był hrabia Matthioly ukarany przez Ludwika XIV za polityczną zdradę. Lubo dowody podane przez autora wydają się przekonującymi i stanowczymi, to przecież w téj chwili ukazuje się artykuł pana Loiselenz zaprzeczający tym dowodom. Mgła tajemnicza nie przestanie tedy całego zdarzenia zakrywać, a wyobraźnia upatrująca w więźniu to brata Ludwika XIV, to syna Kromwela mieć będzie zawsze szerokie do domysłów i przypuszczeń pole. Mimoto wszystko książka pana Topin należy do zajmujących historycznych studyów i odznacza się temi samemi zaletami co niedawno ogłoszone dzieło *l'Europe et les Bourbons sous Louis XIV*, w którym spotkaliśmy rzeczy do dziejów naszych się odnoszące.

— *La Pologne au XVII siècle, le chateau de Zolkiew, tiré des recits historiques de Ch. Szajnocha.* Pod tym tytułem ukazała się temi dniami książka, bez imienia autora; pozwolimy sobie tu jednak imię to wyjawic. Panna Marya de Saint-Aulaire należąca do jednej z najarystokratyczniejszych rodzin francuzkich, umiejąca po polsku a z dziejami i literaturą naszą obeznana, jest autorką téj książki, osnutéj na znaném studyum Szajnochy. Posągowa postać hetmana Żółkiewskiego i jego żony Reginy występują w tém opowiadaniu, które francuzka autorka umiejętnie zastosowała do smaku i wymagań swoich rodaków. Praca ta poprzedzona jest wstępem napisanym z prawdziwym talentem a dowodzącym głębszej dziejów naszych znajomości.

— P. Kleczkowski był konsul francuzki w Pekinie a dziś tłumacz nadworny cesarza Napoleona III, otworzył w Sorbonie kurs języka i literatury chińskiej.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

*Słowo o recenzji w sztuce.—„Widma.”—„Pani Twardowska.”—
„Paryż” p. Stan. Moniuszki.—Wzmianki szczególne.*

Przystępując do oceniania ruchu artystycznego, myśl piszącego mimowolnie szuka punktu, na którym jęj się oprzeć wypada. Ale gdzież znaleźć ostoję, na której trybuna krytyki estetycznej bezpiecznie stanąć może? Jak dotknąć sądem rzeczy niewypowiedzianej; jak sobie postępować, by nie zepsuć tego co duch człowieka głęboką pracą z siebie wydobył? Sąd krytyczny w sztuce nigdy nie jest nauczycielem, rzadko kiedy regulatorem. Z małych ram krytyki codziennj artysta nic nie czerpie, krom radości lub bolesnych zawodów, które mu z jego stosunku do ludzi płyną. Owe radości i cierpienia, to są niby nerwy żywota artystycznego; ale sam duch sztukmistrza tylko swym własnym żywi się ogniem, a szuka prawdy i nauki w żywej księdze świata, w wielkich estetycznych szkołach i we własnym natchnieniu. W każdj epoce tworzenia ludzkiego jest przedewszystkiem praca duchowa, a zatem jest piękno i pewne prawo estetyczne. Rozpoznać to prawo i umieć wzrok dla piękna wyrobić, jest przedewszystkiem, owj codziennj, sprawozdawczj krytyki, zadaniem. Pośredniczy ona między światem sztuki i światem codziennych zatrudnień; zbliża czarę duchowych uciech do ust, które w ziemskich zachodach nieraz gorycze piją. Patrzmy jak wiek nasz krytyczny niedowiarstwem w rzeczach sztuki się truje; jak się nauczyła powszechność dopatrywać skaz i plam, i po mistrzowsku urąga się niepoprawnościom i wadom dzieła własnego. Owszem, publiczny sceptycyzm przeszedł już w nauce swych krytycznych przewodników; toż we Francyi zamienił się już w apatyę, w zupełną dla sztuki obojętność. Przyglądając się temu stosunkowi znudzonych i irocznie uśmiechniętych obserwatorów, do onego świata sztuki, wiecznie młodego a gorącego, mimowolnie się pytasz zkąd ten rozbrat, to odosobnienie; zkąd ten chłód u jednych i to oderwanie się od świata żyjącego u drugich? Czyliż już nic świętego niema, nic o tyle pięknego, by zapal i uwielbienie obudzić, by rozkołysać wyobraźnię i rozgrzać serce?

Czy na wszystko mamy oglądać okiem niedowiarstwa, mierzyć i ważyć dzieło ducha ludzkiego i zawsze w niem widzieć tylko nędrne krzywizny, tylko świadectwo niedoskonałości ludzkiej? Ów materializm, owa powszechna w pojmowaniu dzieł sztuki ślepotą, z nader wielu przyczyn pochodzą; dopomaga tu wszakże duch nowoczesnej krytyki, drobiazgowej a osobistej, która wszędzie się wciska, trzymając w jednym ręku *umiarkowanie*, w drugim wszech rzeczy *sprawdzian*. W imię tej podwójnej swój atrybucyi działając, zdaje się jęj częstokroć że nie byłaby sobą, gdyby nie wykazała fałszu w najpiękniejszej harmonii, gdyby nie dopatrzyła odrobiny błota na najczystszej sukni. Zapalu i ożywiającego ciepła potrzeba sztuce, aby w progi społecznego życia zstąpić mogła. Toż w czasach największej artystyczności nie było tej drobiazgowej krytyki, ale było powszechne gorące uczucie i uwielbienie dla piękna. Był więc między mistrzem a publicznością duchowy sojusz, w którym mistrz właśnie tém wielkiem uczuciem ogółu olbrzymiał. Dzisiejsze czasy odebrały nam w twórczość estetyczną człowieka religijną wiarę. Nie czujemy potrzeby rozgrzewać się pięknem; owszem, ledwie wiemy zdaleka że jest sztuka i że jakieś kółka diletantów mają z nią bliższe stosunki. Dlatego krytyka estetyczna powinna mieć całe inne zadanie niż ta, która wielkie kwestye społeczne i naukowe dzisiaj rozstrzyga. Uważmy jak na naszą społeczność szkodliwie wpływa każde *ale* w artystycznej recenzji. Ten znak judaszowy, zasłania całkiem wzrok na wartość duchową piękna, na arcydzieło mistrza. Chcąc sztukmistrza lub jego dzieło wszechstronnie oceniać, trzeba bardzo wiele o nich powiedzieć, trzeba zejść do wielkich przyczyn, które sztukę czynią taką a nie inną, a które się objawiają nawet w najdrobniejszych odcieniach i kierunkach twórczości. Tymczasem owe ciemne znaki w recenzji strącają delikatny pyłek artystycznego uczucia, który w uczestniku właśnie pielęgnować trzeba. Już ostudzona uwaga jego zwrócona jedynie na materję, na samą technikę i farby, na kształty i zewnętrzne drobiazgi. Nie umie on sam wglądać w duchowe przepaście piękna, w których tyle treści, gdzie takie bogactwa dla myśli i serca; krytyka wskazała mu tylko zewnętrzną skorupę, którą nadomiar obmową zbrzydziła. Chłosta dla niemoralności, ostra plaga dla wszelkiego w sztuce fałszerstwa, sprawiedliwa nagana dla niesumienności — to zaiste ważne obowiązki zacie myślącej recenzji. Nigdy obcych sztuce względów; wszędzie sąd jawny, w imię zasady i artystycznie wykształconego uczucia — to są jęj przymioty. Lecz skoro w danym przedmiocie ma przed sobą istotne znamiona prawdy estetycznej, powinna liktorski strój swój na godową zamienić szatę, bo się znajduje w świątyni ducha, gdzie nie można mieć osobistych pretensyj. Każda jęj wówczas apostrofa wygląda śmiesznie, bo ma minę przyczepki, osobistego niezadowolnienia. Toż jeśli jęj stosunek taki do sztuk pięknych w ogóle, tém wyżej ją podnosi ku sobie najidealniejsza ze wszystkich, która form i typów realnych

nigdzie niema, którą sama natura piętnem nieskazitności i nadziejskiego wdzięku uposażyła—muzyka.

Owóż takie myśli mi towarzyszyły, gdym słuchał pięknych koncertów Bilsego w lecie, a o których w swoim czasie pisałem; te same téż mi towarzyszą, kiedy uczestniczę w nader ożywionym obecnie ruchu muzycznym.

Wcześniej się rozpoczął zimowy szereg muzykalnych uroczystości w Warszawie, a ów początek odznaczyło przedewszystkiem zjawienie się Antoniego Rubinstejna pianisty, a jednocześnie z nim skrzypka Izydora Lotto. Ich artystyczne zasługi i publicznie złożone w kilku koncertach tych zasług świadectwa, zelektryzowały naszą mnzyzną koteryę. Ale chcemy mówić przedewszystkiem o ruchu muzycznym naszym, własnym.

Dnia 8 grudnia odbyła się jedna z większych artystycznych uroczystości w Warszawie, koncert p. Stanisława Moniuszki, na który mieszkańcy nasi co rok tłumnie pospieszają, raz dla tego, by zasłużonego i wielbionego uczcić polskiego piewę, a potem, by słyszeć muzycznie wypowiedziane natchnienia wieszczą naszego Adama.

„Widma” z Dziadów już przez samego wieszczą do liryki ułożone. Ale ta zabobonna z życia ludowego scena, gdzie przedstawione marzenia wyobraźni o tajemnicach życia zagrobowego, uderza siłą głębokiej moralnej prawdy, dreszczem i trwogą przejmuję. Czujesz w tém intuicyę ducha ludu, który w nagrodę swęj prostoty otrzymał dar widzenia rzeczy zakrytych. Dotykasz świata umarłych, na którym po wieczne czasy pieczęć, odbytej na ziemi pielgrzymki, wyciśnięta. To sprawa nigdy nieusypiających przeczuć sumienia. Są tu miejsca tak głębokie pod szatą poezyi, że się wyraźnie od samęj fantasmagorycznej oddzielają osnowy. Tkwi ta głębokość właśnie w samych zwierzeniach dusz, na wezwanie guślarza stawających. Więc dwie są strony w Widmach: z jednéj sam obrzęd i mistyczne zjawiska, które, jako rzeczy samęj fantastyczności w ludowej poezyi, doskonale się z muzyką kojarzą, a z drugieję głęboka prawda metafizyczna, której treść zanadto wielka i jasna aby ją symbolizować bezkarnie można. Zrozumiał p. Moniuszko tę podwójną cechę przedmiotu i dla tego deklamacyi powierzył to, co potęgą słowa jasnego do sumienia przemawia. Ów podział rzeczy najszczytniejszą zaletę samęj kantaty stanowi. Niewypowiedziany urok muzyki, którą Moniuszko tak doskonale umie z piersi ludowej wyrwać, przemawia do serca głosem świeżej, przeczystej poezyi, z której łona wychodzi, niby śród obłoków, sama postać prawdy, jasnej jak słońce. Tę wypowiedzaną przez deklamacyę prawdę i tę poezję widzeń ludowych, łączą instrumentalne przejścia. W nich się muzycznie samo widzenie przedstawia. Jakoż w onych orkiestralnych przejściach poznajesz wywoływane

duże, ich stan pośmiertny, bóleści i pragnienia; widzisz aniołki lecące na skargę do mamy i radbyś je do serca przycisnął, żeby im dobrze na tamtym świecie było; jeśli cię grozą przejmuje widmo złego pana, którego ciało nocne szarpią ptaki, to grozę tę do potęgi podnosi orkiestra, wybuchająca gwałtem wszystkich instrumentów i przybierająca ton ciemny i rytm gorączkowy; toż i leciuchna dziewczyna i upiór mają tu swą charakterystykę. Te łączniki są konieczne dla całości dzieła, ile że sam wieszcz je niejako wskazał, przechodząc scenicznie od poważnych monologów przez chóry, które ze zwierzeń każdego widma ostatnie słowa wypowiadają. Nie ma w tych przejściach żadnej pretensji do plastyczności, bo i sama treść nie jest plastyczna; tu same duchy bez ciała, muzyka je tehem swym ożywia, by do słuchacza przemówić mogły.

Toż całe to arcydzieło doskonałą a estetyczną spójnią muzyki z tekstem przedewszystkiem się odznacza. Wstęp, pełen tajemniczości, zakrojem i stylem przenosi uwagę odrazu w świat duchów. Mimowolnie się pytasz: „co to będzie? co to będzie?”. Ale wśród tej mistycznej demonografii przejawia się rzeczywistość, widać gromady śpieszącego ludu, słycać przygotowania do niezwykłej wśród ciszy nocnej biesiady, a dzwonek w pewnych odstępach przypomina, że się jest w wiejskiej kapliczce na cmentarzu. Teraz, po chóralnych westchnieniach ludu i zaklęciach guślarza, nagle zmienia się tło muzyczne. Jasno się staje; dwoje aniołków w górze trzepocze, przylatują i śpiewają. Ich melodya tak czysta a niewinna, że serce polskiej matki nie zawaha się w niej dzieci swe poznać, bo to głos przez nią wypielegnowany. Wzywanie widm „z najcięższym duchem” i ukazanie się szarpanej przez ptaki potwory, przeplatane chórami, orkiestrą i deklamacją, z całą dramatycznością muzyka oddaje. Ale najpiękniejsza, bo pełna sielskiej poezji scena jawienia się widma pasterki, owiej nadobnej dziewczyny, u której „po jagodach uśmiech lata, ale w oczach łza niedoli”. Rzewna i płocha, bez troski ale i bez szczęścia, Zosia przewiniła, bo na ziemi nigdy kochanków nie chciała. To najwyrazistszy typ poezji naszej. Idealność w wiecznie dziecięcej sukience, ciągnie do płochych uciech, do motylka i baranka; ale w sercu jest siła rzewności i uczucia, które pewną cechą dojrzałości dziewczę naszą piętnują. Więc śpiewa Zosia prześliczny duet z guślarzem o baranku i motylku, a potem piosnkę, która jest niby przypomnieniem obrazu jej na ziemi. W tej piosneczce rzewnej a leciuchnej, która w akompaniamencie orkiestry pięknymi kolorami się stroi, czuć tyle niewinnego szczęścia, tyle wdzięku polskiej dziewczyny, że w niej samą już znać natchnionego pieśniarza naszego, autora nigdy niezapomnianej piosnki Jontka. Chóry swą prostotą wyobrażają spokojną a pełną wiary duszę ludu. Ta ich cecha aż nadto przebija w poważnym, często religijnym prowadzeniu harmonii. Pełno w Widmach natchnienia i szczytnego muzyki piękna. Sztuka muzyczna użyczyła swego uroku wieszczowi, którego

myśl tém łatwiej do wszystkich serc się wciska. Już lat kilka jak utwór ten znany, a zawsze ze świeżem go słuchamy zajęciem.

Mniejsza rozmiarem i doniosłością muzyka do ballady Mickiewicza „Pani Twardowska” pierwszy raz Warszawianom przedstawioną na koncercie była. Tu już muzyka, pełna werwy i humoru, wkracza w sferę komizmu. Kompozytor korzystał z przywileju, jaki mu nadaje swoboda przedmiotu i całkiem fantazyją swą muzykę nastroił. Nie ma tu już typów i charakterów; nie ma nawet myśli, któraby muzyczny wątek przedstawiała. Więc jest dowcipna mistyfikacja w charakterystycznym obrazku karczemnym. Zadaniem było ten obrazek namalować zrećznie, i nie więcej. Otóż mamy istną karczmę, gdzie jedzą, „piją, lulki palą; tańce, hulanka, swawola”. Rubasznie się śmieją kontrabasy, gwarno huczy rzesza instrumentalna, a to wśród rytmu rażnego a dosadnego. W niewielkim odstępce wstępuje chór do orkiestry. Co życia, co ognia wyrzesza muzyka z onego wiersza o burdzie w karczmie, gdzie Twardowski dokazywał, to już starczy do wywołania śmiechu i serdecznój w słuchaczach wesołości. Ten sam ton w całej zachowywanej balladzie, niby hollenderskiej szkoły koloryt, który jeden cień na cały obrazek rzuca, nie uwłaczając nic samój scenie rodzajowej. Postacie, ledwie szkicem zarysowane, zlewają się w tój ogólnej buffie, bo tu idzie o przedstawienie w karczmie zamieszania i burdy, które są realnością i wśród których domyślnie, gdzieś na boku, niejako przez opowiadanie, mistyfikacja djabelska utkwiała. Twardowski tnie swoją arzę polonezem i w tém cały charakter jego szlacheckiej buty. Dzięki temu pojęciu, tryska w finale ta hałaśliwa a komiczna historyjka całém wezbraniem muzycznej fantazyi. Więc znowu tańce, hulanka i serdeczny śmiech gawiedzi, która dowcipem Twardowskiego uradowana, przyklaskuje mistrzowi i z rejterady Mefistofela się natrząsa. Przegrał sprawę kusy i czmycha; – toż wszyscy porwani są śmiechem, za hoki się biorą a zanoszą bez końca, wołając: „czmycha, czmycha, czmycha!” Taki finał tylko muzyka wypowiedzieć jest w stanie. Zgoła, pełno tu charakterystycznego dowcipu, który wśród prześlicznych iskier instrumentacyi, nadaje utworowi piękną całość rodzajowej muzyki.

Dnia 11 grudnia odbyło się w Wielkim Teatrze pierwsze przedstawienie nowój opery p. Stanisława Moniuszki p. t. *Paria*. Treść wzięta z owój tragedyi Delavigne'a, która, na schyłku walki klasycyzmu z romantyzmem napisana, ostatnim wysiłkiem stariej miała bronić teorii. Zważmy że nowe czasy coraz jawniej powołują dramat liryczny do odpowiedzialności literackiej; z każdym dniem maleje falanga dyletanckich smakoszków, którym o związek muzyki z poezją wcale nie szło. Poza oną koteryą melomanów czystych staje ogół publiczny, dopominający się przedewszystkiem

o treść w lirycznym dramacie, a onym sprawiedliwym instynktom estetyka dzisiejsza najzupełniej wtóruje. Więc teraz idzie o to, aby ta treść opery nie tylko była sama z siebie piękną dramatyczną poezją, ale odpowiednią dla muzyki, to jest taką, którejby symboliczność szkodzić nie mogła i któraby nawzajem swym wdziękiem i szlachetnością do idealnych wyżyn muzyki się podnosiła. Takię treść, tryskającą tysiącem uroczych a szlachetnych wdzięków, pełno jest w życiu i w codziennych stosunkach ludzkich. Jéj winni mistrzowie muzyczni najpiękniejsze swe natchnienia, najdoskonalszą całość swych lirycznych kreacyj. Toż tembardziej owa muzyką wypowiedana poezją dramatyczną, powinna wychodzić z najbliższej sfery życia, z owych pulsów społecznego organizmu, których psychiczne tajemnice nam są znane, bo je sama natura muzycznie w duszy naszej układa, a daje pochop do poetycznej śpiewności. Takim jest niespożyty swą pięknością Don Zuan, z wdziękiem śpiewający leciuchne miłostki hultaja, ale wzruszający duszę przedstawieniem głębokich a pięknych uczuć serca ludowego. Nie dla czego innego pomarły owe na klasycznej modzie spiętrzone muzykalia, a zwłaszcza znakomite zładinąd utwory Glücka, jeno dlatego, że w starożytnym świecie treści zapożyzczały. Owóz piękno dramatu lirycznego na doskonałej spójni estetycznej spoczywa, a w tém całe kryterium natchnień mistrza i smpatyczności jego utworu.

Tragiczny przedmiot Parii przenosi nas w świat indyjskiéj kastowości. Wszystko tam mrozi strachem, a przeraża wypaczeniem uczuć człowieka w potworne widziadła. W onych pojęciach ujarzmionego ducha, szukał autor tragicznej myśli, ale czuł się otoczonym zbyt ciężką atmosferą, kiedy wprowadził tu chociaż małuczki cień z naszego chrześcijańskiego świata. Tym cieniem jest Portugalczyk Alwar, przyjaciel i powiernik okrytego wojowniczą sławą, a swe pariasowskie pochodzenie ukrywającego Idamora. Postać ta słabo nakreślona, bo klasyczna tragedia nie dba o przyrodzone związki logiczne, a ufna jedynie w piękności formy, z łatwością anachronizuje idee. Toż ów błąkający się cień mógł podać myśl rozwinięcia żywiołu chrześcijańskiego w dramacie lirycznym i połączenia tym sposobem dwóch światów ze sobą. Ogrzewałby on samą treść tragedyi, a uczyniłby postacie i ich uczucia, wydając ze siebie światło moralnej prawdy i dobra. Tymczasem w ułożoném do opery librecie znikła nawet ta postać chrześcianina. Opera, odarta z kraszy deklamacyjnej i retorycznej siły, które właściwe téj tragedyi stanowią piękno, została na łasce fantastycznych braminów i dzikiéj kasty wojowników, a ma wyspiewać straszne złamanie deptanego od wieków człowieka. Miłość wzajemna młodego pariasa Idamora i arcykapłanki Neali, jest jedyną więzanką liryczną, niby oazą w dzikiéj pustyni. Ale smutnie ona tu wygląda, wśród nieliczących z nią czynów, postaci i wyobrażeń, co chwila podkopywana i brudzona. Cóż tedy spólnego z muzyką ma sa-

ma tragedia, a zwłaszcza wykrojone z niej libretto, gdzie już zupełnie ów świat indyjski od nas oddzielony? W muzyce p. Moniuszki nic z tego świata nie ma. Chętnie tu słyszymy jakiegoś tętna odmienne i barwy sprzeczne. Więc w chórze braminek dostyszymy miłej nam nuty, niby polskich żniwiarek, a w śpiewach Idamora raczejbyśmy poznali rozkochanego polskiego młodziana. Wszakże duet Idamora z ojcem na przesłicznój w orkiestrze polonezowój melodi się rozściela. Kompozytor został tu sobą, myślał po swojemu, lubo się przywiązał do rzeczy obcej. Tyle są silne wiązadła ducha artysty, który stanął na wyrobionym już sobie piedestale myśli, uczuć i stylu. P. Moniuszko ukształcił swój język muzyczny na wdziękach poezji narodowój. Wrosła w jego duszę treść życia ojczysta, a utworzyła onę piękną mowę, w której przyzwyczailiśmy się drogie sercu naszemu czytać opowieści. Dlatego też nie umiał innęj używać i na obcej ziemi. Ale ta sprzeczność ujmę przynosi utworowi, bo razi estetyczny porządek, bo stawia słuchacza na niebezpiecznej granicy, gdzie musi nastąpić rozdwojenie, niezgodność myśli z uczuciem. Kto nam dał poznać rozkosze rodzinnęj muzyki w Halce, kto stworzył dzieło tak skończone i wysokiej wartości jak Irlabina, temu nie wolno bezkarnie po bezdrożach estetycznych się błąkać.

Toż témbardziej ubolewać nad owém odstępstwem wypada, ile że nasz mistrz ze strony samęj techniki roztoczył tu skarby swego geniuszu. Opracowanie zewnętrzne dzieła znakomite. Widoczne w niem muzycznego talentu zolbrzymienie. Doskonale zarządzona jednolitość kompozycyi; wspaniale panująca dramatycznych głosów powaga, której orkiestra nie psuje; pełna i pięknie rozwinięta kontekstura harmoniczna; zresztą przesłicznie pomyślane szczegóły a zwłaszcza chóry—to są bezwątpienia znakomite cechy przedstawionęj nam muzyki. Uważmy że ogólném znamieniem stylu Moniuszki jest doskonała czystość harmonii i przejrzysta melodyjnych myśli jasność. Przejawia się w tém niewinność duszy, która wyobraźnię artysty raczej do świetlic poezji spokojnej, niż do arkanów gwałtownych namiętności pociąga. Zawsze przytomna siebie i zwięzła tonacya, jaśnieje uroczeni zwrotami modulacyj, wyrażającemi ów ruch psychicznych przemian, w którym się najwiernięj dusza narodu odbija. Więc jeśli kompozytor odstąpił w Parii od zwykłej sobie swobody, to jedynie uważać się to daje w onym minorowym kolorycie, jakim, dzieło przeważnie jest powleczone, a zkad niekiedy jakaś mistyczna, wieznana nam przegląda powaga. Toż i z tego względu powiemy: szkoda! bo Moniuszko gdy jest na swoim gruncie, umie wyciskać szczere łyż rzewności i uszczęśliwiać serce najpiękniejszymi porywami świadomęj siebie radości. Nie dał się on opanować owym pretensjom szkoły nowoczesnej, szukającęj w muzyce środków ekspresyji urojonych, onemu wirowi romantycznemu, który sztandar ciemnych dyssonansów zatknął na czele harmonii, a usiłuje przez muzykę wszelką wypowiedzieć brzydotę. Paria jest przesliczną symfonią,

której chętnie przy spuszczonej słuchalibyśmy kurtynie. Wówczas tworzylibyśmy sobie do niej treść piękniejszą, wyższą, a wśród tej niezakłóconej swobody, ocenialibyśmy piękno samej muzycznej kompozycji.

Ktoby chciał malować towarzyską fizyognomię Warszawy, a z tego wizerunku jakieś psychologiczne wyprowadzać wnioski, musiałby się nauczyć rozumieć ową symboliczną mowę, którą muzyką zowią. W istocie, znalazłby tam wiele, znalazłby może to, co w innej mowie wylewać się zwykło. Warszawa upaja się muzyką. Wśród ciszy i spokoju słysząc nieustającą harmonię; w niej różne znaczą nastroje, wszelakie stopnie i barwy uczuć, a dzieje się to jedynie na wezwanie zawsze gotowych do pięknych rzeczy instynktów. Owóż same usiłowania już byłyby piękne, gdybyśmy nie wiedzieli że są wśród nas istotne zdolności i odznaczające się talenta: gdybyśmy nie mieli prawa do zaznaczenia w świecie muzycznym sztuką własną, ojczyzną. Ale na to potrzeba czegoś więcej, a mianowicie gruntownego estetycznego wykształcenia. Wszakże, nim o tém mówić wypadnie, wspomnijmy teraz o kilku przynajmniej usiłowaniach.

Jeszcze zeszłej zimy p. Munchheimer bardzo chwalebna myśl powziął uorganizowania popularnych symfonicznych koncertów, a to ze współdziałaniem orkiestry Teatru Wielkiego. W bieżącej porze mieliśmy tylko trzy koncerty, wszystkie nader zajmującej treści i zażywamy szczerze iż owo poparcia godne i znaczne przedsięwzięcie ustało.

Skromniejsi w usiłowaniach pp. Lewandowski i Kuhne, gromadzą co święto w około swój orkiestry liczny zastęp lżejszej muzyki zwolenników. Trafiają tu na grunt dobry i miuowolnie przyrasta do nich sympatyczny tytuł, jaki koncertom symfonicznym chciał słusznie nadać p. Munchheimer. Oni są popularni.

Ale najważniejsza ze wszystkich i w następstwa najpłodniejsza na polu muzycznym czynność, lubo jeszcze w zawiązku, to utworzenie szkoły orfeonistów przy tutejszém konserwatorium. Niemcy, Francya, cały prawie Zachód Europy, dawno już się cieszy rozwojem tej instytucji, która najlepsze przynosi owoce. Miasteczka, a nawet nie jedne wsie stowarzyszają się tam dla muzyki zbiorowej, a stowarzyszenia te już wysoko stoją, mają swoje uroczystości, konkursy i nagrody. Wszakże nie jest to rzecz nowa. W wiekach średnich, kiedy sztuka z pałaców przechodzić począła w sfery ludu i kiedy rozwijające się miasta zaczęły tworzyć korporacje poetów, tak zwanych mistrzów-śpiewaków, którzy mieli statuta i surową scholastykę regul. Najstynniejszą była szkoła mistrzów norymberskich. Ówczesna dążność do ściskania wszystkiego korporacyjnym despotyzmem i formułkami regul, dziwa-

czne wyradzała teorye, co téż témbardziej na skoszlawienie poezyi i muzyki wpłynąć musiało. Wszakże już samych szlachetnych dążeń zostały pamiętki, a to w onój cywilizacyi, jaką średniowieczne zasłynęły miasta. W czasach obecnych, po wyzwoleniu się z uciążliwego jarzma korporacyi i w zupełném używaniu swobód indywidualnych, społeczeństwo rzemieślnicze i kupieckie nie mniej potrzebuje łączności, wzajemnego kojarzenia się. Ze obok innój, łączność ta i na warunkach czysto moralnych opartą będzie, że się objawi w celu najpiękniejszym, bo dla sztuki, tém lepsza rękojmia jój cywilizacyjnój doniosłości. Nasze towarzystwo orfeonistów, pod zaszczytnym zostające kierunkiem profesora Roźnieckiego, już 300 liczy członków. Przedstawiło się kilka razy przed zaproszoną publicznością, dając świadectwo uzdolnienia członków i umiejętnej pracy przewodnika.

Bolesław Wilczyński.



PRZEGLĄD TEATRALNY.

Romeo i Julia, tragedia w 5-aktach Szekspira.

Dzieje miłości uwiecznił genialny Szekspir w tej tragedyi. Miłość jako pojęcie zbiorowe, do którego odnosi się warunek życia całego, jest czémś najszczytniejszém i najwznieślijszém, jest podstawą najwyższego szczęścia tu na ziemi, i prawdziwój wielkości, nie kończącej się za grobem. Takiój to miłości dał wizerunek twórca, wówczas w pierwszej będący młodości; z takiój wysnuł niby dogmat, który w starciu się z poglądem świata, musiał wybuchnąć tragicznie. Lecz nie jest to miłość najczystsza, w eterycznej tkaninie, jest ona podniesioną do namiętności najwyższej, i przeciwstawioną drugiej właściwości duszy namiętnój: nienawiści. Dwie takie zasadnicze i główne namiętności, w gorącym a nienawistnym zwarte uścisku, wytwarzają potężne *pathos* i tragiczną akcją.

Miłość wielka, szlachetna, oczyszczona, wyraża najdoskonalej najwyższy stopień godności człowieka, dając mu zarazem moc poświęcenia i wytrwałość w działaniu; gdy się atoli przeradza w pragnienie zadowolenia siebie z poświęceniem praw innych i etycznego porządku, gdy w zaślepieniu *użycie* egoistyczne bierze za jedno z wyższością idealnego piękna, i gdy w tém zaślepieniu namiętném, pomiata dobrem innych, wówczas staje się błędem, ograniczeniem moralném. Ztąd też wypływa, że w takiój jedyn silnej uamiętności szlachetność porywu, łączy się z małością, piękne uniesienia z brzydota, czynu, wieczność z chwilowością, a ta właśnie jednie sprawia jój tragiczność. Miłość Romea i Julii, ma charakter idealnej piękności i eterycznego ognia, jedno w drugim zdaje się odnajdywać ideał najgłębszój tęsknoty, uzmysłowienie najcudowniejszego marzenia. Odrazu się pokochali, ale już w samém związku tego uczucia, gniczdi się robak ich zguby i fatalnego przeznaczenia, bo ta miłość na pierwszy rzut oka tak idealna, przeszła natychmiast w gwałtowną, niczém niepowstrzymaną namiętność. Oboje w jój płomieniu dojrzewają płomiennie, gardzą przestrachem nie-

bezpieczeństw i śmierci, w ostatku zgonem swym wracają jej urok nieśmiertelny, idealność, poezją, zgodę moralną.

Dopóki jednak ogarnieni są płomieniem, zapominają o świecie, o granicach przezeń nałożonych, rozdzierają węzły rodzinne, posłuszeństwo tradycji, szukają zespolenia, a przez to tracą spokój, jasność umysłu, siłę woli i siłę czynu. Tém się tłumaczy dzika wściekłość Romea w celi Lorenza, jego chęć samobójcza, jego pojedynki, któremi nieopatrznie i fatalnie sam przygotował katastrofę. Nadto miłość ta, krzyżuje się z jaskrawą ostatecznością: nienawiści Montechich i Capulettich. Rozpaczliwym kontrastem, wywołuje walkę, mszczącą się zarówno na niewinnych dzieciach, jak i na winnych rodzicach. Ze spopielonej nienawiści historycznej przodków, wyrodził się sfinks szalonej miłości potomków. Przeciwiństwa takie lubi natura i przyswaja sobie.

Przepysznie wygląda konsekwentne ugrupowanie figur tragedyi. Po jednej stronie Romeo i Julia, z Lorenzem doradcą niby chórem starożytnym, z Benvoliem i Mercutiem jako uzupełnieniem swobodnego rozkiełznania woli, i z mamką, ową mimowolną przedstawicielką złego wpływu na wychowanie Julii; po drugiej zawzięci Capuletowie z awanturczym Tybaltem i zimnym hrabią Parysem, w głębi na drugim a jednak wyższym planie, panujący książę jako reprezentant prawa, i obyczajowej społeczności. Każda z figur mięsza się w właściwym sobie kierunku w bieg akcji, i przyspiesza ją. Nie ma tu dowolnego przypadku, możebnego w komedyi, ale wyższe zrządzenie, niezbędna konieczność, nieubłagana konsekwencja płynąca z samych charakterów. Nie jest to sprawa przypadku że Romeo zabija Tybalta, ale jego drażliwości namiętniej, ani Tybalt nie zabija Mercutia bez przyczyny, ale jako przedstawiciel wrogiej rodziny. Nieprzyjaźń rodów Capulettich i Montechich, mści się na ich stronnikach, stary Capulet i Montagu niezdolni do czynu, lecz wyrażają ideę. Tak samo nie jest to ślepym przypadkiem, że Romeo sądzi iż Julia rzeczywiście umarła, ani to że się Julia nie obudziła, zanim Romeo wypił truciznę. Nie skutkuje też ratunek podany przez Lorenza, bo spełnić się musi ofiara, która stanie się expijacyjną. Romeo przeczuwa, wstępując w progi domu Capulettich jakieś tajemnicze nieszczęście, a jednak się nie cofa, jakby ulegając wewnętrznej, pchającej go naprzód konieczności. Tą nieuniknioną koniecznością jest nie co innego, tylko najściślejszy stosunek, jaki zachodzi między charakterem człowieka a światem zewnętrznym, między duchem jego a przeznaczeniem. Dla Romea, przeniknionego na wskroś miłością, nastęrczyć się musiała okoliczność, spełniająca jego przeznaczenie.

Robiono zarzut, że gdyby nie wmięszanie się Lorenza, rzeczy innyby obrót wzięły. Rozbierając w tak praktyczny nawet sposób pamiętać trzeba, że opór jego na nich się nie przydał. Zakochani tacy jak Romeo i Julia, nie ulegną się przeszkód, Lorenzo zaś jako spowiednik, jako ojciec ich duchowy, miłujący serdecznie obo-

je, sądził, że zaślubieniem ich, pogodzi dwa od wieków zwaśnione domy.

Rysunek charakteru Romea nadzwyczaj wyraźny, Julii tak samo; oboje spleceni jednym zwojem potężnej namiętności, której przeprowadzenie, rozstrzyga o ich losie. Romeo w pierwszym zaraz występie, marzy o Rozalindzie. Nie kocha on jęj jeszcze, ale jest ona pierwszym lepszym przedmiotem spragnionęj i gorącęj wyobraźni, jest symbolem ideału za którym tęskni. Jest więc romantyczny, melancholijny, prawie śmieszny, dotąd dopóki rzeczywistości i osiągnięta miłość nie rozbudziła w nim przecucia i nadzwyczajnej rozkoszy, dającęj wiarę w siebie, polot, entuzjazm potęgę czynu. Teraz kocha prawdziwie, posiada, a przecież dalekim jest od przesytu. Bardzo to subtelna granica.

Julia znowu jest Romeem kobiecym, jest pełnią miłości w całym znaczeniu tego słowa. Romeo znajduje siebie w Julii, ona siebie w nim. W tęg spójni wewnętrznej, tkwi wzniosłość i piękność idealna ich miłości.

Na balu więc nastąpiło poznanie, pierwsza rozmowa, pierwszy pocałunek i pierwsza dozgonna miłość. Oboje w kilku słowach porozumieli się na całe życie, powiedzieli sobie ostatnie słowo zagadki swych przeznaczeń. Julia trwoźna każe się mamce dowiedzieć, czy Romeo wolny. Romeo ukrył się pod balkonem i wysłuchał wyznania dziewicze, które powierzała ciszy nocnej. Muszą się zaślubić, ona każe mu być u Lorenza. Pierwszą noc ślubną, upamiętnia ją słowicznym dyalogiem, wyrwanym z piersi poety nad poetami. Lecz widmo nienawiści stronnictw w postaci Tybalda Capuleta, zabijającego Mercutia przyjaciela Romea, podżęgło tego ostatniego do odwetu. Zabija mordercę przyjaciela, ale sam skazany na wygnanie, w nieokiełznanęj rozpaczycie chce się zabić w celi Lorenza. Nie wie, że okrutni i bez serca rodzice, skazują biedną dziewczynę na ślub z wstrętnym jęj hrabią Parysem, w jak najkrótszym terminie. Opuszczona od najbliższych, od mamki, samolubnej i pospolitęj służebnicy, błaga Lorenza o ratunek. Spowiednik daje jęj go, każąc wypić napój usypjający pozornie trupio na przeciąg 48 godzin, ale o tym układzie nic jeszcze nie wie Romeo, który już udał się do Mantui. Gdy się dowiaduje o śmierci Julii od sługi swego Baltazara, pędzi do Werony, schodzi w katakumby, zabija zaczepiającego go tam Parysa, przypatruje się cudnej postaci kochanki, i wypija kupioną truciznę. Obudzona Julia, na widok trupa Romea, topi sztylet jego w swęj piersi. Pogodzenie dwóch rodów nastąpiło nareszcie po tak krwawęj ofierze, w śmierci zaś tęg dwojga kochanków, leży oczyszczenie i pojednanie może, za wyłączenie tak nieograniczonęj miłości.

W tragedycie tęg obok młodzieńcęg piękności przedstawienia, uderza właściwy wydarzeniom koloryt, który się uwydatnia niezmiernie dykcyą liryczną, pełną powabnych obrazów i metafor właściwych Szekspirowi, a głębcoko filozoficznych. *Gerwinus* podnosi trzy zwłaszcza ustępy wysoko liryczne, do których przedewszy-

stkiem słusznie zalicza sceny balkonowe. Gervinus też jeśli się nie mylę, i inni komentatorowie zastanawiają się nad tém, że bohaterowie późniejszych dramatów (Otella, Lira, Makbeta) a nawet równocześnie powstałych (Henryka VI, Ryszarda III, Tytusa Andronikusa) to ludzie w wieku dojrzałym albo starcy, gdy tymczasem w tragedyi osoby na których barkach pathos cięży, w pełni są młodzieńczego wieku. (Romeo, Mercutio, Paris, Tybalt, Julia) i że gdy w tamtych tragediach same nam się straszliwe na oczy nawijają sceny, tu wszystkie pełne powabu i wdzięku, bo nawet Romeo oświecający pochodnią pozornego trupa Julii, tworzy obraz nacechowany romantycznym urokiem.

Nie hazardując się na porównania i stawianie ogólnych tez estetycznych, pod które jak zwłaszcza u Gervinusa rzecz sama nie zawsze da się podciągnąć, zwracamy uwagę na logiczność i konieczność każdej i najpodrzedniejszej postaci w tej tragedyi. Szekspirowi to właściwe, że u niego nie ma figur niepotrzebnych. Tu na przykład działanie każdego w szczególności, pozornie odległe od głównej akcji, przyczynia się jednak do podniesienia i rozwiazania fabuły. Wszyscy mniej więcej podwładni na ten lub ów sposób potędze miłości, nagrodzeni lub ukarani przez nią, dlatego to śmierć Parysa która się wydawać mogła niepotrzebnym dodatkiem, jest ściśle logiczną: Parys chłodny sceptyk nie pyta się Julii czy go kocha, ale negocjuje wprost z rodzicami. Uczucie to lekceważąc, staje na drodze zakochanym, więc zginąć musi. Miłość Romea i Julii zwycięża, prawda że dopiero po katastrofie śmierci, ale tą śmiercią właśnie przywraca zgodę, ucząc ludzi, że uczuć prawdziwych krępować się nie da. Pojęcie Romea o miłości tak odrębne, tak wyłącznie opierające się na posiadaniu jednej ukochanej istoty, będącej dla niego światem, bogiem i zbawieniem jest wprawdzie indywidualnym pojęciem, ale forma w jakiej ta miłość się objawia, i pathos ztąd wynikłe, jest już wyrazem całej epoki, całego peryodu i kultury pewnej narodowości. Atoli idąc dalej, pojęcie to wykluczające wszystkie inne dążenia, wszystkie inne cele prócz posiadania wybranej istoty, świadczy zarazem o niepospolitej godności, jaką człowiek nowszych czasów w przeciwieństwie do starożytności, potrafił sobie zdobyć. Indywidualizm taki, musiał się rozwinąć wraz z cywilizacją.

Przedstawienie na scenie tutejszej. wypadło co do całości dosyć pomyślnie, co do szczegółów czasami znakomicie. Artystka grająca Julią, rozumie Szekspira, przejęta jest jego duchem; Romeo (młody debiutant) sięgnął do ról Szekspirowskich z pewną czcią, i z pragnieniem przyswojenia sobie niepospolitej kreacji. Uważaliśmy tylko w artystce grającej rolę mamki, całkowity brak pojęcia o wielkim dramaturgu, a więc streścimy charakter ten w kilku słowach. Kobieta ta, gadatliwa, faktorka, egoistka, niskich skłonności, gminna, postępująca się tłustemi dowcipami z taką przyjemnością (gdy mowa o upadnięciu na twarz małej Julietty)

oświeca cieniem właśnie swego charakteru, doskonale postać Julii. Poeta chciał pomieszczeniem takiej pospolitej piastunki, objaśnić zły jej wpływ na wychowanie i pierwsze wrażenia młodej dziewczycy. Dlatego to tęsknota Julii, jej marzenia tak są gwałtowne, tak namiętnego oczekują spełnienia, dlatego to podżegana nieostróżną a koloryzowaną paplaniną mamki, zapomina łatwo o posłuszeństwie (prawda że okrutném) rodzicom, o czci niewieściej, o silnej woli, rozsądku i religijném wędzidle. Mamka działała paplaniną swą szkodliwą na młodziutki umysł Julii, a zimna i niedobra matka, nie pomyślała nigdy o złym wpływie najmnej kobiety, o obowiązkach swych macierzyńskich, nakazujących kształcenie duszy i powstrzymywanie zbyt ognistej, zbyt nieokiełznannej fantazyi młodego dziewczęcia, zrodzonego pod południowém niebem.

Artystka przeto grająca rolę mamki, powinna być *bezwiednie* gminną i dwójznanie dowcipną, powinna być *dobrodusznie samolubną*. W zagranicznych teatrach, najznakomitsze artystki podejmują się tej roli, tutaj trzymano się liter a nie ducha, i powierzono rolę aktorce nie mającej do tego rodzaju sztuk, najmniejszych przygotowawczych studyów. A potrzeba wspomnieć jak na dzisiaj nawiasem, że z Szekspirem nie można się obchodzić jak z pierwszym lepszym wodwilistą francuzkim; że potrzeba zabrawszy z nim znajomość, szanować go i oceniać, albo wyrzec się wszelkich z nim stosunków, inaczéj arystokrata ten odepchnie natrętów pogardliwém obejściem.

Nemo.

PISMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE

Krótki historyczno-statystyczny opis miast i wsi w dzisiejszym powiecie krotoszyńskim od najdawniejszych czasów aż po rok 1794, przez Józefa Łukaszewicza. Poznań 1869. 8-ka w., str. 470.

Skrzętne pióra dziejopisarzy z dawniejszych czasów i z lat nowszych odtworzyły w sposób mniej lub więcej zadowalniający nie jedną stronę z krajowej przeszłości, wyświeciły niejeden z niej ustęp, odstłoniły szerokie tu i owdzie widoki na wiele z minionych wieków. Życiorysy i wizerunki królów, znakomitych mężów stanu, dzieje téj lub owéj epoki, życie religijne i umysłowe, starannie i szczegółowo przedstawione—mogłyby się złożyć na dość dokładny obraz lat minionych. Stan rycerski, co blaskiem swoim przyćmił resztę społeczności, z powodu bujnego swego rozkwitu oddawna już wabił ku sobie uwagę dziejopisarzy; najbogatsza téż pewnie w tym oddziale, powstała historyczna, polska literatura. Przeszłość dziejowa miast, to prawie las dziewiczy, niemal nieotknięty. Szczupła liczba szczegółowych opisów zaledwie tu i owdzie toruje jakąś wąską ścieżkę. Zaiste miasta polskie równać się nie mogą z miastami włoskimi potęgą życia samodzielnego, bogactwem sił umysłowych, rozkwitem dobrobytu; nie mogą stanąć obok francuzkich komun i szczyć się krwawą walką, toczoną o wolność obywatelską z przemocą feodálną; nie mogą iść o lepsze z miastami niemieckimi pod względem obfitych plonów na polu rękodzieł, przemysłu i handlu: zaiste, miastom polskim mniej świetny los dostał się w udziale. Ani w życiu politycznym, ani w rozwoju społecznym nie wyrobiły takiéj olbrzymiej siły, jak miasta państw zachodnich. Ale przeszłość ich nie jest bynajmniej tak ciemną, jak ją nieznanomość jéj dziejów uczyniła. Miały miasta polskie jaśniejsze chwile, miały dobę swojego wzrostu, wjele

zdrowej siły; tylko niestety, za mało znamy tę przeszłość. Jeżeli więc i żywotniejsza strona w dziejach miast nie obudziła żywszego w piśmiennictwie zajęcia, jeżeli nie wywołała liczniejszych opracowań: tém mniej dziwić się należy, że zupełnie nietknięty został drugi okres upadku życia miejskiego. Ogólnego obrazu, coby przedstawiał różnorodne strony działalności miast, politycznej, umysłowej, ekonomicznej nie posiadamy zupełnie. Ogólnikowe uwagi, poglądy obszerniejsze, oparte więcej na wyobrażeniu, niż na silnej podstawie zdarzeń, znajdują się niewątpliwie; z tych najmniej odnosi historia korzyści. Ogólny obraz tylko na szczegółach zasadzać się może. Tylko z dziejów każdego miasta z osobna, choćby najdrobniejszego, powstać może zadawalniający wizerunek przeszłości miast polskich, tylko wtedy odsoni się daleki widok na ich znaczenie, jakie miały w życiu politycznym i w życiu społecznym. Dziś jeszcze widzenie nasze zamknięte jest ciasnym obrębem dziejów jednego lub drugiego z miast znaczniejszych. Ustawodawstwo publiczne określa pewnych miast prawa polityczne, ale szerokie pole społecznej działalności, to ziemia prawie nieznaną. Treściwy „Zbiór praw, dowodów i uwag” podany deputacyi wyznaczonej do roztrząśnienia praw i przywilejów miejskich, podczas sejmu czteroletniego, zgromadził co „Księgi Prawa” obejmowały i co z innych źródeł publicznych zebrać się dało. Jestto zarys treściwy, są to główne punkta memoriału. Surowiecki pisze piękne i trafne uwagi nad upadkiem miast i przemysłu. Bystre oko odkrywa istotę ciężkiej niemocy, w jaką miasta popadły, środki zaradcze, podawane przezeń świadczą o zdrowym poglądzie na stosunki ekonomiczne: ależ to są tylko uwagi. Trzeba było więcej szczegółów dla Surowieckiego, dla każdego coby przedsięwziął przeszłość miast polskich odsłonić. Baliński i Lipiński przygotowują w Starożytnej Polsce szeroki zrab geograficzny, wypełniają go historycznymi, prawnymi, statystycznymi wiadomościami, ale to zarys najogólniejszy. Zresztą tu i owdzie spotykamy pojedyncze szczegółowe dzieje miast, owoce sumiennój, skrzętnój pracy, wyższej nieraz zdolności. Niestrudzony Gawarecki opisuje płocką, dobrzyńską ziemię, wydaje miejskie dokumenty, przywileje. Łukaszewicz rozwija przed nami obraz historyczno-statystyczny miasta Poznania, obznajmia nas z początkiem niemieckich miejskich ustaw, i wzbogaca literaturę ciekawymi szczegółami do dziejów wielko-polskiego grodu. Zubrzycki wydobywa na jaw z archiwów miejscowych obfite w wypadki dzieje Lwowa. Kraszewski odtwarza przeszłość Wilna, Sobieszczański Warszawy i kilka innych jeszcze drobniejszych monografij dopełniają niezbyt długiego szeregu prac przygotowawczych. To wszystko, rzeczby można, drobny i nieznaczący ułomek w porównaniu z tém, co kryją archiwa większe i mniejsze. Znaczna część dziejów miast polskich, kto wie czy nie najznakomitsza, ukrywa się jeszcze przed okiem dziejopisarza i spoczywa w niewydanych przywilejach, aktach sądowych, radzieckich, miejskich. Jakąż nieprzebraną w tym

przedmiocie kopalnię stanowią zbiory galicyjskie, o których bogactwie najdokładniejsze dać może pojęcie sprawozdanie Dudika, Morawczyka, wysłanego (1867) przez ministerium wiedeńskie do szczegółowego opisu archiwów galicyjskich. Każda choćby na pozór dziś najnieznacniejsza miłościna z archiwów miejskich mogłaby opowiedzieć swoje przeróżne koleje. Jeżeli już nie pamięta początków, jeżeli źle ukryte pergaminowe nadania nie przechowały pamięci o chwili powstania i osadzenia, to radzieckie księgi późniejszych czasów, przywileje nowsze, akta grodzkie mogłyby o nieznanych losach miasta szeroką wysnuć opowieść. Wsparłaby je kronika kościelna, ksiągka wizytowa; akta dobrej woli wylałyby obfite źródło dla zbadania stosunków społecznych. Stowarzyszenia, bractwa, cechy rzemieślnicze posiadają liczne swoje ustawy, w których nieraz wiele ciekawych znaleźć można wiadomości objaśniających ruch przemysłowo-handlowy pewnego okresu. Te małe zbadane akta odsłaniają nam nie znany prawie widok bogato krzewiących się kunsztów rzemieślniczych, rzemioł tak szczegółowych, jak gdyby świadomie urzeczywistniały wieki średnie późniejszą nowoczesną ekonomiczną zasadę podziału pracy. Dziś fabryki pochłaniają całą tę szczegółowość i drobny rzemieślnik drobnego przedmiotu prawie zginął już z przed oczu naszych. Cechy szpilekarzy, nożowników, mieczników, puszkarzy, grzebieniarzy i długiego szeregu wielu innych wymownie nam świadczą, jak miejscowy przemysł korzystał z sił krajowych. Księgi radzieckie w dobie większej niezależności miast od starostów, ileżby światła rzuciły na życie prawne, którego nie jedna nieprzejrzana jeszcze strona w zupełnym dla prawnika tonie ukryciu.

Do jednej z małych miścin dawniej Polski wprowadza nas praca p. Łukaszewicza, której tytuł na czele umieszczony został. Co może łatwiej od czytania odstręczać jak napis na książce, rys historyczno-statystyczny drobnej szlacheckiej miściny, której nazwa czytelnikowi pierwszy może dopiero raz nieznanym dźwiękiem w ucho wpada. Co ciekawego i co zajmującego mogą przedstawić dzieje Kobyłina, jego wsi okolicznych? Bezbarwna starożytność objaśniona nieczytelnym przywilejem, kilku wypadkami z lat oderwanych, bez związku, i kilka może obojętnej natury pomników sztuki, architektury lub piśmiennictwa. Oto wszystko. Tytuł gotuje już losy dla książki w umyśle czytelnika. Uprzedzenie nieuzasadnione, ktoby z niem chciał przystępować do przejrzania pracy p. Łukaszewicza. Po przeczytaniu zmieni swoje błędne zdanie. Kobylin w głąb Wielkopolski dawniej zasunięta miścina za Krotoszymem w niezbyt wielkiej odległości, bez sławy, bez rozgłosu dziejowego, czém przywiąże do swojej przeszłości uwagę czytającego? Autor w mowie będącej monografią, pokazuje jak można na tak niepozornym tle rozwinąć obraz ciekawy jak z ciasnych obrębów miściny wyjść na szerszą widownię wypadków, jak łączyć zaściankowej miściny wątek z głównym pasmem dziejowych zdarzeń. Może się często zdarzyć w ogóle, że pisarz spro-

wadząc ku swojemu miastu główny strumień wypadków, błędny i skrzywiony nieco dać może obraz przeszłości. P. Łukaszewicz umie trzymać się w odpowiednich granicach. Kobylin nie jest dlań bynajmniej, jak to się w monografiach spostrzegać daje, główną osią wypadków lub środkiem ziemi, ale Kobylin nie jest też wyrwanym kamieniem, jak część zwaliska, co z gmachem już żadnej nie ma łączności.

Kobylin nie stanął w rzędzie tych miast, które w XIII wieku powstawały wśród krzewiącego się u nas prawa niemieckiego; jeśli został miastem na szredzkiem prawie, to dopiero w XV wieku, kiedy ówczesni dziedzice Kobylina wyjednali dlań przywilej erekcyjny u Władysława Jagiełły. Nic świetnej przyszłości Kobylinowi nie rokowało, ani warunki miejscowe położenia, komunikacyi, ani warunki polityczne; to też niczém Kobylin głośniejszém nie zastąpił. Jak wiele innych miast prywatną własnością będących, przechodził różne koleje, zmieniając często swoich właścicieli. Były dziedzicami rodziny znane w przeszłości dziejowej, po Kobylińskich przybyli Konarscy do własności, przekazawszy ją Sobieskim. Czas jakiś Sieniatowie nazywali się panami Kobylina, w końcu XVI wieku Kobylińskie dobra należały do Bogusława Leszczyńskiego. Po ojcu Rafale i po stryju objął dobra Kobylińskie Stanisław Leszczyński, wojewoda poznański, następnie król polski. W aktach własności zapisały nadto swe imona rodziny Sułkowskich i Mielżyńskich. Ostatnim dóbr tych właścicielem był Alexander hr. Mielżyński. Dziś Kobylin po tylu kolejach zmiennego losu najsmutniejszej doczekał się chwili, przeszedł w ręce niemieckie książąt Reuss.

Kobylin nigdy nie wyniósł się do rzędu miasta znaczniejszego ani swoim obszarem ani swoją ludnością. W najpiękniejszych czasach swojego życia nie liczył więcej nad 300 domów; w najludniejszy okres swojego istnienia, przed szwedzką wojną za Jana Kazimierza nie mieścił więcej jak około 4,000 mieszkańców. Spustoszenia kraju wśród najazdu szwedzkiego uszczupliły miejscową ludność, morowe powietrze, nieurodzaj, głód i klęski publiczne, jak większą część miast zamieniły w zwaliska, tak się i w Kobylinie odezwały niszczącym wpływem. Dopiero wraz z innymi miastami przy schyłku XVIII wieku dźwigać się zaczął i Kobylin z głębokiego swojego upadku.

Błędne jest mniemanie, które się dość szeroko rozpowszechniło, że przeważnie ludność dawnych miast polskich z niemieckich osadników się składała. Dało doń powód prawo magdeburskie, na którym miasta i wsie osadzano. Przez wprowadzenie prawa magdeburskiego bynajmniej rozumieć nie należy zaludnienia osady niemieckimi przybyszami, jakkolwiek początki takimi były niewątpliwie. W końcu XIV wieku już znaczna część wsi polskich przeniesioną została na prawo magdeburskie, szredzkie lub chełmskie, gdy tymczasem ludność w dawnym swym składzie nienaruszoną została. Prawo magdeburskie tylko na wzór

niemieckich osad dawało gminie wiejskiej lub miejskiej pewną samoistność, uwalniającą z pod prawa obowiązującego. Nowy ten niemiecki porządek oswobadza gminy od ciężarów i powinności, zamieniając je często natomiast na ciężary pieniężne. Wprowadzał nadto zarząd samodzielny i sądownictwo samoistne. Magdeburskie więc prawo nie jest bynajmniej jednoznaczne z osadą niemiecką.

Taką też ludnością, czysto polską byli mieszkańcy Kobyлина, aż do końca XVI wieku, jak to Łukaszewicz ze skrzętnego przejrzania ksiąg burmistrzowskich i radzieckich wykazuje. Dopiero na początku XVII wieku zaczęli Niemcy osiadać w Kobylinie i podczas wojny trzydziestoletniej tak licznie ze wszech stron przybywali do miast i osad polskich, że i w Kobylinie odtąd znaczną część ludności stanowili. Utworzyli własną gminę protestancką i posiadali swój zбір augsburski.

W starannem swém wyszukiwaniu szczegółów nie zapomniał Łukaszewicz o innych składowych częściach ludności miejskiej. Że żydzi się rozsiedli, dodawać byłoby zbyt, oprócz izraelskich mieszkańców, ileżto innych jeszcze narodowości weszło w skład miejskich obywateli. Jest to, jak nam się zdaje, jedyne w Polsce zjawisko, ta różnorodność ludności, jakiej nam nie przedstawiają dzieje miast w państwach zachodnich. Wyłączamy miasta nadmorskie, które z położenia swego przyjmowały na swoje łono różnolitych przybyszów na czas krótszy lub dłuższy. Ale w pozostałych miastach wieków średnich, bo w nowszych stuleciach nie zbywa na Babilonach, nie umiemy sobie, o ile nas nasza pamięć wspiera, przypomnieć ani jednego kraju, gdzieby taka różnorodność w miastach panowała jak w dawnej Polsce. Niemcy osadnicy z różnych stron rozległej swój dziedziny, Żydzi, Ormianie, Wołosi, Węgrzy, Czesi i w końcu Szkoci. Ani rzeki spławne ani dogodne drogi nie ułatwiały takiego napływu obczyzny, od którego wolnemi pozostały gminy francuzkie, miasta włoskie, rzeczypospolite niemieckie. Wprawdzie włoskie miasta mógłby długie rozpowiadać dzieje, o cudzoziemcach, co z za Alp szerokim płynęły strumieniem, ależ bo czas jakiś Włochy frankońską stanowiły dzielnicę, to znowu niemiecką koronę swym klejnotem zdobyły. W końcu obcy żywioł zatarł się i ostrą swą odrębność stracił. W miastach polskich, co stały na własnym gruncie samodzielnym, takie różnorodne spotykają się przymieszki. Wiemy i o tém, śledząc nieraz dzieje tej lub owej osady niemieckiej, jak ona prędko ulegała wpływowi miejscowemu i zrzucała z siebie obce pochodzenie, ale uwydatniamy tu tę rozmaitość zagranicznych żywiołów, które napływały do miast polskich. Szkoci przybywali w te strony jako dzisiaj Węgrzy, z towarami przebiegając w różnych kierunkach kraj cały, osiedlając się po wsiach lub miastach. Ślady tych szkockich rodzin odszukał p. Łukaszewicz i w Kobylinie. Niewiele, bo zaledwie kilka, ale i ten szczegół nie jest bez wartości.

Znaczny musiał być napływ Szkotów, jeśli Zygmunt August widział się zmuszonym 1552 r. wezwać wojewodów, kasztelanów i starostów, żeby ukrócili zbyt wielką Szkotów swobodę, ze szkodą dla miejscowego handlu wałęsających się po kraju.

Nie wchodząc w dalsze szczegóły pracy Łukaszewicza, nie mówimy o stosunku w jakim mieszczanie kobylińscy zostawali do swoich dziedziców i nie zamierzamy sporu przyprowadzić z autorem, czy w rzeczy samej wszędzie taki przyjazny panował pokój między mieszczanami i szlachtą, o jakim szanowny historyk mówi, z powodu kobylińskiego sąsiedniego rycerstwa. Samo wyłączenie obywateli miejskich od prawa nabywania własności ziemskich za czasów Olbrachta 1496 (Vol. leg. I 271) zrodzić musiało pewną sprzeczność stanową. Toż samo postanowienie wzmiankuje o innej okoliczności, że mieszczanie sami nie pozwalają szlachcie nabywać w mieście domów i majątków. Prawo z r. 1494 pową uzyskało sankcją za Zygmunta I w 1539 (Vol. leg. I 526); prawdopodobnie o tém samém postanowieniu jest mowa w piotrkowskim przywileju Zygmunta Augusta 1550 (Vol. leg. II 596) 1611 (V. l. III 15). Z takiego ścierania się najżywotniejszych obustronnych interesów nie zawsze zgoda wywiązywać się mogła. Wzajemny pokój nieraz zakłóciły krwawe zatargi; nie mówimy nic o nich, bo sporu w tém miejscu prowadzić nie zamierzamy z uczynnym autorem. Wdzięczni mu jesteśmy za starannie ułożony obraz majątkowych stosunków mieszczan i za ciekawy wizerunek zwyczajów i obyczajów miejskich, stanu moralnego mieszkańców. Znamy mieszczan krakowskich, znamy typy Poznania, Gdańska, Warszawy, ale wątpię czy dziejopisarze nasi zdołali sobie odtworzyć wierną postać mieszkańca małego miejskiego, jego zwyczajów, jego stosunków, jego uspołecznienia. Świat prawie przed okiem naszym zamknięty, jakaż ciekawość, jaka pokusa stargać zastłonę i myśłą się przenieść, lubo w ciasne i ograniczone koło, pewnego wszakże wdzięku nie pozbawione.

W kilkudziesięciu księgach kobylińskich, powiada autor, od roku 1531 nie znalazłem ani jednej skargi rodziców na dzieci o krzywdę jaką, lub brak uszanowania; toż samo rzemieślników i różnych obywateli na czeladź swoją płci obojęd. Uległość i uszanowanie młodych ku starszym, wrazone było w młodzież nietylko religią ale także wilkierzami różnych cechów. Szanowanie starszych przez młodych było jedną z pięknych cnót społeczności miejskiej w upłynionych wiekach. Pijaństwo nałogowe i rozwiązłość, zapisały się głęboko na tle obyczajów zaczynając już od XVII wieku. Ale w kilkudziesięciu tomach aktów miejskich Kobyliny, powiada autor, nie znalazłem ani jednej skargi o oszustwo, podejście, krzywoprzysięstwo lub t. p. zbrodnie pomiędzy mieszkańcami Kobyliny. Co więcej o kradzież popełnioną przez mieszkańca Kobyliny w ciągu trzech wieków znalazłem w księgach miejskich tylko jedną skargę. Rzetelność przestrzegana była w upłynionych wiekach przez mieszkańców miasteczek jak najwięcej.

Nie spotkał w wspomnianych księgach autor ani jednej skargi na któregokolwiek bądź rzemieślnika o niewykonanie w umówionym czasie i gatunku roboty. „Nie znalazłem najmniejszego śladu, aby jakiegokolwiek bądź treści umowa, bądź to o sprzedaż nieruchomości, bądź nareszcie o wypłatę w oznaczonym czasie długu była niedotrzymana. Wichtactwo, dziś u nas powszechne, znanem było mieszkańcom dawnych miast i miasteczek polskich ledwo z nazwiska”.

Ludność mniejszych miast polskich, będących własnością szlachty, po większej części tylko w rolnictwie główne źródło swego utrzymania znajdowała. Ale w nich nie brakło licznej klasy rzemieślników, którzy dogadzali potrzebom życia codziennego. Wiązanie się w stowarzyszenia, cechy, na wzór miast niemieckich, stanowi najwybitniejszą właściwość tej społeczności. Znane są nam zasady kodeksu, któremi się cechy połączone w rzemieślnicze ciała rządziły u siebie na wewnątrz. Znany nam jest duch solidarności, który ożywiał te drobne organizmy społeczne, znane nam są moralne zasady wzajemnej pomocy, uczciwości, zacnego życia. Jestto ogólny charakter ustaw cechowych. Z tém wszystkiem wilkierze rzemieślników Kobylnickich, które autor dosłownie podaje, wcale są na miejscu w szczegółowej monografii i z ciekawością przeglądaliśmy, czy nie spotkamy charakterystycznych tego lub owego cechu przepisów, których w innych miastach nie było można odszukać. Myśl przewodnia, co przez te ustawy się snuje, jest wspólną cechą wszystkich wilkierzy rzemieślniczych.

W wielu nieogłoszonych jeszcze przepisach cechowych często spotykaliśmy na czele na wzór niemieckich ustaw przypomnienie obowiązków religijnych; w kobylnickich nigdzie ich nie spostrzegamy. Tylko mówi o niem bractwo strzeleckie w § 1.

„Naprzód trzeba mieć Pana Boga przed oczyma; nadewszystko w imię Jego nie przysięgać, ani bluźnić, a jeżeliby który z gniewu to uczynił, ten ma być na swém ciełe więzieniem aż do trzeciego dnia karany i t. d.”

Moralna siła długi czas ożywiała rzemieślnicze instytucje, ale i na nią przysłała zwykła rzecz ludzkich kolej. Straciła swoje natężenie, za nią w ślad poszło rozwolnienie obyczaju rzemieślniczego.—Kształty, w jakie się ułożyło polityczne życie miasteczka, nie zbyt mocno nas ku sobie ciągną. Są powtórzeniem tego, co gdzieindziej wprowadzało prawo magdeburgskie. Jestto już udziałem monografii, że przy każdym z miast powtarzać są zniewolone, co dla wszystkich niemal wspólnem było i tylko ogólne rubryki szczegółowemi miejscowemi wypełniać wiadomościami. Z tém większą ciekawością jednak śledzi czytelnik dalsze rozdziały pracy i podziwiać nie przestaje wzorowego porządku, w jakim autor wszystkie strony życia i pamiątek przed oczy stawia. Jestto pochwały godna systematyczność, któraby i niemieckiemu piśmiennictwu zaszczyt przynieść mogła. Gmachy publiczne i kościoły

w małym miasteczku nie przechowały w sobie ani arcydzieł, ani zbyt drogich pamiątek. Bernardyński kościół ma jeden charakterystyczny nagrobek, i ten niech nam wolno będzie przytoczyć:

Bogu w Trójcy jedynemu

Slachetnie urodzona Jejmość Pani z Żdzarowity Zakrzewska
Wonna

Wirydarza Sarmackiego cnota, dzielnością słynących
Róża

Krwie i Świątobliwości cnych Przodków Jegomości Pana Wojciecha
Żdzarowskiego i Jejmość Pani Jastrzębskiej prawdziwa
Dziedziczka

Pobożnością ku Bogu, czcią ku duchownym, nabożna świątobliwością ku Franciszkowi Świętemu, ludzkością ku przyjaciołom, łaskawością ku poddanym i szczerą ku wszystkim życzliwością
Znaminita.

Nie dojrzała to lata w samym wieku swego wiosnie, dwudziestego życia roku, gdy kwitnąć miała, dojrzała w cnoty ostrą śmierci podcięta kosą kochającemu małżonkowi z pozostałym potomstwem bolesne zraniwszy serce i wszystkich w żałobę wprawivszy
związła.

Więc aby znowu rozkwitniona większą wieczności wydała wonność z ziemskiego do niebieskiego przesadzona jest wirydarza.
Roku Pańskiego 1659 dnia ostatniego stycznia.

Żaloszny małżonek JM. Pan Andrzej Wyssogota Zakrzewski serdecznej żałoby wieczną pamiątkę kochanej małżonke położył.

Szczegółowego opisu Kobyлина dopełniają w końcu historyczne wiadomości o znakomitościach naukowych, które wyszły z drobnej szlacheckiej miejsciny. W tym małym gnieździe kilku uczonych światło dzienne ujrzało. Najgłówniejszym w XVI wieku był Andrzej Glaber, mistrz nauk wyzwolonych akademii krakowskiej, który ze wszystkimi znakomitościami uczonemi czasu swego utrzymywał przyjazne stosunki, i na chlubną u potomstwa zasłużył sobie wzmiankę, wytkumaczywszy wiele ciemnych pytań u Arystotelesa. Między innymi „Gadki z pisma wielkiego filozofa Aristotela i też inszych mędrców tak przyrodzonej jako i lekarskiej nauki z pilnością wybrane. Pytania rozmaite o skłonności człowieka wiecznych członków rozwiązujące, ku biegłości rozmowy ludzkiej tak rozkoszne jak i pożyteczne.” 1535 r.

Kronikę niezbyt głośnych wypadków, które zaszły w Kobylinie, ułożył autor skrętną i zręczną ręką. Tę też zamyka się pierwsza większa nieco połowa całej książki.

Jeżeli ze światem miast większych i mniejszych dawniej Polski, tak mało jesteśmy obeznani, o ileż więcej szczupłe i niedokładne być muszą wiadomości nasze o wiejskiej ludności, o stanie włościan chłopów, o wiejskich stosunkach, gospodarskich i rol-

nych. Jakąby to jasną utorować mogło drogę po przez niwą przeszłości naszej, gdyby staranniej piśmiennictwo zająć się zechciało statystyczną stroną; ileżby niedopatrzonych sił wyszło na jaw, które kiedyś poruszały światem wiejskim, które stanowiły warunek jego życia; jaka tym sposobem silna zyskałaby się dała podstawa do odtwarzania przeszłości nie z politycznej czysto, ale społeczno-ekonomicznej strony. Lustracye, to nieprzebrana studnia, prawie że nietknięta dotychczas. Dla obliczenia ludności wiejskiej nie zbraknie na wielu danych.

Komput generalny włości w koronie polskiej za Zygmunta Augusta króla r. 1562 przez Piotra Konarskiego na sejmie lubelskim objaśniony—podaje szczegółowo liczbę w samej Koronie wsi rządowych i szlacheckich, których było 45,000; wsi biskupich i kapitulnych 74,000; wsi opackich, mnisich i plebańskich 6,666, co ogółem 125,666 wsi wynosi. Zastosowawszy statystyczne postępowanie do podobnych danych, łatwo przybliżonym sposobem wyrobić sobie pojęcie o liczbowym stosunku ludności wiejskiej.

Wiele cennych przyczynków podaje monografia przytoczonego autora w drugiej połowie przedstawiająca szczegółowy opis 39 wsi należących do obwodu kobylińskiego. Ale i w tym dziele, który napozór zdawałby się mogło, tylko z kości i szkieletu składać się może, autor zdołał sędziwą swą ręką tyle w przedmiot włożyć zajęcia, tyle tchnąć ducha i taką ciekawością go osłonić; że nie wątpimy na chwilę, iż i obojętniejszy czytelnik, którego nie grzeje starożytność i archeologia, z przyjemnością wolną chwilę czasu czytaniem powyższej monografii sobie wypełni. Rozstajemy się z pracą Łukaszewicza z prawdziwą przykrością, nie mając zbyt wiele miejsca, aby razem z uczonym autorem rozwijać przed czytelnikiem: obraz wsi, życia wiejskiego, ustroju politycznego, stosunków gospodarskich i wiele innych ciekawych stron, których jeszcze nie zwiedziło dziejopisarskie pióro. Za taką pracę to rzetelna wdzięczność należy się autorowi, jeśli nawet ciężar lat siedemdziesięciu kilku nie przeszkodził mu jeszcze w tak pięknym sposób ozdobić chwilę schodzącego życia.

A. P.

Wiadomość o dwóch rękopismach kroniki Czeskiej, Przibika (Przybysława) Pulkawy z Radenina, podana przez F. E. Matejkę.

Z ostatnich poszukiwań czynionych przez Franciszka Palackiego, w rzeczy dotyczącej kroniki Czeskiej Pulkawy (Sezení třidy pro mudroslovi, dějepis a slovozpyt dne 12 dubna 1869) a których rękopism Palacki radzi nazywać „rękopismem Puławskim,” zdaje się już nie ulegać żadnej wątpliwości, że Pulkawa był

mistrzem szkoły czyli rektorem kollegiackim szkoły święto Juijskiej (ad S. Aegidium) w Pradze w latach 1373—1378. Następnie wykazuje Palacki, że Pulkawa nie był, jak dotychczas mniemano, księdzem, a tém mniej kanonikiem prażskiej kapituły, ale był rzeczywiście znakomitym swojego czasu uczonym, jakich niewielu jeszcze było w owój epoce. Dzieło jego będące najlepszym świadectwem znamenitej nauki, pokazuje wyraźnie, iż Pulkawa należąc do uczonego świata, przewyższał w wielu razach spółczesnych sobie. Ztąd nic dziwnego, że cesarz Karol IV zwrócił nań baczne swoje oko. Nadto są wyraźne wskazówki, że cesarz sam uczestniczył w układaniu owej sławnej kroniki. Domysł ten uczonego Palackiego na tém się głównie zasadza, że pomiędzy innemi okolicznościami, trzeba mieć na baczności i to, że w kronikę rzeczoną wetkniętą jest także kronika ziemi Brani-borskiej; a że cesarz wcielił był r. 1373 ziemię tę do korony Czeskiej, tedy chciał mieć oczywiście i dzieje jej złączone z czeskiemi.

Wątpliwość znów pochodząca ztąd, że jedne zabytki mianują Pulkawę autorem tekstu łacińskiego, inne zaś a mianowicie rękopisma czeskie chcą go mieć tylko tłumaczem, da się w ten sposób pogodzić, że Pulkawa był jednym i drugim; jak się tego już dawniej domyślał Palacki w znamenitým dziele wydaném w Pradze 1829 r., *Würdigung der alten böhmischen Geschichtschreiber*, (na nowo wydaném w Pradze r. 1869 str. XXIV 308).

Rękopism w mowie będący, a tak zwany Puławski, wnosząc z pism, licznych ozdób pięknie i starannie robionych, pokazujących znamiona podobnych płodów sztuki *Zbyszka z Trotiny*, widocznie był przygotowany dla jakiejś znacznej osoby. Z miniatur znajdujących się tamże, wnosi Palacki, że rękopism ten był przygotowany jeszcze za życia tak Pulkawy jako i cesarza Karola IV, to jest przed r. 1374. Dowód ten jest widoczny, a prawie bijący w oczy, gdyż wszystkie tak zwane *Brandenburgica*, są w nim włożone nie w text, ale dopisywane po brzegach ręką obcą i do tego spółczesną.

Są tam jeszcze różne drobiazgi, które należyte znajdą ocenienie przy wkrótce mającém nastąpić wydaniu kroniki Pulkawowej, wedle wszystkich znanych dotychczas rękopismów.

Nawiasowo wspominamy, iż kronika ta była już nie jednokrotnie drukiem ogłoszoną. I tak najpierw ukazała się w tomie III *Monumentor. histor. Bohemiae Pragae 1774 in 4* w wydaniu uskuteczniónym przez *Gelasiusa Dobnera*, po łacinie z 6 rękopismów; następnie po czesku staraniem *Faustyna Prochazki* w Pradze 1786 w 8ce.

Rękopism puławski ma nadto jeszcze dla nas swoje osobne znaczenie, gdyż znajduje się w nim po marginesach znaczna ilość przypisków snadź przez samego biskupa kardynała Zbigniewa Oleśnickiego poczynionych. Są one prawie wszystkie treści bądź historycznej, bądź téż dopełniają i wyjaśniają wydarzenia czeskie z źródeł polskich. Przytacza z nich kilka Palacki w swojej pracy. A co téż nie uszło uwagi p. Kętrzyńskiego przy podaniu wiado-

mości o owym rękopiśmie w *Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego* z r. 1869.

Oprócz innych spostrzeżeń i uwag krytycznych, są w rękopiśmie puławskim poprawki i uwagi cechujące gorący patriotyzm polskiego badacza; chociaż trzeba przyznać błędne i nie na swoim miejscu jako z prawdą niezgodne. Między przytoczonymi jest także następująca poprawka: że np. pod r. 1093 (str. 89—138) sprawę o daninę, którą się obowiązał składać Władysław polski czeskiemu Brzetysławowi II, nazywa „pulcrum mendacium.” Co tём więcej zasługuje na uwagę, że wyrażenie to niąznanе w polszczyźnie jest wprost tłumaczeniem z niemieckiego „die schöne Lüge.” Dalej pod r. 1292 słowa: że król czeski Wacław przy zdobyciu Sieradza „dictum Loketkonem cum nonnullis aliis principibus captivavit” (str. 236—252) całkiem są wymazane a nawet skrobane z textu. Palacki uwiadomiony listownie przez W. Kętrzyńskiego o rzeczonym rękopiśmie, znajdującym się w Paryżu w bibliotece pałacu Lambert, dzięki uprzejmości właściciela, ma go obecnie w swym ręku. Rękopism ten jest pergaminowy, formatu średniego folio; pismo zwykła minuskuła spotykana w dziełach ówczesnych.

Przy tój sposobności przypominam uczonemu światu (gdź w *Indexie Lectionum Universit. Cracov.* na rok 1833—1834 podana jest wiadomość), że w naszej Bibliotece Jagiellońskiej znajduje się rękopism Kroniki Pulkawy; wprawdzie dużo późniejszy, bo z XVI wieku, ale bardzo ozdobny i cenny. Rękopism ów dedykowany jakiemuś księciu Oleśnickiemu, podobno Karolowi I księciu na Oleśnicy († 1536), wedle mniemania Bandtkiego, z rodu Podjebradów, wnukowi króla Jerzego, poczyna się od słów, które tu w dosłowném tłumaczeniu przytaczam:


„Ta to kronika jest o początku czeskiej ziemie i o wszystkich książętach i królach, którzy w niej swemi czasy rządy sprawowali. A jest ku rozkazaniu sławnego Karła IV cesarza rzymskiego a króla czeskiego ze wszech kronik wszech klasztorów, które przejrane być mogły, przez Przybika syna Dluhojowa z Strademna mistrza szkolnego świętego Jilij (S. Aegidii) rzeczzonego Pulkawa, w czeski język z łacińskiego jak mogło być najlepiej, przełożona. A można już z tego zrozumieć, że wszystkie rzeczy bajeczne a nieprawdziwe są opuszczone. Ale tylko, co prawdziwego a pewnego wyszukać się mogło, to jest położono. Niegdy wszystkie rzeczy naprzód rzeczony cesarz dostatecznie w łacińską ozdobną mowę zgromadzić kazał, jakoż to ten pan który będąc cesarzem wszystkich rzeszy, wszak nad inne wszystkie swe ziemie tę to miłował i hojną pamięć dobrodziejstw sławnych w niej pozostawił. Przetoż każdy rodak miłownik jój, miałby swój ziemi czyny radziej niż które inne wiedzic, aby przodków swych chwagę a cześć słysząc tak swą szlachetnością a obmyślaniem pospolitego dobra, w niej po sobie dobre słowo pozostawić starał się. Czýmby sobie sławniejszego imienia, a następcem rodu swego dobyć mógł więk-

szój czci, niżli żeby mnogie ziemie a krainy świata zjeździł a w tém żywot swój marnie strawił. Która to i ninie jest poprawiona a w czeszczyznę lepszą na mnogich miejscach zmieniona. A poczyna się tak:

Gdyż synowie ludzcy na polu rzeczonym Sennar po potopie i t. d.

Kodeks ów pergaminowy znajdujący się w krakowskiej księżnicy co do formatu jest wielkiem folio o 117 kartach (listach) dwójką ręką pisanych; inne bowiem jest pismo (tak zwana fraktura) do karty 28, a inne od 29 do 117. Na wysokość rękopism ten ma 18 cali, szeroki zaś jest na 12 cali wiedeńskich.

Oprócz mnóstwa malowideł zdobiących ten rękopism, szczególniej po brzegach, znajduje się tu 33 wizerunków książąt i królów czeskich, począwszy od bajecznych czasów aż do Ferdynanda I, którego wyobrażenie mieści się na stronnicy 117, a którego wjazd do Pragi odbył się roku 1527, wedle brzmienia tekstu na odwrotnej stronie karty 116.

Na stronie 117 są namalowane dwa lwy, z których jeden trzyma tarczę z literami D. B. będącemi może pierwszymi głoskami nazwiska malarza; a na tarczy drugiego jest znak  Podobne

znaki umieszczone na Kodeksie Biblioteki Cesarskiej w Wiedniu zdają się wskazywać wspólny początek obu rękopismów. Nad wizerunkiem Jerzego Podjebrada umieszczonym na odwrotnej stronie karty 110, znajduje się rok 1531 będący zapewne śladem dokonanej roboty.

Rękopism ten będący dziś jedną z ozdób naszych Jagiellońskich zabytków, do roku 1809 znajdował się w Bibliotece Oleśnickiej, kiedy zagrożony książę brunświcki Fryderyk Wilhelm potrzebując pieniędzy na wyprawę przeciw Napoleonowi I, księgę tą wraz z Muzeum Podjebradów w Oleśnicy przez publiczną licytację sprzedać kazał.

Rękopism w mowie będący zanim się dostał do Krakowa, blisko przez 25 lat przebywał w różnych rękach prywatnych. Ostatecznie dbały o dobro kraju i biblioteki sobie powierzonej J. S. Bandkie, kupił go na licytacji w Wrocławiu.

Nadmienić na końcu wypada, że kronika Pulkawy ze wszech miar zasługuje na głęboką uwagę, ocenienie i ostateczne sprostowanie a wyjaśnienie, gdyż będąc spisana za cesarza Karola IV, przez długie wieki, bo aż do epoki Dobnera, uważaną była tak w domu jak w obczyźnie za główne źródło starych dziejów czeskich i że najznakomitsi późniejsi kronikarze jak Eneas Sylvius, Hajek i Dubravius, czerpali przedewszystkiem z owego źródła wiadomości o minionych czasach narodu czeskiego. Więc pożądaną jest rzeczą wiedzieć kto, gdzie i na jakich podstawach, z czyją pomocą lub z jakimi walcząc trudnościami, a przeciwnościami spisał ową kronikę będącą niezaprzeczoną skarbnicą przeszłości czeskiej, a w części i polskiej.

Pisma peryodyczne w roku 1869.

(Dokończenie).

Literatura lekka, motylowa, jak jeden ciągły deszcz majowy spada na wszystkie prawie żyjące stworzenia. Bezustanku i w wielkiej obfitości rozsypują się obrazki. Wabią oczy, przyciągają myśl a w końcu serce. Doszło prawie do tego, że żadna myśl do głowy nie wpadnie, jeśli się w obrazku przedstawić nie da. Cała Europa zalana wyrobami literackimi i artystycznymi tego rodzaju. Nowy ten środek skutecznie popularyzuje wszelkie wiadomości, nasuwa przedmioty do pogadanki i nieznacznie wciąga masy do szlachetnej rozrywki, do myślenia i kształcenia się. U nas od lat dziesięciu rozwijało się bez przerwy wydawnictwo obrazkowe, a teraz nie tylko wyrównywa zagranicznemu, ale je przewyższa: dowodem tego są dwie nasze piękne ilustracje: Tygodnik i Kłosa.

Z prawdziwem zadowoleniem każdy z czytelników widzi to skwapliwe współbieganie się pism peryodycznych w jednym przedmiocie, dla zapewnienia pożytku, dla przypodobania się i zjednania publiczności. Są to wyścigi do jednej mety, gdzie silniejszy i zreczniejszy, jeśli nie pozyska materialnej nagrody jak sobie zamierzył, to zawsze zdobywa sympatyą publiczną. I tak ścigają się u nas: Kuryer Codzienny z Kuryerem Warszawskim, Gazeta Polska z Gazetą Warszawską, a w pośród dzienników obrazkowych najznakomitsze Kłosa i Tygodnik Ilustrowany współzawodniczą z szczególnem wyteżeniem. Turniejom takim ciągłego szczęścia żyć należy. One wydobywają na widownię siły naukowe literackie i artystyczne, i gromadzą dla umysłu utwory nie raz o ile można niepośledniej wartości. Tygodnik i Kłosa jedne ogarniają przedmioty, jednakowe mają działy, poddziały a nawet ich nazwy, jako to: pamiątki i opisy z przeszłości, powieści, dramata, komedye, poezye, literaturę własną i zagraniczną, nauki, wynalazki, kroniki już pod nazwą tygodniowych, już pod nazwą pokłosa, kroniki zagraniczne, korespondencye z Paryża, z Wiednia, z Berlina i t. d. Przeglądy literackie, teatralne, muzyczne, humorystyka, rozmaitości, a nawet przeglądy polityczne, mody, szachy, rebusy.

Samo wyszczególnienie przedmiotów wskazuje, że obadwa dzienniki chwytają w lot życie bieżące i podają jako zwierciadło terażniejszości, że starają się o zaspokojenie ciekawości i o drobne nawet zabawki. Największą jednak zastugą pism takich jest podnoszenie myśli w wyższą sferę, a serca w świat szlachetnych uczuć. Tego przedewszystkiem szukać trzeba w utworach literackich i w rozprawach estetycznych. Z utworów powieści są gwałtowną dotąd potrzebą publiczności. Wszystkie więc pisma

peryodyczne znoszą je czytelnikom w znacznych partjach i dają w całości, w kawałkach, w oddzielnych dodatkach i t. d. W roku zeszłym Tygodnik i Kłosa zamieściły nie małą ilość przekładów powieści znakomitych. Oryginalne Tygodnik ogłosił: T. T. Jeża Uroczą, J. Zacharyasiewicza Mąż upatrzony, Elizy Orzeszkowej W klatce, Pola Obrazy z życia i z natury. Kłosa zaś ogłosiły: Adama Pługa Bakalarze, J. J. Kraszewskiego Dzieci Wieku, E. Lubowskiego Jeszcze Przesąd. Z dramatów oryginalnych Kłosa wydrukowały E. Lubowskiego: Żyd. i G. z G. Puzyniny: Hrabina się nudzi. Z rozpraw estetycznych napotykały studia i prelekcje bardzo pożądane dla naszej publiczności a których wartość wysokie cenimy. Takimi są: w Tygodniku: Henryka Sienkiewicza studjum literackie Mikołaj Sęp Szarzyński, A. Bełcikowskiego studjum literackie Adam Naruszewicz, D. Bąkowskiego: O muzyce pieśni ludowych, Wł. Maleszewskiego Kilka myśli o Szekspirze, J. I. Kraszewskiego Czyściec Danta. W Kłosach z prawdziwym zajęciem czytamy: poczet znacznego rozmiaru prelekcji F. H. Lewestama Szekspira Kupiec Wenecki, Wiktora Hugo Hernani, Getego Faust. W piśmie popularném wcale nie idzie o nowe krytyczne pomysły, o własny sąd gwałtem niezależny i odrębny, lecz jedynie o upowszechnienie wiadomości o arcydziełach jaśniejących nad ludzkością, a to ze stanowiska dotąd wyrobionego; mniejsza zkąd zdanie wzięte to wzięte, lecz upowszechnienie wyższego zdania to zasługa prawdziwa, bo massy czytelników zbliża do piękna, daje im czuć bliski geniuszu i oddzielne piętna każdej narodowości. Należy prawdziwe uznanie dla prelekcji uczonego profesora, który zna bardzo dobrze naszą publiczność, wie co robi i dla czego robi. Pomijamy inne działy ilustracji naszych, któreby do uwag bez końca prowadziły, lecz poezji pominąć niepodobna. W naszym świecie zeszłym przez handel, przemysł, spekulację i obróconym w murie własnego interesu, najmniejszy listek poetyczny z ogrodów hesperyjskich jest jak pierwszy uśmiech miłości dla młodego wieku. W Tygodniku i Kłosach napotykały takie listki. W Tygodniku Saga skandynawska Herold i Ringwalla A. E. Odyńca jest pięknym utworem dla każdego, kto wartość poezji nie mierzy na łokcie i centnary. Z serca płynie wiersz T. Lenartowicza do Zbigniewy Zmorskiej, Bezrobocie kowali W. Szymanowskiego przekonywa czem jest przekład dokonany z prawdziwą zdolnością. Deotyma przedstawia tu większe poemata swoje. Noc świętojańska, romans do śpiewu przy towarzyszeniu violi. Gonitwy w dolinie Prądnika. W Kłosach poezja więcej ma wdzięku i siły. Są to same okruszyny ale wielkiej wartości; takimi są A. Maszewskiego: Z motywów naszego ludu, Mirona Pieśni Weneckie i Poranni goście. Lenartowicza; Dwie dusze i O jagodzie co chciała zostać jaskółką. Grajnerta, Złote słowa, i niebiański utwór Deotymy: Ty pójdziesz górą, ja pójde doliną. W powyższych trzech najnowszych poematach Deotymy widać zawsze dziwną jej zdolność a zarazem ciągle jeden i ten sam kierunek, tak,

że z zalem wyznać przychodzi, że jaką była taką będzie. W jej utworach stoi przed oczyma różnica: czém jest poeta a czém improwizator. Nadzwyczajna łatwość wysnuwania wierszy jest tamą do skupienia ducha i do namysłu przy oznaczeniu kształtów utworu, a następnie wypowiedzeniu go z natchnieniem. Wyraz i styl panuje nad myślą, zamiast tego aby myśl tylko nad niemi panowała. Łatwość taka wierszowania prowadzi na bezdroża; psuje piękność i gasi własne ogniste myśli. W nocy świętojańskiej jakżeż piękna myśl z rozmowy słowika z różą, że gdziekolwiek jest miłość i poezya tam są niebiosy. Treść tej poezyi, jako powtórzonej w kalendarzu ilustrowanym J. Ungra, zamieszczona jest poniżej w artykule o kalendarzach w r. 1870.

Jak widzimy przedmiot sam pełen wdzięku, poezya nawet dziwi niekiedy pojedynczą melodyą i zwrotami myśli, a przecież obrazek taki w formie śpiewu obejmujący blisko 40 zwrotek rozmaitej wielkości, niepodobna wyśpiewać jednym ciągiem od początku do końca, kiedy nawet w czytaniu nuży i męczy. Cała więc piękność w takiej szacie niknie. Goniłwy nad Prądnikiem, poemat jako baśń dziejowa cztery części zajmuje. Pierwsza, O wdowie i jej trzech synach; druga, O chłopczykach czarownikach i gwoździakach; trzecia, O smoku i sukmanie; czwarta, O mieczu samosieczu i koniec. Świat to podań ludowych, świat czarodziejski. W nim część pierwsza objawia najpiękniejszą myśl, klejnot wielkiej wartości, bo poświęcenie się trzech synów Junaka, Mądrali i Dobrotki dla matki aby jej życie, zdrowie i młodość zapewnić. Przygody monotonne całego poematu ciągną się przez sześć numerów. Jest tam wiele błyskawic, nieraz wyrażenie uderza jakby młotem w serce i obudza w niém uczucie, często malowidła oryginalne. Lecz wszystkie te piękności w stylu łamanym, w chaosie rozciągniętym bez granic, toną bez śladu, a do odczytania żadnego nie mają pociągu. W Kłosach ogłoszona poezya Deotymy pod napisem: Ty pójdziesz górą ja pójdę doliną; jest utworem sceniczno-lirycznym wysokiego estetycznego wykończenia. Pieśń to o losie dwojga serc już zbliżonych, już znowu rozłączonych, z których jedno marzyło o zjednoczeniu na ziemi i przychodzi do przekonania że zjednoczenie takie w innej sferze poza światem nastąpi. Cała pieśń, to ideały rozsiane na tęczowém niebie, walczące z ironią życia od której serce pęka. Takiego rodzaju scen bardzo mało w utworach Deotymy, a zato więcej roboty, która przykre sprawia wrażenie. Główną wadą: jest nieład kształtów, niedbałość o plan, rozlewanie przedmiotu bez granic, a najwięcej zatapianie się ciągle w własnej indywidualności i zupełna obojętność o świat ziemski i o tych, którzy wyglądają jej natchnienia jako swojej własności. W uniesieniu niewinnem wyrwać się może zdanie, że Deotyma jest jedną z gwiazd jaśniejących nad krajem naszym. Zdanie to jest wykrzyknieniem bez znaczenia. Rzecz zostanie rzeczą. Deotyma nie jest taką gwiazdą, lecz jest w literaturze naszej szczególném zjawiskiem, żyjącem obłokami i tworzącem obłoki. Prawdę Jean

Paul powiedział: że snadniej poecie tworzyć z chmur, z błyskawic, z nadpowietrznego materyalu, postaci bogów, półbogów, potworów i fantazyjne obrazy, jak przedstawić rzeczywistego człowieka i życie jego ziemskie chociażby w najmniejszym obrazku.

Illustracye nasze są werbownikami do literatury, nauk: mogą namówić, mogą schwytać, a w każdym razie przemagają wstręt do książek i do czytania, jaki ukrywa się jeszcze w rozmaitych zakątkach kraju. Lecz dzienniki takie bez drzeworytów to prawie ciało bez duszy. Drzeworyty tém większe robią wrażenie, tém bardziej odpowiadają celowi im więcej przedstawiają kompozycyj znakomitszych malarzy i rytowane są zdolniejszą ręką. Tygodnik i Kłosa upowszechniają utwory najzdolniejszych naszych malarzy jak Gersona, Kostrzewskiego, Kossaka, Pillatego, Zalewskiego, Gryglewskiego, Tegazza, Brodowskiego, Brandta, Matejki, Lessera, Loefflera, Suchodolskiego i innych. Drzeworyty Kłosów z szczególném przeglądane są upodobaniem. Wykonywa je zakład ksylograficzny tego pisma pod dyrekcją p. Jana Styfięgo Warszawianina. Drzeworyty te śmiało stanąć mogą obok zagranicznych, które nieraz przewyższają artystyczném wykończeniem. Wielka ztąd zasługa spada na p. Styfięgo. Jedno z pism zagranicznych, podając wiadomość o ilustracjach naszych, tak wspomina o p. Styfim:

„Najdoskonalszym rytownikiem Kłosów bezsprzecznie jest Styfi. Skończony to artysta, który umiał drzeworyt podnieść do najwyższej doskonałości, zrobić go niejako współzawodnikiem ryciny na metalu. Prace jego spotykane w Kłosach odrazu uderzają w oczy wielką wykończonością, trafném prowadzeniem linii, harmonią i siłą, a nadewszystko utrzymaniem poprawnego rysunku, co dowodzi że rytownik rozumie go; a nawet w przypadku umiałby nie jedno uchybienie sprostować. Rzecz wielkiej wagi, wiadomo bowiem jak często rytownik bardzo zręczny w prowadzeniu dłutka a słaby w rysunku, może olśnić nieznaających się, lecz w oczach znawcy traci na wartości. Drzeworyty Styfięgo wykonane z obrazów Matejki jak: Jan Kazimierz patrzący na pożar Krakowa, jak Władysław książę opolski, z dziwną wiernością oddają wszystkie śmiałe własności tego pędzla, że prawie czuje się w nich potęgę kolorytu malarza. Toż można powiedzieć o przepysznym Zbigniewie Oleśnickim wykonanym podług rysunku Matejki, nie mniej o wspaniałym jakby przemawiającym portrecie naszego komedyopisarza Alexandra Fredry, w którego oczach pomimo białego włosa, gra takie życie, taki dowcip i rozum. Głowa ta szczególniej w oczach i w niższej części, odznacza się wyborném modelowaniem, chociaż jak się zdaje wykonaną jest podług fotografii, która nigdy prawie nie jest bez pewnych niewierności. Co zaś najważniejsza, że cały ten duży wizerunek zlewa się w harmonijną całość. Wiedząc z doświadczenia jak rzadko portrety udają się w drzeworytach, śmiało uważać musimy tę pracę p. Styfięgo za najdoskonalszą jaką wykonano w tym rodzaju. W ogóle portrety

znajdujące się w Kłosach doskonale są robione. Większa ich część jest rylca p. Zabłockiego, który w tym rodzaju okazuje wiele talentu, uczucia i dobrego smaku. Inni rytownicy czyto widoków, czy wnętrza gmachów odznaczają się precyzyą i pod każdym względem nie są niźsi od zagranicznych ilustratorów."

Wędrowiec. Zwyczajnie liczy się za trzecią ilustracją naszą, a przecież celem tego dziennika nie jest obrazek, lecz przede wszystkim upowszechnienie wiadomości o naszym planecie, to jest podróże, wyprawy, opisy ludów i krajów, zjawiska przyrody i jej bogactwo, obyczaje i zwyczaje mieszkańców, mianowicie innych stref, gdzie duch ludzki inną szedł drogą, inną wyrobił sobie cywilizacyą, inne pojęcia o Bogu, cnotcie, obowiązkach, gdzie inne uczucia piękna, inna w sztukach twórczość, inne potrzeby i t. d. Apostolstwo chrystyanizmu, walka cywilizacji naszej z barbarzyństwem, poświęcanie się ciągle tylu znakomitych ludzi, którzy szli do nieznanych dotąd krajów, do dzikich mieszkańców, ponieśli w ofierze majątek i życie dla dobra nauki i ludzkości:—oto przedmioty które są wyjątkową własnością Wędrowca. Do nich tylko ilustracje stosowane być winny jako przynęta i bodziec do czytania. Nie możemy zaprzeczyć aby Wędrowiec choć w części nie zdążył w roku zeszytym do tego celu. Dowodem są artykuły: Podróż po Sudanie. Kolej oceanu Spokojnego. Z dziedziny piramidów. Rzym, Wyspy Chinscha. Czarny las Nowa Kaledonia. Gujana holenderska. Far West Amerykański. Afganistan, Holandia. Wyspa Konająca i inne. Lecz wyraźnie Wędrowiec w znacznej części przechyla się już na pole literatury, sztuki, poezyi i t. p., a tym sposobem wyczerpując kolumny pisma swego na przedmioty już przez inne dzienniki prawie w zupełności zużyte, nie odpowie założeniu swojemu, które jest niezmiernie użyteczne, ważne a dla nas zupełnie nowe. Ta smutna myśl przychodzi mimowolnie przeglądając powieści: Orcivałska zbrodnia. W r. 1813 powieść Reutera. Hrabina Gizela. Puszka srebrna Dumasa. Kokietka wiejska. Poezycy: Rzątkowskiego, Podwysockiego, Maszewskiego, Chodyńskiego. Kilka słów o pisarzach angielskich. Epoki z życia kobiety. Kroniki i t. d. Niepodobna przypuścić, aby Wędrowiec porzucił szlachetny swój zawód naukowo-popularny i zmienił się na pismo beletrystyczne. Jeśli już koniecznie dla dogodzenia chwilowej słabości czytelników zmuszony jest zasypywać ich powieściami, to wypadaloby dawać powieści i utwory charakterystyczne ludów mniej znanych, jaką była naprzykład powieść chińska i inne dawniej w Wędrowcu drukowane. Wprawdzie zapas artykułów beletrystycznych ułatwia wydawnictwo, lecz pracą tylko i zdolnością zasługę zdobyć można. Pisma zagraniczne gromadzą bezustanku ogrom materyatów odkrywających coraz jawniej całą kulę ziemską ze wszystkimi jej tajnikami. Jestto dla Wędrowca niewyczerpane źródło ciekawości i nowostek, oraz wyższych naukowych spostrzeżeń do wykładu popularnego. Przy takiej pomocy

porzucać drogę którą Wędrowiec tak korzystnie postępuje, byłoby krzywdą dla piśmiennictwa naszego.

W r. 1868 cztery wychodziły pisma peryodyczne poświęcone dla kobiet, zajmujące ich umysł i serce, przynoszące pomoc wszelkim potrzebom i fantazjom tej rozkosznej połowie rodu ludzkiego. Kółko domowe znikło, pozostały więc w roku zeszłym trzy dzienniki: *Bluszcz*, *Tygodnik mód* i *Kronika rodzinna*.

Bluszcz i *Tygodnik mód*, to już czwarta para stawająca u nas do gonitwy na polu literackim, naukowym i wychowania. Każdy z tych dzienników na dwa rozpada się działy, to jest na świat umysłowy i na świat zmysłowy. Obadwa idą wprawdzie za prądem czasu, dogadzają wszelkim zachciankom kobiet naszych, pieczą je ulubionymi przedmiotami; lecz zarazem o ile sił starczy podnoszą do wyższego stanowiska i bogacą umysł i serce. W pierwszym dziale napotykały literaturę piękną, powieści, dramata, poezye, utwory oryginalne, przekłady. Wiadomości z literatury własnej i zagranicznej, rozprawy, badania, przeglądy piśmiennicze, teatralne, muzyczne, wystawy, i t. d. Część to wspólna z ilustracyami; przedmioty, które są chlebem powszednim w piśmiennictwie u nas i wszędzie. W drugim dziale objęte są ubiory, stroje, mody najświeższe z wykładami teoretycznymi i praktycznymi przez dodanie stosownych ilustracyj. Przytém nauka kroju robót rozmaitych, a w końcu przepisy kuchenne i sekreta domowe i gospodar-skie.

Bluszcz ogłosił oryginalną powieść Pan Professor. Przygody dwóch serc Zygmunta profesora i Kamilli pupili, rozdzielonych włoskiem idealnym. Professor bogaty nauką, żyjący w świecie książkowym, naiwny, niema odwagi mężczyzny do miłosnego i małżeńskiego powołania, choć go serce niełitościwie morduje. Kamilla zakochana w dobroci Zygmunta, żyjąca jego myślami i nauką, lęka się powagi uczonego profesora. Cierpienia uciekających przed sobą ciągnęłyby się bez końca, gdyby im przypadek nie przyszedł w pomoc. Pomysł niepospolity, lecz wykonaniu brak twórczości estetycznej. Druga powieść oryginalna J. I. Kraszewskiego *Złoty Jasieńko* i inne. Kilka powieści przetłózonych z angielskiego. Do *Bluszcza* dołączoną została w osobnych arkuszach dawniej tak głośna, a teraz tak cicha powieść Wiktora Hugo: *Człowiek śmiechu*, nawet z Ewą, obrazkiem wracając namiętności zmysłowej. W *Tygodniku* jedna jest powieść oryginalna większej wartości *Elizy Orzeszkowej*, pod tytułem: *Na prowincyi*, inne są przekładami z francuzkiego. Za to *Tygodnik* zamieścił kilka dramatów tłumaczonych przez Sewerynę D. i J. Belejowską. W *Bluszczu* jedna tylko komedia: *Donna Dyana* wynagradza ilość wartością, bo utwor wyższy i w wzorowym przekładzie K. Kaszewskiego. Z poezyi *Tygodnika mód* najpiękniejsze są: *Adama Asn*. *Seweryny D.* *T. Lenartowicza*, *J. Prusinowskiego*. W *Bluszczu* zajmujące są wszystkie poezye *M. Ilnickiej* i *Antoniego Kolankowskiego*, a przekład z Heinego: *Pielgrzymka do Kewlaar* przez *Al*.

Kraushaar, zachwyca urokiem uczucia i prostoty. Rozprawy w obu dziennikach należą do dziedziny estetyki, do dziejów literatury, do wykładów o obowiązkach kobiety. Z tego oddziału mamy w Bluszczu: O wdzięku, Józefa Kremera, i wszystkie artykuły O wychowaniu moralném i życiu rodzinném. W Tygodniku mój spotykamy znowu prelekye Lewestama: O Szekspirze, O Szyllerze. Niektóre ciekawe przyczynki do literatury i oświaty jak: Krzewienie się oświaty w Indyach Wschodnich K. Kaszewskiego, O Sandorze Potoefim, Lamendem, Uhlandzie i inne. Kobieta w Tygodniku mój jest częstym tematem rozumowania. Ztąd artykuły: Kobieta według Ernesta Legouvè, Kobieta w XIX wieku przez Poletan, kobieta i mężczyzna w zestawieniu Legouwego. Małżeństwo i kobieta. Wychowanie publiczne w Ameryce i udział w niem kobiet. W artykule: rys obecnego ruchu na korzyść kobiet, Tygodnik powtarza myśli Maryi Goegg i Dziennika kobiet, jakby dla przypomnienia obowiązków własnych i Bluszczu cytuje napis: „Wtedy dopiero może nastąpić poprawa obyczajów, gdy kobiety przyjmą udział w pracach umysłowych na równi z mężczyznami, gdy im dorównają rozwojem ducha: jednym słowem, gdy kobiety pozyskają w społeczeństwie stanowisko i wpływ, przynależny ich zdolnościom i najszlachetniejszym przymiotom”. Tygodnik wskazuje trzy główne cele do jakich zmierzać ma Dziennik dla kobiet, a zatem i nasze dzienniki

Najpierw: wykazać kobietom na czém się zasadza prawdziwa ich godność, zwrócić ich uwagę na bardzo wiele przedmiotów i zdań, o których więksha część wcale dotąd nie myślała: wykazać potrzebę gruntownego ukształcenia i wtajemniczyć w rozkosze życia umysłowego: słowem rozkrzewiać między kobietami prawdziwą naukę i gruntowne ukształcenie, zamiast płytkiej i powierzchownej oglądy.

Powtóre: starać się o podniesienie społecznego, prawnego i politycznego stanowiska kobiet.

I nakoniec zdobywszy kobietom należne im stanowisko, wyjednać słusze prawa i możność zapewnienia sobie uczciwą pracą niezależnego bytu, wyrobić w nich wysokie poczucie własnej godności, a tém samém usunąć powody tysięcznych nieszczęść, występków i hańby. Głos to potężny, który nie jest głosem wołającego na puszczy. Każda w tych celach praca najdrobniejsza jest zasługą.

W obu dziennikach, nauki, rozrywki umysłowej i różnaitości ciekawych nie brak dla kobiet naszych, a jednak mając prawie wszystko, przeglądając wszystko, jeszcze czegoś szukamy. Czytając oba dzienniki, czujemy i wiemy że jesteśmy w Europie, lecz nie wiemy że jesteśmy u siebie w własnym domu. Zachodnia literatura jak uragan porywa nas i słusznie drogą cywilizacyi, emancypacyi i postępu; lecz w tym locie nie pozostaje żadne ziarno z własnej niwy. Zdaje się, że wszystko bierzemy a nie swego nie dajemy. I dziwić się niema czemu: inne czasy, inne obyczaje.

Kronika Rodzina ma na celu służyć ku pożytkowi i umysłowej rozrywce rodzin na to, iżby młodzi znaleźć w niej mogli obowiązkach opieki. Zdawałoby się, że wychowanie jest jedynym przedmiotem *Kroniki*; przecież zaliczamy ją wprost do pism kobietom przeznaczonych; bo wychowanie domowe, ta najważniejsza potęga społeczeństwa, jest prawie pod wyłącznym ich panowaniem, a w samym wykonaniu zadania swego, *Kronika* tak wprost działa na serca kobiet, tak odrywa je od zбочzeń ziemskich, zmysłowych a ciągnie w świat moralny, że tym sposobem staje się jakby dopełnieniem obudwóch pism poprzedzających. *Kronika* rodzinna wcale się nie ozdobi obrazkami; nie zajmuje się ani modą, ani strojami; daje nawet uczuć marność takiej pracy i zajęcia: płynnie jak strumień cichy, spokojny, jak zwierciadło czyste, odbijające same niebiosy. *Kronika* jest jakby dalszy ciąg życia dawno ubiegłego, które zgadzając się z nowymi zjawiskami, to z nich tylko przyjmuje, co je podnosi a w prostej drodze nie jest przeszkodą. Wiara święta jest tu źródłem wszelkiej myśli i działania, a do społeczeństwa, do ludzi jako do braci, takim się głosem odzywa:

„W was myśl niech bada sądu sumienia,
Z jakiego ducha jakie natchnienia,
Jaki plon wrośnie z jakiego siewu,
I jakie echo z jakiego śpiewu?”

Powieści, obrazki, rozprawy naukowe, wykłady, poezyc, wszelkie wiadomości ze stanowiska teraźniejszego piśmiennictwa i życia, dążą do jednego celu, a tym celem: kształcenie i podniesienie kobiety.

Kronika następująco ogłosiła powieści: „Klemencya” powieść obyczajowa z hiszpańskiego Fernan-Caballera; „Wschodzi jak kwiat” przekład z angielskiego, i obrazki: „Niewierny Tomasz,” który się przekonał że i dziś jeszcze, niewszędzie bogactwo stanowi zadanie i szczęście życia; że uczucie czyste i wartość osobista, wyżej stoją nad wszelkie skarby świata. Bardzo jest na dobie obrazek z codziennego życia przez A. B. Przedstawia dramatycznie, jak potrzebna kobietom nauka, która wcale nie przeszkadza do wykonywania obowiązków; lecz przeciwnie pomaga, bo porządkuje loiczność myśli i dodaje hartu duchowi. Wskazuje kobietom jakie pozostaną przymioty, gdy uroda przeminie. I na dowód jak naukę religia przyjmuje, nadmienia: „Prawda że Bóg miłuje prostaczków; nie powiedziano jednak nigdzie w Piśmie, aby nieumiejętność miała być jednym z warunków zbawienia.” Wszystkie rozprawy i wykłady są zajmujące a nawet bardzo użyteczne, jak: Henryka Struve: O talentach ze stanowiska pedagogicznego; Adama Goltza: Uwaga o wychowaniu; Reforma w wychowaniu kobiet; Jana Papłońskiego: Listy z zagranicy; Józefa Zdarskiej: Kobieta w obec poezyi; Edmunda Stawiskiego: Teorya i hipoteza.

Artykuł ostatni chociaż w szczupłych rozmiarach, jest przecież bardzo ważny i zajmujący. Panna Royer głośna z rozpraw ekonomicznych do swego tłumaczenia Darwina, w przedmowie wypowiada rezultaty własne, wysnute z hipotezy Darwina, uderzające dziwactwem i zuchwalstwem. P. Stawiski silną loiką odpiera błędy, jako owoc pośpiechu i zarozumiałości. Wykazuje że prace Darwina to są małe próbki do dalszych doświadczeń, które stanowić nie mogą zasady do nowej budowy społecznej. Przekonywa, że duchowy wyrób ludzkości jak moralność, prawo, zestawiać nie można z prawami świata zwierzęcego. Uważa, że ta hipoteza Darwina, dlatego tak łatwo przylega do umysłów, bo ma pewne powinowactwo z pewnymi prądami wyobraźni i dogadza pewnym teoryom społecznym i filozoficznym. Widzi, że próżność autorska często silniejsza jak głos sumienia i serca. Dalszy początek prac naukowych w Kronice stanowią: Wł. Chomentowskiego: Gawędy naukowe; Kilka słów o dawnym romansie; L. Siemieńskiego: Kilka szczegółów o Elżbiecie Drużbackiej; J. Kotkowskiego: Historia kuli ziemskiej i inne. Lecz najwydatniejsze ze wszystkich artykułów, przedmiot ciekawości i sympatii, są listy A. E. Odyńca, a wybór poezyj są prawdziwą ozdobą Kroniki. Tam prócz utworów A. E. Odyńca, J. Pola, jaśnieje myślami i stylem: Bronisława, Marya Róża, H. Cieszkowski, Seweryna D., Karol B., Deotyma i H. Potocki. Mały dziennik, a w szczupłych swych ramach objął tyle różnaitości z literatury i nauk i poruszył najważniejsze kwestye społeczne.

Wśród tylu przedsięwzięć literackich i naukowych, z upragnieniem oczekiwaliśmy zjawienia się dzienników dla młodzieży dojrzałszej i dla dzieci; uważając, że oczekiwaniu temu odpowiedzieć mogą: *Opiekun domowy* i *Przyjaciół dzieci*. Lecz *Opiekun* jak raz wszedł na przeciwną powołaniu swemu drogę, tak jęj się ciągle trzyma. *Przyjaciół* zaś dzieci, pilnie jednego rodzaju oddaje się pracy i coraz jest użyteczniejszym. I tak:

Opiekun domowy wychodził przez lat pięć; w roku zeszłym przeszedł pod redakcyą p. Aloizego Kuczyńskiego, a w roku bieżącym redaktorem jego jest p. Oskar Stanisławski. Dotąd w ciągu lat pięciu istnienia. *Opiekun* nie oznaczył ściśle programu swego; błakał się jako ilustracya bez celu, chociaż i z tytułu i z rozmiaru miał wskazówkę pomocy naukowej dla dojrzałszej młodzieży. Na początku roku zeszłego *Opiekun domowy* ogłosił zawiadomienie, czém ma być na przyszłość, lecz w wyrażeniach ciemnych tylko domyślać się można było, że będzie to dziennik encyklopedyczny z ilustracyą dla każdego bez wyjątku, kto tylko czytać zapragnie. W końcu dopiero roku ogłosił iż dążnością jego jest przyczynianie się do rozwoju oświaty w rodzinach i strzeżenie domowego ogniska, od wszelkiego rodzaju niemoralności. Ze w piśmie tém gorąco są zalecanemi: praca, oszczędność i dobre obyczaje. W roku zeszłym *Opiekun domowy* składał się z rozmaitych artykułów, obejmujących naukę religii i moralności, geografii, nauki społeczne,

nauki przyrodnicze, powieści, poezye, dramata i rozmaitości. Tu więc obok poezyi Korotyńskiego, Syrokomli, Lenartowicza i podań ludowych czeskich, słowackich, napotykamy powieści: Pan Lecoq romans kryminalny, Wielka pani, Jeża i t. d. a zarazem pogadanki prawne, pogadanki ekonomiczne K. Wzdulskiego, przystępny wykład pierwszych zasad ekonomii społecznej, moralnej przez J. Statkowskiego. W każdym razie Opiekun domowy chociaż bez planu, zawsze dla dobra ogółu robił co mógł, gromadził wiadomości naukowe i utwory belletrystyczne, aby niemi zająć czytelników swoich.

Przyjaciel dzieci już rok trzeci zostaje pod redakcją J. K. Gregorowicza. Szczególną inamy słabość dla dzienników, które się zajmują rozwijaniem umysłu i kształceniem serca młodego pokolenia, bo żniwo bardzo wiele zależy od uprawy i ziarna, bo przyszłość to dalszy ciąg wyższego ducha naszego, przelany w nowy organizm. Nad tą drobną działawą, nad tą rozkoszą serca naszego świeci gwiazda Opatrzności i opiekę swą rozciąga. Onato na sumienia nasze wkłada obowiązek przygotowania młodzieży, umocnienia jej charakteru i wprowadzenia jej do społeczeństwa postępowego jako robotników dalszej pracy. Przewodnicy takiego kształcenia dwa przedewszystkiem przymioty mieć muszą: szczególną miłość do dzieci i odrębną zdolność do rozwijania myśli dla nich przeznaczonęj. Te same przymioty objawiać się winny w książkach dla dzieci pisanych, a tém więcej w piśmie peryodycznym na które w oznaczonym czasie z tém większym oczekują upragnieniem, że oprócz słówek łatwych do pojęcia, znajdują obrazki drażniące ich ciekawość. W *Przyjacielu dzieci* widzimy ciągle prawdziwe przywiązanie rodzicielskie, teraz już się rozpoczął umiejętny wykład przedmiotów naukowych, stosowny do pojęcia młodych czytelników, wykład który nie jest owocem ciężkiej pedanteryi bakalarzy zajętych nauką nie dziećmi. Religia i moralność przelewa się tam w serca zawsze otwarte na przyjęcie słów Chrystusowych, a w takim zajęciu często kwiatki poetyczne stanowią utrudę i podwyższają ciekawość myśli młodej. W roku zeszłym *Przyjaciel dzieci* dawał wykłady popularne z nauk ścisłych, wiadomości z nauk przyrodniczych, dzieje urywkami, życiorysy, zwyczaje ludowe, podróże, poezye, bajki, powieści i powiastki, literaturę i język polski w listach J. Kamockiej, K. Wł. Wójcickiego, wiadomości z literatury słowiańskiej Adama z Koczkówki. Piękne są poezye S. D., Lenartowicza, W. Pola. Odnaczają się przed innymi bajeczki Felixa Mirowskiego wzwięzłe i zawsze z myślą silną jak: Ukarana pycha, Dwaj bracia i Roztropna uwaga. Wytwornym stylem i przedmiotem stosownym zajmuje bajeczka Kazimiery J. Szara sukienka, a rzadkiej pieśczołliwości jest poezya J. P. Jania z gołąbkim i Szczęśliwy, przez J. K. S. Widać, że Redakcyja starannie obmyśla i dobrze wykonywa, trudno jednak naraz zapobiedz usterkom które giną w całości.

Cztery pisma peryodyczne przeznaczone są dla większej masy czytelników, wszelkich warstw towarzyskich: Przegląd Tygodniowy, Zorza, Kuryer Świąteczny i Tygodnik Powieści i Romansów.

Przegląd Tygodniowy zawsze swoją tendencją i usiłowaniem zasługuje na współczucie publiczne. Zadaniem jego ciągłym upowszechniać nauki społeczne, zniewalać do myślenia i radzenia w stosunkach towarzyskich, zapewnić sobie wszystkie meżebne korzyści z swęj pracy i z swęj własności i wszelkimi środkami kształcić umysł, przytém co tydzień dać najkrótszy obraz ruchu literatury, nauk i życia. Dziennik ten w roku zeszłym nie miała ilość artykułów zamieścić w oddziałach: Filozofia, Pedagogika i odczyty, Artykuły ekonomiczne, Gawędy popularno-naukowe, Nauki przyrodnicze, Przeglądy piśmiennictwa krajowego i zagranicznego, Literatura piękna, powieści, poezye i t. d. a najwięcej kwestye bieżące i polemika. Z powieści: umieszczona w tygodniku: Zielone Damy Jerzego Sanda przekład J. M. W. a w dodatkach Kameliowa Dama, Dumasa syna i oryginalna Hinda, Walerego Przyborowskiego. Ze wszystkich poezyj które ten dziennik ogłosił, wyższą wartość ma: Odwiedziny piramid J. Słowackiego, a najwięcej przylega do naszego serca: Najemnica powieść Tarasa Szewczenki, przekład Leonarda Sowińskiego. Przedstawia miłość matki do syna i jęj męczarnie, kiedy tłumi głos wydzierający się z piersi, udaje obcą kobietę, najemnicę, aby tylko synowi szczęście zapewnić. Powieść tę duch ludowy utworzył, poezya okryła szatą estetyczną rzadkięj piękności, a akcja dramatyczna pełna prostoty, szczególne sprawia wrażenie. Bez względu na dźwięki i powłokę poezyi duch tam nasz, myśli nasze i melodia nasza. Zasługuje także na uwagę Sylwetka pod napisem Matka, jako obrazek porwijący wspomnieniem lepszego świata.

Przedewszystkiem górują kwestye społeczne bieżące, miejscowe i pałace europejskie, których chociaż Tygodnik wyczerpnąć nie jest w stanie, to je zawsze silnie porusza. Ze wszystkich jednak kwestyj najstraszliwsza, plaga społeczeństwa na Zachodzie jest kwestya upadłych, kwestya powtórzona z głośnieją przedmowy Alexandra Dumasa syna. Przed dokonaniem przekładu, redaktor Przeglądu miał rozmowę z tłumaczem, który się od tęj pracy usuwał, i bez względu na jego niechęć i uwagi, całą odpowiedzialność z tęj kwestyi na siebie przyjmuje. Co więc zrobił, zrobił z zupełnym namysłem. Czy Przegląd w błędzie lub nie, to mniejsza o to; lecz jeszcześmy tak nizko nie upadli i nie upadniemy przy reszcie naszych obyczajów i świętości domowęj strzechy, abyśmy potrzebowali ostrzeżenia lub lekarstwa z przedmowy Dumasa. Koniec przedmowy w żadnym razie zastosowania u nas mieć nie może, środek sam byłby bardzo pożytecznym dla żon lekkomyślnych, lecz początek, to się u nas stać może elementarzem zalotnic, które się dowodów Dumasa wybornie wyuczają na pamięć, aby wszystkich

przekonać że ich upadek jest winą wyłącznie społeczeństwa. Każdy pragnie być cnotliwym o ile można najmniejszym kosztem.

W polemice Przegląd Tygodniowy najwięcej ma odwagi cywilnej. Nieraz prawdę powie tak jak wypada nie powodując się żadnemi względami. Częściej jednak nie ma żadnego współczucia ani dla osoby ani dla przedmiotu i uważa współczucie takie za ubliżające godności własnej i wprost wypowiada zdanie swe z szczególną szorstkością. Zdanie w takim tonie wygląda na fanfaronadę a raczej na gaskonadę, której do świata naukowego i literackiego wpuszczać niepodobna. Żałujemy że Przegląd ramy swe szczerpie jeszcze bardziej pomniejszył przyjmując ogłoszenia.

Zorza pismo niedzielne z obrazkami, wydawane dla ludu miejskiego i wiejskiego zaczyna rok piąty życia. Wychodzi zawsze w tym samym formacie i zachowuje jeden i ten sam charakter: upowszechniać oświatę pomiędzy ludem, wzmacniać i podnosić uczucia szlachetne, dawać rady w każdym wypadku życia jest zadaniem tego pisma. Nauki religijne, moralne pogadanki o życiu społecznym, o człowieku i jego obowiązkach, o gospodarstwie, handlu, przemyśle, wynalazkach, wiadomości z nauk przyrodniczych, powiastki, obrazy dramatyczne, przysłowia, rozmowy humorystyczne, opisy krajów, rozmaitości, przytém drzeworyty z wizerunkami świętych, przedstawiające widoki kościołów, klasztorów, budowle gospodarskie, plany osad, łąk, pól, rowów i t. d. wszystko starannie zbierane dla podniesienia wiedzy ludu. Przedmioty opowiedziane mową jasną, pełną prostoty ułatwiają zrozumienie. Najważniejszą rzeczą jest znajomość wad i błędów ludu i zreżna przeciw nim walka, którą Zorza wytrwale prowadzi. Właściwem jest wykazywać ludowi ile społeczność przychodzi w pomoc potrzebom ludu, wyjaśniać zakłady i instytucje rozmaite nasze i zagraniczne i przedstawiać pożytek z zjednoczenia się samego ludu dla zapewnienia sobie wspólnej pomocy, co tu redakcyja Zorzy ile można dopełnia. W prozie i w poezji pobożność czysta, moralność i przywiązanie do rodzinnej zagrody płynie dla serc prostych i broni od zepsucia. Co raz większą zasługę i sympatyą jedna sobie redaktor Zorzy wytrwałem poświęceniem się dla pracy cichiej, skromnej, nie przynoszącej żadnego rozgłosu, żadnej korzyści materyjalnej a tak pożytecznej dla naszego kraju. Oceniając ważność zawodu przychodzą w pomoc artykułami swemi współpracownicy jak: Karol Bajer, Felicjan Faleński, Adam Goltz, Wojciech Jastrzębowski, X. Jakubowski, Jan Gautier, Fel. Mikorski, Jul. Statkowski, Leonard Sowiński, Emilia Leja, A. Marczevska i inni. W piśmie tém udział naszych autorek jest pożądany, bo one mu przynieść mogą więcej serca i życia.

Kuryer święteczny. W domach, na ulicach, w ogrodach, w zakładach kufłowych i kieliszkowych wszędzie jest pragnienie dowcipu, humoru a przynajmniej śmiechu. Trudno każdemu wędług usposobienia jego dogodzić, a jednak *Kuryer święteczny* ten

antreprenier dowcipu i humoru, przyjął obowiązek nasycić publiczność obstalowanym pokarmem. W każde święto i niedzielę rozlata się Kurjer po wszystkich zakątkach. Wszędzie go przyjmują, płacą i czytają. Ten czytelnik śmieje się, ten wzrusza ramionami, ten się nadyma, ten kwaśny, ten zły i t. d. Przypatrywać się tak, kim czytelnikom Kuryerka świątecznego, to nowy improwizowany artykuł do śmiechu. W ciasnych granicach niepodobna dostarczać i to bez ustanku humoru, dowcipu i wesołości. Lecz wolno naśladować obce dowcipy, wolno powtarzać gdzieindziej w pismach naszych drukowane epigramata i urywki jak np:

Nasi apostołowie.

„O cnoto! ty w złocistój nie mieszkasz komnacie,
 Ni pysznemi rumaki przejeżdżasz po rynku.
 Trzeba cię tylko szukać w ubożuchnej chacie”
 Rzekł, westchnął, machnął ręką i... poszedł do szynku.

Zając i przyjaciele

nie bajka.

Choć bajki Krasieckiego w ręce dzieci wpadły,
 Są wszelako w nich zdania pełne ważnej treści,
 „Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły”.
 Pisze on, i w tym zwyczaj wieku swego mieści,
 Myśmy od tego czasu postąpili wiele,
 Dziś zająca zjadają, sami przyjaciele.

Z nowej kuchni. Boeuf á la mode, na zimno:

Weź spory kawał chudego, próżnością naszpikowanego i różnemi zagranicznymi przyprawami przyprawionego mięsa wołowego, a oczyściwszy je z wszelkiej krajowej cnoty, polój je cynizmem i perfumami: dodaj parę nóg, nieco mózgu cielęcego i wiele długów, a przykrywszy mięso cylindrem, duś z wolna w Eldoradzie albo wstaw za kulisy, aby przez jakiś czas próżnowało i przeżywszy się, pozbyło się zdrowia, wstydu, resztek odziedziczonego majątku i wszelkich niepotrzebnych zasad moralności. Potem wyjmuj się mięso i zastudza w egoizmie, a tak przygotowane ubiera się w frak i glansowane buciki i podaje żonie, dzieciom, krajowi i społeczeństwu na zimno.

Pomijamy w Kuryerze płaskość, wyrazy bez myśli. Wszystko wolno, lecz nie wolno słowa, tej ozdoby i potęgi człowieka poniżać brudem, jakto się zdarza Kuryerowi N. 59 i innych. Jesteśmy przekonani że tego gatunku wyroby wciskają się do Kurjera bez wiedzy Redaktora. O humor i dowcip współzawodniczą ilustracye i inne

oddzielne pisemka zdobiąc wszystko drzeworytami. Rzadko jednak napotykamy dowcip prawdziwy, tę sól attycką co tak skutecznie wpływa na loikę i obyczaje.

Tygodnik romansów i powieści. W miejsce Kółka domowego powstał w roku zeszłym. Liczyć go musimy do pism peryodycznych, bo wychodzi peryodycznie raz na tydzień numerami w formie ćwiartkowej średniego arkusza, a prócz tego zamieszcza ciągle z wiadomości bieżących kronikę miejscową i zagraniczną. W prospekcie wydawca mówi:

„W romansie, w powieści skupiły się wszystkie dążenia, wszystkie zamilowania epoki, one zastąpiły albo raczej w sobie zjednoczyły epopeje, dramaty i lirykę. Chcąc dzisiaj przemawiać do publiczności w sposób najlepiej trafiający do jej usposobienia, w sposób najbardziej wzruszający, przekonywający, podnoszący ją ku wyższemu celom szlachetnej moralności i cnoty, prawie niepodobna odpowiedniejszej użyć formy nad powieść”.

Ku temu więc dążąc celowi Tygodnik ogłasza wyłącznie same romanse i powieści. Przez rok zeszły wydrukował czternaście, z których cztery oryginalnej Jeża, Orzeszkowej, Wilkońskiej i Wołodego Skiby. Ile zyskała na tych wszystkich powieściach szlachetna moralność, toby tylko mógł wykazać bliższy ich rozbiór, w który wdawać się nie możemy. To jest rzeczą pewną że zaraz za pierwszym zjawieniem się Tygodnik doznał niespodziewanej wziętości, brakło egzemplarzy dla przybywających prenumeratorów a wydawca był w możności powiększyć numeru o półtora do dwóch arkuszy. Namietność do czytania wielka a czytelnia powieściowa wzbogacona pięknym wyborem, wiele dobrego ogółowi przynieść może, czego po teraźniejszej redakcyi spodziewać się mamy prawo..

Zawsze mamy słabość dla młodej pracy, dla poczynających pracowników w świecie umysłowym. Chcielibyśmy ich ciągle otaczać współczuciem jak murem i ochraniać od szkody, w nadziei owoców w przyszłości. Jakżeż większa jest nasza sympatya dla tyłu naszych pism peryodycznych, które bez przerwy pracują dla nauki, oświaty, cywilizacji. Należy pracować dla czytelników jacy są. Przy każdej publikacyi ileż kłopotów, mozolu i przeszkód usuwać trzeba. Nic więc u nas wymagać niepodobna nad to co możność dozwala. Wskazuj kierunek loice i zostaw jej resztę. Są jednak uczeni którzy jakby z księżycą spadli, patrzą na ziemię z zamkniętymi oczyma a na książkę z otwartymi, chcą słowem jak cudem odrazu świat ziemski zmienić na świat platoniczny, gardzą wszystkim co nie przynosi ostatecznych rezultatów nauki. Życie praktyczne jest dla nich boleścią i nieszczęściem. Takim należy odpowiadać: nie chcecie być z nami jak być można, nieszczęśliwi, jesteście i niepodobna wam się to wszystko, to bądźcie szczęśliwi i wracajcie na księżyc. Z tego źródła wszystkie rodzą się błędy.

W polemice zarozumienie zakochane samo w sobie, rzuca zdania jak wyroki, często zawziętość dochodzi do ostatnich granic. Nie raz w walce dwaj przeciwnicy jak dwa barany tłuką sobie wzajemnie czaszki nie o miłość, nie o prawdę, lecz o to aby postawić na swoim. A jednak praca umysłowa zasługuje na wskazanie błędów i podanie rady, ale nie na urągawisko i karę przeznaczoną jedynie dla złej wiary; a jednak miłość bliźniego i dobre wychowanie, ten rezultat prawdziwej oświaty, zawsze i wszędzie powinny być nieodstępni towarzyszami. Z takiej drogi zapasów ile można odwoździć należy, tém bardziej kiedy ciągle wieje wiatr który niszczy tradycją, obowiązków dla społeczeństwa, zostawia pustki w sercu, a te się coraz więcej zapełniają materjalizmem.

Mruk.

Kalendarze na rok 1870.

Mamy przed sobą 18 przeszło kalendarzy na rok 1870. Jesteśmy w prawdziwej lunacyi pomysłów kalendarzowych; wszystkie one krążą w jednej sferze, ciągną ku jednemu słońcu ruchu literackiego, a mając swe zbożenia i zaćmienia, przybierają w różnym stopniu, jeżeli nie siłę i żywotność, to przynajmniej barwy jego jaskrawości. Głoszą burze i pogody, które najczęściej nie przychodzą, a zato pomijają takie, które się potem zjawiają; pełne zaś godeł, tajemnic z nieba i ziemi, prawią nawet o rzeczach, o których się nie każdemu z filozofów pod słońcem śniło.

Zostawiając ten świat nadziemski w pokoju, pomówimy pokrótce o części literackiej kalendarzowej, która, jako z przeznaczenia swego popularna, nie może być obojętną i ulegać wiwna właściwej kontroli.

Wszystkie kalendarze, o których mówimy, wierne dawnemu układowi mają zwykłe działy: kościelno-astronomiczne, literackie-informacyjne, a niekiedy jeszcze i anonsowe. W części literackiej, rozwijają się one stopniowo, jeżeli nie w treści, to w formie i objętości. Widać w nich piętno pośpiechu, smaku i kierunku chwili: bawić i nauczać. A jeżeli nie często zabawa staje się tu nauką, to może nauka za to staje się zabawą.

Kalendarz astronomiczno-gospodarski, znana edycja od lat 51, zachowano w niej dawne znamiona, forma tylko i objętość zmalały, a papier wybielał. Obejmuje zwykłe działy. Kilka anegdot, wieści z bruku warszawskiego i paryżkiego, mały wierszyk i dziesięć zdań filozoficznych, oto wszystko co tu jest literackiego.

W małej tej jednak robótce, wielce razi obrazek z bruku warszawskiego. Niegodny syn, kiedy matka z głodu umiera, w gronie rozpustników i rozpustnic gołuje. Takich typów u nas nie ma

zapewne, a choćby były, to ich w kalendarzu wystawiać nie należało. Kalendarz, to książka popularna; nie karmmy głodnych pokarmem niezdrowym.

Kalendarz Rodzinny zaleca się i z formy i treści. W dziale, który rozbieramy, prócz wiersza *Nowy Rok* A. Mickiewicza, czytamy *Fotografie brukowe* (Mirona), rzecz głębszej myśli i piękną śpiewkę o *Kasience* (Gumulickiego) w rodzaju utworów autora *Lirenki* napisaną. Znajdzie tu czytelnik prócz innych ulotnych powiastek, wiadomości historyczne o Saskiej-Kępie, o fundacyi X. Skargi, o tém, że własną pracą, każdy choćby najniżej stojący, zdoła sobie choć skromny, ale wystarczający udział w życiu zapewnić.

W ogólności publikacya ta jest jedną z lepszych.

W *Kalendarzu z obrazkami* druga *Bajka* Kraszewskiego jest mistrzostwem pisarskiem. Aby w ramach bajki zamknąć tyle obrazów, myśli podniosłych i uczucia, trzeba dużo wiedzieć i wiele kochać. Szlachetne zwierzęta tyle tu okazują ludzkości!

Pomijając inne powiastki, wspomnimy o artykuliku pod napisem *Urszulka Kochanowska*, w której przy wcale dobrej reprodukcji obrazu *Matejki* odsonięto najczulszą stronę serca śpiewaka Czarnolesia; wskażemy na szkic powieściowy *Kominiarczyk*, jako na typ ludowy i obraz poświęcenia tak częstego w praktyce i charakterze ludzi tego szlachetnego powołania. Klechdy, legendy, wiersze *Odyńca*, *Siemińskiego*, *Gabryeli*, *Ilnickiej*, *Deotymy* piękne jak zawsze, choć utwór tej ostatniej *Oda do czynu*, w formie chórów starożytniej tragedyi ułożony, mniej właściwy dla kalendarza, a raczej vice-versa.

Wydawca kalendarza z obrazkami, pomijając usterki paginacyi i nienowość niektórych artykułów, pojął swe zadanie, jeżeli go w części piśmienniczej chciał uczynić dziedziną wieku młodocianego. Lubo więc część gospodarska przeznaczona dla ziemian nie przystaje do bajek i powiastek tego rodzaju, nie słuszném nam się jednak wydało oburzenie jednej z gazet tutejszych na pracę p. Dzwonkowskiego.

Kalendarz Premiowy zdaje się jakby częścią powtórzony z roku zeszłego, a częścią (astronomiczną) przelany w *Kalendarz Ilustrowany* tego samego wydawnictwa.

Jeżeli ma być nagroda, wygranej dla ulubieńca losu, to wyznajmy otwarcie, sam nie bardzo na wygraną zasłużył. Powiastka p. t.: *Walka o posadną pannę* zamiast humorystycznej werwy, do której zdaje się rościć pretensyę, ma wszelkie przymioty plotki nie bez skandalów. Zakrawa na prawdziwy koncept z kalendarza, mówiąc dawniej przyjętym językiem.

W *Kalendarzu Ilustrowanym* tego samego wydawnictwa, część piśmiennicza staranniej obrobiona, choć z roku zeszłego powtórzona. *Historya perły*, opowiedziana przez nią samą, jakiejś królowej północnej, przypominająca styl tysiąca i jednej nocy, czyta się przyjemnie. Kilka zyciorysów, przegląd literatury eu-

ropejskiej z roku ubiegłego, sztuk pięknych, odkryć na polu astronomicznym, fizyki, chemii i historii naturalnej, oraz przegląd ekonomiczny, rolniczy, nadają kalendarzowi temu wartość poważniejszą.

Kalendarz Zorzy z obrazkami (wyd. Alex. Lewińskiego), jest książeczką ludową odpowiadającą swemu zadaniu. Żywoty 4 ewangelistów, Kopernika, pogadanki astronomiczne i wiersz o gospodarstwie Bożem, bardzo przystępnie i pożytecznie opowiedziane. *Tomila* powiastka, *Twarz k. ólewska* podanie, oraz wierszyk: *Jak kto może niech orze*, przystają do ramek kalendarzyka. Nie powiemy tego o powiastce: *Co też sobie jeden przez gaduśtwa narobił*. Nie jest ona tak zabawną, jak się nazywa. Wydarzeniom z których się składa, brak często naturalności; kalendarzyk ten jednak, jako całość, jest i w swym celu i w wykonaniu użyteczną.

W *Kalendarzu Domowym*, po wierszowanych przypomnieniach gospodarskich, przepowiedniach i przypowieściach na każdy miesiąc, następuje kilka powiastek, które są raczej bajeczkami opowiedzianymi przy kądzieli; jakieś piosnki przysłowiowego kroju, nieco o roślinach, zwierzętach, fraszki i t. p.; wszystkiego potroszku i troszeczkę o wszystkim.

Kalendarz Domowy i Gospodarski godzien wspomnienia za przysłowia gospodarskie przy każdym miesiącu zamieszczone i słowniczek wyrazów rzadziej używanych.

Mniej jeszcze można powiedzieć o *Kalendarzu Popularno-Ziemiańskim*. Zamieszczona w nim powiastka: *Chwila zachwytu i rozczarowania* więcej rozczarować niż zachwycić może. Dostyc wolna w ustępach posługuje raczej do powzięcia wiadomości, że heroini opowiadania, zalotna na prawdę wdowa, grała na fortepianie p. G. a fotografowała się u F. To do anonsów należało.

Warszawianin, kalendarz familijny (wydanie Keltera) obejmuje w części piśmienniczej śliczną legendę *Nagroda miłosierdnemu*, pożyteczne zdania w artykuliku: *Domowe wysze wychowanie*, a myśli poważne w urywku: *O potrzebach człowieka*.

Ekonomiczne eldorado, złożone w mnożeniu potrzeb człowieka i ich zaspakajania, pomimo całej powagi podstaw, na których jest budowane, nie wiem, czy doprowadzi czytelników kalendarza do tej doskonałości i szczęścia, jakie im opisuje.

W *obrazku fabrykanta* powozów, który jest dany jako wzór samopomocy, więcej widać pomocy losu i łaski królewskiej, aniżeli pracy własnej.

Weselne obrzędy w Imbelskiem, malowane z jednego wypadku nie dadzą obrazu zupełnego, a nie chcemy wierzyć, żeby u ludu tamecznego walc cudzoziemski miał więcej szczęścia od tańców miejscowych.

Bohater obrazka p. t. *Samobójca* nie dowiódł, aby można mur przebić głową, bo przebił nią tylko malowane przepierzenie. Przyczyna tu i skutek jednej wartości... mało wartym było życie, które tak marnie chciał stracić. Uznał to i wyżeł, który leżąc

a nóg bohatera, nie dał sięgnąć po żaden skarb jego, a nieruchomy, nie stawiał panu żadnej przeszkody w zamierzonym utraceniu życia.

Kalendarz Humorystyczny ilustrowany jest jednym więcej dowodem, że nazwa nie stanowi rzeczy. Od prawdziwego humoru do humoru tego kalendarza, jak powiedziała jedna z gazet, jest tak daleko jak z Warszawy do Ryczywoła. Mybyśmy byli zdania, że jeszcze dalej i bardzo daleko! Złośliwość nie jest dowcipem, choć dowcip sam bywa często złośliwym, a plotki i nawet skandaliki nie mogą zastąpić humoru.

Biografie, studium historyczne o pantoflach, fraszka pod tytułem: *Mój proces*, przypowieść izraelska *O pięknych i brzydkich pannach* przez jakiegoś faktora praetlumaczona, malując po większej części zdarzenia i typy wyjątkowe, nie mają interesu dla ogółu. Czuć tu wiele osobistostek. *Ramota* mianowicie jest zbiorem skandałów małego miasteczka bez ładu i składu, a co gorsza, bez poszanowania moralności i pamięci, że kalendarz jest książką popularną. Wszystko to bez treści i humoru, psuje tylko humor.

Kalendarz Humorystyczny Mucha ilustrowany przez F. Kostrzewskiego przedstawia w szkicach satyryczno-humorystycznych, (jak je w anonsach nazwano) wszystkie miesiące roku. Rysunek tu wymowniejszy od słów, a słowa gadatliwsze od myśli. Czasem i Musze zdarzy się uciąć bąka!

P. Ad. Mieczysławski wydał *Kalendarz Rolniczy* z 30 drzeworytami w teście, w dwóch częściach: Pierwsza kieszonkowa jest podręcznikiem, druga obejmuje *Zatrudnienia gospodarskie* na każdy miesiąc Jana Świenczyca, wiadomości dla gospodarzy i część informacyjną. W dziale 2 tej części drugiej zebrano wiadomości praktyczne z nauki gospodarstwa wiejskiego. Wchodzące tu kalendarze leśny, łowiecki i tarła ryb krajowych, zdają się być nie małego użytku. Zamieszczona na końcu *Bibliografia gospodarska* jest materiałem ważnym dla bibliografii ogólnej. *Kalendarz Rolniczy* stanowi wydawnictwo specjalne, wartość więc jego ostatecznie specjaliści oceniają.

Powiemy tylko, że jest to praca obszerniejsza od wydawanego przez b. Towarzystwo Rolnicze w Królestwie Polskiem *Pamiętnika dla gospodarzy wiejskich*, a co do objętości i treści podobną jest do wydawnictwa niemieckich gospodarzy Lengerk'ego i Mentzla.

Do specjalnych a nowych u nas publikacyj należy również *Kalendarz Lekarski* wydany staraniem redakcyi Gazety Lekarskiej. Text kalendarza wchodzi w dziedzinę medycyny, sąd więc o jej wartości nie do nas należy. Wiele tam jest jednak przedmiotów, które mogą być przystępnymi i dla nie lekarzy. Na początku znajduje się kalendarz kościelny i astronomiczny, a w końcu dziennik do zapisywania zatrudnień codziennych.

Jedna z gazet wita *Kalendarz Lekarski* jako gościa pożądanego i przepowiada mu miłe przyjęcie; czy zaś te jej przepowiednie się ziszczą, praktyka najlepiej pokaże. My się łączymy z życzeniami owęj gazety.

Kalendarz Ilustrowany Jaworskiego pięknej powierzchowności, ma treść odpowiednią. Godła zodiacowe miesiący, symbolizowane postaciami ludzkimi do szczęśliwych pomysłów należą. Część rysunkowa, świetna. Mniej ma poezyi, a więcej realności i może na dziś w tym jego zasługa. W części II *Rzeczy bieżące* obejmują w sobie kronikę roczną od 1 października 1868 do 30 września 1869 r., w której zebrano wiadomości z różnych gałęzi nauk, sztuk pięknych i wypadków; dalej *Przegląd techniczny*, nauk przyrodzonych, architektoniczny, przemysłowo-handlowy, malarstwa, literatury powszechnej, rzeźby, muzyki, zjawisk meteorologicznych, lekarski, historyczno-weterynaryjny i polityczny. W części III literackiej jest kilka zyciorysów, między innymi Jędrzeja Sniadeckiego, powiastka p. Bałuckiego pod tytułem: *Na drodze do Tatrów* i dwie poezye. Otóż w *Kalendarzu Jaworskiego* część literacka najmniej ma swego charakteru, przeniosła się rzeczywiście do *przeglądów*, które są pracą prawdziwej wartości i nadają kalendarzowi godność naukowej użyteczności, a mają tę nad innymi wyższość, że są odbiciem chwili, w pewien ład uporządkowanym. W bliższem jednak rozpatrywaniu się znajdziemy różnice w szeregówem obrobieniu przedmiotów. Tak np. *przegląd architektoniczny* odznacza się wykończeniem, tak obok *przeglądu literatury angielskiej* pełnego taktu i treści, sąd o profesorze Droysenie w *przeglądzie literatury niemieckiej* zdaje się nam nadto dowolny. Prof. Droysen nie pisał nowelli i nie chciał bawić czytelników.

Dla *Kalendarza Jaworskiego* musimy zrobić wyraźny wyjątek od zdania o nauczaniu i bawieniu w kalendarzach, objawionego, bo tu rzeczywiście znaleźć może każdy i naukę i zabawę. Szczególniej wartości są wszystkie ilustracye i z treści i z artystycznego wykończenia, zaczawszy od obrazu A. J. Dudraka, przedstawiającego Zesłanie Ducha Św. na apostołów.

Powiastka pana Bałuckiego jest prawdziwą ilustracją dobrego smaku i rzeczywistego piękna, chociaż wygląda jak kobieta wspaniałej powierzchowności, której wewnątrz nie odpowiada zewnętrzny wdzięk. Oprócz bowiem kilku rysów typu ludowego w dwóch góralach, obok piękności natury, osoby wchodzące do akcji, jeżeli mamy użyć przyjętego w recenzjach wyrażenia, choć jasno malowane, ale brak im i *rysunku* (charakteru) i *tonu* (treści).

Kalendarz Ilustrowany J. Ungra, o ile się dobrze zastąpił w ogółności pod tym względem, że podniósł naukowo i estetycznie poziom publikacyj kalendarzowych, o tyle w tegorocznej edycji nie zawiódł ustalonej już wziętości. Część kościelna rozwinięta tu więcej niż w innych kalendarzach, a dział belletrystyczny ześrodkował sobie większą niż gdzieindziej sumę sił autorskich. Prócz prawdziwie pięknych poezyj Deotymy, zyciorysy ludzi krajowych i zagranicznych oraz powieści i rozprawki ekonomiczne, pedagogiczne i wiadomości z nauk przyrodzonych wypełniają tre-

ściwie, obszerny jak na kalendarz, text piśmienniczy. Choć piosenki p. Nerudy, tłumaczenia p. Dzikowskiego nie uęcą zanadto, wolimy je przecież od *Humoreski* tegoż autora, w której nie tylko tragikomedyi, jak się wyraził, ale nawet komi-tragedyi nie znajdujemy. Trup na katafalku, dwaj bracia zakonni, chwila i miejsce najpoważniejszej myśli, poświęcone na tło dla nocnej burdy dwóch bohaterów maskaradowych, to za wiele—możnaby tu zastosować dobrze znaną przypowieść: że byłoby to dosyć wesołe, żeby nie było tak smutne! Coś podobnego dałoby się zaznaczyć i o powieści p. Orzeszko: *Świętobliwi złodzieje*. Ale prawdziwą gwiazdą do kalendarza zabłąkaną jest wiersz Deotymy p. t. *Oczekiwanie*, duchem i formą ludowej piosenki napisany, oraz romans do śpiewu z akompaniamentem violi *Noc święto-jańska*, pełna również fantastyczności podaniowej a przytem artyzmu w układzie. W obu tych kompozycjach dostrzegamy nowy zwrot twórczości Deotymy. Obie one są więcej uczuciowe, i jeżelibyśmy mieli użyć dobitniejszego wyrażenia, więcej romantyczne obok dawniejszych, którebyśmy znowu w stosunku do nich nazwali więcej klasycznymi. Jestto apoteoza miłości i poezyi.

W gaju na schyłku nocy, róża rozmawia ze słowikiem; opowiadają sobie dzieje z czasu, kiedy jeszcze byli ludźmi na ziemi. Dziś nie wyszła im jeszcze łza owej miłości; przypominają sobie jak *on* ubogi, z sercem tylko *chciwem na czyny* spotkał *ją* w noc święto-jańską nad Wisłą na uroczystości wianków, kiedy dlań miłość była dopiero nadzieją. Wtedy, mówi słowik, gdyś rzuciła kwiaty w wodę, zdałaś mi się boginią Wisły. Wtedy, odparła róża, miłość dla mnie była wiarą, ale przyszedłszy na wianki z kwiatem róży oberwanej z krzaku leśnego, wątpiłam jeszcze o twojem sercu i byłam niesmiałą w obec ludzi, u których lepiej nie mieć miłości, lub mieć szaloną.

Dowiadujemy się z dalszej rozmowy, że wianek jój zginął w falach wodnych, *on* więc ujrzał morze rozpaczy. Przez cierpienia został poetą, powiódł go robaczek św.-jański ze swą latareczką. Ona umarła z miłości, *on* także świat ten na zawsze porzucił.

Do grobu dziewicy zstąpił anioł z gwiazdą, na czole, co rozpromienia różano; był to anioł miłości i rzekł: że kto umrze z ziemskiej miłości, serce jego wrośnie w ziemię... idzie do raju.. i tam czeka nieba.

Do grobu młodzieńca, gdzie leżąc, pragnął budować pieśni o wielkich nieszczęściach i czynach, zstąpił znów anioł z błękitną gwiazdą, co rozpromienia grób nawet... był to anioł natchnienia, i ogłosił mu, e kto był śpiewakiem ziemskiej miłości, w raju śpiewać musi serce splekane i czekać jak tamta nieba... aż go zapragnie. Ona więc zostawszy Różą a *on* Słowikiem, żyją dziś w owym raju i nie szukają nieba, bo niebiosą są tam, gdzie w zgodności Bożej żyje miłość i poezya.

Inaczej na to niebo kiedyś czekał Gustaw; zabiwszy się z miłości, zmieniony w upiora, czekał aż umrze jego oblubienica i jemu niebo otworzy—

Podobna nuta, tylko inna zwrotka!

Oprócz Kalendarzów wymienionych, wyszedł jeszcze w Warszawie *Kalendarz Handlowy*, który prócz zwykłych rubryk mieści w sobie między innymi artykuły treści statystycznej, handlowej, przemysłowej i finansowej; — ma 4 oddziały: meteorologiczny, komunikacji, literacki i handlowy. Dalej: *Poradnik życia gospodarczego* (zapewne *gospodarczego*) objął część astronomiczno-kościelną, monety, miary, arytmetykę procentów, wiadomości z fizyki, chemii, podział administracyjny kraju i t. p., a w końcu: *Książka do rachunków w gospodarstwie domowem dla kobiet*. Wszystkie te publikacje mają swe specjalności.

Pojawiły się też oprócz ściennych i kalendarzyki kieszonek Dzwonkowskiego i Regulskiego, *Miniaturowy Keltera* i *Warszawski Goldmana*; wartość ich prawdziwie miniaturowa!

I prowincya zaczyna się budzić na ogłós kalendarzów warszawskich; mamy na ten rok *Pamiętnik Kielecki* wydanie Lilianny, więc dzieło kobiecej ręki i *Kalendarz Lubelski* (wydanie Kossowskiego, rok drugi).

Pamiętnik jak wszystkie kalendarze ma zwykłe podziały, nie ma jednak znaków zodykalnych. List stanowiący prolog do *Pamiętnika* smutnie odsłania zjawiska co do umysłowego ruchu u nas w ogólności; odkrywa, że na 178,823 mieszkańców przypada jedno pismo peryodyczne; — jesteśmy więc o 20 razy ubożsi od Saxonii. Nie możemy zaprzeczyć, że praca redaktorska u nas w dzisiejszych warunkach jest prawdziwym wysiłkiem. Porównania jednak powyższego w żadnym razie do nas stosować niema zasady.

W części piśmienniczej zwraca uwagę artykułik p. n. *Słowo o życiu organicznem i duchowem* p. Borzyńskiego. Rzucono w nim rękawicę materialistom. Myśl człowieka, jako własność ducha przechodząca nie na potomstwa znakomitych mężów, ale w ludzkość całą, trwalszą jest od materji, wyższą nad wszelkie siły przyrodzone, (a nie przymiotem materji, jak głosi Moleschott, Büchner i inni). To jest temat p. Borzyńskiego, myślą i duchem odróżnia człowieka od stworzeń. Znany nasz myśliciel W. Jastrzębowski nie poprzestałby na teorii téj bezwarunkowo, aleby dodał, że jest jeszcze coś wyższego, co jedynie cechuje człowieka i wynosi go ponad inne siły i stworzenia... a tém jest miłość i poświęcenie.

Ale o tém na potem.

Prośbę za wszystkich, wiersz W. Hugo, jedną z najwznioślejszych modlitw, nad którą tylko *Rozmowę z Bogiem* naszego wieszczka stawiłoby można, tłumaczyła Lilianna z natchnieniem, chociaż

wiersz nie zawsze męzki, a rym nawet miejscami błędzi, np. pierzoha, powierzchnia, pełna, tajemna, morską, troską, rzewna, przepelnia, pełny, nieśmiertelny.

Wyraz *modła* (forma) użyty zamiast *modlitwa*, *wszystki* zamiast *wszystek*, *dotkło*, zamiast *dotknęło*, nawet na karb licencji poetyckiej nie dadzą się uniewinnić.

Ale te małe usterki pokryje szczytność i prawda myśli, głoszących potrzebę modlitwy; np.:

... „Wszystko cierpi, narzeka. Natura znużona
Pochyliła swe czoło tak pełne tęskności,
Spadła z jej skroni śliczna słoneczna zasłona,
Jój trzeba także modły i snu i miłości.

albo znowu:

„Zamiast gwiazdy błyszczącej owych marzeń wielu,
Znajdujem próżność wszędy i w sercu cierpienie.
Dusza psuje się życiem, chociaż widzi wszędy
Widzi dobre i złości i wady i błędy;
Starzeje się występkiem, a złem zaślepiona,
W wiecznym swoim pochodzie chwijeje się zwątpiona.

Drugi wierszyk oryginalny p. t. *Uśpiona* pokazuje, że autorka ma dużo talentu i dużo żalu do świata.

W artykułach *Życie nad stan* wystawiono zbytki jako przyczynę ruiny całych rodzin. Jest tu prawda i konkluzya słachetna; nie uważamy jednak, aby autorka *zupełnie* wyczerpnęła źródło złego, które opisuje.

Podstęp, żart opowiedziany p. Sępa, ma ten sens moralny, że lekkomyślności strzedz się zawsze trzeba, a kłamać nawet żartem się nie godzi.

Pustoty tu może więcej niż humoru, a ruchu więcej niż akcji. Ale jestto obrazek dyalogowany, niepretensjonalny i tém właśnie rozbija.

Zresztą wykaz akt dawnych znajdujących się w archiwum Kieleckim, przegląd płodów przyrodzonych okolicznych i część statystyczno-informacyjna, mają tę dobrą stronę, że dają obraz miejscowości, co właśnie winno być zadaniem kalendarzów prowincjonalnych. A gdyby jeszcze w nich sięgnięto po typy życia społecznego!..

Dla *Kalendarza Lubelskiego* nie zrobi się za mało, gdy się powie nie wiele. Główną ma wartość, że istnieje i że się urodził na prowincyi, bo przez to mógłby mieć barwę lokalności, na jakąby się z danych materyałów zdobyć potrafił. Rzecz o Klonowiczu, opis Lubartowa i Kazimierza należą do dziedziny dziejów tamecznych, i są na swém miejscu; kilka powiastek i wierszyków, rozmaitości i anegdoty... oto wszystko, o czém literacko wspomnieć tu można.

Brylantowe kolczyki i *Sąd djabelski* przynajmniej w swym celu dają się usprawiedliwić. Ale *Odkrycia* (zarodek powieściowy z papierów obłąkanego), *Tajemnice Lublina*, a mianowicie rymowana historia o wodach w Sławinku stoją już niżej zera wszelkiej krytyki. Dobrze zrobił autor, że przynajmniej wskazał źródło *Odkryć*, bo istotnie tylko w papierach obłąkanego podobne pomysły znaleźć można.

Coby na swego dzisiejszego potomka powiedział Kalendarz Lubelski z r. 1740, lub nowszy Almanach braci Urmowskich?

W ogólności o wydawnictwie kalendarzów powiedzieć trzeba: dobrze już, że są, trzeba, żeby bywały dobre, mianowicie pod względem wyboru i jakiejś systematyczności, a może specjalności. Wolne od etykiety i ceremoniału uczoności mają one więcej swobody, ale też właśnie dlatego powinny czuć więcej obowiązku karności, a zawsze iść z postępem.

Powtórzyć tu musimy ostrzeżenia recenzenta jednej z gazet warszawskich, że co do zmian księżyca i zaćmienia słońca tylko kalendarze Ungra, Jaworskiego i Dzwonkowskiego mają cyfry prawdziwe; inne pobrały je z kalendarzów berlińskich i różnią się dlatego o całe godziny i dnię z rzeczywistą datą zjawisk na horyzoncie tutejszym.

Literatura kalendarzów u nas jest bogatą, sięga XV wieku. Mieliliśmy kalendarze krakowskie, wileńskie, poznańskie, kaliskie, zamojskie, grodzieńskie, berdyczowskie, mohilewskie, lwowskie i inne, w których się rozwijały wiadomości prócz urzędowych, historyczne, genealogiczne, biograficzne i statystyczne. Charakter ten właściwy mianowicie dawnym kalendarzom warszawskim, pozostał w nich do dziś dnia. Kalendarz K. Niezabitowskiego wychodzący od r. 1835 zaprowadził pierwszy pożyteczną zmianę; posunął naprzód wydawnictwo tego rodzaju kalendarz St. Strąbskiego od r. 1851; dalej kalendarz wydawany przez Obserwatorium Warszawskie od 1857—1861, Kalendarz wydawany przez T. Dobroczyński pod redakcją Kraszewskiego (1863 r.) i kalendarz Ungra od r. 1845, kiedy z rokiem 1862 przybrał się w ilustracye i dotąd zwyczajko współzawodniczy z kolegami podobnego stroju.

Tradycya ta powinna być bodźcem dla dzisiejszego kalendarstwa, które dziedzicząc spadek tak znakomity, nie może się odwoływać do jego beneficjalności, ale ma obowiązek powiększać na drodze postępu kapitał nauki, sztuki i użyteczności!

Kalendarze bowiem historycznie wzięte stanowią źródła ważne znajomości kraju i jego mieszkańców, a nie tylko samę astronomii. I dlatego nie słusznie zadue z dzieł o *literaturze polskiej* nie włączyły kalendarzów do plodów piśmiennictwa krajowego; wspomnieli tylko o ich ważności J. S. Baudkie w *historii drukarni* i Lelewel w *księgach bibliograficznych*. Ale w miarę zasługi przyjsó musi i uznanie.

J.



KORRESPONDENCYA.

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Rocznik dla archeologów, numizmatyków i bibliografów rok 1869; ułożył St. Krzyżanowski.

Zamierzając ogłosić dziełko pod powyższym tytułem, mam zaszczyt wezwać niniejszém szanownych pp. archeologów, numizmatyków i bibliografów, jako téż konserwatorów, dyrektorów muzeów i bibliotek, przełożonych zakładów naukowych i prywatnych, ażeby mi łaskawie zechcieli nadesłać wiadomości do następujących rubryk:

I. Towarzystwa archeologiczne, naukowe i t. d. sprawozdania z czynności w r. 1869.

II. Wykład publiczny archeologii, odczyty popularne z téj nauki lub wykłady na wszechnicach polskich, miaue w ciągu roku 1869.

III. Nabytki w ciągu roku 1869 muzeów bądź rządowych, bądź prywatnych, jako téż i bibliotek.

IV. Spis prywatnych zbieraczy z wyszczególnieniem ich zbiorów i kierunku w jakim przedewszystkiem swoim studjom się oddają.

V. Prace i poszukiwania archeologiczne w ciągu roku 1869.

VI. Nekrologia zmarłych uczonych tego rodzaju, czy to w formie prostego wykazu, czy téż w formie biograficznej.

VII. Bibliograficzne wiadomości o wydanych dziełach, rozprawach i artykułach treści archeologicznej.

Celem i przeznaczeniem tego rocznika jest zebranie dokładnych wiadomości o ruchu naukowym w kraju naszym w zakresie archeologii, numizmatyki i bibliografii, oraz wskazanie dzieł poświęconych badaniu tegoż przedmiotu, zagranicą publikowanych.

W końcu ośmielam się uprzejmie upraszać szanownych pp. którzy mi w tym względzie raczą przyjsć w pomoc, ażeby swoje uwagi i zapiski, zechcieli przesłać na moje ręce do 10 kwietnia r. b., gdyż późniejsze komunikacye nie będą uwzględnione, ponieważ druk rzeczonoego rocznika rozpocznie się na dniu wyżej wymienionym. Autorowie, którzy pracują nad rozprawami podobnego rodzaju, mogą ich treść w najogólniejszych zarysach podać do tego rocznika, a tém samém polecić je naprzód uwadze światłej publiczności.— W Krakowie przy placu W. Świętych pod L. 148.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Styczeń 1870 r.—Z drukarni J. Jaworskiego, nakładem autora, wyszły: „Dzieje Teatru Polskiego od najdawniejszych czasów do roku 1750, przez Wł. Chomętowskiego.” Obszerna ta rozprawa składa się z VI rozdziałów, w której ostatni, poświęcony jest wyłącznie księżnie Fr. Urszuli z Wiśniowieckich Radziwiłłowej i współczesnym jej pisarzom dramatycznym. O szacownej tej pracy obszerniej powiemy, we właściwym dziale naszego pisma.

— Hrabia Alexander Przezdziecki, znany dziś całej uczonej Europie archeolog, w skutek świeżego przejrzenia rękopisów cesarskiej Biblioteki Paryzkiej, ukazał, że już w XIII wieku był w Paryżu Polak zajmujący się nauką astronomii. Ażeby podać o nim więcej niż wzmiankę, będziemy się trzymali notaty udzielonej nam przez hr. Przezdzieckiego, wskazującej jedyne dotąd źródło bibliograficznej o pracy rzezonego astronoma wiadomości. Tą pracą jest traktat o składzie i użyciu instrumentu astronomicznego zwanego *turkietem*, używanego przez Arabów w wiekach, w których oni najwięcej dla postępu nauki gwiazdziarskiej czynili (1).

Według rzezonej notaty, w cesarskiej Bibliotece Paryzkiej, w oddziale rękopisów łacińskich pod Nr. 7333, jest jeden *in folio* w pergaminowej oprawie i na pergaminie wykonany, z nakreślonymi figurami, odniesiony do wieku XIV. Treść rękopisu tego poznaje się z następujących na stronnicy 49 wyrazów, pismem wieku XV dodanych: „*Hic incipit liber alias nobilis et utilissimus de compositione et practica Turqueti,*” a dalej ciągnie się rękopis wieku XIV począwszy od wyrazów: „*De nominibus partium instrumenti quod turketus dicitur primo practica de utilitatibus est dicendum... Prima pars est tabula recte quadrata equinoctiali deserviens in qua est circulus divisus in 360 gradus cuius centrum est polus mundi.*”

Po wyliczeniu na str. 52 użytków instrumentu, dodaje autor rękopisu: „*alia quamplurima sagax lector per se facile inveniet ex predictis,*” a nakoniec na stronnicy ostatniej kładzie i datę

(1) Wyraz arabski *Turket*, łacińscy pisarze przerobili na *torquetum*. Byłto instrument astronomiczny używany przez Arabów do oznaczenia położenia gwiazd i planet względem ekliptyki. Składał się z tablicy poziomej, z koła równoległego do równika i z trzeciego koła równoległego do ekliptyki. Do tego ostatniego dodawano prostopadłe koło ruchome czyli koło szerokości, do mierzenia odległości gwiazd od ekliptyki. Sławny matematyk niemiecki Regiomontanus opisał szczegółowo narzędzie to w piśmie przez siebie wydanem: *De torqueto*.

swojego pisma w wyrazach: „*Deo gratia factum anno Domini 1284 secunda die Julii in die dominica sole existente in cancro etc. Explicit.*”

Pod Nr. 7295 w tymże oddziale znajduje się inny rękopis z XV wieku *in folio* na papierze, z figurami nakreślonymi i tytułem: „*De tabula turketi quod orizon dicitur defmiente equinoctiali,*” którego wstęp i koniec są w tych samych wyrazach co i w poprzedzającym, i w którym także niema wyrażonego nazwiska autora.

Pomiędzy rękopismami przeniesionymi z biblioteki niegdyś klasztoru St. Germain des Prés (*Sancti Germani a pratis*) do cesarskiej, jest jeden pod Nr. 14,068, wykonany na papierze *in 8vo* z XV wieku, który od str. 2 „*Incipit ars turketi,*” ma dosłownie to samo, co w rękopiśmie pod Nr. 7333, nie wyjmując nawet daty: „*factum anno 1284 2 die Julii,*” ale i tu nie wyrażono nazwiska autora.

Dopiero rękopis biblioteki cesarskiej pod Nr. 7197 *in folio* na papierze wykonany w wieku XV, a oprawiony w XVI, odkrywa to nazwisko w wyrazach (str. 15—16): „*Incipit tractatus turketi editus a magistro Francone de Polonia Parisiis anno Christi 1284, et primo de prima parte instrumenti que tabula equinoct. dicitur.*” Jestto ten sam co w rękopiśmie Nr. 7333 traktat, kończący się również wyrazami: „*alia quamplurima sagax lector per se facile inveniet ex predictis,*” a rękopis wykonany był zapewne przez Niemca, ponieważ w nim znajdują się niektóre traktaty w języku niemieckim; jak np. treści astronomicznej w którym po wyrazach: „*Das sint die wurczeln der mitleren lichte der planeten*” znajduje się i data: *Prag. In dem 1400 jar.*”

Tyle kopii traktatu o turkiczej napisanego w r. 1284 przez Franka Polaka, a przepisywanego w ciągu dwóch wieków, są dowodem że to być musiał biegły w swoim czasie astronom i znakomity pisarz, którego wykład teoretyczny miał powszechny szacunek.

— Adam Pług, kompletny zbiór pism swoich wydaje w Poznaniu. Mieścić się tu będą zarówno utwory poezyi jak i prozy oryginalne i tłumaczone. Oddzielnie zaś drukuje swoje, podług oryginału, przekłady dramatów Szekspira.

— Akademia w Nancy, przysłała urzędowe zawiadomienie profesorowi Uniwersytetu Warszawskiego J. Papłowskiemu, o mianowaniu go członkiem tejże akademii.

— Nakładem i drukiem Fr. Ks. Pobudkiewicza w Krakowie, wyszła broszura p. n. „370 Krakowiaków najdelikatniejszych. śpiewane w kółku towarzyskiem” (w 24-ce str. 126). Mało tu jest prawdziwie ludowych Krakowiaków, a kilka jest takich śpiewek, które wcale do najdelikatniejszych bynajmniej nie należą.

— W końcu zeszłego roku umarł w Krakowie Leon hr. Rzewuski, syn sławnego niegdyś magnata, który długo przebywając na Wschodzie, przejął tak ubiór jak i zwyczaje tureckie i umarł w roku 1831. Zmarły hr. Leon od lat trzydziestu kilku, stale za-

mieszkiwał w rodzinnym swoim zamku *Podhorce* niedaleko Lwowa, który przemienił w muzeum historyczne. Zbogaciwszy go wielu zabytkami (pomiędzy temi jako osobliwość przechowały się całe uzbrojenia skrzydlatych hussarzy) założył szkółkę, szpital i wiele porobiwszy fundacyj dla gminy, chciał jako bezdzielny, przekazać puściznę przodków w godne przechowania ręce. Sprzedał przeto *Podhorce* Władysławowi księciu Sanguszcze, z warunkiem powiększenia zbiorów i utrzymania fundacji. Zmarły wydał *Kronikę Podhorecką* odnoszącą się do historii rodziny i zamku.

— Teofil Lenartowicz ogłosił *Album Włoskie*, w którym zebrał wszystkie swoje wrażenia, jakich doznawał na italskiej ziemi. Ze zbioru tego podamy parę wyjątków.

I.

PIFFERARO (Dudarz).

Niema szczęścia na tym świecie,
Alic bywa dzień pogody.

Dobre w górach w lecie

Wody, cienie, chłody:

Lecz zima strach!

To rzucaj wnet

I ojców dach,

I skały grzbiet!

Śnieżna chmura nad Czerwarą:

Nim chłód wionie, głąd przymorze,

Beppo Pifferaro

Zagra Matce Bożej.

We skórach kóz

Z piszczałką dąż,

Choć bieda, mróz,

Swobodny wciąż.

W starym Rzymie na zaułku

Lampka pali się *Ex voto*,

Marya w złotem kółku

Z Swą dziecinką złotą.

Do nówek Jéj

Obracaj wzrok,

I choć tu mrok,

Dmiéj w dudkę, dmiéj!

Maszi o co prosić człecze,

By zwilżały w górach mrozy,

Bo jak śnieg ociecze,

Pożywią się kozy.

Śnieg spadnie z chat.

Bogdajby ściekł,

Pociągnie dziad

Z trzodą na brzeg.

Od kościoła Araczeli
 Cały Rzym się w oczach jawi,
 Za Rzymem się bieli
 Srebrna góra Cavi.
 A dołem wzdłuż,
 Śród gruzów ścian.
 Tu palmy wzgórz,
 Tu święty Jan.

I z kolei jak Rzym długi
 W kąć choć nie wiem jak ustronny
 Od jednej do drugiej
 Wędruje Madonny.
 Już tu, już tam,
 Spiesz grajku, spiesz,
 Śród gruzów wież,
 Od bram, do bram,

W sercu biednych żywa wiara;
 Dziewczę tęskne za kochankiem,
 Wyjdzie szarym rankiem
 Woła Pifferara:
 Ot tobie chleb,
 Graj tylko, graj,
 Królowej nieb
 Daj chwałę, daj!

Lecz nie powie dziewczę skryta,
 Co w jój sercu na dnie leży;
 Złoty ranek świta,
 Rzymski ranek świeży;
 Tybrowy brzeg,
 Krzyk wodnych mew,
 Topnieje śnieg,
 Stońce i śpiew!

II.

R O Z B Ó J N I K.

Przedemną leży czarna jój zasłona,
 Na téj zasłonie plama krwi czerwona;
 Zdradliwe serce dawno bić przestało,
 Lecz zemście mojej za mało, za mało!
 Gdybym mógł z grobu wywlec piękne zwłoki,
 Nowybym strumień rozlał krwi szeroki.
 Poznałem zdradę, i jak wiatr szalony,
 Gdzie szła ich droga, zabiegłem z téj strony.
 Nędznik wybladły padł przedemną z trwogi,
 Jam go odtrącił jedném pchnięciem nogi,

I wściekły zemstą ku pięknemu ciału,
 Zwróciłem zimne ostrze pugiuału.
 Prędej ubłaga piorun, że nie spadnie,
 Niż rękę, którą namiętność owładnie.
 Krzyk jej daremnie wypadł z piersi białej,
 Cyprysy jedne nad nią się zachwiały,
 Gdy jej kochanek... ach gadzina podła!
 Jak wąż mi zniknął u krwawego źródła.
 Zerwałem z głowy tę zastonę z gazy,
 We krwi broczyłem, maczałem sto razy,
 I tak ciekącą nad głowę podniosłem,
 I w góry biegłem, i jak szatan rosłem.
 Na mój krzyk zemsty, na śmiech godny piekła
 Gromada wiernych wnet się do mnie zwlekła.
 Od tego czasu z ognistą rusznicą,
 Krążę jak jastrząb nad gór okolicą,
 I postrach niosąc w oddalone strony,
 W krwi braci ludzi farbuję me szpony;
 Gdy z ich to grodów, na które dym spada,
 Leje się rzeką obłuda i zdrada.
 Jutro nad bramą ścięta od tułowa
 Może przed miastem zawisnie ma głowa,
 Lecz długie deszcze zemsty mój nie zetrą,
 I nie zapomni prędko mnie Velletro.

Welletri 1858.

— Znane jest ogromnych rozmiarów dzieło wysokiej wartości Alexandra hr. Przeddzieckiego: „Jagiellonki.” Podług tego dzieła ilustrowany tygodnik czeski *Svetozor* w Nrze 49 z grudnia 1869 r. dał życiorys Anny Jagiellonki i jej wizerunek. Podać tu musimy wiadomość, że znany nasz badacz Julian Bartoszewicz, przygotował obszerną biografią téjże Anny. Monografia ta obejmuje wielki tom w druku.

— Dziennik berliński *Magazin für die Litteratur des Auslandes* donosząc (w Nrze 45 r. z.) o przekładzie na język niemiecki jednego z poematów Wincentego Pola (*Pieśń o ziemi*) przez Ludwika Kurtzmann, czyni między innymi następujące uwagi: „Kto zna trudności jakie towarzyszą przekładowi z języka polskiego na niemiecki, ten nie będzie się dziwił że tak mało mamy tłumaczeń sławnych poetów polskich, i że te które mamy, tak mało czytelników zyskują; jeżeli bowiem są wierne, tedy z powodu właściwych im oddzielnych warunków szyku obrazów i myśli oraz ich wyrażen nie przypadają do niemieckiego smaku, a jeśli nie są wierne, tedy z poetycznej swęj siły wiele tracą. Tém więcęj, dodaje, cieszyć się więcę wypada, jeżeli rzetelnie poetyczny umysł tę niewymownie ciężką drogę tłumaczenia z polskiego obiera; w tym razie niemożliwe do wiernego przekładu piękności tekstu, tłumacz może odpowiedziami zastąpić.” Co do samej treści poematu krytyk nazy-

wa go poetyczną geografią swego kraju, uważa iż bez pewnego optymizmu nie możnaby znaleźć upodobania w jego szczegółach, uznaje jednak zarazem talent poety, który nawet ujemne przedstawiające się do kreślenia rysy w poetyczną barwę umiał oblekać. Dla dowodu przytacza zaczęcie z opisu pustych ziem nadziemskich:

Flaches, ebnes, träumerisches
Sand'ges Land, mit Moos bewachsen,
Dunkle Wälder, Karge Felder etc.

— Ludwik Wołowski wydał świeżo u Guillaumin'a i S-ka dwie wielce ciekawe rozprawy, z dziedziny ekonomii politycznej, dotyczące kwestyi bieżących: „La question monétaire;” „La liberté commerciale et les résultats du traite de commerce de 1860.”

— Do bogatj literatury zajmującej się dziejami wprowadzenia chrześcijaństwa u Słowian, przybywa rozprawa francuzkiego uczonego Leger'a o Cyrylu i Metodyuszu, przypisana kroackiemu biskupowi Strossmayerowi. Dziełko to tchnie żywą dla Słowian życzliwością. Autor pokazuje dokładną znajomość pierwotnych dziejów Słowiańszczyzny.

— W roku zeszłym w Pradze Czeskiej wydał Adalbert Szafarzyk drugie wydanie dzieła swego ojca: *Geschichte der Slavischen Sprache und Literatur.* — Wydanie to niczem się nie różni od pierwszj edycyi, tylko w końcu na 9 kartach są dołączone poprawki i sprostowania przez zmarłego Pawła Józefa Szafarzyka przygotowane.

† Dnia 16 czerwca 1869 r. umarł Dr. Bronisław Trentowski w 62 roku życia. Urodził się na Podlasiu 1807 roku: początkowe nauki odbierał w Łukowie, wyższe w b. Uniwersytecie Warszawskim. Tu przez lat trzy słuchał kursów filozofii i filologii. Po otrzymaniu stopnia magistra w r. 1827 udał się zagranicę. Przybywszy najprzód do Monachium, poznawszy się ze znakomitym Schellingiem, otrzymał od niego listy polecające do Hegla i Schleiermachera w Berlinie, gdzie dłuższy się czas zabawił; zwiedziwszy Paryż wrócił do kraju i z początkiem 1829 roku był nauczycielem w gimnazyum w Szczuczynie. Po roku 1831 wpiisał się wpoczet słuchaczów Uniwersytetu królewieckiego. W roku 1832 przeniósł się do Heidelberga, a w następnym roku do uniwersytetu Freiburgskiego (w Brisgowii), gdzie po dwóch latach doktoryzował się w roku 1836. Zamieszkawszy we Freiburgu, tu wydał dzieło p. n. *Grundlage der universellen Philosophie* (1837 r.); w r. 1838 przyznano mu prawo wykładania filozofii przy Freiburgskim Uniwersytecie. W roku 1840 ogłosił w Lipsku drugą pracę swoją:

„*Vorstudien zur Wissenschaft der Natur, oder Uebergang von Gott zur Schöpfung.*” Za wpływem Doktora K. Marcinkowskiego, zaczął Trentowski pisać po polsku: w roku 1842 wydał: *Chowannę* (4 tomy), w roku 1844 *Myslini* (dwa tomy). W wielu czasopismach drukował oddzielno pomniejsze rozprawy: większych rozmiarów są: 1) *Stosunek filozofii do Cybernetyki* (Poznań 1843 r.) 2) *Demonomania* (Poznań 1844). 3) *Urywki Polityczne* (Paryż 1845 r.) 4. *Wizerunek Duszy* (Paryż 1849) 5) *Przedburze* (Freiburg 1848 r.) W Paryżu bawiąc w roku 1860, miewał odczyty, i wydał tu z tego powodu: „*Trzy wskazówki dążeń i usiłowań swoich.*” Ostatnią pracą, której poświęcił się z całym zapamiętem jest: *Pantheon wiedzy ludzkiej* we trzech tomach. W niej pragnął Trentowski zebrać owoc trudów życia i zdobytej wiedzy, pragnął je wydać sam, ale gdy śmierć zaszła wziął je pod opiekę Dr. Karol Libelt, i za staraniem jego, a nakładem J. K. Żupańskiego wkrótce opuści prasę drukarską.

Pomiędzy rękopismami pozostało obszernych rozmiarów dzieło: *Bożyca*, Teozofia wszystkich ludów.

† Dnia 16 listopada 1869 r. zakończył życie Dr. Ignacy Pietraszewski, professor Uniwersytetu Berlińskiego, jeden ze znakomitszych orientalistów. Prace jego naukowe wyszczególnił A. H. Kirkor w dziełku: „*Pietraszewski Ignacy*” (Wilno 1861 r.) i F. M. Sobieszcański w Encyklopedyi Powszechnej.

—>>><<<—

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Grudzień, 1869.

Grudzień, 1869.

Dostrzeżenia Meteorologiczne

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich
długość w czasie 1^h14^m45^s,7 czyli w łuku 18°41'25",5

w Obserwatorium Astronomiczném Warszawskiem.

nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5",
na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany księżycy	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stustopniowy				
		6	10	4	10	średni	6	10	4	10	średni
		godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny
1		743.51	744.65	746.49	747.73	745.595	- 2 ^o .4	- 0 ^o .7	0 ^o .0	- 0 ^o .4	- 0 ^o .88
2		749.19	750.20	751.18	750.36	750.233	1.6	0.0	- 0.1	+ 0.6	0.28
3		748.68	749.30	749.84	751.22	749.760	+ 2.6	+ 5.2	+ 4.9	4.6	+ 4.33
4		754.35	756.35	757.71	760.30	757.178	2.7	2.4	2.7	3.3	2.78
5		764.94	766.88	768.46	770.35	767.638	3.1	2.7	3.2	1.9	2.75
6		771.86	772.51	771.90	771.66	771.983	0.1	- 0.4	- 1.5	- 2.7	- 1.13
7		770.01	769.90	768.42	767.45	768.945	- 2.6	2.3	1.0	0.1	1.50
8		766.19	766.47	764.76	763.39	765.203	3.8	3.5	4.0	4.8	4.03
9		761.10	761.33	759.60	759.48	760.378	4.7	2.7	+ 0.6	2.6	2.36
10		758.02	758.05	756.44	755.77	757.070	5.7	3.8	- 1.8	4.7	3.88
11		754.58	754.66	753.33	752.76	753.833	6.3	4.4	2.3	4.8	4.45
12		752.53	752.87	751.64	750.95	751.998	6.0	3.8	0.9	2.9	3.40
13		752.11	752.80	752.58	752.03	752.380	5.6	2.6	+ 0.9	1.3	2.03
14		748.57	748.24	746.08	744.50	746.848	0.9	+ 0.2	1.1	+ 1.7	+ 0.53
15		746.39	747.83	748.63	746.09	747.235	+ 2.0	2.3	1.4	0.4	0.53
16		743.52	743.85	743.83	745.03	744.058	1.4	3.1	2.1	1.0	1.90
17		738.90	734.98	727.29	726.15	731.830	0.7	1.2	4.0	2.3	2.08
18		739.73	742.16	743.35	745.25	742.613	1.6	2.1	1.0	0.6	1.33
19		746.19	746.11	742.94	739.78	743.755	- 1.4	- 1.3	0.2	0.4	- 0.53
20		740.53	742.27	743.99	745.83	743.155	+ 4.8	+ 4.3	3.1	2.1	+ 3.58
21		747.66	748.39	748.38	749.22	748.413	0.0	1.3	0.8	0.2	0.53
22		749.90	750.91	751.06	749.80	750.418	0.2	0.7	1.0	1.2	0.78
23		745.77	744.40	742.20	740.30	743.168	1.0	1.5	2.1	2.5	1.78
24		738.39	739.27	740.01	741.54	739.803	2.4	2.3	1.4	0.2	1.58
25		743.63	744.03	742.52	738.71	742.223	- 1.1	- 0.7	0.1	- 0.7	- 0.63
26		735.87	737.35	740.60	743.12	739.235	3.3	2.9	- 3.5	5.0	3.68
27		741.23	741.22	741.34	743.47	741.815	3.8	8.6	8.6	7.3	8.33
28		744.65	744.39	741.96	743.73	743.683	3.8	3.9	+ 0.4	+ 1.7	1.40
29		748.69	752.22	756.08	759.28	754.068	4.4	5.5	- 3.8	- 3.3	4.25
30		763.55	765.25	766.23	766.92	765.488	6.2	5.2	5.2	8.2	6.20
31		762.33	761.72	756.76	753.54	758.738	6	6.7	2.9	1.9	5.03
Śr.		750.747	751.308	755.826	750.829	750.928	- 1 ^o .74	- 0 ^o .96	- 0 ^o .13	+ 0 ^o .95	- 0 ^o .92

Wilgotność średnia dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Ilość wo- dy opad- ającej do wysokości w milim.	Wysok- wość na- wiału	
	6	10	4	10	6	10	4	10			
	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano	godz. w.	godz. w.			
84.8	pochm.	poc. śnieg.	pochm.	poc. śnieg	W1.	W2.	PdW1.	PdW2.		2.2	4 7
93.5	pochm.	pochm.	poc. śnieg	pochm.	PdW1.	PdW1.	PdW1.	W1.		4.5	5 9
91.3	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdW1.	PdW1.	W2.	PdW2.		2.7	6 1
94.0	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdW2.	PdW2.	PdW2.	PdW1.		0.3	6 1
94.3	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdW1.	PdW1.	PdW2.	PdW1.		0.8	7 2
87.0	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdW1.	PdW1.	PdW1.	PdW1.			6 7
91.3	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdW1.	PdW1.	Pd1.	Pd1.			5 11
93.8	poc. mgła	pochm.	poc. mgła	pogodny	Pd1.	Pd1.	PdW1.	PdW1.			5 11
90.8	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW1.	Pd1.	Pd1.	PdW1.			5 11
93.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW1.	PdW1.	PnW1.	PdW1.			6 1
93.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW1.	PdW1.	Pd1.	PdW1.			5 9
93.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW1.	PdW1.	PdW1.	PdW1.			5 1
89.5	pogodny	pogodny	napół pog.	napół pog.	PdW1.	PdW1.	Pd1.	PdW1.			4 5
93.0	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pd1.	Pd1.	Pd1.	Pd1.		3.2	3 11
92.8	pochm.	pochm.	pogodny	napół pog.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.			3 5
90.0	pochm.	pochm.	napół pog.	pochm.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ2.	Z3.		0.5	0.5 3 3
93.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pd2.	PdW2.	Pd3.	PnZ4.		1.2	1.6 3
91.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnZ3.	Z2.	Z1.	Z1.		3.8	0.6 3 1
93.4	poc. mgła	poc. mgła	poc. śnieg	poc. desz.	Pn1.	PdZ1.	PdZ2.	PdW2.		2.1	3.8 3 5
92.0	pochm.	pochm.	napół pog.	pochm.	Z1.	Z1.	PdZ1.	PdZ1.		10.3	3 9
95.0	pochm.	pochm.	poc. mgła	pochm.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.	PdW1.			3 11
94.3	poc. hm. gła	poc. mgła	pochm.	pochm.	PdW1.	PdW1.	W1.	W1.			4 4
95.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	W1.	PdW1.	PdW1.	W1.		3.9	4 3
95.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	Z1.	Z1.	Z1.		1.3	4 5
93.3	pochm.	pochm.	poc. śnieg	poc. śnieg	PdW1.	PnW1.	PnW1.	PnW1.			1.6 4 7
91.0	poc. śnieg	poc. śnieg	pochm.	pochm.	PnW2.	Pn1.	Z1.	Z1.		7.0	4 9
-	pochm.	pochm.	pochm.	poc. śnieg	PnW1.	PnW1.	PnW1.	W1.		0.3	4 11
-	pochm.	pochm.	napół pog.	napół pog.	PdW1.	PdW1.	PdW2.	PdZ2.			5 1
-	pochm.	pogodny	pochm.	pochm.	PdZ2.	PdZ2.	Z1.	Z1.			5 7
86.5	napół pog.	pogodny	pogodny	pogodny	Z2.	PdZ1.	Pd1.	Pd1.			6 3
82.8	pogodny	pogodny	pogodny	napół pog.	PnW1.	PdW1.	PdW2.	PdW2.			7 2
92.2										30.1	22.7 4 11,7

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.928	27	8.884
Najwyżej barometr dochodził d. 6 o g. 19 r.	772.51	28	6.451
Najniżej — — d. 17 o g. 10 w.	726.15	26	9.899
Średnia dzienna zmiana barometru	5.018		2.224
Największa dzienna zmiana barometru d. 17—18 o godz. 10 w.	19.10		8.467
Średnia wysokość barometru jest mniejszą o	0.591		0.261
od stanu normalnego z 43 lat poprzedzających	751.519	27	9.145
Średnia temperatura grudnia wynosi	— 0° 92 C.	—	0° 74 R.
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.24		1.79
Największa zmiana dzienna temperatury d. 27—28 o godz. 4 po poł.	9.0		7.2
Średnia temperatura grudnia jest niższą o	1.68		1.26
od stanu normalnego z 43 lat poprzedzających	— 2.50	—	2.00
Termometrograf wskazał: Maximum: +5° 6 C. = +4° 5 R d. 3 po poł.			
Minimum: — 9.1 „ = — 7.3 „ d. 27 rano.			

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 92.2 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 4,7 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejszą o 2.5 setnych od normalnej (34.7).

Ilość wody spadłej z deszczu co do wysokości wynosi 30.1 mil. czyli 13.34 lin. par., ze śniegu 22,7 mil. czyli 10,07 lin. par., razem wody z deszczu i śniegu 52:8 mil. czyli 23,41 lin. par., więcej o 13.8 mil. czyli 6,11 lin. par., od ilości wody jaka zwykle u nas w grudniu spada (39.0 mil. czyli 17.30 lin. par.).

Dni pogodnych 7 napółpogodnych 1, pochmurnych 23.

— deszczu 11: (d. 3, 4, 5, 14, od 16 do 20, 23 i 24).

— śniegu 9: (d. 1, 3, od 16 do 19, 25, 26 i 27).

— mgły 4: (d. 8, 19, 21 i 22).

— wichrów 1: (d. 17).

Wiatr panujący południowo-wschodni.

Grudzień b. r. był dość pogodny, wilgotny i bardzo ciepły. Średnia jego temperatura — 0,7 stop. R. jest o 1,3 stop. R. wyższa jak w stanie normalnym (— 2,0 stop. R.). Temperatura powietrza w przeciągu całego miesiąca, w ogóle łagodna, była jednak nader zmienna, dopiero ku końcowi grudnia, nastąpiło kilka dni dość mroźnych, w czasie których niebo po większej części było pogodne. Największa zmiana dzienna temperatury 7,2 stop. R. przypadła z d. 27 na 28 gdy księżyc przechodził przez równik niebieski i był najbliżej ziemi. Stan barometru z początku miesiąca bardzo wysoki, tak jak się rzadko u nas zdarza, potem w ogóle utrzymywał się bardzo nisko i często ulegał zmianom. Największa jego zmiana dzienna 8,47 lin. par. przypadła z d. 17 na 18 o godzinie 10 wieczór. Deszcze i śniegi padały często i obficie. Dni deszczu było 11, a śniegu 9, pierwszych o 4, a drugich o 1 więcej jak normalnie. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był nieco pogodniejszy jak zwykle, stosunek bowiem dni pogodnych, do napół pogodnych i pochmurnych w stanie normalnym jest jak: 3,3:5,2:22,5 gdy w b. m. jest jak: 7:1:23. Wiatr panujący był południowo-wschodni.

D. 13 i 16 koło białe otaczał księżyc.

Z początku grudnia w Europie środkowej i południowej spadły obfite śniegi, gdy tymczasem w Petersburgu ciepło dochodziło 7 stop. i Newa na nowo puszczac zaczęła.

D. 18 silne trzęsienie ziemi nawiedziło Azyę Mniejszą, d. 28 wyspy Jońskie i Kalabryę.

W końcu grudnia silne panowały mrozy w Szwajcaryi i Hiszpanii, gdy tymczasem w Tobolsku mrozy dochodziły zaledwie 8 stop.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle..... stop 4 cali 11,7 u.m. polsk.

Wysokość wody największa dochodziła d. 5 i 31..... stop 7 „ 2 „ „

„ „ najmniejsza „ od d. 17..... stop 3 „ — „ „

OPOWIADANIE PANA ERAZMA.

(Dokończenie).

Rana moja nie była ciężka, skóra tylko na głowie rozkroiliła się o jakiś dyl wystający, ale czerep cały pozostał. Od gwałtownego uderzenia straciłem na chwilę przytomność i głowa bolała mnie bardzo, ale może nie tyle był to skutek upadku, ile wpływ tych czarnych oczu uroczych. Skoro mnie złożono na łóżku, ściągnięto buty i surdut, przyszedł pałacowy doktor, obejrzał mi głowę, pomacał palcami, a załepiwszy ranę plastrem, dał mi się napić jakiegoś dryjakwii i obiecał, że wieczorem zdrów będę. Leki jego podziałały cudownie, bo zaraz zasnąłem, a sen ów był widać konieczny dla powrócenia równowagi w mojej mózgowicy, bo skorom się obudziłem, oprócz lekkiego bólu na wierzchu głowy, pod plastrem, nie czułem żeby mnie więcej co dolegało. Za chwilę przyszedł znowu doktor, a obejrzawszy i zbadawszy mnie ściśle, powiedział, że zdrów już jestem, tylko uspokoić się potrzebuję i próbował ze mną zawiązać rozmowę, ale ja nic na jego pytania nie odpowiadałem. Spojrzał na mnie razy kilka ze zdziwieniem i wyszedł z pokoju. Musiał jednak zanieść wiadomość o moim powrocie do zdrowia, bo za chwilę wszedł znowu pan ożłocony, lokaj, jak się dowiedziałem później i powiedział mi, że pani mnie prosi na chwilę, jeżeli zdrowie wyjść mi dozwala. Wolałbym, żeby ziemia się rozstąpiła podemną; zapragnąłem, żeby zleciał tu do mnie ów ptak oskrzydłony, który w bajkach nosi ludzi pod obłoki i żeby mnie postawił w cichym domku moim:

ale trudno, co ludzie w bajce gadają, tego nikt jeszcze nigdy nie widział. Leżałem i myślałem, a wymyślić nic nie mogłem. Po chwili jednak otucha wstępować we mnie zaczęła. Ona przecież taka dobra, mówiłem do siebie, czegoż ja jęj mam się obawiać. Pocałuję ją w rękę, poproszę grzecznie, a ona mi odda mego kasztana i pozwoli wracać do domu. Uspokojony tém nieco, wyskoczyłem z łóżka i zacząłem się prędko ubierać. Na stole przy łóżku stało okrągłe lusterko. Spojrzałem w nie i uśmiechnąłem się radośnie. Wybladłem trochę, ale byłem wcale ładny. Czerwony krawat i kamizelka w kwiaty pewnie mnie tak zdobiły, a i czarny plaster nad czołem, odbijający się od bledkości twarzy, także dobre sprawiał wrażenie. Przypomniało mi się to, co mi mówiła kiedyś matka, że i królowna we mnie zakochaćby się mogła i pomimo woli stanęła mi w myśli ta pani, do której teraz iść miałem. Znowu mnie strach objął, ale nie było czasu do namysłu. Otworzyłem drzwi, za drzwiami stał lokaj. W milczeniu szedł przedemną, prowadząc mnie przez mnóstwo od złota, luster, aksamitu, kryształów, błyszczących pokojów i stanąłem przed ciemno-zieloną jedwabną zasłoną. Pociągnął za złoty sznurek, zasłona się zsunęła i ja stanąłem naprzeciw czarnookiej pani. Ubrana już była nie tak jak wtedy, kiedym ją po raz pierwszy zobaczył, ale chyba jeszcze piękniej. Jakaś żółtawa, leciuchna suknia owiewała jęj postać. W czarnych włosach ponsowa róża, na ręce złota bransoletka, w ręku książka bogato oprawna. Siedziała, a raczjęj leżała niedbale na wązkiej ciemno-zielonej kanapce, a promienie światła padające z za jakichś drabinek zielonych, zasłaniających okna, czyniły ją jeszcze piękniejszą.

Skorom stanął we drzwiach, uśmiechnęła się mile, a wskazawszy ręką na stojące przy kanapce krzesło, ozwała się zwolna:

— Daruje mi pan, że może nazbyt wczesnie zaniepokoiłam go prośbą moją, ale lekarz zapewnił mnie o zdrowiu jego....

Ja nie ruszyłem się z miejsca, stałem jak słup nieruchomie w pośrodku drzwi, które mi wszedłem, nie wiedziałem co powiedzieć i co zrobić ze sobą.

Ona lekko brwi namarszczyła, ale powiedziała znowu:

— Ciekawa jestem, daruj pan, ale to wada wspólna całej płci naszój. Szczególny traf zbliżył nas ku sobie. W pierwszój chwili kiedym widziała grożące panu niebezpieczeństwo, nie mogłam zapytywać kto jesteś, boś był dla mnie tylko potrzebującym ratunku; teraz, kiedy niebezpieczeństwo minęło, zaspokój proszę, ciekawość moją.

Za jednym tchem wyrecytowałam imię i nazwisko moje, nazwę wsi w którój mieszkałam i odległość jój od Krasnego.

Pani poruszyła zwolna wargami, wpatrzyła się bystro we mnie, przejrzała moją kamizelkę w kwiaty, mój czerwony krawat, kozłowe buty i tabaczkowy surdut i jakoś dziwnie się uśmiechnęła, ale uśmiech ten nie był tak miły, jak poprzednio. Czyby jój ubranie moje nie podobać się mogło?

Znowu podniosła oczy, przeciągnęła je z wolna po mojej piersi i utkwiała w twarzy. Mnie rumieniec wystąpił ognisty, a żółte plamy biegać zaczęły przed oczyma.

— Należysz więc pan do moich sąsiadów, a nie wiem czy moja w tém wina, czy pańska, żeśmy się dotąd nie znali. Poprawić się nigdy nie jest zapóźno i czy pan przyrzekasz poprawę?

— Przyrzekam— odpowiedziałem tonem, jakim się zwykle mówi przy konfesyjonale księdzu. Ona się znowu uśmiechnęła i znowu zamilkła.

Lokaj wszedł przez drzwi przeciwne i wezwał na obiad. Pani wstała leniwie z kanapki i podała mi swą rękę. Wziąłem ją, ale było to coś dla mnie tak dziwnego, tak niespodziewanego, że m zadrżał cały, a drżenie to zauważyła ona. Przeszliśmy przez duży, obwieszony lustrami i ubrany kwiatami pokój, i weszliśmy do obstawionój kamiennymi figurami sali, gdzie stał stół nakryty już gotów zupełnie.

Współcześnie z nami przez drugie drzwi wszedł mężczyzna niski, chudy i nędzny w siwój, bramowanój czerwone-mi tasiemkami, kurtce.

Ona postąpiła do niego, wzięła go za rękę i pocałunek na téj ręce złożyła. Czyby to był jój ojciec? nie, za młody jeszcze na ojca. Potém wskazując ręką na mnie, wyrzekła:

— Oto nasz gość, mężu, pan Erazm Topolski, któremu ja, jak ci mówiłam, pośpieszyłam z pomocą.

Pan hrabia Reklewski, gdyż to on był tym suchym mężczyzną, spojrzął mi w oczy, ale tak bystro i przenikliwie, że mi się zmieszał do tego stopnia, iż się uklonić zapomniałem, ale spojrzenie to trwało tylko chwilę. Potem uklonił mi się grzecznie i zasiadł przy stole. Ja zrobiłem to samo. Milczenie zapanowało zupełne i napróżno ona starała się nas obudwu do rozmowy wciągnąć. Pan hrabia milczał jak kamień od czasu do czasu ziewając; ja milczałem także, bo nie wiedziałem coby powiedzieć. Do tylolicznych powodów zakłopotania, przy stole przybyły mi jeszcze nowe. Widziałem że tu jest inaczej i starałem się robić jak inni, ale nie zawsze mi się to udawało. Po zupie zaraz utarłem usta obrusem, nie wiedząc że złożona przy talerzu serwetka na ten użytek jest przygotowana. Chleba ciągle mi brakło, a lokajom podającym mi potrawy i talerze mówiłem wciąż: dziękuję. Później dopiero spostrzegłem każde moje niewłaściwe postępowanie i mieszałem się bardzo, a chcąc niejako sprawę załagodzić, kryłem oczy swoje w głębi kielicha, który mi ciągle świeżo nalewano. Smaku wina znałem tylko tyle, ile mi go pleban na Trzy Króle dawał w kościele; dlatego też po kilku kieliszkach nabrałem fantazyi i skoro pan hrabia wstał od stołu, podałem już sam rękę jego żonie i poszedłem z nią tamtędy, którądyśmy przyszli. W dużej sali zatrzymała się ona i poprowadziła mnie na żelazny taras, obstawiony wazonami pachnących kwiatów. Usiedliśmy obok siebie na miękkich krzesłach, a ja ukazałem jej palcem na widniejący w dali ciemny pasek lasu i zapytałem:

— Czy widzi pani ten lasek?

— Widzę; i cóż z tego?

— Oto za tym laskiem jest moje gniazdo rodzinne: i zacząłem jej opowiadać wszystko to com tobie dotąd powiedział, tylko z większemi szczegółami, a czy wino czy jej obecność zrobiły mnie tak dokumentnym, dosyć że sam nie wiem z kąd mi się concept brał taki. Ona słuchała opowiadania mego z uwagą i w zamyśleniu. Czasem błysnęła czarnemi oczyma i postawiła je w porze, wyteżone na mnie, a mnie aż ciarki po skórze przebiegły; to znowu wyciągnęła przed siebie drobną swą rączkę i wsparła ją na żelaznej

kracie tarasu, obracając w rękę kwiatuszek, którym mnie niby niechcący uderzała po rękę.

Wyspowiadałem się przed nią ze wszystkiego. Powiedziałem, jako nie mogłem się z drugiej klasy wydostać, jako pierwszy raz dotąd odważyłem się na wycieczkę w świat, i że jadę poznać dziewczynę, którą mi rodzice przeznaczają na żonę.

— Naiwna, pierwotna istota, zagrzebana w głębi polskich lasów, rzekła ona z wolna, niby do siebie, a ja rad byłem, że to nie jest zwrócone do mnie, bom nic tego nie rozumiał.—Panie—ozwała się po chwili—od kolebki kierowany wolą cudzą, nie zdobyłeś się ani na chwilę samodzielności, a przecież jesteś mężczyzną.

— Kierowała mnie wola rodziców—odrzekłem, a rodzice szczęścia mego tylko pragną.

— Zapewne—odrzekła—ależ trzeba i rodzicom własną pracą dopomóc. Pan masz serce, masz uczucie, masz przytém piękną budowę ciała i zdrowie kwitnące, ale ci brak powierzchownej ogłady, brak znajomości świata i ludzi, a wszakżeż z ludźmi żyć musisz?

Uczułem prawdę tych słów i zapytałem:

— A jakże nabyć tego wszystkiego?

— Jeżeli pan przyjmiesz moje chęci, ja będę nauczycielką pana. Tu w tym samotnym, odludnym kącie, z daleka od oczu świata, będę cię przygotowywać, abyś później na nim wystąpił. Wybierałam się wprawdzie z mężem do wód, ale niech on sam jedzie, mnie już znudziły podróże.

W pierwszej chwili uniesienia. uczułem tylko wdzięczność, zerwawszy się z siedzenia, schwyciłem jęj rączkę i trzy głośno wypaliłem na nięj całusy. Ona ścisnęła rękę moją lekko i przyciągać mnie ku sobie zaczęła. To ścisnięcie, które mi krew gdzieś do serca popędziło, obudziło we mnie przestach, jakiegom po raz pierwszy na jęj widok doznał i zapominając o wszystkim, a chcąc się jedynie ratować, wyrwałem swą rękę i przestraszonym ozwałem się głosem:

— Pani, puść mnie! oddaj mi mego kasztana: ja pojedę do domu!

Ona brwi jakoś złośliwie ściągnęła, wstała także a powstawszy sucho wyrzekła:

— Możesz pan jechać, zadzwonię na służącego, i sięgnęła po dzwonek.

— Ale pani przyjmie mnie na naukę? — zapytałem przedko, jakby bojąc się stracić to, co mnie przed chwilą takim napełniło szczęściem.

Uśmiechnęła się znowu łagodnie i mile rzekła:

— Czekam z niecierpliwością na pana; a czy teraz do swojej Elżuni jedziesz?

— Nie, pojadę do domu, wszystko opowiedzieć matce, bo sam już głowę tracę.

— Broń Boże, nikomu ni słowa, jako nauczycielka nakazuję to panu. Matka pańska nie odda cię tu na naukę, jak nie chciała oddać do Pruzany.

Przyrzekłem bezwarunkowe posłuszeństwo, pocałowałem ją jeszcze raz w rękę i za chwilę już cwałowałem na kasztanie.

Co się działo wtedy we mnie, nie umiem powiedzieć. W piersi coś dusiło i rwało niby jaka prochowa mina, w głowie kołatało jak w młynie i sam nie wiedziałem czy mi z tem źle, czy dobrze było, dosyć że nie było tak jak poprzednio. Puściłem wolno kasztanowi cugle, uderzyłem go w boki nogami; on leciał jak szalony, a ja go jeszcze nahajem okładałem. Wiatr połączony z cugiem gwałtownym rozwiął mi ubranie, z surduta potworzyły się skrzydła jak u nietoperza a grzywa końska biła mnie po nosie i oczach. Nie upłynęła godzina, a ja przy zapadającym już zmroku drzewa naszej siedziby ujrzałem, ale za to z konia piana kawałkami się obrywała i opadała na ziemię.

Sfolgowałem trochę, bo widok strzechy rodzinnej wrócił mnie do rozumu i przywiódł na myśl zapytanie co ja rodzicom powiem. Plaster na głowie wystarczał, jak mi się zdawało zupełnie, nie umiałbym tylko powiedzieć dlaczego kasztan taki mokry i chcąc tłumaczenia z tego względu uniknąć, zjechałem do lasu, a sam ległszy na trawie, puściłem konia swobodnie, aby się odsapał. Czysta leśna napędziła mi mnóstwo myśli i marzeń, a pomiędzy niemi widniało ciągle czarne oko hrabiny Reklewskiej. Myśleć wiele nie lubiłem nigdy, powiem ci prawdę że mi nawet rzadko co się śniło; ale teraz czułem, że piękna pani hrabina nie odczepi się od mojej głowy. Na każdym liściu leszczyzny, na każdym sęku,

na każdéj suchéj gałęzi, na koniu nawet moim pokazywała się ona jakby żywa. Plunąłem na marę i zamknąłem oczy, ale i to nie pomagało, bom ją jeszcze wyraźniej zobaczył. Wzdychałem, jęczałem, stękałem, nic nie pomogło; wstałem więc z ziemi, wsiadłem na konia i pojechałem stępa do domu. W domu wszyscy się zdziwili moim powrotem, a skorom im powiedział i mój wypadek i pomoc udzieloną mi przez hrabinę, ojciec plunął tylko, zmarszczył brwi i wyrzekł:

— A już téż niezdara z waści, niezdara! Chłop panie, jak dąb, oczy wielkie jak u wołu, dziury w moście dojrzyć nie może. A zawsze powiadam, cugle krótko, oczy przed siebie. Nie ciąc gapia, nie włóczyć się tam gdzie nie potrzeba, a guza na łbie nie nabijesz.

Matka znowu srodze się zaniepokoiła moim wypadkiem, a obejrawszy ranę moją na głowie, dziękowała Bogu i hrabinie za wczesny ratunek.

I znowu wróciłem do dawnego trybu życia, ale nie było już to życie takie jak wprzód. Już mnie się nic nie czepiało i gospodarstwo obrzydło i na konia i na fuzyę i na ludzi moich spoglądałem z podełba, a ani spać, ani jeść nie mogłem. Przy misie zwykle siedziałem jak mruk, spuściwszy nos na kwintę; w nocy przewracałem się z boku na bok, że aż łóżko stękało. Zauważyli tę zmianę wszyscy. Widoczna ona była i dla rodziców. Ci ostatni zapewne sobie wyrozumowali, że martwię się dlatego, i żem nie poznał Elżuni, bo ranku jednego ojciec zawezwał mnie przed siebie i wyrzekł:

— Samemu ci się nie powiodła wyprawa, jutro pojedziesz ze mną do Zawadzkich. Bryczkę najtyczankę, trzy szpakowate konie i krakowskie chomonty naładować, żeby były gotowe na jutro. Więcej nic nie powiedział, a jam poszedł wykonać polecenie, nie śmiejąc nawet nad niém się za stanawiać.

Jak ojciec powiedział, tak się stało. Równno ze wschodem wyruszyliśmy opatrzeni błogosławieństwami matki. Ojciec przez drogę mówił pacierze i gderał na Wasyla, wynajdując ciągle coś złego to w uprzęży, to w jego jeździe. Przejeżdżaliśmy koło Krasnego: spojrzałem w długą aleję, cała była pusta i przykro mi się zrobiło, a jednak, zbliżając się do niéj, ja prosiłem Boga, żeby tam nie było nikogo.

Serce mi się jakoś ścisnęło i przestraszyłem się widoku drzew Koszelówki, które mi ojciec palcem ukazywał w oddali. Chętniebym wyskoczył z bryczki i zawrócił gdzie w krzaki, ale ojciec siedział ze mną i udaćby mi się to w żaden sposób nie mogło. Trudna rada, zajechaliśmy przed dworek zupełnie do naszego podobny, tylko że przed ozdobnym ganeczkiem były ładne klombiki, a w nich pełno rozmaitego kwiecica: znać zaraz młodą rękę kobiecą. Pierwszy nas spostrzegł Zawadzki i od stodoł pomimo podeszłego wieku, w biegi podążał wołając:

— A kochani moi, jak mi Bóg miły, przecież choć raz zebraliście się odwiedzić starego.

Ruch gwałtowny i wrzawa powstały w całym domu. Nawoływania o śniadanie, o wezwanie panny i pani, często przebiegające folwarczne dziewczki, fornale gapiący się ze stajen: wszystko to dowodziło, że do Koszelówki rzadko zajeżdżają goście. Wyściskani, wycelowani, przez uprzejmego gospodarza, weszliśmy do bawialni, gdzie już czekała na nas Elżunia, młode, niebiesko-okie i jasnowłose dziewczę. Była ona zarumieniona i zapłoniona, ale kobiecego rozumku i sprytu nie postradała; owszem śmiało, z poufałością pewną podbiegła do mego ojca i pocałowała go w rękę. Ojciec z szarmanterią poprawił wąsa, uśmiechnął się mile i wzięwszy dziewczynę za oba ramiona, pocałował ją w oczko, a potem w rozwarte lekko usteczka. Dziewczyna się zapłoniła, chciała się wyrwać z objęć starego, ale ten śmiejąc się zawołał:

— Oho, ho panienko, zapomniałaś jakie ma prawa twój chrzestny ojciec i żałujesz jemu swego słodkiego dziobka, a ten ojczyk jednak pamięta o tobie i oto, przywiózł ci chłopca, jedyne go syna swego.

Ona dygnęła, ja także się posuwisto skłoniłem i na tym się prezentacya skończyła. Elżunia wybiegła do matki, ojcowie zagadali się z sobą o urodzaju kartofli, a ja stanąłem przy oknie i bębniąc lekko palcami w szybę, spoglądałem w stronę Krasnego.

Ależ ja rozgadałem się strasznie—przerwał sobie pan Erazm—a tam matka twoja myśli pewno, żeśmy się gdzie już potopili. Lubo więc wierzę, że wszystko to dla ciebie jest zajmujące i że z ciekawością słuchasz starego, jednak opowiem ci już resztę w kilku tylko słowach.

Nie odpowiedziałem nic panu Erazmowi, bo znając jego naturę, wiedziałem, że ważniejszych nie pominię rzeczy, a mocno zajęty jego opowiadaniem, nie chciałem ani chwili tracić na próżną certacyę.

— Otóż powiadam ci—prawił pan Erazm—bywałem ciągle i w Krasnem i w Koszelówce. O wycieczkach do Krasnego wiedział tylko mój kasztan, który zdwojoną szybkością musiał wynagradzać tajemne wykradania się swego pana; o Koszelówce wiedzieli wszyscy u nas w domu. Przy pani hrabinie byłem zawsze taki jak dawniej. Małomówiący, drżący, lękliwy, jednakbym wszystko oddał, byle tylko patrzeć w jęj oczy.

Witany zwykle miłym uśmiechem, czasami nawet lekkim wykrzyknikiem, zostawałem przez kilka godzin dziennie z nią sam na sam. W zacienionych salonach, w gęstych ogrodowych szpalerach, w chińskich kioskach i altanach prowadziła ona ze mną czułe rozmowy, spoglądała namiętnie w moje oczy, nieraz uściśnęła mą rękę, nieraz przytuliła się do mnie. Ja na to wszystko odpowiadałem rumieńcem i drżeniem, a nawet rączki ścisnąć nawzajem nigdy się nie odważył. Widziałem że to czasem niecierpliwiło hrabinę. Czasem cień złości, czy gniewu przebiegał po jęj białém czole, suchemi półsłówkami traktowała mnie wtedy i widocznie pozbyć się usiłowała. Ja odjeżdżałem, miotany wściekłością i rozpaczą, klnąc siebie z ciałem i duszą, wyrzekając na swoje niedołęztwo i brak odwagi. Postanawiałem być nazajutrz śmielszym, wyznać jęj co czuję i wywołać na scenę raz to, o czém oboje dowiedzielibyśmy się chcieli. Ale gdzie tam: jutro znowu to samo. Z jęj strony uprzejmość i wyzywanie, z mojęj milczenie i strach. Bo i sam rozważ i weź na rozum, czy inaczej być mogło? Gdyby ona nie miała męża, gdyby nie była hrabiną i wielką panią, jabym upadł przed nią na kolana i modliłbym się do nięj jak do świętęj póty, póki bym jęj ręki nie wymodlił dla siebie, a gdybym dostał takową, prochbym przed nią swoim oddechem umiatał, duszę bym zaprzedał djabłu, byleby dla nięj wszystkiego dostarczyć i jak królewicz w bajce, poszedł bym na kraj świata, byleby tylko najmniejszemu jęj wymaganiu dogodzić.

O! bo ty nie wiesz jak ją kochałem; przy niej niczem Bóg, niczem rodzice, niczem wszyscy, których kiedykolwiek znałem na ziemi. Ja kochałem swego kasztana, a jednak jabym go pokrajał na sztuki i ugotował, jak ów tam jakiś generał, byleby ona tylko zechciała; ja kochałem swoje gniazdo rodzinne, a jednak gdyby ona tylko palcem skinęła, jabym je zaraz bez łyzy w oku spalił i popioły na wiatr rozrzucił; ja kochałem rodziców swoich, a jednak ja wyrzekłbym się ich dla niej bez żalu; ja kochałem i bałem się potężnie Boga, a jednak gdybym wiedział, że On na mnie zaraz piorunem ciśnie, zaparłbym się Go, byleby jój tylko było tego potrzeba.

Ale co tam o tém gadać, ja nie potrafię wypowiedzieć tego co się dla niej działo w mém sercu. Kochałem, ale cóż z tego kochania? lada chwila mógł mąż jój z zagranicy powrócić, lada chwila mógł kto z domowych wycieczki moje podpatrzeć, a dla mnie wtedy wszystko stracone na wieki; wtedybym sobie chyba ze swojej dubeltówki w łeb gdzieś w krzakach wypalił.

W takim stanie przetrwałem blisko rok cały, bom się już po zimie i wiosny doczekał, a w Koszelówce bywałem stale raz co dwa tygodnie. Zapytasz jakie tu było moje zachowanie? Byłem u Zawadzkich jak w domu, a jakkolwiek może roztargnięty i smutny nie mogłem podobać się pannie, to jednak ona mnie dosyć się podobała. Potulna i cicha, nabożna i skromna, gospodarna i zabieглиwa, powszechnie wszystkich ująć umiała. Serce jój złote znali wszyscy chorzy, wszyscy ubodzy okolicy. Gdzie z datkiem pośpieszyć, gdzie lekarstwo spreparować, gdzie umierającego na drogę wieczności modlitwą zaopatrzyć, a sieroty pozostałe pocieszyć, ona tam wszędzie pokazywała się ze swoją jasną główką i niebieskimi oczyma, zupełnie jak aniołek w naszym kościele zwiastujący Najświętszej Pannie łaskę Ducha Świętego. Nie przeuczona bardzo, nie prawila z ojcami o polityce, ale za to pieśń jaką zaśpiewać, wierszyk lub modlitewkę wyrecytować potrafiła jak z książki. Pamiętam, że jak nieraz zaczęła prawić jakieś wiersze o Litwie naszój; to znowu o jakiejś dziewczynie, co wiadrem wodę ze studni ciągnęła; to mnie aż markotno koło serca się robiło, i wtedy wierzyłem w to, że rodzice szczęścia mego pragnęli,

chcąc mi ją dać za żonę, bo toby była żona dla mnie jak rzadko; i wtedy kłamię hrabinę, owego z czarnemi oczami djabła, który stawał na drodze szczęścia mojego. Ale to były rzadkie bardzo chwile i po nich zwykle kruszyłem się żalem, jak po największym grzechu, żem mógł przedmiot swojej miłości, choć w myśli obrazić. Czy zaś ja się Elżuni podobałem?—nie wiem. Witała mnie tylko zwykle miłym uśmiechem i nieraz nazywała bratem chrześniakiem.

Tak rozdwojony, przepołowiony, niby sosna rozszczepiona piorunem na dwoje schnąłem, więdłem, a smutek mi serce rozrywał. Widzieli to wszyscy i zapytywali, coby mi było, a im nic nie odpowiadałem. Stara Horpyna utrzymywała, że to jakiś urok; ojciec że skutki miłości w mazgajowatę naturze; państwo Zawadzcy, że to nieśmiałość młodzieńcza. Jedna matka moja nic nie mówiła, tylko czasem spłakała się szczerze, podeszła do mnie, pocałowała moje czoło i znak krzyża świętego na niem złożyła. Ja wtedy także doznawałem serdecznej żalności: przyciskałem się do matczynego serca, chciałbym tam skryć się przed światem, na którym mi tak źle było i beczałem jak baran. Gdy dziś to sobie wspomnę, to aż mi wstyd samemu, a jednak tak bywało niestety! Czy matczyńsko dorozumiewało się czego, czy z kąd z boku o wycieczkach moich się dowiedziało—nie wiem; ale samo zachowanie się jój, pewne mi podejrzenia w tym względzie nasuwało.

Raz, pamiętam jak dziś, we czwartek wymknąłem się od siewu gryki i pocałowałem do Krasnego. Znała mnie już tu dobrze służba i witała z pewnym szyderskim uśmiechem, ale zawsze z ukłonem pełnym uszanowania. I teraz wzięto mego konia, a skorom wszedł do przedpokoju, lokaj otworzył mi drzwi do sali, a sam poszedł zameldować gościa pani. Za chwilę wrócił, wskazując drogę za sobą. Przeszliśmy kilka pokoi. Zatrzymałem się przy tej samej zasłonie, przez którą rok blisko temu wszedłem po raz pierwszy do salonu hrabiny. Leżała ona znowu oparta na ramieniu, na tej samej kanapce, tylko że ubiór był trochę zaniedbany, włosy rozpuszczone nad czołem i nóżka owinięta białą pończoszką wyglądała z pod długiej sukni, obuta w czerwony złotem naszywany pantofelek. Skorom wszedł,

wyciągnęła do mnie przyjaźnie rękę, a ja ucałowawszy ją, siadłem na niskim, przy kanapie stojącym taboreciku.

— Straszna odebrałam wiadomość — zaczęła, podnosząc trzymaną w rękę białą karteczkę. Panie! ja jestem wdową, mąż mój dwa tygodnie temu zakończył życie w Paryżu. I coś podobnego do łzy zaświeciło w jej oku.

Na te słowa nie czułem radości, jakby może nie jeden na mojem miejscu, ale zrozumiałem tylko cały ogrom nieszczęścia, jaki uderzył w tę, którą ja tak kochałem. Widziałem tylko nieszczęściem dotkniętą kobietę i nieszczęście to w zupełności odczułem.

— Bóg wielki pociesz, do Niego tylko udać się potrzeba — zacząłem, całując jej rękę, a łzy obite nie dały mi więcej powiedzieć.

Ona ruszyła się gwałtownie na swojej kanapce i obie swe rączki zarzuciła na moją szyję, a drobne usteczka, gorące jak rozżarzony węgiel dotknęły warg moich. Nie umiem ci wypowiedzieć wrażenia, jakie wtedy uczułem, piekło i niebo razem pomięszały się w mój piersi. Zerwałem się jak oparzony, odtrąciłem ją z lekka, a schwyciwszy czapkę wybiegłem z pokoju. W przedpokoju popchnąłem lokaja, wpadłem sam do stajni, wskoczyłem na nie rozkulbaczonego jeszcze kasztana i popędziłem do domu. W domu zamknąłem się w moim pokoju, rozebrałem się i położyłem w łóżko nie dla tego żebym był chory, ale żem nie chciał się nikomu pokazywać na oczy. Po chwili weszła do mnie wystraszona matka. Wpatrzyła się w moje błędne oczy, w wypieszczone, gorączkowe rumieńce na twarzy, a przybliżywszy się płakać zaczęła. Ja nic nie mówiłem, bom sam nie wiedział, coby powiedzieć i pierwsza matka przerwała milczenie.

— Raziu, na miłość Boską, co tobie jest; powiedz, przyznaj się tej, która ciebie wypiastowała i wykarmiła.

— Tu mnie piecze, najdroższa moja mateczko — zawołałem, wskazując na serce, a pierś moja wzniosła się głębokiem westchnieniem.

— Raziu — rzekła zwolna matka — daruj, ja twoja matka i ja może więcej wiem, aniżeli się tobie zdaje; tyś nie chory na ciele, ale na duszy; posłuchaj mojej rady.

Przy tych słowach siadła w nogach mojego łóżka i mówiła dalej:

— Znasz plebana naszego księdza Macieja. Zestarzał on się roztrzęsając ludzkie sumienie, a oprócz tego siłę mądrości zaczerpuje z książek, jakie ciągle czyta. Ja do niego dziś jeszcze pojedę, uproszę go, aby wyznaczył tobie jaki wolny od świadków termin, a nie tylko, że się wypowiadasz i Najświętszym Sakramentem posiliz, ale jeszcze wesprze cię staruszek swoją pomocą i radą.

Zgodziłem się na propozycję méj matki i z wdzięcznością ucałowałem jój rękę. Jeżeli dawniej pozwalałem drugim rządzić moją osobą, to czyż teraz mogłem się zdobyć na jakąkolwiek samodzielność?

Rada matki była zbawienną. Spowiedź jaką odbyłem przed księdzem Maciejem na drugi dzień o świcie sprowadziła stanowczą zmianę w mojem życiu. Ile mi gorliwy kapłan świętych przestróg udzielił, iloma przykładami wsparł moje męstwo, to Bogu tylko wiadomo; dosyć że kiedy po komunii wychodziłem z nim z kościoła, czułem się gotowym do wszelkiej ofiary.

Skorośmy przyszli do plebanii, sędziwy staruszek jeszcze dalej w przedmiocie uczuć moich rozmawiał.

— Słuchaj mój bracie—rzekł do mnie—mnie niewolno obmawiać, bo to grzech wielki, ale ja muszę cię ostrzedz kto jest hrabina Reklewska. Nie mówiłem tego w kościele, bo nie godzi się w obecności Boga wyjawiać cudzych grzechów. Niech Bóg sędzi hrabinę, ale jest ona taką jawną grzesznicą jak niegdyś Magdalena. Nie zliczyłbym kochanków, jacy jój hołdowali i jacy dłużej lub krócej cieszyli się jój wzajemnością. Po zagranicznych stolicach, po tych nowożytnych Babyloch nie taką straszną była, bo tam jest wiele podobnego zgorzenia; ale skoro się przeniosła i osiedliła w naszym cichym kącie, szczerze lękać się zacząłem o swoje owieczki. Obawa moja nie była płonna, tyś się dał ułowić w sidła pięknej zalotnicy.

Słuchałem z przestrachem słów staruszka, ale milczałem; on mówił mi dalej:

— Tyś kochając ją, myślał może nieraz o małżeństwie, bo ty tak koniec kochania pojmujesz, ale ona zapewne myślała inaczej. Dziś jest wdową, wolną, prosz o jój rękę, a jeżeli ci jój odmówi, porzucisz ją na zawsze.

— Porzucić, ha! — zawołałem i kułak przycisnąłem do rozpalonego czoła; ale po chwili schyliłem głowę z pokorą i gotów byłem na wszystko. Przyjąłem propozycją, nie chciałem tylko przed odpowiedzią hrabiny widzieć ją choćby ukradkiem. Ksiądz sam podjął się tego, kazał mi list napisać, z nim miał sam pojechać do Krasnego.

Po długim namyśle, po częstych przekreślaniach i poprawkach, wystylizowałem wreszcie list sążnisty, zmoczyłem go łzami, a napisałem go jakoś tak wymownie i czule, że sam ksiądz poprawiając w nim drobne pomyłki, często wzdychał i oczy sobie przecierał.

Ja kochałem hrabinę i wierzyłem w jej wzajemność, nie dawałem ucha temu, co o niej ksiądz prawił i pomyślniej spodziewałem się odpowiedzi.

Omyliłem się jednak w rachubach swoich, nie chcę ci tego opowiadać szczegółowo, i dziś jeszcze serce mi się kraje; powiem tylko, że ksiądz odwiózł mi mój list nazad rozdarty, zmięty i zdeptany i jako objaśnienie do tego wyrazi: „Proszę powiedzieć panu Topolskiemu, że to moja odpowiedź”.

Czy myślisz, że ja tę odpowiedź przyjąłem tak zimno, jak to teraz pomiędzy nami się zdarza. Wy nie kochacie, tylko rachujecie, to też odmowa tyle was obchodzi, co omyłka w rachunku. Jak można pośliniwszy palec, zatrzeć fałszywą cyfrę, napisaną krédą, tak można jedną bohdankę zastąpić drugą, kiedy serce na tém nie cierpi. Wam dzisiaj, jeżeli dadzą czarną polewkę, to ją zajadacie jak największy specyał, jeżeli wtoczą w bryczkę harbuza, to go każecie posiekać i krowom w żłób włożyć, bo wy we wszystkim szukacie tylko korzyści: ja zaś nie dla tego żądałem ręki hrabiny że ona była bogata, że mieszkała w złotych salonach, ale dla tego, że ją kochałem. To też kiedyś taką ponizającą otrzymałem odmowę, myślałem że się ziemia podemną otworzyła, że grom spadł z pogodnego nieba. Myśl o samobójstwie zaświeciła w mózgu moim, ale uratowała mnie religia i uratował Bóg litościwy zsyłając na mnie ciężką chorobę.

Trawiony straszną gorączką, bez pożywienia i bez przytomności leżałem cały tydzień, a skorom po raz pierwszy oczy z pamięcią otworzył, zobaczyłem moją matkę bladą jak śmierć z czarnymi piętami od łez na twarzy. Biędna ona także cierpiała mojem cierpieniem!

Powoli zacząłem przychodzić do zdrowia, a w czasie choroby odwiedzili mnie raz Zawadzcy przywiózłszy z sobą swą córkę.

Pocziwa Elżunia weszła wraz z matką swoją do mnie a zobaczywszy twarz moją wynędzniałą i wybladłą, takie żałośnie, takie pełne litości współczucia rzuciła na mnie spojrzenie, zém szczerą wdzięczność dla niéj uczuła i w tém jedném spojrzeniu poznałem prawdziwie kobiece jéj serce.

Upłynął miesiąc czasu, zanim z łóżka się zwlokłem, a jeszcze kilka tygodni włożyłem się o kiju. Smutek zalegał mi duszę, ale czułem że postąpiłem jak człowiek prawy i to mnie w mym smutku cieszyło. O hrabinie nic wiedzieć nie chciałem, a jednak dochodziły ciągle do ucha mego wieści o niéj. Z początku że wyjechała na miejsce śmierci męża, później że wróciła znowu do Krasnego, że ma jakichś gości, że ludzie młodzi kręcą się koło niéj. Ot, zwyczajnie młoda, bogata i piękna wdówka, to żywioł dla plotek okolicy.

Bywałem znowu w Koszeliwce, a bywałem już teraz z coraz większą przyjemnością. Przywiązywałem się coraz bardziej do Elżuni i coraz więcej zalet w niéj odkrywałem. Wiedziałem wprawdzie, że jéj nie kocham tak, jak kochałem hrabinę, ale będę ją zawsze szanował, a ona mi będzie żoną taką, jaką była moja matka dla mojego ojca.

Wierzyłem, że Bóg już odpuścił mi grzech, w jakim się mimo woli swéj wplątał, że cierpieniem swém odpokutowałem brak doświadczenia i że może znowu będę szczęśliwym. Inaczej się stało. *Była jak do chaty wstąpił, to dwery ne zaczynaje.* Owa hrabina, którą ja tak kochałem, stała się największą moją nieprzyjaciółką. Nie chcę ci wyliczać złego, które ona dla mnie sprawiła, bo ja dziś jeszcze drzę cały na wspomnienie, że są tak źli ludzie na świecie. Graniczne spory, materyalne straty, liczne upokorzenia jakimi ciągle mi dogryzała, niczém jeszcze były w porównaniu z tém, co mnie na ostatku od niéj spotkało.

Słuchaj, ja jak deski zbawienia uchwyciłem się myśli ożenienia się z Elżunią. To jedno mogło mnie jeszcze ze światem pogodzić, a miałem już pewne dane do ugruntowania swoich nadziei. Czasem jakieś spojrzenie, czasem rumieniec, ła współczucia w nieszczęściu, wszystko to kazało mi myśleć, że mi sprzyja dziewczeczka.

O rodzicach mowy być nie mogło, bo ci byli oddawna po mej stronie. Czekałem stosownej pory do zażądania jej ręki i z góry cieszyłem się już pomyślnym rezultatem. Raz nad zachodem słońca dojeżdżałem do Koszelówki. Skorom zbliżył się do chaty leśnika, wyszła z niej Elżunia, która tu nosiła lekarstwo dla chorój baby. Zsiadłem z konia i szedłem z nią pieszą do domu. Elżunia była jakaś smutna i nie podtrzymywała rozmowy, która mi się co chwila rwała. Pomimo to, bądź co bądź, postanowiłem stanowczo dowiedzieć się o swoim losie i w krótkich, może prostych, ale szczerych i serdecznych słowach zażądałem jej ręki. Ona zarumieniła się po uszy, spojrzała mi bystro w oczy i zapytała prędko:

— Pan żądasz mej ręki? Nie pytam pana, czy pan masz prawo do tego, ale przeczytaj tę oto kartkę, a wtedy zgadniesz moją odpowiedź.

Przestraszyłem się czegoś, jakieś złe przeczucie ścisnęło mi serce, ale kartkę rozwinąłem. Był to list hrabiny Reklewskiej napisany z szatańską zręcznością. Radziła niby kobieta kobiecie, niby ratująca od zguby młode dziewczę doświadczona niewiasta. Przedstawiła mnie tu jako człowieka najnikczemniejszego, jako uwodziciela podłego, a wszystko zakończyła poleceniem pokazania mi téj kartki i słowami: „a zobaczysz że on nie będzie tyle bezczelnym, żeby się tego zaprzec potrafił”. Myślałem że mi serce pęknie z żalu, oburzenia i złości, skorom list ten przeczytał. I cóż ja miałem teraz nieszczęśliwy robić? Czy tłumaczyć się Elżuni? czy ona uwierzy więcej mnie, aniżeli temu papierowi? czy może być szczęście i zaufanie tam, gdzie podejrzenie choćby na chwilę jak wąż jadowity pomiędzy wonne rośliny się wczółgało? Możem źle zrobić, ale rzucił list na ziemię, wsiadł na kasztana, a niepowiedziawszy ni słowa, nie obejrzawszy się nawet na Elżunię, porzuciłem ją na zawsze. Bóg świadkiem jak mi serce rwało się w kawałki, jaki szum napełniał mą głowę! Chciałem nawet wrócić się, chciałem upaść jej do nóg i prosić, aby nie wierzyła temu oszczerstwu, ale nie miał siły, bom się już ślepo poddał nieszczęściu, jakie nademną od pewnego czasu się pastwiło.

— Ja, ja, gdybym teraz spotkał.. rozdarłbym w kawałki, chciałem powiedzieć, ale w duszy pomyślałem: możebym jeszcze padł na kolana przy jej nogach.

Jechałem wolno, kasztan uszy opuścił, jakby czuł nie-szczęście swego pana, a łzy mi jak groch spadały po twarzy i rozbijały się w kropkach na wąsach. Noc już zapadła. W lesie cisza głucha, a w domku moim którym dostrzegł z daleka ciemność i spokój. Jechałem dalej tak samo, ale kiedym poraz drugi spojrział na nasz dworek, dostrzegłem w oknie rodziców moich słabe światło. Jakieś bolesne przeczucie ścisnęło me serce, podniosłem cugle, cmoknąłem na kasztana, a ten się puścił jak strzała. Na dziedzińcu puściłem konia samopas i wpadłem do pokoju. Przeczucie było słuszne. Na łóżku leżał mój ojciec nieprzytomny, z szeroko rozwartymi oczyma, z twarzą karmazynową od uderzenia krwi do głowy. Poznałem niebezpieczeństwo, zapytałem matki o środki ratunku; ta mi wskazała na jakieś plastry i powiedziała że konie poszły do miasteczka po doktora i felczera. Do miasteczka pięć mil drogi, doktor może przybyć zapóźno, trzeba szukać spiesniejszego ratunku. Nie wachając się ani chwili, postanowiłem zniżyć się do prośby i napisałem list do hrabiny Reklewskiej, zaklinając na wszystko, co święte, aby swego lekarza przysłała. Byłem prawie pewny, że serce jój ulituje się nad boleścią synowską, że ona kobieta, oceni moje położenie i choć na chwilę zapomni pastwienia się nademną, za winę, do której się nie poczuwałem. Gdzie tam, to chyba nie była kobieta, ale szatan wcielony. Wrócił mój posłaniec, ale bez doktora, tylko z odpowiedzią, że skoro jasna pani list odebrała, zaraz uczuła się słabą i nie kazała doktorowi odstępować się ani na chwilę. Ojciec mój skonał w godzinę, a kiedy przyjechał po chwili lekarz z miasteczka i obejrzał zmarłego, powiedział, że był to słaby napad apoplektyczny i gdyby godzinę wcześniej, ratunek byłby zupełnie możliwy. Tak więc ta, którą ja tak kochałem, wydarła mi żonę, zabiła mi ojca!

I westchnął ciężko p. Erazm, a łzy zaświeciły w jego oczach. Uszanowałem jego wielką boleść i milczenie zapanaowało na chwilę.

— Oto są tacy ludzie mój bracie — zaczął znowu podnosząc głowę. Nie wstępuj nigdy tam, gdzie ci nie trzeba, nie dawaj się schwycić na sidła ułudy, jakie szatan stawia po świetle, bo taką jak ja pokutę odbywać będziesz.

Westchnąłem ciężko na ten morał, bo mi on wiele na myśl przywiódł rzeczy i zadumałem się smutno, ale przeciągnął się ziewając mój ogar i to ożywiło, a nawet rozweseliło pana Erazma.

— Sprytna bestya—wyrzekł z humorem — pokazuje już że go moje opowiadanie znudziło i powrót doradza. Czekaj więc, kilkoma słowy dojadę do końca.

Po śmierci ojca, matka schła i więdła. Ja ją pocieszałem, alem już sam nadziei w sercu nie miał, a gospodarka szła nędznie i jak sama chciała. Zbrzydła mi moja wioska, znienawidziłem ciemne lasy i bagna, nawet na kasztana spojrzeć nie chciałem i tylko do mogiłki rodzica odbywałem pielgrzymki. Pojawił się w okolicy jakiś Niemiec, który chciał zaraz wyzyskać nasze nieszczęście i zaproponował mi sprzedaż mojej fortuny. Nie wahałem się ani chwili nie zważając ani na korzyść, ani na straty, sprzedałem ziemię ze wszystkim i za pół roku, ze ś. Janem miałem się wynieść ztąd, gdzie się jeszcze urodził ojciec mego ojca. W innej stronie postanowiłem szukać szczęścia, a najwięcej liczyłem na to, że zmiana miejsca rozpędzi smutek mój matki. I téj nadziei nie pozwolił dojrzeć Bóg zagniewany. Z wiosną matka moja położyła się w żółtym kurhanie obok swego męża, a ja sam jak palec zostałem na świecie. Nie czekałem już dłużej, wziąłem pieniądze w kieszeń, dubeltówkę na plecy, wsiałem na odkupionego od Niemca kasztana i przybyłem tu w wasze strony.

Kupiłem dosyć korzystnie niezłą wioszczynę, wziąłem się gorąco do pracy, a nie łącząc się zupełnie z ludźmi, gospodarowałem i zbierałem pieniądze. Upłynęło lat kilka i straszna zdjęła mnie tęsknota. Postanowiłem bądź co bądź odwiedzić swoje rodzinne strony. Wydawszy więc dyspozycję na dni kilka, założyłem do jednokonnej dryndulki wytrwałą szkapę i wzięwszy obroku dla konia a żywności dla siebie z wyżłem i strzelbą przeprowiłem się za Bug. W mojej wioseczce już Niemca nie było, siedział tu jakiś poczciwy szaraczek, który mnie przyjął gościnnie. Od niego dowiedziałem się wszystkiego o moich znajomych. Zawadzki stary już nie żył, pozostała tylko matka z Elżunią, która pomimo mnóstwa konkurentów, pomimo nalegań matki, nie chce się wyrzec panieństwa. Hrabina Reklewska wyszła

za mąż, ale Bóg ją za ciężkie jęj grzechy ukarał. Dostała wprawdzie za męža pana ze starém imieniem, ale gołego jak święty turecki i utracysza straszneho. Żyli z sobą podobno jak pies z kotem, włóczyli się po Paryżach i Dreznach, każde na swoję rękę rozsypywało pieniądze, a majątek malał i malał. Po trzech latach pożycia z ogromnej niegdyś fortuny nadszarpanej już porządnie przez nieboszczyka Reklewskiego, nie pozostało nic zupełnie. Wierzycciele zabrali ogromny klucz w Krakowskiem i Krasne wystawili na sprzedaż. Mąż porzucił swą żonę, nie troszcząc się o nią zupełnie, a ona przyszła do ostatniej nędzy. Na tydzień przed licytacyą Krasnego powiła dwie córeczki, bliźnięta i wydając je na świat umarła. Jedyńą opiekunką sierot pozostała prosta kobieta ich mamka, przywiązana do nich jak matka, ale nowy nabywca Krasnego wyrzucił ją z pałacu i dał jęj na mieszkanie starą chatę pod lasem, zapowiadając że jeżeli do miesiąca nie wynajdzie sobie miejsca, to ją i ztamtąd wypędzi.

Dowiedziawszy się o tęp wszystkięp, na drugi dzień rano pojechałem do tęp poczciwej mamki i zastałem najstraszniejsze, jak tylko można sobie wyobrazić ubóstwo. Dzieci jak aniołki, ale opalone od słonecznego skwaru, bo z nimi ich piastunka do roboty chodziła i poowijane nędznemi szmatami nie różniły się zupełnie od dzieci żebraków. W chacie ani żadnego bogatszego sprzętu, ani garnka, ani szyby w oknie, ani iskry ognia w kominie. Nie wiem częp nawet żyła ta kobieta. Miesiąc wyznaczony przez srogiego nabywęc Krasnego zbliżał się już do końca i poczciwe kobiccisko z dwojgiem niemowląt wybierało się na żebraninę.

Powiadają że ludzie miłosierni i litościwi, ale nie daj Boże potrzebować ich litości! Zrażona do świata i mnie długo zaufać nie mogła, dopiero kiedym jęj powiedział, że znałem jęj panią, że przychodzę pomódz sierotom, jakoś się rozgadała. Dowiedziałem się wtedy, że ona urodziła się w Krasnem, że wyszła za lokaja, że z nim równie nieszczęśliwa była, jak pani z drugim swym mężem i że on równie ją porzucił jak pan panią hrabinę.

— Tylko że mąż mój umarł zaraz w Warszawie, a pan dotąd gdzieś za granicą ludzi w karty ogrywa.

Na tydzień przed śmiercią hrabiny urodził się jój syn, ale Bóg zabrał go do swojej chwały; ona więc widząc nędzę swój pani, zakłęła się na Najświętszą Panienkę, że dzieci hrabiny nie opuści ani na chwilę i chyba wprzód umrze, aniżeli się z niemi rozstanie.

Od tój pocziwój kobiety dowiedziałem się wiele rzeczy smutnych a strasznych, pokazujących jasno, jakimto sprawiedliwym jest Pan Bóg i jak nic nie uchodzi bezkarnie.

— Pani moja — mówiła Makryna, tak się bowiem zwała piastunka — dziwna to osoba była. Powiadają ludzie że ona wiele nagrzeszyła, ale jużby chyba Bóg nie był miłosierny, gdyby jój nieszczęść i męki jakich doświadczała na końcu za pokutę nie policzył. Przed śmiercią mówiła ciągle o jakimś panu Erazmie i powtarzała: „ciągle on mnie tylko jeden szczerze kochał na świecie, a jam mu tyle krzywdy zrobiła: tego mi Bóg nigdy nie przebaczy”.

Wyszedłem do sieni niby wody się napić, a w rzeczywistości po to tylko jedynie, żeby utamować łzy, jakie mi się do oczu zbierały. Wróciłem po chwili i obiecawszy Makrynie wrócić jutro rano, pożegnałem ją i pojechałem do swojej tymczasowój gościny. Rozmaite myśli snuły mi się po głowie. Wspomnienie hrabiny odżyło w całej sile i zrozumiałem, że jedynym obowiązkiem moim jest udzielić opieki jój sierotom.

— Ona cię także zrobiła sierotą, szepnął jakiś szatan, ale głos jego zgłuszyłem natychmiast. Namyslałem się długo, ale myśli swoje nazajutrz przyprowadziłem do skutku. Może śmiać się z mego postanowienia będziesz, bo wielu ludzi z niego śmiać się musiało! Oto wyobraź sobie, ożeniłem się z Makryną. Ona te dzieci tak kochała, ona z niemi rozstać się nie mogła, a moim obowiązkiem było teraz te biedne sieroty przytulić, bo wszak one były dziećmi tój, którą tak niegdyś kochałem. A że tam Makryna była o pięć lat starsza, to cóż z tego kiedy i mnie troski pochyliły. Że była prostą kobietą, to przecież i ja nie bardzo przeuczony, a te tam szlacheckie uprzedzenia i wiara w wyższość naszego stanu, to chyba zupełnie głupiej i szalonój pałki dzisiaj trzymać się mogą.

Możesz domyślić się, że się zdziwiła i zdragowała bardzo pocziwa kobiecina, ale wreszcie przekonać się dała. Dali-

śmy na zapowiedzi żyjącemu jeszcze księdzu Maciejowi, który sam może pomiędzy wszystkimi zamiar mój pochwalił, zostawiłem jej na pierwsze oporządzenie trochę pieniędzy i pojechałem do domu, a po trzech tygodniach wprost z kościoła z żoną i dwojgiem dzieci na bryce przepравиłem się przez Bug, żegnając na zawsze Polesie.

Pocziwa Makryna była dobrą co się zowie żoną, niechtam Pan Bóg da jej niebo, ale biedaczka nie długo cieszyła się szczęściem mojem i dzieci hrabiny. Tylko je wykarmiła, podchowala i po trzech latach pozycia zostawiła mnie znowu samego. Może Bóg mądry zrobił i dobrze, bo pomimo tego, że z rękoma na sercu śmiało powiedzieć mogę, że byłem dobrym mężem, to jednak ona nie mogła się do mnie ośmielić i uważała mnie ciągle za pana.

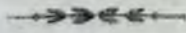
Ot masz i całą historiją. Dziewczyny się wychowały pięknie i zdrowo. Znasz dobrze je przecie, a starsza zupełnie przypomina swą matkę. Gospodarka także szła mi dobrze, w jednym roku powydawałem je za mąż za pocziwych rolników, a każda dostała po 50,000 złp. gotówki, uzbieranęj z oszczędności. Oprócz tego, ponieważ mi już nie było potrzeba, ponieważ chciałem się cieszyć tylko ich szczęściem, przeto zaraz po ich zamąż pójściu sprzedałem mój majątek i pieniądze rozdzieliłem pomiędzy przybrane córki, sobie zostawując tylko 15,000 złp., za które kupiłem ten kawałek gruntu, na którym stoi dzisiejsza moja puśtelnia.

Zerwałem się z miejsca zajmowanego dotąd, a wzruszony i rozrzewniony, rzuciłem się na szyję pana Erazma. Kochałem go dotąd, ale od tej chwili wielbić go zacząłem. On zrozumiał moje uczucie, uścisnął mnie szczerze, pokreślił radośnie wusa i wyrzekł figlarnie:

— Szkoda że hrabina nie zostawiła jeszcze trzecięj córki, byłbym ją tobie dał mój zuchu.

Gwizdnął na psy, począł się ruch i wrzawa i za chwilę jużeśmy szybowali po cichęj wodzie powolnej podlaskiēj rzeki.

Adam Rzażewski.



SZTUKA DZIEJOPISARSKA

STAROŻYTNYCH GREKÓW I RZYMIAN.

NAPISAL

Zygmunt Węclewski.

Jedność treści, piękność formy, swoboda czyli niezależność i prawda rzeczy: oto zasadnicze i niezbędne przymioty dzieła sztuki. Swobodną czyli niezawisłą nazywamy rzecz, gdy nie zakłócona ani osobistością sztukmistrza, ani wpływem społecznego świata. Innymi słowami, winna ożywiać dzieło sztuki jedna myśl zasadnicza: myśl ta zaś nie uwydatniać ani osobistości jednej, ani osobliwego nastroju natury ludzkiej przejawiającego się historycznie w tym lub owym wieku, jeno być powszechnym, zawsze i wszędzie ważnym wyrazem ducha ludzkiego. Prawdziwa zaś, nie rzeczywista tylko treść być winna, bo sztuka nie ma małpować ani kopiować rzeczywistości, lecz ma ukazać i wydać samodzielnie ducha i znaczenie natury i życia.

Sztuka usiłuje wysledzić i wyrazić myśl boską w szczególnym objawie; umiejętność zaś wynaleść i wysnuć ją z ogółu objawów. Zatem sztuka i umiejętność odmiennymi, nawet wprost przeciwnymi drogami ubiegają się za jednym i tym samym ideałem; i dla tego nie uda się nigdy ludziom doprowadzić je do zupełnej doskonałości.

Swoboda i prawdziwość rzeczy polega na przedmiotowości dzieła sztuki. Przedmiotowość ta właśnie, gdy niczem nie zamącona ani zwichnięta, jest ideałem sztuki. Swoboda i prawdziwość rzeczy są wspólnymi cechami czyli przymiotami sztuki i umiejętności. Jedna i druga nie chce być zależna od czasu i przestrzeni; obie pragną mieć wartość niczem nie ograniczoną dla całej

ludzkości. Jedność zaś treści czyli wystawionej na jaw myśli i piękności formy, jako niezbędnie istotcie jęj potrzebne przymioty, posiada sztuka sama i tęp odróżnia się od umiejętności. Niezbędnie potrzebne są sztuce piękność ta i jedność, gdyż ona tylko w odrębnym, pojedynczym objawie pragnie wykazać myśl boską. Potrzeba jęj zatem niby realnej, ziemskiej, złączonej rzeczy czyli materji. Przeciwnie, rzecz umiejętności duchowa, oderwana od wszelkiej ziemskości. Materya umiejętności (filozofji) z natury bezkształtna, ogólna, nieskończona. Rzecz sztuki zaś ograniczona, ściśle określona. Z tego powodu tęp sposobna jest do przyjęcia kształtu i domaga się i potrzebuje ukształtowania. Podług tego co powiedziano, dzieło sztuki więc jest wystawieniem pojedynczego objawu życia w jęgo idealnej prawdziwości i swobodzie — i to przybranęm w formę piękna. Poznać tego rodzaju dzieło sztuki najspadniej po wrażeniu czyli skutku, jaki sprawia. Dzieło sztuki bowiem wstrząsając i porywając całą duszę, winno sprawić zachwyt taki, w jakim sztukmistrz sam je spłodził. Skutek ten jedynie charakterystyczną jest cechą prawdziwej sztuki. Rzeczywiste pudy sztuki opisanym sposobem tylko zdołają wyrzec się na duszę. Na częm jednak polega ów zachwyt? owo piękne wzruszenie duszy, ludzkimi słowami nie opisane? Oto, dusza zatapia się niby w dziele sztuki i w jęgo idei; i dzieło tak przejęte duchem, na nowo jakby w duchu odradza i odtwarza się. W dziedzinie ducha zaś, w dziedzinie swobody i niezależności, idea sztuki jest tęp samęm, częm idea moralności. Obie w istotnęm swęm znaczeniu, jak w ogóle wszystkie idee, równie ściśle połączone są pokrewieństwem. Wolno zatem twierdzić, że ów zachwyt jest właśnie najpiękniejszą formą moralności.

Po tych wstępnych uwagach, które nam miały utworować przystęp do właściwego zadania, zobaczmy teraz, na częm polegała sztuka dziejopisarska starożytnych Greków i Rzymian i zkad w ogóle poszło, że starożytni przypisali historyi istotę sztuki i poczytali ją za sposobną do artystycznego opracowania.

Zdaniem starożytnych i nowoczesnych krytyków, sztuka historyczna winna nietylko imać się i dosięgać formy, ale oraz rzecz samodzielnie ukształtować i tym kształtem sobie ją przywłaszczyć. Dyonizyusz z Halikarnasu żąda od sztukmistrza-dziejopisarza naprzód, aby rzecz piękną i zajmującą wybrał i uczynił osnową dzieła swęgo. Powtóre, ma historyk wiedzić, od czego zacząć i na częm skończyć; to jest, początek i koniec dzieła mają być w harmonijnym związku, aby tęp samęm dzieło stanowiło całość zaokrągloną. Po trzecie, tenże krytyk twierdzi, że historyk winien sumiennie rozważyć, co umieścić a co opuścić w osnowie dzieła; to znaczy, że należy dziejopisarzowi starać się o pełność i ujmującą rozmaitość osnowy, aby nie sprawił przesytku i nudów. Nakoniec, zdaniem Dyonizyusza, historyk porządkując i dzieląc rzecz swoją, musi ubiegać się za jasnością i jedno-

ścią, rzeczy nie rozdzierać i unikać ciemności (1). Przepisy te nie są zebrane i ujęte w system ogólny. Jak to zwykle bywało u starożytnych, dano je, mając na względzie szczególny jakiś utwór. To też one dotyczą jedynie pojedynczych części sztuki historycznej. W ogólności jednak starożytni po historii jako po dziele sztuki, wymagają piękności i jedności, t. j. symetrii pomiędzy treścią i formą, i równocześnie każą historykowi pouczyć i zabawić czytelnika.

Przepisy te, dane dla historyografów, nie wiele różnią się od przepisów Arystotelesowych, danych dla epików i dramatycznych pisarzy a zawarty w poetyce filozofa. Nie dziw przeto, że Dyonizyusz dzieła Herodota i Tuceydydesa-zowie poezjami i że zdaniem jego winna historia mieć w sobie coś poetycznego. Mniema on atoli, że tylko Herodot uczynił wszędzie zadość owym przepisom czyli prawom sztuki dziejopisarskiej. Tuceydyd zaś podług niego po największej części naruszał je lub gwałcił (2). Gdybyśmy więc zdanie Dyonizyusza przeczytać mogli za powszechny głos i sąd starożytności, mielibyśmy w Herodota dziele historycznym pomnik starożytnej sztuki dziejopisarskiej, któryby nas najlepiej mógł obeznać z jej istotą.

Lecz Arystoteles niewątpliwie znał równie dobrze ojca historii, jak Dyonizyusz, a przecie nie wspomina on nic o jedności rzeczy i formy w jego utworze. Owszem on wręcz odsądza w ogóle historią od tego przymiotu. Inni zaś jak Demetryusz, Strabon, Kwintylian i Lucyan (3), zgadzają się, jak zdaje się, w najważniejszym punkcie z Dyonizyuszem, bo uznają pokrewieństwo istniejące pomiędzy historią i poezją. Ale częścią mówią oni tylko w ogólności o formie, częścią nie rozwijają szczegółowo istoty i praw owego stosunku pokrewieństwa, i tём samém też nie wyluszczają fundamentalnych zasad sztuki. Jedyny Lucyan, zdaje się, żąda od historyków tego wszystkiego, czego w ogólności żądać można od sztukmistrza. Powiada bowiem, że historyk po-

(1) Dion. Halic. ep. ad Cn. Pomp. 3. *πρωτον—υποθεσιν εκλεξασθαι καλην και κεχαρισμενην τοις αναγνωσομενοις.— δευτερον—γυωμαι, ποθεν τ' αρχασθαι και μεχρι του προελθειν δει.—τριτον—τινα τε δει παραλαβειν επι την γραφην πραγματα και τινα παραλιπειν.—μετα τουτο—διελεσθαι τε και ταξαι των δηλουμενων εκαστον εν ω δει τοπω.* Porównaj tegoż rozdz. 9 w de Thucydidis histor. judicium.

(2) Ep. ad Cn. Pomp. 3, 21. *ου γαρ αν αισχυνηθειν ποιησεις αυτας λεγων.* De Thuc. hist. jud. 51. *εγω—την ιστορικην—αξιωσαιμ αν—εχουσαν τι και ποιητικον.*

(3) Demetrius, de eloout. § 19.—Quintilian. Instit. Or. X, 1, 31. Strabo, I, 2 (p. 47).

winien jak Fidyasz, Praksyteles lub Alkamenes, opracować i starannie złożyć rzecz swoją, mając wciąż piękno na względzie. Z drugiej strony wykazał tenże znaczną różnicę pomiędzy historią a poezją, i twierdzi, że historyi jedynym celem jest prawda i pożytek: że zaś to, co stanowi zadanie poezyi, rozrywka i przyjemność, w historyi może być tylko przyprawą, rzeczą poboczną (1). Bliziej jednak i on nie rozwiódł się nad tém, jaką drogą i co czyniąc, można dojść do owój misternej wykończoności, której żąda.

A zatem w ogóle podano tylko zasadnicze wyobrażenie, że dzieło dziejopisarza powinno być dziełem sztuki. Jak zaś myśl tę rozumieć, jak ją najlepiej urzeczywistnić, tego starożytna krytyka, nie przენiewierając się pod tym względem charakterowi starożytności, ledwie dotyka. Czyniąc pojedyncze oderwane uwagi, wskazuje ona zwykle na dzieła same mistrzów.

Dodać tu należy, że owe wyżej wyszczególnione uwagi, osobliwie w dziełach Dyonizyusza mieszczące się, nie zgadzają się w części wielkiej z zasadami i zdaniem, przez tegoż krytyka w innych miejscach wypowiedzianemi. Gdzieindziej bowiem zdaje się Dyonizyusz przystawać na zdanie Cyserona w zupełności, że dziejopisarstwo jest rzeczą mówcy, dziełem artysty-retora (2). To też księgi Tucydyesa ocenia podług prawideł i zasad retoryki, i własną jego historią starożytnego Rzymu nosi na sobie niezatarte piętno sztuki retorycznej. Równy sąd wydaje Kwintylian o historykach i historycznych dziełach, a Cysero poczytuje historią za osobną gałąź retorycznej nauki.

Prawda że to mniemanie wprost nie sprzeciwia się owój zasadniczej idei, która historyografią w ogóle wynosi do dostojęstwa sztuki. Z tém wszystkim jasną jest rzeczą, że zasady retoryki i poetyki nie mogą być też same. Poeta winien bezsprzecznie móżdż poruszać się swobodniej. Sama też starożytność więcej swobody przyznaje poecie niż mówcy.

Z tego wszystkiego, co powiedziano, wolno podobno wniosek ten wyprowadzić, że starożytni nie mieli jasnego pojęcia o zasadniczych prawach sztuki historycznej, której jednak żądali. Z zestawionych powyżej zdań i uwag to jedynie poznać możemy, że domagali się nie tylko jasności i piękności wyrażenia w szcze-

(1) Lucian. quomodo historia sit conscrib. r. 45, 51, 8, 9.

Ὀλως δὲ νομιστέον, τὸν ιστορίαν συγγράφοντα Φειδία ἢ Πραξιτέλει χρῆναι εἰσικέναι, ἢ Αἰκαμένει ἢ τῷ ἄλλῳ ἐκείων.

(2) Cic. d. or. II, 15, 62 i nast. od słów: Videtisne, quantum munus sit oratoris historia? Id. de leg. 1, 2. Dion. Hal. de Thuc. h. jud. 19, gdzie gani wstęp Tucydyesa jako nie zrobiony podług przepisów τέχνης t. j. sztuki retorycznej; a w r. 9 nazywa historią υπόθεσις ῥητορικῆς.

gółach, ale i misternej formy, zaokrąglonej i wykończonej całości. Nie sama więc forma utworu, ale i rzecz miała być opracowana i ukształtowana podług praw i przepisów sztuki. Zapomnieli zaś starożytni krytycy lub nie umieli wykazać teoretycznie stosunku historii do sztuki, ani oznaczyć bystro i dokładnie tego, jak obie idee w całości dzieła dziejopisarskiego się jednoczą.

Wszelako udało się starożytnym, partym, że tak powiem, twórczą genialnością i oryginalnością, stworzyć sztukę, wypielegnować, wydoskonalili ją i wynieśli aż na szczyt Parnasu. Porzywem czyli zachwytem ducha uniesieni, nie zważali jednak na drogę, którą doszli do owej wysokiej doskonałości. Geniusz, jakby król samowładny, stwarzał sztukę po swój woli i niezależnie od praw. Prawa on dopiero bez wiedzy tworzył, tworząc sztukę i słuchając ich w tworzeniu. Gdzie więc arcydzieła starożytnej sztuki oglądać możemy własnymi oczyma, tam, aby poznać jej prawa, nie potrzeba roztrząsać kwestyi, czy starożytni znali i jasno określili fundamentalne zasady sztuki, według których postępując tworzyli. Dzieła te bowiem same wyjawiają ducha, którym są ożywione, i noszą w sobie prawa swego początku i bytu. Będzie zatem potrzeba zwrócić uwagę naszą na kilka dzieł historycznych starożytności, słynących przed innymi z artystycznej doskonałości.

Zacznijmy od Herodota. Herodot, pospolicie ojcem historii zwany, pośredkuje pomiędzy logografami a ścisłymi historykami, na których czele stoi Tucydyd. Co do pojmowania i opisywania wypadków historycznych, nie wiele pewnie różnił się Herodot od logografów. Pięć pierwszych ksiąg jego dzieła ma przynajmniej więcej podobieństwa do opisu podróży bardzo ciekawego aniżeli do rzeczywistej historii. Z dziecięcą ciekawością zdaje się zbadał Herodot wszystko i zapisał, co było osobliwszego. Że w stosunki i rzeczy, w ducha i charakter wieków i ludów nie wnikł głęboko, że nawet powierzchownie tylko opisał obyczaje i charakter pojedynczych wielkich mężów, przestając na kilku wydatniejszych rysach, dziwić nikogo nie powinno. Wszystkie objawy przemykają się w jego dziecięcej i niewinnej prawie duszy prędko i bez śladu, jak obrazy przewijają się we śnie. Nie znać przynajmniej głębszego wrażenia przez nie w duszy sprawionego. Dalej, naiwny i prosty sposób opowiadania jego nosi na sobie wyraźne piętno prawdy; a przecie tyle szczegółów tam nieprawdopodobnych, niehistorycznych. Pod tym względem Herodot dzieckiem wieku i ludu swego. Na powabne pienia i cudowne baśnie pięknego wybrzeża ziemi ionejskiej, owej kolebki mytów greckich i muzy Homerowej, odezwała się dusza jego młodzieńcza. Zaprzec się ducha wieku, otrząsnąć się z wpływu jego nie zdołał, choć nie dzielił z nim wesołego i spokojnego sposobu widzenia rzeczy w świecie. Mytyczno-poetyczny charakter wycisnął więc na dziele Herodota wiek, w którym żył i pisał.

Z t \acute{e} m wszystkim nie rzadko poczytywano jego dzieło za historią powszechną. Zdumiewałoby to zaiste, gdyby już Herodot, poznawszy umiejętną potęgę historii i zrozumiawszy treść jej czysto-duchową, treść tę z masy zewnętrznych objawów, z mnóstwa pojedynczych wypadków i czynów był starał się wydobyc i rozwinąć. Atoli ten filozoficzny sposób opracowania historii należy odnieść do późniejszego wieku. Trzeba było wprzód poznać życie t. j. ducha ludzkiego i mieć już wyobrażenie o rozwoju i własnościach różnorodnych sił tego ducha. Tymczasem w wieku Herodota młodzieńczy geniusz Grecyi pierwszemi dopiero przewagami swemi dał poznać się światu. Młodzieńczość, niedoświadczenie młodości, widoczne t \acute{e} ż w utworze Herodota. Nie posiadał on praktycznych wiadomości, znajomości życia, politycznego rozumu. Nie widać w jego dziele bystrości psychologicznej; jedn \acute{e} m słowem, brak tam pragmatycznego ducha późniejszych badaczów. Jedynie najbliższe przyczyny, zmysłowe i jawne powody dostrzega Herodot; o psychologicznych pobudkach, o uwzględnieniu socyalnych stosunków w życiu i czynach tak ludzi pojedynczych jakot \acute{e} ż całych narodów nie ma mowy, a o głębsz \acute{e} m wnikaniu w duchowe przyczyny i sprężyny wypadków ani myśleć.

Pomimo tego wszystkiego w dziele Herodota panuje w istocie owa artystyczna jedność zasadniczej myśli, która powszechnie uznana jest za główny i niezbędny przymiot arcydzieła. Tę artystyczną jedność stanowi idea Herodota o boskiej *Nemesis*, oplatająca całe jego dzieło i łącząca harmonijnie początek z końcem. Ale jedność zasadniczej myśli nie wywiązała się z Herodota historycznej wiedzy, jeno z jego religijnego wierzenia. Istotn \acute{e} m bowiem zadaniem czyli wewn \acute{e} trznym tematem historii Herodota jest niewątpliwie, przedstawić zaczynający się upadek najstarszych państw na ziemi, gdy zetknęły się w nieprzyjacielskim boju z pierwszym rozkwitem życia greckiego. Atoli o t \acute{e} j wewn \acute{e} trznej, historycznej treści opisanych przez niego wypadków Herodot niema jasnego wyobrażenia. Z dziecinną wiarą walkę Greków i Barbarów poczytuje za dzieło władnącej sprawami ludzkiemi boskiej *Nemesis*. A jednak nie była to pierwsza, idealna, prawdziwie historyczna przyczyna tego, że Grecy odnieśli zwycięztwo a państwa barbarzyńskie runęły. Herodot więc ideę boskiego odwetu, któr \acute{e} j mu ani wiedza historyczna, ani wewn \acute{e} trzny związek między historycznemi przyczynami i skutkami w dziejach powszechnych poddać nie mogły, narzucił historii. Nadał on dziełu swemu historycznemu jedność zasadniczą myśli, którą nie historyczną drogą z historii sam \acute{e} j wysnuł i wystawił na jaw. jeno zkądinąd jakby pożyczył. Tę jedność zasadniczej myśli można zaś nazwać artystyczną, poniewa \acute{z} , jak powiedziano, ona nie jest podstawą historycznego objawu, uważanego w związku jego wewn \acute{e} trznym z całością dziejów powszechnych, i t \acute{e} m sam \acute{e} m tylko do szczegółu, do szczególnego, odr \acute{e} bneho i z potoku wypadków wyrwanego objawu, zastosowana być może. Dlatego t \acute{e} ż wsz \acute{e} dzie

i zawsze nie było można jej trzymać się. Niepodobna bowiem przerwać wątku historycznej powieści wszędzie według upodobania, jeżeli opowiadanie ma być prawdziwie historyczne. Tém tłumaczy się niedostatek dzieła Herodotowego pod względem formy.

Herodot, jak słusznie wytknął Dyonizyzusz z Halikarnasu, podzieliwszy historią swoją na historie miejscowe czyli krajów, kiedy mówi o pojedynczych ziemiach, opowiada wiele szczegółów, które nie są w bezpośrednim, i wiele takich, które w żadnym nie są związku z jego zasadniczą myślą. Tém samém obraża bardzo często i niszczy piękność i jedność formy. Ta bowiem polega właśnie na niezbędnym i jakby organicznym związku pojedynczych części pomiędzy sobą i z zasadniczą myślą całości, tak że w każdej pojedynczej części owa zasadnicza myśl całości jakby w zwierciadle jasno się pokazać winna. Herodot umiał tylko kunsztownie zestawiać i porządkować wypadki, obwiódłszy niby wieńcem z dziejów krajów pojedynczych splecionym symetrycznie opis wojen perskich. Organicznie łączyć zaś nie umiał. Można bezsprzecznie ustępy całe czyli epizody dzieła jego opuścić, nie obrażając tém ani naruszając idei całości, która przecie duszą jest dzieła sztuki. To zaś najlepszym jest dowodem, że piękność formy nie osiągnięta w zupełności. Pamiętać jednak na to należy, że przyczyną tego niedostatku nie jest przypadkiem niezręczność Herodota, albo brak poczucia piękna. Nie, ten ujemny przymiot jego historii wywiązał się jedynie z owęj zasadniczej idei o boskiej Nemesis. Ponieważ idea ta wyraziła się tylko w pojedynczych historycznych objawach (Krezus, Peryander koryncki, Daryusz, Xerxes), a Herodot, z kądną narzuciwszy ją historii, do niej chciał odnieść wszystkie objawy i wypadki, przeto, tak jak treści już zbywało na dokładnej jedności, historyk sam też nie zdołał dziełu swemu nadać wykończonęj piękności i jedności formy. Idea Herodota o boskiej Nemesis więc, jak powiedziano, oplata się jakby wstęga koła całości i trzyma ją w kupie. Nie jest ona środkiem, w którym zbiegają się i z którego wychodzą wszystkie promienie koła, jeno raczej obwodem zaokrąglającym treść i nadającym jej pozór całości. To lepiej od Dyonizyzusa poznał Arystoteles i dlatego nie dostrzegł w Herodotowém dziele dramatycznęj wykończoności ani jedności akcyi, której w ogóle w historii nie mógł się dopatrzeć. To też w istocie ojciec sztuki historycznej, pilnując zbyt ściśle zasadniczej swęj myśli, pozbawił dzieło swoje piękności formy, a nie wyrobił mu jedności treści.

Co dotyczy Tucydyesa, to cechują go wzniosła dusza, dążności przednie jako polityka i wodza, szlachetny zapał patrioty. Przeciwnie jedynie okoliczności a może i drobne przeszkody, które mu w drogę stawiała jego własna natura, zniewoliły go do usunięcia się od życia czynnego, politycznego i podały mu w rękę ryлец dziejopisarSKI. Do dziejopisarstwa jednak był powołany

skutkiem politycznego swego ducha i daru wymowy. Wcale inaczej też niż Herodot przedstawi się Tucydycyd. Jest on najprzedniejszym reprezentantem wielkiego a dziwnie szybkiego obrotu rzeczy, który nastąpił i miał miejsce w Attyce po pokonaniu Persów w pięćdziesięciu latach przed wybuchem wojny peloponezkiej. Dlatego wraz z wystąpieniem Tucydidesa zaczyna się nowa epoka w rozwoju historyografii. Poważniej on patrzy na wszystko, bo patrzy okiem męża stanu i krytyka. Krytykę nawet on sam wydoskonalił i pierwszy z wszystkich Greków z największą ścisłością i bystrością zastosował do historyi. Nie zbywa przy jak ją inni nazywają, ciemność stylu Tucydidesowego nie jest, zdaje się, wyszukana, jeno naturalna. Wywiązała się ona z głębi jego poetyckiego ducha. Hamując gwałtem polot i zapęd poetycki, wstrzymując potok wezbrany uczuć, ujął w kleszcze i siebie samego poniekąd i swój język. i włożył na niego okowy jałowej i ściśle określonej prozy. Zwięzła pełność, skupienie wszystkich promieni w jedno ognisko, zaokrąglenie rzeczy, właściwe pierwiastkowi poetyckiemu Tucydidesa, są, jak wiadomo, charakterystyczną własnością dramatycznej, mianowicie tragicznej poezyi, gdy ją uważamy w przeciwieństwie do wygodnej, obszernej powieści epicznej. Już starożytni, między nimi Dyonizyzus, chwalili Tucydidesa mistrzostwo w stylu wzniosłym. Tragiczna powaga, a może lepij i słuszniej powiedzieć, tragiczny gniew na ludzką słabość i ziemską niedolę, wpływa nie mało na jego sposób widzenia rzeczy w świecie. A wszystko to przypomina, że życie Tucydidesa przypadło na czasy rozkwitu tragedyi, i stanowi cechę najzuważniejszą jego historycznego opowiadania, cechę tragiczno-dramatyczną.

Pomimo tego jednak Tucydides badał wypadki spokojnie i z zimną krwią. Rzeczywistość rozumiał i pojmował, jak każdy trzeźwy prozaik, a był przytem krytykiem bystrym i genialnym. Dopiero gdy rzecz zebraną opracowywał, dusza jego żywo się poruszała, zapal poetycki go unosił, i opowiadanie jakby samo przez się przybierało się w odzienie poetyckie. Za tēm przemawia głównie ósma księga jego historyi, różniąca się od reszty stylem suchym, prozaicznym, dlatego może jaśniejszym. Jak wiadomo, była ona dopiero naszkicowana; śmierć bowiem zaskoczyła autora, gdy ją miał opracować.

Z tēm wszystkim Dyonizyzus nie przyznaje historyi Tucydidesa jedności treści i piękności formy. Nowsi krytycy nazwali go sztukmistrzem, ale niesłusznie go oceniali, mięszając pojęcie sztuki w obszerniejszēm znaczeniu z sztuką w ciśniejszēm znaczeniu wyrazu. Oczywiście historyczna sztuka może być tylko gatunkiem rodzaju, osobiwą formą sztuki plastycznej. I ona przenosi rzeczywistość do dziedziny sztuki; i ona winna wiernie wystawieć historyczne objawy za pomocą pierwiastków i środków sztuki; i ona powinna wybrać rzecz sposobną do misternego opracowania i wystawienia. Prawdę też mówi Dyonizyzus że najprzód histo-

rycznemu sztukmistrzowi musi zależeć na trafnym wyborze rzeczy, gdyż tylko mało ustępów w historii przyda się do jego pracy. Przewidzieć zaś można, że historia nawet pod względem wystawienia rzeczy nie będzie mogła mieć prawa do godności sztuki, jeżeli się nie ograniczy w ogóle do opisania szczególnych, pojedynczych objawów. Ogarniając bowiem losy i dzieje całych narodów i ludów, nie zdoła w powodzi wypadków zachować wszędzie jednoci treści i piękności formy. Bardzo rzadko nakoniec historyczne dzieło sztuki mogło być istotnym prawdziwym dziełem sztuki w wyższym, właściwym znaczeniu tego wyrazu. Historia bowiem jako taka, uważa każdy objaw naprzód w jego rzeczywistości i zawisłości od czasu i przestrzeni; następnie w zestawieniu wszystkich objawów wykazuje wpływ wszystkich idei ducha ludzkiego, a zatem wyklucza z jednej strony swobodę i prawdę rzeczy, z drugiej strony zaś jedność treści, t. j. zasadniczej myśli. Dzieło Tucydidesa najwymowniej nas uczy, jak daleko Grecy postąpili w sztuce historycznej jako sztuce wystawienia. Choć dzieło to niedokończone, nie mniej przeto sztuka ta wszędzie przejawia się, a znakiem jej pierwszym zupełną jedność treści historycznej. Zaprzeczyć nie można, że Tucydides nie pojął uniwersalno-historycznego znaczenia peloponezkiej wojny. Zrozumiał on jednak niezaprzeczenie ważność jej w historii Grecyi. W tym znaczeniu uważał ją jako szczególny, samodzielny i indywidualny wypadek. Przedstawienie poczynającego się upadku potęgi i siły greckiej w walce Sparty i Aten o hegemonję i ustawę rządową, jest wewnętrznem jądrem historii Tucydidesa, które pojedyncze wypadki jakby punkt środkowy otaczają wkoło. Że Tucydides uznał ważność peloponezkiej wojny, tego dowodzi treściwy i wspaniały opis zepsucia, i moralnego, jako też politycznego upadku, które wojna ta, niby burza gromami brzemienna, sprowadziła na Grecyą (I, 1, 23). Obraz ten, skreślony w księdze trzeciej (82 r. i nast.) i będący jakby punktem jasnym na tle wielkiego obrazu całości, przeciwstawiony jest z jednej strony wstępnemu opisowi stariej Grecyi i wzrostu potęgi ateńskiej (ks. I, 1—23, 89—118), z drugiej strony głębokiemu upadkowi i zniszczeniu ateńskiej wielkości i potęgi. Szkoda, że opisu tego zniechędźnienia i osłabienia jednego oka Grecyi trzeba nam domyślić się z mdłego i suchego Ksenofouta. Tucydides sam byłby niewątpliwie dokonał go z tą wzruszającą umysły i serca potęgą i śmiałością, jaka właściwa była jego rylcowi. Z owemi trzema najwydatniejszymi w całym dziele punktami łączą się inne z wielkiem mistrzostwem i w głębokiem wzruszeniu duszy wykonane opisy nieszczęść, zburzenia i zdziozenia, które rozniosła wszędzie po całej Grecyi wojna peloponezka. Stanowią one w stosunku do owych wyniosłości wyskakujących nad inne, jakby zręczne przejścia i przeprawy. Tego dowodzi sławny opis zarazy w Atenach (2 ks. 47 i n.), którego długość i obszerność tłumaczy się właśnie tylko stosunkiem jej do głównego tematu. Tego dowodzą

wielka waga, którą Tucydides przywiązuje do nieszczęsnego końca Plateów (3 ks. 20—24, 52—61), opis wewnętrznego rozstroju i rozkładu porządku społecznego na wyspie Korcyrze (3 ks. 69—81, 4, 46—48), rozmowa między Melijczykami i Ateńczykami (5 ks. 85—112) jako też okrucieństwa Ateńczyków (116), dalej opis nieszczęśliwego losu Ateńczyków na Sycylii (7, 50—87), mianowicie jeńców w łomach kamiennych, wreszcie obraz niedoli Chijczyków i zburzenia ich pięknego kraju (7, 24, 38). Wszędzie umie Tucydides zwrócić uwagę na rzecz główną, naczelną w swém opowiadaniu i oprzeć o nią szereg wypadków, jakby o silną podporę. Zawsze historyk ten najdłużej bawi się roztrząsaniem skutków i następstw nieszczęśliwej walki i opisywaniem wypadków, które ją głównie spowodowały. Tym sposobem całość, jakby samodzielna, organiczna jednostka, zaokrąglą się. Tym sposobem, jak malarz trafnym i mistrzowskim rozkładem światła i cienia, Tucydides dopina tego, że jedność zasadniczej myśli wszędzie przebiega się i unosi się nad tém, co ją otacza.

Jeżeli więc Tucydides zachowaniem wewnętrznój jedności treści w dziele swoim dowodzi niewątpliwego mistrzostwa, to z drugiej strony trudno w historii jego wykazać jedność i piękność formy. Już Dyonizyusz słusznie twierdzi, że podział historyi na małe okresy latowych i zimowych miesięcy, rozdziera i czyni niejasnym opowiadanie. Na pierwszy rzut oka też w istocie zdaje się, jakoby całe dzieło było rozdarte i pełne zamętu. Ale na nagane tę zasługiwać mogą tylko szczegóły. Opis bowiem pojedynczych wypadków niby rozrzucony; opowiadanie rozwoju, przyczyn i skutków objawów pojedynczych zewnętrznie przerwany; przez co wrażenie osłabia się i niknie. W ogólności jednak Tucydides zawsze zwraca uwagę na główne rzeczy; układa i zestawia stosownie wypadki poboczne, odnosi się i wskazuje nieustannie na ten wypadek, z którego rozwinąć i wywiązać się ma ostateczna katastrofa, i który, jako środek całości, mieści w sobie początek i koniec; oświetla misternie obraz, na którym promienią dostatecznie główny wypadek, i nadaje tém samém opisowi żywą jedność, wewnętrzną związek i wykończoność, jakie właściwe są dramatycznemu dziełu sztuki.

Nie będę tu rozwodził się obszerniej nad potężnym talentem dramatycznym Tucydidesa (1). Tyle jednak jeszcze dodam. Widoczną jest rzeczą, że środkowym, kulminacyjnym punktem, owym wierzchołkiem przesilenia, z którego czytelnik może przejrzeć to wszystko, co po za nim leży, i spojrzeć trwożliwie w ciemną przyszłość, jest w opowiadaniu Tucydidesowém opis niefortunnej Ateńczyków wyprawy sycylijskiej. Wyprawa ta wraz z swemi następstwami jest najważniejszym wypadkiem całej

(1) Odsyłam do mojej Hist. lit. greckiej pod tym względem.

wojny i stanowi główny akt w tym krwawym i smutnym trzyaktowym dramacie. Dramatyczność jednak historii Tucydydowej nie polega jedynie na tém, że rzecz na trzy części czyli akty podzielona, co Arystoteles uważa za konieczny przymiot dramatycznego dzieła sztuki, ale i na prędkości i żywości opisu i na uzmysławiającej poniekąd wszystko krótkości wyrażenia. Nie mało też potęguje dramatyczność historii to, że każdy szczegół wynurza się w stosownym czasie, w stosowném miejscu i w słuszném świetle w stosunku do całości; dalej i to, że jasno i dobitnie wyprowadzono wypadki z ich przyczyn i sprężyny a z wypadków znów ich następstwa i cele; następnie i to, że plastycznie upostaciowano objawy, które nie pojedyncze części lecz organiczną całość istoty swęj ukazując, w pełni i całości swęj na jaw występują; nakoniec że dramatycznie i z żywością wielką rozwinięto akcją całą i wypadki szczególne jakby z wnętrza jednej zasadniczej myśli. Ożywiają zaś dramat cały wplecione często mowy, choć one same nie stanowią i nie mogą stanowić dramatycznego charakteru dzieła historycznego.

Taka więc była sztuka historyczna Tucydylesa. Dalej Grecy w ogóle nie zaszli. Ksenofont zdoła jedynie ować historyczne opowiadanie poetyckiem natchnieniem. Ale duch ten poetycki muszcze tylko powierzchunią, nie przenika rzeczy. Czuć go w wyrażeniu i w rozumieniu szczegółów historycznych, nie w kompozycyi i układzie całości. Umie Ksenofont tylko łączyć zrzęcznie jedno z drugim. Dla tego sposób jego opowiadania zbliża się do Herodotowego. Może nie był doskonałym mistrzem w swęj sztuce. Dosyć że formie dzieł jego zbywa na jedności. Nie ma w nich owego środka, w około którego układają się symetrycznie drobniejsze, poboczne wypadki, a treści schodzi na jedności zasadniczej myśli. Że jednak on także posiadał delikatny i wytrawny zmyśl sztukmistrza, tego dowodzi głównie Cyropedya. Ponieważ tu z większą poetyczną swobodą mógł sobie poczynąć, przeto treść skutkiem misternego użycia epizodów zrasta się w piękną jedność i rozłożona jest symetrycznie.

Polibiusz zaś głębokimi bawił się badaniami i zwracał uwagę przeważnie na umiejętność. Chęć wszędzie i zawsze pouczać, zapomina całkiem o tém, że należy rzecz wystawić stosownie do zasad sztuki. Zamierzył bowiem sobie objaśnić ideę państwa wszechstronnie za pomocą historii i dla tego usiłuje wycisnąć jej piętno wyraźnie na całości i na szczegółach. Na tej idei więc polega istota jego dzieła, któremu w tym względzie jedności treści zaprzeczyć nie można. Ale ta idea właśnie w swęj abstrakcyjnej ogólności jest czysto umiejętna, nie zaś ideą sztuki. Nie da się przeto za pomocą sztuki wyobrazić i dla przestronności swęj wszystko ogarniającej, nie może przybrać formy dzieła sztuki. Forma dzieła sztuki bowiem, jako taka ściśle ograniczona i określona, żąda idei nie takiej, coby w nieograniczonej ilości objawów wszędzie równo się powtarzała, lecz idei wyrażonej w summie objawów stanowiących samodzielną, odrębną jedność.

Polibiusza dzieło więc jest poniekąd bez formy, czyli raczej, ma kształt dzieł umiejętnych, w których forma niknie prawie w obec treści.

Dyonizyzusz, Dyodor i późniejsi greccy dziejopisarze uakonnie nie wiedzą o historycznej umiejętności, mało co więcej o historycznej sztuce. Pierwszy, choć narzuca się na krytyka historyografii, przecie sam nie umie rozwinąć własnych myśli swoich. To też w jego rzymskiej historyi mało dostrzeżesz śladów sztuki historycznej, którą chwali, której się domaga, a nawet w Tucydysesie się nie dopatrył. Lecz będzie o nim z kolei mowa, bo choćby tylko kilka słów poświęcić należy każdemu z tych późniejszych pracowników na niwie historycznej.

Dyodor Sycylijski w kilku miejscach swojej historycznej biblioteki, a mianowicie w przedmowie (ks. I, 1, 2, 3,) uznaje filozoficzny pierwiastek w historyi i przechwala się z zamiarem napisania historyi nie tylko w politycznym, ale i w filozoficznym duchu. Zdaje się jednak, że albo własnych słów nie rozumiał, albo przecenił zdolności swoje: a może też owe piękne słowa są tylko szumnemi, retorycznemi frazesami, w których Dyodor sam nie chciał zawrzeć tak głębokiej myśli, jaką na pierwszy rzut oka zawierają. To też jego historyczna biblioteka wcale nie czyni zadość szumnę obietnicy. Jest to bowiem kompilacya i nie zasługuje na nazwę historyi powszechnej. Nie ma tam po pierwsze jednej zasadniczej myśli, nie ma też przeto całości wykończonę; pojedyncze części bez związku zestawione. Dalej filozofia jego nie jest filozofią historyi, jeno etyką, która szafuje szczerze przepisami, jak się zachować lub jak sobie postąpić w pewnych okolicznościach, podaje tu i owdzie moralne nauki i np. między innymi dowodzi prawdy arcyważnego zdania, że winnych zawsze kara dosięga (XIV, 70, 76; XV, 58. XVI, 31, 56, 58, 64 i t. d.) Nakoniec zdaniem jego historya przeznaczona na to, aby wymierzać sprawiedliwość śmiertelnikom, chwalać lub ganiać ich, sprawować urząd sędziowski boga na ziemi i zapisywać nazwiska tych, którzy zasłużyli na ziemską nieśmiertelność. A jak chętnie, jak szczerze sypie on pochwałami, byleby tylko mózł popisać się pięknem wyrażeniem i retorycznemi zwrotami! Pragmatycznego zaś ducha, głębokości i bystrości pragmatycznych badań, czém odznaczają się Polibiusz i Tucydyses, nie ma u niego ani śladu. Wylicza Dyodor i zestawia wypadki, wyluszczaając w krótkich słowach ich najbliższe przyczyny; w ducha i w charakter narodów i mężów znakomitych nie wnika, lecz przestaje na wzmiance kilku wydatniejszych rysów i przymiotów. O socyalnych pobudkach do historycznych wypadków, o stosunkach ludów pomiędzy sobą miejscem lub pochodzeniem połączonych, o ich politycznym życiu, ich handlu i przemyśle nie ma nigdzie mowy.

Dyonizyzusz z Halikarnasu, współczesny Dyodora, pod wielu względami bardzo do niego podobny. Historyę pisał w celach

egoistycznych. Z jednej strony bowiem chcąc zaskarbić sobie łaskę i względy Rzymian zbija i prostuje na każdym kroku mniemanie ubliżające i nieprzyjazne zazdrosnych ziomeków swoich o podłém i barbarzyńskim Rzymian pochodzeniu; z drugiej zaś zamierzył popisać się i zaimponować wymową i erudycją swoją. Historia zdaniem jego ma stronę praktyczną i teoretyczną. Teoretyczną nazywa téż filozofią z przykładów i wzorów (1). Ale nazwa ta jest tylko szumnym i próżnym wyrazem retorycznym. W historyi bowiem jego nie ma nic filozoficznego; i różnica między tém, co on nazwał praktyczną stroną historyi, a filozoficzną jej stroną jest następująca. Wszystko to, co o wojnach, zatargach i zamieszkach stronnictw i o buntach opowiedział, innemi słowami, gołe opowiadanie historycznych wypadków stanowi praktyczną; to wszystko zaś, co mówi o ustawach, politycznych i religijnych urządzeniach u ludów, o obyczajach i charakterze pojedynczych znakomitych mężów, o pobudkach i przyczynach do wypadków i t. p., głównie jednak mowy i rozprawy moralnej i politycznej treści wplecione w opowiadanie, składają się na teoretyczną stronę jego historyi (2).

Biografie Plutarcha napisane są w lepszym duchu. Czytając je, słyszemy jakby odgłos, echo wielkiej przeszłości. Plutarch téż jest o wiele poetyczniejszy, niż Dydor i Dyonizyusz, choć jego opisy z wyjątkiem biografii Tezeusza, Romulusa i Numy, nie prawie poetyczno-mytycznego nie zawierają. Polityczno-retorycznego pierwiastku także w nich nie ma; lecz wszędzie na jaw występuje moralna tendencja. Pochop do tego dała sama osnowa dzieła Plutarchowego. Biografia zwraca uwagę głównie na wewnętrzne, duchowe życie, na charaktery osób. Z tém wszystkiém zewnętrzna, polityczna strona życia, o której Plutarch często mimochodem tylko wspomina, nie powinna być wykluczona. Atoli historyk ten da się usprawiedliwić. Za czasów jego Rzymian nie nawet przestali już żywo polityczny, Grecja zaś od dawna była rzymską prowincją. Historyografia więc musiała zaniechać szczytnego celu swego i nie zajmowała się już rządem państwa i polityką. Historycy przestali pouczać obywateli w sprawach publicznych i rycerskich, a przynajmniej nie mogło to być główném ich zadaniem. Wskrzesać zaś lub uzacnić i polepszyć obyczaje, zdawało się tém większą być zasługą i tém godniejszym celem, im większe było zepsucie obyczajów, im głębszy upadek ludu. Za tym celem przeto ubiegali się lepsi historycy i Plutarch między Grekami jest pierwszy, który myśl tę i zamiar jasno i z przeświadczeniem o jego dobroci uchwycił i starał się wykonać. A jak Plutarch w większej mierze owiany był duchem

(1) De art. rhet. XI 2, *οτι και ιστορία φιλοσοφία εστιν εκ παραδειγματων.*

(2) Antiquit. Rom. XI, 1, 56, II, 20.

starożytnym niż jego spółcześni i najbliżsi poprzednicy, tak też w równiej mierze on jest samodzielniejszy, oryginalniejszy i wolny od naśladowstwa, któremu następnii historycy więcej hołowali.

Arryan nie przedrzeźniał wprawdzie, lecz naśladował niewojująco Xenofonta. Dlatego można go tu pominąć zupełnie. Więcej zasługuje na uwagę Appian. Widząc, że braknie jedności historyi i historycznym dziełom poprzedników, zaniechał kronikarskiego sposobu spisywania dziejów (Przedmowa) i obrawszy etnograficzny podział, opowiadał historią ludów w takim następstwie, w jakim ludzkie te dostały się pod moc i panowanie Rzymian. Oczywiście rozminął się tem samym jeszcze więcej z celem historyi. Posiekał ją na drobne, nie powiązane kawałki; a nadto zeszcpecił dzieło swoje niedostateczną, w części nawet fałszywą chronologią. Główną jego dążnością było pouczać i dźwigać moralność. Zresztą historia jego jest zgoła suchém opowiadaniem wypadków dziejowych, czyli raczej wojennych buntów, zamieszek domowych, ścierania się stronnictw, podbojów. O idealnej jedności w ogromie objawów historycznych nie miał pojęcia, ani nawet przeczucia.

Dyo Kassynus był uczonym, biegłym politykiem, ale przede-wszystkiem naśladowcą nieszczęśliwym Tucydidesa. I on chce moralnie poprawić, pod względem politycznym pouczyć ziomków. Tak jak Appian opowiada dzieje i sprawy wojenne, ale krom tego nie mało go zajmują osoby cesarzów, dwór ich, jego intrzygi, zbrodnie, występki, dalej teatr, igrzyska, biesiady i swawola Cesarów; Tacytem nie był i nie umiał połączyć historyi dworu cesarskiego z historią państwa. Oprócz tego był dworakiem, który dla przypodobania się czynowi ohydliwemu umiał nadać piękniejszy pozór, — częściej jednak retorem, który dla okraśy i ozdoby retorycznej poświęcał lub przekręcał prawdę.

Herodyana wzorem także był, jak zdaje się, Tucydides. Opowiadanie jego proste, naturalne, poświęcone więcej opisom spraw wojennych aniżeli wewnętrznego stanu Rzymu po śmierci Marka Aureliusza. Moralnie pragnie pouczyć, lecz nie posiada bystrego wzroku, któryby zdołał wnikać w wewnętrzny związek wypadków. Słowem, nie jest ani historycznym sztukmistrzem, ani filozoficznym historykiem; lecz, jak największa część jego poprzedników, retorycznym kronikarzem.

Herodyan był ostatnim znakomitszym historykiem greckim przed byzantyńsko-chrześcijańskim okresem. Przejdźmy więc teraz do Rzymian.

Ponieważ Cezara komentarze mają tylko dostarczyć materiału do historyi i dlatego nie roszczą sobie pretensyi do nazwiska dzieła sztuki, artystycznego wykończenia nie mają też w istocie, przeto Sallustyusz pierwszy zasługuje na naszą uwagę. Naśladowując wielkiego Grecy mistrza w dziejopisarstwie, usiłował Sallustyusz wykonać prawdziwie historyczne dzieło sztuki. Starszy od Liwiusza, żył on za czasów krwawych wojen domowych, które

poprzedziły panowanie Augusta. Miał lat dwadzieścia i trzy, kiedy Cyncero odkrył i w niwecz obrócił spisek Katyliny. Patrzał na zacięte Cezara i Pompejusza pasowanie się z sobą, a w unyś jego młodociany wraziły się głęboko zakus Sertoryusza i bunt gladiatorów. Widok upadku i rozkładu rzeczypospolitej, który jego samego nawet wtrącił w odmęt zamieszania i wrzących żywiołów, wrył się w pamięć jego na zawsze. Czuł to niemal w każdym wyrazie jego historycznych opisów. Po raz ostatni wtedy starły się gwałtowne, niszczące się nawzajem namiętności, które od czasów Grachów nurtowały cały naród. A przecie życie Sallustyusza przypadło równocześnie na czasy rozkwitu rzymskiej literatury, sztuki i umiejętności. Cyncero, największy mówca Rzymu, opracowywał oraz grecką filozofią na sposób rzymski, czyniąc ją przystępniejszą i strawniejszą dla ziomków. Lukrecyusz i Katullus naprowadzili na tór nowy rzymską poezją i dawali dowody delikatniejszego smaku, wyższej oglady i znajomości sztuki greckiej. Co do historyografii zaś Sallustyusz pierwszy, z powodzeniem i swobodnie biorąc wzór z greckich dziejopisarzy, wykształcił ją pod względem formy wystawienia, piękności, siły i pełności wyrażenia do tego stopnia, że śmiało mogła stanąć obok greckiej i z nią mierzyć się. Za wzór służył Sallustyszowi Tucydides. Pomiędzy wiekami bowiem i społeczeństwem obywatelskiem, w których żyli, tudzież pomiędzy rzeczą, którą każdy z nich wystawiał, było pewne podobieństwo.

Liwiusz w swoim obszernem dziele zamierzał ukazać niespracowany popęd do zaborów, wielkość duszy i żądzę panowania Rzymian z jednej strony, a z drugiej wynieść pod niebiosa i uwielbić ich prawość i sprawiedliwość. Oszukuje nawet siebie samego, hyleby dowieść niewinności i usprawiedliwić kroki i postępkę Rzymian przed ich własnym trybunałem. Sallustyusz zaś w dwóch krótkich zachowanych pismach wyraźnie i dobitnie maluje inną stronę, inny przymiot ducha rzymskiego, o którym Liwiusz ledwie tu i owdzie coś napomyka. Sallustyusza duszę rozgrzewała idea sławy; pałał on namiętną żądzą wyniesienia i uniesmiertelnienia się. Z tej namiętności wyległy się może błędy i nieprawości, o które go obwiniano. Namiętność bowiem nakłoniła go wcześniej do zajmowania się sprawami publicznymi. A zabrnawszy nierozważnie w wir i odmęt intryg, w kałużę moralnego zepsucia i ohydnych występków, na które puszczałi i wylali się wówczas i pierwsi dostojnicy państwa i jego młodszy spółzawodnicy w zawodzie publicznym, porwany i uniesiony został prądem powszechniej nieprawości i ogólnego skażenia. Może Sallustyusz podzielał zdanie Cezara, że, choćby przyszło poświęcić własną moralność i uczciwość, należy pobleżaniem i unizonością uprzejmą zjednać sobie serca ziomków. Ale nie umiał on, jak Cezar, ować stosunków i wypadków i zapanować nad duchem otaczającego go świata. Dopiero w dojrzałym wieku upamiętał się i spostrzegł, że chybił drogi i celu. Niebawem inną drogą jednak zdą-

zał do świątyni sławy; wyrzekł się poprzedniego życia i obłędu i usiłował umiejętnością osiągnąć to, czego mądrą uprzejmością, siłą ramienia i odwagą zdobyć nie zdołał. Tak przynajmniej w własnych pismach zwierciadli się obraz jego umysłowego życia (1). Idea sławy i nieśmiertelnienia się straciła go w fale hurzliwego, pełnego niebezpieczeństw życia, a ztamtąd wywiódłszy rzuciła w objęcia umiejętności. Ideę sławy uważał Sallustysz za pobudkę, za sprężynę wszystkich wielkich czynów (2). Ona, zdaniem jego, za pomocą historyi miała w duszach zacnej młodzieży zagnieździć się, rozkwitnąć uroczo i prowadzić do cnoty (3). Fałszywej ambicyi i wyniosłości i innym w ślad za owemi idącym przywocom przypisywał zepsucie wieku swego (4).

Tak więc rozumiał Sallustysz historią rzymską; w tym duchu, w tym celu napisane są jego dziełka dwa: wojna z Jugurtą i spisek Katyliny, będące jasnym i wymownym obrazem jego wieku. Katylina, to mąż jędrny, krzepki, utalentowany. Ale skutkiem fałszywej ambicyi i rozwiązłości pogrążył w zepsuciu. Zamysł jego, wywrócić panujący porządek rzeczy, wylał się w jego głowie właśnie skutkiem powszechnego skażenia. Szlachetna bowiem miłość sławy i nieśmiertelności imienia zamieniła się w samolubstwo i chwałę wyniesienia się nad innych. Jugurty zaś wojny i losy zaznaczają początek walki i dały jakby powód do zaciętego sporu pomiędzy stronnictwem ludowem a rzymską *nobilitas*, napuszoną i oddaną zazdrośnej ambicyi. W wojnach tych przejawiała i rozkiełznała się owa ohydna namiętność, która już nie dba na dobro ojczyzny, jeno ubiega się za własną potęgą i dla niej wszystko poświęca. Ta namiętność odsłaniająca widok na wewnętrzne życie Rzymu, stanowi punkt środkowy w historii Jugurty, a z historią Jugurty łączy się, jakby ciąg dalszy i koniec opowiadania historycznego, spisek Katyliny, gdyż tu owa zgubna namiętność doszła do tego stopnia siły i potęgi, że musiała koniecznie sprowadzić ogólną zmianę i przewrót dotychczasowego porządku rzeczy. Jakim sposobem więc Rzym doszedł do tej ogromnej zmiany istoty swej wewnętrznej, to pokazać było wielkiem zadaniem Sallustyusza. Z zadania tego wywiązał się wybornie; i dlatego stoi w rzędzie dziejopisarzów mających znaczenie uniwersalne. Choć bowiem nie obiecał tego, wnikił głębiej w życie ówczesne obyczajowe i publiczne i charakteryzuje dokładniej niż Liwiusz osoby pojedyncze, odgrywające wówczas ważniejszą rolę. Na tem też polega moralny pierwiastek w jego dziełach. Za pomocą gruntownej charakterystyki, za pomocą opisu obyczajów w Rzymie i przez zestawienie i porównanie starorzymskiej *virtus* i *gravitas* z nowomodną swawolą i nieprawością, chciał odświeżyć pamięć dawno zapomnianej i wzgar-

(1) *Catil.* 1—14 mianow. 1, 3, 4, 8, 11. *Jugurt.* 1—5.

(2) *Cat.* 7 *Jug.* 1, 2. (3) *Jug.* 4. (4) *Cat.* 11.

dzonęj enoty i zwrócić uwagę na ważność i znaczenie potężne obyczajów.

W obydwóch zaś zachowanych po nim dziełach panuje jedność treści, która koniecznym jest przymiotem wszelkiego opowiadania historycznego, jeżeli w ogóle rości pretensją do nazwiska sztuki. W Jugurcie, jak już innemi powiedziano słowami, jedność tę stanowi opis wszechceterj już przez Grachów walki stronnictwa ludowego z rzymską *nobilitas*, jako też szkodliwych i dla honoru i jedności państwa zgubnych jej następstw. W Katylinie zaś polega ta jedność treści na opisie zupełnego rozstroju i rozkładu państwa w skutek owęj walki, jakoteż na rozwinięciu wywijającej się z takiego położenia rzeczy konieczności nowego porządku. Pomimo tęj jedności treści nie ma jednak w dziełach tych jedności i piękności formy. Była temu na przeszkodzie rzecz sama, której zmienić nie było można. W wojnie z Jugurtą żaden wypadek nie wznosi się tyle nad drugie, aby mógł być uważany za środek, za punkt kulminacyjny w opisie; tęp więcęj, że ten środek nie mógłby wylamywać się, że tak powiem z pod władzy jedności w zasadniczej myśli. Gdyby kto odwołanie Metella i wyniesienie Maryusza chciał poczytać za punkt kulminacyjny czyli za przesilenie w akcyi, ten musiałby przyznać, że wypadek ten nie zostaje w żadnym koniecznym związku z dalszym biegiem i końcem wojny, ani tęp innego obrotu w ogóle nie dał sprawie. Jugurte już Metellus był zwyciężył, a potęgę jego niewątpliwie tak samo byłby zniósł do szczytu Metellus, jak po nim Maryusz. Gdyby zaś kto klęskę i los ostateczny Jugurty uważał za ów konieczny punkt środkowy, temu trudno byłoby wykazać związek między tym wypadkiem a rozdwojeniem i stronnictwami zatarganymi nurtującemi łono rzeczypospolitej rzymskiej. Zbywa więc całości historycznej na jedności akcyi, ponieważ jakby przypadkowo tylko nienawiść i spór stronnictw w Rzymie samym właśnie w czasie wojny Jugurtyńskiej w płomień wybuchnęły. Podobnie rzecz ma się z Katyliną. I tu akcyja rozdarta. Autor bowiem nie życie Katyliny chciał opisać, jeno część historyi rzymskiej skreślić, to jest niefortunny i niepomyślny zakus owego męza, co targnął się na istniejący porządek rzeczy i ustawę rządową. Wszakże część tylko tęj historyi, zdaniem Sallustyusza samego, może mieć to znaczenie, które powyżej jako ideę całego dzieła określono. A zatęp Katyliny rozpaczliwa walka i śmierć nie może stanowić środkowego punktu w opisie, ponieważ nie jest w żadnym związku z dalszemi losami Rzymu, które w owęj zasadniczej idei są wyrażone i nią objęte. Gdyby zaś kto punkt ten kulminacyjny upatrywał w wybornych mowach Cezara i Katona, jako tęp w uchwałach senatu zapadłych i ogłoszonych w skutek mów owych, dlatego że od tęj chwili zaczyna się upadek Katyliny i spiskowych, ten zupełnie fałszywe miałby o rzeczy tęj zdanie. Prawda, że życie i sposób myślenia Cezara jest w wewnętrznym związku z owym rozstrojem i rozkładem całego życia pu-

blicznego w Rzymie, ale nie osobistość Katona. Katona nie wolno poczytać ani za reprezentanta upadłych magnatów Rzymu, ani za przedstawiciela ludu znarowionego i znikczemniałego. Owszem, mąż ten, charakteru zupełnie odrębnego, prawie sam jeden stoi jakby samotna skała w rozhułkanym morzu i może uchodzić chyba za przewodcę małej garstki istotnych patryotów starszej daty. Ale ci nie zwyciężyli i nie odnieśli tryumfu nad zepsuciem i nierządem rzeczypospolitej, tak jak Kato w senacie nad Cezarem. Katylina także nie zwyciężył; a przecie rzeczpospolita, jak przedtém rozdarta chyliła się ku upadkowi i zdążyła do punktu, na który opis Sallustyusza ciągle wskazuje. Sprzeczności te więc zakłócają i mącą formę; one przyczyniają się do tego, że akcja pod względem pojedynczych objawów i wypadków nie jest w żadnym związku wewnętrznym z jednością zasadniczej myśli. Spisek Katyliny, jako szczególny objaw, wywiązał się z ówczesnego położenia Rzymu, które Sallustyusz zamierzył opisać. Atoli obrot i koniec, jaki wziął ten spisek, nie odpowiada wcale temu położeniu. Gdyby Jugurta i Katylina byli zwyciężyli, byłoby można też osiągnąć jedność formy, zgodną z jednością zasadniczej myśli. Nie wolno jednak dlatego zaprzeczyć Sallustyuszowi mistrzostwa w sztuce historycznej. Wybrany przedmiot często nieprzezwyrodnione trudności sprawia sztukmistrzowi. Kto więc, czy większy od Sallustyusza historyk byłby pokonał zwycięzko te trudności. Ducha zaś potęgi i moey stylu i porównującego opisu niepodobna nie uznać w jego dziełach; i to pewna, że trudności musiały być bardzo wielkie, że ich geniusz jego nie przelamał.

Liwiusza piękne opisy wielu podziwiało i chwaliło nadzwyczajnie; ale nikt dotychczas nie odważył się uznać jego historią za dzieło sztuki. W istocie też piękności tylko dopatrzeć się można w opowiadaniu szczegółów, nie w układzie i formie całości. Na piękność tę składają się: siła i pełność prawdziwej wymowy, lekka i powabna potoczystość okresów, jasne i dobitne opisy, żywe i dramatyczne rozwijanie pojedynczych wypadków, w ogóle plastyczna postać nadana każdemu objawowi z osobna. Liwiusz bowiem dodaje obraz do obrazu, opowiada fakt po fakcie; i dlatego jego, jak Herodota i Xenofonta, policzono w poczet historyków wystawiających rzeczy epicznym sposobem. Nie wolno jednak pomimo tego uważać historią jego za dzieło sztuki w epicznym rodzaju. Toć i epos, jako dzieło sztuki, domaga się wewnętrznej jednności treści i zewnętrznej jednności i piękności formy, tak jak dramat. Od jednej i drugiej zaś odsądzić należy Liwiusza i nie wyrządzi mu się przez to krzywdy. On wszędzie naśladowuje starannie tryb rocznikarzy. Zestawia bowiem wypadki całoroczne i do dziejów jednego roku dodaje dzieje drugiego. Aby w tak różnorodnym i niepowiązanym materyale zaprowadzić jakąś jedność artystyczną, na to było potrzeba mistrzostwa Tucydidesa lub Tacyta; do tego było potrzeba przedewszystkiem jednności

zasadniczej myśli, któraby przebijając się przez całość i wskroś ją przenikając, kojarzyła i jednoczyła szczegóły. Liwiusz w ogromie dziejów rzymskich, na których zbytnią pełnością sam skarży się, nie zdołał wynaleźć jednej zasadniczej myśli. Nie umiał on też łączyć wewnątrznie szczegóły, bo nie dbając na znaczenie, jakie mają objawy historyczne i w stosunku do siebie i w stosunku do całości, nieustannie zdązał naprzód i przechodził do coraz większych i nowych czynów ludu rzymskiego. Każdy zaś szczegół nowy uważa jako całość odrębną i niezależną. Tak więc w opisie szczegółów mógł Liwiusz dopiąć rzeczywiście artystycznej doskonałości, ale całość nigdy nie mogła być dziełem sztuki.

Podobnie zapewne postąpił sobie Trogius Pompejus, jeżeli wolno jaki wniosek wyprowadzić z wyciągu Justyna. Zaniechał on jednak metody rocznikarzy; lecz że dzieje pojedynczych ludów na wzór epizodów w osobnych zestawiał księgach, ułatwił tём sobie niezmiernie zadanie i pracę. Dzieje te zaś luźno z sobą są połączone, a w ostatnich księgach historia rzymska bez wszelkiego związku z poprzedzającymi rozdziałami dodana. Oczywiście już to sprzeciwia się artystycznemu zaokrągleniu całości (p. Appian); ale braknie w ogóle jego historyi wewnętrznej jedności zasadniczej myśli w takim stopniu, że nie więcej sztuki dopatrzeć się w niej można, jak w dziełach Dyodora, Dyonizjusza i późniejszych historyków, którzy większe okresy historyi albo dzieje powszechne opracowali.

Zwróćmy teraz uwagę naszą na Tacyta, którego uznano powszechnie za mistrza w sztuce historycznej. Toć nawet na zasadzie dzieł jego głównie sprostowano i określono pojęcie tej sztuki w nowszych czasach. Tacyt w rocznikach (*Annales*) bezsprzecznie zamierzył dać opis tego, jakim sposobem cesarstwo wyrodziło i zamieniło się w najzupełniejszy despotyzm; dalej, jaki opór temu stawiał lud spollony, bezsilny, lecz chętnie do stronnictw się zaciągający, i arystokracja przez cesarzy srodze uciskana; i nakoniec, jak w walce tej ród cesarski Juliuszów do szczętu wytracony zginął. Zadaniem zaś Tacyta historyi (*historiae*) było pokazać, jak cesarstwo zamieniło się w umiarkowaną, prawną i dla owych czasów niezbędną władzę, tudzież jak życie narodowe i publiczne w Rzymie przekształciło się stosownie i odpowiednio do owęj władzy. Oba dzieła uzupełniają się więc, choć każde stanowi osobną całość, połączoną jednością treści. A treść ich rozmaita i dlatego też odmienna ich forma. Pierwsze domagało się zwięzłego wprawdzie, lecz mniej spojonego wystawienia rzeczy, jakie właściwe jest rocznikom. Tak bowiem sprzeczności i przeciwieństwa lepiej się uwydatniały, a spór i wzburzenie wszystkich uczestników w akcji jawniej na wierzch wychodziły. W drugim zaś dziele, w którym zamierzył Tacyt skreślić obraz wyrabiającej się nowęj formy życia społeczeńskiego, użył stosownie obszerniejszego, objaśniającego i łącznego opowiadania, jakim posługuje się pospolicie właściwa historia.

W zachowanej części historii zdaje się być środkowym punktem akcyi dramatycznej ostatnia walka Flawianów i Witellianów o to, kto zostać ma panem miasta (III, 75 i nast.). Chwila ta, kiedy po jednej stronie ginie śmiercią rozpaczłą pokonany Otho i na jaw wychodzi Witelliusza wzgardliwa słabość, nieudolność i niepowściągliwość, a po drugiej ukazuje się i występuje zabiegły i mądry Wespazyan, jest widocznie kulminacyjnym punktem w opowiadaniu historycznym. Nie tylko dlatego za środek akcyi chwilę tę poczytać należy, ale i dlatego, że odąd Wespazyan bezpiecznie wchodzi w posiadanie miasta i rządów. Może jednak chwila ta być tylko środkowym punktem w historii Wespazyjskiego imperyumu. Gdybyśmy posiadali zatracone części historii, nie zachowałyby niewątpliwie w całości tego przymiotu; i pokazałoby się, że historyom Tacyta zbywa tak samo na prawdziwie dramatycznej jedności formy (t. j. akcyi zewnętrznej), jak na niej zbywa rocznikom, uważanym jako całość jedna. Jedność tę wykazać bowiem można tu (w rocznikach) tylko w historyach pojedynczych cesarzów. Każda z nich w sobie jest dramatem, który się kończy wraz z śmiercią imperatora. Z wyniesieniem zaś i z losami następcy jego łączą dramat odegrany tylko zewnętrzne, więcej przypadkowe okoliczności. Wewnętrzny związek pomiędzy rządami cesarzów nie ma, t. j. takiego, jaki jest między przyczynami i następstwami. A przecie tylko w takim razie możliwa jest jedność formy w opisie. W całej historii rodu cesarskiego Juliuszów i ich wieku, nie ma ani jednego wypadku, któryby mógł być poczytany za stanowczy zwrot w akcyi, za przesilenie w dramacie, za ów punkt wydatny nakoniec, w którymby przeszłość i przyszłość stykały się niby i z któregoby wszystkie czyny i wypadki, jakby z wyżyny wyskakujące po nad inne, przejrzej można. Dlatego Tacyta roczniki połączeniemi jedną zasadniczą myślą. Jedność formy polega tam na kilku punktach, które są środkowemi punktami akcyi w rozmaitych dramatach i z których żaden nad drugie się nie wynosi. I uni znów w rocznikach Tacyta dopatrzyli się charakteru więcej epicznego. Prawda, że w eposie łączy się niekiedy kilka wielkich akcyj, jakby różne dramata, które otacza czyli oplata jedna ważniejsza, główna akcja takim sposobem, że jedność akcyi ma jakby kilka punktów środkowych. Ale i między niemi punkt jeden winien być wydatniejszy od innych, sterzec po nad niemi, jak najwyższy szczyt w gór pasmie, i na nich się opierać. A żeby rzecz tę jaśniej wytłumaczyć, dodamy, że rozmaite akcyje winny na wzór spółśrodkowych kół mieć wspólne centrum, w którym wszystkich kół promienie się zbiegają. Tego środka w rocznikach nikt dotąd nie dojrzał, a kto wie, czyby i w historyach dał się wynaleść, gdybyśmy całe dzieło posiadali. Dlatego nawet ze stanowiska epicznej poezyi uważane, dzieła Tacyta nie mogą uchodzić za wykończone dzieła sztuki.

Że brak ten wywiązał się jedynie z własności obranej rzeczy historycznej, o tém nikt wątpić nie będzie, kto zna Tacytą i potęgę jego geniuszu. Można prawie na pewne przypuścić, że Tacytowi udało się dokonać tego, co było można wykonać. Ogrom i pełność rzeczy przeciwi się wewnętrznej istocie sztuki, która w szczególnym objawie usiłuje wykazać i wystawić bezwzględność boskiej myśli i, aby uchodzić za sztukę, winna trzymać się pojedynczego objawu (1). Temu ogólnemu prawu podlega nie mniej sztuka opowiadania historycznego. W ogromie materiału ona traci także koniecznie jedność formy i treści. Tacyt, obdarzony przednim zmysłem artystycznym, zrozumiał to doskonale i dla tego opis dziejów cesarstwa, którego chciał dokonać, podzielił na dwie wielkie części: na *roczniki* i na *historye*. Gdyby ich nie był rozłączył, nie byłby mógł nawet jedności treści zachować. Charakter cesarstwa bowiem i rzymskiego życia publicznego i ludowego, był zupełnie inny za czasów Julijskiej dynastyi aniżeli za panowania Flawiuszów. Jedności formy zaś ściśle artystycznej musiał zrzec się historyk, aby nie posiekać na drobne kawały całego ogromu osnowy historycznej i nie napisać, czego nie chciał, biografii cesarzów. Byłby wprawdzie tym sposobem więcej zadosyć uczynił wymaganiom sztuki, ale nie byłby napisał dziejów państwa rzymskiego. Przeszał więc na tém, co było można wykonać. Jedność dramatyczną nadał, w miarę możności, bardzo wielkim częściom dzieł swoich, i, ponieważ nie mógł złożyć jednego wielkiego dzieła sztuki, zestawił kilka, które w pewnym są połączeniu.

Atoli zgrzeszywszy pod tym względem przeciw sztuce, starał się złe naprawić pod innym. Usiłował bowiem Tacyt z historii nie tylko złożyć całość wyborną i misterną pod względem wystawienia rzeczy, ale i stworzyć arcydzieło ożywione duchem prawdziwej, istotnej sztuki. Szło mu przeto nie tylko o jedność treści i piękność formy, ale i o to, aby na osnowie wycisnąć piętno ważnej po wszystkie czasy idei boskiej z sztuką wytrawnego artysty. Choć mu się to nieudało w zupełności, gdyż nie było wolno nadać rzeczy kształt taki, jaki mógł być przydatny do celów artystycznych, przecie nader zajmującą jest rzeczą; śledzić

(1) Dlatego Homerowe epopeje nie walkę Greków z Troją, lecz gniew boskiego Achilla, nie czyny i losy Odyseja w ogóle, lecz tułactwo jego opiewają, jak już Arystoteles o tém wspomina na ich pochwałę. Przeciwnie zaś gani tenże tych, co „dwojaki błąd popełniali i wykraczali przeciw kompozycyi Homerowej, gdy albo jedną, ale wieloramienną czynność opisywali, nie robiąc użytku z epizodów i tak więc kilka oddzielnych wypadków zestawiali, albo, jak to czynili piewcy Herakleidów i Tezoidów, widzieli błędnie jedność osnowy w jedności osoby opiewanego bohatera i łączyli wszystko z sobą, co ów czynił i cierpiał, lub cokolwiek do niego się odnosiło”.

kroki sztukmistrza i widzieć, dokąd go usiłowania doprowadziły. Tacyt badając umiejętnie historią, uznał ideę moralną za sprężynę i pierwszą przyczynę ludzkich czynów i losów. Idea ta, objawiająca się w obu głównych jego dziełach historycznych, należy jednak, jak idea państwa, sztuki, religii i t. p. w swój oderwanej ogólności do filozofii, nie do sztuki. Sztuka indywidualizuje idee filozoficzne, aby ich mózdz użyć do swych celów. Dlatego np. idea kary bożej (Nemesis) lub idea powinności staczającej walkę z namiętnością, mogą być przedmiotem sztuki, choć obie podrzędne są idei moralności. Tacyt tyle posiadał zmysłu artystowskiego, że czuł dokładnie potrzebę takiego indywidualizowania idei filozoficznej i dlatego starał się wyrazić ideę moralności w obu dziełach swoich, wystawiając idee podrzędne (należące jako gatunki do owej ogólnej idei) i ich szczególne objawy. W rocznikach jest to idea samolubstwa i rozwiązłości, które niszczą się same, gdy doszły do ostateczności, i giną wytracone pomstą Bożą. Idea ta zaś objawia się z jednej strony w tragicznym upadku Julijskiego rodu, z drugiej w poniżeniu ludu rzymskiego, pogrążonego w zupełnym niewolnictwie. W historyach zaś upadek Galby, rozpaczne samobójstwo Othona i haniebny koniec Witelliusza po jednej, a po drugiej stronie szczęście Wespazyana i bezmortalne wyniesienie jego, uskutecznione staraniem innych, uwydatniają nam walkę ludzkiej bezsilności i niedołęztwa z wolą przeznaczenia. Oto, prawdziwie starożytna idea sztuki, bo jest podstawą prawie wszystkich tragedij starożytnych. Ale Tacyt wystawiając moralne poniżenie, niezaradną niedołężność i głupotę w walce z potęgą i duchową przewagą Wespazyana, przeniósł ową starodawną ideę z dogmatyczno-mystyczno-poetycznej dziedziny konieczności ślepej do historycznej dziedziny moralnej wolności. Obie zaś idee wystawieniem rzeczy kunsztownie uzasadnia. W rocznikach bowiem pokazuje, jak ten, co wykroczył przeciw powszechnemu, boskiemu nakazowi umiarkowania i powściągliwości, podlega strasznym następstwom takiego przewinienia; w historyach zaś wystawia w najżywszych kolorach, jak tajemnicza potęga losu w sojuszu z ludzką siłą i mądrością, karci zaślepienie i występność. Obie te idee, po artystowsku upostaciowane, polegają w gruncie rzeczy na ogólnej idei moralności. Pokazuje się więc, że Tacyt starał się ściśle połączyć i zjednoczyć umiejętność badacza z usiłowaniami sztukmistrza na niwie historycznej (1).

(1) Jeden szczegół jednakże w Tacyta dziełach historycznych zasługuje jeszcze na uwagę. Jest to podmiotowość zdania i wystawienia. Nikt czytając jego pisma, nie zapomni ani na chwilę o tém, że Tacyta ma w ręku. Jego osobistość, jego indywidualność przebija się w każdym słowie. Wyoiśniona ona wyraźnie i dobitnie na rzeczy historycznej. Oczywiście nieprzyjemne wrażenie sprawia to zakazane i fałszywe piętno; a choć wrażenie

Nie potrzebujemy podobno czynić sobie wyrzutów sumienia z tego, że resztę łacińskich historyków pominiemy. Żaden z nich nie był historycznym sztukmistrzem. Bo albo, jak Florus, nie po artystowsku ani po dziejopisarsku zamieniali oni materiał historyczny i historią samą na wielki, dźwięczny dla ucha frazes: albo też, jak Swetoniusz i jego szkoła, kładli wszystko to, co ich zajęło, składacie lub bez ładu w jedną skrzynię i zostawiali czytelnikowi do woli, co z nagromadzonym materiałem począć zechce lub zdoła. Oczywiście, ta rzemieślnicza robota zbierania i gromadzenia nie może uchodzić za historią, czy historią za umiejętność, czy też za sztukę poczytamy. Historia, o ile opisuje obszar ludzkich czynów i zdarzeń, tém tylko zajmować się powinna, co z celem ludzkiego myślenia i życia w ogóle w zgodzie jest wewnętrznej, duchowej. Prawdziwy przeto historyk wykaże oczywiście tę stronę wypadków, która niby przystaje do owego celu i z nim je łączy. Pojedynczy historyczny objaw ma wagę u niego tylko wtedy, gdy ogólna, ważna, boska myśl w nim wyrażona. Czy więc historyk objawy historyczne pojedynczo uważa, tylko w pojedynczych jedność myśli wykazuje i ogólną ideę wystawia na widok, lub czy też odwrotnie, one pojedyncze objawy uważa tylko za części całości, tę całość sprowadza do jedności myśli i w tej

to łagodzi znacznie ta okoliczność, że Tacyta pod wielu względami mieć można za reprezentanta rzymskiego ducha i charakteru, przecie historyk nie da się tém uniewinnić w zupełności. Owszem, pierwszym jego zadaniem było, ukryć całkowicie swoją osobistość. Powinna była rozplynać się, że tak powiem, w opracowanej rzeczy. Tak poczyną sobie umiejętność. Osobistość ginie w przedmiocie i staje się poniekąd sama przedmiotową. Sztukmistrz zaś przejmując w siebie materiał, przyswaja go swemu duchowi, tak że staje się panem jego i czyni go samym sobą. Tego nie wolno jednak zrobić historykowi. W jakim stopniu osoba Tacyty wszędzie na jaw występuje w jego dziełach historycznych, o tém najlepiej przekonać się można, porównawszy to, co on opowiada, z opowiadaniem Swetoniusza lub Dyona Kasjusza. Nie należy jednak sądzić, że Tacyt fałszuje, przekręca czyny i wypadki; nie, cała historia, opisane przez niego czasy naprowadzone są kolorytem, wziętym i naniesionym z duszy historyka. Kompozycya i rozkład światła i cienia to jego własność, a treść niby duchem jego owiana. Czujemy, że patrzymy na wszystko oczyma Tacyty, że słyszymy wszystko uszyna jego. Podobnie rzecz się ma z Tucydidesem. I w jego dziele osobistość historyka wszędzie widoczna; pojmujemy i rozumiemy rzeczy narzędziem jego ducha. Przeciwnie Liwiusz i Ksenofon, znacznie słabsi historycy, przewyższają ich pod względem prawdziwie przedmiotowego wystawienia rzeczy. Zatem, im większa i potężniejsza osobistość jest historyków Tucydidesa i Tacyty, z tém większą ostrożnością czytać należy ich dzieła, abyśmy przyuczeni i przekupieni ich duchem nie widzieli tam czystej, szerszej przedmiotowości, gdzie, jeżeli już nie więcej, naprowadzono przy najmniej podmiotowy koloryt.

całości historycznych objawów boską ideę wysledzić usiłuje, na tém polega, zdaje się, istotna, prawdziwa różnica pomiędzy sztukmistrzowskiem a umiętnym opracowaniem historyi.

Czemu starożytni umiętnie nie opracowali historyi? Jaką drogą, jakim sposobem dobrali się do sztuki historycznej? Aby na te pytania odpowiedzieć, winniśmy wykazać, w jakim celu starożytni pisali historią. Otóż, pisząc historią usiłowali starożytni w części retoryczno-polityczne dawać nauki, w części pokrzepić i odświeżyć uczucie moralne, stawiając na widoku wielkie wzory i wzniosłe przykłady, w części nakoniec zabawić przyjemnie i zrobić umysłem rozrywkę. Stosownie do tego historią przywdziewała w części szatę krasomówską, w części powłokę poetyczną. Zatem polityka i moralność, retoryka i poezya, stanowiły składowe pierwiastki starożytnej historyografii.

Na filozoficznem, czysto-duchowym znaczeniu historyi nie poznali się ani Grecy, ani Rzymianie; nie opracowywali jej też umiętnie: lecz zapatrując się na nią tylko z jej zmysłowej strony, badali jedynie szczególny objaw jako szczegół. O tém zaś, że wszystkie historyczne objawy razem jedną ideą są połączone, ledwie mieli przecucie; i dlatego z historyi tyle tylko pożytku ciągnęli dla dobra ogólnego, ile z pojedynczego objawu i jego stosunków i względów było można wyciągnąć.

Tém tłumaczy się, dlaczego starożytni tylko to, co wyżej wyszczególniono, nie zaś wznioślejszego w historyi dostrzedz i znaleźć nie mogli. Tém dalej tłumaczy się i to, dlaczego historią uważali jako sztukę i stosownie do przepisów sztuki opracowywali. Zapatrując się bowiem na życie i historią przeważnie jedynie z zmysłowej ich strony, a nadto rozumiejąc życie i historią tylko w pojedynczym objawie, przenieśli ją już tem samem w dziedzinę sztuki. Pojedynczy, zmysłowy objaw zaś uważali z idealnego stanowiska. Do zajęcia tego stanowiska bowiem prowadziły i usposabiały ich religia i mytologia, które tylko idealny kształt życia ludzkiego wyobrażały i wystawiały; to stanowisko wciąż im wskazywały poezya i arcydzieła sztuki plastycznej. Z tego stanowiska uważany świat historyczny nabył zdolności do przybierania kształtów mistycznych. Wyobraźnia przypodobiała go idealnym postaciom i przyodziała plastyczną formą, t. j. nadała idealną doskonałość jego zmysłowym objawom. Ten artystowski sposób pojmowania świata nadawał się wybornie do starożytnej historyi, dlatego że rzeczywiste życie starożytnych miało niby idealną podstawę, przebijającą się wszędzie przez rzeczywistość. A ponieważ tym sposobem życiu i rzeczywistości nawet dostał się w udziale pozór sztuki, przeto historią sama przez się z sztuką się połączyła. Ztąd to pewnie owo artystowskie, swobodne kształtowanie osnowy historycznej, które w naszych oczach uchodzić musi za nie krytyczne i za nie historyczne, nie obrażało tak bardzo starożytnych, choć jako miłośnicy prawdy nie łatwo przepuszczali tym, co minęli się z prawdą. Pamiętajmy jeszcze o tem,

że bardzo niepewne były źródła, z których płynęła historia, że mało znano ziemię, jej kształty i ludy, że w naukach przyrodzonych bardzo mało zrobiono postępy i że nauki te uważały prawie tylko na zewnętrzne zjawiska a nie dociekały sił działających i praw tychże, i że dlatego wszędzie jeszcze cuda i nadprzyrodzone pojawy przypuszczały. Wszystko to nie mogło historycznej treści nadać niezachwianej pewności. Postacie historyczne nie były w ogóle z taką pewnością i tak dobitnie narysowane, jak w nowszych czasach. Zaczem wyobrażenia musiała być nie mało czynna i uzupełniać to, czego niedostawało; a tём samem historyczne objawy same były sposobniejsze do przybierania kształtów mistrznych sztuki.

Jeżeli więc tym sposobem nawet historyczną osnowę sztuki mistrzowi dziejopisarzskiemu było wolno swobodniej opracować i ukształtować, to forma winna była w wyższym jeszcze stopniu przystawać do sztuki. Ponieważ starożytni, jak już powiedziano, na życie w ogóle zapatrywali się więcej z zmysłowej jego strony, przeto do formy też więcej przywiązywali wartości, niż nowocześni. Podobnie zaś zapatrywali się także na historią; jak życie, tak też pojmowali i rozumieli historią. Dlatego musiała i tu forma mieć u nich większą wagę. Ztąd chodziło im naprzód o to, żeby w stylu i wystawieniu nabrali jak najwięcej wprawy, żeby styl i wystawienie były ozdobne, silne i piękne. Ztąd poszło dalej, że przepisy retoryki i poetyki, które i tak zgadzały się z tём, czego sami wymagali po historii, zastosowali do opowiadania historycznego. Równocześnie historia zapewniała im zmysłową, ziemską nieśmiertelność, której w znaczeniu wznioślejszém siłą wiary nie zdołali pojąć. Z tego powodu także ubiegali się za wspaniałą, wyniosłą formą, w której przekazać chcieli potomności sławę wielkich mężów i ich czynów. Tak więc wnet w obszerniejszych granicach formę opowiadania podług przepisów sztuki kształtować zaczęli, i przez misterne zestawienie szczegółów, przez stosowny rozkład światła i cienia, jako też przez koloryt i układ historycznych obrazów, starali się osiągnąć pewną plastyczną piękność i pełność.

Najstosowniejszym zaś środkiem do tego było naśladowanie dramatu. Historyczne osoby miały same występować, działać i mówić. To z jednej strony zgadzało się z ich politycznemi celami. Chcieli bowiem być pouczeni w wymowie, która wyobrażała starożytną mądrość polityczną. Z drugiej strony zgadzało się to jeszcze więcej z ich sztukmistrzowskimi dążnościami. Chodziło im bowiem o to, żeby opowiadanie było uplastycznione, pełne ruchu i prawdziwego życia. Nakoniec zgadzało się to z ich ludzkimi życzeniami. Pragnęli bowiem uwiecznić historyczne osoby przeszłości i teraźniejszości, zdejmując, że tak powiem, kopią ich postaci w chwili, kiedy działali i wytężali siły ducha swego, aby ich jakby żywych jeszcze ukazać potomności. Dlatego też sądzili, że tём nie obrażą wierności i prawdy historycznej,

gdy historyczne opowiadanie przeplotą mowami, nie mającemi nawet podstawy tradycyjnej, byleby te wymyślone mowy były zastosowane do charakteru i ducha działających osób, jako też do okoliczności i stosunków (1). Zdaniem ich dalej nie obrażali jeszcze prawdy, gdy opisom i mowom większą nadawali siłę retoryczną, lub opowiadanie gdzieindziej naprowadzali barwą poetyczną. Tą drogą więc pierwiastki, właściwe sztuce, wciśnęły się do historii.

Równocześnie jednak czuli starożytni, a wniosek ten wolno wyprowadzić z słów Arystotelesa, o których już wyżej była wzmianka, że ich historycznym dziełom zbywa na wewnętrznej jedności i na zaokrągleniu, że nie mają środkowego punktu, około którego szczegóły układałyby się składnie i kojarzyły w całość okrągłą. A ponieważ w skutek ograniczonej i częściowej tylko znajomości ziemi i ludów, w skutek zmysłowego zapatrywania się na rzeczy, młodzieńczy duch starożytnych nie zdołał ogarnąć i przejrzeć całego obszaru historycznych objawów i kształtów tak, aby w nim dostrzegł jedną myśl panującą i kojarzącą wszystkie szczegóły w jedną ściśle połączoną całość, przeto zamierzyli dziełom swoim historycznym, którym nie umieli nadać filozoficzno-umiejętnej jedności, nadać przynajmniej jedność, jaką winny mieć dzieła sztuki. Wspierały ich w tém przedsięwzięciu właściwości i osobliwy bieg starożytnej historii. Pokazuje się bowiem, że ogół objawów historycznych starożytności w istocie stanowi poniekąd całość zamkniętą i zaokrągloną i że nosi w sobie jedność treści i formy. W nowszych czasach kilka państw równoważnych i równie potężnych prawie kwitnie obok siebie i przez ideę równowagi politycznej tak są związane, że każda ważniejsza rzecz, gdziekolwiek i kiedykolwiek się dzieje, wszystkie równo obchodzi, a przecież każde państwo ma swoją odrębną historią. Tak więc w nowszych czasach widownia i akcja dziejów powszechnych są podzielone, rozproszone i jedność miejsca i czasu w wielkim dramacie historycznym zewnątrznie poniekąd nie istnieje. Przeciwnie w starożytnym świecie rzecz się miała. Prawie w każdym okresie jedno miasto, jeden kraj jest jakby punktem środkowym, stolicznym całego widnokregu historycznego i ogniskiem wszystkich historycznych objawów. Mianowicie Grecya w ciągujszym znaczeniu, Macedonia i Rzym w starożytnej historii, stanowią jakby historyczne centra rozmaitych okresów z bardzo ściśle nakreślonymi granicami i przedstawiają tém samym dla historyografii same przez się jakby rodzaj dramatycznej jedności miejsca i czasu. To czuli i poznali może

(1) Że starożytni to sobie pozwalali, o czém zresztą nikt już teraz nie wątpi, tego dowodzą Dion. Halic. de Thuc. jud. r. 16. Porówn. Thucyd. 1, 22. Polyb. II, 56. Dion. Halic. 8, Thuc. jud. 36. 41. de vet. script. cens. 3, 2, Luciani, quomodo hist. sit conscr. 58.

starożytni dziejopisarze, to było może przyczyną dlaczego to, co poczytali za powszechną historią, w sposób wyżej opisany opracowywali. Z drugiej strony państwa pojedyncze starożytnego świata żyły w większym odosobnieniu. Długo Greków mało obchodziło to, co działo się w Rzymie i odwrotnie. Każdy lud pedził żywot, wystarczając sam sobie, i zwykle wtedy dopiero z drugim ludem, z dalszym sąsiadem stykał się, gdy polityczna jego wolność miała się ku upadkowi i sam dogorywał. Nie miały więc ludy starożytne ogólnego wspólnego interesu historycznego. Ludy rozmaitych państw kuli ziemskiej nie przedzierały się myślą poza granice swęj ojczyzny. zajmowały się tém, co przed sobą widziały, bo to, co było odleglejsze, nie miało na nie żadnego dotykającego wpływu; obecność zaś, bogatsza w czyny i wypadki, więcej na się zwracała uwagę. Ludy żyły jak ludzie młodzi, prędzej i samolubniej; wypadki w ośniejszych odbywały się granicach, nie było wspólnych interesów, życie i myślenie więcej się skupiało i zamykało w sobie. Dlatego więcej tam było patriotyzmu i więcej republik; ale nie było historii powszechnej ani umiejętności historii.



JANOSZ WITEŻ.

PRZEKŁAD Z PETŐFIEGO, Z ORYGINALU MADZIARSKIEGO.

PRZEZ

Sewerynę D.....

I.

Pałącym płomieniem słoneczko uderza
Z jasnego błękitu na lica pasterza:
Powstrzymajże słońko zbyt czone twe żary,
I tak już pastuszek goreje bez miary.

Już miłość to serce przepala wskroś młode,
Zaduman, na swoją nie patrzy on trzodę;
Niech trzódka się pasie wśród łąki zielonej,
Na miękkiej murawie on duma znużony.

Wokoło melisy wyrosło tam wiele,
On nawet oczyma nie rzuci na ziele;
Gdzie strumień przezczysty po zwirze się toczy,
Tam chętnie spogląda, tam wrosły mu oczy.

Nie ęci juhasa precudny blask wody,
Lecz nęca dziewczeczki cudniejsze jagody,
I kibić udatna, powiewna jak trzcina,
I włoski złociste, och! cudo dziewczyna.

Sukienkę za kostki podniosła nie śmiało,
I nóżkę w głąb wody zanurza swą białą,
I pierze nad czystym schylona potokiem,
A chłopiec z daleka pożera ją wzrokiem.

I któż on ten juhas o trzodę niedbały?
To Janosz, to młodzian dorodny i śmiały;
Któż ona, co oczy pociąga pastuszka?
To droga perełka—nadobna lluszka.

— „Iluszko! perełko! mój kwiatku uroczy!
 Podnieśże ty główkę, zwróć ku mnie twe oczy;
 Iluszko! gołąbko! o spojrzij raz przecie:
 To dla mnie jedyna uciecha na świecie.

Twe oczy jak tarki, jak zorza jagody,
 Wskoczże co żywo! no, wyskoczże z wody!
 Chodź do mnie na chwilkę, na chwilkę jedyną,
 Niech rączkę uścisnę; chodź do mnie dziewczyno.”

— „Poszłabym ja rada Janoszku, kochanie,
 Lecz rychło mi trzeba ukończyć to pranie;
 Mnie pilno Janoszku, gdy spóźnię się trochę
 I jakże gniewliwą przeblagam macochę?”

I sliczna Iluszka znów główkę pochyli,
 Znów pierze w potoku, i spojrzij po chwili.
 A pasterz nad wodę co rychło podbiega
 I wabi ją okiem i ręką do brzegu.

— „Chodź do mnie gołąbko, ptaszyno ty mała,
 Jużesli twe chusty bieluchno wyprała,
 Macocha daleko: czyż ona zobaczy?
 Chodź do mnie dziewczeczko, bo umrę z rozpaczy.”

Skraśniała dziewczeczka—zadrzało serduszko,
 A chłopiec poskoczy „o dzięki Iluszko!”
 Całuje czarniuchne jak tarki oczęta,
 Kto zliczy całusy! i któż je spamięta?

II.

Czas leci a leci, przeczyste wód łono
 Już barwą zachodu połyska czerwoną,
 Macocha się zżyma, gniew płonie w jój oku,
 Gdzież bawi dziewczyna? prałażby o zmroku?

I chmura wezbrała na licu jój bladym,
 I klątwy przez usta sypnęły się gradem;
 — „Wnet sama w twe ślady poskoczę na błonie,
 Oj biada ci, biada, jak wpadniesz mi w dłonie!”

Iluszko! sierotko! tak, biada ci, biada;
 Patrz! wiedźma piorunem nad potok przypada,
 Wszerz usta rozwarła, tchną zarem jój oczy,
 Wnet spłoszy marzenie miłości uroczej!

— „Bezwestydną dziewczyno! próżniaku przeklęty!
Nie godnaś ty stopą tknąć ziemi tej świętej;
W promienne słończeczko tyś spojrzeć nie warta,
Ha! precz mi z przed oczu—ha! precz mi do czarta.”

— „Dość tego! czy słyszysz ohydny potworze,
Bo tobie na ustach sam pieczęć położę;
Jeżeli mi pisniesz choć słówko z twój gęby,
Tą pięścią wnet wszystkie wytrącę ci zęby!

Tak pasterz swęj broni Iluszki jedynej,
Bledziuchnej i drżącey by listek osiny,
I wiedzmę oczyma przemierzy—i z szalem
Jak potok wybuchnie słów groźnym nawałem.

— „Jeżeli dziewczeczkę pokrzywdzisz mi drogą,
Przysięgam, twą chatę wnet puszcę z pożogą.
Dość ona się biedna mozoli dzień cały,
Za lichą zapłatę—kęs chleba spleśniały.

„Idz biedna sierotko w obronę masz słowo;
A gdy cię macocha znieważy na nowo,
Iluszko, perełko, przyjdź, pozał się szczerze,
Za krzywdę ja twoją sąd straszny wymierzę.”

I pasterz w barwistą przyodział się gunie
Na łąkę za trzodą jak wichur posunie,
Daremno! już trzody nie zgonić mu okiem:
Rozbiegły się owce po stepie szerokiem.

III.

Za siny widnokrąg już słońko zapada
A jeszcze się owiec nie zbiegła gromada;
Nad dolą swą Janosz daremno się zali,
Złodzieje czy wilcy pół trzody porwali.

Złodzieje czy wilcy! on zgubion na wieki,
Na próżno za trzodą step zbiega daleki;
Co czynić? wszak muru nie przebić mu głową:
Powraca do domu z swęj trzody połową.

Choć w duszy mu ciężko, pośpiesza jak może,
„Oj biadaż mi, biada! co czynić? mój Boże!
Okrutna to sprawa z mym panem, z mym gazdą,
Pod złą on zaprawdę urodził się gwiazdą!”

Już myśli splątanych na kłębek nie zmota,
Bo oto gromadę przypędził pod wrota,
A gazda sam czuwa u progu zagrody,
Jak co dnia on swoje obliczyć chce trzody.

— „Nie trudźcie się próżno, mój gazdo, mój panie!
Przepadła połowa... ha! Boże skaranie!
Jam ciężko strapiiony, przepadłać połowa!”
Zaledwie że Janosz wybąknął te słowa,

A gazda w juhasa wzrok wlepił ponury
Brwi zmarszczył i wąsa podkręcił do gory:
— „Miej rozum Janoszu, żart płochy nie w czasie,
Nie szukajże guza szalony juhasie!”

— „Nie płochy to zarty! mój gazdo: liścieci!”
A gazda na chwilę oniemiał ze złości,
Aż ryknie jak wściekły: „podajcież mi widła!
Nie ujdiesz mych szponów gadzino przebrzydła!”

Ha zbóju! wisielcze! niecnoto! śmierć tobie!
Niech rychło ci z głowy kruk oczy wydziobie!
Jam w domu hodował, jam karmił tę zmię:
Niech stryczek ci twardy kat wtłoczy na szyję.

Niech ziemia cię żywcem w wnętrzościach zagrzebie,
Bylebym już zbóju nie patrzył na ciebie!”
I gazda drąg ciężki pochwyca w dłoń mściwą,
I w głowę Janosza wymierzy co żywo.

Lecz Janosz uskoczył, pomyka w lot strzały.
Nie boi się gazdy nasz juhas zuchwały;
On krzepki toć pola dwudziestu dotrzyma,
Choć jeszcze dwudziesta nie zbiegła mu zima.

Popędził; już wicher prześciga w przestrzeni,
Bo gazda od gniewu jak wściekły się pieni
I onby mógł rękę rozmachać bez miary,
Toć gazda jak ojciec wychował go stary!

Więc zbiega aż gazdzie tchu w piersi niestalo,
Spowolniał też juhas, to staje nieśmiało.
To pomknie na prawo, to w lewo uskoczy,
Sam nie wie gdzie ponieść myśl błędną i oczy.

IV.

Noc czarna zapadła, już na tle pomroku
Tysiące się gwiazdek przegląda w potoku,
Gdy Janosz przybieży do miłej pod wrota:
Snaż chłopca tajemna przywiodła tęsknota.

Wydobył fujarkę, piosenkę zadzwoni.
I dźwięk się żaloszny rozlega po błoni,
Aż rosy kroplami gwiazdeczki zapłaczą
Z litości nad dolą pasterza tułaczą.

Żaloszna dziewczeczka śpi twardo w komorze,
Wtém piosukę posłyszysz: „Onże tó, mój Boże!
Czyżazby fujarka dzwoniła tak słodko?”
To Janosz twój biedny Iluszko sierotko!

I stopką leciuchną pod wrota podbieży,
Zadrzała jak listek, swym oczom nie wierzy.
— „Cóż tobie Janoszku? twe lica się mieniają,
Tys bladły i smętny jak miesiąc jesieniają!”

— „Iluszko! niedola kamieniem mnie tłoczy,
Już gładkich lic twoich nie ujrzę na oczy!
— „Odwołaj te słowa Janoszku mój drogi,
Odwołaj na Boga, bo umrę od trwogi!”

— „Już ja cię nie ujrzę, ty wiosno mój duszy!
Już dźwięk cię nie zbudzi mój fletni pastuszej;
Na zawsze od ciebie w świat idę daleki,
Iluszko! perełko! bądź zdrowa na wieki!”

Powiedział jak było, przytulił do łona,
Iluszka zajękła na poły zemdlona,
Nieszczęsny! on oczy odwraca nieśmiało,
Bo łzy mu strumieniem zalały twarz całą.

— „Iluszko! różyczko! pozostanę z Bogiem,
Gdy burza zahuczy nad cichym twym progim,
Gdy ujrzysz jak liściem pozołkłym wiatr miota,
Niech stanie ci w oczy wygnaniec sierota!”

— „Idź miły Janoszku w świat długi szeroki,
Niech w doli tułaczęj Bóg wiedzie twe kroki,
I pomyśl gdy ujrzysz kwiat zwiedły przy drodze:
„Tak zwiedło serduszko Iluszce niebodge.”

Rozbiegli się wreszcie jak listki dwa z drzewa,
 W sierocęj ich piersi mróz zimny powiewa;
 Dni życia pustynią przed okiem jej łzawem,
 On łyż z lic ociera szerokim rękawem.

Wciąż idzie on, idzie, nie patrzeć mu drogi,
 Nie pyta gdzie błędne poniosą go nogi;
 Nie słyszy choć wdzięcznie fujarki brzmiań wkoło,
 Choć trzody w dzwoneczki brząkają wesolo.

Oddawna już znikła wieś w nocy pomroku,
 Pastusze ogniska nie świecą mu w oku;
 Gdy głowę odwrócił już tylko mu w lica
 Spojrzała żałośnie kościółka dzwonnica.

O! gdyby się wsłuchał kto w piersi tej tętno,
 Słyszałby jak westchnął głęboko a smętno;
 Żorawie pomknęły w powietrze wśród ciszy
 Lecz zaden westchnienia z błękitu nie słyszy.

W noc czarną milczące przebiega obszary,
 A gunia mu piersi naciska i bary,
 Lecz ciężej to, ciężej niż gunia włochata,
 Niedola kamieniem pierś młodą przygniata.

V.

Przed słońca obliczem zbiegł miesiąc w pokorze,
 A puszcza faluje wspaniała jak morze,
 Ze wschodu na zachód bez kresu, bez brzegu,
 Milczący widnokraj w około zalega.

Nie wiatru szumnego nie wstrzyma powiewu,
 Bo niema tam drzewa, ni kwiatka, ni krzewu;
 W zdźbłach trawki zroszonej słoneczny zar plowie.
 I złoci jezioro w rokicin koronie.

Tam łania spragniona mknie hyżo przez trzcinę.
 I długą swą szyję zanurza w głębiny;
 Tam mewa nad wodą powietrze w lot porze,
 I pluska skrzydłami po gładkiem jeziorze.

A Janosz wciąż idzie milczący i blady,
 Cień czarny a głuchy podąża z nim w ślady;
 Już słońca promienie szeroko step złocą,
 Lecz w sercu pasterza tak czarno jak nocą.

Okolo południa odpoczął po drodze;
 Nic nie jadł od wieczora: głód trapi go srodze;
 O własnej on sile już wytrwać nie zdoła,
 I pot mu kroplisty wyciska trud z czoła.

Z torebki podróźnej wydobył kęs chleba,
 Spożywa ze łzami—i patrzają nań nieba,
 Pogląda nań słońce—a niżej od ziemi
 Uroczą Delibab z oczyma jasnemi.

Pokrzepion na siłach wnet pomknie w skok hyży
 Nad brzegi jeziora przez trzciny się zbliży,
 W kapelusz zaczerpnie przezczystej tam wody,
 I gasi tlejący żar w piersi swej młodej.

I głowę na miękką murawę pochyli,
 Zamrużył powieki i zasnął po chwili;
 Pogodnie mu w duszy, a w sercu wesoło,
 I pokój sennemu powrócił na czoło.

Bo sen go przenosi nad potok mu znany,
 Siadł niby przy boku dziewczeczki kochanej;
 Czarniuchne oczęta całuje bez trwogi,
 Grzmot nagle zahuczał—i spłoszył sen błogi.

Po stepie oczyma zatoczy w krąg siebie,
 A czarne się chmury bałwanów po niebie;
 Żywioły w zapasach ścierają się społem;
 I mętna mu chmura znów zwisa nad czołem.

I całun żalobny w krąg przestrzeń skrył całą
 I niebo piorunem szalenie zagrało,
 Krzyżują się strzały po niebie szerokiem,
 Rozpadły się chmury, deszcz lunął potokiem.

A Janosz na kiju obiedwie wsparł dłonie,
 Kapelusz głęboko nacisnął na skronie,
 I gunię włochatą odwrócił na nice
 I w burzy sokolą zanurzył żrenicę.

Wnet burza przebrzmiała nad stepem bez brzegu,
 Jak rychło nadciągnęła, tém rychlej odbiega;
 Na skrzydłach ją wichur unosi z przestrzeni,
 Już tęcza od wschodu półłukiem się mieni.

Otrząsnął z dżdżu gunię i z wichrem w zawody
 Podąża po stepie pastuszek nasz młody,
 Choć słońce już do snu układło się w łożu,
 On spieszy wciąż stepem szerokim jak morze.

Aż wreszcie w bór gęsty poniosły go nogi,
Przez knieje lesiste pomyka bez trwogi;
Po nad nim kruk kracze i skrzydły zatrzepie
I w szponach unosi skrwawione dwa ślepie.

Na knieje, na kruka nie Janosz nie baczy,
Wciąż dalej a dalej podąża w rozpacz;
Po ścieżce samotnej podąża dąbrową
A miesiąc mu srebrny migocze nad głową.

VI.

Zgasł miesiąc za chmurą, czas płynie i płynie,
Wtém Janosz dostrzeże światelko w gęstwinie;
Poskoczył i widzi: to chaty ogniska
Słabiuchny przez szyby płomyczek połyska.

I płomyk otuchą rozjaśnił mu duszę:
— „To czarda, bez chyby: odpocząć w niej muszę.
Gościenny przytułek wszak znajdę w tym progu,
I kości wyciągnę na garści barłogu.”

Janoszku! przezorność zawiodła cię twoja!
Nie czarda to wcale, to zbójców ostoja!
Dwunastu w tym domu przebywa ich spolem,
Dwunastu na ławach zasiadło za stołem.

— „Oj lichoz mnie gnało do wileżej tej nory!
Nie żarty: opryszki, noc, strzelby, topory!
Lecz Janosz niezwykły ustąpić nikomu,
Więc zwawo bez trwogi przekroczy próg domu.”

— „Witajcie! Bóg z wami! ochoczo zawoła,”
Szeroki kapelusz uchyli z nad czoła.
Opryszki co duchu za oręż pochwyca,
I w oczy mu ostrą zabłysną szablą.

— „Nieszczęsny! kto jesteś?— wódz krzyknie brodaty—
Że śmiałeś zuchwale przekroczyć próg chaty;
Rodziców i żonę pożegnać już tobie,
Niechajże za tobą zapłaczą w żalobie!”

Lecz serce męznego nie drgnęło juhasa,
Z oblicza rumiana nie zbiegła mu krasa;
Pogróżki przewódcey nie trwożą go wcale,
Postąpił krok naprzód i rzecze zuchwale:

„Kto jeszcze za siebie obejrzeć się może,
Niech progów tych stopą nie dotknie, broń Boże;
Mnie wcześniej kwiat uwiadł na ścieszcze żywota,
Więc do was bez trwogi przychodzę sierota.

Pod dach mnie, gdy wola, przyjmijcie po Bogu,
Dozwólcie mi spocząć na garści barłogu;
Lub ostry nóż w sercu utopcie mi rączej:
Toć rychlój zakończę mój żywot tułaczy”.

I błada mu trwoga nie padła na czoło,
Dwónastu opryszków otoczy go wkoło.
—Posłuchaj co powiem, przewodzca doń rzece,
Wóz oto i przewóz! wybieraj człowicze!

Tyś chłopak nie lada, zaprawdę chwata z ciebie!
Być dzielnym opryskiem sądzono ci w niebie;
Masz życie za plewę, śmierć ciebie nie straszy,
Takiego potrzeba drużynie dziś naszój.

Nam fraszką grabieże, morderstwa i trupy,
Sowiec zdobyte oplacą je łupy,
Zostańże z drużyną mój chłopcze, patrz oto
Na mnogie te beczki, w tych srebro, tam złoto.”

Już w duchu Janosza myśl nagła połyska,
Do wodza opryszków przystąpi on z bliska:
—Ja będę wam druchem, hej szczerze! dłoń w dłonie!
Frasunki żywota niech przeszłość pochłonie.”

—Cudniejszą ci przyszłość zaświeci otuchą,
Ha! przyjąc nam drucha przystałoś na sucho?
Gotujże biesiadę drużyno kochana,
W cześć bratu nowemu zajrzyjmyż w dno dzbana”.

I wszyscy w dno dzbana zajrzeli ochoczo,
Już zmysły się mącą i oczy snem mroczą;
Sam Janosz się tylko na nogach nie chwieje,
Bo drobnym on łykiem zbył częste koleje.

Pijanym opryskom sen twardy zwałł oczy;
Uśmiechnął się Janosz wzrok wkoło zatoczy,
Jak izba szeroka, pod stołem, pod ławą
Zalegli w krąg ziemię na lewo, na prawo.

—Dobranoc! zawoła, ha śpijdziesz na wieki!
Aż trąba wam straszna rozemknie powieki,
Nie jednym wy życia zgasili pochodnie,
Ja nocą wieczystą zapłacę wam zbrodnie.

A teraz dalejże do beczki po złoto!
Opływał w niem będziesz Iluszko sieroto,
Z rąk srogiój macochy wyzwolę wnet ciebie,
Niech ślub nas połączy, Bóg tego chce w niebie.

Zbuduję wśród wioski prześliczną zagrodę,
Iluszko, perelko, tam ciebie powiodę,
I będziem tam żył w miłości i zgodzie,
Jak Adam i Ewa w swym rajskim ogrodzie.

Cóż ja to wyrzekłem, mój Stwórco, mój Boże,
Do złota opryszków jaż rękę przyłożę?
Na każdój tu sztuce znać plamę krwi czarnej,
Oj takie nam skarby wyszłyby na marno!

Niel łupów przeklętych dłoń moja nie ruszy:
Jan jeszcze nie zabił sumienia w mój duszy,
Iluszko! perelko! ty skarbie mój drogi,
Złec Bogu w opiekę twój żywot ubogi!"

Ołskoczył od beczki, pobladły mu lica,
Płouące łuczywo w dłoń śmiało pochwyca,
Ze czterech wnet rogów podpala dom stary,
I pożar wnet ciemne ogarnął obszary.

Zatliły się belki, dach runął wysoki,
Wzlatują płomienie jak węże w obłoki;
Wiatr dymu tumany po niebie rostrąca,
Aż zbladło promienne oblicze miesiąca.

Gdy płomień czerwony wybuchnął nad dachem,
Nietoperz z kryjówki wybieży z przestraczem,
I kwilą puchacze grobowo i w skrzydła
Złowrogo trzepocze gromada obrzydła.

Na wschodzie brzask dzienny już światu połyska
I domu dymiące rumieni zwaliska,
Padł promyk na zgliszcza, lecz odbiegł od mety
Gdy ujrzał ohydne opryszków szkielety.

VII.

I Janusz rodzinne porzucił już strony,
O chacie opryszków nie myśli spalonej;
Wtém jasno coś przed nim zapłonie w oddali:
To słońce odbłyśka w pancierzach ze stali.

Buńczuczno i strojno w lot pędzą huzary,
W ich gładkich to zbrojach słoneczne lśnią zary;
Parskają bieguny, zaledwie tkną ziemi,
Wiatr lekko pomiata ich grzywy bujnemi.

A Janosz zdumione zatopił w nich oczy,
I serce mu z piersi o mało nie skoczy,
Głos szepcze mu w duchu: „Dałżeby Bóg w niebie,
Niechby mnie te zuchy przyjęły do siebie.”

Wewiał pomknął z kopyta on zastęp żołnierzy,
I grzmiotem z ust wodza głos krzepki wybieży:
—Hej chłopcze! co tobie? wyglądasz jak sowa,
Czemuż to na piersi opadła ci głowa?

Posłyszawszy to Janusz łzą błysło mu oko,
—Jain, rzecze, wygnaniec! i westchnął głęboko;
O! dajcie mi konia i ostrą szablę,
W twarz słońca ja wilczą zatopię źrenicę.”

—Nie w tany my idziem! wódz śmiało wyrzecze,
Lecz idziem na boje, na mordy i miecze,
W pierś Franka męznego bisurman dziś godzi,
My Franki wyzwolim z tureckiej powodzi.

To słowo Janosza wskroś serce przebodło:
—O! dajcież mi szablę, i konia i siodło!
Niech ręce ubroczę w gorącej krwi wroga,
Inaczej wnet boleśé dobije mnie sroga.

Co prawda, jam dotąd wiódł życie pastusze,
Chadzałem za trzodą, lecz klęę się na duszę
Jam madjar, a madjar na koniu zrodzony
Wnet stopy mu zrosną z twardemi strzemiony.”

Z ust płyną mu słowa wezbranyim potokiem;
Lecz więcej on mówi obliczem i wzrokiem,
Żar bucha z pod powiek, na licu tli krasa,
Bez trudu wódz przyjął w szeregi Juhasa.

Co wtedy czuł młodzian wypowiedz kto godnie,
Gdy w życiu raz pierwszy czerwone wdział spodnie;
Gdy w kurtkę huzarską ramiona obcisła,
Gdy krwawą szablę na słońcu połyska!

W lot konia w serdecznej doskoczył uciesze,
A biegun rad z pana podkówką skry krzesze;
I cugle rzemienne pochwycił do ręki.
Niech ziemia się trzęsie, nie ruszy go z łęku!

I druchy z podziwem wlepiły weń oczy,
Za serca ich chwyta blask krasy uroczy;
Gdzie chwilkę przystaną zdążając na boje,
Wnet płaczą za nimi nadobne dziewoje.

Lecz Janosz oczyma nie rzuci na żadną,
Czyż cudze dziewice to serce owładną?
Wszak postać Iluszki panuje w niém słodka.
Niech zbiegnie świat cały czyż taką napotka?

VIII.

Drużyna wciąż jedzie przez pola i jary,
Aż doszła do kraju gdzie władną Tatory,
Tu straszna bez chyby niedola ich czeka,
Już głów psich tysiące dostrzegła zdaleka.

A książę tatarski ze straszną psią głową
Przystąpi i groźne wyrzuci z ust słowo:
— Zuchwale madjary zwalczycież nas mieczem?
My silni bo mięsem karmieni człowieczem.

Zadrżeli madjary, co czynić, mój Boże!
Tatarów jak mrowia, i któż ich przemoże?
Na szczęście w pobliżu posiadał kęs ziemi,
Pocziwy król negrów z murzyny czarnemi.

Król szczerą otoczył opieką madjary;
Bo kiedy węgierskie przebiegał obszary,
Lud dzielny, odwiecznym praocjów zwyczajem,
Ugościł go szczerze nad białym Dunajem.

Serdeczną gościuność król negrów wspomina,
Każdego madjara on kocha jak syna,
Do Hana Tatarów zagadnież tak słowy:
— Niech moim madjarom nie spadnie włos z głowy.

Daremuo, mój bracie, tak troszczysz się srodze,
Toż oni kamieniem nie staną ci w drodze,
Jam dobrze ich poznał, szlachetne to plemię,
Pozwólże im panie przez twoje przejść ziemie!

— Czegóżbym ja tobie odmówił, mój druchu!
Tatarski han rzecze ukojon już w duchu,
I listy żelazne rozeszle na gody,
— Niech dzielnym Madjarom nie zrządzi nikt szkody.

I nikt też husarom nie zrządził nic złego,
A przecież radośnie do granic dobiegą,
Bo w smutnym tym kraju Tatarzyn sam w biedzie
Ję tylko mdłe figi i mięso niedzwiedzie.

IX.

W lot zastęp husarski granicę przeskoczy,
Z gór swoich Tatarzyn za wojskiem szle oczy;
Gdy Włochów szerokie przebiega w cwał kraje,
Gdzie zdobne w rozmaryn zielenią się gaje.

Tuż uszła przygody madjarska drużyna.
Mróz tylko siarczysty krew w piersi jej ścina;
Wszak zima tu wieczna! lecz w pełnej swobodzie
Mkną dzielnie wojacy po śniegu i lodzie.

Bo ludy madjarskie hartowne z przyrody,
Ich z tropu nie zbiją ni mrozy, ni lody:
Zsiadają wnet z koni gdy krew im zakrzepła
I niosą na barkach bieguny dla ciepła.

(Dokończenie nastąpi).



SZEKSPIR.

Przekład z *Gervinusa*.

Jakkolwiek w ostatnich latach uznanie geniuszu Szekspira doszło do bardzo wysokiego stopnia, nie jednemu przecież wyda się paradoksalnym zestawienie jego imienia z imieniem Homera, który przez 3,000 lat przetrwał wszystkie odmiany sądów i wymagań ludzkich, podczas kiedy o Szekspirze wiedzą zaledwie narody romańskiego szczepu, połowa cywilizowanego świata, a zdanie o nim od trzech wieków niesłychanym ulega przeobrażeniom, tak, że nawet i dziś jeszcze, Anglicy nie doszli między sobą do zupełnej zgodności w tym względzie. Jak niegdyś Johnson utrzymywał, że Szekspir sam siebie często nie rozumie i tylko wprost szczęśliwemu przypadkowi zawdzięcza najwyższe piękności swojego pióra, tak i dziś jeszcze Birsch i Courtenay wątpią, czy Szekspir ze świadomością rzeczy przemawia przez usta swych osobistości i stanowczo odmawiają przynależnej czci geniuszowi temu, uważając to za świętokradztwo ze strony Coleridge'a że go „nadludzkiem” mieni.

Jak dawniej tak i dziś jeszcze z całą siłą przekonania, zarzucają Szekspirowi brak dobrego smaku i estetycznego zmysłu a w końcu brak wyższego, artystycznego ideału, dający się dostrześć w zbyt realnym malowaniu rzeczywistości. Brak tych podstawowych przymiotów, bez których żadnego adepta sztuki wyobrazić sobie nie można, łatwo da się pojąć w poecie, występującym w roli aktora przed tłumem, którego fantazjom ulegać musiał a żył i pisał w wieku surowym, ciemnym, niecywilizowanym. Po kolei postaramy się wyżej wspomniane zbić zarzuty a raczej je wyjaśnić, gdyż nie obrony lecz tylko głębszego potrzebują zrozumienia.

Przedewszystkiem, nie myślimy zaprzeczać, że co się tyczy estetycznego zmysłu naszego poety, rażą nas jako dowody złego smaku, owe tłuste dwuznaczniki i dziwaczne koncepta, owe ucięte głowy i wyłupione oczy ukazujące się na scenie, okropne anachronizmy a wreszcie rodzaj obrazowania przepętniony metaforami ja-

kiemi się odznacza poetyczna mowa Szekspira. Na wstępie, jedną ogólną uwagą musimy odpowiedzieć, na robione mu zarzuty. Zarzuty te dotyczą zawsze części powierzchownej, zewnętrznej, samego stylu i przedstawienia oraz dziwactw sceny. Jakkolwiek nie pochwalamy ani chcemy przemilczeć takowych usterek, trudno jednak głównym zarzutem stawiać podobne drobnostki, przeceniając ich znaczenie, malejące w obec wielkości dzieła. Piękność zasadza się zawsze na proporcji. Jakaś nienaturalna narodził na łodydze kwiatu, odbiera mu siłę żywotną i wdzięk kształtu, podczas kiedy ucepiona u pnia dębu, nietylko że nie jest szkodliwą, ale owszem wydaje się niby igraszką siły i bywa ozdobą wzrostu.

To co w wielkim, szerokim obrazie natury piękność ogólna podnosi, w ogrodzie wydawałoby się zapuszczeniem, dzikością jakąś. Gdy uważamy coś pojedynczo, w oderwaniu od całości, uderza nas niemiłe każda bezprawidłość, kiedy w związku z ogólnym obrazem, ożywia ona, dodaje mu urozmaicenia i wdzięku.

Błogostawieni mężowie ze szkoły Poloniusza, nie sięgający poza koniec własnej brody, nie umiejący pojąć swoich do jednego sprowadzić mianownika i wyrokujący o rzeczy w ten sposób że „to jest głupia figura retoryczna, to zły sposób mówienia, to dobre a to za długie” odesłani zostali przez Hamleta wraz z brodami i sądem swoim, do golarza; nie im sądzić takiego jak Szekspir poetę! Każdy krok zrobiony na drodze doświadczenia, odwołuje od pójścia ich śladem i cała historia krytyków Szekspira musi być wycykaniem fałszywych poglądów tych, którzy przed stu laty mniemali odkrywać wady i błędy w poecie.

Gdybyśmy w przyszłości mogli tak *widzieć* Szekspira jak go dotąd po większej części czytamy tylko, toby nam się objawiła cała piękność sztuki, cała prawda i plastyka natury. Mnóstwo wielkie tych grzechów przeciwko dobremu smakowi popełnionych posłużyło na podniesienie wyborniej charakterystyki; więc to co powierzchownie rzeczy biorąc, uważane jest za wadę, w odniesieniu do całości ma wielkie, *względne* zalety.

Ten właśnie stosunek zachodzi prawie zawsze w ustępach nieprzyzwoitością i naiwnością rubaszną nacechowanych, równie jak w wymuszonych dowcipach i improwizowanych conceptach, tworzących ową zagadkową głębokość mowy i wyrażień. W pojedynczych wypadkach i położeniach, dawniejszym mianowicie dzieł, napotykamy szpetności nie dające się niczem usprawiedliwić. Wszakże nie możemy z tego robić zarzutu poecie, tak jak go nie czynimy Homerowi za jego naiwne wyrażenia, pobudzające do śmiechu nasz wiek udelikatniony i wyrafinowany. Wyzucie się z szaty swojego czasu, z szaty jaką język i obyczaje tworzą, przechodzi siłę i możność ludzką. Wiadomo jest jak szorstką i grubą prowadzili polemikę najświatlejsi onego czasu duchowni na nie wiele lat przed Szekspirem i jakie listy zamieniali, największy owę epokę człowiek z królową angielską. Wiadomo także że sposób mówienia kobiet ówczesnej arystokracji, był bez po-

równania śmielszym i rubaszniejszym od tego, jakim poeta najswobodniejszym swoim postaciom odzywać się pozwala. Zresztą gminny, tłusty dowcip, był wtedy powszechnie przyjęty a w ludowej literaturze nawet poszukiwany. Te grube koncepta mistrzów romańskiej szkoły, obiegały najwyższe dworskie i uczone sfery i zyskały tam zupełne prawo obywatelstwa. Nic więc dziwnego, że się to wszystko w dziełach Szekspira odbija, ale to jest zadziwiającem i cudownem, że tak potrafił piękną poetyczną mowę wpleść w zwyczajną, pospolitą mowę ludu, i właśnie owa prostota wyrażenia najwięcej może przyczyniła się, że w miarę wzrostu zamiłowania natury i piękna w germańskich szczepach, wzrastało téż ocenienie Szekspira; i to jest równie zadziwiającem, że Szekspir potrafił się o tyle wynieść nad współczesnych pisarzy, chroniąc się zarówno niemoralności dramaturgów, jak dworactwa niemacznego romańskiej szkoły autorów, tak że to co płaskie i niskie wydaje się jak gdyby było całkiem pomimo jego woli zamieszczone a w dojrzałszych dziełach ogranicza on ile się tylko da, wyuzdane mowy i położenia dwuznaczne. Tylko pewna klasa kobiet daje tu większą językowi swobodę, dlatego Johnson nie mógł większego, brudniejszego, kłamstwa powiedzieć nad to, że panie i panowie u Szekspira, nie odznaczają się delikatniejszymi od Clown'a (gburojarmarcznych widowisk) obyczajami. Tylko pewna klasa męczyzn puszcza wodze językowi i igra wyrazami, i jeżeli powiedziano że kalambur i dwuznacznik bywa błędnym ognikiem który Szekspira zawsze wyprowadza na bagno, to da się to zastosować jedynie do jego trefnisiów ale nie do niego samego, ani do tych wszystkich, co wraz z nim nazywają błaznami ludzi poświęcających rzecz dla dowcipnego słówka. U żadnego z poważnych i działających bohaterów, u Antonia ani Posthumusa, u Brutusa Kassjusza, Koryolana lub Othella, nie napotykamy ślizkich wyrażen ani lekkomyślnych konceptów; lżejsi z pomiędzy bohaterów Szekspira zniżają się niekiedy do tego, ale inni są tak nieprzystępni, że w ich obecności nikt trzeci nie odważyłby się nawet odezwać w ten sposób. Dlatego téż te koncepta i szpetności mowy, są zawsze w charakterystycznych miejscach użyte. Ile razy puszą się gdzieś i krzyżują myśli jałowe, jest to dowodem że i intelligencya mówiącego słaba i jałowa; jeżeli zaś głębokość myśli mowie odpowiednia, to mówiący szybuje śmiało po powierzchni płytkich wrażeń, z którymi rozum nie wspólnego nie ma. Gdzie wiersz ciężki a obraz wielki, myśl jest jakby sztucznie klejona; rzadko się tu napotyka takie marnotrawstwo jak w opisowych poezjach, by wielkie słowa, przyczepiać do małych myśli, głębokie myśli do lichych przedmiotów, by wybitne osobistości otaczać blaheymi rzeczami, co wszystko psuje wrażenie harmonii między formą a treścią zachodzącą. To ześrodkowanie wszelkich właściwości manieri w charakterystykę gry, potrafi ukształcony aktor dalej doprowadzić, jak sobie czytelnik wyobrazić może. My tylko nasuwamy tę uwagę: rozwinięcie jęj byłoby rzeczą zręcznego ko-

mentarza a jest istotnym zadaniem aktora. Ten wzgląd musi usprawiedliwiać właściwości owe, nawet tam gdzie same w sobie wzięte, są wstrętne dobremu smakowi; bo gdzie idzie o wybór pomiędzy prawdą a smakiem, tam Homer zarówno jak Szekspir nigdy się nie waha. Ktoby chciał jednak z dziecinną przesadą, zapatrywać się na prawdy natury, tego zdanie mógłby poeta zarówno sprostować jak to uczynił Bacon względem ludzi, odwracających się od nagięj i brzydkiej strony nauk przyrodzonych, mówiąc że słońce sztuki oświeca zarówno pałac jak kałuże, i niczem nie może się skałać; że to co warte bytu, warte też utrwalenia w sztuce i że scena nie jest wystawą przepychu ludzkiego, ale miejscem gdzie się wszystkie okoliczności i wypadki życia, tak jak ono płynie, rozwijają.

Jak w obec całości nikną słabe znamiona owoczesnej mniery poetyckiej, od której niby od zarazy uchronił się zdrowy organizm Szekspira, tak samo zupełnie uważać należy okropności sceny, świadczące tylko o krwiożerczym duchu czasu. Nie zapierając i nie ubarwiając tych grubych ustępów, życząc sobie by stanowczo ze sceny usuniętymi były, musimy jednak przyznać, że korzystnie było zarówno dla Homera jak i dla Szekspira, pracować dla publiczności o mocnych, zahartowanych nerwach. Wykazaliśmy że ta właściwość Szekspira posłużyła mu do wybitniejszego charakteryzowania ludzi i że sztuki rozgrywane się w pogodnych, łatwych, spokojnych warunkach, zupełnie nią nie grzeszą. Przypominamy że i pod tym względem Szekspir o wiele wyprzedził współczesnych sobie autorów i postąpił znacznie dalej, jak to pierwotne zapowiadały dzieła. W tym względzie można go porównać z Goethem i Schillerem. Jakaż ogromna zachodzi różnica między Tytusem Andronikusem a królem Learem, w którym jeżeli używa jeszcze tego rodzaju pisania, czyni to jedynie z ważnych powodów i dla wielkich celów. Już w naszych uwagach do Leara staraliśmy się jaknajjaśniej wykazać, że Szekspir nie był ściągany z wysokości upodobaniami ludowemi, ale że przeciwnie ile razy tworzył straszne kompozycje, brał charakterystykę ludu, objawiającego się w całej sile i w całej słabości swojej. Podchwytywał typowość, by ją wcielić wielkimi zarysami w sztukę. Chcąc zbadać jego stanowisko względem widzów, trzeba je porównać ze stanowiskiem jakie Lope de Vega, ten ulubieniec ludu hiszpańskiego, na kwitnącej także naówczas scenie narodowej zajmował. Tamtejszy teatr miał charakter koteryjności i w żaden sposób zestawić się nie da z swobodnemi i współzawodniczącemi z sobą scenami londyńskimi.

Tam teatry młodziej i małej stolicy nie wznosiły się po nad miasto prowincjonalne; lud z kobietami panował nad sceną. Od twardej dłoni rzemieślników, zależał poklask lub nagana a tak się zajmowali sztuką ci widzowie, jak galerya w parlamencie polityką się zajmuje.

Inną była publiczność do której się prolog Henryka VIIIgo odwołuje, publiczność ta pogardzała Szekspirem i karcita go srogimi chłosty. Lope de Vega przeciwnie był stworzonym dla takich słuchaczy mówcą, zwrócił się on do sztuk czarodziejskich i dzikich, które sam potwornymi nazywa, mówiąc że pisał na przekór rozumowi i starożytnym. Szekspir nigdy nie byłby chciał do czegoś podobnego się przyznać, on który żył dla znawców swjej sztuki, który pisał dla wielkich aktorów, który współzawodniczył z naturą, w oddaniu prawd najwyższych a dziełom swoim przepowiadał nieśmiertelność!

W rzędzie zarzutów stawianych przeciwko dobremu smakowi Szekspira, jest téż mniemanie, że błędnie oddaje charaktery epoki. I ten sąd odnosi się do wyjątków tylko. Prawda że druidycznym Bretonom imiona rzymskich bóstw pokładł w usta a Rzymian uposażył w dzwony, czasem bohaterским niektóre feudalizmu nadał rysy i za króla Jana odbywał wojny z działami, ale czynił to dlatego, że lud chciał widzieć swoje angielskie hufce takimi, jakimi były naówczas. Ta chęć zadość uczynienia wymaganiom ludowym, wcale nie jest miarą szerokości jego własnego widnokregu. Objął on jednym rzutem oka warunki dramatycznego wpływu, których pomijać nie mogli także Goethe i Schiller; musiał przedstawionej epoce dać całą prawdopodobną rzeczywistość, żeby była żywotną i zrozumiałą, bo w ten sposób tylko rzecz do serc wnikać może.

Jakiegokolwiek zarzuty będą przeciw dobremu smakowi Szekspira stawiane, żaden się z tém nie da porównać, że Rafael Apollina na Parnasie, ze skrzypcami odmalował a jednak Rafael jest najestetyczniejszym malarzem w świecie. Co ważniejsza, te usterki, nie wnikają w samo jądro rzeczy. Szekspir nie nadał nigdy jakiejś epoce lub miejscowości intelektualnych rysów swiego czasu, coby zupełnie zrozumienie ich utrudniło, nigdy nie zgrzeszył tém co Lope de Vega i Calderon, którzy przeszłość przerabiali na teraźniejszość i wszystkie ludy hiszpanizowali. Nie trawestował téż na wzór Corneille'a i Racine'a którzy starożytność i wieki średnie, ubierali w gallickiej klassycznosci szaty; on nigdy nie stracił miary w oddawaniu ducha czasu, jak się to nawet mistrzowi zręczności, Goethemu w Achillesie zdarzyło. Przeciwnie objawiła się w tym pierwszym czysto germańskiem poecie nowoczesnym, owa wszechstronność i wrażliwość, tak właściwa niemieckiemu plemieniu, owa obiektywność która w sztuczném przedstawieniu przedmiotu, przechowuje nietykalną naturę i duch czasu. Daru tego dawał później dowody Händel w swoich oratoryach, spłynął on na niemieckich poetów, na Klopstocka, Herdera i Goethego.

W angielskich i rzymskich utworach, w średniowiecznych bohaterskich sztukach, przechował Szekspir tak wiernie wewnętrzną charakterystykę, jak kiedy przedstawiał osobistości swiego czasu i narodu, jednej z nim myśli i mowy. Im silniej narysowuje

się odrębna właściwość poety, tém lepiej można go po jedném zdaniu tak jak Händla poznać, chociaż osobistość jego własna zawsze niknie w obec wielkości i całości przedmiotu. Skarżono się wreszcie wiele na styl zbyt metaforyczny w obrazach Szekspira, uważając że w skutek nagromadzonych przenośni, rzecz traci na prostocie. Probierz na charakterystyczną stosowność, jeśli można się tak wyrazić, nie jest w tym razie możliwy, owe metafory są charakterystyczne w nim samym, nie w jego osobistościach; właściwiej powiem utrzymując, że one są charakterystyką ogólną poezyi; jest to jedyny sposób przerabiania myśli będącej narzędziem rozumu, na obraz, który staje się narzędziem fantazyi. Już Arystoteles metaforę za bardzo pomocną uważał w wykładzie, i za niedoścignioną talentu poetycką genialność. Tym probierzem, można śmiało mierzyć dobry smak naszego wieszca.

Dostrzeżliśmy wprawdzie w początkowych utworach Szekspira (aż do Henryka VI) kilka fałszywie użytych metafor, ale daremnieby podobnych w późniejszych jego szukać pracach. Człowiek który przez usta swojego Lavatsch'a z taką drażliwością przeciw „cuchnącym” metaforom powstaje, może się tu mimo najdelikatniejszego powonienia niczego nie obawiać. Gdyby się kto wziął do sumiennego obliczenia rozsianych w pismach tych jak kwiaty przenośni, znalazłby z pewnością sto najpiękniejszej woni na jeden bezwonny i tysiąc pachnących pięknie, na jeden zbyt narkotyczny kwiatek. Ganiono zamęt i sprzeczność pauującą w tych metaforach, ale nadzwyczajnie rzadkim jest wypadek takiej usterki w pismach Szekspira, jeśli to w ogóle godzi się nazwać usterką, kiedy jak np. w monologu Hamleta mówi o morzu plag, przeciwko którym za oręż porywa; podobne obrazy nietylko że nie męczą umysłu, ale przeciwnie ułatwiają jeszcze zrozumienie rzeczy. U Szekspira, myśl zazwyczaj tak cudownie i wymownie zrasta się z obrazem, że nieraz z zatraceniem obrazu i zrozumienie myśli samój niepodobnymby się stało.

Dryden mniema, że przy przetapianiu wielu jego metafor, zawszeby się srebro zostało w tygielku; my przeciwnie twierdzimy, że złotoby się owszem ulotniło.

Najwięcej jednak pozorów słuszności ma za sobą zarzut zbytegnego nagromadzenia przenośni.

Nie słuszniejszego nad ostrzeżenie Arystotelesa, że należy zachować w używaniu ich miarę, iżby się mowa zbyt zagadkową nie stała i żeby pojedyncze obrazy, wagą swą nie przeciążały całości. Tu jednak nasuwa się pytanie, czy my jako sędziowie mamy lepszy smak od Szekspira poety? Jesteśmy przyuczeni w rymowanej prozie francuzkich dramatów a nawet w utworach wielkich pisarzy niemieckich, do niskiego, poziomego tonu i małej połatności dramatycznej mowy. Zdanie jakie u Goethego np. napotykamy w Tassie „nic takiego nie posiadamy z czembyśmy to porównać mogli” Szekspir uważałby za ogłoszenie poetycznego bankructwa.

Dryden przeciwstawia świetnemu obrazowaniu Szekspira, prostoty pełne dyalogi starożytnych; to jednak nie ma podług nas żadnego znaczenia. U starożytnych bowiem sam strój, maska, koturny, cały ustrój, zachowanie się bohaterskich figur, podniosłość mistyczném milczeniem chórów wywołana, to wszystko razem stanowiło coś nadzwyczajnie uroczystego, pompatycznego, tak, że nie chcąc zupełnie utracić gruntu prawdopodobieństwa, trzeba było przynajmniej dyalog prowadzić w jak najprostszycy słowach.

Szekspir któremu nie towarzyszyła obecność bohaterów dawnych podań, który sobie postawił jako prawo, żeby w przedmiotach i charakterach całą prawdę natury zachować, okazał tём mistrzowstwo poetycznego instynktu, że w przedstawieniu swoim, nie dążąc do blasku świetnej ody, potrafił się przeciw unieść po nad spokojną epopeę i w dobranych słowach, w każdej chwili przypominał że jego sztuka rzeczywistość oddaje, ale samą rzeczywistością nie jest.

Jeżeli się chce jednak dokładnie zbadać estetyczny zmysł mistrza, to trzeba sięgnąć po za powierzchowną stronę, która się da ciałem, zawętrzną powłoką sztuki nazwać, trzeba przeniknąć do samej duszy, potём dopiero można zejść do pojedynczych szczegółów a wszędzie napotka się jeden i tenże sam stopień estetycznej i obyczajowej delikatności, do której po Szekspirze bardzo niewiele dorosło wieszczów. Kiedy się go słyszy w Hamlecie krytykującego owe reguły przepisywane sztuce, trzeba przyznać że nikt subtelniej nie pojmował tej rzeczy. Porównyując go jako lirycznego poetę w trzech formach, których Romeo przykład daje, widzimy że w tym rodzaju, nikt kunsztowniej i z lepszym nie pisał smakiem. Obserwując go jako znawcę ludzi, spostrzegamy olbrzymie postępy jakie zrobił w znajomości kobiet i nie możemy przytoczyć nikogo, coby delikatniejszym w tej mierze mógł pochwalić się sądem. Przechodząc do artyzmu w przedstawieniu męzkiej znowu strony, wyzywamy najsubtelniejsze umysły kobiece nawet, czyby potrafiły naśladować albo przynajmniej wykazać linię demarkacyjną dzielącą w Koryolanie prawdziwą bohaterskość od udanej. A jeżeli zwrócimy uwagę na cały widnokrąg myśli zawartych w tём dziele, charaktery wszystkie, czyny ich, głoszone sentencye, przekonamy się że w tym wielkim kodeksie z obrazów, z życia i z mądrości złożonym, nie ma nic trywialnego, nie prawie coby się po trzystu latach przestarzałym wydać mogło, cöz więc w obec tego faktu znaczą wszystkie zarzuty!

Albo znów śledźmy właściwą, dramatyczną działalność jego umysłu. Niech nam kto wskaże poetę, któryby z taką delikatną subtelnością u samych źródeł swego ducha czerpać potrafił. Porównyując kłopotliwą niepewność z jaką się Goethe zawsze w danym przedmiocie obawiał pomyłki, ze spokojną pewnością z jaką Szekspir swój przedmiot obejmuje, naginając każdy stosownie do woli, odważając się na wszystko i tworząc piękności z materiałów, które w innych rękach wstrętnym stałyby się utworem. Proszę uważać

na to szczęśliwe poczucie instynktu, którem jak gdyby wpływem Lessinga wiedziony, unika wszelkiej opisowości w dramacie, czém właśnie Calderon tak oszpecił swoje dzieła, chociaż zupełnie odrębnie stojący opis *kobiety Mab*, daje nam czuć o ile nie jest obcym talentowi Szekspira i ten rodzaj poetycznego wdziałku.

Lub też jego umiejętność zastosowania cudowności, czy da się porównać z jakimkolwiek nowoczesnym talentem, czy kto potrafił z równą jemu sztuką, tak głęboką symbolikę, w tak plastyczne przyodziać kształty? Kto te pojedyncze strony zauważy, ten obejmie tém samém całą bezzasadność przypuszczenia, by mąż przedstawiający się tak skończonym we wszystkim co wielkie i światłe, miał idyotycznie błędzić w drobnych i powierzchownych rzeczach? Owszem każdemu pewnie na myśl wpadnie, że genjusz raczej pomijał je z lekceważeniem. I odrzuci zarzut paradoksalności tym quasi-wieszczom, co sobie podobnemi małostkami zatruwają wielką rozkosz napawania się prawdziwą poezją. Wszystkie pojedyncze wymienione tu zarzuty nikną najzupełniej, skoro się w budowie jego arcydzieł, w całości, ocenia doskonale ukształcenie jego smaku. Chcąc na ten punkt i na ważniejsze jeszcze pytanie dotyczące ideału sztuki Szekspira odpowiedzieć gruntownie, musieliśmy cofnąć się raz jeszcze do jego estetyczności.

Gdyby robiony Szekspirowi zarzut bezprawidłowości i bezzasadniczości miał za sobą słuszość, najwięcejbyśmy się go (w paralelli tu robionej) obawiać mogli. Ale jeżeli niepodobieństwem jest by prawdziwy artyzm mógł istnieć bez dobrego smaku, tem mniej jeszcze możliwem nam się zdaje, by niezaprzeczony i prawa stanowiący genjusz, jakim nazwaliśmy Szekspira, mógł się przy wyżej wymienionych brakach rozwinąć. Cały nasz pogląd na Szekspira, opierał się na wykazywaniu jedności i prawidłowości budowy jego sztuk pojedynczych.

Na wstępie twierdziliśmy że nasz poeta, nową idący drogą, zaspokoił mimoto wymagania starożytniej estetyki, że jego sztuka zgadzała się zupełnie z istotnemi zasadami Arystotelesa, którym wszystkie czasy a w końcu wielcy niemieccy pisarze, z rzadką zgodnością przyznali wieczystą wartość; rozszerzenie i uduchownienie tych zasad, jest zupełnie zastosowane do odmiany czasu i przedmiotu poezyi. Teraz postaramy się zebrać rezultaty tych poszukiwań i wykazać rzeczywistą ich wartość, dla przekonania że to nie były puste omówienia.

Różnicę zewnętrzną pomiędzy starymi a nowymi dramatami, stanowi większa lub mniejsza ich obszerność. Polimityczne dramata nie rozwinęły się w starożytności, tragedia w najczystszej formie wyszła z rąk poetów, ci ją ograniczyli na prostęj akcji której jądrem była katastrofa; kierunek ten wytłumaczyły nam względny pozytywne i materialne. Stary dramat stanął naprzeciw wykształconej już epopei Homerycznej, współubiegać się z nią w całej

pełni natężonej akcji, było zbyt trudnym zadaniem, rzucić się więc w przeciwną stronę, do ograniczonych w danym kole czynów. Rzecz którą stara poezja opracowała naówczas, przyczyniała się też do tego kierunku. Historia świata była jeszcze krótką i młodą, podania bohaterskie wprędce dały się wyczerpać; tragedye musiały jedne i te same przedmioty obrabiać, (droga podobania się za pomocą coraz to nowo wprowadzonych czynników, była im zamkniętą). Cała ich zasługa polega na wykończeniu formy, to samo ograniczało już akcję do jednego głównego punktu i pobudzało do spożytkowania z całą możliwą sztuką, tego dramatycznego momentu. Przez to wyrobiła się ciasna i jednostajna, stereotypowa cecha stariej tragedyi. Co ułatwiło jeszcze ograniczenie akcji, to nadzwyczajna prostota przedstawianych bohaterów, których natura raczej fizycznie silna, aniżeli duchowo bogata, nie wymagała starannego, charakterystycznego obrobienia. Jak tylko historia rozszerzyła swoje ramy, jak tylko taka wojna Peloponezka a z drugiej strony szkoły filozoficzne, wszechstronniej naturę ludzką rozwinęły, zaraz tragedye a więcéj jeszcze komedye Eurypidesa, które świat rzeczywisty miały za przedmiot, uczuły potrzebę akcji, charakterystyki i motywów, co wywołało większą téż obszerność. To wszystko co się składało na nadanie starożytnemu dramatowi cechy jaknajwiękšej prostoty, zwróciło się w nowych czasach w całkiem przeciwną stronę i naturalnie odmienną téż mu nadało postać. Pomiędzy epoką kwitnienia starożytnej tragedyi a Szekspirem upłynęło lat dwa tysiące. Przez ten czas chrześcijaństwo odkryło nieznaną głębokości ducha, które germańskie plemiona rozpowszechniały, w odbywanych dalekich, na krańce świata wycieczkach.

Krucjaty odkryły Wschód, późniejsze wypadki Zachód i dały poznać cały kształt ziemi. Otworzył się nowy świat wiedzy i doświadczeń, ludy i wieki ukazywały się i znikwały na dziejowej scenie, życie publiczne i prywatne, religijne i polityczne, w tysiączne przeobrażało się kształty; widownia wydarzeń, doświadczenia i interesów nieskończenie się powiększyła a tém samym i duch szerzej i głębiej się rozwijał; potrzeby wzrosły, namiętności rozmaitsze i subtelniejsze, usiłowania ludzkich dążności wzmogły się i powikłały, wszystko jednem słowem, najzupełniej różniło się od dzieciennego wieku starożytności. Ta pełnia materyalnej i moralnej treści, ze wszystkich stron ku sztuce splywała, nie mogła się ona temu nowemu przyptykowi oprzeć bez szwanku a raczej bez ostatecznej zguby. Epopea średniowieczna próbowała wznóżyć się na siłach i opanować ją, ale to nie byłoby wcale z korzyścią dla pieśni Homera, której historyczną pobudką była wojna plemienna, wstrząsająca wprawdzie całym światem, ale światem małym i przystępnym dla słuchaczy. Epopea Francuzów i Niemców, pisana w nieukształconym wieku i w nieokreślonym jasno przedmiocie, rozwinęła się i uplastyczniła wtedy dopiero, kiedy we Włoszech powstało malarstwo, muzyka i budownictwo a poezja nabrała odpowiedniejszych kształtów; w tym czasie, w całej Europie jednocześnie forma dra-

matu najpowszechniej została przyjęta i zachowała się u późniejszych pokoleń, podczas kiedy epopea już nie znajdowała rapsodów, ni słuchaczy, a Europa w rozstargnieniu swoim i oderwaniu od sztuki, potrzebowała jeszcze silniejszymi węzłami uroku przez nią być skrepowaną.

Podczas kiedy starożytny dramat stał obok epopei, dramat nowy zajął miejsce po niej przypadające a tém samém odziedziczył zadanie, okazania się dojrzałym i gotowym do przedstawienia najważniejszych przedmiotów. Temata które się przedstawiały do wyboru nie stanowiły jak w starożytności jakiejś własności powszechnej; nie opierały się na ogólnie znanych podaniach, ale były pozostałością religijnego dramatu; owe na szerokiej akcji osnute misterya, były to romanse rycerskie i romantyczne przygody, które epicznie przedstawienia w rodzaju Peryklesa, przypominały; były to opowiadania historyczne, które już za czasów Szekspira wymagały pewnej liczby sztucznych przyrządów, żeby zawiązać masę. Zużytkowanie tych wielkich materyałów, nie zajmowało ani Hansa Sachsa, ani Lope de Vega, ani téż Marlowe'a. Dramat ciągnął się u każdego z nich bez względu na to, czy bogactwo treści, odpowiadało rozmiarom. Sprawy świata stały się zawitemi, pełnemi rozmaitości; różnice pomiędzy ludźmi, ich natura, położenie, namiętności, walczące wzajemnie siły, nie dały się zamknąć w pojedynczych katastrofach przedstawień; trzeba było rozszerzyć widnokrąg, czyn musiał być przedstawiony w całym swoim przebiegu, pobudek działania głębiej już szukano; sztuce dostało się zadanie ujęcia możliwej pełni w najwymowniejszą formę, która podług żądania Arystotelesa ma uprzytomniać aż do złudzenia.

Układ greckiego dramatu, nie wypływał z posłuszeństwa dla Arystotelesowskich reguł. Nie miał on wcale zamiaru przedstawiać jako wzoru dla potomnych, formy współczesnego mu greckiego dramatu i nie stawiał zasad na przyszłość; objawił to najwyraźniej że objętość sztuki, powinna być do zwyczaju i upodobania stosowaną. Nie zdaje się nawet być tego mniemania, by treściwość stariej tragedyi stanowiła jęj zaletę. Wiedział on, że bogactwo wydarzeń dawało epopei pierwszeństwo, i że jednostajność i jednorodność były zawsze przyczyną przesylenia publiczności i upadku tragedyi.

Nie przepisywał więc dramatowi sztucznej rozciągłości, ale naturalną, z samęj akcji wypływającą.

„Jakiego peryodu wymaga—powiada on—szereg wydarzeń i przejść z szczęścia do nieszczęścia, albo z nieszczęścia do szczęścia w ramach prawdopodobieństwa, taki téż peryod stanowi o obszarze dramatu.”

Prace Szekspira są tak zastosowane do powyższej zasady, jak żeby ją był sam stworzył.

Z tą regułą przed oczyma szedł Szekspir śmiało do celu. Wybierał o ile się dało najbogatszy i najpełniejszy przedmiot; zakreślał granice formy według potrzeby, nigdy szerzej; w żadnym

dramacie nie uderza nas wyczerpanie przedmiotu przed końcem; nigdy nie grzeszy rozciągłością formy ani przeładowaniem treści. Nie mamy przykładu, by Goethe lub Schiller mogli dzieła jego wyrównać, ogładzić, bez uszkodzenia ich wartości; bo nikt z równym Szekspirowi talentem, nie potrafił zachować zgodnego stosunku, pomiędzy szeroką formą i wielkim przedmiotem. I w tém leży po części przyczyna jego estetycznej wartości. Żaden poeta nie potrafił w podobnym zakresie, z małego materiału tak wielkiej wysnuć treści. Szekspir nie dał się uwieść postawą starożytniej tragedyi. Zrozumiał on dobrze, że właściwsze będzie ich się wyrzec. Uznał to z całą siłą przekonania (a żadna estetyka dalej się nie posunie), że zadaniem poety jest przedstawić rzeczywisty stan swojego czasu; wcielić wiek swój w poezję i nadać mu kształty i rysy; dla rozwiniętego życia, stworzył więc rozszerzony zakres sztuki; nie sądził przedmiotu podług danej reguły ale podług wewnętrznej zasady, szukał ducha w traktowanych przedmiotach, wiedząc że on jedynie nadaje arcydziełom piękną i skończoną formę. Największą bowiem wartość ma harmonijna łączność formy z treścią, wypływająca z wewnętrznego prawa, nie z narzuconej reguły. Gdyby się Szekspira i Homera po wypowiedzeniu tych wstępnych uwag, mierzyło konwencyonalną miarą, to można by im obu równo zarzucić brak prawidłowości i dobrego smaku. Szekspir sam wyśmiewa najbardziej prawidłowych dramaturgów, z ich mierzonej prawidłowości, twierdząc: że nie czerpali w Arystotelesie praw duchowych, ale poprzestawali na mechanicznem przepisów jego naśladownictwie.

Rzeczywistém prawem, jakie Arystoteles dramatowi przepisał, jest jednolitość akcji. Obowiązujące warunki co do miejsca i czasu, są zaledwie przez niego wzmiankowane, o pierwszym nawet wcale nie ma mowy a o drugim jako o zwyczaju tylko. To téż w starożytnych dramatach, nie są one tak ściśle zachowywane. Wiadomo że Ajax i Eumenidy zmieniają miejsca; że ograniczenie czasu podług obiegu słońca, przekroczone jest w Tracinkach u Eurypidesa, a nawet przez Eschyla, którego Agamemnon z telegraficzną szybkością z Troi powraca. Szczególniej jednak w komedjach Aristophanesa, panuje zupełna dowolność pod względem jedności miejsca i czasu, pomimo chóru, którego obecność ma się przyczyniać do utrzymania téj jedności. Zwyczaj ten stariej tragedyi, tłumaczy się po prostu wielkiem ograniczeniem akcji dramatycznej, na samą katastrofę; przesilenie. *krizis* w dawném pojęciu, musiało trwać przez czas oznaczony i krótki. Nowy dramat, który maluje cały przebieg czynu, nie mógł bez krzyczącego fałszu ograniczyć akcji do krótkiego czasu i do jednego miejsca. Ci co w dramacie żądali warunku jedności czasu, musieliby w malarstwie np. wymagać zawsze postaci naturalnej wielkości. Zupełnie jak tu pomniejszenie nie psuje złudzenia, tak tam

rociągniętość czasu nie zawadza. Na to się zgodzili i najdawniejsi krytycy, nawet Gildon, a Johnson silnie popierał w tym względzie działanie Szekspira. Ci ludzie zlekli się własnego zuchwalstwa. Nie śmieli rozsądkiem uczuciem zastąpić; nie mieli sposobności do ocenienia porównawczego, wartości bezprawidłowo napisanych sztuk Szekspira z temi, które podług reguł francuzkiego Arystotelesa utworzonymi zostały. Jeżeli te ostatnie miały świetność chwili, to tamte zasłużyły na historyczną pamięć i wpływ ich dziś jeszcze zdaje się być w pełni rozwoju. Co do nas, z jaśniejszego punktu na te rzeczy patrząc, kwestyę jednościi miejsca i czasu, uważamy za całkiem przedawnioną; przeciwnie zaś jedność akcji, prawem być nie przestanie. Akcya jakiegoś dramatu powinna podług Arystotelesa, być tak jednolitą a skończoną, by żadna część składowa nie mogła być usuniętą ni pominiętą, bez uszkodzenia całości, któraby się rozpaść musiała, bo co nie dopomaga do wyraźniejszego oddania całości, nie będąc potrzebną, konieczną niejako częścią, zbytecznym się staje. To prawo jest tak naturalne, że muszą mu zadość czynić wszystkie by najpospolitsze sztuki; ich prawidłowość wynika z prostego natogu i nosi na sobie piętno ubóstwa oraz trywialności. Ile razy dramat w początkach swojego istnienia zwłaszcza, śmieliej wystąpił, tyle razy więcej zgrzeszył w tym względzie. Mnóstwo sztuk hiszpańskich i angielskich, współczesnych Szekspirowi autorów, nie ostoi się w obec tego przepisu. W Szekspira pierwszej części Henryka VI, wykazaliśmy jedną z tych sztuk, które Arystoteles epizodycznymi nazywa, stawiając je w najniższym rzędzie; również w Peryklesie, gdzie fałszywa jedność osoby, zastępuje jedność akcji, i w dwóch ostatnich częściach Henryka VI widzimy, że pod względem jednościi, nie dadzą się pod regułę Arystotelesa podciągnąć. Gdzie zaś w dojrzałych sztukach panuje jedność działania, jedność akcji, tam i cała budowa szczegółowo przepisom Arystotelesa odpowiada; jeżeli można pomniejsze części, jak w każdym ciele organicznym usunąć bez uszkodzenia całości, to większych członków odjąć nie można bez zupełnego jój zeszczenia.

I nie tylko w tój jednościi, ale w ogóle w całej akcji, w przeprowadzeniu jój i rozłożeniu, trzymał się Szekspir instynktowo w wykonaniu najlepszych praw i reguł i zupełnie jak Arystoteles, szczęśliwym rozumem w krytyce się rządził.

Zdania Arystotelesa o zawiązaniu i rozwiązaniu akcji tak doskonałe, tak zupełnie dadzą się do wszystkich sztuk Szekspira, jak do najprostszych sztuk starożytnych zastosować.

Zawiazaniem intrygi jest to wszystko, co się w tragedyi przed zmianą losu, przed odwróceniem szczęścia dzieje; co jest po za tym środkowym punktem, liczy się już do *rozwiązania*. U starożytnych, ten punkt środkowy, *katastrofa* jest najgłówniejszą rzeczą, zakończenie wypowiada się zazwyczaj w jakimś opowiadaniu, a intryga, zawiązek, najczęściej po za obrębem, na zewnątrz sztuki się rozgrywa.

Wprost przeciwne postępowanie nowego dramatu, utrudnia nadzwyczajnie artystyczne zadanie; w biegu sztuki, stara się on przedstawić cały rozwój danego czynu, więc nie zawsze można podług przepisów wszystko pod jednym przedstawić sklepieniem, ani też zachować wzorową symetrię stosunku pomiędzy początkiem i końcem, zawiązkiem i rozwiązaniem, tak żeby punktem głównym była właśnie chwila zmiany losu, będąca momentem największego podniesienia akcji.

Jeżeli się tym probierzem uważanym za najsubtelniejszą miarę dobrego smaku, mierzyć będzie Szekspira, oraz największych pisarzy późniejszych czasów, to się dopiero nabędzie przekonania ile tak zwani uczeni trzymający się przepisów wszelkich prawideł, od barbarzyńców nauczyć się mogą! W Otellu słowa wyrażające szczyt jego szczęścia, przypadają na sam, jakby cyrklem wymierzony, środek sztuki. W Hamlecie zwrot wyraźny charakteru, przypada w chwili śmierci Poloniusza, która także w sam środek sztuki trafia. W Makbecie morderstwo Banka, jest odwróceniem się gwiazdy szczęścia jego, chwilą w której się jego niebezpieczna „pewność” rozstrzyga, duch ukazuje się Makbetowi w samym środku sztuki. W Learze, wszystko jest doprowadzone do szczytu, w samym środku dramatu, kiedy następuje wybuch jego rozpacz. Tak samo w królu Janie, przy mordowaniu Artura i w Ryszardzie II, w tych i innych sztukach, dałyby się wykazać miejsca, które wypowiadają właśnie chwilę zwrotu losu i cały przebieg faktu, w najwymowniejszych słowach, jakby dla odznaczenia szczytu podniosłości. Kto chce tę wskazówkę kilkoma sztukami udowodnioną, dalej sobie przeprowadzić, ten wszędzie znajdzie najwyraźniej narysowaną linię demarkacyjną pomyślności, a to spostrzeżenie, uważnemu czytelnikowi odkryje nowe piękności i wszędzie panującą harmonię artystyczną.

Zauważyliśmy jednak, że pewien szereg sztuk Szekspira, wbrew zasadzie jedności akcji, podwójną akcyę przedstawia, tak że w nich nie ma wcale téj jedności, albo się opiera na inném jak Arystotelesowe prawo. To drugie prawo wykazaliśmy już w sądzie o pojedynczych sztukach, tu sprobujemy wyjaśnić, nie gubiąc się w estetycznych teoriach, dlaczego Szekspir ominął, a raczej rozszerzył prawo Arystotelesowój jedności, dlaczego musiał ją porzucić i rozprzestrzenić.

Jednostajność panująca w starym dramacie stanowiła jego niebezpieczeństwo o: tém Arystoteles dobrze już był przeświadczony. Dlatego wprowadził podanie bardziej skomplikowane i pragnął żeby właściwości rozmaitych rodzajów przedstawianych tragedyi (wzruszające i moralne, prostszego lub różnorodniejszego składu) mogły być razem połączone, i co do tego punktu przepis jego stosował się raczej do nowego jak do starego dramatu. Prosty patetyczny lub etyczny dramat, w którym tak jak w Ajaxie i Philoktecie, raczej jest jeden charakter rozwinięty aniżeli akcyą, nie mógł tak bardzo nęcić i czarować jak zawiłe podanie, na tle

którego rozgrywały się szybkie zmiany losu, zapoznanie i rozświetlenie raczej zewnętrznych zawiłości, aniżeli namiętności wewnętrznych. To też Arystoteles nazwał je integralnymi częściami tragedyi. Ten rodzaj miał cechę sztuk na intrydze opartych, w których cała ważność na akcyi polega. „Bo tragedia, powiada on, nie jest odbiciem ludzi ale ich czynów, życia, szczęścia i nieszczęścia; szczęście musi być też na czynach oparte, gdyż celem tragedyi jest oddać czyn jakiś a nie usposobienie ludzkie. Szczególne usposobienia ludzi wynikają z ich charakterów, ale szczęście lub nieszczęście jest rezultatem czynów. Nie działają oni zatem dla przedstawienia swoich charakterów, lecz te wśród działania, wśród rozwiniętej akcyi, same muszą się narysować.

Tak więc czyny i bajka są celem tragedyi.

Cel zaś jest we wszystkim najważniejszą rzeczą. Bez czynu nie byłoby tragedyi, mogłaby zaś istnieć bez charakterów, czego najlepszym dowodem, że większość nowoczesnych tragedyj bez charakterów się rozgrywa. Pierwszym warunkiem, zarazem duszą tragedyi, jest tedy bajka, powieść, osnowa zdarzeń, a drugim charaktery. Zupełnie tak samo ma się rzecz z malarstwem, bo gdyby kto najpiękniejszymi farbami zrobił szpetną bazgraninę, nie sprawiłby téj uciechy co inny, któryby samym białym kolorem, piękny obraz wymalować potrafił.”

To zdanie prowadzi nas w samo jądro porównania starego dramatu z nowym, i zarazem każe szukać najgłębszych różnicy téj przyczyn. Jako dowód zupełnie zmienionego stopnia wyobrażeń nowszych czasów, uważamy niemożliwość rozłączenia w życiu, charakteru od czynów, tak jak w sztuce nieprawdopodobnym nam się wydaje twierdzenie, jakoby tragedia mogła się obejść bez charakterów, byle miała akcyą.

Nitki, z których nawiązania jednoczesnego przez naturę, sztukę, instykt i rozsądek, przez bezwiedne pobudki i samowiedne zamiary, wysnuwają się czyny ludzkie, wpływające na zmianę wyobrażeń działających, którzy znów inne wywołują czyny, są tak ściśle z sobą zespolone w jedną, ogólną przędzę, że powiedzieć niepodobna które z nich są główniejsze, bo niebezpiecznie byłoby usunąć jedno, by się inne nie rozpadły. Charakter i akcyja, przenikają się tak w naturze, jak w wiernie malującej je sztuce Szekspira; więc pomiędzy wartością a znaczeniem ich, we wszystkich jego dramatach największa zachodzi łączność. Akcyja zastosowuje się zawsze do charakterów sztuki: one nadają jój ton odpowiedni. W Learze np. czyny nie są od charakterów okrutniejsze i niemniej nieszczęsnym nieporozumieniem pomiędzy Desdemoną a Otellem, jak ich wzajemne zapoznanie siebie.

Najlepiej się przekonamy, że w rzeczywistości niepodobna charakteru od czynu oddzielić, skoro zechcemy zdanie dowodzące że tragedia jest możliwą bez charakterów, a niemożliwą bez akcyi, wziąć na odwrót; zachowa ono te same strony prawdy i fałszu, co poprzednio. Przy każdym rodzaju dramatycznej akcyi, musi

być jakaś choćby najlichsza charakterystyka i nawzajem nie można żadnego charakteru dramatycznego rozwinąć, bez posiłkowania się akcją. Może zachodzić fałszywy jakiś kierunek, pomiędzy żywością działania a bladymi charakterami, albo pomiędzy silnie narysowanymi charakterami a małą akcją; wybierając pomiędzy dwoma złymi stosunkami, z pewnością by się dziś inaczej rozstrzygnęło, niżby był Arystoteles to uczynił. To porównanie Arystoteles do malarstwa się odnoszące nie jest wcale trafne, musiałby przyjść bowiem do następnej antytezy: czyby nam się lepiej podobał szereg charakterystycznych pojedynczych obrazów bez akcji, od historycznego obrazu przedstawiającego akcję, bez oddania działających; a stosując rzecz do dramatu, postawiłoby się kwestye, czy sztuka charakterystyczna jak „Nathan” Lessinga, gdzie akcja bardzo jest małą, ma pierwszeństwo nad najlepszą sztuką hiszpańskiej sceny, na intrydze doskonałej osnutą, lecz nieodznaczającą się zbyt wyraźną charakterystyką? Niemiecki smak bez namysłu za pierwszemby wyrokował. Gdyby się więc przypuściło nawet możliwość rozbratu pomiędzy charakterem a czynem, to trzeba by większą ważność do charakteru przywiązywać, bo on jest źródłem działania. Wszelako zarówno estetyczny pogląd Arystoteles jak przeciwne mu praktykowanie Szekspira, nie dadzą się podciągnąć pod kategorię omyłek.

Po obu stronach jest prawda i słuszny sposób widzenia, jeśli się weźmie pod uwagę względy czasu. U starożytnych malowanie charakterów było najmniej rzeczywistą potrzebą. Bohaterowie stariej tragedyi działają po większej części bez duchowych pobudek i bez samowiednych celów; czyny bezbożne spełniają bez zastanowienia, a jeżeli po fakcie przychodzą do upamiętania, to przecieć sposób ich myślenia niewiele się ujawnia: śmiało postanowienie czynu, działanie uzasadnione w oznaczonym jasno kierunku sądzienia o rzeczy, nieznanne było tamtejszym pokoleniom. Dlatego można było maskę wprowadzić na scenę, a przez nią przeważna jakaś charakterystyczna cecha przemawiała za aktora; może obawiano się żeby wyraz mniej silnych, przelotnych wrażeń duszy i gry namiętności, nie odwracał od ogólnego wielkiego wrażenia, jakie zamierzano uczynić. Może też wewnętrzna natura człowieka nie była dość przystępną, dość ujawnioną, dość plastyczną, by jej głębokie załomy uwidamiać się dały? Ale my ludzie nowi, którzy przez długie tradycje i wiekowe doświadczenia, zapoznaliśmy się z naturą człowieka w wielkich jej zarysach, chcemy właśnie w najtajniejsze zakątki serc się dostać, wniknąć w najsubtelniejsze różnice natur; czatujemy na możliwość wysledzenia tajemnej gry namiętności i chcemy ich wyraz z ukrycia nawet wydobyć. Oddajemy więc wielki muzykalno-plastyczny wpływ starego dramatu, w którym postać i rysy aktora, przez maskę i koturny miały związek stylowy z architekturą i wraz z nią zbiorowe wrażenie silnej jednolitości wywierały; wyrzekamy się tego wpływu za drogocenniejsze skarby psychologicznej głębokości i pełni, za różnaitość

i wielostronność akcyi i charakterów, w czém nowy dramat ma niezaprzeczone nad starym pierwszeństwo.

U nas, czyny bywają zazwyczaj spełniane podług powziętego z góry zamiaru, a gwałtowna, przyrodzona siła popędów, miarkowana moralném ukształceniem, wielkie namiętności muszą się wyłamywać z pod ucisku konwenansów, by się uzewnętrznic; to téż powstanie czynu, więcéj od samego czynu zadziwia, a najwięcéj zdumiewa objawienie się skończonego charakteru. Gdyby więc do wyboru przyszło, ostatecznie u nas nie akcyą, nie katastrofą, zajęłaby pierwsze miejsce w sztuce, ale przeciwnie *charakter*. To téż rzeczywistym celem Szekspira była genezis, tworzenia się charakterów i czynów i oddziaływanie ich wzajemne. Jawną jest nawet u niego, pewna przewaga charakteru nad akcyą. Uderza to szczególnie, ile razy obrabia najdziwaczniejsze baśnie. Starożytni mieli swoje podania, które Arystoteles szanować zalecał, ale najpiękniejsze nawet nie są w tragediach ich tak święcie przechowane, jak u Szekspira, dziwaczne podania w Kupcu Weneckim i w Cymbelinie.

Fakta mu się wydają nietykalną rzeczą, przechowuje je w całej prawdzie, jako symboliczność przeszłości, podczas kiedy charaktery i sprzężyny ich działania obrabia wprost z ducha płynącą myślą, a maluje je z taką prawdą i siłą, że łatwo ztąd wnioskować o ile mu więcéj chodziło o pobudkę działania, jak o samo działanie. Stosunek ten można jeszcze w ten sposób zestawić. Podanie staréj tragedyi np. Iphigenia z Aulis i z Taurydy, jest w opowiadaniu samo przez się piękne i cenne, bez dodania charakterystyki i motywów, podniesione samą wysokością dwóch ofiar; Szekspira bajki bywają często bardzo dziwaczne i awanturnicze, nabierają wartości dopiero przez odpowiednie scharakteryzowanie. Dlatego poezya Szekspira stanęłaby w przeciwległości, chociaż nie w sprzeczności z Arystotelesową, że za ważniejsze w dramacie gdyby tego ostatniego części składowe rozłożonemi być mogły, uznałaby charakter, nie akcyą. I ztąd téż pochodzi, że wybornie scharakteryzowane typy, przynoszą największą Szekspirowi chwagę. Chociażby przeciwko niektórym stronom jego talentu, znalazły się niechętne uwagi, to w tym względzie wszystkie głosy się jednoczą dla oddania mu należnego hołdu. Mistrzostwo jego charakterystyki i pobudek nietylko że przekupywało zawsze najlepszych aktorów, ale zdobywało mu uznanie ganiących krytyków i pedantów przetwarzających w entuzyastów. Pope wyraził się że grzechem jest charakter Szekspira nazywać naśladowaniem natury; nazwano *wieszczą*, *prześcigającą się w porównaniach*, *narzędziem*, *współzawodnikiem*, *dopełniaczem i władcą natury*; nie można porównywać jego charakterów z utworami innych poetów, chyba tylko z charakterami Homera. O nich jedynie da się to samo co o Szekspira charakterach powiedzieć, że nie są osiągniętym rezultatem z przypadkowego zetknięcia się z jakąś sferą towarzyską, ale są wyszukane i wydobyte z łona całej ludzkości; że nie wypływają z innych poprzednich

jakichś poetycznych urojeń i nie należą do sfery marzeń, ale wprost z rzeczywistego pochodzą świata, nie są obrazowaniem, odbiciem natury, ale samą naturą. Każdy z tych pojedynczych charakterów jest tak silnie określony duchowo, jak plastyczne postacie Homera; nie ma tu ani braku ani zbytku żadnego, nic ująć, nic dodać nie można, bez zmienienia akcyi a tём samém i charakteru. Wzrost charakteru jest tak silnie, tak głęboko spojony z pobudką i z wzrostem namiętności, że rozdzielenie ich groziłoby zniszczeniem całości. Charaktery i akcye u Woltera i Rymera musiały być śmieszniejszymi dlatego, że przemilczały pobudki. Tu każdy rys oderwany doskonale harmonizuje z całością, każde słowo znajduje echo w treści ogólnej. Nigdzie tu nie ma teatralnej mowy, scenicznej maniery, żadnych ideałów ani tak nazwanych uprzywilejowanych scenie charakterów, któreby można nazwać bohaterami teatru, sztuki, roman-su. W działających osobach, nie ma nic nadprzyrodzonego, nic fantastycznego, nic chorobliwego, nic zbyt przeholowanego; nie przemawia przez ich usta ani poeta, ani aktor, tylko zawsze natura rodzicielka, zdająca się przebywać w tych umarłych postaciach taką, jaką za życia ich była. Postacie te mieniają się w różnobarwną rozmaitości, zupełnie jak w życiu, od najgłębszych do najbardziej płaskich, od skrzywionych do najpodnioślejszych. Gdy rozrzutnik sieje swojemi skarbami, rodzi w nas przekonanie, iż jest nie wyczerpany jak natura. I tak jak w naturze: żadna z przedstawianych postaci do drugiej zupełnego nie ma podobieństwa, napotykać się grupy mające familijną wspólność rysów, ale dwóch jednakowych, równych sobie, nie ma. Uderza nas to dopiero w urywkach, w pojedynczych częściach jakichś, tak jak to i w rzeczywistości ma miejsce. Przez nie dowiadujemy się tego, czego i przez żyjących znajomych; tu i owdzie robią odrębne na drugich wrażenie, a sąd o nich wyrabiają osobiste względy. Widzimy to wyraźnie w Antoniuszu, którego wielostronną naturę, rozmaicie pojmują i tłumaczą. Byłoby to jednak za zuchwałę przedsięwzięcie, chcieć przy wykładzie charakterów Szekspira, wyrównać, ujednostajnić sąd wszystkich ludzi, lub tóż go lekceważyć. Każdemu wolno tylko własne wypowiedzieć zdanie a następnie czekać musi, komu próba czasu słuszność przyzna i czyj sąd się w ciągu życia najbardziej utrwali.

Zwrot do upłynionych czasów, przy dojrzałości i wzrastającym doświadczeniu odbyty, każdy raz wzbogacać nas będzie w nowy punkt widzenia i będziemy odkrywać niedostrzeżone dawniej, subtelne, charakterów tych rysy. Najgłębszy pogląd nie może się wyczerpać w tym kierunku u ludzi, którzy podobnych rzeczy sami w sobie doświadczali. Kto aby raz w życiu nie zwątpił o świętości swoich zasad i ideałów, kto nie rozkrwawił serca o zgryzoty i smutki, kto nie zdeptał najszlachetniejszych uczuć i nie potknął się na pełnej wątpliwości i sfinksowych zagadek drodze świata, ten Hamleta zaledwie w połowie zrozumie. Kto nie wie czém jest odepchnięcie zasługi, ten nigdy dobrze Otella i Jaga nie pojmie.

Kto przeżył dzień dzisiejszy i sprzeczności zachodzące pomiędzy obowiązkami ludzkimi a politycznymi, ten całkiem inaczej jak dawniej na Brutusa patrzeć będzie. A kto tego i owego głęboko doświadczył i nosił w sobie ciężar najsmutniejszych wspomnień, temu jako wjaśnionemu jasne będą charaktery Szekspira, będą one dla niego zawsze nowe, cudowne i coraz głębszego znaczenia, tak jak znakomici ludzie w historii i w życiu, i będą mu szkołą nie mającą tego niebezpieczeństwa, jakim grzeszą wszystkie niemal nowsze okłamujące nas poezye, podając bohaterów romansu za rzeczywistych ludzi.

Jakkolwiek charaktery Szekspira są żywymi obrazami natury, to przecież samą naturą nie są i nie obywają się bez pomocy sztuki, bo nie są abstrakcjami, ani ideałami, ani też małemi przypadkowymi osobistościami, jakie obojętny los na świat wydaje, ale zajmują wolne i prawdziwie artystyczne miejsce pośrednie. Często porównywano je z typami charakterów greckich dramatów, zestawiając jako indywidualne typy; lecz przeczące dowody w tym względzie dostatecznie wykazały, że to określenie szerszych ram wymaga. Pope powiedział: że charaktery Szekspira są tak prawdziwe, tak żyjące, jak u napotykanych w rzeczywistości ludzi. Johnson przeciwnie utrzymuje, że u innych poetów charaktery są indywidualne, szekspirowskie zaś przedstawiają całe gatunki typów. Ulrici znalazł tam Anglików XVI wieku, nam się zdarzyło spostrzedz Rzymian z rozmaitych epok, a gdyby kto zauważył że Rzymianie nie mają dość wybitnych cech rzymskiego charakteru, łatwo mu odpowiedzieć, iż poecie szło przedewszystkiem o malowanie ludzi. Te tak przeciwnie zdania, najdowodniej okazują, jako prawda leży pośrodku. Jeżeli się charaktery Szekspira, zamiast ze szkicami starożytnych dramatów, zestawia z wykończonemi postaciami Homera, to zaraz da się spostrzedz zachodzący pomiędzy nimi dwoma stosunek. Charaktery Homera nie są ściśle typowymi, tak jak u Szekspira ściśle indywidualnymi nie są. U Homera są indywidualności, ale natury te z czasów bohaterskich, były pod każdym względem prostsze i pozbawione wszelkich duchowych środków pomocy; przytem epopea nie znosi manieri dramatu: u Szekspira są typy gatunkowe, rodzajowe, ale bezpośrednio używany rodzaj ówczesnych dramatycznych przedstawień i uduchowiona natura nowych czasów, do większego indywidualizowania zmuszała.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ŚLADY DAWNYCH MURÓW,

OTACZAJĄCYCH MIASTO STARĄ WARSZAWĘ,

w roku 1868 odszukane.

PRZEZ

Wilhelma Kolberg.

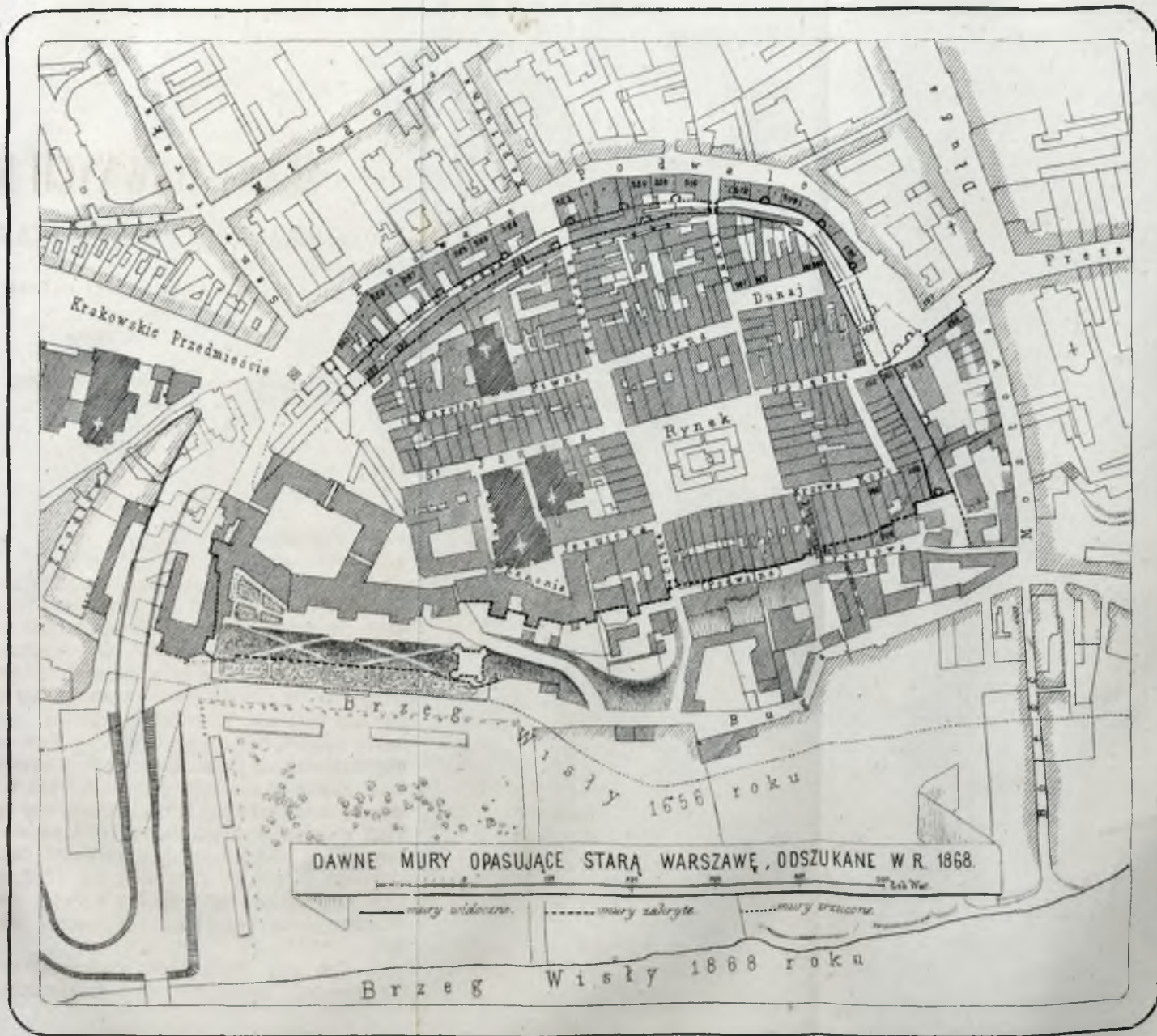
(Z planem).

Mury które od najdawniejszych czasów opasywały *Starą Warszawę*, służyły w średnich wiekach do obrony, szczególnie od nagłych napadów. Rozwalone w niektórych miejscach przez Szwedów w r. 1656, lubo w następnym roku naprawione, od owego czasu jednak zaniedbane zostały, z dwóch przyczyn: najprzód, miasto *Nowe*, i różne przedmieścia coraz gęściej się zabudowywały i zapelniały pałacami możnych i ludnością, na które w szcuptym zakresie murów, miejsca nie było; powtórę, odmienne warunki sztuki wojennej, innych już środków obrony wymagały.

Różne wiadomości o tych murach w dokumentach i opisach, lubo ogólnie wskazują ich kierunek, nie są dosyć jasne ani ścisłe. Plan w dziele Puffendorfa z r. 1656, na którym dwa mury są narysowane jest zanadto mały i nie dosyć dokładny. Plan zaś wielki inżyniera Rigault de Tirregaille z r. 1762, mury te jako już zasłonięte budynkami i nie istniejące w swym związku, oznacza w przybliżeniu jedną tylko linią. Widocznie autor nie wiedział że dwa były mury (1).

Ten brak dokładnych wiadomości o murach miejskich, stał się powodem, że zająłem się poszukiwaniem nowych materiałów,

(1) Oryginalny plan z r. 1762 znajduje się w Magistracie m. W.



a przedewszystkiem badaniem miejscowości. Poszukiwania te były skuteczne; doprowadziły mnie bowiem do nakreślenia planu murów zupełnie dokładnego na całym obwodzie, wyjąwszy tych miejsc (około Zamku), gdzie z położenia gruntu musiały mieć charakter odmienny od ogólnego systematu i gdzie różnym według okoliczności ulegały zmianom. Idąc za śladem wskazań niżej przytoczonych, dziś każdy komu się spodoba, dokładność moich podań może sprawdzić, oglądając pozostałości dawnych murów i dotykać własnymi rękoma odwiecznych tych szczytków.

I.

Za podstawę do poszukiwań wziąłem opisy posesyj miejskich sporządzone przy pierwotnem nadawaniu numerów w 1784 r., gdzie wyszczególnione są wymiary i granice każdej posiadłości. Znalezione w tych opisach wzmianki o murach, podały możność (przy użyciu innych materyałów) dalszego ich na gruncie poszukiwania i oznaczenia ze ścisłością należytą całego ich ciągu.

W opisach powyższych z r. 1784 przy posesyach dotyczących murów znajdujemy wyrażenia, że: graniczą z murami miejskimi, z której strony i w jakiej długości; mianowicie pod numerami następującymi: 138—144, 162, 165, 167 $\frac{1}{2}$, 184, 188 (wieża Marszałkowska) 190, 191. 205/6, 291, 292/3, 302.

Pod N. 295 znalazłem niżej przytoczone opisanie baszty z tego względu ciekawe: że żadna z baszt zwyczajnych na obwodzie zewnętrznego muru byłych, nie istnieje.

„*Baszta murowana, ściana zakrywająca schody do baszty drewniana, własność wieczysto-cmfiuteuczna pani Lelewełowy konsyliarzowy J. K. M. baszta szeroka od frontu przy ulicy Ślepój ł. 9 $\frac{3}{4}$ długa dyamentrem swoim w półcyrkule ł. 7 $\frac{1}{4}$; ściana zakrywająca schody szeroka ł. 5, długa ł. 2.*”

Pod innemi numerami, gdzie już mury miejskie, dawniej zniesione nie istniały, a posesyie rozszerzono na grunt pomiędzy murami, tam rozgraniczenie gruntu dziedzicznego, od gruntu miejskiego, stanowi niewątpliwą linię na której mur się znajdował. Takie posesyie po dzień dzisiejszy z części gruntu miejskiego czynsz opłacają. Byłoby zbyt cennym przytaczać tu poszczególne wszystkie te posesyie, jako też inne wskazówki miejscowe, według których kierunek murów tam gdzie nie istnieją, oznaczony został.

Z poszukiwań na gruncie okazało się, że mury dziś widoczne znajdują się w miejscach następujących:

Ulica Ślepa.

1) Szczyt oficyny w N 526 na długości ł. 11 $\frac{3}{4}$ ze skarpą na samym początku. (Łokcie wszędzie rozumieć koronne).

2) Ściana w posesyi N. 525 na długości ł. 54 $\frac{1}{4}$ do wysokości około 12 ł. (wyżej nadmurowana) ze skarpą 7 $\frac{1}{4}$ ł. długą.

3) Na początku posesysi 524 w długości ł. 10, występ na ulicę wysokości 12 cali, jest fundament baszty.

Ulica Podwał.

4) Z tyłu posesysi 523, wysoki mur, później nadmurowany, widoczny od podwórza posesysi 521; długości z powodu obudowania oznaczyć nie można.

5) W podwórzu posesysi 518, podmurowanie pod drwalniami jest fundamentem dawniej baszty, przez której środek przechodzi granica posesysi 519 i 518.

6) Z tyłu posesysi N. 512, 511, 510, 509, 508, 507, 506, ciągnie się mur w długości łokci 120.

Wyliczone dotąd pozostałości należą do muru zewnętrznego, zwanego także pierwszym.

7) Z tyłu oficyny pod N. 514 w długości łokci 50. Jest to mur późniejszy od stariej ludwisarni.

8) Z tyłu tejże posesysi i od szerokiego Dunaju za Nr. 144, 143, 142, 141, który się z poprzednim schodzi, w długości łokci 125.

Jest to mur wewnętrzny czyli drugi, do którego od Dunaju przystawiony dom 140, 139, 138, 137, zaś od Podwała jatki rzeźnicze.

Mur ten ma wysokości od podwórza łokci 10, strzelnice są na wysokości łokci 9, każda strzelnica ma wysokości 9 cali, szerokości 7 cali. Strzelnice widzialne od strony jatek rzeźniczych, zamurowane, mają szerokości 1 łokieć i odległe są od siebie na 6 łokci. Grubość muru przy strzelnicach jest łokieć 1, poniżej 2 łokcie i ta grubość jeszcze ku dołowi się zwiększa.

Trzy cegły z dwiema fugami mają wysokości 13½ cali, cegły po 4 cale grube, długości skąpo 12 cali, fugi po ¾ cala.

9) Za jatkami rzeźniczymi wzdłuż posesysi 171 aż do ulicy Gołębiej, długości łokci 85, w części już przebudowany.

Tu przy posesysi 170 schodził się mur z bramą Nowomiejską, jak o tém będzie niżej.

Ulica Nowomiejska.

10) Naprzeciw Podwała między Nr. 164 i 165 ponad dachami widać części dawniej wieży ze strzelnicami, należącej do byłej bramy Nowomiejskiej.

11) W podwórzu wielkiem N. 163, zwaném Gdańska piwnica, widać też samą wieżę półokrągłą.

W mniejszem podwórzu, z drugiej strony od Nru 162, ciągnie się mur pierwszy czyli zewnętrzny, w całej okazałości na długość łokci 160, równoległy do ulicy Mostowej i zwraca się góra w kierunku równoległym od ulicy Brzozowej, odstąpiony na długość łokci 60; widoczny jeszcze w tyłach posesysi Nr. 204, wnika w zabudowania Nr. 203, 202, 201.

12) Od załamku na górze zstępuje mur pomiędzy posesysami Nr. 247 i 206 do Brzozowej ulicy, w długości 60 łokci, w części zabudowany i przerobiony.

Ulica Krzywe-koło.

13) W posesyji Nr. 188 na załamie ulicy, w podwórzu drugim, mur tylny oficyny przedzielającej tę posesyję, w długości łokci 50, jest murem wewnętrznym czyli drugim; mur pierwszy który wymieniono wyżej (11), z tej strony nie widzialny, bo zabudowany.

Od ulicy *Brzozowej* która się zwała *Podwalną (1)*, z powodu stromego spadku stanowiącego naturalną obronę, był tylko jeden mur, którego część wykazano wyżej.

14) Na rogach ulicy Kamienne-schodki, widoczne są ślady bramy i wieży zrzuconej.

15) Od tej ulicy aż do Celnój, cały szereg domów na długości 160 łokci pobudowany jest na murze miejskim.

16) Na lewym rogu ulicy Celnój jest na murze ślad bramy i wieży zrzuconej. Na prawym rogu śladu takiego niema, z powodu że z tej strony ulica została rozszerzoną w r. 1833, z sześciu łokci do piętnastu.

Zewnętrzny obwód murów opasujących miasto wraz z Zamkiem wynosił na początku XVII wieku łokci 2,120, a mianowicie:

Wokoło Zamku poczynając za Kanonią do Bramy Krakowskiej.	okrągło łokci 600.
Od Bramy Krakowskiej do bramy Bocznej	500.
„ Bocznej do Nowomiejskiej	300.
„ Nowomiejskiej do bramy Kamienne-schodki.	360.
„ Kamienne-schodki do Gnojnej.	160.
„ Gnojnej do Zamku.	200.

W powyżej wymienionych poszukiwaniach obeszlśmy obwód łokci 1160, a znaleziono mury widoczne na długości 760 łokci (pojedynczo licząc na obwodzie, bez względu czy mur zewnętrzny czy wewnętrzny), zatem na $\frac{2}{3}$ długości. Zebrana długość murów widocznych wynosi łokci 886 i jest zupełnie dostateczną do oznaczenia ich kierunku przy pomocy innych materiałów (2).

Bezwątpienia możnaby jeszcze więcej drobniejszych części tych murów wynaleźć, które w zabudowaniach ukryte, gdyby to jakakolwiek przynieść mogło korzyść.

Mury widoczne oznaczone zostały na planie grubą czarną linią; mury niewidoczne dłuższemi, mury zniszczone krótszemi kreskami.

Na obwodzie Zamku od bramy Gnojnej do bramy Krakowskiej, żadnych stałych kierunków na mury oznaczyć nie można,

(1) Tak znajduję na dawnych planach.

(2) Mylnie więc jest świadectwo *Mitzlera* w przypiskach do *Strykowskiego*, jakoby Warszawa jednym niewielkim murem była opasana, którego w r. 1761 zaledwie ślad pozostał (*Rys historyczno-statystyczny Miasta Warszawy* str. 85). Nie zostały mury téż z ziemią zrównane za bytności *Karola Gustawa* w r. 1656 (tamże str. 54), tylko w części rozwalone.

albowiem tu w części same zabudowania zamkowe zastępowały mury, a w części takowe w miarę przekształceń zamku zmieniane były. Obwód ten od Wisły, jako na szczycie góry, z położenia swego był niełatwo dostępny; podnóże zaś góry bronione było murem z dwoma bastyonami, wybudowanym za Zygmunta IIIgo (około r. 1607), w tém miejscu gdzie dziś sklepienia tarasowe rozciągają się (1).

Bramy Krakowska, Boczna i Nowomiejska, których dziś śladu nie ma, w nowszych czasach dopiero rozebrane zostały, więc z nowszych planów dokładnie są oznaczone.

II.

Rozpatrując miejscowość objętą murami (których obwód wskazałem) z rynkiem i ratuszem pośrodku, widzimy, że obwód taki istnieć musiał od samego początku założenia miasta; bo rynek nie mógł być w inném miejscu, ani mury bliżej rynku.

Mniemanie jakoby obwód miasta był najprzód mniejszy około zamku, a później rozszerzony został, jest zupełnie mylne.

W dziele Starożytności Warszawy T. I, str. 67, czytamy: „Przywilej przez Jana Ks. M. w r. 1379 wydany przekonywa nas, że pierwotnie mury Warszawy przez obywateli tego miasta mające się wystawić, miały być w następującym kierunku prowadzone. Początek ich miał być od wieży Dworzańskiej (curiensium) gdzie była umieszczona brama (valva), rozciągając się zaś miały do wielkiej wieży zamku *dzisiejszego* (!). Potem w innej rzeczonymi części, która dotyka Wisły, zaczynając od tego zakrętu, gdzie murów nie było, miały postępować aż do bramy zamkowej Żuraw zwanój. Główną więc zasadą jak widzimy w tém opasaniu, był zamek *dzisiejszy* (!).”

Przywilej Jana Księcia Mazowieckiego z r. 1379 przytoczony na poparcie tego mniemania, dowodzi przeciwnie. Przywilej ten nie wspólnego niema ani z zamkiem dzisiejszym, ani z wielką jego wieżą. Wiadomo, że zamek w takiej postaci jak jest dziś w czworogran (właściwie pięciokąt) z wieżą, wymurował Zygmunt III (2). Dawny zamek téj obszerności nie miał i zajmował przestrzeń *szczerpłą* przy Kanonii. Wspomnianych zatem wież Dworzańskiej i Wielkiej tam szukać należy, a nie w zamku dzisiejszym. Widok miasta z XVI wieku z dzieła *Brauna: Theatrum mundi*, zamieszczony w dziele: Rys historyczno-statystyczny M. W. i historia budowy zamku o takim położeniu przekonywa. Wyrażenie w przywileju, że druga część muru ma się zaczynać od zakrętu gdzie *murów nie ma*, jakoteż w dalszym ciągu, że *wszystkie wieże na da-*

(1) Starożytna Polska I, 419. Sklepienia pierwsze wybudowane za Augusta III r. 1746. Bibl. Warsz. 1853. T. I, str. 142 i następne.

(2) Starożytna Polska I, 419.

wnym murze mają być wymurowane w takiej samej wysokości jak wieże miejskie, dowodzi, że już naokoło miasta były mury z wieżami. Przywilej wskazywał tylko ściślejsze onych połączenie z zamkiem ówczesnym (1).

Z takiego położenia zamku i miasta wypada ważniejszy jeszcze wniosek, że mury miejskie musiały wówczas rozciągać się od rogu dzisiejszego Podwala ku dawnemu zamkowi, zamykając ulicę Piwną i Śto-Jańską, i wjazd do miasta od strony południa był w tych murach, a nie tam, gdzie później wystawiono bramę Krakowską, gdyż miejsce to jako na zakręcie murów i nie odpowiadające kierunkom ulic do rynku prowadzącym, na bramę było niestosowne. Wnioski powyższe oparte na poglądzie topograficznym potwierdza w części opisanie historyczne zamku, pomieszczone w dziele „Biblioteka Warszawska z r. 1853. Tom I str. 136.” Nadmienię tylko, że szczegóły w tém opisanu co do kierunku murów, położenia wież i wjazdów odnoszą się do epoki bezpośredniej przed Zygmuntem III, zatem do końca XVI stulecia, mam zaś skazówki że w końcu XIV stulecia, mury z téj strony były inaczej prowadzone.

Możnaby wnosić, że najprzód wystawiony był mur wewnętrzny a później zewnętrzny; gdy przecież baszty obronne znajdują się na zewnętrznym murze, to jeśli obadwa mury nie były jednocześnie wystawione, mur zewnętrzny nie wiele później jak wewnętrzny wybudowano. Niezawsze jednak mury zewnętrzne miasta, główną linię obronną stanowiły, w Krakowie np. wszystkie wieże obronne znajdowały się na murze wewnętrznym.

Że mury te w ciągu wieków ulegały zniszczeniu, naprawiane i odbudowane były, o tém wspominają akta radzieckie magistratu. Oprócz głównej naprawy w roku 1657 (2) w latach 1667, 1683, 1699, a nawet w r. 1747 są o tém wzmianki.

III.

Z badań wyżej wyszczególnionych mamy przekonanie:

1) Że od najdawniejszych czasów murów było dwa, zewnętrzny zwany także pierwszym albo mniejszym, i wewnętrzny zwany drugim albo wielkim. Przed murem zewnętrznym były wały i rowy, jak świadczą akta. Mur wewnętrzny od strony miasta z początku był zapewne wolny dla przystępu, później zaś przystawiano do niego mieszkania.

2) Pomiędzy murami była przestrzeń gruntu szeroka na 20 do 25 łokci, na której dozwolano także budować się, z warunkiem aby budynki nie były wyższe od murów i aby w razie potrzeby zniesione były.

(1) Tekst całego przywileju z r. 1379 mam od autora Rysu histor. stat. M. Warsz.

(2) Patrzć: Starożytności Warszawskie T. V, 329.

3) Grubość murów była różna: gdy nie podierały gruntu, w miejscach poziomych, u spodu dwa łokcie i więcej; na wysokości strzelnic $\frac{3}{4}$ łokcia lub łokieć. Taka grubość murów dostateczną zaledwo była dla ich trwałości.

4) Wysokość murów musiała być różną stosownie do położenia gruntu, najmniejszą łokci 16—20. Dla obrony ich urządzano w czasie potrzeby ganki czyli rusztowania drewniane odpowiedniej wysokości, oparte na kozłach i ustępie muru, poniżej strzelnic będącym.

5) W murze pierwszym były baszty w odległości łokci około 50, kształtu półokrągłego; o ile z pozostałości i opisów wnosić można, szerokości 10 łokci, występujące na łokci 7. Takich baszt było w początku XVII wieku, w miejscach oznaczonych na planie pomiędzy bramą Krakowską a Boczna 6, w posesyach dzisiejszych Nr. 531 (1), 527, 295 (2), 523 (3), 288 (4), 518/9 (5); dalej do bramy Krakowskiej cztery, w posesyach Nr. 510 (6), 505 (7) i dwie w 168 (8); a od strony ulicy Mostowej jedna (9).

Baszty i wieże miały swoje nazwiska: biała, czerwona, zła-mana, i t. p.

6) Na murze wewnętrznym były wieże, mianowicie: dwie pomiędzy ulicą Piekarską a bramą Boczna (10), jedna przed bramą Nowomiejską (11) i jedna zwana Marszałkowską na zakręcie za ulicą Krzywokoło (12).

Różnica między basztą a wieżą jest ta, że baszta była téj samej wysokości co mur albo nie wiele wyższa, urządzona tylko do obrony na zewnątrz. Wieża zaś podniesiona na kilka pięt, panowała nad znaczniejszą przestrzenią i obronna była na wszystkie strony. Często jednak wieże nazywano basztami lub odwrotnie.

7) Wieże były także nad pięcioma bramami. Brama bowiem obronna nie była prostym w murze otworem zamykanym wrotami, lecz była zawsze budynkiem czworokątnym, wywyższonym na piętro dla pomieszczenia straży. Był przed nią, tak jak przed murami, zwykle rów z mostem zwodzonym; w samej bramie krata która się z góry spuszczała, a nakoniec wrota.

8) Główniejsze bramy we wszystkich dawnych miastach, stawiano podwójne, to jest składały się z dwóch czworograniastych budynków, jeden za drugim (w mniejszej lub większej odle-

(1) 1775 Wasilewski. Akta St. Warsz. f. 334.

(2) Wskazano na wstępie. (3) 1771 Przyłuski nabywa. A. S. W.

(4) A. Bon. ord. II, 292. (5) Ślad na gruncie.

(6) Ślad na murze. (7) A. Bon. ord. II, 293.

(8) Rysunek z r. 1770 i rewizya z r. 1744 w moim zbiorze.

(9) (10) Plan Puffendorfa. (11) Rysunek z r. 1770.

(12) Plan Tirregaila.

P. Sobieszczańskiemu zawdzięcza się wynalezienie w starych aktach Waresawy, przytoczonych wzmianek o basztach.

głości) połączonych z sobą, oddzielnymi murami i różnymi wzmocnieniami, często naprzód wysuniętymi. Miejsce pomiędzy temi budynkami nazywało się *w bramie*.

Bramy Warszawy przedstawiają ciekawe wzory od najprostszego, do wielce złożonego układu.

Bramy *Gnojna* i na *Kamiennych-schodkach*, w ulicach wązkich, od strony spadzistej, mniej przystępnej, są prostemi czworograniastymi wieżami (rozebrane 1833 i 1838).

Brama *Boczna* składa się z dwóch złączonych z sobą czworograniastych budynków (rozebrano 1814).

Brama *Krakowska* ma dwa budynki czworograniaste odległe od siebie na 25 łokci (rozebr. 1817).

Brama nakoniec *Nowomiejska* chociaż ma tylko jedną wieżę czworograniastą (rozebr. 1794), przedłuża się na zewnątrz na łokci 60, do wtórego zamknięcia, obronnemi murami, z których jeden zabudowany domami kończy się wieżą (rozebr. 1704 r.), drugi z trzech baszt się składa. Dla osłony szpitala św. Ducha przed tą bramą znajduje się jeszcze oddzielny mur z bramą, (rozebraną 1791) (1).

Mury Warszawy z wałami, które się przed niemi znajdowały, przedstawiają najdawniejszy system obrony, tak zwanęj czołowej czyli frontowej, po linii ciągłej. System ten po wydoskonaleniu broni palnej wszędzie zastąpiono obroną boczną czyli flankową, której zasadą jest linia łamana, oraz pozycye obronne wysunięte.

Kiedy Zygmunt III w r. 1621 nakazywał obwarować Warszawę, już wtedy narys okopów rozciągających się od ulicy *Wojtowskiej* na *Nowém Mieście* przez ulicę *Wałową*, do *Reformatów* i dalej poza kościół św. *Krzyża* ku *Wiśle*, zastosowany był do takiego systemu. Przekonałem się o tém ze śladów znalezionych na części północnej tego obwodu, którą już najwierniej nazaczyłem na planach. Mam nadzieję, że przy dalszych poszukiwaniach będzie można i część południową tego obwodu odnaleźć i oznaczyć. Z planu zaś dołączonego do dzieła *Puffendorfa* widzimy, że dla zadosyć uczynienia warunkom takiej obrony flankowej, przed najściem *Szwedów*, usypane były szańce przed samemi murami, umiejętnie do miejscowości zastosowane, według narysów do dziś dnia używanych, zwanych technicznie: *lunety*, *rogale* i *korony*.

(1) O téj bramie mam sobie za obowiązek podać oddzielnie obszerniejsze opisanie dla sprostowania artykułu: „Opis historyczno-topograficzny trzech bram *Nowomiejskich*” w szacowném dziele „*Starożytności Warszawskie*” T. I, str. 93.

KRONIKA WŁOSKA.

Florencja, styczeń 1870 r.

Powszechnie panujące zdanie o muzykalności Włochów tak jest silnie dotąd zakorzenione, że przeciwne temu twierdzenie obawiam się czy nie będzie uważane za oryginalstwo, za chęć powiedzenia czegoś nowego, za Herostratową chętkę odznaczenia się choćby kolosalną śmiesznością; co bądź używając wolności słowa, odważam się na dyatrybę przeciwko dzisiejszej muzyce Italów, poparty zdaniem techników i estetyków samychże Włochów, których opinie w tej rzeczy słyszeć mi się zdarzyło.

Nie będę teoretycznie wykazywał braku wyższych pojęć kompozycji, ani ubóstwa i monotonii formy w ich muzycznych utworach; kwestye te były już nieraz podnoszone i stawiane jasno przez ich francuzkich i niemieckich współzawodników, i ograniczę się jedynie na wykazaniu upadku, skutkiem że tak powiem wyschnięcia źródeł wszelkiej sztuki w massach, owych popędów piękna, owych ubiegań się ku osiągnięciu wyższych nad poziome celów; który to upadek uczuć się daje pomimo pozorniej ruchliwości, pomimo pozornego życia intelektualnego, w obojętności serc na wszystko co przechodzi ich maleńki zakres codziennych potrzeb i zabiegów rozlatujących się kółek tej wielkiej maszyny zwanój społeczeństwem, które niegdyś zakreślało granice po *ultima thule*, nadawało prawa narodom, piastowało święty ogień Westy, i uroczystą powagą otaczało sakramentalne naczynia.

Muzyka równie jak poezya, jak każda ze sztuk pięknych, najwłaściwszym jest probierzem stanu serc narodu, prawodawstwo następnie i instytucye, i dość jest rzucić okiem na to co porusza narodem, żeby mieć wyobrażenie o drogach, jakie przebiega zostawiając na boku fakta, które czasami olśniewają oczy i wpływają niekorzystnie na prawdziwość zdania o ogólnej sytuacji.

W dzisiejszej muzyce ludowej włoskiej bezbarwność i nużąca monotonia, a w muzyce miejskiej melodyjność sentymetalna prawie bez wyjątku, wysnowana z uczuć miłosnych, wiecznie jakby na jedno kółko nakręcanych; jakby z tych wszystkich kochających

piersi nie mógł się wydobyć inny głos nad gołębie jęczenia, kończące się rozdzierającym krzykiem i upadkiem w niemoc, jakby to jedno tylko uczucie gniazdowe przystępne było naturze tych ludzi. Hymnu do najwyższej Istności, hymnów bojowych, pogrzebowych śpiewów, niechajby w dzisiejszej muzyce włoskiej poszukać są, ale tak nie różniące się od innych melodyi miłosnych, tak bez żadnego charakteru, że chyba z tytułów kompozycyi dowiesz się co one wyrażać mają.

Ale przypuśćmy że śpiewy miłosne włoskie stanowią non plus ultra w tym rodzaju, to jednak nie nadaje im prawa górowania w sztuce muzycznej bezwarunkowo, a to tém bardziej, jeśli porównamy ich piękną przeszłość z rzeczywistością dni obecnych; dość tu przypomnieć Palestrinę (Giovanni Pier Luigi) urodz. w r. 1504, Jerzego Allegri, Bonawenturę Argenti, Liberati da Foligno, Pergolesi, Scarlati i tylu innych, którym żaden z dzisiejszych niewyłączając Rossiniego w kompozycjach religijnych nie wyrówna; kompozytorowie ci doszli w utworach swoich do tak wysokich sfer, do jakich nie zbliżył się żaden z kompozytorów niemieckich na tém polu; oratoria i msza Haendla i Mozarta są arcydziełami harmonii i zadziwiają kunsztem dźwięków, ale u Palestriny, Allegri i Pergolesa, natchnienie w podniesieniu ducha, także dyktuje mistrzom tym następstwo tonów, że nuty ziemskie stają się głosami zachwycenymi w sferach ludziom niedostępnych.

Muzyka na tym punkcie staje się żywym łańcuchem wiążącym dusze ludzkie ze Stwórcą, dźwignią potężną ową daremnie przez Archimedeasa szukaną, ażeby świat postawić, rzeczywistość podstawą intelektualnego świata.

Muzyka francuzka na niższym stopniu, muzyka marszów wojennych odgrywa we Francyi ten sam urząd opatrnościowy.

Włochy po osiągnięciu takich szczytów, doszli w muzyce do tego, czém są, do zupełnego poziomu, na którym Panny Helikońskie, jak się poeta wyraża, nie rade przebywają. Muzyka stała się zabawą, gorzej igraszką.

Marsze nie różnią się w niczém od najlichszych polek albo galopad, w kościołach nie usłyszysz w czasie nabożeństwa innej muzyki jak uwertury i wyjątki z oper, a niestosowność ta (właściwie bezbożność), popełnianą bywa nie tylko we Florencyi ale i w Rzymie. Ileżto razy zdarzyło mi się słyszeć po kościołach rzymskich wygrywane wczasie podniesienia walce Straussa i polki i to z taką werwą, z taką energią, z jaką tylko sławny Musard mógłby się popisać, a słysząc z jakimże utęsknieniem przypomniałem sobie nasze sapiące i skrzypiące organy i pastorałki po większych kościołach śpiewane, obrażające delikatne sluchy, ale nieobrażające miejsca poświęconego modlitwie.

W jednym z najuroczystszych dni w roku, w pierwsze święto Wielkiéjnocy, usłyszec w pośród ogólnego milczenia naraz uwerturę z „Marty” albo z „Roberta Dyabła” jest to niespodzianka jaka

się tylko tu przytrafić może i jakiej doświadczyłem we Florenckim kościele ś. Marka, gdzie niegdyś przebywał Beato Angelico i Savonerola, ów wielki propagator reformy w sztuce chrześcijańskiej.

Upadek ten muzyki kościelnej we Włoszech wyrodził się już to z oddziaływania przeciwko Rzymowi, jako powadze we wszystkich kwestyach i we wszystkich kierunkach myśli, już też ze skązonych obyczajów wyuzdaną rozpustą.

Każdy naród nie tylko Chaldejski i Egipski, ale Grecki i Łaciński od najdawniejszych wieków, w początkach swoich harmonizował się i konstytuował jakby na podstawie muzycznej, na sentymencie religijnym, któremu formę hymnu nadawał, obrzęd religijny czyniono publicznie i uroczyste. Świątynia Jerozolimską słynęła nie tyle rzadkością i mistycznością ozdób i kunsztownością poświęconych naczyń i przyborów, oraz liczną hierarchią służby świątynnej, ile związkami śpiewów i muzyki, która biorąc miarę z poetycznej łagodności kantyków, hymnów i psalmów proroczych, wzbudzały w duszach cześć i przyoblekały majestatem w uroczystą świetność ofiary (1), i kościół Jerozolimski był nietylko świątynią bożą, ale zarazem służył za palladium narodowości hebrajskiej; węzły narodowości jeśli można użyć tego porównania: sznurem nierozzerwanym łączyły się ze świątynią, i stanowiły nierozdzielaną jedność. Jakż naród mógł się kiedy pochwalić podobnie okazałym zastępem muzycznym, czy pod względem stosownego rozdziału śpiewów, czy w ożywionym następstwie rytmów, czy w rozporządzaniu zmian chórów, czy w niestychaniej liczbie i różnorodności instrumentów i śpiewaków? Wspaniałość tego zastępu muzycznego była tak wielką, że nie tylko wychwalana królowa Saba za czasów Salomona, jakoby od zmysłów odchodziła z zachwyty nad tą muzyką, ale w znacznie późniejszych czasach monarchowie Sycylii i Azji, wychowani i wykształceni wespół zbytek wielkiego Rzymu, poświęcali część dochodów z miast sobie poddanych, ba, nawet własnych skarbów na wspaniałe obrzędy, odbywające się przy harmonijnych dźwiękach muzyki i śpiewach. Psalmi zaliczone do *świętych*, ustanowione przez Dawida i przez niego na schyłku życia z taką usilnością polecane synowi Salomonowi, zachowane zostały w pierwotnej formie swojej aż do czasów Zbawiciela, a od tych tradycyjnje przeszły do chrześcijańskiego rytu. Augustyn święty pisze o tym śpiewie, że w nim mamy naukę i przykład od Samego Chrystusa i Jego Apostołów. Z czwartego wieku pozostało nam świadectwo dwóch wielkich Ojców: Bazylego z Cezarei i Ambrożego arcybiskupa medyolańskiego, iż śpiewanie psalmów przez chrześcijan nieprzerwanie się przechowywało. W V wieku Jan Chryzostom i Leon W. pisali o ważności przechowywania w obrzędach śpiewów psalmowych; jakoż aż do VI wieku żadna zmiana co do intonacji tych śpiewów nie zaszła. Sektarze wprowadzali po kilkakroć śpiewy odmienne, które jednak nie utrzymały się. Grzegorz

(1) *Martini Storia della musica.*

W. oczyścił liturgię, niezmienną nadając jej formę a uczynił to znieślchanym trudem i dokładnością, zmieniając używane aż dotąd cyfry czyli nuty greckie na litery alfabetu rzymskiego, o czém pisze Monaco di Engolisma, który w życiu Karola W. podaje, iż monarcha ten zażądał i uzyskał od papieża Adryana I dwóch doskonałych śpiewaków, którzyby sformowali śpiew francuzki i zarazem Antifonaryja świętego Grzegorza, które sam ten święty ponaznaczał nutami rzymskimi, zkał w całej Francyi śpiewacy nauczyli się nut rzymskich, nazywanych od owego czasu nutami francuzkiemi.

Jak w świątyni jerozolimskiej przy rozwijaniu się narodowości hebrajskiej, tak w Europie organizującą się na podstawie ducha hebrajsko-chrześcijańskiego, pieśń i muzyka stanęła u fundamentów społeczeństwa, a wznosiła się i utrzymywała we Włoszech, pokąd nie nastąpiło rozłarcie między świątynią a społeczeństwem, różność celów jednego i drugiego, którego stary hebraizm przez nierównie dłuższe czasy nie znał.

Wiele byłoby do powiedzenia, opierając się na autorach starożytnych o muzyce świątynnej u pogan. Starożytni pod nazwą muzyki, rozumieli nie harmonią tonów wyłącznie dla rozkoszy słuchu, ale harmonią wynikającą z proporcji wszech rzeczy stworzonych, jak o tém świadczy Pselbo a potwierdza Panakma, według Aristida Quintiliana; ztąd powstało iż mając oni na myśli obecną ową harmonią powszechną, podzielili wyraźnie muzykę na muzykę *świątów*, muzykę ludzką i instrumentalną (Boetius de musica lib. I cap. 2) i pierwszą upatrywali w ruchu sfer, w związku żywiołów i rozmaitości czasów, drugą w połączeniu doskonałym władz duszy, zmysłów, i członków ciała, w porządku wszelkich nauk, sztuk i w odpowiedniem zastosowaniu praw wszelkiej Rzeczypospolitej czy państw, trzecią zaś uznawali we wdzięcznym łączeniu głosów i dźwięku skombinowanych instrumentów, co podług wykładu Francesco Salina, wypada na trzy rodzaje muzyki działającej na zmysły i poruszającej takowe na inteligencyę, i ostatniego wpływającego na jedne i drugie.

Tak więc u wszystkich ludów i we wszystkich czasach, ważność muzyki a mianowicie świątynnej, cenioną była przez umysły wysokie i styl jej wyraźnie był oznaczony, a dewiacya rozpoczyna się w oderwaniu od źródła i w rozpadaniu się istoty społecznej.

U Włochów upadek ten nie od dziś dnia się datuje, już Salvatore Rosa malarz poeta w satyrach swoich skarży się na zepsucie smaku i oddalanie się od wysokich pojęć czasów minionych, a słowa jego dowodzą że w Rzymie w XVII wieku nie przestrzegano profanacyi świątyn muzyką bachiczną, wrzaskami odmienne wywołującemi uczucia od tych, jakie wzbudzać powinna pieśń i liturgia chrześcijańska; oto jego słowa:

Wiem, że przebiegam ścieszkę niebezpieczną,
Lecz stały jestem w wyrzeczeniu prawdy;
Ani jej będę zasłoną okrywał.

Dla ucha Boga miłszymi są głosy
 Serca, co milcząc wyznaje swe zbrodnie,
 Jak stu Aryonów śpiewy i muzyka;
 Albo niech w ślady wstępują psalmisty
 I naśladują Cecylią nie Talią...
 Przenika niebo tylko ta harmonia,
 Co zamiast nucić śpiewanie nużące,
 Swe opłakuje winy z Jeremiaszem.
 Bezwstydne głupstwo piersi zwaryowanėj
 W świątyni stawać z solfegiami w ręku,
 Wszystkie śpiewania dzisiejsze nieskromne,
 I kościół Boga zdaje się być raczėj,
 Noego Arką pełną różnój bestyi:
 Wszędzie tu słyżę kędy się obróćę
 Głosy bufonów, albo Saltimbanków,
 Na nuty *Ghigów Sarabandów* pieją (1)
 I tym zgorzeniu nikt nie stawia tamy.

Lekceważenie muzyki świątynnej u władz kościelnych równie jak i w massach pokazuje skłonności jednej i teje samej natury, poniżenie ducha własnego i utratę z widoku celów wyższych nad potrzeby codziennego życia.

Z ostatnich czasów uznane za klassyczne dzieło Rossyniego *Stabat Mater*, słyszałem i nie byłem zbudowany: wszystkie przejścia, wszystkie sola, przypominały mi jeśli nie *Cenerentolę*, *Barbieri di Seviglia*, *Włoszkę w Algierze*, to *Tella* i *Otella* opery tego *Moliera* muzyki kolosalnego maestra buffo. Po *Rossinim* nikt tu większej sławy nie używa, a chociaż gdyby muzyka kościelna uprawianą była i gdyby miała opiekę u władz kościelnych, na brak talentów *Włochy* skarżyć się nie mogą, żywiły do takiej muzyki mieli w sobie bez zaprzeczenia *Pacini*, *Spontini* i *Mercadante*.

Zamarłą poważną strunę zastąpiła i przygłuszyła muzyka zmysłowa, której początek odnajdujemy w bankietach dworskich, w tańcach i mimicznych reprezentacjach, pokąd się nie wyrobiła w dzieło sztuki operę; opera tedy zagarnęła w siebie urząd zabawiania i wzruszania ogółu. Teatr stanął obok świątyni i pociągnął słuchaczy podzielonych niegdyś na mistrzów i uczniów poza obrębem szkoły śmiejących się i wyskakujących po dopełnieniu ważniejszych zadań w życiu. Muzykanci jarmarczni wyszli na maestrów, muzyka ludowa straciła swój wertepowy charakter, znużniała i zamiast oddawać prawdziwe radości i prawdziwe smutki współczującego grajka, oddaje poziewanie zmęczonego umysłu, ciągnionego za uszy jak powiada *Szekspir*, jak ośła, który pomimo to nie pospieszzy prędej.

Wszelka forma w świecie zużywa się i rozpada z czasem a kolój ta rzeczy przyszła i na operę; tak zwana muzyka przyszło-

(1) *Ghigi* i *Sarabandy tańce owoczesne*.

ści nie jest niczem inném jak zapowiedzią, upadku oper na korzyść chórów. Tragedyi starożytnéj nie znajdzie się dziś pomiędzy poetami, talent téj wysokości co Rinucini, Jeno i Matashasia któryby poddał muzykę swoją pod dyrekcyę kompozytora muzyki, poeta Wagner pierwsze miejsce daje Caliopie, a do towarzystwa tylko jéj muzykę harmonii dodaje. Po Mozarcie, Cimarosie, Rossinim, Bellinim, Donizettim, Boildiem, Weberze, Meyerberze, Pacinim, Mercadantem i innych, forma muzyczna opery zdaje się być wyczerpaną a wrzaski Werdiego i jemu podobnych już są tylko jakby głosami pasującą się ze śmiercią. Pytanie tylko zachodzi jakim nowym kształtem wyleje się z ducha ludzkiego muzyka hymnów, podniosła muzyka świątynna? Czy powróci ona do dawnéj świetności, czy psalmodie jerozolimskie wspniamiętymi chórami odezwą się u stóp ołtarzy; na to odpowie kierunek ducha przyszłości, dążność ogólna społeczeństwa zmienna, niestała i jak Proteusz Homerowéj epepei, przejawiająca się wedle pięknego wyrażenia naszego Jana z Czarnolasu, to w smoka, to w deszcz, to w ogień, to w barwę obłoka.

Ale wróćmy do kwestyi kronikarskiéj, do dzisiejszego stanu muzyki we Włoszech.

To co rozumiemy pod muzyką ludową u nas, nie egzystuje we Włoszech. Canzonetti i muzyka do takowych układane bywają przez znanych miejskich kompozytorów; wymienię tu sławniejszych a mianowicie: Florino współczesnego Belliniemu, Luzzi Gordigiani, Pallone, Gabussi, Campana i t. p., toż kiedym się o tém dowiedział pomyślałem: i czémże są wszystkie gadaniny podróżników po Włoszech o poetyczności owego ludu neapolitańskiego, który wedle ich baśni improwizuje pieśni i muzykę, czém romantyczne opisy Lamartina improwizatorów włoskich, jeśli nie grubą niewiadomością i niczem więcej; lud włoski nie komponuje i nie improwizuje muzyki, Gordigioni Florentczyk jest autorem mnóstwa pieśni neapolitańskich, a mieszkańcy Torredel Greco, Portici, Amalfi, śpiewają i tańczą na nuty florenckiego kompozytora. Wenecyanie śpiewają Gabatrego i Luzzego, kompozycywa zaś ludowa ogranicza się do pewnego rodzaju recitatiwów, do opowiadania uczuć miłosnych i opisu piękności kobiet, które fantazyja tego nie poetycznego ludu porównywa do kwiatu kartofli, pomarańczy, do wieży Giotta, słodycz do cebuli i t. d. wierszami najczęściej bez rymu i bez sensu.

Gdzieniegdzie pomiędzy ludem na prowincyi a mianowicie w górach Toskańskich usłyszeć można pieśni odrębnego rytmu i charakteru od powszechnie śpiewanych; zdarzyło mi się to kilka razy, jakoż bliżej wsłuchawszy się i przypominając sobie francuzkie pieśni ludowe, poznałem w tych śpiewach głosy odległych zapomnianych czasów, Krzyżowych wojen i dalekich wypraw morskich Wenecyanów i Genuńczyków. Treść piosnki i nuta zwawa, pełna życia, objaśniły mnie dostatecznie; jedyne to pozostałości po Mennestrellach posiadają wyższą wartość téj tak zwanéj muzyki popu-

larniej, ludowo-nieludowej, ale żeby je poznać, należy dużo kraju zdeptać i przy nie jednym siadać ognisku, trzeba zachodzić w te kąty, w które turzyści nigdy nie zaglądale

Kędy strudzony muł
Swój drogi szuka w chmurach;

w te miasteczka do sokolich gniazd podobne bielejące się po wierzchołkach Apeninów, nagich, wszelkiej pozbawionych wegetacji; w miastach stołecznych kompozytorowie Canzonetów modelują się na kompozytorach oper i układają z małemi wyjątkami nuty nędzne do słów jeszcze nędzniejszych.

Muzyka ludowa do tańca przypomina nasze kołomyjki. Tarantelle i Saltarelle prawie się nie żywią pomiędzy sobą, skrzypcy tu nigdy nie posłyszysz do tańca, kobziarze (Piferary) wygrywają w okolicach Rzymu monotonne wrzaski na rytm Saltarelli, bębenek w neapolitańskim a wzdłuż nad morzem poczynając od Cornetto do Speyeri i Genui już cisza, żadnego instrumentu, żadnej muzyki nie usłyszysz; dziewczęta tych pięknych okolic tańczą zwykle same ze sobą bez współdziałania mężczyzn, przyspiewując sobie na niesforne głosy nutę monotonną Saltarelli. Nic smutniejszego nad ten brak muzykalności w ludzie włoskim, tém bardziej kiedy przypomnimy sobie wytopianie ptastwa nielitościwe, zwierzęta domowe jako to woły, owce pozamykane i strzeżone pilnie żeby się nigdy w polu nie pokazały, ludność kryjącą się po domostwach, melancholia ogarnia umysł, której rozpedzić nie mogą ani cudowne linie gór, ani kolory tęcze przedmiotów, ani budowania misterne, ani cyprysów i oliwek szarych gaje, i cała ta piękna klasyczna ziemia wydaje się malowanym grobem.

We Włoszech znajduje się ilość nieskończona teatrów. Każde większe miasteczko posiada swój teatr, myliłby się wszakże ktooby myślał że tu przybytki sztuki używają wielką ilość kompozytorów, że śpiewacy włoscy bogaty posiadają repertuar; na całym półwyspie panuje cztery do pięciu oper, których wyuczywszy się jak pozytywki, jedne wciąż i te same produkcje powtarzają; w stolicy na całą zimę grają dwie opery, które wysłuchawszy raz i drugi, nie masz już po co do teatru zaglądać, chyba żeby się ze znajomym spotkać, którego w domu nie znajdziesz, ile że życie społeczne we Włoszech zwykle koncentruje się w teatrach, albo na publicznych festach, to też wchodząc do teatru zagłuszony jesteś konwersacją powszechną, która ucisza się jedynie w chwili wyjścia prima donny, a kiedy ta odśpiewa, na resztę opery publiczność mało bacząc swobodnie oddaje się rozmowie, bez uwagi na melomanów, którzyby radzi muzyki w tej sali muzyce niby poświęconej postuchać.

O produkcjach wielkich kompozytorów tegoczesnych, oto co mi się z ust znawców słyszeć zdarzyło, a które to zdania w zupełności podzielam.

„Najwyżej ceniony u nas Rossini był niezaprzeczenie genialnym; mnóstwo i różnorodność motywów zadziwiająca obok elegancyi i tego *brillant* nadającego ruch całej kompozycyi; oto cechy oper Rossiniego, w czém mu żaden ze współczesnych nie zrównał, a jednakże po świetném panowaniu przez parę dziesiątek lat Rossini już dziś powszedniejsze, i opery jego robią wrażenie nie rzeczy klasycznych, ale staroświecczyny, jakiego to wrażenia nie sprawia muzyka współczesnych jemu kompozytorów jak: Weber, Spontini, Auber; przyczyny zaś tego szukać należy nie tylko w zbyt jednostajnej formie kompozycyi która się stała manierą, ale głównie w braku prawdy t. j. głębszego uczucia; śpiew Rossiniego wdzięczny, świetny często, przecież nigdy do łez nie porusza; najtkliwsze z jego operowych aryj, jak śpiew Desdemony w Otello, obok nuty zrazu rzewnej, przechodzi wnet w rulady i fioritury, czém pierwsze wrażenie słuchacza stłumione jest niebawem. W rodzaju buffo, Rossini nieporównany, ależ to rodzaj nie dający prawa do pierwszorzędnego stanowiska, a mimo to wpływem ograniczoności wymagań i z zapoznaniem wyższych talentów, jak Mercadante, Pacini, Spontini zimne tylko odbierających pochwały; jednemu Rossiniemu stawiają posągi za życia, i sypią wieńce po wszystkich miastach włoskich.

Po Rossinim, Bellini wysokim zajaśniał talentem, lecz i tu jednostajność sentymentalizmu sprawiła, że muzyka jego stała się z czasem ckliwą i monotonną, a osobliwiej w akompaniamentach. O Donizettim, który usiłował połączyć zalety Rossiniego i Belliniego, i który miał zastęgę dążności wyrobienia wszechstronniejszego w kompozycyi; rozpowiadają dziwi jako o sile produkcyjnej, skomponował bowiem setki oper, z których zaledwie trzy, cztery, jakoto: *Łucya*, *Napój miłosny*, *Don Pasquale* i *Faworyta mistrza* swojego przeżyły, kiedy reszta poszła w zapomnienie i nikt się o nie nie zatroska. Miejsce pierwszorzędnego włoskiego kompozytora w chwili obecnej zajmuje *Verdi*, który w kompozycjach swoich stara się sprostać kompozytorowi muzyki de *l'avenir* i na miejsce melodyjności w śpiewach, nie namiętność Belliniego, ale raczej szal, krzyk i skoki *salto mortale*, jakoby objawy siły wprowadza, za czem dziś ubiegają się artyści w ogóle, straciwszy poczucie piękna prawdziwego, a jest to jeden ze smutnych dowodów powszechnego zmateryalizowania.

W muzyce niemieckiej brak śpiewności nagradzanym bywa charakterystyką motywów, różnorodnością rytmów i instrumentacją, kiedy w muzyce włoskiej dzisiejszej, odjąwszy śpiew cóż pozostaje? Admiracya dla *Verdiego* trwalszą nie będzie, aniżeli była dla Rossiniego i Belliniego, i role nowe w osobach: Marchetti, kompozytora *Ruy-błasa* i *Donna Dementa*; Petrelli twórcy *Contessy d'Amalfi*, *Giovanna di Napoli*; *Jone Celiuda*; *De Giosa*, autora *Folco d'Arles*; *Dal Argine*; *Rossego*; *Lillo*; *Buzzi*; *Mabellini*; dwóch *Riccich*; *Pedrotti*; *Usiglio*; *Fazio*, zarysowują się na horyzoncie jako uczniowie szkoły *Verdo-Wagnerowskiej* i nowe gwiazdy przyszłości;

skala wszakże ich geniuszu jest tój rozciągłości, że nikt im seryo panowania zapewnić nie może, i wyglądają oni raczej na orszak pogrzebowy opery, jak na družbów weselnych. Kompozycye tych nowych maistrów, zwykle na jarmarkach przedstawiane, kończą żywot po pierwszej próbie i z ciszą pojarinarczną przechodzą w niepamięć, z której dla osobliwości wojażujące trupy czasem ich wywołczą.

W ostatnich czasach przedsiębiorcy (Impresarii) tutejszych teatrów, probowali obudzić smak wyższej muzyki, jaką jest niemiecka w publiczności florenckiej; nie powiodło im się wszakże. Don Juan i Wesele Figara nie zachwyciły Florentczyków i publiczność powróciła *alle solite* Norma Nabuko; Nabuko Norma, Ballo in Maschera, Traviata i Łucya z Lamermoru; a dla rozmaitości Zabijająca Matilda de Schubran, Meyerbera; albo Murta katarynkowe cudo.

Probują także urządzenia muzyki na sposób niemiecki, ale i to nie większego doświadczą powodzenia; kilku utalentowanych muzyków, pomiędzy którymi Papini skrzypek zasługuje na wzmiankę, odgrywa kwinteta i sexteta przed pustą najczęściej salą. Nie popularność tego przedsiębiorstwa, w części przypisać należy, niezmiernie wygórowanym jak na Włochy cenom wejścia.

Stowarzyszenia prywatne nie mogą oddziaływać skutecznie na smak ogółu, do czego jedynym środkiem byłoby zawiązywanie towarzystw śpiewu na sposób Sing-Vereinow niemieckich i podniesienie do wyższego znaczenia egzystujących szkół śpiewu bezpłatnych, w których wykład elementarny wydaje tłumy chórzystów, ale żadnego ucznia mającego pojęcie o stronie technicznój i wpływowej muzyki.

W Rzymie Monsignor Liszt stara się jak utrzymują, rozbudzić zamiłowanie muzyki klassycznej, koło wszakże w jakim się Monsignor obraca, nie posiada ani wpływu na massy, ani prawdziwej chęci poparcia słynnego niegdyś exekutora i *precursora* muzyki de l'avenir, usiłowania jego zapewne skończą się na niczém; reformy w sztuce i wpływ w społeczeństwie wywierają największy, ludzie którzy niewiadomo jak do tego przychodzą, bo ani stosunkami, ani pozycją, ani sławą: dowodem biografia Palestriny, tajemnica tego ich wpływu leży w ich ńędzy życia i w ich duchowych męczarniach.

We Florencji podobają się modnój publiczności produkcyę Offenbacha, co daje dostateczne wyobrażenie w jakim błocie lubuje sobie owa niegdyś *Donna di Provincia* Castida Firenze, nie ubliżajmy wszakże całemu miastu i powiedzmy prawdę, że te produkcyę lud florencki wygwizduje.

Że ucho florenckiego popolana, przez sam wstręt do pisków i wrzasków francuzkiego Galeota, entreprenera rozpasanych bezeceństw, unika tych spektaklów, a oko przywykłe do pięknych rzeźb co chwila witających przechodnia z domów i placów publicznych, odwraca się od widowiska, któremu prawdziwie niemożna dać nazwiska.

Świat piękny zato unika reprezentacji dzieł Alfierogo, Szekspira i Montego, zostawiając ten rodzaj sceny narodowej ludowi, który jak się wyrażają ma obowiązek być moralnym.

Bez udziału w dążnościach społecznych włoskich, jako spozstrzegacz tylko przynoszę to, co sam słyszałem i czego się sam osobiście dotknąłem, a wyrażenia powyższe zanotowałem sobie tylko co usłyszane żywe i ciepłe, *pro memoria*.

Taki jest stan ogólnej muzyki we Włoszech, elementa ogromne, zdolności jakiej żaden naród nie posiada, ale te spoczywają w massach podobne rudom srebrnym, olejom skalnym, kopalniom kruszców wszelkiego rodzaju, które we Włoszech żeby na świat wyszły potrzeba na to głowy i kapitałów angielskich czy francuzkich; wypadki tylko wielkie budzą od czasu do czasu włoski uspiozny geniusz, i wtedy on jak za reformy rozwija skrzydła Rafałowskijskiej sztuki, jak żeby przekonać o piękności prawdy nad którą zasypia. Rewolucya francuzka obudzi lwa tradycyi Alfierogo, który obok wstrętnych sobie ludowych sądów, postawi grecką piękność i szlachetność tych nagich półbogów, jakby dla nauki: że ich nagość była odmienną i nie obrażała wzroku nie nosząc na sobie moralnego bezwstydu, być może iż kiedyś ten sam geniusz Orfeiczną oparłszy lutnię na opuszczonych wzgórzach Rzymu, przypomni, że Opatrzność wzgórze te obrała za podnoże swojego tronu; bez wypadków nowy Orfeusz nie obudzi się w Italii, gdzie wszystko dzieje się nie tyle przez akcyę, ile przez reakcyę, przez oddziaływanie na parcie zewnątrz przychodzące.

Od muzyki przechodząc do dramy i komedyi we Florencyi, o których w następnych listach chciałbym dać wyobrażenie, zaczynam od farsy ludowej, od tak zwanój: *Maschera Italiana*.

We Włoszech (i czego nigdzie indziej nie znajdzie) egzystuje rodzaj maski, pod którą opinia publiczna wypowiada śmiało zdanie swoje we wszystkich najbardziej drażliwych kwestyach społecznych i narodowych; autorowie fars dla maski pisanych najczęściej są nieznanymi, a ktohy chciał usilnie dowiedzieć się o nich, nie po mieszkaniach literatów, ale po sklepikach zabłoconych i gdzie na koźle dorożkarskim z manuskrytemby się napotkał. Dorożkarze, handlarze wiktuałów i starzyzny, dostarczają tych płodów pełnych dowcipu (bez obrażenia słuchu żadnym wyrazem nieprzyzwoitości), trafnych spostrzeżeń, sytuacji najkomiczniejszych jak sobie wyobrazić można, a w ogóle farsy te mają za cel wyszydzenie zbytków i obcych naleciałości, pychy i śmieszności modnego świata, czasami zaś sięgają wyżej, masce albowiem jak niegdys błaznu wszystko wolno.

Farsę napisaną niesie autor do teatru chyłkiem, iżby go nikt nie widział, a tam już urzędnik śmiechu publicznego aktor, zajmuje się resztą. W Neapolu taka maska nazywa się *Pulcinello*, a pocieszneżyto dyable i na cały świat znajome: w Rzymie Rogantino garbaty, albo Cassandzino, rycerz co zakasawszy poły, rąbie

po karczmach okna i stoły, w Turynie dworak *Gianduja*; w Medyolanie Meneghino, w Bergamo *Arlekino*; w Wenecyi *Pantalone de Bisognosi*, w Bolonii *Doktor Balansone*, we Florencyi *Stenterello popolano* chłop. Genua i Palermo mają także swoje maski i każde prawie większe miasto; literatura włoska nie opiekuje się produkcjami tego rodzaju i żaden z jej historyków nieraczył zajrzeć i rozmyśleć się nad tą zdawkową literaturą ludu, w której spoczywają wszystkie bąki, ossy, latarnie włoskie, które w swoim czasie więcej wywarły wpływu na społeczeństwo, od pięścidełek p. Alfonsa Karr i jemu podobnych, a nie wzbogaciły żadnego z autorów i żadnemu z nich wieńca nie włożyły na głowę. Owóż do znajomszych fars we Florencyi należą następujące: Cień Ryszarda, małżeństwo Stenterolla, Stenterello w roku 23 życia powracający od mamki; Stenterello wynajmujący mieszkania, chórzysta i poeta. Dzwonek aptekarza, Stenterello protektor rodziny. Trzój garbaci z Gorgony, Opiekun oszukany albo patrzaj! patrzaj!, Dwaj Stenterelle bliźniaki, Wieczna nienawiść dla kobiet z musu czyli baraszki ze Stenterella i t. d.

Trzeba być w teatrze, trzeba widzieć te przedstawienia, publiczność i błazna rozmawiających ze sobą; jest to jakby rodzaj konwersacyi, porozumiewania się we wszystkim, co im jest wspólne, nikt się tu nie zna i wszyscy się znają: Stenterello zapoznaje spektatorów i wszyscy się widzą u siebie. Król Wiktor Emmanuel bywa na tych reprezentacyach i niemała mu one pociechę przynoszą: otóż téj strony naiwności jaka się we Włoszech przechowała, nigdzie już podobno w Europie nie znajdzie.

T. L.



KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

I.

Paryż d. 20 lutego 1870 r.

Towarzystwo antropologiczne w Paryżu — Przyjęcie pani Klemencyi Royer. — Ostatnie jej dzieło: „Człowiek pierwotny” — Lekcja wstępna pana Garcia de Tassy, o ruchu umysłowym u Hindów. — Emil XIX wieku, dzieło pedagogiczne pana Esquiros. — Nowe dzieło pana Taine: „Filozofia sztuki greckiej.” — Poezya Francuzka i jej pozytywizm — Le comte de Lille — jego utwory. — Dramat: „Wyzwolenie. — Dyalog: „Głos mistrza” — Rozmaitości.

Z pomiędzy towarzystw naukowych paryzkich, niedawno istniejące Towarzystwo antropologiczne, ma może najwybitniejszy charakter. Dobór członków, nowość przedmiotów roztrząsanych na każdym posiedzeniu, naostatek szczegółowe z nich sprawozdania głoszone w buletynach, wszystko to sprawia, że to naukowe grono zyskało wielki rozgłos i po za granicami Francyi.

W rzeczy samej Francya szczyci się tém Towarzystwem, które w dobrem i w złem, odbija wydatnie jej geniusz *pozytywny*. Niemcy równie jak Anglii i Amerykanie uznają się w tym względzie uczniami Francuzów. Co tu mówimy, tyczy się głównie systematyzowania, a szczególniej upowszechniania nauk antropologicznych; bo i któż nie wie, że inicjatywa w szczegółowym badaniu człowieka pod względem fizycznym, powstała najprzód w Stanach zjednoczonych Ameryki.

Tam pobudką do badań była walka ras: właściciele murzynów w południowych Stanach, aby usprawiedliwić niewolnictwo, szukali w porównaniu budowy białego i czarnego człowieka, praw do panowania pierwszego nad drugim. Ponieważ biali zarazem tu byli sędziami i stroną, zwycięstwo okazywało się przy nich. Uczucie ludzkości całego świata chrześcijańskiego, prote-

stowało przeciwko tej teorii, a interesa handlarskie Północnych Stanów, więcej aniżeli to uczucie przeważało szalę na rzecz murzynów, z prawnego przynajmniej stanowiska.

Naukowe następstwa tych walk, między dwiema rasami w Ameryce, silnie odcisnęły na Europę. I tu więcej niż kiedykolwiek, zaczęto porównywać ludzi pod względem koloru i składu ich fizycznego. Dawniej już rozpoczęte lingwistyczne prace uczonych, przygotowały tu umysł do takich badań. Wynikiem tych dwóch prądów było najprzód Towarzystwo Etnograficzne w Paryżu i w Londynie, z których łona wyszły towarzystwa antropologiczne w obu tych wielkich stolicach. Londyńskie towarzystwo wzięło sobie za prawdomierz jedynie miarę i wagę. Paryżkie zaś połączyło w sobie czysty materializm angielski z kosmopolitycznymi ideami geniuszu francuzkiego, a tém samém doprowadziło naukę do szerszych daleko rozmiarów.

Czytamy nieraz w publikacjach Towarzystwa Paryżkiego, że ma na celu zbadać wszystkie tajemnice tak pojedynczego człowieka jak nawet i społeczeństw. Zagadnienie trudne; ale właśnie to samo dążenie sprawia, że jego *buletyny* i *pamiętniki* wkraczają w dziedziny wszystkich nauk.

Taki rozległy pogląd ma i ujemną stronę, bo wszakże niepodobna ogarnąć razem wszystkich przymiotów. Ale za to publikacje tego towarzystwa mogą i powinny być czytane i przez jeografów i przez paleontologów, i przez geologów, jak również przez lingwistów, historyków, psychologów, antykwaryuszów a nawet i artystów. Towarzystwo bowiem obejmuje w swoim gronie specjalistów we wszystkich gałęziach wiedzy ludzkiej. Nie jeden przedmiot podjęty na posiedzeniu, daje pobudkę do różnostronnego badania. Oto np. przedstawiono tu kość albo czaszkę ludzką. Kraniolog rozmierza ją i decyduje czy jest krótko lub długo głowa, czy nie ma jakich nadzwyczajności w swjej budowie. Do czaszki przylgnęła szczypta ziemi; występuje geolog i bada jej naturę, paleontolog przygląda się ze swego stanowiska. Obok czaszki znaleziono jakieś narzędzie, jakiś rysunek nieznanego zwierza, skreślony na kamieniu lub na kości. Starożytnik rozpatruje pilnie ów przedmiot, określa prawdopodobnie czas jego wyrobu, stan cywilizacji do jakiego należy; jeograf oznacza położenie jeograficzne miejscowości, historyk rozpowiada dzieje starożytne ludów które tam mieszkaly, zoolog bada kształty zwierza, artysta zdejmuję rysunek, a zdanie każde z tych uczonych, staje się pobudką do nowych badań i wniosków.

Taki jest charakter posiedzeń Towarzystwa antropologicznego paryżkiego, i taki też charakter panuje w jego publikacjach, wychodzących stale od roku 1859, w którymto roku powstało Towarzystwo.

Oprócz zajmujących przedmiotów z ogólnej dziedziny świata naukowego, publikacje te mogą tem żywiej zajmować czytelników naszych, że od niejakiego czasu zwrócono tu głęboką uwagę

i na świat słowiański, dotąd tak powierzchownie i błędnie rozumiany.

Na jedném z ostatnich posiedzeń roztrząsano pytanie: czy kobieta może być przyjętą do poważnego grona antropologów? Pytanie ważne we Francyi. Jakoż roztrząsano je z nadzwyczajnymi formalnościami, bo tu szło jak mówiono o zasadę.

Podobne uzasadnienie położono przed trzema laty w Towarzystwie jeograficzném. Jednocześnie prawie i Akademia medyczna rozbiierała ten przedmiot. Rzecz tu szła o przyjęcie lub nie przyjęcie kobiet na uczniów téjże szkoły.

W Szwajcaryi i w Ameryce, podobne pytania oddawna rozstrzygnięte. Prawo kobiety do nauk, nie ulega tam żadnemu ograniczeniu.

Akademia medyczna paryzka odrzuciła żądanie kobiet, z wielkiem zgorzseniem Amerykanów i Szwajcarów. Towarzystwo zaś jeograficzne jednogłośnie zdecydowało zasadę przyjęcia, i zaprosiło do grona swego kilka światłych podróżniczek.

Nie rozbieramy pytania, dlaczego społeczeństwo francuzkie tak okazuje się trudnóm w uwzględnieniu praw kobiety do wyższych nauk. Rzecz ta dalekoby nas zaprowadziła. Zapisujemy fakt, bo godzin jest uwagi.

Towarzystwo antropologiczne znaczącą większością głosów przyjęło panią Klemencyą Royer. Inne Towarzystwa paryzkie mają także kilka kobiet między członkami swemi, lecz te przyjęte były na zalecenie innych członków, bez osobistego w tém udziału. Pani K. Royer weszła niejako wstępny bojem w grono antropologów. Podała na piśmie żądanie: kwalifikacją jej było obszernie dzieło świeżo wydane o *Pierwotnym człowieku*.

To przyjęcie charakteryzuje doskonale opinią większości Towarzystwa. Autorka należy do szkoły pozytywistów w krańcowém znaczeniu tego wyrazu.

Jesli tu mówimy o opiniach większości, mamy na widoku większość pod względem liczebnym. Antropologia jak i każda nauka ma swoich wyznawców i prawodawców. W liczbie tych ostatnich są pp. Quatrefage, Pruner-Bey, a to samo udowodnia, że kierunek materyalny silnie jest przeciwważony w towarzystwie, przez tych koryfeuszów nauki.

Oddawna już pani K. Royer zwróciła na siebie uwagę świata tutejszego trudniącego się wykładami publicznymi. Jej prelekeye, równie jak i pisma dawniejsze zaciekały słuchaczy ciekawych nowości. Teraz dopiero wystąpiła z książką o sześciuset stronnicach, w której starała się usystematyzować swoje badania, i wykazać ostatnie z nich wyniki. Uważamy za obowiązek powiedzieć kilka słów o tém dziele, bo imię autorki było już wzmiankowane w pismach naszych; terazniejsze zaś jej wystąpienie, a co więcej uznanie jakie otrzymała ze strony Tow. antropologicznego, uada jej tym większy rozgłos.

Autorka wzięła sobie za cel odebrać ludziom ideał piękna, dobra, cnoty, moralności, jak je dotąd świat pojmował; oczywiście dogmata chrześcijańskie rażą ją w szczególny sposób, a w tych dogmatach, wstrętne jej najbardziej *siedm błogosławieństw Chrystusa*, to niewyczerpane źródło pociechy dla ludzkości. Wypowiada to stanowczo przy zakończeniu dzieła. Słowem, pani Royer odrzuca z pogardą nie sam tylko chrześcijaństwo, ale niemniej wszelkie poczucie, wszelki instynkt religijny.

I jakąż jest nowa teoria autorki? jaki według niej początek świata i człowieka? Tu właśnie cały szkopuł. O początku wcale mówić nie chce. Zaczyna od twierdzenia, że istniały jakieś nieokreślone światy już to ogniste, już to wodne, zrodzone siłą samotwórczą. Te to światy rozmaicie się kombinując, wydały świat dzisiejszy. W wielkiej części autorka przyjmuje tu zasady Darwina, którego dzieła przekładem swoim dała poznać Francji. Uczony ten angielski jest przecież dla niej zbyt bojaźliwy w swych wywodach.

Pomyśli może kto z czytelników naszych, że obok tysiącznych aberracji w dziele p. Royer, mogą się mieścić niejaki poglądy rzucające światło na tę lub ową gałąź wiedzy ludzkiej? Niechaj odpowie na to sama autorka.

W przedmowie (str. 12), oświadcza iż chce tylko przyprowadzić do jednej syntezy zdanie wszystkich uczonych, którzy badali początek świata i człowieka; nie przedstawia jednak żadnych argumentów, na których oparła swoje wnioski. Zakończy śmiało temi słowy Woltera: „Kiedy dokonałam budynku, zburzyłam rusztowanie”. Jakąż to pycha! jaka pogarda dla krytyki czysto naukowej do której rości prawo?

Idźmy dalej. Autorka wylicza długi szereg uczonych, począwszy od Arystotelesa aż do najnowszych; nazywa ich mistrzami i przewodnikami swymi. Z podziwieniem spotykamy tu imiona takich idealistów jak Jean Jacques Rousseau, lub takich uczonych jak Quatrefage, których naukowe badania są w harmonii z objawioną religią. W ciągu dzieła odwołuje się autorka nawet do prac ks. Jezuity Secqui, najznakomitszego może z dzisiejszych astronomów. Zapyta kto, jakim sposobem pani Royer wyprowadza wnioski wprost przeciwne zasadom tylu uczonych na których powagę się zsyła? Jakoż sama spodziewa się tego pytania i najprzód odpowiada na nie. „Ci uczeni, mówi, są *niełoi-czni i bająźliwi*. Wahanie się ma swój urok, i nie naraża na niebezpieczeństwo”.

Autorka nie waha się, pogardza niebezpieczeństwem, bo go nie widzi. Ale krytyka uważa takie pisma, chociażby zajmujące 600 stronnie jak dzieło p. Royer, za prosty plód fantazyi kobiety rozgniewanej na społeczeństwo, które protestuje przeciwko jej pojęciu o pięknie i moralności.

Myli się także ktoby myślał, że autorka należy do zastępu kobiet domagających się tak silnie praw *emancypacyi* w dzisiej-

czém społeczeństwie. Przeciwnie, patrzy ona z pogardą na kobiety, ponieważ te, jak mówi, żyją jeszcze uczuciem a nie rozumem. [Cóż dziwnego, że patrzy z góry na tę połowę ludzkiego rodu, kiedy i druga połowa, w której widzi silniejszą inteligencyą, z bardzo małym wyjątkiem, w której zasługuje u niej na pogardę? Ludy czarne i żółte, sami nawet Semici, to jest Arabi i Żydzi, a co większa i aryjscy Persowie, stracili u niej wartość człowieczeństwa, ponieważ, jak mówi, nie okazują twórczej siły w wyrobach cywilizacyi. Zowie ich *niezdolnymi postępu* (imperfectibles). „Patrzcie na nich—woła z pychą, i nie dziwcie się że kilka tysięcy lat mała pa nie postąpiła” (str. 71—78).

Widzimy więc, że autorka odtrąca od praw ozłowieczeństwa cały świat poza europejski, to jest stanowiący przeszło tysiąc milionów ludności! Czyżby przynajmniej dwieście kilkadziesiąt milionów Europejczyków odpowiadało celom, jaki naznacza *dwuręcznym antropoidom*? Wcale nie!... Wszak autorka sama oświadczyła z góry, że od Arystotelesa do Darwina i do ojca Secqui, wszystkim uczonym zbywało na *loicznosci* lub na *odwadze* wypowiedzenia prawdy. Jeżeli ci przewodnicy nauki tak słaby okazali postęp, cóż dopiero mówić o całej ludności europejskiej!

A więc prosta konsekwencya tego wniosku, że tysiące lat pracy umysłu ludzkiego, czekało na panią K. Royer, aby dopełniła loiką swoją, niedokładne systemata owych *nieśmiały* geniuszów!

Zapytajmyż tego nieustraszonego prawodawcę, z kąd pochodzą różnice między zwierzętami, ptakami a ludźmi? Odpowie nam że te różnice spowodowała atrofia i współstosunek rozrostu, (*Correlation de croissance*). Na prawach tej *korrelacyi* w miarę jak jedna część materji rozrasta się, druga szkodzi na tem. Z takiego to dowolnego rozrostu pierwotnej materji przetwarzającego się fantastycznie, nazwanego *transformizmem*, powstały formy gadów, ptaków, zwierząt, a między ostatnimi i *bimanów*, to jest ludzi.

A gdy zapytamy o jakąkolwiek krytykę naukową p. Royer, odpowie nam: „Prawdą jest, że nie wiemy nic o przyrodzie, o samymże pierwiastku życia, chyba to, że nam się ukazuje jako szczególny objaw siły wegetacyjnej, której pierwiastek zarówno nam nieznan; (23) albo „czego nie wiemy dziś, dowiemy się później (46).”

Dwa ostatnie rozdziały: XII o *instynktach wojowniczym i duchu zdobywczym*, i XIII o *przyczynach nierówności w społeczeństwie*, poświęcone są zastosowaniu praktycznemu teorii. Czytelnicy nasi z zasad autorki domyślają się już syntetycznych jej wniosków. Posłuchajmy niech je sama określi:

„Mielśmy nie raz sposobność wykazać, że walka, wojna a niepokój, jest prawem *fatalnym* życia. Rodzaje jestestw, walką przeciw innym rodzajom, odmiany przeciwko odmianom, pokolenia przeciw pokoleniom, słowem jednostka przeciwko jednost-

ce. Przypuściwszy, że pierwszy szczepek dwuręcznych antropoidów, który przybrał wszystkie fizyczne cechy ludzkie, obdarzony był temperamentem moralnym stosunkowo łagodnym: ów temperament zamienił się w gniewliwy i gwałtowny, skoro ten szczepek wszedł w walkę z niebezpiecznymi nieprzyjaciółmi własnego i obcego rodzaju."

"Z pomiędzy odmian rozrodzonych z tego szczepek, te jedynie przetrwały, które obok siły i zręczności, miały niezwykłą i ciągle rozmagającą się odwagę, nie tylko do obrony własnej, ale nie mniej i do napaści na innych. Jeśli bowiem odwaga wystarczała do zachowania szczepek, to napaść potrzebną była dla ugruntowania jego samodzielności."

Na takiej to teorii spoczywa świat w pomysłach p. Royer. Nierówność ludzi jest naturalnym wynikiem tej zasady. Słabszy fizycznie mniej, sprytny, musi uleść silniejszemu i sprytniejszemu. Na rozwinięcie tego wniosku, poświęciła autorka ostatni ustęp swojej pracy. W nimto powstaje tak silnie przeciw siedmiu błogosławieństwom Chrystusa, co jest w ścisłej logice z jej teorią prawa silniejszego.

Przedstawiliśmy czytelnikom w bardzo ogólnych zarysach hipotezy p. Royer; smutny to objaw w społeczeństwie francuzkiem; ale społeczeństwo to ma w sobie tyle życia, że potrafi przemieść bez następstwa, nie tylko podobne wybryki fantazyi, ale i systematyczną walkę przeciw moralności i religii, podjętą przez tyłu antropologów, fizyologów, filozofów i ekonomistów dzisiejszych. Społeczeństwo korzysta z ich odkryć, wzbogaca wiedzę, a siły żywotne czerpie tam, z kąd bije niezmaćcone ich źródło.

Właśnie na tém samém posiedzeniu, na którem p. Royer otrzymała wstęp do Towarzystwa Antropologicznego, były jego prezes Pruner-Bey, czytał list missyonarza z nowej Kaledonii. Uczony antropolog zdaje w nim sprawę ze swoich dwudziesto-letnich badań nad tubylcami. Zbija on mniemania szerzące się w Europie, jakoby tak zwani *dzicy ludzie*, przedstawiali pierwotny stan człowieka. Mnóstwo tu widzimy nowych dostrzeżeń, dotyczących się kranjologii, osteologii i t. p. Dowody te pokazują do jak fałszywych wniosków mogą doprowadzić teorie o społeczeństwie ludzkim, wyprowadzane z wymiarów fizycznych. W jednym ustępie uczony badacz dotyka teorii o pokrewieństwie małpy z człowiekiem. Ma on przed oczyma i najmędrsze małpy i najdzikszych ludzi, a jednak długoletnie badania przekonały go, o nieskończonej różnicy pomiędzy temi dwoma typami.

Ten list będzie drukowany w Buletynie Towarzystwa pod tą samą datą, pod którą będzie i uwiadomienie o przyjęciu p. Royer. Pospieszmy zdać z niego sprawę w właściwym czasie.

Pogarda dla wszelkiej tradycyji religijnych, czy to zawartych w Biblii, czy w Ryg-Wedzie Braminów, czy nakoniec w Ko-

ranie, sprawia że p. Royer patrzy z nienawiścią na ten Wschód, który w łonie swoim wypiąstował tyle podañ łączących ziemie z niebem. Ztądto usiłuje na każdym kroku poniżyć wschodnie ludy i z przeszłości ich nawet zedrzyć tę aureolę, jaka je od wieków otacza. Na jednym z posiedzeń Towarzystwa Etnograficznego, słyszeliśmy obszerną jej rozprawę, w której z zadziwiającą łatwością słowa, usiłowała dowieść, że Wschód nie był nigdy kolebką cywilizacji, lecz że miała nią być tajemnicza Atlantyda, zanurzona w łonie oceanu w czasach przedhistorycznych.

Nie naszą rzeczą zbijać tę hipotezę, pozbawioną wszelkiego prawdopodobieństwa naukowego. Uważamy za to jako obowiązek odeprzeć zarzut zastołości (*imperfectibilité*), którym autorka zuieważa ludy wschodnie, równając je z małpami. Łatwo nam to uczynić, mamy bowiem za sobą powagę najuczestszych ludzi we Francji.

W przeszłej kronice mówiliśmy o postępie umysłowym ludów dalekiego Wschodu, Japonów i Chińczyków; dziś powiemy kilka słów o takimże postępie, objawiającym się w rozległym kraju Indów. Przewodnikiem naszym będzie znakomity Indyjczyk p. Garcin de Tassy, członek instytutu, professor języków hindostańskich w Paryżu.

Co rok przy rozpoczęciu kursu, professor ten w lekcji wstępnej zdaje sprawę ze stanu nauk i literatury w Indyach. Z tego rocznego sprawozdania dowiadujemy się kilku ważnych szczegółów, rzucających nowe światło na to dalekie społeczeństwo; p. de Tassy zwraca naprzód uwagę na jednakowy kierunek objawiający się dziś tak w Indyach jak i w Europie. „Kiedy u nas, mówi, panuje widoczny zwrot do gruntownego poznania, a nawet do wznowienia niektórych instytucyj wieków średnich, tak niedawno jeszcze okrzyczanych za barbarzyńskie; kiedy tu, niektóre dawne języki, zamienione dziś na prosty *gwar* ludowy (*patois*), domagają się stanowczo praw obywatelstwa, i Hindowie podobnym idą torem. I oni także usiłują podnieść do godności literackiej mowę *Hindui*, dziś upośledzoną i rozbitą na niezliczone podrzeczka, zmieniające się od wsi do wsi. Tych to *gwarów* używa większość mieszkańców Indyi. Mniejszość zaś mówi językiem zwanym *Urdu*. Ten język od roku 1837, został urzędowym w posiadłościach angielskich, zamiast perskiego, który panował do owej pory. Od lat trzydziestu język *Urdu* jest tém dla Indyi, czém język francuzki w Europie. Przewaga jaką zdobył pochodzi ztąd, że się oddawna wzbogacił formami arabskimi i perskimi, przez co o ile z jednej strony zyskał na ogładzie, o tyle znow stracił na pierwotnej czystości i oddalił się od sanskrytu z którego wypłynął. *Urdu* jest także językiem muzułmanów miejscowych.

Hindowie podnieśli dziś walkę przeciwko temu językowi. Jest to walka indyjskiej kastowości z muzułmańską centraliza-

cyą, puryzmu sanskryckiego z obcemi naleciałościami, a naostatek walka większości mieszkańców z rządem angielskim.

Walka to nadzwyczaj ciekawa i ucząca; toczy się bowiem z wielką zaciętością i coraz szersze ogarniając przestrzenie, pociąga coraz większą liczbę zapasników."

Żywotność sił u Hindów, objawia się niemniej w postępie szkół elementarnych i w zbliżaniu się do cywilizacji europejskiej. Pan Tassy podaje we wstępnej konferencji ciekawe liczby statystyczne, na dowód naukowego postępu w Indjach. Rozwija tę rzecz dalej w *Przeglądzie wychowania publicznego*. Wypisujemy ztąd niektóre cyfry.

W prowincjach środkowych szkoły liczą 65,728 uczniów Hindów, 4511 Muzułmanów, 2596 dzieci kast najniższych, (tubylców).

Szkół dla dziewcząt jest 133. W tych liczy się do 4049 Indyanek, 429 Muzułmanek, 80 dziewcząt z kast najniższych. Szkoły żeńskie nie dawno powstały, a już mówi sprawozdawca wielkie wydają owoce. W roku zeszłym wiele kobiet otrzymało patenta z ukończonych nauk. W szkołach przygotowujących nauczycieli jest 192 uczniów. W roku zeszłym 80 z nich zdało egzamin. Szkoła nauczycielek w Nagpoor ma 23 uczennic.

Widzimy tu wielką różnicę w liczbie uczniów kast wyższych a niższych, nie sądźmy jednak aby ubóstwo materyalne było dla kast niższych jedyną przeszkodą do nauk w duchu europejskim. Przyczyna tego jest ważniejsza, etyczna, tłumacząca się etnografią. Na 200,000,000 ogólnej ludności, jest tam ledwie 40,000,000 Aryów, których praojce podbili tubylców w tych samych odległych czasach, kiedy bracia ich zaludnili Europę. Obie te gąłęzie Aryów wyszły jak wiadomo z dzisiejszego Heratu, Persyi i krajów nadkaspjskich. Tubylcy w Indyi, złożeni z szczepu żółtego a nawet czarnego, stanowili tam zawsze znakomitą większość. Ten to stosunek zdobywców do ludów zdobytych, tłumaczy zaciętą kastowość indyjską.

P. Garcin de Tassy kończy uwagą, że Francya powinna naśladować Anglią w postępowaniu z tubylcami algerskimi, pod względem rozszerzania instytucyj europejskich. My dodamy z naszej strony, że te żądania acz bardzo szlachetne, nie dadzą się zapewne urzeczywistnić, bo zasady cywilizacji ludów semickich są nam nierównie dalsze, niż zasady azjatyckich Aryów.

Na wzór sławnego *Emila*, w którym J. Rousseau podjął w zeszłym wieku najważniejsze zagadnienia społeczno-pedagogiczne, p. Alfons Esquiros znany pisarz francuzki, wydał w tych dniach traktat o wychowaniu pod tytułem: „*Emil XIX wieku*.” Tożsamość tytułu daje do myślenia, jakoby aktor sądził że dzie-

łem swoim wywrze tak wielki wpływ na społeczeństwo, jaki wywarł sentymentalny ideolog zeszłego wieku.

Inne czasy! inne obyczaje! Dzieło pana Esquiros zostanie płodem prostej belletrystyki pedagogicznej, a raczej dyletantyzmu psychicznego. Dzienniki francuzkie zajmą się zapewne szczegółowo rozbiorem tej pracy: jedne przyklasną, drugie potępiają surowo. My wolimy przedstawić w treści zasady autora, niech je sam czytelnik osądzi.

Doktor Erazm uwięziony w fortecy St. Michel, w skutek przewrotu społecznego we Francyi w roku 1851, następnie wywieziony za morze zapewne do Antyllów, zostawia młodą żonę i syna, którego nawet nie znał; gdyż Emil przyszedł na świat po jego wydaleniu z Francyi. Żona Erazma opuszcza kraj, i osiada na angielskiem pobrzeżu Kornwalis.

Jeszcze dziecię było w pieluszkach, gdy się zawiązała między małżonkami obszerna korespondeucya. Doktor Erazm wymarza w samotności nowy systemat wychowania, zwracając główną uwagę na to, żeby żaden obcy wpływ, nawet wpływ matki nie tamował w dziecku niepodległego rozwoju myśli, nie zabił w nim twórczej samodzielności. W obszernym tym traktacie o wychowaniu, widzimy wiele rozrzuczonych prawd, połykających jak światelka obok licznych sofizmatów i szkodliwych utopij. Co chwila spotykamy sprzeczność, i nie może być inaczej, bo autor ściga myśl niepodobną do urzeczywistnienia, pragnąc usunąć dziecko od wszelkich wpływów ludzkich, a poddać je samym tylko wpływom natury. Żona dzieli przekonania męża i we wszystkim spełnia najwierniej jego wolę.

Chłopiec nie męczony nauką szkolną rośnie krzepko, rozwijając siły fizyczne. Żadna książka nie wchodzi w plan pierwszego wychowania, bo wszak książkę napisał człowiek i przelał w nią myśl własną, a Emil ma się wyrabiać sam z siebie bez żadnych obcych wpływów.

Matka stosownie do rad męża nie wspomina nigdy o Bogu, Emil gdy zostanie człowiekiem, i gdy przyjdzie sam przez się do pojęcia Istoty Najwyższej, obierze sobie religią odpowiednią własnym przekonaniom, (a co najpewniej żadnej nie obierze, bo wszakże każda religia krępuje niepodległość ducha!) „Po co mu wszczepiać zasady chrześcijańskie—mówi ojciec—kiedy będzie miał przed oczyma codzienny przykład, że wyznawcy Ewangelii nie żyją tak jak Chrystus? po co głosić mu prawa moralności, gdy te nie rządzą społeczeństwem? po co mówić mu o powinności, gdy ta jest abstrakcyą zanadto mistyczną, aby słabym umysłem potrafił ją zrozumieć.

Gdyby nawet było w mojej mocy—dodaje ojciec—wymyśleć systemat edukacji moralnej, któryby musiał koniecznie poprowadzić go do doskonałości, nie chciałbym zastosować do niego tego pięknego wynalazku. Pragnę gorąco, aby kiedyś był człowiekiem znanym, ale nie chciałbym widzieć w nim ani jednej cnoty którejby nie zdobył pracą własnego ducha.”

Z tych wyrazów autora, łatwo nam już osądzić całą jego dążność, jego zapatrywania się na prawa moralności i obowiązku. Chcąc niby to zachować syna w niepodległości umysłowej, rodzice odmawiają mu tego co sami uważają za najwyższe dobro, co własnóm zdobyli doświadczeniem. To wszystko co zdobyły wieki ciężką pracą, nie ma istnieć dla niego: musi sam się dorabiać, jak gdyby miał żyć tysiąc lat, i być genjuszem we wszystkich gałęziach wiedzy ludzkiej; jak gdyby mógł powiedzieć kiedyś: „ja sam odkryłem wszystkie tajniki świata!”

Rousseau logiczniejszy w swoich ideach, gdy utrzymuje: że nauki i ogólnie to co nazywamy cywilizacją, jest szkodliwém; że człowiek bez żadnej nabytej wiedzy, słowem człowiek dziki, najbliższym jest celu człowieczeństwa. Ta dzika teoria może pod pewnym względem być praktyczniejszą, niż teoria p. Esquiros, domagająca się aby człowiek sam zdobył wszystkie wiedze, własną wolą, własnym rozumem! A któż nie wie jak słabą tą wolą, jak niedostateczny ten rozum.

Głębszym zaprawdę był myślicielem nasz Jan z Czarnolasu, kiedy z pokorą powiedział:

„A kto by chciał rozumem wszystkiego dochodzić
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić”.

Dotąd widzieliśmy rozumowania, zamieniane w listach pomiędzy małżonkami. Ojciec przybywa nakoniec: zastaje syna takim, jakim go widzieć pragnął. Od tej chwili zajmuje się sam dalszém jego kształceniem. Oboje rodzice postanawiają nie oddawać go do szkół, gdzie mógłby naturalnie postradać samodzielność. Zresztą nie ma na świecie szkoły któraby odpowiadała wielkiemu przeznaczeniu swemu. Matka uważa iż pałac kryształowy w Londynie, mógłby poniekąd stać się godnym przybytkiem nauki, przenosząc wyobraźnię dziecka w rozmaite części kuli ziemskiej. Ojciec nie poprzestałby jeszcze na tém. Stawia on ideał szkoły jaką widział we śnie czy w marzeniu; przytaczamy w całości ten ustęp, w nim bowiem autor wypowiada jasno idealny cel, do którego społeczeństwo ludzkie dojść musi, jeśli system wychowania zalecony przez niego, powszechnie przyjętym zostanie.

„Przebiegałem konno — mówi doktor Erazm — nieznaną mi całkiem okolicę. Byłaż ona częścią starego, czy nowego lądu? Nie jestem tego pewien. Sądząc z pozoru, miałem, że leżała na krańcach kraju Eldorado, w pobliżu kraju Utopii.

„Po zagrodach otoczonych żywopłotem, pasły się swobodnie gromady bydła, trzody owiec, kóz i innych zwierząt, których nie widuję na łąkach naszych. Nie było tam ani psa, ani pasterza (znać że cywilizacja ogarnęła tu i bydłota w zaczarowane koło swoje). Pomimo skwaru południowego, woda rozprowadzona sztucznymi rurami, po łąkach i polach, utrzymywała chłód przy-

jemny i rzeźwiącą wilgoć w powietrzu. Drzewa rozrzucone umiejętnie po wzgórzach, nadawały kierunek chmurom i odganiały uragany. Zagrody opływały w dostatki, ludzie zdawali się szczęśliwi, kobiety były piękne, dzieci krzepkie i urodziwe.

Miasta zarówno mnie zdumiewały.

„W jednym z nich ukazano mi dwa gmachy, zbudowane w czasach, które mieszkańcy zwali barbarzyńskimi. Jednym z nich było więzienie, drugim dom przytułku. Pierwszy próżny był, gdyż zabrakło złoczyńców; drugi został też opuszczony, gdyż zabrakło ubogich. Zachowano przecież mury, aby je pokazywać podróżnym jako zabytki historyczne.

„Starzec którego spotkałem, poprowadził mnie opodal od miasta, gdzie na pochyłości wzgórza, w pośród zielonych gajów spostrzegłem pałac a raczej świątynię opromienioną różowym brzaskiem zorzy. Niepodobna mi opisać dokładnie tego pysznego gmachu. Ogrom równał się wspaniałości, każda część zbudowana według nowego systematu, ozdobiona była mnóstwem posągów, obrazów, słowem arcydzieł sztuki. Mury przemawiając do zmysłów, same z siebie były nauką. Uczniowie dzielili się na rozmaite *narody*; każdy z tak zwanych narodów, przedstawiał osobny wiek dziejów ludzkości.

„W jednym dziedzińcu spostrzegłem grupę dzieci, oddającą się różnym ćwiczeniom atletycznym (już tu gimnastyka nie wystarczała). Jedne ścigały się do mety, drugie naciągały ciężki łuk, lub innymi sposobami rozwijały siły fizyczne. Z wielkiem podziwieniem uważałem, że ich mistrzami w tych igrzyskach, byli Indianie prawdziwi czerwono-skórni, poznałem to od razu po barwie ich twarzy, po giętkich członkach i fanstycznych ozdobach na głowie.

— To dzikie pokolenie—rzekł mój przewodnik—przybyło niedawno do nas, przyciągnięte łagodnymi obyczajami kolonistów. My przyjęliśmy ich jako przyjaciół, ukazując im dobroczynne owoce naszej cywilizacji, jakich im pustynia dać nie może.

„Spostrzegłszy w nich dary przyrody których nam niedostaje, wymagalimy za gościnność, niejakich posług; na co przystali najchętniej. Uczą więc dzieci nasze znosić wytrwale trudy, zaprawiać oko i ucho, rozpoznawać obyczaje dzikich zwierząt.

„W jednym z oddziałów gmachu, odbywała się uroczystość jaką obchodzą tu często uczniowie historyi. Byliśmy podobno w Atenach. Przed nami wznosił się na skale Akropolis, uwieczniony mnóstwem świątyń, posągów, bóstw marmurowych i spizowych. Na zachód ciągnęły się propilee budowy Peryklesa. Grupy młodzieży w strojach greckich, rozmawiające językiem starożytnych Greków, naśladując ich ruchy, przechadzały się po sławnym grodzie, lub zdążały do portów Pireum, Munichii lub Falery.

— To wszystko co widzisz—mówił starzec—jest rzeczą bardzo prostą. Poznaliśmy z doświadczenia, że historia prześlizgała

jak cień po umysłach naszej młodzieży, nie zostawiając śladu. Umyśliliśmy przyoblec ją w ciało. Uczniowie nasi nie tylko że badają epoki starożytne, ale sami w nich żyją.

„Przewodnicy nie karzą nigdy uczniów, a jednak wszelkie usterki przeciwko prawom szkolnym ścigane tu surowo: dzieci bowiem same się sądzą, winowajcy stawają przed trybunałem, którego członkowie wybierani głosami towarzyszków, wymierzają sprawiedliwość bezstronnie i sumiennie. Dwaj adwokaci, jeden ze strony pokrzywdzonej, drugi ze strony winowajcy, objaśniają sprawę z całą powagą. Sąd przysięgłych zatwierdza wyrok. Kara bywa zazwyczaj lekka, uczniowie jednak lękają się tej ostateczności, gdyż najmniejsza wina ściąga wstyd nie tylko na jednostkę, ale na cały zakład.

Dziewczęta mieszkają w osobnym skrzydle gmachu, nauki przecież odbywają razem z chłopcami.

— W naszym systemacie edukacyjnym — mówił starzec — liczymy wiele na wpływ kobiet. One to rozdają nagrody. Dla przypodobania się dziewczętom, młodzi nasi atleci dokazują cudów waleczności, a przyszli oratorowie dzielnie szermierzą słowem. Ponieważ dziewczęta posiadają z natury zmysł estetyczny w ocenie sztuk pięknych, mają zatem głos w konkursowych sądach, co do poezji, muzyki i malarstwa. One też przysądzają wieniec za piękne czyny. Tym sposobem młodzież przyzwyczaja się słuchać rady kobiet, czytać pochwałę w ich uśmiechu i w oku pięknych dziewcząt uczyć się własnych obowiązków”.

Oto ideał wychowania, jaki przedstawia p. Esquiros ucywilizowanemu społeczeństwu ażeby go odrodzić. Wykazuje też i praktyczne skutki takiego wychowania. Emil w dziesiętnastym roku życia posłany został na uniwersytet do Bonn (widać że wpływy niemieckie nie zdawały się ojcu tak strasznymi). Pamiętny zasady ojcowskiej, że w oku pięknej kobiety należy *uczyć się obowiązków*, dopóty wpatrywał się w oczy młodej śpiewaczki, aż został jej igraszką. Poznał to poniewczasie. Za powrotem do domu wszedł w związki małżeńskie z wychowanką rodziców, i nazajutrz dopiero po dopełnionem *zobowiązaniu*, opowiedział co zaszło. Rodzice cieszą się i pyszną tym ostatnim aktem, świadczącym o samodzielności syna. Jak widać wprzód młodzieniec wybrał żonę niż religią, bo ten ostatni wybór pozostaje do końca w wątpliwości.

Na tem autor kończy dzieło, a my nasze krótkie sprawozdanie. Sąd zostawiamy czytelnikom, pozwalamy sobie tylko dodać jedną uwagę:

Pan Alfons Esquiros jak wiadomo, jest członkiem ciała prawodawczego; może łatwo zostać ministrem oświecenia publicznego. Kto wie czy Paryż nie ujrzy kiedyś na wyżynach Montmartre, podobnej szkoły, jaką autor ukazał nam na krańcach kraju Eldorado. Zobaczymy wtedy jakieś złagodzone pokolenie *Szerokosów*, zaprawiające młodź francuską do atletycznych ćwiczeń, tak nie-

zbędnych w dzisiejszym rozwoju społeczeństwa, które jak wiemy, pracuje nad utrwaleniem wiecznego pokoju, aby tém swobodniej zakosztować słodkich owoców cywilizacji.

Professor akademii sztuk pięknych p. Taine, wzbogacił świeżo *Bibliotekę filozofów francuzkich* nowém dziełem: *Filozofia sztuki greckiej*.

P. Taine ma w świecie naukowo-artystycznym zagorzałych zwolenników, lecz i liczba przeciwników jego nie mniejsza. Jest on głównym przedstawicielem doktryny *realizmu* w sztukach pięknych. Krytyka nagania tę dążność; mimo to wielu z uczniów jużto dla ponętnej nowości, już dla pozyskania sławy małym kosztem, rzuciło się w ślady nowatora. Bo i jak tu nie wierzyć professorowi, który wmawia w młodych artystów, iż nie jeden z nich wyższym jest od Rafaela, Michała Anioła, Leonarda de Vinci, dlatego tylko, że uganiając rzeczywistość, otrząsnął się z owych naleciałości średniowiecznych, tak odbijających jeszcze w geniuszu mistrzów XVI wieku. Tém trudniej oprzeć się pokusie, że Taine jest w rzeczy samej jednym z najpotężniejszych szermierzy słowa we Francji.

Stanowisko z jakiego autor zapatruje się na sztukę w ogólności, sprawia, iż plody geniuszu greckiego, nacechowane realizmem pogańskim, silniej przemawiają do jego wyobraźni, niż arcydzieła sztuki chrześcijańskiej, których on nie rozumie; na ocenienie ich bowiem nie wystarcza samo poczucie piękna w formie. Uważamy też ostatnią pracę p. Taine jako najlepiej charakteryzującą jego pisarski talent. Przytaczamy krótki ustęp z tego dzieła; może on dać wyobrażenie o całości, a zarazem okaże sposób zapatrywania się autora na cywilizację grecką.

„Piękny to kraj Grecya! rozwesela on duszę i sprawia że człowiek pod jego wpływem, patrzy na życie jako na ciągłe święto. Dziś z tego kraju pozostał tylko szkielet; wieki odarły go, złupiły, zaorały. Ziemia pousuwała się z gór, roślinność zubożała, i tylko nagie skały, porośłe gdzieindziej karłowatą krzewiną, sterczą na widnokręgu.

„Kto zna piękne brzegi morza Śródziemnego, czy to w południowej Fraucyi, czy w okolicach Neapolu; ten pojmie, czém była i czém jest jeszcze Grecya. Tylko że tam niebo daleko błękitniejsze; powietrze przezroczystsze; kształty gór czystsiej i harmonijniej odrysowane. Niema tam prawie zimy. Korkowe dęby, drzewa oliwne, cyprysy, pomarańcze, cytryny rozrzucone malowniczo po dolinach i parowach, nęcą oczy wieczną zielenią. Nie znany tu pomrok; deszcz prawie nigdy nie pada; powietrze wieje łagodnie; słońce ogrzewa a nie pali. Człowiek nie zmuszony wcale, jak w północnych sferach, walczyć tu z nieużyta przyrodą, i mieć się przeciw niej na baczności.

„Przed jego okiem roztacza się cudny obraz; zmienny co chwila, w miarę gry promieni słonecznych. Wyobraźmy sobie wieczorem szafirową przestrzeń morza, otoczoną wieńcem gór, jakby umalowanych w delikatne barwy opalu. Szczególniej też latem, słońce tak jaskrawo odbija w wodzie, że każdy promień łamiąc się w rozprysniętej fali, przedstawia oku miliony rubinów, topazów, szafirów i dyamentów. W takiej to powodzi światła, trzeba wyobrazić sobie czarodziejskie wybrzeża Grecyi.

„I cóż dziwnego, że w charakterze Greków widzimy panującą wesołość, uczucie szczęścia, potrzebę ciągłych wrażeń, słowem, to życie podnieconém bijące tętnem, które stanowi główną cechę ludów południowych. Człowiek idzie zawsze za kierunkiem, jaki nadaje mu zewnętrzna przyroda.

„Przy takim usposobieniu umysłu, życie staje się *bezustanną zabawą*. Żądło u Greków nie tylko idee, ale nawet poważne instytucje, mają w sobie coś wesołego. Ich bogowie szczęśliwi są i nieśmiertelni; żyją na wyżynach Olympu, tonących w eterze i światłości, kędy nie wieją ostre wichry, gdzie nie znane deszcze, dokąd śnieg nie poważa się zbliżyć. Tam w promienistych pałacach zasiadają złote trony, piją nektar, karmią się ambrozją, podczas gdy muzy harmonijne wznoszą pieńia. Wiekuista ucztą, wśród promieni słonecznych, oto niebo w pojęciu Greka. Najszczęśliwszy żywot śmiertelników jest ten, co choć w małej części zbliża się do owego ideału. U Homera prawdziwie szczęśliwym człowiek, któremu dano użyć kwitnącej młodości, i przekroczyć próg sędziwego wieku.

„Obrzędy religijne są tu zawsze wesołą biesiadą. Bogowie radują się z darów otrzymanych w słodkim winie i smacznych mięsiwach. Widowiska sceniczne należą też do religijnych uroczystości. Tragedya, komedya, chóry, igrzyska stanowią ich część nieodłączną. Grek nie pojmuje aby dla przypodobania się bogom, potrzeba było umartwiać ciało postem, pokutą i modlitwą. W jego mniemaniu człowiek powinien uczestniczyć w ich radości. Zdobić na cześć ich własne ciało, jak i wszystko co go otacza, słowem wyjść na chwilę ze śmiertelnego stanu swego, strojąc się w cały przepych sztuki i poezyi. Dla Greków podobny zachwyty był pobożnością. Kto czytał Lyzistrata, ten wie w jaki sposób odbywały się w Koryncie igrzyska na cześć Afrodyty, gdzie płaszcz religii pokrywał powagą swoją wyuzdane swawole.

„Życie społeczne równie jak religijne lekkim było dla Greków. Rzymianin podbija kraje na korzyść państwa. Kędy stawi zwyciężką stopę, zaprowadza tam własne rządy. Ateńczyk przedsiębierze wyprawę morską, walczy lecz nie buduje państw, zostaje bohaterem pod wpływem chwilowego wrażenia, wiedziony żądzą chwały, by powiedziano o nim że jest pierwszym między Grekami. Za złoto zdobyte łupem, lud grecki zdobi miasta, buduje świątynie, teatry, wznosi posągi, wyprawia igrzyska, uczy

i pochody tryumfalne. Użycie jedynym jego celem. Najuboższy z nich ma swoje łaźnie, swoje ćwiczenia gimnastyczne. opłacone groszem publicznym.

„W czasach późniejszych lud odmawia służby w wojsku, Grecy prowadzą wojnę za pomocą najemnych żołdaków. Wodzowie na to chyba przeznaczeni, aby figurować podczas igrzysk. „Oprócz jednego wodza którego wyprawiono na wojnę, mówi Demostenes, inni występują tylko przy obrzędach, w orszaku ofiarników.” Kiedy idzie o uzbrojenie lub wysłanie floty, Grecy zawsze się opóźniają, przeciwnie zaś w obrzędach, w zabawach publicznych, wszystko w nich zawczasu obmyślane i wykonane w porę.

„Tak samo w filozofii i sztukach, Grecy zbierali tylko same kwiaty. Nie szukajmy u nich tej pracy, tej ofiary z jaką uczony dzisiejszy ślęczy nad obrobieniem jednej cegiełki, która ma posłużyć do zbudowania wielkiego gmachu wiedzy. Tu filozofia była prostą rozmową, rodziła się w gimnazyach, pod cieniem portyków albo szpalerów platanowych. Mistrz rozprawiał przechadzając się, uczniowie postępowali za nim. Wszyscy usiłują dojść od razu do najwyższych wyników. Idzie im tylko o harmonijny obraz, nie troszczą się o nowe drogi. Dowody ich oparte zwykle na przypuszczeniu; słowem myśl ich buja po wyżynach. Istnie jak bogowie Homera, chcą kilku krokami przebywać wielkie przestrzenie, a jednym rzutem oka chcą ogarniać świat cały. Tu systemat filozoficzny jest prostym dziełem sztuki. Od Talesa do Proklusa filozofia grecka, podobnie jak i tragedia, snuła się około trzydziestu lub czterdziestu głównych tematów, przeplatając je tysiącem odmian. Wyobraźnia filozoficzna przerabiała idee i hipotezy, jak wyobraźnia mytologiczna przerabiała podanie o bogach.

„Wyrób myśli odbywa się w właściwy im sposób. Tak sofiści jak filozofowie uprawiają intelligencją po to jedynie, aby się bawić jej uprawą. Subtelna a długa analiza pociąga ich i zatrzymuje. Bawią się dyalektyką i paradoksem. W poszukiwaniu prawdy, nie przywiązują się do niej wyłącznie w sposób absolutny, gonią za nią jak łowiec goni za tropem zwierza, ale rzecz widoczna, że łowy zapalając ich wyobraźnią miłsze im nierównie od łupu.

„O Grecy! Grecy! mówił do Solona jeden kapłan egipski, jakiemż wy dziećmi jesteście!”

„Jakoż w rzeczy samej Grecy igrali ze wszystkiem co życie przedstawia najpoważniejszego, igrali z religią i z bogami, z polityką i z państwem, igrali z filozofią i z prawdą!”

Tak to harmonijnie, tak uroczo professor wyświeca swym słuchaczom, charakter geniuszu greckiego. Geografia, klimat, dobrobyt materyalny, oto i cała jego podstawa! Można jaśniej przemawiać do uczniów: „po co wam ślęczyć nad nauką, po co brać

życie na seryo? Grecy bawili się tylko, świętowali wciąż, a jednak pozyskali wiekową sławę!”

Podobny kierunek profesora może, jak mówiliśmy, zjednać mu zwolenników, ale krytyka godna tego imienia, potępić go musi surowo; bo nie świętowaniem to ciągłem, nie igraszkami, ale życiem twardem, życiem *braném na seryo*, zdobyli Grecy prawo do szacunku, jakim otoczył ich świat ucywilizowany zaczawszy od Rzymian ich ujarzmieli.

Cywilizacya rzymska byłaby dla nas tak pożyteczną, gdyby filozofowie i historycy greccy, nie nauczyli Rzymian, jak formułować myśli historyczne i prawodawcze?

Autor zarzuca brak różnaitości systematom filozoficznym greckim: było ich, mówi, zaledwie *trzydzieści* lub *czterdzieści*. Niechajże policzy ile ich wydała Francya, przez wszystkie czasy istnienia swego. Zapomniał znać profesor, że wszystkie rzeczypospolite greckie liczyły ledwie z jakie osmdziesiąt tysięcy obywateli. W Atenach było ich tylko 21,000 na 400,000 niewolników.

Zostawiając na boku tych Ilotów, mamy prawo zapytać jedynie ową małą garstkę obywateli greckich, co dokonała w sprawie cywilizacyi? Szkoła p. Taine utrzymuje, że prześpiewała i przepląsała życie, jak polny konik swoje lato! Historia odpowiada na ten zarzut; ona świadczy że Homer, Tales z Miletu, Leonidas i tysiące innych mężów czynu i myśli, aż do Sokratesa i Platona, brali *życie na seryo!*

Professor podziwia łatwość, lekkość i harmonią w formach, i naucza że te cechy umysłu greckiego są dowodem lekkomyślności! My sądzymy przeciwnie. Ta właśnie lekkość, ta łatwość, jest dla nas dowodem, że ludzie którzy potrafilo je osiągnąć, musieli przebywać sami owe tytaniczne prace ducha, które tak dobitnie i uroczo uwiecznili w swojej mytologii.

Błędnie też naucza professor, że Grecy doszli do tej doskonałości, jaką im przyznaje, bez surowych praktyk i ofiar, na których opiera się każda religia. I tu historia odpowie ukazując ofiarę Ifigenii i śmierć Sokratesa.

Ostatni jeszcze zarzut p. Taine: nie rozróżnia epok, miesięcy peryody postępu z peryodami zwichnień i upadków. Smutno pomyśleć do jakiego stopnia koryfusz realizmu fałszują historią, chcąc ją gwałtem naciągnąć do swych widzeń.

Ogólnie mówiąc szkoła realizmu wprowadza młodzież na błędną drogę, obiecując jej plony bez pracy i ciężkich ofiar, bez *życia na seryo!*

Większa mądrość leży podobno w naszym starém przysłowiu:

Bez prace
Nie będą kołace!

Jakibądź przedmiot podejmiemy z literatury czy sztuki francuskiej, musimy koniecznie potrącić o *realizm* lub *pozytywizm*. Między temi dwoma określeniami ta zachodzi różnica, że realizm jest krwawym szczeblem pozytywizmu. W sztukach pięknych, w poezyi, w literaturze, pozytywizm może pogodzić się z ideałem, sprowadzając na ziemię jego promień. Realizm nie przedstawia owęj dodatniej strony a nawet pogardza ideałem.

Francuzi sami przyznają, że pozytywizm stanowi istotne tło ich geniuszu narodowego. W sądach nawet o poezyi swojej wychodzą z tego stanowiska, skarżą się tylko na cudzoziemców, że nie rozumieją ani prawdziwego znaczenia pozytywizmu, ani też ducha poezyi francuskiej.

Ciekawe jest w tym względzie zdanie p. Leouzon le Duc, zdanie tém poważniejsze, iż oparte na gruntownej znajomości wielu literatur zagranicznych. Posłuchajmy jak odpowiada na zarzuty szwedzkiego poety Tegnera, w przedmowie do tłumaczonych przez siebie poematów skandynawskich.

„O piękna mowo francuzka! mówił Tegner, jakżeś ty błyszcząca, zalotna i zartobliwa, jak się wyrażasz oglądnie i uroczo! Jeśli kiedykolwiek przestaniemy hołdować ci jako królowej, piastującej berło w gronie sióstr, zawsze jednak uczymy w tobie czarodziejkę salonów! Nie dawaj nam tylko poezyi, bo to u ciebie istny taniec umarłych! nogi poruszają się wprawdzie, ale ucho nie słyszy taktu!”

Sąd Tegnera, mówi Leouzon le Duc, wyraża opinię powszechnioną na Północy, gdzie przyznają nam palmę pierwszeństwa pod każdym względem, ale zaprzeczają nam całkiem poezyi. Nie możemy zgodzić się na taki wyrok. Najprzód co do formy cudzoziemcy nie mają prawa jej sądzić. Język francuski ma swoje domowe tajemnice, niepojęte dla obcych; instynkt narodu sam jeden odgadnąć je zdofa, bo jego geniusz położył na nich własną pieczęć.”

Uczony krytyk wykazuje potem całe bogactwo języka francuskiego, nie tai wielkich trudności z jakimi poeta walczyć musi, przy ścisłych formach krępujących ten język; wykazuje nie mniej że wielcy poeci, umieli pokonać zwycięzko tę trudność, przystępuje nakoniec do scharakteryzowania poezyi francuskiej.

„Rozwój cywilizacji naszej, mówi on, silnie wpłynął na kierunek poezyi. Sztuka opanowała tu przyrodę, zwałiła jej siły. Nie możemy też współubiegać się o zdolność obrazowania z ludami, u których przyroda jest żywotniejszą a sztuka mniej wymagającą. Te ludy przewyższają nas także prostotą i siłą uczucia. Ale czyż poezya polega tylko na uczuciu i obrazowaniu? potrzeba jej myśli przedewszystkiem! W poezyi ma odżyć cały człowiek, z gorącym sercem, z twórczą wyobraźnią, z myślą zdrową pełną żywotnej siły.

„Biorąc pod uwagę utwory poetyczne różnych narodów—mówi dalej Leouzon le Duc—wzidzimy że te trzy działacze: wyo-

braźnia, uczucie i myśl, bez których harmonijnego współdziałania, prawdziwa poezja ostać się nie może, objawiają się przecież w rozmaitym stosunku. U jednych narodów przeważa uczucie, u drugich wyobraźnia. W poezji francuskiej myśl pierwszorzędną odgrywa rolę. Jest to konieczny wynik *pozytywizmu*, który stanowi cechę geniuszu francuskiego.”

Zgadamy się zupełnie na to określenie światłego krytyka; przyjmujemy w zupełności jego zasadę. Tak jest, równowaga tych trzech działaczy: wyobraźni, uczucia i myśli, stanowi doskonałość w poezji. Jak szczerze uposażone ludy, których genialni poeci połączyli w sobie i szarmonizowali ten troisty pierwiastek! Nasz niezrównany Adam, umiał być razem: wielkim myślicielem w *Dziadach*, wielkim malarzem w *Farysie*, *Sonetach krymskich* i *Panu Tadeuszu*, a wszędzie i zawsze głęboko uczuciowym poetą!

Powróćmy do poezji francuskiej. Tu myśl przemaga silnie nad wyobraźnią i uczuciem. Nie ubliża to poetycznemu geniuszowi francuskiemu. Takie piętno wycisnęły na nim wieki, więc innym być nie może. Widzimy zresztą jak Molière, Kornel, Beranżer, Hugo, przedstawiali godnie ów pozytywny geniusz swego narodu.

Poezja w której przeważa myśl, to jest pozytywizm, narażona jest na wielkie niebezpieczeństwo, i to właśnie objawiło się w chwili obecnej. Wszystkiego wprawdzie nadużyć można, ale nie każde nadużycie równie szkodliwe pociąga następstwa. Nadużycie wyobraźni popycha poezją na drogę fantastycznego szaleństwa; uczucie nieujęte w karby, zaprawia ją ekliwym sentymentalizmem; ale co będzie z poezją, jeśli myśl panująca w niej głównie jak w poezji francuskiej; jeśli ta myśl zwróci się na bezdroża, lub też przepomni chwilowo ideału, który ma ją opromieniać wiekuistym blaskiem dobra, piękna i prawdy?

Takie to zaćmienie przyszło w tych czasach na Francję, szczęściem że jej potężny geniusz umie wyjść zwycięzko z każdej próby.

Nim przystąpimy do ocenienia młodych poetów, którzy wsparci również na pozytywizmie, podjęli dodatnią jego stronę, powiedzmy słowo o poecie niepospolitego talentu, który jeśli nie pozyskał ogólnej sympatii w narodzie, to dlatego tylko że szukając dróg nieutartych, zбочzył na tak dalekie i ciemne bezdroża, iż zdrowy zmysł narodu nie mógł i nie chciał podążyć w jego ślady. Mówimy tu o p. Lecomte de Lille.

Gdyby można być wielkim poetą bez wiary, bez nadziei, bez miłości, Lecomte de Lille byłby nim niewątpliwie. Potężna to indywidualność, istny olbrzym pod względem wiedzy i erudycji. Zimny i ponury jak krater wypalonego wulkanu, odbija on samotnie na widnokręgu poezji francuskiej. Wykarmiony nauką starożytnych klasyków, obdarzony potężną wyobraźnią,

zakreślił sobie świat osobny, i w tym świecie panuje sam jeden bez naśladowców, bez współzawodników.

Nieodrodny syn wieku, jest on pozytywistą w najsilniejszym znaczeniu tego słowa. Duch jego nie szamocze się wcale, nie łamie skrzydeł o twarde zapory, nie myśli wzbijać się na te wyżyny opromienione blaskiem prawdy najwyższej, które poeci gonią przecuciem, niekiedy rozpaczliwie jak Bajron. Lecomte de Lille nie szuka tego słońca, nie tęskni nawet za niemi. Spokojny w nihilizmie ducha, nie rozpacza, nie walczy, poprzestaje tylko na zimnej negacyi.

Krytycy francuzcy, najznakomitsi z nich nawet jak Saint-Beuve, Pontmartin i inni, nie znaleźli podobno klucza do odkrycia tego zjawiska w poezyi francuzkiej. Czują oni i wyznają że de Lille stoi samotny na poetycznym widnokreśgu; że słowo jego lubo tak piękne co do formy, nie znajduje odbicia w sercach. Nam się zdaje, że poeta chciał się wyróżnić czémś nadzwyczajem, i w tym celu postanowił czerpać pobudki w Budystanizmie. Bożyszczem jego jest *Nirwana!* Ten system jak wiadomo, ma na celu *unicestwienie* człowieka. Nakazuje mu praktykować cnotę, świętość, dlatego jedynie aby się nie odrodził. Lecomte de Lille z tak pojętej doktryny, bierze pobudki do swych utworów poetycznych. Jest to więc uczeń Budy, w społeczeństwie europejskiem; ztąd pozytywizm jego ma osobny charakter.

O ile budystańskie pobudki autora są obce a nawet wstrętne społeczeństwu francuzkiemu, o tyle znów pędzel jego silny i energiczny, dziwnie harmonijny wyrób języka sprawiają, że Lecomte de Lille, aczkolwiek nie pozyskał sympatyi ogółu, zwrócił jednak na siebie uwagę wyższych krytyków.

Umysł to potężny w rzeczy samej. Dość przejrzyć liczne a różnostronne prace poety. Przetłumaczył *Illiadę* i *Odyseę* Homera, a z tak wielką ścisłością, że nie opuścił ani jednego wyrazu, ani też nie dodał. Należy on do tych wyjątkowych tłumaczy, którzy nie przerabiają pisarzy klasycznych na manierę francuzką, ale przeciwnie, styl francuzki dostrajają do tonu greckiego lub łacińskiego. Dla tém ściślejszego oddania tekstu, przetłumaczył Homera prozą, lubo w oryginalnych utworach swoich dowiódł, że mu nie trudno o piękne wierszowanie.

Jemu też zawdzięcza literatura francuzka nowy przekład Hezioda, Anakreona, Teokryta, Biona, Moskhosa, Tyrteusza, Eschilesa i hymnów Orficznych.

Z oryginalnych utworów wydał zbiór p. t. *Poezye barbarzyńskie*. Szczególny tytuł sam przez się już świadczy o oryginalności poety; przedmioty bowiem jakie obrał, nie liczą się wszystkie do kategorii barbarzyńskich. Są tu pieśni szkockich i skandynawskich bardów, które były zapewne barbarzyńskimi dla starożytnych Rzymian i Greków, ale dla nas niemi być nie mogły. Są tu podania wschodniego cesarstwa, legendy mnichów Tebaidy, obrazy brane z ucywilizowanego świata indyjskiego,

perskiego, a nawet i greckiego. I gdzież tu szukać barbarzyństwa? słusznie też krytyka zarzuciła niewłaściwość tytułu.

Zarzut krytyki nie zraził jednak autora; wiemy bowiem iż znów przygotował dwa wielkie tomy *Poematów barbarzyńskich*. Z tych pierwszy wkrótce opuści prasę, równie jak drukujący się tom oryginalnych *Poezyi starożytnych*.

Zbiorowe pismo *Parnas współczesny*, poświęcone samej poezji, wydało w tych czasach mały poemacik p. de Lille pod tytułem: *Kain*; jakkolwiek ten poemat nie należy do kategorii *barbarzyńskich*, żaden jednak nie zasługuje bardziej na tę nazwę. Smutno zaprawdę patrzeć na podobny obłęd niepospolitego talentu, na tyle sił gorzej niż zmarnowanych, bo spełniających szatańskie dzieło szerzenia chaosu w ludzkich sumieniach; poemat ten mimo tytanicznych rzutów pędzla, mało znalazł czytelników we Francji.

Kain w pojęciu poety jest ofiarą fatalizmu, ofiarą godniejszą współczucia niż zamordowany przezeń Abel. Thogorna wszystko widzący (le voyant) widzi we śnie proroczym, jak po kilkudziesięciu wiekach, morderca pohnięty do zbrodni koniecznością, powstaje z grobu w pobliżu Henokii, grodu olbrzymów, jak rykiem gromu, wyrzuca Stwórcy niesprawiedliwość i stawia się jako mściciel znieważonej w sobie ludzkości.

Nie będziemy wchodzić w bliższe szczegóły tego potwornego poematu. Widzimy w nim silne poparcie naszego założenia, że poezja w której przemaga myśl nad wyobraźnią i uczuciem, narazoną jest na wielkie niebezpieczeństwo; myśl bowiem szukająca z pychą nowych dróg i nadzwyczajnych ideałów, musi zabląkać się w odmęcie.

Po przeczytaniu *Kaina*, i nakreśleniu tych uwag o poecie, udaliśmy się do księgarza Lemaire, chcąc zasięgnąć wiadomości, o drukujących się *Poematach barbarzyńskich*. Lemaire zajęty był właśnie rozmową z człowiekiem około pięćdziesięcioletnim, wysokiego wzrostu, twarzy okrągłej, lekko zarumienionej, słowem przyjemnej powierzchowności! Przeglądaliśmy stosy książek, aby nie przeszkadzać rozmowie. Gdy się nieznajomy oddalił, jakież było zdziwienie nasze, skoro księgarz zapytany o dzieła p. de Lille, oświadczył nam, że on to sam wyszedł w tej chwili.

Rzecz niepojęta! na obliczu poety nie spotrzegliśmy najmniejszego śladu satanizmu. Wprawdzie na jego ustach był lekki uśmiech, ale raczej dobroduszny niż szyderczy. Ten krótki rzut oka na poetę, dał nam niemal pewność, że patrzy na świat nie tak strasznyim wzrokiem, jakby to mogło wydawać się z pism jego.

Są w rzeczy samej chwile, w których p. de Lille zapomina pysznych zachcianek; wtedy wydobywa z serca ludzkie dźwięki. Przytaczamy tu w słabym przekładzie wierszyk jego p. t.: *Bernika*. Jest to obrazek malujący rodziną jego ustron tego nazwiska, na wyspie Bourbon; p. de Lille jest bowiem kreolem. Wierszyk ten skreślony pod wpływem prawdziwego natchnienia, wykazuje

nam poetę w nowém zupełnie świetle. Ponury twórca Kaina, i pełen miłości śpiewak Berniki, kłamał sam sobie kiedy kreślił jeden z tych dwóch tak krańcowo przeciwnych utworów. Wierzymy chętnie że kiedy malował Bernikę, był wtedy rzeczywiście sam sobą.

BERNIKA.

Ukryta między góry skalistemi ściany,
Do dumań cię samotna przynęca dolina:
Ludzkiemi do niej stopy szlak nie wydeptany,
Nie odbrzmieją tu morza huczące bałwany,
Ni szmer ludzki: o świecie człowiek zapomina.

Wiatr kołysze powoje zdobne w dzwonki świeże,
W ich kielichu spi błogo szerszeń miodu syty;
Wąż ostrych aloesów przystępu tu strzeże,
I słodko tonie ucho w żywych wód poszmerze,
Gdy źródł przez rozpekane sączy się granity.

Niech świt rzuci na góry swój rąbek różowy,
Ona rajska dolinka zieleń umajona,
Spowija skał olbrzymich najeżone głowy
Przed słonecznym promieniem, w płat mgły fijołkowej
Co chłodnemi chmurami bucha z pieczar łona.

Gdy południe z błękitu białą lawę toczy,
Jéj zar wstrzyman w polocie konary ciemnymi,
Deszczem dyamentowym pryska w drzew pomroczy,
Po gałązkach zielonych drga promień uroczy,
Zauim plamy ogniste rozsieję po ziemi.

Niekiedy koza dzika wesołym poskokiem
Z wytężonemi słuchy pomknie z wrzosów cieni,
Otrząśnie z grzbietu rosę, w krąg zatoczy wzrokiem,
Wodę w skał wyłobieniu zebraną głębokiem
Pije chciwie na drżącym oparta kamieniu.

I rój wesołych ptasząt przelata w swobodzie
Z gałązki na gałązkę, z murawy na kwiatki:
To piórka szmaragdowe trzepią w zimnej wodzie,
To suszą pierś na słońcu gdy chłód ją przebodzie,
Tam na gniazdach pisklęta garną się do matki.

Uroczyste brzmią chóry po jasnym lazurze,
Tu miłość wabi słodko, tam tęskno się zali;
Śmiech, radość i wesele, pustota, sere burze,
Tak słodko się zlewają w harmonijnym chórze
Iż spokoju powietrznej nie zamącą fali:

Lecz dusza upojona tą chwilą szczęśliwą
 Czarodziejskich uroków, złoty wątek plecie;
 Czuje się ptakiem, kwiatem, światłem, wodą żywą,
 Chwyta z niebem ją niegdyś łączące ogniwo,
 I do Boga w milczeniu powraca jak dziecię.

Wiele w tych czasach ukazało się na ziemi nowych dramatów i komedyj. Do ważniejszych zjawisk na tém polu należy pięcioaktowy dramat wierszem p. Latour St. Ybars, p. t.: *Wyzwoleniec*, przedstawiany w Odeonie. Jest to utwór ściśle historyczny. Autor wybrał z dziejów starożytnego Rzymu chwilę, kiedy rzeczpospolita ma niebawem zamienić się w cesarstwo.

Już Cezar na czele niezwycięzonych kohort przybliżył się do Rubikonu. Stronnicstwa szarpią łono rzeczypospolitej. Konsule i trybuny występują wzajem do zapasu. Aby zjednać sobie lud łaknący chleba i wrażeń, *panem et circensis!* Pompejusz wyprawia widowiska, szafuje zbożem sprowadzonym z Sycylii i z Afryki. Lud też otacza tłumnie lektykę wspaniałego konsula i sypie mu głośne poklaski.

W owymto czasie, przebywa w Rzymie młoda i piękna królowa Pontu, Berenika. Rzym nie syty podbojów, oderwał od jej państwa Armenią; Berenika domaga się sprawiedliwości u senatu. Młodość i piękność silnie przemawiają w jej sprawie. Najważniejsi dostojnicy rzymscy składają hołdy u stóp królowej. Mimo to Berenika nie odzyska Armenii, dopóki nie zjedna sobie Pompejusza; on sam jeden prowadzi Rzym na wodzy.

Pompejusz ma ulubienca, przewodnika, doradcę, bez którego nie postawi kroku: jest nim wyzwoleniec Sarpedon.

Wyzwolenicy wielką odgrywali podówczas rolę w społeczeństwie rzymskiem. Stanowili oni pośrednie ogniwo pomiędzy ciemnym tłumem a pysznym patrycyatem piastującym najwyższe dostojenstwa. Ci wyzwolenicy pochodzili z rozmaitych stron świata: z Galii, Germanii, Iberyi, Dacyi, Iliryi, słowem ze wszystkich krajów, wchodzących w skład rozległego państwa rzymskiego. Sprytniejsi z pomiędzy nich wypływali na wierzch, a ciemną drogą intrygi i matactwa, dochodzili niekiedy do ogromnych majątków. Wówczas kupowali klientów za złoto, a w miarę bogactw wplyw ich stawał się potężniejszy.

Sarpedon prawa ręka Pompejusza, należał do takiej kategorii! Zaprażył on podobać się królowej Berenice, otoczonej hołdami całego patrycyatu. Królowa ma się widzieć z Pompejuszem którego nie zna dotąd; ulubieniec postanawia odegrać rolę pana. Idzie tu głównie o miłość własną, Sarpedon zrobił zakład że za trzy dni zjedna sobie serce Bereniki.

Z uczuciem nie igrać bezkarnie! Zimny wyzwoleniec, który dotąd nie kochał żadnej kobiety, topnieje jak lód na słońcu

pod spojrzeniem pięknej królowej. Serce uderza mu gwałtownie. I Berenika czuje się nie mniej poruszoną.

Przychodzi wreszcie chwila stanowcza: Sarpedon musi zrzucić maskę i ukazać się w własnej postaci.

— Jam nie Pompejusz! — woła z rozpaczą — jam wyzwoleniec: wczoraj jeszcze niewolnik... Jam lichy robak, zakochany w gwiazdzie! Chcesz mnie kochać tém czém jestem?

Berenika odtrąca go z gniewem i pogardą, słowa jej ostre jak sztylety, ranią serce zakochanego szaleńca. Wszystkie gromy wałają się razem na jego głowę. Pompejusz uwiadomiony o zuchwałym podstępie, odtrąca również dawnego ulubieńca. Kradzież nazwiska, według praw, pociąga karę śmierci. Sarpedon będzie rzucony lwom na pożarcie, lub przybity do krzyża. Królowa jednak przejęta litością błaga Pompejusza, aby darował życie wyzwolencowi. Ale Sarpedon nie chce korzystać z łaski: postanowił umrzeć, pragnie by jego krew obryzgała suknię królowej, gdy zasiądzie w cyrku przy boku Pompejusza.

W liczbie własnych klientów, ma Sarpedon wyzwolenca Dyomeda, którego wykupił niegdyś z niewoli. Dyomed nie odmówi mu nic może. Sarpedon żąda aby na dany znak utopił mu w sercu żelazo. Chcąc go nakłonić do morderstwa, przypomina chwilę kiedy go ujrzał po raz pierwszy.

Posłuchaj mnie, czas nagli; pamiętam jak wczora
 Spostrzegłem cię w pobliżu świątyni Kastora,
 Na wzniesieniu wysokim, wśród wrzawy i ścisku,
 Tyś tam z niewolnikami stał na targowisku.
 Kupiec, aby tém lepiej sprzedaż się udała
 Bez sromu, bez litości obnażył wam ciała;
 Niekiedy chcąc zebraną rezweselić rzeszę
 Podcinał was batogiem ku pleby ucieście.
 — Patrzcie! róże na licu jak kwitną! zawoła,
 A gdy z bólu wam twarze poblady i czoła,
 Chłostą krew na oblicza naganiał wam jeszcze.
 Tyś jeden się oburzył; spostrzegłem twe dreszcze:
 Kupiłem cię i twarde skruszyłem łańcuchy.
 I z cicham rzekł do ciebie, ni etracze otuchy,
 Ujrzysz wkrótce dom własny i matkę rodzoną,
 A ty spojrzalesz na mnie żrenicą zdumioną,
 I widząc w oku mojem, słysząc w głosie nucie
 To, czego nikt ci nie dał, serdeczne współczucie,
 Zapłakany wyrzekłeś: „O mój panie drogi,
 I matka, i domowe nieznane mi progi!
 Tak! jedna dola nasza, my obaj sieroty!
 I mnie słodycz matczynej nieznana pieśczęoty,
 Wspólne brzemień niedoli zbratało nam dusze,
 Więc dziś do twego serca odwołać się muszę!

Dyomed przyrzeka iż go zabije; Sarpedon podnosi głowę, przedziera się przez tłumy legionistów i liktorów; przystępuje śmiało do Bereniki i Pompejusza; wskazuje opodal orły rzymskie na widnokregu.

Zbyt długo się nademną los pastwił złowrogi,
Do Tego co mnie stworzył powrócę bez trwogi.
Ty drzyj, bo współzawodnik zdarł już maskę z lica,
Dnia olbrzymich zapasów, już zorza przyświeca.
Gdy ty gubisz człowieka, co jeden świadomy
Twoich losów, patrz! Cezar spieszy w progi Romy!
Co czeka cię konsulu, wiem lepiej od ciebie,
Oto orły Cezara migocą na niebie.
Czy słyszycie? w posadach świat wali się stary!
Uzbrój twoje kohorty, zbierz te ludu chmary,
Pomknij żywo do boju.. czas już!

Pompejusz groźnie

Sarpedonie!

Sarpedon do Dyomeda.

Uderz w serce!

Berenika.

Ha!

Dyomed zasłania twarz i uderza sztyletem pana swego.

Sarpedon ugodzony do Pompejusza.

Cezar, już na Rubikonie!

I w téjże chwili pada na ziemię. Ciało jego potoczyło się do stóp Pompejusza i Bereniki.

Taka jest treść dramatu. Nie brak tu wielkich efektów scenicznych. Piękny wiersz nadaje utworowi niepospolitą wartość.

Utwór to w rzeczy samej ściśle historyczny. Wiadomo z dziejów że Pompejusz miał u boku swego wyzwolenca Demetryusza, który rządził nim wszechwładnie. Pałace i skarby Demetryusza były podziwem Rzymu. Autor przemienił tylko imię, zowiąc go Sarpedonem.

Przedmiot jak widać zbadany gruntownie i sumiennie. Poeta umiał przejąć się barwą miejsca i czasu. Wielka to zaleta w utworze historycznym.

Głos Mistrza, krótki dyalog wierszem, przedstawiony w ostatnich czasach w Odeonie, zasługuje téż na uwagę. Autorem jego jest młody poeta p. Delpit. Występują w dyalogu dwie osoby: jedną z tych dwadziestoletni młodzian, drugą Molier a raczej duch wielkiego mistrza.

W ubogiej izdebce na poddaszu, wśród stosu papierów i książek, młodzian z owéj licznej rodziny bajronistów, których nie brak tu między występującymi poetami, żali się na świat i życie. Wszystko widzi w najczarniejszych barwach.

— Miałem przyjaciół—mówi—znikli jak cień! Miałem kochankę... opuściła mnie dla drugiego! Sam na świecie, nie wiem kędy obrócić oczy... radbym umrzeć. Wszystkoż więc kłamstwem? i uśmiech kobiety, i uścisk ręki przyjaciela? Gdzież ja znajdę siłę do walki!

To rzekłszy spogląda na portret Moliera zawieszony na ścianie.

— Gdybyś ty mógł przemówić—rzecze—twój głos mistrzu rozjaśniłby ciemne kryjówki duszy mojej!

Mrok zapada. Młodzian zamyka oczy. Przed sennym stawa Molier, patrzy nań chwilę, kładzie mu rękę na ramieniu.

— Posłyszałem cię—rzecze—więc przychodzę; czego chcesz?

— Mistrzu!—woła młodzian—ty znasz świat; wezwałem cię bo cierpię, bo brakło mi nadziei.

Molier słucha z litością skarg dwudziestoletniego pesymisty. Młodzian wykazuje mu gangrenę toczącą społeczeństwo sto-kroć zjadliwiej niż wtedy, kiedy wielki mistrz chłostał je bronią śmiechności.

Molier.

Biedny!

Młodzian.

Ty mnie załujesz?

Molier.

Bo nie wierzysz, dziecię!

Pozwól mi wyrzec słowo: ty widzisz na świecie
Samą zbrodnię i hańbę. Słuszna że cię razi,
Wszak one zwykły chodzić z niezakrytą twarzą,
I bezczelną szkaradą biją ludziom w oczy.
Sam Bóg chce żeby wyszło przestępstwo z pomroczy.
Lecz dobro się ukrywa; żyje przecie cnota,
Choć głucho zagrzebana w pomroku żywota,
I świat ledwie zgaduje we mgle tajemniczej,
Jój czystość niepoznana i blask jój dziewiczy;
Miej nadzieję! w tém słowie leży mądrość cała.

Młodzian.

Cnota ludzka dla ciebie czyżby urok miała?
Wszak oko twoje w sercach tyle skaz dostrzegło,
Gdyś ręką anatoma rozkrawał je bieglą.

Molier.

Jam czuł jak z piersi ludzkiej do głębi dotkniętej
Moim zimnym skalpelem, tryskał płomień święty.
Dlatego ja zachował wiarę w głębi serca,
Dlatego to boleję gdy młody szyderca
Jak ty, urąga światu i życiem się nudzi.
I wątpi wprzód nim walczył i potępia ludzi!

.....

Znasz jednak życie moje, kto łyzy w nim policzy?
 Żyłem w ciężkich zapasach, w bólu i goryczy,
 Dwie córki śmierć jak kwiaty zmiotła pod mém okiem;
 Ukochałem kobietę uczuciem głębokim:
 Zdradziła! jam mą rozpacz przyoblekł w żart pusty,
 I rzucił go wbrew światu Sganarella usty.
 Moc twórczą jam w boleści czerpał niezmierzonej,
 Karmiłem się trucizną, aż łzami zwalczony
 Długie męki żywota i łyzy moje krwawe
 Z szczerym śmiechem potomnym rzuciłem na strawę.

A jednak—dodaje Molier—jam nigdy nie zwątpił o ludziach. I ty młodzianie, skrzysz w płomień iskrę przygasłą w sercu swoim. Badaj tajniki życia, wskazuj ludziom drogi postępu! Powiedz starcom, niech okiem wyrozumienia, bez klątwy na ustach, patrzą na młode pokolenie. Powiedz niewieście, że na to Bóg obdarzył ją urokiem, aby przy jej boku, pod promieniem jej miłości, mąż odetchnął po codziennym znoju żywota. Powiedz jej niech nie targa owęj świętej korony małżonki, córki i matki, szukając sławy i zasługi za obrębem ogniska domowego. Być po ciechą i wsparciem, oto zakres jej działalności:

Idź! powiedz młodzieży,
 Niech ukocha powinność, niech ufa i wierzy.
 Zaszczytnej walce krzepkie niech poświęci lata,
 Walce między obłędem a postępem świata.
 Niech ciężki pług w zylaste dzielnie ujmie dłonie,
 I własną zorze brudę na wielkim zagonie;
 Niech śmiało idzie naprzód na ponęty głucha.
 —„Zabawmy się choć chwilkę!” poszepnie głos druha,
 Precz z pokusą! niech idzie! Świat szyderstwa słowy
 W piersi zbluzga jej wiarę; tchnie w nią chłód grobowy,
 Niech idzie! Krzepkiej piersi nie dojmie ta skaza,
 Gdy serce z hartownego wykute żelaza!

Przekonany poeta błogosławi mistrza. Wyleczony z Bajronicznych zwątpień postanawia iść wiernie zakreśloną mu drogą.

Maleńki ten utworek nie jest bez znaczenia na scenie francuskiej, świadczy bowiem o pomyślnym zwrocie jaki się tam wydatnie objawia. Pisarze ostatnich czasów, tak szafowali silnemi efektami, że w końcu przebrała się w nich miara. Ogół przesycony widokiem zbrodni i szkarad zapragnął czystych wrażeń! Z zapalem też przyjmuje słowo prawdy, zwłaszcza kiedy przybra-
 ne w udatną formę wiersza.

Jeżeli jednak wielka część publiczności spragniona czystego ideału z utęsknieniem chwyta każdy połyskujący jego promyk, inna część za to żartuje z tego zwrotu, i rzuca szyderstw słowa:

„Dziś moralność w modzie! piękno i prawda na porządku dziennym.” Dla téjto ostatniej publiczności autorowie wymyślają dramata pełne bezecnych zbrodni i gwałtów, o których tu mówić nawet nie chcemy. Dla niéjto przedsiębiorey widowisk, wywołującą z dawnych repertoarów takie potworne płody geniuszu jak Lukrecya Borgia przedstawiona obecnie w *Porte Saint Martin*. Tu to publiczność przepędza tłumnie nocę przed więzieniem Rokiety, aby napaść oczy widokiem krwi świeżej, i przygłuszyć oklaskiem, poszczęk gilotyny spadającej na ludzką głowę.

Ze smutkiem widzimy że wielu korespondentów do pism krajowych, przedstawia tę ostatnią część społeczeństwa paryzkiego jako wyrażającą stan normalny Francyi. Są to zuchwały i dorywcy. Paryż jakkolwiek scentralizował siły Francyi w wielu względach, nie jest wszakże jój uosobieniem. Pamiętajmy że w tém olbrzymim, dwumilionowém mieście, przebywa krocie napływowej ludności, goniącej za wrażeniami, a gotowej szukać ich nawet u gilotyny.

Professor Manuel autor dramatu *Robotnicy*, który tak nadzwyczajnie zyskał powodzenie, posłał ten utwór pod rozpoznanie komisji akademickiej, przysądzającej konkursowe nagrody.

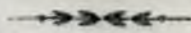
Termin naznaczony do przesylek na ten rok, oddawna już minął, ale na silne naleganie dwóch akademików Ernesta Lécouvé i Emila Augier, dramat został przyjęty do konkursu. Ten sam wyjątek zrobiono w roku zeszłym dla p. Coppée. Wdanie się dwóch poetów dramatycznych na rzecz Manuela czyni im zaszczyt, gdyż zwykle uczonych a szczególnie poetów, obwiniają o zawiść.

Wkrótce ukaże się nowy dramat Manuela, w pięciu aktach, napisany wierszem. Tytuł nowego utworu dotąd jest tajemnicą.

W Wodwilu grany będzie téj zimy dramat p. *Villers de l'Isle Adam*, pod tytułem: *la Berolte*. Jeśli ta sztuka znajdzie powodzenie, może stanowić ważną przejęcie w historii teatru, autor bowiem odstępuje w niej od wielu przyjętych zasad. Dumas syn przeczytawszy ją, tak się o niej wyraził w liście do autora:

„Sztuka pańska wyborna, oryginalna, prawdziwie *nowa*. Zaręczam że graną być musi, mimo oporu jaki stawiać jój będą. Wychodzi ona z ciasnego obrębu konwencyonalności teatralnych. Jeśli dyrektor opierając się na tradycyi, będzie chciał porobić jakie zmiany, nie ustępuj pan ani na krok. Dramat ten albo pozyska niesłychane powodzenie, albo też upadnie odrazu.”

Wiktor Sardou napisał dwie komedye: jedną pod tytułem: *Fernanda* dla teatru Gymnase; drugą dla Wodwilu pod tytułem: *Pattes de Mouche*.



PRZEGLĄD TEATRALNY.

Żyd. *Dramat w pięciu aktach, oryginalnie przez Edwarda Lubowskiego napisany.*

Przedstawienie dnia 4 lutego w Teatrze Wielkim zapowiadało nam pewien rodzaj uroczystości scenicznej; po bardzo długiej co do dzieł oryginalnych przerwie, wypełnianej od chwili do chwili zaledwie drobnostkami mniej więcej udatnemi, ukazał się na afiszu utwór oryginalny, wyższy treścią, obszerniejszy rozmiarem i zwracający już od lat dwóch uwagę, zdobyciem sobie palmy pierwszeństwa na konkursie lwowskim.

Wprawdzie wybrał się on przed trybunał publiki nie w najpomyślniejszych dla skaptowania jej warunkach. Już dzięki teatralniejszemu kierunkowi sceny, miejsce ckliwych i brutalną efektywnością świecących melodramatów zaczęły zastępować arcydzieła mistrzów wiekowych, już w miejsce rutynicznego języka, w przekładach zaświecił artyzm, czyniący przekład nie już złem koniecznym, ale dziełem stanowiącym literacki nabytek. Wystąpienie więc *Żyda* p. Lubowskiego, wśród czarów rozsypywanych ręką Szekspira i Szyllera, jeśli nie było zuchwalstwem, miało przeciwko sobie niebezpieczną baterję porównań i wspomnień widzów teatralnych. Miało ono jednak a przynajmniej powinno było mieć za sobą i tę myśl, że suknia pożyczana jakkolwiek świetna, nie tyle zdoła i grzeje ile swoja własna.

Fałszywe przecież uprzedzenia pewnej części publiczności, nie podzielając snadź tej myśli, uwydatniły się zaraz na pierwszym przedstawieniu *Żyda* pustkami miejsc najpokaźniejszych; szczęściem miejsc innych zapełniono tyle, że ztąd mogła się utworzyć pewna masa ogólnego wrażenia i sądu.

Powiedzieć że sztuka p. Lubowskiego zyskała wielkie powodzenie byłoby to zbyt dużą amplifikacją; utrzymując znowu że powodzenie to było tylko odbiciem szacunku dla rzeczy miejscowej (*succès d'estime*), źle wyrazilibyśmy wrażenie jakie wywarła i jakie bezwzględnie wzięwszy, wyrzucić była powinna. Owszem słucha-

no jój z przyjemnością, przyklaskiwano ilekroć nadarzyła się do tego sposobność. A jeżeli mówimy przyklaskiwano, to w tym ob-
jawie zadowolenia, nie oddzielamy autora od aktorów: zły aktor
może schować zalety pisarza które przy nieudolnej grze przejdą
niepostrzeżone mimo uszu i oczu widza, ztąd téż nieraz nie przy-
klaskują samemu nawet Szekspirowi w miejscach najbardziej na to
zasługujących; aktor dobry, zyskując oklask, zaleca nietylko ziar-
no które z duszy własnej zasiał na czyimś gruncie, ale i tenże sam
grunt, na którym, gdyby był martwy, nicby się nie urodziło. Wy-
padkową więc z tych wszystkich wrażeń jakie unieśliśmy z przed-
stawienia było to, że *Żyd* jest najlepszym z utworów dramatycznych
p. Lubowskiego, i że pisarz ten zdolnym jest uposażyć teatr w dzie-
ło prawdziwej i trwałej wartości; czyli jak się trywialnie a często
i głośno wyrażano, że p. Lubowski ma talent dramatyczny. I rze-
czywiście byłby uprzedzonym, niesprawiedliwym lub śmiesznym,
ktoby mu go po przedstawieniu *Żyda*, choć do pewnego stopnia
nie przyznał.

Żeby jednak być zupełnie szczerym, powiedzieć trzeba, iż
nikt podobno nie wyszedł zupełnie zadowolony, że najbezstron-
niejszy mówił sobie: sztuka ta ma z pewnością znaczenie w świecie
teatru, ale nie idzie jakby iść powinna: coś jój brak. Takie jest,
zdaje mi się, ogólne wrażenie, z którego zdamy sobie może sprawę
przy szczegółowym rozbiorze dzieła.

Wszystkie główne postacie żydowskie w sztuce europejskiej,
jakie przesuują się nam przed oczami, stawiane są przeważnie
w stosunku przeciwieństwa z wiarą i pojęciami społeczeństw śród
których zamieszkują: ich sądy, ich namiętności, ich wyłączność
w zapatrywaniu się na rzeczy, używane są za główne sprzężyuy
starcia wywołującego walkę dramatyczną; opór przeciw temu co
jest, lub co oni nazywają uciskiem, stanowi grunt tych charakte-
rów. *Szylok*, dusza mściwa, gdyby nawet nie był żydem, mógłby
tak samo mścić się za obelgi w kollizyach, w jakich mistrz go po-
stawił; budzi on grozę ale nie sympatyę, bo jest z natury człowie-
kiem złym, przekładającym grosz nad wszystko, nad córkę wła-
sną, kiedy powiada: „mniejsza że uciekła; niech ją djabli wezmą,
ale mi i szkatułkę zabrała”—wreszcie wyrzeka się i wiary dla oca-
lenia życia i części majątku. *Uriel Akosta*, przedwstępca Spinozy,
jest znowu ofiarą przesądów własnego plemienia, jako idea po-
stępu w obec ślepego fanatyzmu; postać to wielka, idealna, praw-
dziwa. *Eleazar Skryba*, to znowu figura z martyrologii judaizmu,
wycięta na patronie krytyki XIX wieku z mnóstwem akcesoryów
krzyczących nerwową efektywnością; zanadto on święty aby mógł
być prawdziwy, zbyt wiele podłości innowierczej za włosy nacią-
gnął autor pod jego nogi, aby wielkość Eleazara mogła się nale-
życie uwydatnić: wielki tylko między wielkimi postawiony, może
trzymać właściwą miarę. *Salomon* p. Szymanowskiego, to znow
sędzia karzący wedle mocy własnego tylko sumienia, okrutny ale
logiczny.

Żyd p. Lubowskiego zarywa potrochu z tego wszystkiego: nie mówimy tego w znaczeniu plagiatu lub reminiscencyi, gdyż utwor jego jest wcale oryginalnym; lecz to znaczy że p. Lubowski przedstawiając *Żyda*, nie mógł nie trącić w stronę wyłączności religijnej i socyalnej, która jest charakterystyczną cechą tego plemienia; inaczéj pocóżby było wprowadzać z pewnym naciskiem to innowierstwo i innoplemienność. Owoż jego *Goldstein*, jest to sobie zamożny kapitalista i przemysłowiec finansowy, który rodem był w usługach przodków młodego hrabiego *Adama*, i usługi te spełniając wiernie i sumiennie, zyskał całkowite zaufanie hrabiowskiego domu, tak, że pomiędzy nim a tym domem wyrodziły się nawet jakieś stosunki zażyłej, przyjacielskiej poufałości. *Goldstein* ukazuje się nam odrazu jako człowiek ucywilizowany, patriarchy domowy, żyty z obyczajem powszechnym kraju, bogaty, utrzymujący dom na wykwintnej stopie, ale bez żadnej przesady dorobkowicza, słowem, poczciwy i pracowity człowiek.

Hrabia *Adam*, pobierający nauki za granicą, zmuszony został, przez śmierć ojca, wracać do domu ażeby być pomocą w interesach sędziwej matce, przy której bawi blizka krewna, siostra, hrabianka *Helena*, uroczę dziecię, przeznaczona na żonę dla *Adama*, kochająca go całą duszą od lat dzieciennych i ciesząca się jego przywiązaniem. Ślub tej młodej pary jest tylko kwestyą krótkiego czasu, tembardziej iż owdowienie hrabiny przyspiesza tę ważną w rodzinnym ustroju chwilę.

I stałoby się zadosyć życzeniom matki i gorącemu pragnieniu duszy *Heleny*, gdyby nie czarujące oczy, gdyby nie płomienna dusza *Elki*, córki *Goldsteina*. *Adam* pierwszy raz będąc u niego w interesie majątkowym, zobaczył *Elkę*, poznał jej duszę i pokochał bez pamięci. Trochę to przypomina obejście się *Cezara* z synem *Mitrydatesowym*, przynajmniej takiem wydało się na scenie, i łatwo mógł być autor, unikając tej nienaturalnej raptowności, ukazać nam hrabiego *Adama* już zajętem nieco przedtém, zbliżającym się do domu *Goldsteina* nie tylko w interesie majątku, ale i w interesie serca, któreby w oczach widza przyłożyło tylko ostateczną pieczęć do swego postanowienia. O tyle tu ten szczegół winien być lepiej scenicznie przedstawionym, że on mocno uwagę zwraca, jako główny i jedyny związek dramatyczny.

Jakoż, *Adam* nie jest to wietrznik, któryby szukał łatwych a występnych miłostek z pierwszą lepszą kobietą, która zmysły jego zachwyci; ale młodzieniec, w intencyi autora, entuzyastyczny, dziewiczych uczuć, który dlatego tylko skłaniał się do związku z *Helena*, że nie znał miłości, więc siedł za tą miłą życzliwością serca, która w błąd co do znaczenia uczucia wprowadza każdego niedoświadczonego. *Elka*, dziewica umysłem wyższa, cudna powierzechownością, zbudziła w nim uczucie wielkie i szlachetne, nieprzeparte, wobec którego zbladła czuła przyjaźń jaką miał dla najwnej *Heleny*. Uczucie jego ogarnęło go tak wyłącznie, że niczem wydały mu się trudności nadzwyczajne jakie stoją mu na

drodze do szczęścia. On musi zdruzgotać nadzieje matki, zakrwa-
wić serce kochającej sieroty, musi walczyć z przekonaniem ro-
dzica wybranej, stawiać czoło przesądom i złośliwościom świata.
Ale Adam gotów jest na wszystkie ofiary, nie naprzód nie obmyśla,
nie obrachowuje, tylko kocha, i upaja się tym pierwszym nek-
tarem, który nieznanie dotąd bóstwo podało mu do nst w czarze
pełnej uroku i nie pyta co znajdzie na dnie tej czary: spoczynek
dozgonnego szczęścia, czy śmierć w torturach. Szkoda, że autor
nie uczynił go istotnie takim jakim chciał.

A ofiary czekają gotowe do udrczeń które sprowadzić im ma
postanowienie Adama. Z należytych taktów psychologa autor,
matkę nawet trzymając w niewiadomości o stanie serca syna, pier-
wszeństwo w odkryciu tych zmian pozostawia kochance. Helena
niepokoi się dystrakcjami ukochanego, miarkuje coś po nim, serce
jój uprzedza ją o katastrofie, i nareszcie wydobywa z duszy Adama
straszna tajemnicę. „Kobieta stanęła pomiędzy nami”, powiada
doń narzeczona; i Adam nie mógł się zaprzecć.

Tu spodziewaliśmy się sceny rodzierającej. Przyznanie się
Adama wydarło duszę z życia Heleny; to wydzieranie się duszy,
straszna to chwila, chwila śmierci okropniejszej jak śmierć fizy-
czna. Tu nie stają aniołowie pociechy ze słowami ulgi dla umie-
rającego, nie odstaniają rozkoszy raju gasnącym jego oczom. Tu
raj pozostał za nami, a przed oczyma tylko piekło. Owóż z przed-
stawienia wynieśliśmy to przekonanie, że Helena nie musiała mił-
ością kochać Adama, choć to powtarza, ale kochała go myślą i przy-
zwyczajaniem. Przeraziło ją jego wyznanie, jako rzecz przykra,
bolesna, ale nie śmiertelna. Nie było tu żadnego uderzenia pio-
runu, ale tylko zaburzenie, po którym wnet Helena przychodzi do
rezygnacji, i jako szlachetna przyjaciółka, przyjmując cios, chce
się przynajmniej dowiedzieć czy szlachetną jest ręka która go jój
zadała, gotowa walczyć za siebie i za Adama, gdyby ten miał po-
paść w nieszlachetne ręce.

Gdyby taką była Helena, jak mówimy, ubyłoby jednej prze-
szkody Adamowi, jednego przedmiotu do walki, jednej ofiary, jedne-
go zarazem elementu dramatycznego. Więc nie taką, prawdopodob-
nie, chciał ją mieć autor. Tylko że na stworzenie istoty która by-
łaby więcej kochającą, gorętszą, silniejszą w uczuciu swych praw do
miłości Adama, mocniej odczuwającą utratę raju ziemskiego, nie
starczyło autorowi snadź barw psychicznych i poetycznych. In-
tency nie dopisało wykonanie a może i gra artystki, która pragnąc
widać stopniować skale uniesień, cały wyraz uczuciowości pozostawi-
ła na koniec sceny, wówczas już gdy po pewnym czasie, stoso-
wnie zapełnionym, Helena dowiaduje się że wybraną Adama jest
żydowska córka; a wreszcie tak chcą mieć warunki rutyny scenicznej,
ażby zapadnięcie kurtyny po pewnym akcie, poprzedzone było
czymś najefektowniejszym. Jednak względy te ustąpić muszą
przed względami na rzecz samą, a tu pierwsze wrażenie powinno
być najstraszniejszym, najboleśniejším. Zdaje się że dla uczucia

Heleny mniejszą rzeczą jest kogo kocha Adam, dosyć że kocha inną, nie ją, co mu oddała życie.

Matka na tę okropną wiadomość, wyrzeka się syna, (uważamy to tylko za prosty frazes wywołany uniesieniem), przynajmniej ma go za straconego dla siebie.

I cóż zyskuje Adam za poświęcenie matki i Heleny? Czy kocha go przynajmniej Elka, tak aby miłość jej mogła mu te ofiary zawdzięczyć?

Tak, kocha go Elka, ale jako dziewica rozsądna, rozumiejąca niebezpieczeństwo takiego stosunku, powstrzymuje zapęły Adama, chce go zmrozić i odstręczyć pozorami chłodu. Tembardziej winna tak postępować, że sama jest narzeczoną, wprawdzie niskiego i brutalnego człowieka, ale którego ojciec jej wybrał, niejakiego spekulanta *Fejnera*. Elka ma więc względem niego obowiązki, bo go dobrowolnie przyjęła; ale w końcu kobieta bierze górę nad refleksją, Elka pociągnięta wybuchami uczucia nieszczęśliwego młodziana, pada na jego piersi i ten cichy duet dwojga serc dogrywa się już w przytomności ojca, który wszedłszy znieznacka, tajemniczo przysłuchuje się mu z wyrazem zdumienia i niemiej wściekłości. Widział i słyszał wszystko, ale pozostawił Adama w mniemaniu że się nie domyśla niczego; potrzebnym mu to było do dalszych planów.

Tu, patrząc w tę postać, pokilkakroć zapytujemy się samych siebie: kto jest ten człowiek? Żyd, zapewne; ależ nie do tego stopnia *żyd*, żeby w nim nic nie pozostało z człowieka zwyczajnego. Tymczasem rysy jego charakteru tak są dziwnie pogmatwane, że się trudno dobić do naczelnego wyrazu.

Zrazu występuje on jako cichy a poczciwy człowiek, przyjaciel chrześcijańskiej rodziny hrabiów. Zdawałoby się tedy najprostszym, że kiedy zobaczył córkę w objęciach Adama, dość mu było na pierwszy raz zreflektować oboje zbłąkanych, unieść się wreszcie oburzeniem przeciw paniczowi nadużywającemu zaufania (boć prawdopodobnie mogła mu nasamprzód przyjść myśl uwiedzenia), w każdym razie zażądać jawnie jakichś wyjaśnień, choćby przez wzgląd na długą przyjaźń z domem hrabiowskim, na owdowiła matkę Adama, na dobrodziejstwa jemu wyświadczone; słowem przedsięwziąć środki rozdziału tych szalonych dusz, jakie zwykle w takich razach doradza rozsądek.

Nic z tego. Na ten jeden widok, Goldstein, nie wywiadawszy się nawet jakie widoki, szlachetne czy nieczne, ma Adam względem jego córki, jakby mu kto szaleju zadał, pieni się i poprzysięga zemstę straszliwą. I za co? Za to że Adam pokochał córkę jego, że ją chciał uczynić po swojemu szczęśliwą! I jakaż to ma być zemsta? Oto ruina majątku, która ma doprowadzić do nędzy nie tylko samego Adama, to rzecz najmniejsza, bo on młody i silny, poradzi sobie, ale zarazem matkę jego i Helenę, które nie Goldsteinowi nie zawiniły.

I oto ów Goldstein z dziewiętnastego wieku, cichy i postępowy żyd tutejszy, raptem, bez żadnego usprawdliwionego powodu, a co gorsza, bez naturalności, przeistacza się w żyda z wieków średnich, mściwego i zagorzałego tak, jakby go ścigało widmo inkwizycji.

Czyż nie dość mu było złamać zamiary Adama, wyrzucić mu zakazany owoc, zemścić się widokiem jego niepowodzenia, zawstydić go swym tryumfem? Ruina zaś majątkowa zasypująca gruzami tyle ofiar, jest to zemsta najwyższa na jaką mógł się zdobyć człowiek w położeniu Goldsteina. Cóż straszniejszego mógłby być uczynić, gdyby Adam już mu odebrał córkę, czy to przez uwiedzenie, czy nawet przez małżeństwo prawe, które poprzedzić miała zmiana religii tak straszna dla prawowiernego żyda? Jeszcze do tego wszystkiego bardzo daleko, a wściekłość obrażonego przyjmuje największe rozmiary, które jednak w niczem nie poprawiają jego położenia, bo Adam ujęty przez niego, mógłby może wyrzec się swych projektów, oszczędzając uczucia jego religijne; zrujnowany, mógł nie wyrzec się Elki, lecz mocniej się jeszcze do swego postanowienia przywiązać. Goldstein więc, bezpotrzebnie zawzięty, jest nawet względnie do własnego interesu niekonsekwentnym.

Są tedy w tym człowieku chyba dwie natury, chyba dwóch ludzi, bo w jednym niekonsekwentność taka jest niepodobną. Ale za to, ten Goldstein drugi, z jakkolwiek powstał i jakkolwiek się zrodził, jest już do samego końca konsekwentnym, silnym a groźnym, narysowanym z mocą i wyrazistością godną takiego przedstawienia, jakie miał w Królikowskim, z którego artysta ten usunął kreację oryginalną i odrębną od wszystkich tych, jakie w twórczości jego podziwialiśmy dotąd.

W surowości zemsty swój Goldstein wciąga córkę nawet do swoich planów i oświadcza, że ona pomagać mu będzie do ruiny hrabiowskiego domu. Nie dziwimy się temu ze strony mściwego zagorzańca, ale dziwić się możemy temu, że on jawnie tę myśl swoją wypowiada przed córką, o której wie że kocha Adama. Gdyby Goldstein wciągnął był ją do spisku cichaczem, podstępnie, bez jej wiedzy, rzecz byłaby bardzo naturalna; ale któraż to kochająca kobieta z wiedzą przyjąć może udział w znowie na zgubę ukochanego; któraż, wiedząc o tém, nie uprzedzi raczej ofiary drogiej swojemu sercu. Mogłaż Elka, widując się codzień z Adamem, nie uwiadomić go o burzy jaka zahuczała nad jej głową, gdy ojciec tajemnicę ich odkrył, mogłaż nie uprzedzić kochanka aby się strzegł, bo ojciec ma wyraźnie złe przeciw niemu zamiary?

Elka jednak nie uczyniła nic dla odwrócenia ciosu wymierzonego przez ojca przeciw kochankowi, i Adam został zrujnowany do szczeru przez człowieka, który długi czas będąc najsumienniejszym doradcą, w sofizmatach władającego nim uczucia zemsty, uspokajających jego sumienie, wynalazł środki najohydniej szalbiercze dla dójścia do tego celu.

Córka w ostatniej dopiero chwili, kiedy Adam był już na dobre zrujnowanym, ale pozostała jeszcze nietkniętą summa zabezpieczona dla hrabiny, zbuntowała się i oświadczyła ojcu, że zawiadomi Adama o jego szalbierstwach; ale ojciec uspił ją podejściem, fałszywym zwrotem do uczuć przebaczenia (trochę zapóźno) i ona w dobrej wierze przyłożyła rękę do ostatecznego zniszczenia. Wtedy dopiero Goldstein w zupełności zadowolony, z cyniczną chlubą, z tryumfem, z radością szatańską, w obec córki i jej kochanka, jak drugi Konrad Wallenrod w obec komturów powiada swoje: ja to zrobiłem! jakim wielki, dumny!

Adam wtedy z jasnym czołem, z czystym sercem, mógł być mu plunąć w oczy, jako nikczemnikowi, mógł być pociągnąć go do odpowiedzialności kryminalnej; sprawa jego bowiem i duchowo i sądowo, przed Bogiem i przed ludźmi, stanęła górą nad sprawą Goldsteina, jak dobre nad złem, jak światło nad ciemnym: on był męczennikiem, Goldstein zbrodniarzem, i to zbrodniarzem prostym, bo nie miał na usprawiedliwienie swoje nawet widma fanatyzmu. Nie ratuje go już to czcze słowo: „Ha! ty czcisz swoją wiarę, a mnie każesz deptać moją? Chcesz żydówki, zostań żydem!” W tym słowie jest pertraktacja, a jako taka przyszła zapóźno, na nią czas był przed całą ohydą zemsty, mogącej się usprawiedliwić tą potęgą dźwigni wewnętrznej, indywidualnej, jaką nadawał mu fanatyzm, gdyby wbrew jej Adam rozpoczął działanie.

Otóż tym sposobem doprowadzeni zostaliśmy do organicznego zdaniem moim wady konstrukcyjnej tego dramatu, że w nim drugi charakter, jakim jest Adam, nie dopuszczonym został do walki, do użycia istotnych, męskich sił w łamaniu przeszkód. Jakoż rodzina ustępuje przed nim przy pierwszym jego słowie, Elka oddaje się mu, o rzeczywistej zaś i istotnie nieprzebytej przeszkodzie jaką ma znaleźć w oporze ojca, on ani wie, ani się jej domyśla, i dopiero wtedy ma poznać jej potęgę, kiedy pod nią zwyciężony ulega.

I tu nawet mógł jeszcze nie dać za wygraną. Materyalnie zniszczony przez Goldsteina, mógł jeszcze odnieść nad nim tryumf moralny i przy niezłomnej energii, wbrew jego imprekacyom, wydrzeć mu córkę, skłonić ją, ażeby nagradzając katastrofę i niesprawiedliwość ojcowską, poszła połączyć się z nim przed ołtarzem jego Boga. Ale Adam może tu ten brak energii usprawiedliwić zbytecznym rozboieniem serca, które osłabło nadmiarem cierpienia ztąd że on stał się przyczyną klęsk domowych, nędzy matczyniej, a wreszcie że zadowolenia duszy własnej nie chciał okupywać przekleństwem przez ojca rzucanemi na ukochaną. Tym mniej mógł on innego rodzaju pomsty, już czysto społecznej, szukać na tym człowieku, którego hańba, na jaką bezwzględnie zasłużył, odbiłyby się i na córce. Tak więc ze wszech miar, przez nieołączność własną zwyciężony, przez miłość ku córce ze związanemi rękami oddany w moc niesprawiedliwego ojca, Adam w podwójnej rozpacz, pod ciężarem podwójnej straty, upada w pół nieżywy

na ręce matki i Heleny, które w tej strasznej chwili, jak aniołowie pociechy, zstąpiły wyrwać go z tego przeklętego domu.

Elka, biędna Elka, niewinna, przyczyna tylu nieszczęść, po wyjawieniu ojcu oburzenia na ten jego postępek, znika. Goldstein, nasyciwszy serce owocami szkaradnego uczucia, zadowolniejszy się rozkoszą piekielnego tryumfu, opomniał się, złagodniał jak dzikie zwierzę po nasyceniu głodu ciałem i krwią niewinnych ofiar, przypomniał w sobie dawnego człowieka i żał mu się zrobiło córki: wiedział że ona kocha Adama. „Przebaczę—powiada—pobłogosławie!... my wszyscy dzieci jednego Boga, niech się złączą!” Zapóźno, zamiast Elki, ojciec otrzymuje list od niej w którym córka żegna go na wieki.

W powyższém przytoczeniu chcieliśmy zawrzeć ideę, treść i to co nam wydało się wadami tego dramatu, wskazującemi że autor nie dość starannie wystudyował wszystkie strony swoich charakterów pod względem jednolitości ich i ścisłości logicznej. Pan Lubowski, którego sprawozdania dramatyczne sumienném piórem opracowywane coraz więcej cenimy, niejednokrotnie w tém piśmie stawiał słuszne żądania, ażeby wszystko co odbywa się w dramacie było jasnym dla umysłu widza i nie przedstawiało żadnej wątpliwości co do swych pobudek i konsekwency; tém śmiej przeto i bezstronniej z tych wątpliwości naszych wynurzamy się przed nim, jako na ten raz przed autorem.

Ale wypowiedziawszy ujemne strony charakterów, czas zamknąć na nie oczy i przyznać że postacie te z wytkniętymi przez nas niekonsekwencyami, nie są to jednak jakieś absolutnie blade lalki, jakieś chińskie cienie snujące się po deskach scenicznych. Zyją one owszem i nieraz nawet wrzawą napełniają scenę, a w takim razie wolimy jeszcze je niżeli najkonsekwentniejsze a bezduszne manekiny. Elka, np., choć miejscami nie dość wyraźna, w wielu razach ujmuje nas powabem swego umysłu, walką wewnętrzną, a w ostatniej scenie z ojcem, za sprawą pani Palińskiej, zachwyciła nas nawet potęgą dramatycznego uczucia; nie mówiąc już o samym Goldsteini, który w trzecim mianowicie i w drugiej połowie piątego aktu istnieje tragiczną grozą owiewa słuchacza. Szkoda że nie dano mu być tyle sympatycznym, ile jest groźnym.

Z postaci głównych najmniej dramatycznym jest Adam, postać to raczej liryczna, a więcej jeszcze deklamatorska: czuje on i cierpi, ale prawie nie działając i nie walcząc; idzie za skłonnością serca, jak już powiedzieliśmy, zapóźno przychodzi dlań pora łamania tych zawad, które stanąć miały wpoprzek tej skłonności. W Adamie pozostała więc tylko malatura uczucia, malatura szlachetna lecz nie dosyć żywa, którą p. Tatarkiewicz oddać starał się z godnością i siłą, cieniowaniem uczucia nadstarczając brak dramatyczności, za co istotnie autor bardzo mu być wdzięcznym powinien.

Jedyną postacią w tym dramacie, której nie tylko nie zarzucić nie można, ale która nawet ze wszech miar zakrawa na typ,

to Feiner, niedoszły mąż Elki. Jest to żyjący portret kantorowego żydka, chodzące *geszeft*, rubel przemieniony w człowieka, i ten to typ, choć tu stanowi drugorzędną figurę, wyborczego znalazł tłumacza w panu Sawickim.

Cokolwiekby wreszcie na korzyść i na niekorzyść o tym dramacie powiedziéby się dało, nie można mu odmówić zręczności scenicznej, za którą, pomimo kilku powtarzań, idzie pewna żywość akcji budząca w słuchaczu zajęcie i wywołująca oczekiwanie coraz dalszych scen, co w połączeniu z piękną dykcyą, umiarkowaną patetycznością, a nawet gdzieś tam humorystyką (przy zjawianiu się Feinera), nadaje temu utworowi pewne znaczenie w szeregu dzieł scenicznych.

Kazimierz Kaszewski.



PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Nowsze książki.

W dwóch poprzednich zeszytach Biblioteki, zwróciliśmy bliższą uwagę na wychodzące tu pisma peryodyczne; powiedzmy teraz słów kilka o otrzymanych w ostatnim czasie oddzielnych publikacjach.

Jeżeli plon naszej peryodycznej literatury z roku zeszłego nie był, jak to widzieliśmy, zbyt szczupły; praca poświęcona uprawie oddzielnych gałęzi naukowości, nie może się także uważać za nieistniejącą. I owszem, trzebaby chyba być albo dobrowolnym sceptykiem w postęp duchowy, albo nieznać z literatury swojej nic więcej nad afisze na rogach ulic, iżby nie uznać: że jeżeli wśród utworów fantazyi, nie zyskaliśmy może istotnie w tych czasach arcydzieł na większą skalę, to jednak co do utworów pracy i myślenia literatura nasza w ogóle, a miasto w szczególności, nigdy jeszcze podobno w tak krótkim czasie tyle ich nie przyniosła. Słyszymy jeszcze nieraz przeciągające się użalenia na stagnacyę w handlu księgarskim; w tym razie tem większa wdzięczność i chociażby podziękowanie głośniejsze należy się pracownikom.

Dla sprawdzenia dosyćby nawet było przytoczyć same napisy główniejszych, z lat ostatnich kilku, ogłoszeń; o niektórych jednak ze sfery literatury właściwej, dołączymy dla bliższej charakterystyki, z kilka uwag.

Co do działu *umiejętności* rzec można w ogóle, iż żadna prawie z głównych ich gałęzi nie pozostała w tym czasie bez śladu swojej uprawy; ale oprócz podziękowania głośnego, nie możemy tu nie wyrazić istotnego nawet podziwu dla tej czynności, jaka się okazała w uprawie jednej z najbardziej specjalnych, ale zarazem najbezpośredniej dla bytu ludzi użytecznej

gałęzi, t. j. nauk lekarskich. Każdy prawie ze szczególnych oddziałów tych nauk, zyskał w tym czasie oddzielne wypracowania, niektóre po kilka; znakomita zasługa wszystkich prawie, uznana już została przez sąd właściwy, nie tylko miejscowy; pod względem zaś czysto literackim, już samo wzbogacenie nomenklatury i języka naukowego, w tej tak bogatej w szczegóły gałęzi, zasługuje na szczególne uznanie.

Prócz kilku pism czasowych, wyłącznie uprawie nauk lekarskich i wiadomościom o ich postępie w kraju i zagranicą poświęconych i licznych gruntownych rozpraw pojedynczych o chorobach, pisanych i ogłaszanych dla otrzymania stopni naukowych, otrzymaliśmy w tym czasie w tej gałęzi, następane między innymi publikacye:

Anatomia opisowa ciała ludzkiego przez prof. *Hirschfelda* T. 2.—*Anatomia opisowa ciała ludzkiego* przez doktorów: *Nowakowskiego* i *Neugebauera* (według *Hirtla*), t. 2 z drzeworytami.—*Rys anatomii patologicznej* przez prof. *Brodowskiego*.

Psychiatria przez *Dra Płaskowskiego*.

Oftalmologia przez doktorów: *Narkiewicza-Jodko* i *Gepnera*.

Rys praktycznej Otiatrii *Bronisława Taczanowskiego*.

Wykład Patologii i Terapii narzędzi oddechowych prof. *Rosé*.—*Wykład patologii i terapii szczegółowej* z *Niemeyera*.—*Terapia popularna* *Dra Kuczyńskiego*.

Histologia i Histochemia według niemieckich dzieł *Freya* i *Köllikera* przez *Dra Witkowskiego*, ze 184 drzeworytami.

Chirurgia operacyjna przez *Drów Kwaśnickiego*, *Stankiewicza* i *Wszębora* ze 179 drzeworytami.

Farmakologia ogólna i szczegółowa *Dra Wyrzykowskiego*, według niemieckich dzieł *Schuchardta* i *Posnera*.

Farmakognozya *J. Trappa* i inne.

Gałąź prawna prócz rozpraw pracowitych, ogłaszanych w *Przeeglądach sądowych* (tu i w *Krakowie*), oraz pisanych dla otrzymania stopni naukowych, przyniosła nam, przypomnijmy, w ostatnich latach następane obszerniejsze, lub wytrawniejszego zawarcia, różnostronne opracowania:

„*Wykład kodexu postępowania sądu cywilnego*” *J. Szymanowskiego*. T. 2.—„*Kurs kodexu cywilnego*” *Jana Kantego Wołowskiego*. T. 2.—„*Prawo polskie prywatne*” *Burzyńskiego*. T. 2. (*Kraków*).

„*Wykład prawa karnego podług obecnego stanu nauki*” *Konstantego Małkowskiego*.—„*Wykład porównawczy prawa karnego*” prof. *Budzińskiego*.

„*O instytucyi hipotecznej w Królestwie Polskiem*” *Karola Hubego*.—„*O znaczeniu prawa rzymskiego i rzymsko-byzantyńskiego u narodów słowiańskich*” przez *Romualda Hubego*.

„*Encyklopedia i metodologia prawa*” przez prof. *Arends* (z niemieckiego).

(O każdym prawie z tych pisarzy umieszczoną była w Bibliotece w swoim czasie bliższa wiadomość).

Dział historyczny otrzymał także w ciągu ostatnich dwóch lat kilka znakomitych publikacyj, już pod względem badań i opracowań, już historycznej wagi przedmiotu. Do główniejszych należą:

Alexandra Przedzieckiego: „*Jagiellonki Polskie*” z XVI wieku. „*Obrazy Rodziny i Dworu Zygmunta I i Zygmunta Augusta T. 2.* Kraków (z wizerunkami głównych bohaterów).

Konstantego Tyszkiewicza: „*O Kurhanach na Litwie i Rusi*” Berlin z XVI tablicami.

Stadnickiego; „*Bracia Władysława Jagiełły*” (jako dalszy ciąg Synów Gedymina).

Szajnochy: „*Szkice historyczne*” (T. IV-ty).

Biblioteka Ordynacji Krasieńskich T. 2. (T. I obejmuje Dyaryusz Sejmu Piotrkowskiego z r. 1565 w języku polskim, tom II akta historyczne z r. 1569 w języku łacińskim i polskim). — Wielkiej publikacji wszystkich dzieł *Długosza* tom V to jest II jego *Historji Polskiej* (w przekładzie polskim Karola Mecherzyńskiego).

Z pism odnoszących się bliżej do ogólnej lub właściwej literatury otrzymaliśmy między innymi dzieła użyteczności takiej jak *Encyklopedia Powszechna*, *Historja literatury powszechnej* Lewestama, *Historja literatury greckiej* Węclewskiego i liczne zarysy *Dziejów literatury krajowej*.

Encyklopedia Powszechna objęła tomów 28, tom każdy obejmuje w przecięciu str. 1000. Jest to wśród naszej literatury monumentalna i nieobliczonego użytku powszechnego publikacja.

Rozrośnięcie się tak obszerne w ostatnich wiekach umiejętności i nauk, rozwinięty przemysł i sztuka, dzieje ludzkie z milionem swych szczegółów, świat obejrzany, wszystkie słowem te fakta z jednej, a ułomność i szczupłość potrzebującej ich zatrzymania pamięci ludzkiej z drugiej strony, oddawna były powodem iż miłośnicy ułatwień postępu i środków do pracy, zajmowali się łącznym systematycznym zbiorem tych faktów dla podręcznego użytku. Zbiory czyli pomoce takie nie tylko dla ludzi w ogóle miłujących światło ale przez łączne objęcie najrozmaitszych a dziś tak rozdrobionych gałęzi wiedzy, mianowicie zaś biografijnych i innych chronologicznych szczegółów ze wszelkich krajów i czasów, nawet dla erudytów specjalistów są użyteczne. Pomocy takiej literatura nasza dotąd nie miała.

Zbiór potrzebniejszych wiadomości porządkiem alfabety ułożonych Ignacego Krasieckiego, wydany w roku 1781 był wprawdzie taką encyklopedją, na małą skalę, i jest to zapewne zbiorek dotąd szacowny, ile że mieści liczne wiadomości z rzeczy ówczesnych krajowych i jest wyrazem opinii w wielu przedmiotach

takiego pisarza jakim był Krasicki; lecz samo posunięcie się od-
 tąđ nauki i dziejów sprawia, iż zkađinąđ użyteczność tej encyklo-
 pedyjki (przedrukowanej w Warszawie r. 1834 w 3-ch tomach
 p. n. „Zbiór wiadomości potrzebnych i pożytecznych”) jest nader
 szczupłą. Rozpoczęta w roku 1835 przez wydawców Teofila
 i Emmanuela Glücksbergów Encyklopedia na skalę potrzeb spół-
 czesnych doprowadzoną tylko była do litery C. Wydawnictwo
 Encyklopedyi obecnej rozpoczęte w m. październiku 1859 roku
 a doprowadzone wytrwale do końca w roku 1868, uskutecznione
 zostało staraniem, kosztem i ofiarą nader zasłużonego dla piśmien-
 nictwa krajowego (zmarłego razem z ukończeniem tego ostatnie-
 go przedsięwzięcia) wydawcy, Samuela Orgelbranda. Około 200
 współpracowników, ludzi uzdatnionych specjalnie, z najrozmai-
 tszych gałęzi naukowości, dokonało tej pracy. Granice tej Ency-
 klopedyi, jak to już wskazuje sam jej przymiotnik są obszerne.
 Dzieje, religie, przemysł, wynalazki, sztuka, wszelka gałęź umie-
 jętności i nauk znajduje tu swą reprezentacyę. Wyrazy od-
 noszące się do kaźdego z tych działów abecadłowie spisane,
 mają nietylko tu objaśnione znaczenie ich literalne, ale też ich
 teoryę, historyę i t. p. a te teorye i objaśnienia kreślone są
 prawie wszęđzie ze stanowiska społecznego dłuęj nauki. Ze
 szczególną mianowicie dokładnością i krytycznością wypracowa-
 ną jest większość artykułów odnoszących się do dziejów i li-
 teratury krajowej. Dla dania miary granic artykułów, wspo-
 mnimy iż zyciorysy niektórych osób krajowych obejmują po
 stronnicie kilkadziesiąt, opisanie Warszawy stronnicie 100 i t. p.
 Artykuły naukowe tej Encyklopedyi nie mają wprawdzie tej roz-
 ciągłości i tego specjalnego wypracowania jak np. w Halsko-
 Lipskiej *Allgemeine Encyklopedie der Wissenschaften und Künste*,
 lecz mają tę (więcej nawet w tego rodzaju publikacyi pożądaną)
 treściwość, jaką się np. odznaczają niemieckie tak zwane *Conver-*
sations Lexicony jak Brokhausa i — publikacya takich rozmiarów,
 takiej rozmaiłości, a dokonana w tak prędkim stosunkowo czasie
 nie może naturalnie być bez swych braków i pewnych stron uje-
 mnych. Nie jeden np. znalazł się może termin naukowy w ka-
 żdej gałęzi, który tu przepomniany; niekiedy przedmiot który
 dostatecznie mógł być objaśniony kilku wierszami, obejmuje kart
 kilka, przeciwnie wyraz podający pole do obszernych wyjaśnień
 odbyty kilku wierszami. Nieraz w jednej i tejże gałęzi jeden
 szczegół jęj kreślony jest z jednego a drugi z innego stanowiska
 poglądu (wskazemy tu dla przykłađu na dział teologii chre-
 ścijańskiej w którym jedne wyrazy objaśnione są przez teologów
 katolickich a inne protestanckich), ale mimo te wszystkie braki
 i ujemności (ujemności zkađinąđ prawie nieuniknione w tego ro-
 dzaju publikacyach), Encyklopedia ta nasza, dzisiaj gdy to pi-
 szemy, najdokładniejszą jest ze wszystkich encyklopedyj europej-
 skich podobnej skali, doprowadzoną jest bowiem do dat naj-
 świeższych i pomnożoną o bogaty oddział rzeczy słowiańskich.

Historya literatury powszechnéj przez Dra. Fr. Henr. Lewestama tomów 4, lubo dzieło pojedynczego pisarza, jest jednak także i rzadszej wartości i ogólniejszego użytku pracą.

Historye pojedynczych piśmiennictw są jeszcze niezbyt dawno w naukowości, historye zaś literatury powszechnéj zjawiskiem prawie nowém. Gałąź ta zrodzona w pracowitej literaturze niemieckiej, tam tylko prawie ma dotąd swych reprezentantów. Zrazu te historye literatury powszechnéj były tylko bibliograficznym drobiazgowym spisem różnych dzieł wydanych w różnych krajach i różnych wiekach; takimi były np.: jeszcze *Wachlera*, *Grässa* i innych; dopiero w ostatnich dziesiątkach lat zaczęły się ukazywać literatury powszechné z wewnętrzną charakterystyką pojedynczych piśmiennictw, i traktujące literaturę ogólną jako łączną całość, jako harmonijne odbicie wewnętrzne dzieł zewnątrznych, i t. p. takimi np. były *Karola Mundta*, *Scherra* i innych; a na wzór takich ułożoną i wydaną właśnie została, i oboona przez prof. Lewestama. Autor nie tai iż w układzie jéj korzystał wiele z prac swoich poprzedników, mianowicie; *Scherra*; — tom 4 obejmujący wyłącznie obraz literatur słowiańskich, skreślony jest według obrazu tychże, wylanego przez pp. *Pipina* i *W Spasowicza* (z wyjątkiem jednak obrazu literatury polskiej, przeciwnie zaś wydane następnie przez pana Lewestama dwa poszyty p. n.: *Kurs publiczny literatury polskiéj* są po większej części przekładem dosłownym z p. Spasowicza). Granice obranego przedmiotu są tu nader obszerne. P. Lewestam objął w swém dziele nie tylko bogatsze literatury, lecz téż i najmniej znane; prócz wschodnich i słowiańskich, znajdujemy tu w osobnych oddziałach literatury: duńską, hollenderską, flamandzką, norweską, finlandzką, litewską, łotewską, oddzielnie maloruską, czerwonoruską i t. p. Uniwersalność naturalnie jest niemożliwą, i zdaniem naszym p. Lewestam użytecznie jéj postąpił tłumacząc nieraz dosłownie swych poprzedników, niżeli np. *Mundt*, który w swój (znakomitej zkadłinąd) *Allgemeine Litteraturgeschichte* z r. 1844 pragnąc być wszędzie własnym, w ustępie o literaturze czeskiej wyraził, iż najznakomitszymi dziś poetami czeskiemi są: *Szajfurzyk* i *Palacki*. O literaturze pana Lewestama rzec w ogóle można, iż umiejętność wyboru, proporcjonalność obrazów, trafne poglądy, ożywienie opowiadania przykładami, wykład jasny, logiczny, niepróżny i naukowych wskazówek, charakteryzują od początku do końca to jego dzieło.

O *Historji literatury greckiej* p. Węolewskiego, o tém treściwie ale krytycznie przedstawiającém przedmiot swój dziele, dounoszoném już było szczegółowiej w tém piśmie.

Obrazów literatury krajowej otrzymaliśmy w tym czasie kilka. Prócz nowego wydania *Dziejów piśmiennictwa Lesława Łukaszewicza*, ukazały się prawie jednocześnie: *Krótki rys historyi polskiej* F. H. Lewestama T. I. *Kurs literatury polskiej* Wł. Nehringa, Poznań T. I. *Literatura polska w historyczno-kryty-*

cznym zarysie Lucyana Rycharskiego. Kraków T II. *Zarys dziejów literatury polskiej* Adama Kuliczковского, Lwów. *Historia literatury polskiej* ofiarowana młodemu uczącemu się Polkom, Lwów.

Wszystkie te prace (prócz dwóch ostatnich które jeszcze nieukończone) obejmują i kreślą całość obrazu naszej literatury krajowej od jej nastania do dni obecnych. Te tak gorliwe a liczne zajęcia się przedmiotem naszej umysłowości, nie mogą nie cieszyć każdego pragnącego poznać jej przeszłość. Czy jednak mimo te prace, a zarazem i inne w tym przedmiocie dawniej podjęte, mamy już dziś dokładną historję literatury krajowej, choćby na skalę podręczną, t. j. taką z którejby nieznanicy tej literatury krajowic lub cudzoziemiec, mógł należycie ją poznać? nie możemy odpowiedzieć twierdząco. Cóż mamy już mianowicie w tej rzeczy? przypomnijmy.

Prócz Historji literatury Bentkowskiego, (której zasługa tak z powodu pierwszego kroku, jak też z powodu dokładności bibliograficznych jest stanowczą, lecz która dla wielkiego odtąd postępu w odkryciu pism dawnych, dla charakteru swego wyłącznie prawie bibliograficznego, i wreszcie dawności roku, w którym była pisana, nie daje już dziś wcale należytego obrazu literatury), prócz Bentkowskiego, mówimy, mamy trzy publikacye, które są prawdziwą kopalnią dla pragnących znajomości tego przedmiotu, są to: *Historia literatury polskiej* Wiszniewskiego (T. 10.) *Obraz historyczno-bibliograficzny* Jochera (T. 3) i *Piśmiennictwo polskie* Maciejowskiego (T. 3). Lecz prace Wiszniewskiego i Maciejowskiego obejmują tylko literaturę do połowy XVII wieku, Jochera zaś tylko gałąź filologiczną i teologiczną, obraz nadto Wiszniewskiego spaczony jest obszernem wtrącaniem rzeczy literaturze polskiej obcych, a w dalszym ciągu pracy brakiem niekiedy charakterystyki nawet pisarzy głównych; obraz Jochera bez sztyku abecadłowego lub chronologicznego, jest wielkiem bibliograficznym chaos. dla objaśnienia którego, nie dołączył tu nawet autor alfabetycznego spisu pisarzy w dziele wzmiankowanych. Spis taki ułatwia szczęściem użytek z dzieła p. Maciejowskiego, które bez niego byłoby także podobnym chaos (podział w tem piśmie, biegu piśmiennictwa na mniemane zwroty oraz obroty jest dla czytelnika zagadką); pismo to nadto które przysporzyło nam krocie szczegółów do dziejów piśmiennictwa, nie mówi o pisarzach krajowych po łacinie piszących, więc o połowie literatury swoich okresów. Z budynków wznoszonych następnie z tych materyałów, odznaczyła się mianowicie tak dokładnością treściwą jak i talentem pióra *Historia literatury* Kondratowicza; lecz pismo to opierając się co do części bibliograficznej głównie na Wiszniewskim, nie mogło też pójść dalej jak praca Wiszniewskiego, zatem za wiek XVII.

Z nowszych ogłoszeń za najdokładniejszą mogłaby się uważać historia literatury Bartoszewicza, brak jednak części bibliograficznej w tem piśmie, a nadto excentryczne w niem nieraz

i stronie zdania i wyrażenia autora, nie czynią obrazu wiernym i użytecznym (1).

Co do tych publikacyj najnowszych, których napisy przytoczyliśmy, podobne są one sobie przez to, iż miały za cel nie nowe badanie przeszłości literatury, lecz kreślenie jej treściwego obrazu z badań już poczynionych, iż wszystkie dają nam (lub zamierzają dać) obraz doprowadzony do naszych czasów, i że go kreślą (jak Wiszniewski lub Łukaszewicz) kolejną epok, a w tych dają wiadomość kolejną gałęzi o głównych w nich pisarzach i pismach. Żadnemu też autorowi tych prac nie można odmówić zasługi i zalet pióra, lecz pod względem ostatecznego użytku, tego nam jeszcze zawsze nie przyniosły.

Rys literatury F. H. Lewestama jest wyjątkiem z jego literatury powszechnej i zastosowany do tych ram; w literaturze Nechringa nasza bogata literatura z 3ch ostatnich wieków, tyle mająca swoich właściwości, umieszczona jest jakby przedmowa z kart kilku do obrazu późniejszej literatury. Najwięcej systematyczną i najbliższą odpowiednią celowi, jest literatura Rycharskiego. Śród obrazu rozwiniętego w ramach o jakich dopiero rzekliśmy, znajdujemy tu przy każdym prawie główniejszym pisarzu dawnym i nowym, notatkę o nim biografijną i notatkę bibliografijną, a poprzedza je ogólna charakterystyka tak pisarza jak jego pism; zdania te wypisywane tu są wprawdzie po większej części żywcem, lubo bez wymienienia źródła, z pisarzy innych (jak to już prawie modą stało się u nas począwszy od Wiszniewskiego, który także wypisywał je nie raz żywcem, bez wymienienia źródła, z Janockiego, Bentkowskiego, Sołtykowicza, Ossolińskiego, Lelewela, Daniłowicza i innych), lecz wybór dobrze zwykle czyniony.—P. Rycharski nie posunął jednak w ten sposób w swém piśmie znajomości dawnych naszych pisarzy i ich pism (choć są to pola zaledwo jeszcze okiem tylko dotykane i przedstawiają tak bogaty materiał do obrabiania); w uwagach zaś własnych nie zawsze jest równie trafny i jasny. W Zakończeniu np. które z zadania swego miało zapewne za cel być objaśnieniem skreślonego obrazu i wnioskiem

(1) *Zarysy literatury polskiej* K. Wł. Wójckiego, przedstawiając w porządku chronologicznym biografie pisarzy głównych, wyliczenie bibliograficzne ich pism i charakterystykę tych pism w żywych z nich wyjątkach, dzieje literatury naszej kreślą nam szczegółowie i doprowadzają je do dni naszych. Niewzmiankowanie jednak o pisarzach krajowych po łacinie piszących, których mieliśmy tyle i takiej zasługi, oraz nieproporcjonalność i niekiedy mniej charakterystyczny wybór w przytoczeniu wyjątków, są stroną ujemną tego dzieła. Autor, nasz współpracownik w tém piśmie, uwagę tę (którą też zapewne podziela) sądzymy iż nam wybaczy. a to tém prędzej, że wszakże też sama bezstronność a prawda, każą nam wyznać: iż co do historii literatury wyłącznie języka polskiego, książka ta jego źródł wszystkich o których mówimy, jest dotąd jej najpraktyczniejszym obrazem.

z niego, autor między innymi tak mówi: „Oceanów i burz nam dość, a potrzebą naszą jest oświecenie, oświecenie i oświecenie”, ta uwaga jest zapewne i nader jasna i nader trafna, lecz kiedy kreśląco zarazem charakterystykę naszego wieku wyraża: „zaledwo wiek XIX, błyszczy nigdy nie zagasła pochodnią oświaty;” i zaraz obok: „głównym motorem naszego XIX wieku jest brudny egoizm i z niego wylęgły cynizm”, czytelnik zdać sobie sprawy nie może jak te dwie tak przeciwne cechy łączą się z sobą, a zwłaszcza w czym i jak wpływają na charakterystykę tej literatury, którą autor określał.

Dodajmy w końcu że jakkolwiek autor przy końcu każdej, gałęzi, w każdej epoce po wymienieniu pisarzy głównych, wymienia z nazwiska i innych z tej gałęzi, ci jednak nie są wszędzie w zupełnym komplecie, a nadto w literaturze Łukaszewicza wielu z nich są wyliczane i pisma; a ztąd w ostatecznym wniosku wypada: iż zbiorok ten który nosi nazwisko Lesława Łukaszewicza, mimo swoje usterki jest dotąd zawsze najobfitszym w szczegóły i najdoskonalszym przewodnikiem do poznania naszej literatury; i ta też jest zapewne przyczyna, iż tej tylko historii literatury powtarzały się i nie przestają powtarzać liczne wydania.

Z przyczynków ogłoszonych w tym czasie do historii literatury wspomnimy tu jeszcze na monografii wartości takiej jak „Dzieje teatru” *Chometowskiego*, „Wizerunki” *L. Siemińskiego*, broszurki *Estrejchera*, *Mosbacha* i innych.

Myślenie spekulacyjne które w ostatnich czasach naszej literatury, tak pięknie rozwinęło się było, na lat kilka zamilkło, znówu dawać zaczęło znaki swego wzruszania się. Z pism do gałęzi tej odnoszących się wyszły tu w roku zeszłym między innymi: „Zarys filozofii natury *Dr. Levitoux*”, „Badania filozoficzne tajemnicy życia” *J. Niemierycza*, „Wykład systematyczny loiki” *professora Dr. Struvs* i inne.

„Zarys filozofii natury *Dr. Levitoux* przy końcu r. z. wyszedł w nowem wydaniu, obejmującym obszerną odpowiedź na zarzuty i niejaki rozszerzenie niektórych odziałów, pod napisem: Filozofia natury. Pismo to czytelnicy Biblioteki znają już z umieszczonego tu rozbioru niektórych jego kwestyi specjalnych i odpowiedzi na rozbiór samego autora. Dodamy tu więc tylko słów parę o ogólniej charakterystyce tego pisma, (niezmienionej i w nowem wydaniu) i jego stosunku u nas do swojej gałęzi.

Filozofia natury jest to przedmiot, który dziś wiele zajmuje piór w Niemczech i Francji, u nas, i w innych krajach. Oryginalność która w tej rzeczy odznacza wykład *p. Levitoux*, zależy jak to sam wyraża w swém piśmie, najgłówniej na tém: iż w fizjologicznych swoich badaniach, treść wszech świata uznaje za żywą jedność, a jedność istniejącą nie tylko w jego ramach zewnętrznych, ale też i w szczegółach jego wewnętrznych czyli duchowych. Jedność tę sprawia według autora *Sila*, a sprawia przez dwie główne swoje czynności: przyciągania i odpychania.

Ze szczegółów odnoszących się do tego ogólnego pomysłu, przytoczymy tu kilka własnych wyrażań autora:

„Na początku—mówi między innymi p. Levitoux—była siła, która w tym samym czasie była i materyą.” „Nikt jeszcze na pytanie: co jest siła? nie odpowiedział. Uczeni szukali jej w retortach, organach, machinach, lub po za granicami świata; myśmy ją we własnym duchu znaleźli; jest nią: miłość w mądrości, a mądrość w miłości.” W instynktach roślin i zwierząt, w błysnieniu iskry przy uderzaniu kamienia o stal, elektryczności i t. p. autor widzi materyalne gradacye i warianty tych faktów, które w świecie wewnętrznym, zowieśmy władze ducha i serca, mądrości i miłości. O wszechcałości mówi: „Jaki jest kształt, jakie granice tego żyjącego ciała, złożonego z wielkich systematów słonecznych, nie wiemy; to tylko wiemy iż olbrzym żyje, że są w nim cząstki poruszające, że wielkie drogi po liniach krzywych zakreślają, że jest w warunkach żyjącego ciała; ma on swoje że tak powiemy krążenie soków, swój puls, swoje choroby i jak wszystko swój początek i koniec.”

Niżej (str. 170 zarys.) autor mówi: „Wszechświat jest Bogiem wcielonym, jest słońcem Boskiem, jest mądrością wyrażoną, jest stworzeniem, jest *Bogiem*.” Twierdził że wszechświat ma początek i koniec i że jest Bogiem, jest to zwróćmy uwagę, mieszać to znaczenie wyrazów jakie do nich przywiązuje w języku czytelnik, jest to paralogizm nie logizm. A jednak sprzeczności takich a sprzeczności własnymi słowami autora wyrażanych (jako np. w twierdzeniach o początku świata, początku ludzkości, końcu świata i t. d.) w książce p. Levitoux jest wiele. W osobie tego autora, widzimy, nasza spekulacyjna gałąź zyskała pisarza który i myśli, i myśli niezależnie, którego główne praktyczne zasady spekulacyjne (jako np. co do uznawania jedności w różności biegów, co do łączenia w pomysłach przestrzeni i czasów i t. p.) odpowiadają właśnie zasadom innych naszych w tej gałęzi pisarzy, tém więcęć więc żałować możemy iż autor jeszcze pomysłów swych nie przetrwał, a mianowicie iż nie wyszedł w nich organicznie a ztąd i rzetelnie postępnie z dróg swych poprzedników. Jest to prostem i naturalnem, iż p. Levitoux z Akademii Paryzkiej (w której się kształcił) wyniósł twierdzenia szczególne dla swych mistrzów paryzkich, ale jeżeli twierdzenia autora o łączném rozwijaniu się świata, lub chociażby samej ludzkości jest prawdą, (a jest prawdą i nie od dzisiaj), tedy sam musi wyznać, iż to rozwinięcie dopełnia się i objawia nie przez jeden francuzki naród, lecz łączne działanie wszystkich, że zatem aby postawić w gałęzi jakiej krok rzeczywiście postępnny, należy poprzednio poznać wszechtronnie owo działanie. Jakoż gdyby np. przedmiotem poprzednich studyów autora byli zarówno tyleż i naturalisci niemieccy ile Cuvier i Flourens, autor wiedziałby iż ci już od czasu identyzności Szellinga i przedmiotu Hegla, uważali naturę jako całość rozwijającą się harmonijnie zewnątrz i wewnątrz, oraz

jako odbicie ducha lub siły, iż np. szef naturalistów nowych Schoppenhauer od dawna już w swém dziele *Die Welt als Wille und Vorstellung* uważał ją jako jedność mającą wolę, której objawami są między innymi elektryczność, magnetyzm i t. p. Pismo autora śród naszej nawet krajowej uprawy jego przedmiotu słabem już widzi się przez to, iż nie ma śladu aby przybywało po pracach takich jak np.: „Filozofia natury” (w dziele „System umiactwa”) Libelta, fizjologia Supińskiego i innych. Supiński w fizjologii, Chałupeczyński w Pomysłach podobnie jak autor wszystkie zjawiska wszechświata poczytywali za wypływ dwóch sił: jeden parcia i ruchu, drugi rzutu i rozkładu i szczegółowiej to sprawdzali. Gdyby p. Levitoux znał przynajmniej pierwsze z tych pism (Libelta) w którym autor w swym szczegółowym wykładzie „tworzenia się form” śród wszechświata przyćmił nawet w części rzecz można *Naturwissenschaft* Schellinga, tedy przynajmniej sam możeby loicznie i dokładniej rozwijał poglądy swe i pomysły, rozłożone w rozdziałach wiele wprawdzie z napisu obiecujących, ale które najczęściej lekko tylko dotyka i miesza; inna jest bowiem rzucac pomysły do systemu, a inna budować system.

Tak jak jest, książka p. Levitoux przypomniła nam mocno te czasy, kiedy pisarze nasi, podczas gdy w literaturze sąsiedniej oddawna już był rozwinięty się nowy process spekulacyjnego myślenia i poglądów krytycznych, za szczyt takiego myślenia uznawali jedynie frazesa z Condillaca, a estetycznej krytyki zdania z Laharpe.

Kontrastem pod pewnym względem z tą książką p. Levitoux jest książka którąśmy prawie jednocześnie otrzymali, a która ma napis:

„*Badania filozoficzne tajemnicy życia*” przez Juliana Niemirycza. Treść tego pisma z tej strony ma podobieństwo do poprzedniego (jak w ogóle do większej części dzisiejszych spekulacyjnych) iż wychodzi z uznania harmonii istnającej w całości rozwicia ludzkiego, lecz z tej strony znacznie się różni, iż kiedy p. L. głównie rozważał to życie pod względem fizjologicznym: p. N. rozumie przez nie wyłącznie życie duchowe i tę stronę życia ludzkiego tylko rozważa.

Treść książki pana N. jak zapowiada autor ma się rozwinąć w 3 częściach: „Historja ducha”, „Filozofia ducha” „Credo ducha;” tomik wydany obejmuje dopiero część pierwszą t. j. historję ducha. Przez to brzmienie duch, autor z wielką liczbą filozofów spekulacyjnych rozumie tylko rozumną myśl, jego historia ducha jest więc raczej historją tylko tej myśli, lub jaśniej filozofii.

Autor jest gorliwym stronnikiem Hegla, i ile z wykładu widać, należy do tego odcienia heglistów, który nazywanym był lewym środkiem t. j. że za duch żywy uważa nie duch ludzkich jednostek, ale duch w ogóle ludzkości przebywający. Historia ducha opowiedziana więc jest według historii filozofii Hegla, lubo

naturalnie w głównych tylko dotknięciach, i własnymi słowami autora.

Z piórem p. J. Niemirycza po pierwszy raz spotykamy się; jest to pióro zdolne i jak się zdaje należnie usposobione; przytoczymy tu więc kilka jego własnych wyrażen i dodamy parę bliższych uwag o treści pisma.

Pierwszym momentem myślenia ludzkiego (wyraża tu między innymi autor) był tylko podziw dla natury i jakby wołanie admiracyi. „Duch jeszcze bezsilny, by wzleciał po nad przeszłość pojąć, błąka się po przestworzu, a nie widząc wyjścia utkwil w absolućie: byt którego w sobie uczuł, lecz pojąć go nie mogąc, uzasadnia całą mądrość na wpatrywaniu się w niego, jako jedynej drodze wiodącej do poznania.”

Od czasu pierwszego samodzielnego objawu czyli od Sokratesa do Hegla i naszych czasów, duch jedną i tą samą ciągle dąży drogą, t. j. że walcząc z materją wyswobadza się, a cierpiąc sam się poznaje, doskonali, do pierwobytu zmierza.

„Sfinx (na Wschodzie) w letargu przykryty jak z letargu się ocknął i motylem uleciał do Grecyi: odtąd Wschód umiera. Myśl na Zachód wzbiegła, dalej, znowu dalej biedz zmuszona w Germanii osiadła: wówczas to z kolei umarła Grecya.” O Chrystyanizmie czyli połączeniu drogi filozoficznej z religijną tak autor mówi: „Od Sokratesa myśl w idealnych formach piękna, dobra i prawdy, po raz pierwszy ukazywać się zaczyna; kiedy jednak tyraństwa i rozpusty Rzymu przemogły, wówczas tryumfująca materya spaliwszy rozpustą poczucia piękna, dobra i prawdy, wypiera ducha w pośród siebie, który z całą potęgą skupia się i streszcza w geniuszu Jezusa... Chrystus jeden w historii świata łączy w sobie genialność uczucia woli i myśli, czyli piękna, dobra i prawdy ówczesnej upadłej ludzkości. Odtąd duch odrodzony przez swego Zbawiciela wskazaną postępuje drogą i dąży naprzód, drogę swą znacząc apostołami swemi, niby Pawłami, Schellingami, Heglami”. Wychodząc z uznawania systematu Hegla za najlepszy z dotychczasowych, autor nie uznaje go jednak za już najlepszy bezwzględnie, a na krok i system postępnny zdaje się oczekiwać, jeżeli się nie mylimy, śród kraju pośród którego pisze, tak bowiem między innymi mówi:

„Od śmierci Hegla, a od czasu Schoppenhauerów, Büchnerów, Moleschotów, Vogtów, myśl spostrzegając w tym niegdyś dziewiczym kraju (Niemczech) jałowe już tylko grunta, wzlata dalej na północ, tam prąd swój kierując.... Oczekujemy innego polotu ducha, to jest takiego, któryby zabłysnął gwiazdą polarną dla błąkającej się łodzi myślenia.”

Już z samych tych kilku rysów i ich wyrażen czytelnik wniesć może, iż przybył nam zdatny pisarz spekulacyjny, czy jednak następne części książki: *Flozofia ducha* i *Credo ducha* rozwiążą nam tajemnicę życia albo przynajmniej posuną o krok ba-

danie jej, o t \acute{e} m naturalnie rzecz dzis jeszcze z pewnością, nie mamy prawa; i owszem mamy prędz \acute{e} j powody do w \acute{a} tpliwosci.

Autor zgodnie z systematem Hegla całość i rzeczywistość istnienia pojmuje tylko w duchu czyli jako ducha, a przez ten duch rozumie tylko myślenie; duch jednak, dodajmy tu pobieżnie uwagę, nie tylko myśli ale t \acute{e} ż tworzy; jego np. dziełem i jego okazem s \acute{a} t \acute{e} ż: wynalazki, przemysł, sztuka, dzieje społeczne i t. p. aby więc poznać i należycie ocenić historią ducha ludzkiego, nie dosyć było wspomnieć o kilku rysach historii spekulacyjnego myślenia, lecz poznać dzieje ludzkie w tych wszystkich gałęziach.

W wykładzie dziejów autor przyznaje, iż pośród ludzkości i w życiu ziemskiej natury widny jest upadek; lecz gdy odrzucając powieść biblijną o upadku, objaśnia iż powodem tego był grzech człowieka jeszcze w pozaświecie, a nie na ziemi: jestto to samo, co objaśniać X przez Z.

Tłumacząc istotę chrystyanizmu autor, widzieliśmy, uczy iż Chrystus pierwszy dał należną naukę piękna, dobra i prawdy; podobny że tak powiemy komplement dla założyciela chrześcijaństwa znajdujemy i w poprzednim piśmie. P. Levitoux na str. 132 mówi: „Miłość bez mądrości nie jest miłością, a mądrość bez miłości nie jest mądrością. Nikt nie obliczy dwóch tych własności ducha zlanych w duchu. Chrystus jeden od stworzenia świata był najdoskonalszą, najczystsza, najwyższą harmonią mądrości i miłości.” Myśl ta w dziele p. L. tak jednak jest oderwaną i tak nie wiążącą się z k \acute{a} dinad z wykładem fizyologicznym (w którym autor co do człowieka na str. 111 wyraził między innemi: iż nie ma w \acute{a} tpliwosci że ten do potopu był małą). iż można rzecz że nie wiemy co oznacza w systemacie. W dziele pana Niem. jako mówiacem o historii ducha jest już przynajmniej na swoim miejscu, objaśnia zaś ją autor bliżej przez te słowa: „Wyższość nauki Jezusa Chrystusa nad naukę Platona zasada się tylko na t \acute{e} m, iż nauczył że człowiek ma wolną wolę i że jednostka jest cząstką ludzkości.”

Pomijamy tu trafność albo nietrafność t \acute{e} j uwagi filozoficznie, ale zwracamy uwagę, iż nowi racjonalni pisarze nasi zdają się uważać chrześcijaństwo na wzór spóczesnych nam racjonalistów tubingskich, jako tylko niejaki odcień stoicyzmu w swoim pierwiastku. Wtrąemy tu uwagę, że jak nauk religijnych tak i filozoficznych było tysiące pośród ludzkości, a zwłaszcza tych ostatnich w Grecyi; nie rozumiemy więc dlaczegoby pośród tysiąca tych nauk udało się tylko nauce stoickiej biednego żydka sprawić fakt taki, iżby ta wydała religią, a ta religia jedynym śród historii przykładem, pokonała systemata i religie najwięcej ucywilizowanych narodów śród pełni ich rozwicia, i przeszła następnie do wszelkich pokoleń i wszelkich krajów w krąg kuli ziemskiej. Powodem tego nie mogły być dowcip i głębookość systemu, były bowiem i dowcipniejsze i głębsze racjonalnie; nie

mogła być powieść o cudach, każda religia bowiem nauczała o cudach; powodem tego mogły tylko być towarzyszenie i wola jakiejś Ręki skrytej: im więcej przeto krytycy dziejów uszczuplają rzeczywistą wartość pierwiastku takiej religii, tym mniej objaśnionym czynią fakt rozwiniętych następstw. Dlatego też mówimy, iż nie możemy zareczuć czyli zapowiedziane *Credo ducha* p. Niemiryca objaśni nam co więcej z tajemnicy życia, jak filozofia natury p. Levitoux. Jeżeli mylimy się wątpiąc, pierwsi pośpieszymy najchętniej donieść o tej omyłce.

P. N. (musimy tu jeszcze dodać) dołączył przy końcu zarys najnowszej filozofii dziś w Niemczech, Francji i Anglii, zowiąc pierwszą naturalizmem, drugą eklektyzmem, trzecią pozytywizmem; wiadomość ta istotnie ma kilka rysów wiernych z najnowszej filozofii tych krajów, ostrzedz winniśmy jednak, że te rysy wcale nie przedstawiają obrazu swoich całości, że bowiem ograniczymy się tylko wzmianką o filozofii w Anglii: przemagający w niej dziś charakter nie jest wcale jak utrzymuje autor pozytywizmem, lecz owszem *Berkleizmem* (ultra idealnością); sam główny pozytywista angielski Mill wyznaje, iż jest przez pół Berkleistą a przez pół Comte-cistą. (Widzieć np. artykuł „O społecznej metafizyce w Anglii” w *Zeitschrift für Philosophie etc. Fichtego* z r. 1868 T. I).

Do ogłoszeń z roku zeszłego w gałęzi o której mówimy, prócz traktatów mniejszych rozmiarów (1), należy też ukazanie się dalszego ciągu dzieła p. n. *Wykład systematyczny logiki* czyli nauka dochodzenia i poznawania prawdy p. Dra Henryka *Struve*.

Autor tego wykładu (obecnie professor filozofii w Uniwersytecie Warszawskim) lubo od kilku dopiero lat znany w literaturze naszej, odznaczył już jednak w niej stale swoją zasługę.

P. Struve zawód swój piśmienny rozpoczął, ile wiemy, od racjonalno-religijnych polemik w czasopismach niemieckich; w piśmie *Deutsche Zeitschrift für Christliche Wissenschaft* z roku 1861 za luty, czytaliśmy pióra jego uwagi krytyczne z powodu nowego wydania pisma Baura: *Chrześcijaństwo w trzech pierwszych wiekach*. Następnie od czasu objęcia katedry filozofii w b. Szkole Głównej tutejszej, ogłosił szereg prac, po większej części ram krótkich, lecz które wszystkie, przetrawione myślenie, wsparte na gruntowném ukształceniu naukowém, cechuje. Należą tu mianowicie następane pisma. *Wywód pojęcia filozofii, 1863. O temperamentach 1864. O psychologicznej zasadzie teorii poznania 1864. O pięknie i jego objawach 1866*, oraz obszerniejszych ram traktat *O istnieniu duszy*, który był przerobieniem własnego traktatu au-

(1) Z tych zwracamy mianowicie uwagę na broszurkę mającą napis: *Jak należy badać duszę?* przez Jul. Ochorowicza. Jest to traktat młodego miłośnika filozofii, (jakkolwiek głównie, ile nam wiadomo, zwolennika nauk przyrodzonych), nagrodzony medalem srebrnym przez wydział filologiczny b. Szkoły Głównej w Warszawie.

tora wydanego przedtém w języku niemieckim w Tubindze *Zur Entstehung der Seele etc.* 1862. Co do *Wykładu systematycznego loiki*, pisma tego otrzymaliśmy dopiero dwa poszyty, które obejmują prawie wyłącznie historią loiki; rozwinęta tu w szczególności bogata znajomość loik lub loicznego stanowiska współczesnych pisarzy niemieckich i po raz pierwszy spotykamy się tu ze szczegółowszą wiadomością krytyczną o pracach głównych pisarzy naszych filozoficznych z wieku XV i XVI. O okresie tym (1400—1600) autor wyraża między innemi takie zdanie: „Jest to okres stawiający filozofią w Polsce zupełnie na równi z jej ówczesnym stanem za granicą.” Ile widzieć i wnosić możemy z prologu, loika p. Struve jeżeli nie ma być wskrzeszeniem loik scholastycznych (jakie były do Kanta włącznie) nie ma też być dalszym ciągiem metafizycznych (jakiemi bywają zwykle od Hegla), ale wyjdzie ze stanowiska pośredniego, realno-idealnego, z jakiego wychodził dotąd autor we wszystkich swych pismach. Z zajęciem naturalnie oczekujemy dalszych poszytów.

Co się tyczy wreszcie utworów czystej fantazyi czyli poezyi i powieści, o tych nie prawie tu nie powiemy; o każdej prawie powieści nowj dawaną już była w Bibliotece bliższa wiadomość, poetycznych zaś ogłoszeń na większą skalę, w tym czasie prawie nie mieliśmy, a spotykaliśmy tylko dosyć liczne poezye w pismach czasowych. Z nader zajmującego obrazku bibliograficzno-historycznego wydanego w roku zeszłym staraniem i kosztem Maurycego Orgelbranda (*Obraz bibliograficzno-historyczny za r. 1868 p. Kl. W.*) okazuje się, iż z liczby wydanych w r. 1868 w Warszawie książek polskich oddzielnych, w ilości 256, pisma te ze względu na przedmiot, następnie się rozdzieliły: religijnych wyszło 29, filozoficznych i pedagogicznych 11, ekonomicznych 10, prawnych 17, historycznych 15, filologicznych 10, fizycznych i matematycznych 20, medycznych 18, gospodarskich 7, literackich 10, dziecinnych 35, sztuk dramat. 12, powieści 23, *poezyi tylko 3*. Nie należymy bynajmniej do tych, którzy utyskują albo czynią wyrzuty literaturze krajowej, iż nie ukazuje nam nowych poetycznych arcydzieł; gdyby, już nie mówimy codziennie, ale nawet co miesiąc, co rok, ukazywał się nam nowy geniusz lub nowy twór genialny, geniusz (którego cechą jest wyjątkowość) przestałby być geniuszem; nie możemy więc wymagać niemożliwości; jeżeli jednak nie spotkaliśmy się w ostatnich czasach z obszerniejszą genialną kompozycją, to jednak od czasu do czasu ukazywały się w pismach czasowych drobne utwory ledwo nie wszystkich naszych żyjących talentów poetycznych pierwszego rzędu, a nawet talentów nowych. Kończąc więc to wspomnienie o najnowszych książkach naszych, powtórzmy uwagę od której zaczęliśmy, a mianowicie, iż ta działalność umysłowości naszej w pismach oddzielnych dodana do tej peryodycznej, na którą w poprzednich numerach tego pisma wskazaliśmy, dają nam ca-

łość wcale nie martwą; i że jak w sądzie o wyrokach duchowych dla losu całej ludzkości w ogóle, tak też i dla naszego kątku ludzkości w szczególności, nie możemy należeć do pesymistów.

X.

Rękopism Biezanowskiego historyografa Akademii Krakowskiej z XVII wieku, opisał Karol Mecherzynski.

Annalium fundationis Petricianae ab anno Christi 1666 usque ad annum 1688 synoptice collecta, et deinceps juxta consequentium temporum et rerum ordinem a M. Stanislao Josepho Biezanowski Leop. in Alma Universitate Cracoviensis Pphie Dre Collega Minore, Historiographo Petriciano, continuata series.

Odpis z autografu Biezanowskiego, sporządzony staraniem J. S. Bandtkiego i znajdujący się w Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego, wynosi stronnic 585 in 4to maj. Czytelnie ale błędnie pisany, potrzebowałby skollacyonowania albo przynajmniej poprawy starannej rękopismu.

Z tytułu tego dzieła zdawałoby się, że autor skreślił w niem naprzód w krótkości dzieje krajowe od r. 1666 do 1688, a potem dalsze (*continuata serie*), gdy tymczasem roczniki jego kończą się z r. 1687.

W przedmowie powiada autor, że wezwany w dość podeślłym już wieku na urząd historyografa akademii, zapatrzwszy się na wzory swych poprzedników, dla zachowania jednostajności w sposobie opisywania dziejów, postanowił naprzód uzupełnić szczybę powstałą z przyczyny zaniedbania historyografii od lat dwudziestu trzech, i tym celem skreślić w krótkości dzieje z tego przeciągu czasu, a potem opisać obszerniej rzeczy społeczne, na które własnemi patrzył oczyma. A lubo (mówi) century Radyńskiego mogłyby uzupełnić tę część dziejów, a zwłaszcza historią czasów szwedzkich; gdy jednakże w Rocznikach akademii nie ma bynajmniej opisu ostatnich lat panowania Jana Kazimierza, czasów Michała i współczesnego Jana Sobieskiego, przeto postanowił je zwięzłem a treściwem piórem skreślić dla potomności. Jakoż stosownie do założenia, krótszy w opisie dwóch ostatnich królów, rozwiódł się natomiast szeroko w historii społecznej sobie Jana Sobieskiego (od r. 1676 do 1688), i tę część annaliów za właściwą kronikę Biezanowskiego uważać można.

Źródła, w których czerpał rzecz swoją, nigdzie nie wymienia. Mógł korzystać z Kochowskiego, a zwłaszcza komentarza o wyprawie Wiedeńskiej (wyd. r. 1684), bo Kochowski z młodu żołnierz, a potem historyograf królewski, dzieje tego

czasu obszernie i z wielką dokładnością opisał. Klimakterów atoli część trzecią wydał dopiero za Augusta II (r. 1698), a czwarty klimakter skończył ledwo przed śmiercią w r. 1699. Radymskiego roczniki doprowadzone są tylko do r. 1660. Co Connor Anglik o stanie wewnętrznym kraju, Bizardierę szczegółowo napisał o sejmach, tego nie znajdujemy w kronice Biezanowskiego, który jako annalista trzymał się więcej historycznych wypadków. A lubo Dalerac zawiera wiele szczegółów, które w kronice Biezanowskiego podobnie są opisane, jak np. potyczka pod Parkanami, kampania w r. 1684, zdobycie Jazłowca, niesnaski Paców z Sapiehami i t. d.; wszelako pamiętniki jego wyszły dopiero w r. 1698, po śmierci Biezanowskiego; trudno przypuścić, aby je w rękopiśmie mógł być znać Biezanowski. Coyer, Salvandy, Parthenay, Lauterbach, nie mogli mu podobnież być znani.

Począł Biezanowski swoją kronikę od r. 1666 z tej przy czyny, że jak mówi poprzednik jego Jan Radzki *in historiographico munere ab a. D. 1660 usque ad a. 1665 insigne Annalium suorum reliquit monumentum*. Rękopism jednak Radzkiego dotąd nie odszukany.

Z przedmowy okazuje się szlachetny sposób myślenia Biezanowskiego i pełne czułości do Akademii krakowskiej przywiązanie. Był Biezanowski mężem uczonym, pisał pięknie po łacinie, i należy do celniejszych wieku swego łacińskich wierszopisów. Jako historyograf akademicki, zwracał w swojej kronice szczególniej uwagę na rzeczy dotyczące Akademii krakowskiej, i tym z upodobaniem pióro swoje poświęcał. Na nieszczęście Akademia krakowska w tej epoce, znacznie poniżona, utraciła już była swój wpływ przeważny w rzeczach politycznych, przeto jej życie dziejowe występuje najwięcej w formach urzędowych, w opisach uroczystości krajowych, jako to: koronacyi, pogrzebów, wjazdów solennych, inauguracyi tak świeckich jak i duchownych. Biezanowski pod tym względem szeroko się zazwyczaj rozpisujący, wielu szczegółami ciekawie zajmuje uwagę. Ważne w jego rocznikach znajdują się wspomnienia i enkomie mężów akademickich, za każdym niemal rokiem występujących na scenę historyczną, lub zmierzających; niemniej graduacyi doktorskich, wstępów na katedry i dysput *pro loco*, odbywanych niekiedy w obec panujących monarchów, legatów zagranicznych lub królewiczów. Do wspomnianych w ten sposób akademików należą: Gabryel Ochocki, Stanisław Jurkowski, Jędrzej Kucharski, Mikołaj Słowikowski, Łukasz Piotrowski, Szymon Makowski, Sebastyan Piskorski i wielu innych. Opisuje Biezanowski pod r. 1666 wszczęte w akademii spory z biskupem Trzebickim, sprzyjającym jak wiadomo jezuitom i podobneż spory między doktorami filozofii a bakalarzami teologii o pierwszeństwo w głosowaniu na wybór rektora, zatargi z jezuitami o kreowanie w Pozuanu trzech magistrów i doktorów i t. p. Ktokolwiek pisać będzie historyą

Akademii krakowskiej, nie powinien pomijać roczników Biezanowskiego.

Poczyna się kronika autora od roku 1666, wspomnieniem wojny domowej. Pochlebny obraz Lubomirskiego przywodzi na myśl pisarza Klimakterów, który podobnie był jego stronnikiem, służył w chorągwi Lubomirskiego i walczył pod Montwami. Opisuje autor zjazd zwołany przez króla i jego abdykacją, bezkrólowie i cenzurę kandydatów, zabiegi Olszewskiego, elekcją Michała, nakoniec sejm koronacyjny i burze wzniecone przez niechętnych królowi. Następuje poselstwo o Eleonorę, jej zaślubienie i koronacja, przygotowania do wojny tureckiej, zatargi między Leszczyńskim kanclerzem, a Olszowskim wybuchłe na sejmie, poróżnienia w stanie rycerskim, które w Wielkopolsce doszły aż do krwi rozlewu. Temi opisami poprzedza autor rok 1672. „Ten jest rok (mówi) o którym rzec można za prorokiem: *Virgam vigilantam ego video*. Na sejmie trwoga i niepewność, rozróżnienie zdań i zwątpienie. Główny przedmiot obrad wyprawa na Turki, którą niechętni królowi ozięble się zajmują. Zapasy króla z przeciwnikami, pokój ohydny z Turkiem. Następnie, zjazd pod Gołębim, sąd na Prazmowskiego i jego obrona, (Biezanowski mówi na stronę prymasa), wyprawy Sobieskiego. Na sejmie r. 1673 poburzone umysły uspokaja biskup Trzebiecki, godzi Prazmowskiego z królem. Śmierć króla Michała, zwycięskie postępy Jana Sobieskiego. Do ważniejszych szczegółów w tej części dziejów, prócz opisów uroczystości koronacyjnych, pogrzebowych i weselnych, w których akademia miała udział, należy smutny opis zajęcia Kamieńca.

W dalszej części opowiada autor sejm elekcyjny roku 1674, dokończenie wyprawy i powrót zwycięzki Jana III. Następnie spory między Pacem a Radziwillem, sejm koronacyjny i zapadłe na nim uchwały, bitwę pod Żórawnem i pokój Żórawski. Potem sejm extraordinaryjny, komisją Sandomierską, rozruchy Gdańskie, spustoszenie ziemi Sanockiej przez rokoszanie węgierskich, tudzież spory i zatargi między królem a hetmanami Rzeczypospolitej. Pod r. 1679 poselstwo Leopolda cesarza do króla i stanów Rzeczypospolitej, uchwały sejmu grodzienckiego. Poselstwo Michała Radziwiła do papieża i innych monarchów chrześcijańskich, sejm walny warszawski, postanowienie wojny przeciw Turkom. Następuje wreszcie opisanie rzeczy węgierskich, potęgę Turków i oblężenie Wiednia. Lubomirski wyrusza z jazdą pod Wiedeń dla rozpoznania sił i stanowiska nieprzyjaciół. Karol książę Lotaryński wraz z Lubomirskim porażają Turków. Pochód wojsk polskich pod wodzą króla Jana i rozłożenie obozów, w końcu zniesienie wojsk tureckich.

Ta część dziejów szczegółowo i obszernie skreślona zamyka się opisem uroczystych obchodów zwycięstwa i wjazdu Jana III do Wiednia, poczem opowiada autor dalsze króla wyprawy, bitwę niepomyslną pod Parkanami, powtórne zwycięstwo nad Turkiem,

poselstwo Tekielego do króla, ucieczkę Wezyra z Budy, obłężenie Granu, tudzież sprawy wojenne kozaków i Wołoszy przeciw Turkom i Tatarom, nakoniec powrót króla Jana do Krakowa, owacye i uroczystość, a zwłaszcza powitanie króla od Akademii, zaproszenie na promocyą trzech teologów, a potem *ad commune coenaculum*.

Dalsza kronika obejmuje zwycięstwa nad Turkami i Tatarami odniesione przez hetmana Jabłonowskiego, Rzewuskiego, Hier. Lubomirskiego, i wyprawę króla pod Kamieniec. Nie zamłczał autor wypraw Wenecyi przeciw Turkom i jej działań w Dalmacyi, niemniej poselstwa Wenetów, kozaków Zaporoskich i papieża Innocentego z podarkami do króla. Pod r. 1685 opowiada działania i uchwały sejmu, potwierdzającego przymierze z cesarzem i Wenecyą przeciw Turcyi, wojny toczone przez cesarza w Węgrzech, porażkę Tatarów na Pokuciu i pod Połoną, sprawy wojenne nad Dniestrem, na Bukowinie i około wałów Trajana.

Dwóch lat ostatnich roczniki mają za treść poselstwo do Moskwy o przymierze przeciw Turkom, pomysłne walki Chełmskiego pod Kamieńcem i pod lasem Niedoborem, wyprawę króla do Wołoch, zdobycie Jass, zwycięstwo Rzewuskiego nad Tatarami na Wołoszczyźnie, porażkę nową Turków i Tatarów nad Prutem (gdzie autor przytacza list Sobieskiego do Druszkiewicza kasztelana chełmskiego, opisujący całą tę porażkę, a datowany z obozu pod Cecorą), dalej zwycięstwo nad Tatarami, w którym odznaczył się mężstwem Jakób Sobieski, nakoniec poselstwo z Moskwy, powrót króla Jana z wyprawy wołoskiej, dwukrotne pobicie Turków przez Ruszczyca i wojsko polskie, utarczki pod Kamieńcem, zalety rycerskie Jakóba królewicza.

Z przytoczonej treści rękopismu Biezanowskiego znawcy osądzają, jaką roczniki jego mogą mieć wagę obok znanych już listów Jana Sobieskiego, uzupełniających dzieła Coyer'a, Salvandego, Parthenay'a, i innych cudzoziemców.



WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Luty 1870 r.—W roku bieżącym, w miesiącu wrześniu urządzoną będzie dla gubernij Królestwa Polskiego wystawa płodów gospodarstwa wiejskiego, tudzież płodów rolniczo-przemysłowych, na którą także przyjmowane będą płody innych miejscowości Cesarstwa, aby przez to mieszkańcom tutejszym nastrożyć sposobność bliższego ocenienia, jakie owe miejscowości zajmują stanowisko w rozwoju wspomnianego przemysłu.

Stosownie do przepisów wydanych dla rzeczonej wystawy przez oddzielny komitet, wszelkie nadsyłane okazy rozklasyfikowane będą na pięć działów.

Do Igo zaliczą się przedmioty, stanowiące wyłącznie produkta roli, ogrodów, sadów i lasów; a w szczególności: zboże w kłosach, rośliny strączkowe i pastewne, rośliny stanowiące przedmiot technicznego użycia w rozmaitych wyrobach, wszelkie gatunki ogrodowizn, drzewa owocowe, tudzież same owoce, tak świeże jak i suszone; okazy drzewek i krzaków używanych na żywe płoty, okazy pni drzewnych odznaczających się niezwykłą grubością, okazy torfii i t. p.

Dział IIgi stanowią będą: zwierzęta domowe i otrzymywane od nich produkta, a w szczególności zrodzone i wychowane w kraju konie cugowe i robocze, woły, krowy wszelkich rass, cienkowłniste owce i tryki, opasy, świnie i wieprze, drób, ryby i raki, pszczoły, psy gończe, wełna, nabiał, miód w plastrach, patoka i wosk, okazy kokonów i jedwabiu zwyczajnego i aliantusowego.

W III dziale zostaną pomieszczone produkta rolniczego i leśnego przemysłu, a w téj liczbie: piwo, napoje chłodzące z owoców, spirytus i nalewki, miód jako napój, ocet, cukier, komposty, wyroby użytkowe z drzewa i t. p.

W IV dziale: maszyny, narzędzia i przyrządy rolniczo-przemysłowe. Oddział ten składać będą następujące grupy: 1) narzędzia do uprawy roli; 2) narzędzia do obsiewu; 3) narzędzia do sprzętu; 4) narzędzia do omlotu, oczyszczania i rozgatkowania ziarna; 5) przyrządy do przewozu; 6) maszyny do drenowania i uprawy łąk; 7) narzędzia do przerobu płodów rolniczych; 8) motory oraz przyrządy do odpływu wód; 9) pompy wodne; 10) przyrządy do nabiału; 11) przyrządy do chowu bydła; 12) rozmaite narzędzia wiejsko-gospodarskie; 13) ogrodnicze; 14) narzędzia nie dające się podciągnąć pod wyrażone powyżej kategorie; 15) narzędzia doświadczalne i 16) rolnicza buchalteryja.

W dziale V: budownictwo wiejskie, do którego zaliczone zostaną modele lub rysunki na wszelkiego rodzaju budowle po wsiach, nie wyłączając fabryk i różnych zakładów przemysłowych.

Dla każdego z powyżej wyrażonych oddziałów wyznaczone zostały w odpowiedniej liczbie nagrody: w medalach złotych, srebrnych i brązowych, w gotowych pieniądzach i listach pochwalnych.

Podając o tém do powszechnej wiadomości komitet zajmujący się urządzeniem tej wystawy, poczytuje sobie za obowiązek nadmienić, że warunki szczegółowe co do przedmiotów mających być nadsyłanymi, zawarte są w oddzielnym programacie, który pozyskać można w każdym czasie bezpłatnie, w kancelaryi komitetu wystawy, pomieszczonej w gmachu Rządu Gubernialnego Warszawskiego. Panowie z prowincyi, zechcą do żądań swoich o nadsyłanie rzeczonych programatów, załączać marki pocztowe po dwie na każdy egzemplarz, ceny kopiejka jedna.

W oddzielnej książeczce wyszedł pomieniony program w drukarni gubernialnej (w See, str. 19).

— B. professor Szkoły Głównej Dr. Zygmunt Węclewski ma zamiar urządzić 5 publicznych odczytów, których treścią będzie rzecz o sztuce greckiej i chrześcijańskiej; o tragedyi greckiej i o romansie starożytnym.

W pierwszym zebraniu zamierza professor wyłożyć znaczenie i stanowisko sztuki w ogóle; stosunek jej do natury i porównać poezją grecką z chrześcijańską architekturą; świątynię grecką z katedrą w Strasburgu. Plastykę i malarstwo u starożytnych i w świecie chrześcijańskim. Polygnot i galerją w Atenach, u chrześcian Rafaela Syxtyńska Madonna. Wreszcie zamknąć swój odczyt rzeczą o muzyce.

— Z drukarni J. Jaworskiego, w ozdobnej edycyi wyszły *Akta podkanclerskie Franciszka Krasieńskiego 1569—1573*. Wydał Wł. hr. Krasieński, objaśnił przypiskami Wł. Chomentowski. (W wielkiej ósemce str. VI, 410. XX. Na czele zdobi popiersie Fr. Krasieńskiego, z podobizną podpisu, w udatnym drzeworycie, oraz pamiątki jakie po tym podkanclerzu pozostały).

— Wiadomo że w roku 1866 był wydany elementarz jako pierwsza książka dla ociemniałych czcionkami wypukłemi; obecnie dyrektor Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych professor Uniwersytetu Warszawskiego J. Papłowski, zajmuje się drukiem Pisma Świętego, a rozpoczyna je od Ewangelii Świętego Marka. Czcionki potrzebne do takiego druku, odlewają się w giserni Samuela Orgelbranda.

— W litografii M. Fajansa wyszła *Famiątka familijna*, obraz przedstawiający chwilę, gdy król Władysław Jagiełło wręcza Janowi Chelmieckiemu akt donacyi miasta Lutomiarska w Sieradzkim. Rysował C. Dyleczyński. Pod obrazem następnym wypis z Archiwum Koronnego, objaśniający treść jego:

„Mając wzgląd na stałość przywiązania, której Jan Chełmicki z Chełmicy dał Nam dowody w owym czasie, kiedy Ziemia Dobrzyńska przez Krzyżaków oderwaną została, który cnotę do cnoty mężstwa dodając, sam się i majątek swój na niebezpieczeństwa narażając, jako prawy i dobrze zasłużony obywatel, był do królestwa naszego przywiązany. Gdy takich rada i wiara wzmacnia tron, a królestwo od nieszczęść broni, pragnąc zatem takich szczególną prerogatywą wynosić, a zasługi ich do publicznej wiadomości podawać: z tych przeto powodów, temuż jako wzorowi licznych cnot, połowę miasta Lutomięska, z przyległościami, na wieczną własność dajemy. Na dowód czego pieczęć Naszą do niniejszego przyłożyliśmy. W Krakowie w środę po niedzieli Suchej 1406 r.” (Podpisy senatorów). Nad obrazem godło z pism autora Irydyona. „Przeszłość im dalsza, tém urodziwsza, im urodziwsza, tém od serc ludzkich kochańsza.”

— Pomimo licznych przekładów Szekspira dawniejszych jak Hołowińskiego, Józefa Paszkowskiego, Józefa Korzeniowskiego, Komirowskiego i Placyda Jankowskiego (Dżon-of Dycalp.), występują obecnie nowi tłumacze, jak Koźmian, Adam Pług i Krystyn Ostrowski. Pierwszy w Poznaniu wydrukował dwa tomy przekładów z Szekspira. Pług ogłosił w czasopiśmie illustrowaném *Kłosa*: *Burzę*, a obecnie *Machbeta* nadesłał, króla zaś Lira oddzielnie wydaje. Krystyn Ostrowski, przerobiwszy *Kupca Weneckiego* na *Lichwiarza*, przeróbkę tę wydrukował w Paryżu: teraz zaś przysłał do Dyrekcyi Teatrów Warszawskich swoje tłumaczenie *Hamleta*, które ma być użyte do przedstawienia na scenie Teatru Wielkiego.

— P. *Fryderyk Krauze*, którego piękne tłumaczenia drukowaliśmy dawniej w naszym piśmie, a czasopismo illustrowane *Kłosa*, przy zawiązku swoim dało poznać udatny przekład tegoż poematu Byrona *Child Harold*, przygotował do druku tłumaczenia *Zoselina* utwór obszernych rozmiarów: wiele utworów Byrona, a między tymi tragedya „Sardanapal” którą niedługo podamy naszym czytelnikom, oraz z drobniejszych utworów Wiktora Hugo. Z tych podamy parę ustępów.

I.

W C Z O R A.

Wczora noc letnia, co nam cienia pożyczła...
 Oua, była cię godną, bo tyle gwiazd miała:
 Tak jój spokój był świeży, tak słodkie jój tohnienie!
 Uciszyło swe szmery całe przyrodzenie,
 I wylał się miłosnej rosy skarb bogaty,
 Na nas i na kwiaty.

Jam stał przed tobą, ogień wstrząsał piersią moją,
 Boś ty na mnie patrzyła całą duszą swoją;

Biła oi z czoła jakaś piękność nie ujęta,
I chociaż ani słówkiem myśli nie zdradziła,
Myśl tkliwa, w głębi serca twojego poczęta,
W mém się sercu dokończyła....

Błogosławiłem Boga, za łaski dowody,
Ze ci z tą piękną nocą, chciał dać tyle zgody,
I dla mojego szczęścia, dla mego pokoju,
Tyle czystości, piękna, dał nocy i tobie,
Tyle promieni, woni, słodyczy i stroju
Chciał wylać na was obie.

Trzeba żeby przed Bogiem duch się nasz ukorzył,
Bo On ci to dał duszę, i On świat ten stworzył,
On me oczy zachwycą blaski cudownemi
On, kluczem tajemnicy, opieką w potrzebie,
On to kazał tak świecić twym oczom na ziemi,
Jak gwiazdom na niebie.

Bóg wlał strumień miłości w każdą ziemską sprawę,
Miłością wszystko żyje i w niej ma podstawę;
Bóg zrobił noc piękniejszą niżli blaski dzienne:
Bóg to, o moja droga! nadał ciału twemu
Ową słodycz ponętną, te wdzięki promienne,
A miłość sercu memu.

O pozwólże się kochać! Bo miłość, to życie!
Jój to żalować warto, jój to zazdrościcie,
Kiedy ćmią się zachodem dni wasze młodzieńcze;
Bez niej wszystko utracą promienny rumieniec,
Bo piękność, jest to czoło, a miłość to wieniec:
Pozwól niech cię uwieńczy!

Co zaspokaja duszę? Wierz temu co kocha,
Nie jest to trochę złota, ani sławy trocha,
Pył bojów, który duma przynosi skrzydłata;
Nie pycha to szalona, złudzeń ziarno chore,
Która smutnie przejada, przegorzkniałą korę
Rzeczy tego świata.

Potrzeba się dwom myślom zbiedz w jednym ognisku,
Tkliwych westchnień, długiego dwojga rąk uścisku,
Woni pocałowania, coé upoi szczerze:
Wszystkiego co spojrzenie, spojrzeniu wypowie,
Wszystkich pieśni, co można wygrać na tej lirze,
Co się sercem zowie.

Tajne prawo na świecie ma każde stworzenie,
Swoje miejsce wybrane, przytułek, schronienie;
Dzień i noc nas doń wiąże instynktu zawilość,
Rybak w łodzi, z nadzieją nie boi się chmury,
Łabędź ma swe jezioro, orzeł swoje góry,
A dusze nasze, miłość.

II.

BIĘDNY KWIATEK.

Do motyla, co latał aż w podniebne kraje

Rzekł biedny kwiat:

—Widzisz, jak nasze losy różne—ja zostaję,
Ty, lecisz w świat!

A jednak się kochamy, bez ludzi żyjemy,

Zdala od ich chaty,

Podobniśmy do siebie: wszyscy mówią że my
Obydwa kwiaty.

Lecz ciebie wiatr unosi, mnie wiązą korzeniem

Z ziemią złe losy;

Pragnąłbym lot twój oblać woniejącém tchnieniem,
W niebiosy.

Dalekiś, między kwiaty lecisz bez pamięci,

Trudnoć iść w tropy,

Ja tu sam, tylko patrzę jak cien mój się kręci
U mojej stopy.

Uciekasz i powracasz, i znów lecisz dalej,

Pobłyszcząc jak bogacze!

Dlatego z każdym rankiem gdy jutrznia się pali,
Widzisz, jak płacząc!

Oh! żeby nasza miłość nie była mamidłem,

Zwiąż się silnie z tą ziemią, lub obdarz mnie skrzydłem
Takiem jak twoje!

— Z drukarni S. Orgelbranda, wyszedł: „Przewodnik Warszawski informacyjno adressowy na r. 1870”; ułożony i wydany przez Wik. Dzierżanowskiego, naczelnika wydziału Informacyjno-adressowego, zarządu Warszawskiego Ober-policmajstra. Rok drugi (w wielkiej 8ce str. XVI, 506, 54). Z tego przewodnika podajemy, że obwód miasta Warszawy wynosi sążni bieżących 9,300, czyli wiorst 18, 6. Obwód przedmieścia Pragi sążni 3,100, czyli wiorst 6, 2. Powierzchnia zajęta pod miasto Warszawę i przedmieście Pragę obejmuje sążni kwadratowych 746,892. Długość ulic w Warszawie i na Pradze, z wliczeniem dróg przed i zaokopowych, wynosi sążni bieżących 71,203, czyli wiorst około 142½ czyli mil dwadzieścia z górą. Ogólna ludność miasta Warszawy w roku 1868 wynosiła (stałej i niestałej) 254,551 głów, w tej liczbie kobiety przewyższaly cyfrę mężczyzn o 14,119. Wyznania prawosławnego 1449, starowieców 12, katolickiego 109,118, mojżeszowego 67,847, ewangelicko augsburskiego 9,223, reformowanego 1318, braci morawczyków 10.

— Etnograficzne prace coraz więcej się mnożą, i zapoznawają nas bliżej z ludem różnych okolic i jego charakterystyką. „Kłosa” dały kilka ważnych i zajmujących rozpraw w tym względzie, obecnie Tygodnik Illustrowany, ukończył niemniej ważne: „Zarysy z nad Bugu”, zasłużonego pisarza Leona Kunickiego. Autor tekst swój objaśnia własnoręcznymi rysunkami, co niemałej ceny tej szacownej pracy dodaje. Od wielu lat pisarz ten wziął sobie za zadanie, poznać nas tak z całą okolicą nad-Bużną którą od lat młodych zamieszkał, jak i z jego ludem. W formie udanych powieści i obrazków, zarówno jak w pełnych treści zarysach spełnił swój piękny zamiar. Braknie tylko Oskara Kolberga. ażeby zebraniem melodjy pełnych rzewności, uzupełnił nam poszukiwania p. Kunickiego.

— Pani Seweryna z Żochowskich D., która wyuczywszy się po węgiersku przełożyła z Poetefiego poemat *Janosz Witez*, (który podajemy w naszym piśmie), przy pomocy Madiara pana Boszany, obecnie rozpoczęła tłumaczenie epepej madiarskiej Józefa Arany, p. n. *Toldy*.

— Jeszcze za życia ś. p. Franciszka Wężyka, który wraz z Wincentym Polem popierał myśl wzniesienia pomnika grobowego dla Jana Kochanowskiego na Wawelu, zaczęto się krzątać, ale niedługo zapomniano o niej, i dopiero od paru lat wznowiono ten piękny pomysł. Nie rozumiemy wszakże, dlaczego popiersie wielkiego poety, ma być ustawione w kościele ks. Franciszkanów w Krakowie, a nie w katedrze, kiedy w niej w roku zeszłym pomieszczono posąg Piotra Skargi. Sądźmy, że znalazłby się jeszcze zakątek mały dla twórcy *Threnów* i tłumacza psalmów Dawida. Popiersie to ma być wykonane przez profesora rzeźbiarstwa w Krakowie Kossowskiego, podług odlewu z grobowca w Zwoleniu będącego, o który postarał się znakomity nasz malarz Al. Lesser.

— Dnia 26 stycznia r. b. upłynął ostateczny termin składania konkursowych planów, na budowę starożytnych *sukiennic* w Krakowie. Planów takich przysłano cztery, i te mają być wystawione na widok publiczny.

— W Poznaniu zaczyna się drukować dzieło olbrzymich rozmiarów p. n. „Encyklopedia imion własnych, z dziedziny dziejów powszechnych i kościelnych, biografii, mitologii, literatury i jeografii starożytnej, średniowiecznej i nowożytnej, przez pułkownika Edmunda Calliera”. Dzieło to którego zeszyt pierwszy (A, Abibabus) wyszedł z pod prassy, ma być ozdabiane w staloroty, wizerunków znakomitych ludzi, których obszerne życiorysy mieścić się będą. Z zarysu tak ogromnego dzieła, które jak donoszą nam, ma w rozmiarach prześcignąć Encyklopedję powszechną S. Orgelbranda, widzimy że publikacya zajmie lat kilkanaście, bacząc na to że wydawnictwo S. Orgelbranda trwało lat całe dziesięć; wszakże przyznać trzeba, że Encyklopedia po-

wszeczną ułatwiła o wiele, następnym encyklopedyom, które się ukazą teraz.

— Znany badacz Kazimierz Stadnicki, którego każda praca jest wysokości wartości, a oparta na bogatych i mniej znanych nam źródłach, wydał teraz we Lwowie monografią historyczną nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta (Lwów 1870 roku) p. n.: *Olgierd i Kiejstut synowie Gedymina W. X. Litwy* (w 8ce str. 213). Przy końcu (str. XXI) są załączone dodatki i poprawki do dzieła: „Bracia Władysława Jagiełły króla Polski”.

— Roczników Towarzystwa Naukowego Krakowskiego poszytu trzeciego, wyszedł tom XVII, dział nauk moralnych i obejmuje: 1) Uwagi treści ortograficznej nad rękopismem kroniki mistrza Wincentego, ogłoszonym przez hr. Przeddzieckiego, skreślił prof. Brandowski. 2) Rzecz o dyalektach mowy polskiej przez Dra W. Pola. 3) Niektóre ważniejsze właściwości polszczyzny w porównaniu z mową niemiecką, przez Dra Oettingera. 4) O języku koptycznym, rzecz napisana w Kairze przez Karola Załuskiego. 5) Rzecz o pobycie Kazimierza Igo w klasztorze Benedyktynów w Cluny przez Jakóba Malinowskiego. 6) Wykopalisko na wyspie jeziora Lednicy pod Gnieznem, przez hr. Al. Przeddzieckiego. 7) Żywoć Sebastjana Girtlera przez prof. Skobla. 8) Rękopisma Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, systematycznie zestawione przez Dra Wł. Seredyńskiego.

— W korespondencyi z Krakowa Gazety Warszawskiej (Nr. 40) znajdujemy następujący ustęp co do rozwoju literackiego w Galicyi.

„Ruch piśmienniczy jest tu dość znaczny, lecz wydawcy powszechnie uskarżają się na małą sprzedaż. Prassa peryodyczna jest bardzo ruchliwa. Nie mówimy już o Lwowie, w którym kilkanaście dzienników politycznych i literackich wychodzi a co chwila się zmieniają, ustępując szczęśliwym współzawodnikom. Lecz w samym Krakowie wychodzą dwa wielkie dzienniki polityczne, tudzież jedno małe piśmko to jest „Kuryerek Krakowski” który mógłby liczyć na wielkie powodzenie, gdyby mu się na nieszczęście nie wydawało, że jest *Timesem*. Zamiast traktować politykę pobieżnie, chce jak zaba w bajce sprostać dwom wołom, i przez to sobie nogi podcina. Dalej wychodzą dwa piśma dla kobiet: *Kalina* i *Kwiaty*, co do formatu i treści dwaj bracia Siamscy, toczący zawzięty bój o trzechset lub czterechset prenumeratorów (zwykła to liczba przedpłacicieli w Galicyi na piśma literackie). Dalej *Włóścianin* piśmo dwutygodniowe ludowe: *Djabek* udający piśmo humorystyczne, *Gazeta Lekarska*, *Mrówka z Wawelu*, *Przegląd*: piśmo miesięczne, w zeszytach jak Biblioteka Warszawska. Otóż dziesięć piśm w samym Krakowie, z których może jedno, wątpię czy dwa, pokrywa koszta wydawnictwa.

Książek drukuje się nie wiele, najwięcej odbitek z powieści dziennikarskich. Trzy publikacye, jako to: Biblioteka powieści

i romansów, Biblioteka Mrówki i Biblioteka Nowin, wszystkie trzy lwowskie cieszą się jakim takim powodzeniem. Krakowskie wydawnictwo czytelni ludowej, drukujące książeczki z drzeworytami dla ludu, *ma aż 100* prenumeratorów. Z krakowskich wydawnictw tylko księgarnia Jaworskiego wciąż wydaje: Książeczki ludowe, tłumaczenia z ks. Gaume'a, Postyllę; druk Katalogu Bibliograficznego K. Estreichera postępuje, będzie to dzieło olbrzymie i pomnikowe, bo nader starannie zebrane. Dopytują się tu wciąż o Encyklopedyę Orgelbranda, teraz kiedy już nakład wyczerpały. Słychać, że wydawcy lwowscy, połączonemi siłami zamierzają wydać małą encyklopedyę z ośmiu tomów złożoną, po cenie przystępnej, ażeby ją każdy mógł posiadać.

— W Dreźnie nakładem i J. I. Kraszewskiego wyszło dzieło p. n. „Ś-ty Stanisław i Bolesław Śmiały. Antyteza dziejowa z uwzględnieniem rozmaitych zdań przeciwnych, rozwijana przez Z. K. (Zygmunta Komarnickiego) 1870 r.” (Str. XI, 220 w 12-ce). Tamże są pod pressą: 1) Wilia i jej brzegi pod względem hydrograficznym, historycznym, archeologicznym i etnograficznym przez Konstantego hr. Tyszkiewicza. Dzieło pośmiertne. Dwie części, z wielą ilustracyami i kartą biegu Wilii. Wydanie ozdobne. 2) Komedia Boska Dantego. Przekład prof. Dra Ant. Stanisławskiego. Oprócz tego, wyszła: „Biblioteka pamiątek i podróży w Dawnej Polsce, wydawana przez J. I. Kraszewskiego.” Tom I, Polska w roku 1793, według podróży Fryderyka Szulc'a (w 12-ce str. 383). W załączonym na czele prospekcie, zapowiada w dalszych tomach zajmujące pamiątki i podróże, poraz pierwszy drukowane, oraz przedruki już wyczerpanych, a mające związek z wiekiem XVII i XVIII.

— W roku zeszłym przestało wychodzić użyteczne pismo: „*Centralblatt für slavische Literatur und Bibliographie*” wydawane w Budyszynie przez J. E. Smolera, którego życiorys podaliśmy w naszym piśmie w tomie IV zeszłego roku.

— Kiedy już przeszło od wieku zapomniano u nas o *mysteryach*, które niegdyś były tak powszechne, i o nich w świeżo wydaném dziele swoim Wł. Chomentowski: *Dzieje Teatru polskiego* zajmujące podał wiadomości, wyczytujemy w Gazecie Polskiej, o przedstawieniu na wzór dawnej męki Chrystusa, w Bawaryi. „W ciągu nadchodzącego lata, w starobawarskiej wsi „Ober-Ammergau” odbędzie się przedstawienie męki Chrystusa czyli *passyi*, wznawiające się jak wiadomo co 10 lat. Jest to ostatni godny uwagi ślad średniowiecznych misteryj. Gmina zobowiązała się do takich widowisk w 1633 r. na mocy ślubu uczynionego dla odwrócenia zarazy. W r. 1634 poraz pierwszy *passyę ex voto* przedstawiono, i co do dalszych terminów przyjęto zasadę dziesięcioletnich odstępów; potem przedstawienie miało miejsce w 1680 roku, a następnie pilnowano się już okrągłych peryodów. *Passya* musi sięgać dawniejszego czasu, choć brak na to autentycznych dowodów; treść jednak uczynionego ślubu wspomina o przedsta-

wieniach męki Chrystusa jako o czémś dawno istniejącem, a stara się tylko ustanowić dziesięcioletnie odstępy, w których widowisko ma być powtarzane. Tekst tych misteryj z 1662 r. pochodzący, zupełnie jest zbliżony do będącego dziś jeszcze w użyciu, z wyjątkiem niektórych zmian w chwili obecnej na korzyść przedstawienia wprowadzonych. Książka ta zawiera mnóstwo szczegółów dotyczących tak budowy sceny, jako też wprowadzenia na nią żywych obrazów, które badane ze względu na pojęcie o malarstwie mistrzów przed Dürerem żyjących, i porównywane z innymi niemieckimi misterjami, każą się domyślać wcześniejszego jak XVII wiek początku. Przedstawienie męki Chrystusa, równie jak kwitnące do dziś dnia w Ammergau rzeźbiarstwo na drzewie, dostało się zapewne do wsi z jednego z sąsiednich klasztorów. W pobliżu klasztorze Rottenbuch wyrznięcie z drzewa stanowiło jedno z ważniejszych zajęć zakonników.

Niegdyś w Bawaryi, przeszło w 80 miejscowościach dawano przedstawienia passyjne, które pochodziły z klasztorów, z jednego do drugiego się przenosząc. Mamy na to niezbity dowód; w XII bowiem wieku podobny dramat religijny wyszedłszy z klasztoru Tegerusee, ukazał się w Benediktbeuern z nowymi dodatkami, w świetniejszej i okazalszej postaci. Ztamtąd dostał się do Kochel, i Mittenwaldu (gdzie też sławną *passyę* aż do nowszych czasów grywano), do Rothenbuch, i nareszcie do Ammergau, w dalszym związku z tem widowiskiem były przedstawienia w Deining, Peisenserg, Mühlfelden, i t. d.

Dramat passyjny w Ammergau, używa europejskiego rozgłosu; w 1860 r. Anglia, Francya, nawet Ameryka dostarczyła widowisku widzów i sprawozdawców, a Niemcy zdobyły się na oddzielną na ten cel literaturę. Dość tu przytoczyć pisma artysty dramatycznego Emila Devrient (z ilustracyami Pechla), Clornsa Steuba i Deutingera, który zebrał w jednym tomie drukowane sprawozdania aż do 1851 r. Zajęcie się tem widowiskiem, nietylko się nie zmniejsza, ale owszem ciągle zdaje się wzrastać. Dnie wyznaczone na przedstawienia w roku bieżącym są następujące: 22 i 29 maja; 6, 12, 19 i 25 czerwca; 3, 10, 17, 24 i 31 lipca; 7, 14, 21 i 28 sierpnia; 8, 11, 18, 25 i 29 września. Gdyby w jeden ze wskazanych dni zabrakło dla widzów miejsca, przedstawienie powtórzone będzie w zupełności nazajutrz. Role rozdane są częścią jak w 1860 roku, częścią też powierzone nowym przygotowanym w upłynionej dekadzie siłom.

— W kronice wiedeńskiej Gazety Polskiej w Nrze 16 r. b. wyczytujemy ciekawy ustęp o słynnej fortepianistce Maryi z Wołowskich Szymanowskiej (1) a matce żony Adama Mickiewicza, i Getem, wyjęte z dzieła Burkhardta p. n. *Rozmowy Getego z kanclerzem Fryderykiem Müllerem.*

(1) Znakomita fortepianistka, pani Marya z Wołowskich Szymanowska, urodziła się w r. 1795 w Warszawie; w muzyce kształciła się w Mo-

„Żle się ze mną dzieje—mówił jednego dnia Gete do kanclerza Müllera—ani sam jestem zakochany, ani we mnie żadna się nie kocha!” Gete miał wtedy lat 73. W niespełna rok potem—powiada kanclerz Müller—było to w lecie 1823 roku, Gete poznał w Karlsbadzie Polkę, panią Maryą Szymanowską, która swą czarowną grą na fortepianie, tak dobroczynny wpływ wywarła na jego melancholiczny podówczas umysł, że poeta pamięć jej uwiecznił w *Trylogii namiętności*. Jeszcze jako panua Wołowska, znakomita ta artystka świeciła artyzmem, i kanclerz Müller opowiada w swoich pamiętnikach, że na wieczorze u Talleyranda w Warszawie, zdumiała wszystkich słuchaczy. Gete często mawiał, że ona jest jak powietrze, tak płynna, tak ulotna, tak wszędy widoma a bezcielesna. W październiku tegoż roku, w którym Gete poznał Maryę Szymanowską u wód czeskich, przyjechała ona ze swoją młodszą siostrą do Wejmaru. Gete wydał na jej cześć wielki wieczór, i nie mało się przyczynił do ogólnego podziwiania, jakie budziła osobistość pani Szymanowskiej, i jej gra pełna duszy. Innego dnia był koncert u Getego; wtedy wielki poeta powziął myśl urządzenia publicznego koncertu, i przy wielu staraniach swoich przyjaciół, projekt jego przyszedł do skutku. Pani Szymanowska grała publicznie, i miała wielkie powodzenie. Po koncercie była wesoła wieczerza u Getego. Wielki poeta wniósł toast na cześć artystki, i między innemi powiedział:

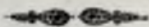
„Kilku z biesiadników wnosząc toast na cześć pani, powiedziało, że będą zawsze cię wspominać; bez ich urazy, zdaniem mojem, nie jest to właściwy sposób wyrażenia się. Jeśli nas spotka coś prawdziwie wielkiego, pięknego i wzniosłego, tego nie godzi się nam dobywać dopiero z zewnątrz siebie, ze wspomnień; to powinno zaraz z początku być snute z naszego wnętrza, z głębi naszej duszy; powinno to być jednością z nami, nowe lepsze jak w nas płodzić, i tak wiecznie rozwijając się, ciągle w nas żyć i działać. Dla wielkich uczuć nie masz przeszłości, którąbyśmy pragnęli znowu zobaczyć; jest tylko wieczna teraźniejszość, wieczna nowość, która się kształtuje z roztoczonych żywiołów przeszłości; bo prawdziwa tęsknota po straconym ideale powinna być zawsze twórczą, i zawsze tworzyć nowe i lepsze. I, dodał z głębokim wzruszeniem poeta patrząc na panią Szymanowską,

skwie. Piękną grą swoją jaśniała w Warszawie od r. 1815 do 1828. Odbyła kilka podróży artystycznych, z wielkiem powodzeniem dając się słyszeć: w Lipsku, Wiedniu, Berlinie, Hamburgu, Paryżu i Londynie. Umarła r. 1832 w Petersburgu. Jej starsza córka Celina wyszła za Adama Mickiewicza, który w czasie swego pobytu w Petersburgu, bywał prawie codziennym gościem u jej matki. Utwory Szymanowskiej są i dziś cenione, zwłaszcza muzyka do ballad i pieśni Mickiewicza (Wilia, Alpuhara, Switczianka i t. d., i t. d.).

czyśmy wszyscy w ostatnich czasach nie doświadczyli tego na sobie samych? Czyż wszyscy nie czujemy, że to miłe zjawisko, które ma nas wkrótce opuścić, odświeżyło nasze dusze, polepszyło i rozszerzyło? Nie! Ona nie może dla nas zniknąć, ona przeszła w istotę dusz naszych, ona w nas i z nami nieustannie żyje, a choćby uciec chciała, trzymam ją tu w piersi, silnie i na wieki”!

Następnego dnia popołudniu kanclerz Müller zastał Getego przy stole obok pani Szymanowskiej. Właśnie rozdała podarunki całej rodzinie, wszystkim wnuczkom Getego, aż do swego ulubieńca, małego Wolfa. Były to po większej części własnych jej rąk roboty, i stary poeta był niewymownie wzruszony tą macierzyńską czułością, i pamięcią młodej kobiety. Chciał być wesołym i humorystycznym, a przez każdy jego dowcip przebiegała najgłębsza boleść rozstania. Wzruszony, niespokojny, przechadzał się po pokoju, znikał i znowu wracał. Potem zapisał się w albumie młodszej siostry: *„Rappelez moi au souvenir de tout le monde, moi aussi je demanderai à tout le monde des nouvelles de vous.* O godzinie piątej po południu, pani Szymanowska była na posłuchaniu pożegnalnym u wielkiej księżnej Wejmarskiej, i z powodu ówczesnej żaloby dworskiej, miała na sobie czarne ubranie, które tém większe jeszcze wrażenie sprawiło na Getem. Zajechał powóz, i Marya Szymanowska nie spostrzeżona przez poetę odjechała. Było bardzo wątpliwem czy jeszcze do niego powróci. Wówczas, powiada kanclerz Müller, gorąca miłość otworcie wyraziła się w całym postępowaniu Getego. Prosił mnie najusilniej, zaklinał na wszystkie świętości, abym ją raz jeszcze sprowadził, gdyż do rozpacz przywodziła go myśl, że ona odjedzie bez pożegnania. W kilka godzin później przywoziłem panię Szymanowską i jej siostrę do Getego. „Rozstaje się z panem bogata i zadowolona, rzekła piękna artystka do wielkiego poety; umocniłeś pan we mnie wiarę w siebie samą, czuję się lepszą i zacniejszą, gdyż pan mię szanujesz. Nie mówmy o pożegnaniu ani o podziękowaniach; marzmy raczej o zobaczeniu się jeszcze. Ach! czemu nie jestem starszą! Czemu nie mogę spodziewać się wczesnie wnuka; nazwałabym go Wolfem, a pierwszy wyraz jaki wymawiałbym go nauczyła, byłby pańskim nazwiskiem”! „Co znowu,” przymuszając się do wesołości, odpowiedział Gete. Wszystkie jednak wysilenia dowcipu nie nie pomogły: grube łzy trysnęły z oczu starca, i czułe jego spojrzenie, długo jeszcze przeprowadzało młodą artystkę, gdy zwolna niknęła w długim rzędzie otwartych pokojów”.

— W tomie XVII świeżo odebranym *Rocznika Towarzystwa Naukowego Krakowskiego*, jest pomieszczoną rozprawa Al. hr. Przędzieckiego: „Wykopalisko na wyspie jeziora Lednicy pod Gniezmem”, którąśmy wydrukowali w naszym piśmie w zeszycie na sierpień r. z.



† Przy końcu roku zeszłego, umarł w Soczewce pod Warszawą ś. p. Seweryn Markiewicz, w samym kwiecie wieku, bo zaczynając rok 30 życia. Jeden z bliższych współpracowników naszego pisma, nadesłał Redakcyi krótkie o zgasłym wspomnienie, które w całości umieścić mamy za obowiązek.

„I znowu przychodzi nam pożegnaniem na zawsze słowem święcić pamięć zmarłego kolegi, znowu nam przychodzi rzucać gałązkę cyprysu na grób towarzysza wspólnego wesela i spólnej niedoli, a pióro nasze się skarży, że żalu wystowić nie umie, że należnie uczcić nie zdoła zgasłego imienia. Bo i nic więcej, tylko niewymowny wyraz smutku, żaloby i bólu, jako jedyny pomnik na mogile złożyć jesteśmy w stanie. Mimo różność dróg życia, odmiennych chwilowo przekonań, nigdy grono bliższych znajomych nie odmówiło uznania, na które godnie zasługiwał ś. p. S. Markiewicz zacnością myśli, szlachetnością uczucia. Pamiętamy młodego towarzysza, kiedy się przed nami wspólnie otwierały szerokie podwoje nauki i nie zapomnimy nigdy czystego zapалу, co podniosła pierś jego ogrzewał. Wierzył młodzieniec w duchowe swe siły, mimo wątłą powłokę ciała, był przekonany, że w tytanicznym zapędzie zdobyć można naukową i bezbrzeżną. Rzucił się w objęcia nauki—nauka to morze burzliwe i bezbrzeżne. Znojna gorączkowa praca, ogrom trudności na kamienną drodze trawiły młodą siłę. I ten płomień ożywionej piersi i to wrażliwe uczucie które przejmowało się głęboko każdym zawodem, wreszcie, świadomość niemocy w obec dalekiej drogi do szczytów nauki, wtrąciły przedwcześnie do grobu 30 letniego młodzieńca. Twarde życie ostatnich lat cierpień kruszyło siły, ale bóle chwil minionych nie zaćmiły jasnego oka, nie zakłóciły dziwnie ujmującej pogody serca, którą każda szlachetniejsza świeci natura. Nie ostygł zapal, choć skrzydła były złamane. Jeszcze w ostatniej chwili, gdy już piersi głosu odmawiały, nie ztorzczył nauce, ale przeciwnie kochał ją całą siłą swęj duchowej istoty. Z wielu pięknych a zwichniętych pomysłów, niedosnutych, potarganych pozostały ślady—naukowej pracy ś. p. S. Markiewicza w kilku prawnych i ekonomicznych artykułach. Rozprawa: O Sądach przysięgłych. W *Ekonomiście* (1866). Uwagi nad własnością podzielną tamże za r. 1867. Prawa autorskie czyli tak zwana własność literacka i artystyczna.

Zmarły kończył Uniwersytet w Petersburgu w r. 1861, bawił dłuższy czas w uniwersytetach zagranicznych, był następnie Patrologiem w batalii Cywilnego w Warszawie.

LUBWA
CIESZYŃSKIE.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIĘRWSZYM

z r. 1870.

Ekonomia polityczna.

	Stron.
Urywki ekonomiczne, przez <i>E. Stawiskiego</i>	71

Starożytności krajowe.

Ślady dawnych murów, otaczających miasto Starą Warszawę, w roku 1868 odszukane, przez <i>W'ilhelma Kolberg</i> . (Z planem).....	420
-------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------	-----

Literatura powszechna.

Bukoliczna poezya w starożytnej Grecyi. Napisał <i>Zygmunt Węclewski</i>	229
<i>E. Caro</i> o <i>Héiném</i> . Nędze boga XIXgo wieku, przez <i>E. Lubowskiego</i>	196
Sztuka dziejopisarska starożytnych Greków i Rzymian, napisał <i>Zygmunt Węclewski</i>	362
Szekspir. Przekład z <i>Gervinusa</i> , przez <i>A. W.</i>	402

Poezya.

	Stron.
Dwa ustępy z niewydanego poematu Teofila Lenartowicza p. t. Niemcy a Chroboty, kilkoma uwagami objaśnił <i>Adam Rządewski</i>	23
Janosz Witeż. Przekład z Petöflego z oryginału madziarskiego, przez <i>Sewerynę D.</i>	389

Sztuki piękne.

Estetyczne studjum o muzyce, skreślił <i>Bolesław Wilczyński</i>	38
------------------------------------------------------------------------	----

Powieści.

Fatalizm, powiastka z życia górali tatrzańskich, przez <i>Michała Bałuckiego</i> ..	1
Opowiadanie pana Erazma, przez <i>Adama Rządewskiego</i>	173, 341

Przemysł.

Kolej żelazna od Atlantyku do Oceanu Spokojnego. (Wyjątek z podróży), przez <i>R. B.</i>	125
------------------------------------------------------------------------------------------------	-----

Korrespondencya.

Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna:

I. Michelet i jego ostatnia książka „Nos Fils.”—„Education Sentimentale” przez Gustawa Flaubert i o moralności w literaturze.— Oszustwa literackie w Anglii i w Niemczech. — Poranki dramatyczne.— Teatr dworski i nowa sztuka Emila Augier „Les Lions et les Renards.” — Literatura kolendowa i dzieła ilustrowane.....	91
II. Wyprawa naukowa do Meksyku i do Ameryki środkowej, dzieło p. Brasseur de Bourbourg, wydane kosztem rządu. — Kongres archeologiczny w Kopenhadze. Delegowani francuzcy: pp. Quatrefage, H. Martin, Opert, Leonzon le Duc. — Rozprawa H. Martin o Skandynawii. — Życie Arabów i społeczeństwo muzułmańskie, przez generała Daumas. — Szesnaście miesięcy wokoło świata, dzieło Jakóba Stegfried. — Fellah, powieść Edmunda About. — Grewa Kowali, monolog Fr. Coppée. — Ostatnie posiedzenie akademii francuzkiej. — Wiadomości literackie.....	110
I. Ruch filozoficzny we Francyi. Pomnik Hegla. Sprzeczność realizmu francuzkiego z idealizmem niemieckim. — Pierwszy kongres geograficzny międzynarodowy w Antwerpii. Pomniki na cześć Merkatora i Orteljusza. Zdanie Seleweta o ich pracach.— Historia popularna Francyi H. Martia i Guizota. Odkrycie starożytnych pomników	

Druidyzmu w Walii przez H. Martin. Jollo Morganwy. Tryada Bardów Druidzkich. — Badania naukowe nad ludami głębokiego Wschodu. Dzieło Stanisława Julien'a: <i>przemysł starożytny i nowoczesny w państwie Chińskiem.</i> — Stan obecny poezyi we Francyi. Próby odradzającego się klasycyzmu. T. Bauvelle. Nowe poezye panny Siefert. — Opera komiczna Aubera. Nabuchodonozor, dramat Nikoliniego, przekład ks. Piotra Bonaparte. <i>Rozmaitości.</i> Przez <i>S. D.</i>	244
II. Ostatnia publikacya Renana. — Pochwała Rossiniego odczytana na posiedzeniu Akademii sztuk pięknych. — „Le Vrai Titus” przez p. Beule. — Korrespondeneya Napoleona Igo. — Projekt nowego morskiego kanału. — Teatra paryżkie w porze noworocznej i komedya Froufrou. — Wystawa zabawek dziecięcych. — Najnowsze historyczne i literackie prace. — Le Chateau de Żółkiew. Przez <i>L. K.</i>	255
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>Stanis. Krzyżanowskiego</i>	329
Kronika Włoska, przez <i>Teofila Lenartowicza</i>	428

Kronika paryżka literacka, naukowa i artystyczna:

Towarzystwo antropologiczne w Paryżu. — Przyjęcie pani Klemencyi Royer. — Ostatnie jej dzieło: „Człowiek pierwotny.” — Lekcyja wstępna pana Garcia de Tassy, o ruchu umysłowym u Hindów. — Emil XIX wieku, dzieło pedagogiczne pana Esquiros. — Nowe dzieło pana Taine: „Filozofia sztuki greckiej.” — Poezya Francuzka i jej pozytywizm. — Le comte de Lille—jego utwory. — Dramat „Wyzwoleńce.” — Dyalog: „Głos mistrza.” — <i>Rozmaitości.</i> Przez <i>S. D.</i>	439
----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------	-----

Pismienictwo krajowe i zagraniczne.

Pisma peryodyczne w roku 1869. Przez <i>Mruk</i>	142, 306
O rodzinie Jana Kochanowskiego, o jej majątnościach i fundacyach. Kilka- naście pism urzędowych zebrał ks. Józef Gacki. Warszawa. 1869. Przez <i>R.</i>	155
Historya powszechna przez Wiktora Duruy, przełożona przez L. Rogalskiego. Warszawa. 1869. Przez <i>P.</i>	156
Krótki historyczno-statystyczny opis miast i wsi w dzisiejszym powiecie krotoszyńskim, od najdawniejszych czasów aż po rok 1794, przez Józefa Łukaszewicza. Poznań. 1869. Przez <i>A. P.</i>	294
Kalendarze na rok 1870. Przez <i>J.</i>	320
Nowsze książki. Przez <i>X.</i>	475
Rękopism Bieżanowskiego historyografa Akademii krakowskiej z XVII wieku. Opisał <i>Karol Mecherzyński</i>	489

Bibliografia.

Wiadomość o dwóch rękopismach kroniki czeskiej, Przibika (Przybysława) Pulkawy z Rudentna, podana przez F. E. Matejkę.....	302
----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------	-----

Przegląd teatralny.

	Stron.
Romeo i Julia, tragedia w 5-ciu aktach Szekspira. Przez <i>Nemo</i>	289
Żyd. Dramat w pięciu aktach, oryginalnie przez Edwarda Lubowskiego napisany. Przez <i>Kazimierza Kaszewskiego</i>	466

Przegląd muzyczny.

Słowo o recenzji w sztuce.— „Widma.”— „Pani Twardowska.”— „Parys” p. Stan. Moniuszki.—Wzmianki szczególne. Przez <i>Bolesława Wilczyńskiego</i>	285
Rozmaitości.....	158
Wiadomości bieżące i rozmaitości.....	164, 330, 493
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomiczném warszawskiem :	
za miesiąc listopad r. 1869.....	169
— — — grudzień r. 1869.....	337
Dostrzeżenia meteorologiczne w Obserwatoryum astronomicznem warszawskiem w roku 1869.	

